

Lipiec

Ken Dolby stał przed swoim stanowiskiem pracy i gładkimi, wypielęgnowanymi palcami pieścił urządzenie kontrolne Isabeli. Czekał, napawając się tą chwilą, aż w końcu wyłączył blokadę i opuścił niewielką czerwoną dźwigienkę.

Nie było słyhać szumu ani żadnego dźwięku, nic nie wskazywało na to, że najdroższe urządzenie naukowe na świecie zostało uruchomione. Tyle tylko że w odległym o trzysta pięćdziesiąt kilometrów Las Vegas na moment nieznacznie przygasła światła.

W miarę jak Isabella się rozgrzewała, Dolby zaczął czuć przez podłogę jej delikatne wibracje. Myślał o urządzeniu jak o kobiecie i gdy puszczał wodze fantazji, wyobrażał sobie nawet, jak wyglądała - wysoka i szczupła, z zarysowanymi mięśniami na plecach, czarna jak noc na pustyni i zroszona kropelkami potu. Isabella. Z nikim nie dzielił się tymi odczuciami - po co narażać się na śmieszność. Dla reszty naukowców pracujących przy tym projekcie Isabella była rzeczą, martwym urządzeniem skonstruowanym do konkretnego celu. Dolby jednak zawsze odczuwał głęboką więź z maszynami, które stworzył, odkąd jako dziesięcioletek zbudował z części swoje pierwsze radio Fred. Tak się nazywało. Kiedy myślał o Fredzie, widział białego mężczyznę o włosach rudych jak marchewka. Pierwszy komputer, jaki zbudował - Betty - w jego wyobraźni wyglądał jak rzutka, energiczna sekretarka. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego jego maszyny miały takie

a nie inne osobowości, tak było i już. A teraz to, najpotężniejszy akcelerator cząstek na świecie... Isabella.

- I jak? - spytał Hazelius, szef zespołu, podchodząc i poufałym gestem kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Mruczy jak kotka - odparł Dolby.

- Świetnie. - Hazelius wyprostował się i zwrócił do zespołu:

- Podejdźcie bliżej, chciałbym coś powiedzieć.

Zapadła cisza, gdy członkowie zespołu odeszli od swoich stanowisk i czekali. Hazelius przeciął niewielkie pomieszczenie, by stanąć przed największym ekranem plazmowym. Drobnym, szczupłym i energicznym jak łasica w klatce krążył przez chwilę w tę i z powrotem przed ekranem, zanim odwrócił się do nich, uśmiechając się promiennie. Dolbyego nigdy nie przestawała zadziwiać charyzma tego człowieka.

- Drodzy przyjaciele - zaczął, wodząc po zgromadzonych spojrzeniem swoich przejrzyście niebieskich oczu. - Jest rok ty się czterysta dziewięćdziesiąty drugi. Stoimy na dziobie Santa Marii, przepatrując morski horyzont na chwilę przed tym, jak oczom naszym ukaze się linia brzegowa Nowego Świata.

Sięgnął do chapmanowskiej torby, którą wszędzie nosił ze sobą, i wyjął butelkę veuve clicquot. Uniósł ją niczym trofeum, a gdy postawił na stoliku, w jego oczach pojawiły się błyszczące isierki.

- To na później, kiedy już postawimy stopę na plaży. Ponieważ dziś uruchomimy Isabellę na pełne sto procent jej mocy.

Te słowa zostały powitane milczeniem. Wreszcie przemówiła Kate Mercer, zastępczyni kierownika projektu:

- A co z planami przeprowadzenia trzech prób na dziewięćdziesiąt pięć procent?

Hazelius spojrzął na nią z uśmiechem.

- Niecierpliwie się. A ty?

Mercer odgarnęła do tyłu lśniące włosy.

- A jeżeli natrafimy na nieznaną rezonans albo wygeneruje my miniaturową czarną dziurę?

- Zgodnie z twoimi obliczeniami szansę na coś takiego są jak jeden do kwadrylion.

- Moje obliczenia mogą okazać się błędne.

- Twoje obliczenia nigdy nie są błędne. - Hazelius uśmiechnął się i odwrócił do Dolbyego. - Jak uważasz? Jest gotowa?

- Jeszcze jak.

Hazelius rozłożył ręce.

- No więc?

Wszyscy popatrzyli po sobie. Czy powinni podjąć takie ryzyko? Wreszcie niezręczną ciszę przerwał rosyjski programista Wołkoński:

- Tak, zróbmy to!

Przybił piątkę zdezorientowanemu Hazeliusowi, a już po chwili wszyscy zaczęli poklepywać się wzajemnie po plecach, ścisnąć dłonie i obejmować jak drużyna koszykówki przed rozpoczęciem meczu.

Pięć godzin i wiele marnych kaw później Dolby stał przed wielkim płaskim ekranem, który wciąż był ciemny - wiązki protonów materii i antymaterii nie zostały jeszcze zderzone. Rozruch urządzenia i schłodzenie nadprzewodzących magnesów Isabelli, by mogły przewodzić potężne ładunki elektryczne, zdawały się trwać w nieskończoność. No i pozostawała jeszcze kwestia zwiększenia luminancji wiązki o pięć procent, zogniskowania i kolimacji wiązki, sprawdzenie magnesów nadprzewodzących i przeprowadzenie rozmaitych programów testowych, zanim będzie można zwiększyć moc o kolejnych pięć procent.

- Moc na dziewięćdziesiąt pięć procent... - oznajmił Dolby.

- Do czorta! - warknął gdzieś za nim Wołkoński, uderzając w automat do kawy, tak że zagrzechotał jak Błaszany Drwal. - Już pusty!

Dolby stłumił uśmiech. W ciągu dwóch tygodni, jakie spędzili w Red Mesie, Wołkoński okazał się cwany, zapuszczonym wałkoniem, eurośmieciem o długich przetłuszczonych włosach, noszącym podarty podkoszulek i chlubiącym się wątlym zarostem na podbródku przywodzącym na myśl owłosienie na wzgórku łonowym. Przypominał bardziej narkomana niż genialnego inżyniera komputerowca. Ale wielu z nich tak właśnie wyglądało.

Mijały kolejne minuty.

- Wiązki ustawione i zogniskowane - rzekła Rae Chen. - Luminancja czternaście teraelektronowoltów.

- Isabella działa doskonale - oświadczył Wołkoński.

- U mnie wszystkie systemy sprawne - powiedział fizyk molekularny Cecchini.

- Ochrona, panie Wardlaw?

Starszy oficer bezpieczeństwa Wardlaw odezwał się ze swego stanowiska:

- Tylko kaktusy i kojoty.

- W porządku - mruknął Hazelius. - Już czas. - Zrobił dramatyczną pauzę. - Ken? Dokonaj zderzenia wiązek.

Dolby poczuł, że jego serce zaczyna bić żywiej. Długimi, cienkimi jak odnóża pająka palcami dotknął pokręteł i wyregulował je z subtelnością pianisty. Następnie wprowadził kilka komend, wystukując je na klawiaturze.

- Kontakt.

Otoczające ich wielkie płaskie ekrany nagle ożyły. Powietrze przepełnił dźwięk przywodzący na myśl melodię, zdający się dochodzić równocześnie zewsząd i znikąd.

- Co to takiego? - spytała zaniepokojona Mercer.

- Tysiące cząsteczek przepływających przez detektory - od parł Dolby. - Wywołują silną wibrację.

- Jezu, to brzmi jak monolit z *2001: Odysei kosmicznej*.

Wołkoński wydał z siebie kilka małych odgłosów. Wszyscy go zignorowali.

Na panelu centralnym wizualizatora pojawił się nagle obraz. Dolby wlepił weń wzrok jak w transie. To przypominało olbrzymi kwiat - migoczące strugi barw rozchodzące się z pojedynczego punktu, wijące się i skręcające, jakby próbowały wyrwać się z ekranu. Stał, patrząc na to niezwykle piękno z fascynacją i trwogą.

- Kontakt udany - rzekła Rae Chen. - Promienie zogniskowane i skolimowane. Boże, co za doskonale ustawienie!

Rozległy się radosne okrzyki i oklaski.

- Panie i panowie - powiedział Hazelius. - Witam u brzegów Nowego Świata. - Wskazał na wizualizator. - Macie okazję ujrzeć energię o gęstości, jakiej nie widziano we wszechświecie od czasu Wielkiego Wybuchu. - Odwrócił się do Dolbyego. - Ken, zwiększ, proszę, moc do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent.

Eteryczny dźwięk przybrał nieco na sile, kiedy Dolby znów zaczął stukać w klawisze.

- Dziewięćdziesiąt sześć - oznajmił.

- Luminancja siedemnaście przecinek cztery dziesiąte teraelektronowoltów - powiedziała Chen.

- Dziewięćdziesiąt siedem... dziewięćdziesiąt osiem.

Cały zespół zamilkł, słyhać było tylko głucho brzęczenie wypełniające podziemne pomieszczenie kontrolne, jakby cała góra wokół nich śpiewała.

- Promienie nadal zogniskowane - ciągnęła Chen. - Luminancja dwadzieścia dwa przecinek pięć dziesiątych teraelektronowoltów.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć.

Odgłosy Isabelli stały się wyższe, czystsze.

- Chwileczkę - odezwał się Wołkoński, pochylając się nad stanowiskiem superkomputera. - Isabella... zwalnia.

Dolby odwrócił się gwałtownie.

- Sprzęt działa prawidłowo. To musi być kolejna usterka oprogramowania.
- Oprogramowanie jest w porządku - zaproponował Wołkoński.
- Może powinniśmy na tym poprzestać - wtrąciła Mercer. - Czy są jakieś oznaki mogące świadczyć o powstaniu miniatury czarnej dziury?
- Nie - odparła Chen. - Brak oznak promieniowania Hawkinga.
- Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek pięć - oznajmił Dolby.
- Mam odczyt naładowanej wiązki o luminancji dwadzieścia dwa przecinek siedem dziesiątych teraelektronowoltów - powie działa Chen.
- Jakiego rodzaju? - spytał Hazelius.
- Nieznaczny rezonans. Proszę spojrzeć.

Po obu stronach kwiatu widniejącego na ekranie centralnym pojawiły się dwa migocące czerwone płatki przywodzące na myśl rozszalałe uszy kłowna.

- Silne rozproszenie - rzekł Hazelius. - Może to gluony. Albo dowód na istnienie grawitonów Kaluzy-Kleina.
- Nic z tego - zaproponowała Chen. - Nie przy takiej luminancji.
- Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek sześć.
- Gregory, myślę, że powinniśmy utrzymać moc na obecnym poziomie - wtrąciła Mercer. - Za dużo rzeczy dzieje się naraz.
- To oczywiste, że jesteśmy świadkami nieznanymi rezonansów - rzekł Hazelius. Jego głos nie był cichszy od pozostałych, ale wyróżniał się spośród nich. - Znajdujemy się na nieznanym terytorium.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek siedem - oznajmił Dolby.

Bezwarunkowo wierzył w swoje urządzenie. Mógł uruchomić je na pełne sto procent, a nawet więcej, gdyby to było konieczne. Był podekscytowany na myśl o tym, że pobierali teraz prawie jedną czwartą mocy z Hoover Dam. To dlatego musieli przeprowadzić testy w środku nocy, kiedy pobór energii był najniższy.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek osiem.

- Mamy tu do czynienia z jakąś naprawdą olbrzymią, nieznaną interakcją - powiedziała Mercer.

- W czym problem, suko? - wrzasnął na komputer Wołkoński.

- Mówię ci, że wtykamy palec w przestrzeń Kaluzy-Kleina - rzekła Chen. - To niesamowite.

Na wielkim ekranie z kwiatem nagle zaczęło śnieżyć.

- Isabella zachowuje się dziwnie - zauważył Wołkoński.

- Jak to? - spytał Hazelius ze swojego miejsca pośrodku Mostka.

- Świruje.

Dolby przewrócił oczami. Wołkoński bywał taki upierdliwy.

- U mnie wszystkie systemy w normie.

Wołkoński zaczął wściekle stukać w klawiaturę, a potem zaklął po rosyjsku i otwartą dłonią uderzył w monitor.

- Gregory, nie sądzisz, że powinniśmy zmniejszyć moc? - spytała Mercer.

- Jeszcze chwileczkę - odparł Hazelius.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć - ogłosił Dolby.

W ciągu ostatnich pięciu minut wszyscy w pomieszczeniu, do niedawna zaspani i rozleniwieni, nagle się rozbudzili i byli przeobrażeni. Tylko Dolby wydawał się rozluźniony.

- Zgadzam się z Kate - rzekł Wołkoński. - Nie podoba mi się zachowanie Isabelli. Rozpocznijmy procedurę redukcji mocy.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność - odezwał się Hazelius. - Wszystko pozostaje w dalszym ciągu w granicach normy. Pewnie to strumień danych rzędu dziesięciu terabitów na sekundę zaczyna poszerzać swoje koryto, to wszystko.

- Poszerzać koryto? Co to ma znaczyć?

- Moc na sto procent - rzucił Dolby z nutą satysfakcji w głosie.

- Luminancja promienia dwadzieścia siedem przecinek jeden osiem dwa osiem teraelektronowoltów - powiedziała Chen.

Ekrany komputera zaśmieżyły się, a pokój wypełnił śpiewny dźwięk przywodzący na myśl głos z zaświatów. Kwiat na wizualizatorze wił się i rozszerzał. Pośrodku pojawiła się czarna plamka przypominająca otwór.

- Hola! - zawołała Chen. - Tracimy wszystkie dane na współrzędnej zero.

Kwiat zamigotał. Przecięły go ciemne smugi.

- To szaleństwo - ciągnęła Chen. - Ja nie żartuję, dane znikają.

- Niemożliwe - odparł Wołkoński. - Dane nie znikają. Cząsteczki znikają.

- Daj spokój. Cząsteczki nie mogą znikać.

- To nie żart. Cząsteczki znikają.

- Problem z oprogramowaniem? - spytał Hazelius.

- Nie z oprogramowaniem - odrzekł głośno Wołkoński. - Ze sprzętem.

- Wal się - warknął Dolby.

- Gregory, Isabella może rozdzierać membranę - wtrąciła Mercer. - Naprawdę uważam, że powinniśmy zmniejszyć moc.

Czarny punkcik powiększył się, pochłaniając obraz na ekranie. Na jego obrzeżach wciąż było widać migoczącą feerię barw.

- Co za dziwne odczyty - zauważyła Chen. - Odbieram od czyt wyjątkowego zakrzywienia czasoprzestrzeni na współrzędnej zero. To wygląda jak jakaś osobliwość. Może właśnie przy czyniamy się do stworzenia czarnej dziury.

- Niemożliwe - wtrącił się Alan Edelstein, matematyk ze społu, unosząc wzrok znad swojego stanowiska w kącie pomieszczenia. - Nie ma żadnych oznak promieniowania Hawkinga.

- Przysięgam na Boga - rzekła głośno Chen. - Zaraz stworzymy wyrwę w czasoprzestrzeni!

Na ekranie, gdzie w czasie rzeczywistym pojawiał się kod programu, symbole i liczby przelatywały w zawrotnym tempie. Na wielkim ekranie nad ich głowami falujący kwiat zniknął, pozostawiając tylko czarną pustkę. Nagle w tej pustce pojawił się jakiś ruch, widmowy, ulotny jak nietoperz. Dolby patrzył na to ze zdumieniem.

- Do cholery, Gregory, obniż moc! - zawołała Mercer.

- Isabella nie przyjmuje komend! - zawołał Wołkoński. - Tracę podstawowe programy.

- Zaczekaj jeszcze chwilę, aż określimy, co się dzieje - rzucił Hazelius.

- Za późno! Straciliśmy Isabellę! - krzyknął Rosjanin, wyrzucając ręce w górę i odsuwając się od komputera z wyrazem dezaprobaty malującym się na jego pociągłym obliczu.

- U mnie odczyty są nadal w normie - powiedział Dolby. - Najwyraźniej mamy tu do czynienia z załamaniem programu.

Przeniósł wzrok na wizualizator. W pustce pojawił się jakiś kształt, tak dziwny i piękny zarazem, że w pierwszej chwili nie potrafił go rozpoznać. Rozejrzał się dokoła, ale nikt inny nie patrzył na ekran, wszyscy byli skupieni na swoich konsolach.

- Hej, przepraszam, czy ktoś może wie, co się dzieje na ekranie? - zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Nikt nie uniósł wzroku. Wszyscy byli zajęci. Urządzenie wydawało dziwne śpiewne dźwięki.

- Jestem tylko inżynierem - rzekł Dolby - ale czy ktoś z was, geniusze teoretycy, wie, co to może być? Alan! Czy to... normalne?

Alan Edelstein spojrział na niego jakby od niechcienia.

- To tylko losowe dane - odparł.

- Jak to losowe? Przecież to ma kształt!

- Komputer padł. To nie może być nic innego jak losowe dane.

- Mnie to nie wygląda na nic przypadkowego. - Dolby wciąż na to patrzył. - To się porusza, tam coś jest, słowo daję, i wygląda, jakby było żywe, jakby próbowało się wydostać. Gregory, widzisz to?

Hazelius spojrział na wizualizator i znieruchomiał, a na jego obliczu odmalowało się zdumienie. Odwrócił się.

- Rae? Co się dzieje z wizualizatorem?

- Nie mam pojęcia. Odbieram nieprzerwany strumień spójnych danych z detektorów. Nic nie wskazuje na to, aby Isabella szwankowała.

- Jak zinterpretowałabyś to coś na ekranie?

Chen uniosła wzrok, a jej oczy się rozszerzyły.

- Jezu. Nie mam pojęcia.

- To się porusza - rzekł Dolby. - Jakby się skądś wylaniało.

Detektory śpiewały, melodyjne wysokie brzmienie wypełniło pomieszczenie.

- Rae, to bezużyteczne dane - rzucił Edelstein. - Komputer padł. Jak to może być prawdziwe?

- Nie jestem pewien, czy to faktycznie bezużyteczne dane - powiedział Hazelius, wpatrując się w ekran. - Co o tym myślisz, Michael?

Fizyk molekularny utkwił wzrok w obrazie na ekranie jak za-hipnotyzowany.

- To nie ma sensu. Żadne barwy czy kształty nie odpowiadają energii, ładunkowi ani typowi cząstek. Nie są nawet radialnie ześrodkowane na współrzędnej zero, to jest jak dziwna, magnetycznie związana chmura jakiejś plazmy.

- Mówię wam - rzekł Dolby - to się porusza, wyłania się. Jest jak... Jezu, co to jest, u licha?

Mocno zacisnął powieki, by odegnać z nich ból wyczerpania. Może miał przywidzenia. Otworzył oczy. To wciąż tam było - i rozszerzało się.

- Wyłączcie to! Wyłączcie natychmiast Isabellę! - zawołała Mercer.

Nagle ekran ponownie wypełnił się śniegiem, a potem zrobił się czarny.

- Co, u diabła? - warknęła Chen, stukając zawzięcie w klawiaturę. - Straciłam wszystkie sygnały wejściowe!

Pośrodku ekranu powoli zaczęło się materializować słowo. Cała grupa patrzyła w milczeniu. Nawet Wołkoński, który wcześniej nieomal krzyczał w przyływie ekscytacji, pogrążył się w dziwnym milczeniu. Wszyscy znieruchomieli.

I nagle Wołkoński wybuchnął donośnym, wysokim, histerycznym śmiechem.

Dolby poczuł, że ogarnia go wściekłość.

- Sukinsynu, to twoja sprawka!

Rosjanin potrząsnął głową, strąki jego przetłuszczonych włosów zafalowały.

- Myślisz, że to zabawne? - rzucił Dolby, podnosząc się z miejsca z zaciśniętymi pięściami. - Zhakowałeś eksperyment za czterdzieści miliardów dolarów i uważasz, że to zabawne?

- Niczego nie zhakowałem - odparł Wołkoński, ocierając usta. - Zamknij się.

Dolby odwrócił się do pozostałych.

- Czyja to robota? Kto sabotował Isabelę?

Ponownie przeniósł wzrok na wizualizator i odczytał na głos z nieskrywaną wściekłością słowo widniejące na ekranie: *Witajcie*.

Znów się odwrócił.

- Zabiję skurwiela, który to zrobił.

Wyman Ford rozejrzał się po znajdującym się przy Siedemnastej Ulicy gabinecie doktora Stanton Lockwooda III, doradcy naukowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Z długiego waszyngtońskiego doświadczenia Ford wiedział, że choć gabinet był urządzone tak, by pokazać zewnętrzną naturę danego człowieka, osoby publicznej, zawsze zdradzał pewne tajemnice, jaki był ten ktoś wewnątrz. Wodził więc wzrokiem dokoła, wypatrując tajemnicy.

Gabinet był utrzymany w stylu, który Ford określał mianem WWMG - Ważny Waszyngtoński Makler Giełdowy. Antyki były autentyczne i najlepszej jakości, począwszy od biurka w stylu Drugiego Cesarstwa, wielkiego i szpetnego jak hummer, przez złożony francuski zegar stojący, po stonowany perski dywan na podłodze. Wszystko musiało kosztować fortunę. Rzec jasna obowiązkowo na jednej ze ścian wisały oprawione w ramki dyplomy, nagrody i fotografie przedstawiające rezydenta tego biura w otoczeniu prezydentów, ambasadorów i członków gabinetu.

Stanton Lockwood chciał, by świat postrzeżał go jako ważnego, zamożnego, potężnego i dyskretnego. Ford jednak zauważył w tym wszystkim tylko ogromny wysiłek i próżny trud. Ten człowiek z podziwu godną determinacją usiłował ukazać siebie jako kogoś, kim nie był.

Lockwood zaczekał, aż jego gość usiądzie, po czym sam zajął miejsce w fotelu po drugiej stronie stolika do kawy. Założył

nogę na nogę i długą białą dłonią wygładził fałdę na gabardynowych spodniach.

- Oszczędźmy sobie zwyczajowych waszyngtońskich formalności - powiedział. - Jestem Stan.

- Wyman.

Rozsiadł się wygodniej i obserwował Lockwooda: przystojnego, dobrze po pięćdziesiątce, z fryzurą za sto dolarów i ciałem wyrzeźbionym w klubie fitness, przyobleczonym w grafitowy garnitur. Przypuszczalnie grywał w squash. Nawet zdjęcie na biurku wyglądało jak żywcem wyjęte z reklamy usług finansowych.

- No cóż, Wyman - zaczął Lockwood rzeczowym tonem - twoi byli koledzy z Langley wypowiadali się o tobie w samych superlatywach. Żałują, że odszedłeś.

Ford pokiwał głową.

- To okropne, co się stało z twoją żoną. Z całego serca współczuję.

Ford z trudem pohamował sztywnienie całego ciała. Nigdy nie potrafił opanować swojej reakcji, kiedy ktoś wspominał o jego nieżyjącej żonie.

- Mówiono mi, że spędziłeś kilka lat w klasztorze.

Ford czekał.

- Klasztorne życie nie przypadło ci do gustu?

- Trzeba dysponować specyficznymi cechami osobowości i charakteru, aby zostać mnichem.

- Tak więc opuściłeś klasztor i założyłeś własny interes.

- Człowiek musi z czegoś żyć.

- Miałeś już jakieś ciekawe zlecenia?

- Jak dotąd żadnych. Otworzyłem firmę niedawno. Jesteś moim pierwszym klientem, skoro już o tym mowa.

- Tak. Mam dla ciebie specjalne zlecenie, ale musiałbyś zacząć od razu. To zajmie jakieś dziesięć dni, góra dwa tygodnie.

Ford pokiwał głową.

- Już na wstępie muszę nadmienić, że jest w tym pewien haczyk. Jeżeli przyjmiesz zlecenie, nie będziesz mógł się później wycofać. Robotę trzeba wykonać na terenie Stanów Zjednoczonych, nie wiąże się z ryzykiem i - przynajmniej w moim odczuciu - nie powinna być trudna. Czy wypełnisz zlecenie pomyślnie, czy nie, nigdy nie wolno ci o nim wspomnieć, więc obawiam się, że wzmianka na ten temat w twoim CV nie wchodzi w rachubę.

- A wynagrodzenie?

- Sto tysięcy dolarów w gotówce, do ręki, a na piśmie standardowe honorarium urzędnika państwowego, co jest związane z twoją funkcją agenta pracującego incognito. - Uniósł brwi. - Jesteś gotów, by dowiedzieć się więcej?

- Słucham. - Odpowiedzi nie poprzedziło wahanie.

- Doskonale. - Lockwood wyjął kolejną teczkę. - Widzę, że masz magisterium z antropologii na Uniwersytecie Harvarda. Potrzebujemy antropologa.

- Wobec tego obawiam się, że nie o mnie ci chodzi. To tylko magisterium. Poszedłem na MIT i zrobiłem doktorat z cybernetyki. W CIA zajmowałem się głównie kryptologią i komputerami. Antropologię zarzuciłem dawno temu.

Lockwood machnął obojętnie ręką, jego sygnet z Princeton załśnił złościście.

- Nieważne. Słyszałeś o projekcie Isabella?

- Trudno nie usłyszeć.

- Wybacz zatem, jeśli powtórzę to, co już wiesz. Isabella została ukończona ponad dwa miesiące temu za cenę czterdziestu miliardów dolarów. To nadprzewodzący superzderzacz drugiej generacji, akcelerator cząstek. Jego zadaniem jest sondować poziom energii Wielkiego Wybuchu i badać pewne egzotyczne pomysły na generowanie mocy. To oczko w głowie prezydenta,

Europejczycy właśnie zakończyli budowę Wielkiego Zderzacza Hadronów w CERN i nasz prezydent chciał, aby Ameryka zachowała czołową pozycję w pracach nad fizyką molekularną.

- To oczywiste.

- Zdobycie funduszy na Isabellę nie było łatwe. Lewica perorowała, że te pieniądze powinny zostać spożytkowane na chorych i cierpiących. Prawica utyskiwała, że to kolejny wielki rządowy program marnowania pieniędzy. Prezydent przeniknął jakoś z tym projektem między Scyllą i Charybdą, przegłosowując fundusze na Isabellę w Kongresie, i tak został on ukończony. Prezydent uważa go za swoje dziedzictwo i bardzo mu zależy, żeby zakończył się sukcesem.

- Nie wątpię.

- Isabella to właściwie okrągły tunel znajdujący się dziewięćdziesiąt metrów pod ziemią, o obwodzie siedemdziesięciu pięciu kilometrów, tunel, w którym protony i antyprotony krążą w przeciwnych kierunkach nieomal z prędkością światła. Kiedy dochodzi do zderzenia cząstek, wytwarzają energię na poziomie, jakiego nie widziano w całym wszechświecie, odkąd miał on jedną milionową sekundy.

- Imponujące.

- Znaleźliśmy idealne miejsce dla tego projektu - Red Mesę, mający osiemset kilometrów kwadratowych płaskowyż na terenie rezerwatu Indian Nawaho, chroniony wysokimi na sześćset metrów skałami i najeżony sztolniami opuszczonych kopalni węgla, które przerobiliśmy na podziemne bunkry i tunele. Rząd Stanów Zjednoczonych płaci rocznie sześć milionów dolarów za użytkowanie tych ziem władzom plemiennym Nawahów w Window Rock w Arizonie zgodnie z zawartą umową, która okazała się nad wyraz satysfakcjonująca dla wszystkich stron uczestniczących w jej podpisaniu. Red Mesa jest niezamieszkana, a na

szczyt wiedzie tylko jedna droga. U podstawy płaskowyżu znajduje się zaledwie kilka indiańskich osad. To lud ceniący sobie tradycję - większość z nich nadal mówi w języku nawaho i żyje z wypasania owiec, tkania pledów i wyrobu biżuterii. Tak się przedstawia sytuacja. Ford pokiwał głową.

- A na czym polega problem?

- W ubiegłych tygodniach samozwańczy szaman zaczął podburzać ludzi przeciwko Isabelli, szerząc plotki i mylne informacje. Co gorsza, zyskał zwolenników. Twoim zadaniem będzie uporać się z tym problemem.

- Co z tym robią władze Nawahów?

- Nic. Władze plemienne nie mają posłuchu. Poprzedni przewodniczący rady plemiennej trafił za kratki za malwersacje, a nowy dopiero objął urząd. Musisz sam zmierzyć się z tym szamanem.

- Opowiedz mi o nim.

- Nazywa się Begay, Nelson Begay. Nie wiadomo, ile ma lat, nie zdołaliśmy dotrzeć do jego aktu urodzenia. Twierdzi, że projekt Isabella bezczęści święte miejsce pochówku, że na Red Mesa nadal wypasane były owce i tak dalej. Organizuje konny zjazd w tamto miejsce na znak protestu. - Lockwood wyjął z teczki za brudzoną ulotkę. - Oto jak do tego zachęca.

Na rozmazanej kserokopii widać było mężczyznę siedzącego na koniu i trzymającego w dłoniach tablicę z napisem:

JEDŹ DO RED MESY!

ZATRZYMAJ ISABELLĘ!

14 i 15 WRZEŚNIA

Chroń Dine Bikeyah, Kraj Ludu! Red Mesę, Dzilth Chii zamieszkuje Święta Istota, która odpowiada za roczne pojawianie się

kwiatów i roślin. Isabella jest jak śmiertelna rana w boku tej istoty, emitująca promieniowanie i zatruwająca Matkę Ziemię.

Jedź do Red Mesy. Spotkajmy się przy siedzibie kapituły w Blue Gap 14 września o 9 rano, aby po Dugway dotrzeć do starego punktu handlowego przy Nakai Rock.

Rozbijemy obóz przy Nakai Rock, by odbyć obrzęd w Szalasię Potu i trwający jeden wieczór rytuał Drogi Błogosławieństwa. Odzyskajmy nasze ziemie poprzez modlitwę.

- Twoim zadaniem będzie dołączenie do zespołu naukowców jako antropolog i pełnienie funkcji łącznika z miejscową społecznością - rzekł Lockwood. - Poznaj ich troski. Zawiaż nowe przyjaźnie i uspokój wszystkich.

- A jeśli się nie uda?

- Zneutralizuj wpływ Begaya.

- Jak?

- Wygrzeb jakieś brudy z jego przeszłości, spij go, zrób mu zdjęcie z mułem w łóżku, cokolwiek.

- Zakładam, że to tylko taki marny żarcik.

- Tak, tak, oczywiście. Jesteś antropologiem, powinienes wiedzieć, jak sobie radzić z takimi ludźmi. - Uśmiech Lockwooda był ironiczny i chłodny.

Cisza się przedłużała. W końcu Ford zapytał:

- A na czym właściwie ma polegać prawdziwe zlecenie?

Lockwood splótł dłonie i wychylił się do przodu. Jego uśmiech się poszerzył.

- Dowiedz się, co się tam dzieje, do cholery.

Ford czekał.

- Antropologia to twoja przykrywka. Prawdziwe zadanie musi pozostać absolutną tajemnicą.

- Zrozumiano.

- Isabella miała zostać skalibrowana i uruchomiona osiem tygodni temu, ale oni wciąż jeszcze się z tym guzdrzą. Twierdzą, że nie mogą uruchomić maszyny. Mają coraz to nowe wymówki - wirusy w oprogramowaniu, wadliwe cewki, przeciekający dach, uszkodzony przewód, problemy z komputerem. Z początku przyjmowałem te tłumaczenia, ale teraz jestem pewien, że oni nie mówią mi wszystkiego. Tam się dzieje coś niedobrego, a ja odnośnie nieodparte wrażenie, że zespół wciska nam kit, nie chcąc powiedzieć, o co naprawdę chodzi.

- Opowiedz mi o tych ludziach.

Lockwood odchylił się do tyłu i wziął głęboki wdech.

- Jak zapewne wiesz, Isabella została opracowana i zaprojektowana przez fizyka Gregoryego Northa Hazeliusa, który osobiście wybrał wszystkich członków swojego zespołu. Same najpotężniejsze umysły Ameryki. FBI prześwietliło gruntownie każdego z nich, tak więc ich lojalność nie podlega dyskusji. Poza tym Departament Energii przydzielił im jednego ze swoich najlepszych ludzi oraz psychologa.

- Departament Energii? A czego oni tu szukają?

- Jednym z głównych celów projektu Isabella jest pozyskanie nowych, egzotycznych form energii: fuzji, miniaturowych czarnych dziur, materii - antymaterii. DE nominalnie tym wszystkim kieruje, choć, jeśli chodzi o ścisłość, na obecnym etapie wszystko jest pod moją kontrolą.

- A psycholog? Jaka jest jego rola?

- To, co tam się dzieje, stanowi odpowiednik projektu Manhattan - izolacja, najwyższy stopień bezpieczeństwa, długie godziny ciężkiej pracy i rozłąka z rodzinami. To wysoce stresogenne warunki. Chcieliśmy mieć pewność, że nikt nie zacznie świrować.

- Rozumiem.

- Zespół wszedł tam dziesięć tygodni temu, by uruchomić Isabellę. To miało zająć najwyżej dwa tygodnie, ale jak wszystko na to wskazuje, wciąż nie mogą się z tym uporać.

Ford pokiwał głową.

- Tymczasem zużywają mnóstwo energii - u szczytu swoich możliwości Isabella pochłania tyle energii co średniej wielkości miasto. Raz po raz włączają urządzenie na sto procent i wciąż twierdzą, że nie działa. Kiedy wypytuję Hazeliusa o szczegóły, ten ma odpowiedź na wszystko. Czaruje i kręci, dopóki nie przekona, że czarne jest białe. Ale coś poszło nie tak i próbują to za tuszować. To może być problem ze sprzętem, z oprogramowaniem albo z ludźmi. Bóg raczy wiedzieć. Niestety pora nie jest odpowiednia. Mamy już wrzesień. Za dwa miesiące wybory prezydenckie. Nie można wyobrazić sobie gorszego momentu, gdy by miał wybuchnąć skandal.

- Skąd nazwa Isabella?

- Główny inżynier Dolby, który przewodził ekipie projektantów, nadał urządzeniu takie imię. Przyjęło się, wpada w ucho lepiej niż SSCII, jak brzmi oficjalna nazwa. Może jego dziewczyna ma na imię Isabella.

- Wspomniałeś o agencie ochrony. Co o nim wiemy?

- Nazywa się Tony Wardlaw. Były agent sił specjalnych, wyróżnił się w Afganistanie, zanim podjął pracę w wywiadzie na rzecz Departamentu Energii. To spec pierwsza klasa.

Ford zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

- Wciąż nie jestem pewien, Stan, dlaczego przypuszczasz, że oni nie mówią prawdy. Może faktycznie mają te problemy, o których wspominałeś.

- Wyman, jak nikt inny potrafię zwietryć, gdy ktoś wciska mi kit, a uwierz mi, to nie pachnie jak Chanel nr 5. - Lockwood wychylił się do przodu. - Kongresmeni z obu obozów już zaczy-

nają ostrzyć długie noże. Za pierwszym razem się zagapili. Za drugim nie popełnią tego samego błędu.

- To typowe dla Waszyngtonu: zbudować urządzenie za czterdzieści miliardów dolarów, a potem obciąć fundusze na jego uruchomienie.

- Otóż to, Wyman. Niezmienna w tym mieście jest jedynie tęsknota za rozumem. Twoim zadaniem jest dowiedzieć się, co się dzieje, i zgłaszać to bezpośrednio do mnie. To wszystko. Nie podejmuj żadnych działań na własną rękę. Resztą my się zajmujemy.

Lockwood podszedł do biurka, wyjął z szuflady plik teczek i cisnął je na blat obok telefonu.

- Każdy z naukowców ma własną teczkę: akta medyczne, ocena psychologa, wyznanie, nawet związki pozamałżeńskie. - Uśmiechnął się ponuro. - To akta z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a wiesz, jacy oni są skrupulatni.

Ford spojrział na teczkę leżącą na samej górze i ją otworzył. Do pierwszej strony przypięte było zdjęcie Gregory'ego Northa Hazeliusa, w którego niebieskich oczach odbijało się zagadkowe rozbawienie.

- Hazelius. Znasz go osobiście?

- Tak. - Lockwood zniżył głos. - I... chciałbym cię przed nim ostrzec.

- Jak to?

- Potrafi zauroczyć człowieka, koncentrując się na nim, dzięki czemu taka osoba czuje się wyróżniona. Jego umysł pracuje z taką intensywnością, że wydaje się, jakby rzucał na innych czar. Nawet jego najbardziej przypadkowe komentarze zdają się za wierać szczególne przesłanie. Widziałem, jak wskazywał na pospolity omszały kamień i mówił o nim w taki sposób, jakby to było coś niezwykłego i nadzwyczajnego. Poświęca ci niepodzielną

uwagę, traktując cię, jakbyś był najważniejszym człowiekiem na świecie. Efekt jest nie do odparcia, nie da się tego ująć w aktach. Może to zabrzmieć dziwnie, ale to trochę tak jak... przy zakochaniu się w kimś. Ten człowiek zauroczy cię sobą i wyłuskuje z marazmu codziennego życia. Trzeba tego doświadczyć, żeby zrozumieć. Przezorny zawsze ubezpieczony. Miej się na baczności.

Przerwał, spoglądając na Forda. Ciszę wypełniły dochodzące z ulicy dźwięki aut, klaksonów i ludzkie głosy. Ford splótł dłonie za głową i spojrzał na Lockwooda.

- FBI albo wywiad z ramienia Departamentu Energii w normalnych okolicznościach przeprowadziłyby śledztwo. Dlaczego ja?

- Czy to nie oczywiste? Za dwa miesiące wybory prezydenckie. Prezydent chce jak najszybciej uporać się z tą sprawą i to po cichu, bez śladu w papierach. Potrzebuję szybkiego działania i możliwości wyparcia się wszystkiego. Jeżeli zawalisz, to my cię nie znamy. Ba, nie znamy cię, nawet gdyby ci się udało.

- Tak, ale dlaczego właśnie ja? Mam magistra z antropologii i to wszystko.

- Masz odpowiednie warunki: antropologia, komputery i byłeś w CIA. - Lockwood wyjął teczkę z pliku. - I jeszcze jeden atut.

Fordowi nie spodobała się nagle zmiana tonu.

- Czyli?

Lockwood przesunął teczkę po blacie w stronę Forda, a ten otworzył ją i spojrzał na przypiętą do okładki fotografię uśmiechniętej kobiety o lśniących czarnych włosach i oczach koloru mahoni. Zamknął teczkę, pchnął ją do Lockwooda i wstał, by wyjść.

- Ściągasz mnie tu w niedzielę rano i wycinasz taki numer? Wybacz, ale nie mieszam pracy z życiem osobistym.

- Za późno, aby się wycofać.

Zimny uśmiech.

- Powstrzymasz mnie przed wyjściem stąd?
- Byłeś w CIA, Wyman. Wiesz, co możemy zrobić.

Ford postąpił krok naprzód, górując nad Lockwoodem.

- Cały się trzęsę.

Doradca naukowy uniósł wzrok, splótł dłonie i łagodnie się uśmiechnął.

- Wybacz, Wyman. To głupie, co powiedziałem. Ale kto, jak nie ty, powinien zrozumieć, jak ważny jest projekt Isabella. To otworzy drogę do zrozumienia przez nas wszechświata. Samego momentu stworzenia. I może nas doprowadzić do nieograniczonego źródła energii nieopartej na węglu. Byłoby wielką tragedią dla całej amerykańskiej nauki, gdybyśmy spuścili tę inwestycję w toalecie. Proszę, zrób to, jeżeli nie dla prezydenta czy dla mnie, to dla swojego kraju. Powiem szczerze, Isabella to najlepsze osiągnięcie tej administracji. To nasze dziedzictwo. Kiedy wszelkie polityczne burze i zawirowania się uspokoją, to właśnie ta jedna, jedyna rzecz zadecyduje o wszystkim. - Lockwood ponownie od dał teczkę Fordowi. - Ona jest zastępczynią kierownika przy projekcie Isabella. Trzydzieści pięć lat, doktorat Stanforda, największy autorytet w teorii strun. To, co wydarzyło się między tobą a nią, jest odległą przeszłością. Poznałem ją. Błyskotliwa, ma się rozumieć, profesjonalistka, wciąż wolna, ale wątpię, by to coś zmieniło. Jest przyjaciółką, kimś, z kim można pogadać, to wszystko.

- Masz na myśli kimś, od kogo można wydobyć informacje.

- W grę wchodzi najważniejszy eksperyment naukowy w dziejach ludzkości. - Lockwood postukał palcem w teczkę, po czym przeniósł wzrok na Forda. - I jak?

Ford zauważył, że Lockwood nerwowo głaszcze lewą dłonią kamyk leżący na biurku. Ten podążył za spojrzeniem i uśmiechnął się nieznacznie, jakby wiedział, że został przyłapany

- A to?

Ford wychwycił w spojrzeniu tamtego jakieś wahanie.

- Co to takiego? - spytał.

- Mój szczęśliwy kamień.

- Mogę zobaczyć?

Lockwood niechętnie podał kamień Fordowi. Ten obrócił go w dłoni, by ujrzeć niewielką skamielinę trylobita po jednej stronie.

- To ciekawe. Ma jakieś szczególne znaczenie?

Lockwood jakby się zawahał.

- Mój brat bliźniak znalazł go tamtego lata, kiedy skończyliśmy osiem lat, i podarował mi go. Ta skamielina to coś, co sprawiło, że zainteresowałem się nauką. Mój brat... utonął kilka tygo dni później.

Ford obracał w dłoniach kamień, gładki od częstego dotykania i przekładania. Odnalazł skrywanego wewnątrz człowieka i, co niespodziewane, polubił go.

- Naprawdę bardzo mi zależy, abyś przyjął to zlecenie, Wyman.

Mnie też na tym zależy. Delikatnie odłożył kamień na biurko.

- W porządku, zrobię to. Ale po swoim.

- Niech będzie. Tylko nie zapominaj: nie podejmuj żadnych działań na własną rękę.

Lockwood wstał i wyjął z biurka aktówkę, włożył do niej teczkę, po czym ją zamknął.

- W środku masz telefon satelitarny, laptop, niezbędne dane, portfel, pieniądze i dokumenty potwierdzające twoje oficjalne zadanie. Cessna już czeka. Strażnik stojący przed moim gabinetem odprowadzi cię. Twoje ubrania i różne drobiazgi zostaną przesłane oddzielnie. - Lockwood zakręcił czterema obrotowymi wałkami cyfrowymi na zamku szyfrowym aktówki. - Kod to cyfry od

siódmej do dziesiątej liczby pi po przecinku. - Uśmiechnął się rozbawiony własnym sprytem.

- A jeśli nie będziemy się zgadzać w kwestii niepodejmowania żadnych działań na własną rękę?

Lockwood przesunął aktówkę po blacie biurka.

- Pamiętaj - powiedział - jakby coś, to w ogóle cię nie znamy.

Booker Crawley rozsiadł się wygodnie w skórzanym prezesowskim fotelu i spojrzął na pięciu mężczyzn zajmujących miejsca wokół stołu konferencyjnego z drewna bubinga. W swojej długiej i owocnej karierze lobbysty Crawley nauczył się, że przynajmniej w większości sytuacji da się ocenić książkę po okładce. Spojrzął na siedzącego naprzeciw niego mężczyznę o absurdalnym nazwisku Delbert Yazzie, omiatając wzrokiem jego wodniste oczy, smutne oblicze, wyświechtany garnitur, sprzączkę od paska ciężką od srebra i turkusów oraz kowbojki, które musiały być podziewywane co najmniej kilka razy. Yazzie, mówiąc najogólniej, wydawał się łatwy do urobienia. Był prostym jak ziemia, która go zrodziła, Indianinem z plemienia Nawahów, ze słomą wystającą z butów i uporczywie zgrywającym kowboja. Człowiekiem, który jakimś zrzędzeniem losu został nowo wybranym prezesem tak zwanego ludu Nawahów. Wcześniej wykonywany zawód: woźny w szkole. Crawley będzie musiał wyjaśnić Yazziemu, że w Waszyngtonie ludzie umawiają się na spotkanie. Nie wpadają ot tak, zwłaszcza w niedzielny poranek.

Mężczyźni siedzący po lewicy i prawicy Yazziego tworzyli radę plemienną. Jeden wyglądał jak prawdziwy, żywy Indianin, z ozdobioną paciorkami opaską, długimi zawiązanymi w kok włosami i w aksamitnej indiańskiej koszuli ze srebrnymi guzikami i z turkusowym naszyjnikiem. Dwóch było ubranych w garnitury od JCPenneya. Piąty mężczyzna, podejrzanie biały, miał na sobie szyty na miarę garnitur od Armaniego. Na tego należało uważać.

- Doskonale! - rzekł Crawley. - Miło mi poznać nowego przywódcę ludu Nawahów. Nie wiedziałem, że jest pan w mie-

ście. Gratuluję panu zwycięstwa w wyborach, również wam wszystkim, członkowie rady plemiennej. Witajcie!

- Cieszymy się, że możemy tu być, panie Crawley - powiedział Yazzie cichym, bezosobowym głosem.

- Proszę, mów mi Booker!

Yazzie uniósł głowę, ale nie zwrócił się do niego po imieniu. Cóż, nic dziwnego, pomyślał Crawley, gdy ma się na imię Delbert.

- Czy mogę zaproponować coś do picia? Kawę? Herbatę? Pellegrino?

Wszyscy poprosili o kawę. Crawley nacisnął przycisk, wydał polecenie i kilka minut później zjawił się mężczyzna, pchając przed sobą wózek ze srebrnym dzbankiem do kawy, cukiernicą i kubkami.

Crawley aż się wzdrygnął, patrząc, jak Yazzie wsypuje do swojej kawy jedną po drugiej, w sumie pięć łyżeczek cukru.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność móc pracować z ludem Nawahów - ciągnął Crawley. - Teraz, kiedy Isabella jest nie całkiem gotowa do działania, to z pewnością okazja do świętowania dla nas wszystkich. Ceniemy sobie nasze relacje z ludem Nawahów i nie możemy już doczekać się długiej i owocnej współpracy.

Odchylił się do tyłu, uśmiechając się przyjaźnie i czekał.

- Lud Nawahów dziękuje, panie Crawley.

Siedzący przy stole pokiwali głowami i potaknęli półgłosem.

- Jesteśmy wdzięczni za wszystko, co pan uczynił - ciągnął Yazzie. - Lud Nawahów odczuwa ogromną satysfakcję, mogąc wnieść tak istotny wkład w rozwój amerykańskiej nauki.

Mówił powoli, z rozmysłem, jakby nauczył się tych słów na pamięć, a Crawley poczuł, jakby w jego żołądku pojawiła się nagle mała lodowata gula. Pewnie będą chcieli okroić jego zarobki. Niech no tylko spróbują - nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Brudne pustynne pastuchy.

- Świetnie się pan spisał, umiejscawiając Isabellę na naszej ziemi i negocjując godne warunki z rządem - ciągnął Yazzie, kierując ku niemu spojrzenie zaspanych oczu, ale nie koncentrując na nim wzroku. - Zrobił pan to, co zapowiedział. To coś nowego, jeżeli chodzi o nasze doświadczenie z Waszyngtonem. Dotrzymuje pan słowa.

Co miała na celu ta wizyta?

- Dziękuję, panie przewodniczący, miło mi to słyszeć. To oczywiste, że dotrzymujemy obietnic. Szczerze panu wyznam, że ten projekt wymagał naprawdę ciężkiej pracy. Jeżeli wybaczyacie mi panowie tę drobną prywatę, pozwolę sobie powiedzieć, że był to jeden z najbardziej wymagających i najtrudniejszych projektów lobbystycznych, w jakich miałem okazję uczestniczyć. Ale daliśmy radę, czyż nie? - Crawley się rozpromienił.

- Tak. Mamy nadzieję, że otrzymane honorarium w pełni wynagrodziło pański trud.

- Jeżeli chodzi o ścisłość, projekt ten okazał się droższy, niż się spodziewaliśmy. Mój księgowy przez ostatnie tygodnie był w paskudnym nastroju. Nie co dzień jednak możemy dopomóc amerykańskiej nauce, zyskując przez to nowe miejsce pracy i okazję rozwoju dla Nawahów.

- Co sprowadza mnie do powodu naszej wizyty.

Crawley upił łyk kawy.

- Wspaniale. Chciałbym o tym usłyszeć.

- Teraz, kiedy prace zostały zakończone i Isabella już działa, nie widzimy potrzeby dalszego korzystania z pańskich usług. Kiedy nasza umowa z Crawley i Stratham wygaśnie z końcem października, już jej nie przedłużymy.

Yazzie powiedział to z takim tupetem i bezczelnością, że Crawley potrzebował dłuższej chwili, aby przyjąć ten cios, wciąż jednak uśmiechał się szeroko.

- No cóż - powiedział. - Przykro mi to słyszeć. Chodzi o to, że zrobiliśmy coś nie tak, czy że czegoś nie zrobiliśmy?

- Nie, tak jak powiedziałem: projekt został ukończony. Za czym teraz można lobbować?

Crawley wziął głęboki oddech i odstawił kubek.

- Nie dziwię się, że tak pan uważa. W końcu Window Rock jest daleko od Waszyngtonu. - Wychylił się do przodu i zniżył głos do szeptu. - Coś panu powiem, panie przewodniczący. W tym mieście nic nigdy nie zostaje zakończone. Isabella jeszcze nie funkcjonuje tak, jak powinna, a jak mówi stare porzekadło z K Street, jak coś może się nie udać, to się nie uda. Nasi i wasi wrogowie nie złożyli broni. W Kongresie jest wielu takich, którzy chętnie skreśliliby ten projekt. Tak to już jest w Waszyngtonie - nigdy nie wybaczasz, nigdy nie zapominasz. Jutro może uda się im przegłosować ustawę, która ukróci fundusze na rzecz Isabelli. Mogą próbować renegecować umowę najmu gruntów. Potrzebuje pan przyjaciela w Waszyngtonie, panie Yazzie. I to ja nim jestem. Ja, człowiek, który dotrzymuje słowa. Jeżeli zechce pan czekać, aż złe wieści dotrą do Window Rock, będzie już za późno.

Obserwował ich twarze, ale nie wyczytał z nich żadnej reakcji.

- Zalecałbym, aby przedłużył pan kontrakt co najmniej na pół roku jako zabezpieczenie.

Ten Yazzie był nieodgadniony jak cholerny Chińczyk. Crawley żałował, że nie mógł dalej pracować z poprzednim przewodniczącym, facetem, który lubił krwiste steki, wytrawne martini i mocno uszmkowane kobiety. Gdyby tylko nie przyłapano go, jak podbierał pieniądze z plemiennej kasy.

Yazzie w końcu się odezwał:

- Mamy wiele pilnych potrzeb, panie Crawley. Szkoły, miejsca pracy, szpitale i ośrodki rekreacji dla naszej młodzieży. Tylko sześć procent naszych dróg jest brukowanych.

uśmiechnął się jak do zdjęcia. Niewdzięczne sukin-Y)0
końca świata będą zgarniać po sześć milionów rocznie, a on nie
dostanie z tego ani centa. Ale mimo wszystko nie skła-, _ 10
lobbingowe zadanie od początku do końca było prawdziwą
się nie udało to, co może się nie udać - ciągnął po-
Inym- znu^{znu}dzonym tonem Yazzie - nie omieszkamy ponownie
skorzyst^z pańskich usług.

p^{nie} Yazzie, jesteśmy małą firmą lobbingową. Tworzę ją tylko
ja' m^oJ P^{artner}. Nie przyjmujemy wielu klientów, a mamy długą
list^o oczekujących. Jeżeli zrezygnuje pan z naszych usług, na
m^{iej}scie natychmiast wejdzie ktoś inny. A gdyby coś się jednak
vⁱ\& i^{XZ}fⁱo * znow^{znow} zechciał pan skorzystać z naszych usług...?
podejmiemy to ryzyko - rzekł Yazzie oschłym tonem, który
rozdf^lZⁿⁱⁱ Cr^{awleya} do żywego.

Zalecałbym... prawdę mówiąc, naprawdę szczerze panu
radzę p^fe^uz^{enie} umowy o kolejne pół roku. Moglibyśmy nawet
pr^o yć W^o P^oł^{owe}. obecnej stawki. Ale dzięki temu wciąż
poz^ostaw^o alby pan w grze.

p^{rz}yvvódca plemienny spoglądał na niego niewzruszenie.

^trzymał pan sowite honorarium. Piętnaście milionów do-
larów t^o d^o pieniędzy. Gdy rzuci się okiem na pański bilans
w^odatk^o w^o godzin pracy, nasuwają się pewne pytania. Ale nie
jest to p^rz^e m^oiotem obecnej rozmowy. Odniósł pan sukces i je-
steśmvP^oanu za t^o wdzięczni. Na tym zakończymy. y^a^ie wstał, a za
nim pozostali.

j^oże zechce pan zostać na lunch, panie Yazzie. Ja stawiam,
rzecz i^o s^{na} ^^{rz}y K Street jest cudowna, nowa, francuska restau-
racja L^omc^o k^o3 prowadzi mój stary kumpel z bractwa. Poda-
tam wyborne wytrawne martini i steki *aupoirve*.

ł dotąd Indianina, który odmówiłby darmowego drinka.

- Dziękuję, ale mamy tu w Waszyngtonie sporo do załatwienia i czas nas goni.

Yazzie wyciągnął rękę.

Crawley nie mógł w to uwierzyć. Oni wychodzili - tak po prostu.

Wstał, by pożegnać się z każdym z nich wiotkim uściskiem dłoni. Kiedy wyszli, oparł się plecami o wykonane z różanego drewna drzwi swojego gabinetu. W jego trzewiach płonął gniew. Bez żadnego ostrzeżenia, listu, telefonu, nie umówili się nawet na spotkanie. Po prostu przyszli, wylali go i poszli, kompletna porażka. I jeszcze sugerowali, że ich oszukał! Po czterech latach i lobbowaniu na sumę piętnastu milionów dolarów. Załatwił dla nich kurę znoszącą złote jajka, a jak oni mu się za to odwdzięczyli! Oskalpowali go i zostawili na żer ścierwojadom. Nie tak załatwia się sprawy na K Street. Nic z tego. Należy dbać o przyjaciół.

Wyprostował się. Booker Hamlin Crawley nigdy nie pada po pierwszym ciosie. Zawsze był gotów oddać cios i już teraz w jego umyśle zaczął kielkować pomysł, jak to zrobić. Wszedł do wewnętrznego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i wyjął telefon z dolnej szuflady biurka. To był stacjonarny telefon zarejestrowany na nazwisko starej wariatki z domu opieki za rogiem, a rachunki za telefon regulowane były z jej karty kredytowej, o której nie miała pojęcia. Rzadko z niej korzystał. Wcisnął pierwszą cyfrę, po czym zawahał się przez chwilę, gdy powróciły wspomnienia, przeblysł tego, po co przyjechał do Waszyngtonu jako młodzieniec przepełniony mnóstwem ideałów i nadziei. Poczul nieprzyjemny ucisk w żołądku. Zaraz jednak gniew znów się w nim rozpałił. Nie mógł się poddać jednemu, co w Waszyngtonie uznawano za niewybaczalne: słabości. Wstukał numer.

- Czy mogę mówić z wielbnym Donem T. Spatesem?

Rozmowa była krótka, miła i w samą porę. Gdy ją zakończył, poczuł ogarniającą go falę triumfu wywołanego podziwem dla własnego geniuszu. Przed upływem miesiąca te jeżdzące na oklep dzikusy wrócą do jego biura i będą błagać, by ponownie zechciał zająć się ich interesami - za podwójną stawkę. Jego mięsiste wilgotne wargi rozchyliły się w uśmiechu przepelnionym rozkoszą wyczekiwania.

Wyman Ford wyjrzał przez okno cessny citation, gdy zatoczyła łuk nad górami Lukachukai i skierowała się ku Red Mesie. To była olśniewająca formacja, prawdziwa wyspa na niebie otoczona zewsząd pionowymi klifami przedzielonego na brązowe, żółte i czerwone warstwy piaskowca. Kiedy tak patrzył, promienie słońca przesączyły się przez szczelinę między chmurami i dosięgły płaskowyżu, rozjaśniając go jak żywym ogniem. To miejsce wyglądało jak świat zaginiony.

W miarę jak się zbliżali, ukazywało się coraz więcej szczegółów. Ford dostrzegł pasy startowe przecinające się jak dwie długie wstęgi czarnego plastra oraz rząd hangarów i lądowisko dla śmigłowców. Trzy ciągi masywnych, wysokich na trzydzieści pięter wież wysokiego napięcia biegły z północy na zachód, zbiegając się na skraju płaskowyżu, gdzie znajdował się obszar zamknięty, strzeżony przez podwójną wysoką siatkę. Dwa kilometry dalej, w dolinie topoli stało skupisko domów, opodal zaś rozciągały się zielone pola i budowla z bali, stary punkt handlowy Nakai Rock. Płaskowyż z zachodu na wschód przecinała nowa asfaltowa droga.

Ford powiódł wzrokiem w dół klifów. Jakieś sto metrów niżej w ścianie płaskowyżu widać było szeroki prostokątny otwór z wpuszczonymi w skałę metalowymi drzwiami. W miarę jak samolot obniżał lot, Ford widział już tylko drogę pnącą się na płaskowyż i ciągnącą się w górę klifu niczym wąż przyczepiony do pnia drzewa. Dugway.

Cessna zaczęła podchodzić do lądowania. Powierzchnia Red Mesy okazała się poorana suchymi korytami dawnych rzek, dolinami

i polami, na których spoczywały masywne głazy. Oprócz rosnących z rzadka krzewów jałowca widać było szare szkielety sosen, splechotki tymotki i bylicy oraz otoczone przez wydmy skały tektoniczne.

Cessna wylądowała na pasie i podkołowała do terminala znajdującego się w baraku z blachy falistej. Za nim stało kilka innych baraków lśniących w promieniach słońca. Pilot energicznie otworzył drzwiczki. Ford zaopatrzony tylko w aktówkę Lockwooda zszedł na rozgrzany asfalt. Nikt go nie powitał.

Pilot, pożegnawszy się machnięciem ręki, wrócił do kokpitu i po chwili małej samolot znów wzbił się w powietrze; błyszcząca aluminiowa maszyna rozpląwała się coraz bardziej na tle turkusowego nieba.

Ford patrzył, jak samolot znika w oddali, po czym ruszył w stronę terminala.

Przy drzwiach wisiała drewniana tablica, a ręcznie malowane litery w stylu Dzikiego Zachodu układały się w napis:

WSTĘP WZBRONIONY

DO INTRUZÓW STRZELAMY

BEZ OSTRZEŻENIA TO

DOTYCZY TAKŻE CIEBIE, KOLEGO

6. HRZELIUS, SZERYF

Pchnął palcem tablicę i zakołysała się lekko ze skrzypieniem. Obok, na metalowych słupkach wpuszczonych w beton, postawiono jasnoniebieską tablicę informacyjną o tej samej treści, tyle że w bardziej oficjalnej formule. Wiatr hulał po pasie startowym, przetaczając po asfalcie tumany piasku.

Nacisnął klamkę przy drzwiach wejściowych. Były zamknięte na klucz.

Ford cofnął się i rozejrzał dokoła. Odniósł wrażenie, jakby przeniósł się do filmu, a konkretnie do jednej z pierwszych scen klasycznego westernu *Dobry, zły i brzydki*.

Skrzypienie kołyszającej się tablicy i zawrodozenie wiatru przywiodło wspomnienia tej chwili, kiedy każdego dnia po powrocie ze szkoły zdejmował klucz, który nosił na szyi, i otwierał frontowe drzwi rodzinnej rezydencji w Waszyngtonie, by stanąć samotnie w holu olbrzymiej, wypełnionej echem budowli.

Jego matka zawsze wychodziła na jakieś rauty lub imprezy charytatywne, a ojciec stale wyjeżdżał w sprawach służbowych na zlecenie rządu.

Odgłos nadjeżdżającego pojazdu przywrócił go do rzeczywistości. Jeep wrangler pokonał wzniesienie, zniknął za terminalem i znów się pojawił, wyjeżdżając na pas startowy. Samochód zakręcił z piskiem opon, po czym zatrzymał się tuż przed nim. Z terenówki wyskoczył mężczyzna, uśmiechając się szeroko i wyciągając rękę na powitanie. Gregory North Hazelius. Wyglądał jak na zdjęciach z dossier, rozentuzjarmowany i pełen energii.

- *Ydateeh shi ei*, Gregory! - rzekł, ściskając dłoń Forda.
- *Ydateeh* - odpowiedział Ford. - Tylko proszę mi nie mówić, że zna pan język nawaho.
- Zaledwie kilka słów, których nauczyłem się od jednego z moich studentów. Witam.

Z akt na temat Hazeliusa, które Ford przejrzał pobieżnie, wynikało, że tamten biegle mówi w dwunastu językach, w tym perskim, dwoma dialektami chińskimi oraz suahili. Nie było tam wzmianki o języku nawaho.

Mierzący metr dziewięćdziesiąt Ford zwykle musiał opuszczać wzrok, by spojrzeć komuś w oczy. Tym razem zniżył wzrok

jeszcze bardziej. Hazelius miał metr sześćdziesiąt trzy wzrostu i nosił się ze swobodną elegancją, ubrany w starannie odprasowane płócienne spodnie, kremową jedwabną koszulę i indiańskie mokasyny. Oczy miał tak niebieskie, że wyglądały jak odłamki podświetlonego od drugiej strony barwnego szkła. Orli nos podkreślał wysokie gładkie czoło i faliste, brązowe, starannie zaczesane włosy. Choć nikczemnego wzrostu, wręcz emanował energią.

- Nie spodziewałem się ujrzeć szefa we własnej osobie.

Hazelius się zaśmiał.

- Wszyscy pełniemy podwójne funkcje. Ja jestem miejscowym szoferem. Zapraszam do auta.

Ford umościł się na fotelu pasażera, podczas gdy Hazelius z iście ptasią gracją zajął miejsce za kierownicą.

- Ponieważ prowadzimy prace nad uruchomieniem Isabelli, nie chciałem mieć tu w pobliżu zbędnego personelu pomocniczego. Poza tym - Hazelius odwrócił się do niego z promiennym uśmiechem - chciałem poznać pana osobiście. Jest pan naszym Jonaszem.

- Jonaszem?

- Było nas dwanaścioro. Teraz jest trzynaścioro. Przez pana możemy być zmuszeni posłać kogoś, by przespacerował się po desce - zachichotał.

- Jesteście bardzo przesądni.

- I to jak! Nigdzie się nie ruszam bez swojej króliczej łapki. - Wyjął z kieszeni stary, prawie całkiem bezwłosy i ogólnie dość paskudny amulet. - Dostałem go od ojca, gdy miałem sześć lat.

- Urocze.

Hazelius wdusił stopą pedał gazu i jeep wyskoczył do przodu, a Forda aż wcisnęło w fotel. Wrangler przemknął po pasie i z pi-

skiem opon wjechał na świeżo wybudowaną asfaltową drogę biegnącą pośród jałowców.

- Tu jest jak na letnim obozie, Wyman. Wszyscy wykonuje my swoją pracę - pichcimy, sprzątamy, siadamy za kółko. Mówisz i masz. Jest z nami specjalistka od teorii strun, która robi najgorszą na świecie połówkę z grilla, psycholog, który pomógł nam założyć wyborną piwniczkę z winem, i wiele innych wszechstronnie utalentowanych osób.

Ford zacisnął dłoń na uchwycie, gdy jeep z piskiem opon wszedł w zakręt.

- Zdenerwowany?
- Proszę mnie obudzić, gdy będziemy na miejscu.

Hazelius się zaśmiał.

- Nie mogę oprzeć się pokusie na tych pustych drogach. Żadnych glin i ograniczeń prędkości w promieniu wielu kilometrów. A co powiesz o sobie, Wyman? Jakie ty masz talenty?

- Jestem zabójczy, jeżeli chodzi o zmywanie naczyń.
- Doskonale
- Umiem rąbać drwa na opał.
- Cudownie!

Hazelius prowadził jak szalony, jadąc jak po sznurku z maksymalną szybkością i nie zwracając w ogóle uwagi na pas pośrodku drogi.

- Przepraszam, że nie mogłem cię powitać od razu, kiedy wylądowałeś. Akurat skończyliśmy kolejny test Isabelli. Czy zgodzisz się, że bym cię oprowadził po naszej placówce?

- Z przyjemnością.

Jeep na pełnym gazie pokonał wzniesienie. Ford przez moment poczuł się jak w stanie nieważkości.

- Nakai Rock - rzekł Hazelius, wskazując na kamienną iglicę, którą Ford zobaczył jeszcze z samolotu. - To od tej skały

wziął swoją nazwę dawny skład, miejscowy punkt handlowy. Naszą osadę też nazywamy Nakai Rock. Nakai - co to znaczy? Zawsze chciałem wiedzieć.

- W języku nawaho to słowo oznacza „Meksykanin”.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę, że tak szybko do nas dotarłeś.

Niestety nie mamy obecnie dobrych stosunków z miejscową ludnością. Lockwood wyrażał się o tobie w samych superlatywach.

Droga opadała szerokim łukiem w głąb osłoniętej kotliny porośniętej gęsto topolami i otoczonej przez skały z czerwonego piaskowca. Na obrzeżach owego łuku stało tuzin, a może więcej domów z imitacji cegły suszonej na słońcu, rozmieszczonych gustomiennie pomiędzy topolami, przed każdym z domów rozciągał się trawnik wielkości znaczka pocztowego otoczony białym drewnianym płotem. Szmaragdowe boisko do gry pośrodku pętli wyznaczonej przez drogę stanowiło wyraźny kontrast dla wznoszących się wokół skał. Na drugim końcu doliny tkwił niczym pośepny sędzia wysoki, samotny, złowrogi głaz.

- Ostatecznie zbudujemy tu osiedle dla ponad dwustu rodzin. To będzie takie małe miasteczko dla odwiedzających nas naukowców i ich rodzin oraz personelu pomocniczego.

Jeep minął domki i wszedł w szeroki zakręt.

- Kort tenisowy. - Hazelius wskazał ręką w lewo. - Stajnia z trzema końmi.

Dotarli do uroczej budowli z bali spojonych gliną i ocienionej przez korony rozłożystych topoli.

- Stary skład, punkt handlowy przerobiony na jadalnię, kuchnię i salę rekreacyjną. Ping-pong, bilard, piłkarzyki, filmy, biblioteka, kantyna.

- Skąd w takim miejscu punkt handlowy?

- Zanim kompania węglowa usunęła ich z tych terenów, Nawahowie wypasali na Red Mesie owce. W tym składzie wymie-

niali utkane z owczej wełny pledy na żywność i zapasy. Pledy z Nakai Rock są mniej znane niż te z Two Grey Hills, ale są równie dobre, a może nawet lepsze. - Odwrócił się do Forda. - Gdzie prowadziłeś badania terenowe?

- W Ramah, w Nowym Meksyku. - Ford nie dodał, że tylko przez lato i że był wtedy jeszcze studentem.

- Ramah. Czy to nie tam antropolog Clyde Kluckhohn prowadził badania do swojej słynnej książki *Magia Nawahów*?

Głębia wiedzy Hazeliusa zaskoczyła Forda.

- Zgadza się.

- Mówisz płynnie w języku nawaho? - spytał Hazelius.

- Na tyle, by móc napytać sobie biedy. Nawaho to chyba najtrudniejszy język na świecie.

- I dlatego zawsze mnie interesował. Pomógł nam wygrać drugą wojnę światową.

Jeep ostro zahamował przed niewielką zgrabną *casita* z małym płotem otaczającym splachetek sztucznego zielonego trawnika, gankiem, stołem piknikowym i grillem.

- Rezydencja Forda - rzekł Hazelius.

- Urocza.

W gruncie rzeczy to miejsce nie miało w sobie za grosz uroku. Wyglądało jak nieudolna imitacja stylu odrodzonego puebla i prezentowało się dość przaśnie. Ale otoczenie było cudowne.

- Rządowe ośrodki są wszędzie takie same - rzekł Hazelius.

- Śmiem twierdzić jednak, że będzie ci tu wygodnie.

- Gdzie są wszyscy?

- Na dole, w bunkrze. Tak nazywamy podziemny kompleks, gdzie znajduje się Isabella. A nawiasem mówiąc, gdzie twoje bagaże?

- Dowiozą je jutro.

- Musiało im bardzo zależeć, żebyś tu dotarł jak najszybciej.

- Nie dali mi nawet czasu, żebym zabrał swoją szczoteczkę do zębów.

Hazelius uruchomił jeepa i pokonał ostatni zakręt pętli z zapierającą dech prędkością. Następnie zatrzymał wóz, włączył napęd na cztery koła i zjechał z asfaltowej szosy na nierówny teren przecięty dwiema płytkimi koleinami.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

Terenówka kołysała się, pokonując koleiny i obijając o głazy, przedzierając się przez ten dziwny poskręcany las jałowców i zeschłych sosen. Przejechali w ten sposób dobrych parę kilometrów. W oddali przed nimi zamajaczyła długa stromizna stoku z czerwonego piaskowca.

Jeep stanął, a Hazelius wyskoczył na zewnątrz.

- To tutaj.

Z narastającym zaciekawieniem Ford podążył za nim, wspiął się po zboczku na szczyt tego osobliwego urwiska. Tam też czekała go spora niespodzianka: nagle znalazł się na skraju Red Mesy, ściany urwiska opadały ponad sześćset metrów w dół. Nic nie wskazywało na to, że zbliżali się do krawędzi płaskowyżu, nie było żadnych ostrzeżeń, iż niedaleko znajduje się niebezpieczna przepaść.

- Pięknie, co? - rzucił Hazelius.

- Straszne. Możesz zjechać z urwiska i ani się obejrzysz, jak będziesz na dole.

- Prawdę mówiąc, krąży tu legenda o kowboju Nawaho, który ścigał konno uciekającego mustanga i runął w dół. Powiadają, że w pewne ciemne, burzliwe noce jego *chindii*, duch, wciąż na wiedza tę okolicę.

Widok zapierał dech. Poniżej przed nimi rozpościerał się prawdziwy pejzaż, wzniesienia i kamienne słupy barwy krwi, osmaga-



ne wiatrem i osobiwie ukształtowane. Jeszcze dalej rozciągały się kolejne pasma gór i warstwy płaskowyżu. Tak mogła wyglądać granica dzieła stworzenia, kiedy Bóg w końcu zrezygnował po nieudanych próbach zaprowadzenia w tej niepokornej krainie jako takiego porządku.

- Ta wielka wysepka w oddali - rzekł Hazelius - to No Mans Mesa, ma piętnaście kilometrów długości i ponad półtora kilometra szerokości. Mówi się, że istnieje sekretna droga wiedząca na jej szczyt, której dotąd nie odkrył żaden biały. Po lewej mamy Piute Mesa. Przed nami wznosi się Shonto Mesa. Jeszcze dalej są zakola rzeki San Juan, Cedar Mesa, Niedźwiedzie Uszy i góry Manti-La Sal.

Para kruków wzbija się w powietrze na prądach wznoszących, po czym lekko opadła i poszybowała w dół, by zniknąć w ciemnościach. Krakanie odbiło się echem pośród ścian wąwozu.

- Do Red Mesy można dotrzeć tylko na dwa sposoby - przez Dugway, który mamy za sobą, i szlakiem, który zaczyna się kilka kilometrów stąd. Nawahowie nazywają go Nocnym Przejściem, kończy się w Blackhorse, niewielkiej osadzie poniżej.

Gdy się odwrócili, by odejść, Ford zauważył jakieś ślady na powierzchni ogromnego głazu rozszczerzonego aż do skały macierzystej.

Hazelius podążył za jego spojrzeniem.

- Zauważyłeś coś?

Ford podszedł i położył dłoń na nierównej powierzchni.

- Niewielkie skamieliny. Ślady kropel deszczu... i jakiegoś owada.

- Proszę, proszę - rzekł cicho naukowiec - wszyscy byli tu, by móc podziwiać ten widok, ale tylko ty zwróciłeś na to uwagę. Poza mną, ma się rozumieć. To ślady kropel deszczu pozostawione w kamieniu, ślady ulewy z epoki dinozaurów. A potem, po

deszczu, jakiś owad, zapewne żuk, przeszedł po mokrym piasku. W jakiś sposób, choć to może wydawać się niewiarygodne, ten lotny moment w historii został zapisany w formie skamieliny. Hazelius dotknął skały z iście nabożną czcią.

- Nic, co my, ludzie, stworzyliśmy na tej ziemi, żadne z naszych wielkich dzieł, Mona Liza, katedra w Chartres ani nawet egipskie piramidy, nie przetrwa tak długo jak ślad tego owada po zostawiony na mokrym piasku.

Ta myśl w dziwny sposób poruszyła Forda. Hazelius przesunął palcem po śladzie pozostawionym przez owada i wyprostował się.

- Cóż - powiedział, zaciskając dłoń na ramieniu Forda i energicznie nim potrząsając. - Wszystko wskazuje na to, że się zaprzyjaźnimy.

Ford przypomniał sobie ostrzeżenia Lockwooda. Hazelius odwrócił się w kierunku południowym, wskazując ręką ponad szczytem płaskowyżu.

- W paleozoiku rozciągały się tu rozległe bagna. Dzięki nim mieliśmy jedno z najbogatszych złóż węgla w Ameryce. Złóża te wyczerpały się w latach pięćdziesiątych. Stare sztolnie okazały się idealne, by ulokować tu Isabellę.

Promienie słońca rozjaśniły niemal całkiem gładkie, pozba- wione zmarszczek oblicze Hazeliusa, gdy odwrócił się i uśmiech- nął do Forda.

- Nie mogliśmy znaleźć lepszego miejsca, odciętego od świa- ta, niezamieszkanego, gdzie możemy w spokoju robić swoje. Dla mnie jednak najważniejszym atutem było piękno tego krajobrazu, ponieważ piękno i tajemnica odgrywają w fizyce role zasadnicze. Jak powiedział Einstein: „Najpiękniejsze rzeczy, jakich doświad- czamy, z reguły są tajemnicze. One właśnie są źródłem całej prawdziwej nauki”.

Ford patrzył, jak słońce powoli znika w czeluściach wąwo-

zów na zachodzie, a roztopione złoto przybiera odcień płynnej
miedzi.

- Gotowy, by zejść pod ziemię - spytał Hazelius.
?

Jeep, kołysząc się, wjechał na szosę. Ford złapał się uchwyty pod-sufitowego, usiłując sprawić wrażenie rozluźnionego, gdy Hazelius przyspieszył, mijając pas startowy i na prostej rozpedził wóz do stu dwudziestu na godzinę.

- Widzisz gdzieś drogówkę? - spytał z uśmiechem Hazelius.

Półtora kilometra dalej szosę blokowała podwójna brama osadzona w dwóch biegnących równolegle ogrodzeniach z siatki zwieńczonej harmonijkowym drutem ciągnących się wzdłuż kra-wędzi płaskowyzu. Hazelius zahamował w ostatniej chwili z pi-skiem opon.

- Wszystko, co w środku, to strefa chroniona - rzekł.

Wprowadził kod na klawiaturze umieszczonej na słupku. Rozległ się sygnał i brama zaczęła się otwierać. Hazelius wjechał do środka i zaparkował jeepa obok szeregu innych aut.

- Winda - powiedział, wskazując na wysoką wieżę wznoszą-cą się na skraju klifu, najeżoną antenami i talerzami satelitarnymi.

Podeszli w tę stronę, a Hazelius przeciągnął kartę przez szcze-linę czytnika przy metalowych drzwiach, po czym położył dłoń na panelu elektronicznym. Po chwili zmysłowy kobiecy głos po-wiedział:

- Witaj, złotko. Kim jest ten przystojniak, który ci towarzyszy?

- To Wyman Ford.

- Chcę poczuć twój dotyk, Wyman.

Hazelius się uśmiechnął.

- Chce przez to powiedzieć, żebyś położył dłoń na czytniku. Ford przyłożył dłoń do ciepłego szkła. Pasek światła przesu-
nął się w górę i w dół.

- Zaczekaj chwilę, muszę to sprawdzić u szefa.

Hazelius zachichotał.

- Podoba ci się nasz mały interfejs bezpieczeństwa?
- Jest inny.

- To Isabella. Większość komputerowych głosów przypomina HAL-a i dla mnie jest za bardzo sztywna, teatralna. Typowy biały głos. - Zaczął naśladować angielski akcent: - „Proszę o uwagę, pragnę nadmienić, że w menu nastąpiły pewne zmiany”. Isabella natomiast ma prawdziwy głos. Zaprogramował go nasz inżynier, Ken Dolby. O ile dobrze pamiętam, głosu użyczyła mu jakaś rapowa piosenkarka.

- Kim jest prawdziwa Isabella?
- Nie wiem. Ken jest w tym względzie dość tajemniczy.

Słodki jak miód głos znów się odezwał:

- Szef mówi, że jesteś wporzo. Teraz już znajdujesz się w systemie, więc postaraj się nie wpakować w żadne kłopoty.

Metalowe drzwi otworzyły się z sykiem, ukazując kabinę windy, której szyb ciągnął się w dół zbocza góry. Gdy zjeżdżali, przez niewielkie okrągłe okienko mogli podziwiać zapierający dech widok. Kiedy winda się zatrzymała, Isabella ostrzegła ich, by uważali, gdzie stawiają stopy.

Znaleźli się na przestronnej zewnętrznej platformie wyciętej w zboczu góry, przed wielkimi drzwiami z tytanu, które Ford zobaczył jeszcze z powietrza. Musiały mieć z sześć metrów szerokości i co najmniej dwanaście wysokości.

- To baza operacyjna. Stąd też jest piękny widok, prawda?
- Powinniście zbudować tu ośrodek domków jednorodzinnych.

- Znajdowało się tu wejście do sztolni, gdzie eksploatowano olbrzymie złoża węgla kamiennego. Z tego wyrobiska wydobyto prawie pięćdziesiąt milionów ton węgla, po których zostały

naprawdę ogromne pieczary. P^{la} nas^{te} kolnie były wręcz idealne do zagospodarowania. Myliśmy zejść z Isabellą jak najdalej pod ziemię, by ochronić li[#]ść przed promieniowaniem, kiedy Isabellą pracuje na wysoki* obrotach. - Hazelius podszedł do tytanowych drzwi wpuszczeń w ścianę klifu. - Nazywamy tę fortecę Bunkrem.

- Musisz mi podać swój nTMer. z^lo^tko - rzekła Isabellą.

Hazelius wstukał ciąg cyfr niewielkiej klawiaturze.

Chwilę później głos powiełał-

- Wejdźcie, chłopcy.

Drzwi zaczęły się podnosi

- Po co aż takie zabezpieczenia? - spytał Ford.

- Musimy chronić inwestycję za czterdzieści miliardów dolarów. A poza tym spora część naszego sprzętu i oprogramowania jest ściśle tajna.

Drzwi się otworzyły, ukazuje znajdującą się za nimi rozległą, rozbrzmiewającą głośnym ec&em jaskinię wykutą w kamieniu. Pachniała kurzem i dymem, »^{takze} P^{le}śnią, przez co skojarzyła się Fordowi z piwnicą w do# jego babci. Po upale panującym na pustyni było tu przyjemnie^{chłodno} - Drzwi zaczęły się osuwać z metalowym łaskotem, a Fod zamrugał, by przyzwyczać oczy do lamp sodowych. Jaskinia W^{la} ogromna, wysoka na piętnaście i głęboka na dwieście metro* W oddali, na drugim jej końcu, Ford dostrzegł owalne otwa^f^e drz^{wi}, przez które widać było boczny tunel wypełniony rtfTM z nierdzewnej stali, przewodami oraz pękami kabli. Przez lTM sączyła się gęsta mgiełka kondensacji, która rozpyłała sifleniowie tuż nad podłożem jaskini. Po lewej, przy kolejnym otw«^f w skale, wzniesiono ścianę z gazobetonu z wprawionymi* TM'ą stalowymi drzwiami. Na drzwiach widniał napis „M<#k". Pod przeciwległą ścianą jaskini zgromadzono stos stałość zbiorników, belek wsporniko-
ni

wych i innych materiałów, które pozostały z budowy, włącznie z ciężkim sprzętem i sześcioma wózkami golfowymi. Hazelius ujął go za ramię.

- Na wprost nas znajduje się owalne wejście do samej Isabeli. Te opary pochodzą z nadprzewodników. Magnesy muszą być chłodzone płynnym helem w temperaturze zbliżonej do zera absolutnego, aby mogły spełniać swoją funkcję. Ten tunel biegnie w głąb płaskowyżu, tworząc torus o średnicy dwudziestu czterech kilometrów, gdzie wprowadzamy w ruch dwie wiązki cząstek. Tutaj środkiem transportu są elektryczne wózki golfowe. A teraz chodźmy, żebyś mógł poznać cały zespół.

Gdy przechodzili przez jaskinię, a w rozległej przestrzeni jak we wnętrzu gotyckiej katedry rozbrzmiewało echo ich kroków, Ford zapytał jakby mimochodem:

- A jak w ogóle wam idzie?
- Jak po grudzie - odparł Hazelius. - Napotykamy coraz to nowe problemy.
- Na przykład jakie?
- Tym razem z oprogramowaniem.

Podeszli do drzwi z napisem „Mostek”. Hazelius otworzył je przed Fordem, ukazując korytarz z gazobetonu pomalowany na brudnozielono i rozjaśniony blaskiem świetlówek wiszących pod sufitem.

- Drugie drzwi po prawej. Zapraszam do środka.

Ford wszedł do kolistego, jasno oświetlonego pomieszczenia. Olbrzymie płaskie ekrany monitorów komputerowych ciągnących się wzdłuż ścian sprawiały, że to miejsce wyglądało jak mostek statku kosmicznego, za którego bulajami rozpościerała się czerń kosmicznej pustki. Ekrany nie były włączone, a gwiazdny wygaszacz na każdym z nich sprawiał, że skojarzenie ze statkiem kosmicznym wydawało się nieodparte. Pod ekranami umieszczono

potężne panele kontrolne, konsole i stanowiska operacyjne. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się wydzielone centrum dowodzenia, gdzie stał retrofuturystyczny obrotowy fotel. Większość naukowców przerwała swoje czynności, by spojrzeć z zaciekawieniem na Forda. Uderzyło go, jak bardzo wydawali się zaniedbani; wrażenie to potęgowały ich pobladłe oblicza i pomięte ubrania. Wyglądali gorzej niż grupa studentów przed najważniejszym egzaminem w sesji. Instynktownie zaczął wypatrywać Kate Mercer, zaraz jednak zgañił się za to.

- Wygląda znajomo? - spytał Hazelius z uśmiechem rozbiawienia.

Ford rozejrzał się dokoła zaskoczony. To miejsce faktycznie wyglądało znajomo i nagle uświadomił sobie dlaczego.

- Śmiało zmierzać tam, gdzie nie dotarł żaden człowiek - powiedział.

Hazelius zaśmiał się szczerze.

- Dokładnie tak! To replika mostka statku kosmicznego Enterprise ze *Star Treka*. Ten projekt okazał się idealny dla pomieszczenia kontrolnego akceleratora cząstek.

Wrażenie, że to miejsce było mostkiem USS Enterprise, po części psuł koszt na śmieci, z którego wysypywały się puszki po napojach i pudełka po mrożonej pizzy. Na podłodze wały się papiery i opakowania po batonach, a pod jedną ze ścian leżała nietknięta butelka veuve clicquot.

- Przepraszamy za ten bałagan. Właśnie przeprowadzamy kolejny test. Jest tu tylko połowa zespołu, resztę poznasz przy kolacji.

Hazelius odwrócił się do grupy.

- Panie i panowie, pozwólcie, że przedstawię wam nowego członka naszego zespołu, Wymana Forda, antropologa. Poprosiłem o niego, by pełnił funkcję łącznika z miejscową ludnością.

Skinięcie głową, ciche powitania, ulotne uśmiechy - jego obecność stanowiła dla nich jedynie pretekst do chwilowego oderwania się od wykonywanych obowiązków. I to mu jak najbardziej pasowało.

- Dokonam teraz tylko krótkiej prezentacji kolejnych członków naszej ekipy. Będziemy mogli poznać się lepiej przy kolacji.

Grupa czekała ze znużeniem.

- Tony Wardlaw, nasz szef ochrony. Jego zadaniem jest pilnować, byśmy nie wpakowali się w żadne kłopoty.

Mężczyzna masywny jak dąb postąpił krok naprzód.

- Miło mi cię poznać.

Miał włosy ostrzyżone na zapałkę jak piechociarz, a do tego typowo wojskową postawę, poważną minę i twarz aż szarą ze zmęczenia. Zgodnie z przewidywaniem Forda tamten ścisnął mu rękę, jakby chciał ją zmiażdżyć. Odpowiedział tym samym.

- George Innes, nasz psycholog. Prowadzi cotygodniowe sesje dyskusyjne i pomaga nam pozostać przy zdrowych zmysłach. Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby nie on.

Kilka wymienionych pospiesznie spojrzeń i reakcje w rodzaju wymownego przewracania oczami pozwoliły Fordowi domyślić się, co sądzili pozostali o zbawiennym wpływie Innesa. Jego uścisk dłoni był chłodny i profesjonalny, trwał dokładnie tyle, ile powinien, i był odpowiednio stanowczy. Psycholog wyglądał nie-nagannie, ubrany w starannie odprasowane płócienne spodnie od L.L. Beana i kraciastą koszulę. Wysportowany i zadbany, wyglądał jak ktoś, kto uważa, że wszyscy inni mają problemy, tylko nie on sam.

- Miło cię poznać, Wyman - rzekł, spoglądając ponad krawędź szylkretowych oprawek okularów. - Zapewne czujesz się teraz jak nowy uczeń, który przyszedł do szkoły w połowie semestru.

- Owszem, tak.
- Gdybyś chciał o tym porozmawiać, zapraszam.
- Dziękuję.

Hazelius popchnął go w stronę wyjątkowo mizernie wyglądającego mężczyzny po trzydziestce, chudego jak tyka i z długimi, przetłuszczonymi, jasnymi włosami.

- To Peter Wołkoński, nasz spec od oprogramowania. Peter pochodzi z Jekaterynburga w Rosji.

Wołkoński niechętnie oderwał się od konsoli, nad którą się pochylał. Obrzucił Forda spojrzeniem niespokojnych, szalonych oczu. Nie podał mu ręki, skinął tylko głową i rzucił:

- Cześć!
- Witaj, Peter.

Wołkoński ponownie odwrócił się do komputera i zaczął stuknąć w klawisze. Jego chude jak u dziecka łopatki wystawały spod podartego podkoszulka.

- A to Ken Dolby, nasz główny inżynier i projektant Isabeli. Kiedyś w Smithsonian stanie jego pomnik.

Dolby podszedł do nich - wysoki, potężny, przyjazny Afroamerykanin mający jakieś trzydzieści dziewięć lat i swobodę oraz pewność siebie kalifornijskiego surfera. Ford z miejsca go polubił; facet wydawał się rzeczowy i konkretny. Ale on także sprawiał wrażenie przemęczonego i miał przekrwione oczy. Wyciągnął rękę.

- Witaj - powiedział. - Miejmy nadzieję, że nie masz nam za złe, że nie jesteśmy w szczytowej formie. Niektórzy z nas nie zmrużyli oka od trzydziestu sześciu godzin.

Przeszli dalej.

- A to Alan Edelstein - ciągnął Hazelius - nasz matematyk. Mężczyzna, którego Ford prawie nie zauważył, siedzący z dala od reszty, uniósł wzrok znad książki, którą czytał: *Finnegans*

Wake Joycea. Uniósł jeden palec na powitanie i przez chwilę świdrował Forda wzrokiem. Jego wygięte w łuk brwi sugerowały, że traktował świat z pełnym rozbawienia lekceważeniem.

- Jak lektura? - spytał Ford.

- Nie można się oderwać.

- Alan jest raczej małowówny - rzekł Hazelius. - Ale z wielką elokwencją posługuje się językiem matematyki. Że nie wspomnę o jego umiejętnościach zaklinacza węży.

Edelstein przyjął ten komplement prawie niedostrzegalnym uniesieniem głowy.

- Zaklinacza węży?

- Alan ma dość kontrowersyjne hobby.

- Hoduje grzechotniki - wtrącił Innes. - To jego ulubione zwierzątko. I wygląda na to, że ma do nich podejście.

Powiedział to w formie anegdoty, ale Ford wyczuł w jego głosie niepokojące napięcie.

Nie unosząc wzroku znad książki, Edelstein rzekł:

- Węże są ciekawe i pożyteczne. Zjadają szczury, których w tej okolicy mamy dość sporo. - Spojrzał znacząco na Innesa.

- Alan wyświadcza nam podwójną przysługę - rzekł Hazelius. - Te pułapki havahart, które zobaczysz w Bunkrze i na całym terenie naszej placówki, pozwalają nam pozbyć się gryzoni i chronią przed wirusami hanta. Karmi tymi szczurami węże.

- Jak łapiesz grzechotniki? - spytał Ford.

- Ostrożnie - odparł za Edelsteina Innes, ze śmiechem porawiając na nosie okulary.

Ciemne oczy Edelsteina ponownie odnalazły spojrzenie Forda.

- Jeżeli jakiegoś zobaczysz, daj mi znać, wtedy pokażę ci, jak to robię.

- Nie mogę się doczekać.

- Wyśmienicie - rzucił pośpiesznie Hazelius. - A teraz pozwól, że ci przedstawię Rae Chen, naszą inżynier od komputerów.

Azjatka, która wyglądała na nieletnią, zeskoczyła z fotela i wyciągnęła rękę, a jej drugie do pasa czarne włosy zafalowały. Była ubrana jak typowa studentka Uniwersytetu Berkeley. w prosty podkoszulek z pacyfą z przodu i dżinsy połatanie fragmentami brytyjskiej flagi.

- Cieszę się, że mogę cię poznać, Wyman.

W jej czarnych oczach kryła się niezwykła inteligencja i coś, co przywodziło na myśl ostrożność. A może po prostu tak jak reszta wydawała się kompletnie wyczerpana.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Dobra, wracajmy do pracy - rzekła z udawanym entuzjazmem i skinęła głową w stronę monitora.

- To w zasadzie tyle - powiedział Hazelius. - Ale gdzie jest Kate? Wydawało mi się, że prowadziła obliczenia promieniowania Hawkinga.

- Wyszła wcześniej - odparł Innes. - Powiedziała, że chce zacząć przygotowywać kolację.

Hazelius wrócił do swojego fotela i poklepał go z lubością.

- Kiedy Isabella pracuje, spoglądamy na dzieło stworzenia w chwili, gdy się dokonuje. - Zachichotał. - To szczególnie frajda móc siedzieć w fotelu kapitana Kirka i patrzeć, jak śmiało podążamy tam, gdzie nie dotarł żaden człowiek.

Ford przyglądał się, jak tamten osuwa się na fotel i z uśmiechem opiera nogi wyżej, po czym pomyślał, że w tym pomieszczeniu tylko on jeden nie wygląda na śmiertelnie zmęczonego.

W niedzielny wieczór wielebny Don T. Spates usadowił się wygodnie na fotelu do makijażu, tak by nie wyciąć spodni i ręcznie szytej włoskiej bawełnianej koszuli. Poprawił się na siedzeniu przy wtórze cichego skrzypienia uginającej się skóry. Ostrożnie odchylił głowę, opierając ją o zagłówek. Wanda stała z boku, trzymając fryzjerski fartuch.

- Dobrze się mną zajmij, Wando - rzekł, zamykając oczy. - To wielka niedziela. Naprawdę wielka.

- Wielebny będzie wyglądał wspaniale - odparła Wanda, otulając go fartuchem i utykając brzegi wokół jego szyi.

Następnie, pobrzękując butelkami, grzebieniami i szczotkami zabrała się do pracy; szczególną uwagę zwracała na plamy wątrobowe i pajęczce nitki żyłek na policzkach i nosie wielebnego. Była dobra w tym, co robiła, i miała tego świadomość. Niezależnie od tego, *co* sądzili inni, uważała, że wielebny jest miłym, przystojnym mężczyzną.

Jej długie białe palce poruszały się wprawnie, szybko i precyzyjnie, ale uszy wielebnego zawsze stanowiły nie lada wyzwanie. Trochę za bardzo odstawały od czaszki i były bardziej czerwone niż reszta skóry. Czasami, gdy wychodził na scenę, jego uszy w świetle tylnych reflektorów wydawały się różowe jak z kolorowego szkła. Aby nadać im odpowiednią barwę, pokrywała je grubą warstwą podkładu o trzy odcienie ciemniejszą niż jego twarz i pudrem do twarzy, przez co stawały się mniej przezroczyste.

Gdy tak wygładzała, wcierała i oprószała, raz po raz zerkała na efekty swojej pracy na ekranie monitora, gdzie przenoszony był obraz z kamery skierowanej na wielebnego. Było rzeczą

nieodzowną, aby ujrzała swoje dzieło tak, jak będzie ono widoczne na ekranie; efekt, który na pierwszy rzut oka mógł się wydawać idealny, na monitorze mógł się okazać fatalną niedoróbką w dwóch odcieniach. Zajmowała się nim w ten sposób dwa razy w tygodniu, z okazji cotygodniowego telewizyjnego kazania w niedzielę i piątkowego talk-show na chrześcijańskiej kablówce.

Tak, wielbny Don T. Spates był naprawdę miłym człowiekiem.

Czuł się pocieszony i rozpieszczany sposobem, w jaki się nim zajmowała. To nie był dobry rok. Wrogowie dali mu popalić, przekręcając każde jego słowo i atakując bez litości. Każde kazanie zdawało się wywoływać zażartą falę nienawiści ze strony wojującej ateistycznej lewicy. To doprawdy ponury czas, kiedy sługa boży jest atakowany za głoszenie prawdy. Był jeszcze ten niefortunny incydent w motelu z dwiema prostytutkami. Ci bezbożni kłamcy mieli wówczas używanie. Jednakże, o czym Biblia wspomina wielokrotnie, ciało ludzkie jest słabe i grzeszne. W oczach Chrystusa wszyscy jesteśmy niepoprawnymi, błędzącymi grzesznikami. Spates prosił Boga o wybaczenie i otrzymał je. Jednak ten zły, pełen hipokryzji świat wybaczał rzadko albo wcale.

- Czas na zęby, wielbny.

Spates otworzył usta i poczuł, jak jej wprawne dłonie wpuszczają mu do jamy ustnej porcję płynu dentystycznego. W jasnym świetle kamer dzięki temu płynowi jego zęby będą lśnić perłową bielą niczym bramy niebios. Następnie zajęła się jego włosami, starannie układając ryżą sztywną strzechę, aż osiągnęła zadowalający ją efekt. Potraktowała je jeszcze dla pewności lakierem do włosów i pudrem, by uzyskać mniej rażący imbirowy odcień.

- Ręce, wielbny.

Spates wysunął piegowate dłonie spod fartucha i przeniósł je na podkładkę do manikuru. Nałożyła na nie podkład zmniejsza-

jacy przebarwienia i zmarszczki. Jego dłonie musiały mieć identyczny odcień jak twarz. Wiedział, że muszą być dopracowane do perfekcji. Stanowiły przedłużenie jego głosu. Sfuszerowany makijaż mógł zniweczyć siłę przekazu, a zbliżenie kamery na dłonie ujawnić wady niedostrzegalne gołym okiem. Praca nad dłońmi zajęła Wandzie kwadrans. Wyczyściła paznokcie, nałożyła warstwę bezbarwnego lakieru, wyrównała nierówności, wygładziła brzegi paznokci pilniczkiem, usunęła skórki, po czym uzupełniła podkład tam, gdzie należało.

Jeszcze jeden rzut oka na ekran, kilka poprawek i Wanda się cofnęła.

- Gotowe, wielebny.

Odwróciła monitor w jego stronę.

Spates przyjrzał się swojemu obrazowi na ekranie - twarzy, oczom, uszom, wargom, zębom i dłoniom.

- A ta plamka na mojej szyi, Wando? Znów ją przeoczyłaś.

Szybkie przetarcie gąbką, parę ruchów szczotką i plamka zniknęła. Spates mruknął z zadowoleniem.

Wanda zdjęła z niego fartuch. Zza kulis wyłonił się Charles, pomocnik Spatesa, niosąc jego marynarkę. Wielebny podniósł się z fotela i wyciągnął ręce, a Charles pomógł mu włożyć marynarkę, wygładzając materiał i poprawiając ją przy ramionach, prostując kołnierzyk i podciągając nieznacznie węzeł krawata.

- Jak buty?

Charles kilka razy przetarł je ścierką do polerowania.

- Czas?

- Za sześć ósma, wielebny.

Wiele lat temu Spates wpadł na pomysł przeniesienia swoich kazań na wieczór i wygłaszania ich w porze najwyższej oglądalności, by uniknąć konkurencji innych teleewangelistów okupujących różne kanały telewizyjne od wczesnego rana. Nazwał to *Bożym*

Czasem. Wszyscy prorokowali, że mu się nie uda, bo stanął w szranki z najciekawszymi propozycjami programowymi innych stacji. Ale to posunięcie okazało się genialne.

Spates wyszedł z pokoju i skierował się za kulisy. Charles podreptał za nim. W miarę jak się zbliżał, słyszał szmery i szept wiernych - były ich tysiące - zajmujących miejsca w Srebrnej Katedrze, skąd nadawano na żywo *Boży Czas* przez dwie godziny w każdą niedzielę.

- Trzy minuty - wyszeptał mu wprost do ucha Charles.

Spates, stając w cieniu za kulisami, oddychał powoli i głęboko. Tłum uciszył się, gdy wierni wlepili wzrok w ekrany, czekając na rozpoczęcie audycji.

Czuł moc Boga wypełniającą jego ciało Duchem Świętym. Uwielbiał tę chwilę tuż przed rozpoczęciem kazania. Nic nie mogło się z tym równać, to było jak fala żywego ognia, pełnego triumfu i niepohamowanego wyczekiwania.

- Jak widownia? - wyszeptał do Charlesa.

- Jakieś sześćdziesiąt procent.

Jego radosne uniesienie osłabło. Zupełnie jakby w serce ktoś wraził mu zimne ostrze noża. Sześćdziesiąt procent - w ubiegłym tygodniu było siedemdziesiąt. A jeszcze pół roku temu ludzie co niedzielę ustawiali się w kolejce po bilety, tak że wielu odprawiano z kwitkiem. Jednak od czasu incydentu w motelu wpływy z datków podczas transmisji spadły o połowę, a oglądalność o czterdzieści procent. Ci dranie z Chrześcijańskiej Telewizji Kablowej chcieli skasować jego talk-show *Ameryka przy okrągłym stole*. Dla *Bożego Czasu* nadeszła najczarniejsza godzina, odkąd założył swoje studio w pustych halach JCPenneya trzydzieści lat temu. Jeżeli już wkrótce nie uzyska niezbędnego zastrzyku gotówki, będzie musiał sięgnąć po wpływy ze sprzedaży „chrystusowych cegiełek”, z których finansowano budowę

Srebrnej Katedry. Powrócił myślami do spotkania z lobbyistą Bookerem Crawleyem wcześniej tego dnia. To doprawdy znak od Boga, że otrzymał od Crawleya tę propozycję. Jeżeli dobrze to rozegra, może zdoła odzyskać utracone zaufanie u wiernych i zdobędzie potrzebne mu fundusze. Spór pomiędzy ewolucjonistami a zwolennikami kreacjonizmu był mocno przebrzmiały i trudno było na tym bazować, zwłaszcza w obliczu konkurencji ze strony innych teleewangelistów. Niemniej to, co podsunął mu Crawley, było świeże, nowe i tylko czekało, by się tym zająć. I właśnie zamierzał to zrobić.

- Już czas, wielebny - dobiegł go z tyłu głos Charlesa.

Światła rozbłysły i rozległ się gromki okrzyk tłumu, gdy Spates wyszedł na scenę z pochyloną głową, unosząc ręce i splatając dłonie, potrząsnął nimi rytmicznie.

- To Boży Czas! - zagrział donośnym, dźwięcznym basem

- To Boży Czas! Boży Czas! Bliski jest dzień bożej chwały!

Pośrodku sceny zatrzymał się gwałtownie, uniósł głowę i rozłożone ręce w stronę widzów jak w błagalnym geście. Koniuszki jego palców zadrzały. Z ust popłynęły słowa:

- Witajcie, w imię naszego Pana Zbawiciela, Jezusa Chrystusa!

Wnętrze Srebrnej Katedry wypełnił kolejny ryk. Kaznodzieja uniósł dłonie wysoko, skierowane wewnątrz do sufitu, a ryk trwał dzięki pomocy napisów na prompterach. Opuścił ręce i zapadła cisza jak po burzy.

Pochylił głowę z pokorą i cichym głosem rzekł:

- Gdzie dwóch lub trzech zbierze się w Imię Moje, tam ja jestem pośród nich.

Powoli uniósł głowę, odwracając się do zebranych profilem i donośnym tonem, z rozwagą, cedząc słowa, zagrział:

- *Napoczątku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiarów wód.* - Przerwał

i wziął głęboki wdech, przydając tym słowom dramatyzmu. -*A Duch Boży unosił się nad wodami.* - Jego głos wypełnił nagle wnętrze Srebrnej Katedry niczym dźwięki organów. - *Wtedy Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość!* - Chwila napięcia i cichy szept: - *I stała się światłość**.

Podszedł do skraju sceny i uśmiechnął się do wiernych.

- Wszyscy znamy pierwsze słowa Księgi Rodzaju. To jedne z najpotężniejszych słów, jakie kiedykolwiek napisano. Nie ma w nich żadnych niejasności. To prawdziwe słowa Boga, najmiłsi. Bóg swoimi słowami mówi nam, jak stworzył wszech świat.

Przeszedł wolno wzdłuż krawędzi sceny.

- Drodzy przyjaciele, czy zdziwiłoby was, gdybym powiedział, że rząd wydaje wasze ciężko zarobione pieniądze, by za przeczyć słowom Pana?

Odwrócił się, lustrując twarze pograżonych w milczeniu wiernych.

- Nie wierzycie mi?

Rozległ się cichy szmer zebranych.

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i uniósł ją, rozkładając przed zebranymi, po czym grzmiącym tonem powiedział:

- Oto dowód. Ściągnąłem to z internetu godzinę temu.

Kolejne szmery.

- I czego się dowiedziałem? Że nasz rząd wydał czterdzieści miliardów dolarów, by zaprzeczyć dziełu stworzenia, czterdzieści miliardów waszych dolarów, by zanegować najświętszy fragment Starego Testamentu. Tak, przyjaciele, wszystko to jest częścią sponsorowanej przez rząd krucjaty świeckich humanistów przeciwko chrześcijaństwu i jest naprawdę okropne.

* Wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

Krążył po scenie. Przez cały czas wymachiwał trzymaną w dłoni kartką papieru.

- Napisano tu, że na pustyni w Arizonie zbudowano urządzenie o nazwie Isabella. Wielu z was pewnie o tym słyszało.

Rozległy się ciche potaknięcia.

- Ja również. Sądziłem jednak, że to kolejny rządowy humbug. Dopiero całkiem niedawno uświadomiłem sobie prawdziwy cel tej inwestycji.

Przystanął gwałtownie i powoli odwrócił się do zgromadzonych.

- Celem tego projektu jest zbadanie tak zwanej teorii Wielkiego Wybuchu. Właśnie tak, słyszeliście wyraźnie, znów pojawia się słowo „teoria“!

Jego głos wręcz ociekał pogardą.

- Teoria Wielkiego Wybuchu brzmi mniej więcej tak: trzy naście miliardów lat temu mikroskopijnie mały punkcik w kosmosie eksplodował, tworząc cały wszechświat - bez pomocy Boga. Posłuchajcie mnie uważnie: dzieło stworzenia bez Boga. Ateistyczne stworzenie.

Zaczekał, aż wszyscy wierni zamilkną. Znowu potrząsnął trzymaną w dłoni kartką.

- Tak właśnie tu jest napisane, moi drodzy! Cała strona w sieci, setki stron poświęconych wyjaśnieniu stworzenia wszechświata i ani jednej wzmianki o Bogu!

Powiódł wzrokiem po zebranych.

Teoria Wielkiego Wybuchu nie różni się od teorii głoszącej, że naszymi przodkami były małpy. Albo od teorii, że cała złożoność życia powstała wskutek przypadkowego połączenia molekuł w kałużę błota. Teoria Wielkiego Wybuchu to jeszcze jedna świecko-humanistyczna, anty chrześcijańska, wymierzona przeciwko wierze teoria nieróżniąca się od ewolucji, choć zdecydowanie od niej gorsza. O wiele, wiele gorsza!

Obrót, skręt, marsz.

- Ponieważ ta teoria podważa tezę, zgodnie z którą wszechświat został stworzony przez Boga. Nie miejcie co do tego żadnych wątpliwości: Isabella to bezpośredni atak przeciwko wierze chrześcijańskiej. Zgodnie z teorią Wielkiego Wybuchu ten piękny, ten wyjątkowy, dany nam przez Boga wszechświat powstał sam z siebie wskutek przypadkowego wydarzenia, które nastąpiło trzynastą miliardów lat temu. A jakby ta wymierzona przeciwko chrześcijaństwu teoria im nie wystarczyła, musicie jeszcze wydać czterdzieści miliardów naszych dolarów, aby ją udowodnić!

Powiódł gniewnym spojrzeniem po twarzach zgromadzonych.

- A gdybyśmy poprosili uczonych w Waszyngtonie, by dali nam równą szansę? Gdybyśmy zażądali czterdziestu miliardów dolarów na potwierdzenie prawdy z Księgi Rodzaju? Co wtedy? Ci nienawidzący Boga liberałowie z Waszyngtonu zaczęliby zgrzytać zębami i toczyć pianę z ust! I odpowiedzieliby starym komunałem o rozdziale kościoła od państwa! To właśnie ci ludzie wyparli Chrystusa ze szkół, wyrugowali Dziesięcioro Przykazań z sal sądowych, nie lubią choinki i żłóbka, szydzą i drwią z naszych wierzeń, a potem jeszcze ci sami świeccy humaniści mają czelność wydawać nasze pieniądze, by zanegować treść Pisma Świętego, by podważyć fundament naszej wiary!

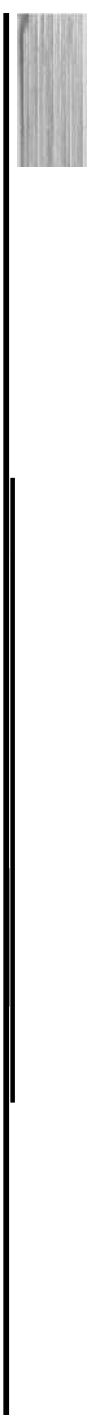
Gwar narastał. Ludzie zaczęli wstawać z miejsc. A potem ruszyli falą jak tsunami, ich głosy zlały się w jeden nieartykułowany ryk dezaprobaty.

Ekrany prompterów zostały wygaszone, nie były już potrzebne.

- To wojna przeciwko chrześcijaństwu, drodzy przyjaciele! To wojna aż do końca i jest prowadzona z moich i waszych podatków! Czy pozwolimy, by pluli w twarz Chrystusowi i jeszcze kazali sobie ^{za} to płacić?

Wielebny Don T. Spates zatrzymał się pośrodku sceny, ciężko oddychając, i zlustrował wzrokiem wzburzony tłum wypełniający wnętrze katedry w Virginia Beach; jego słowa wywarły nie lada efekt na zebranych. Słyszał to, widział i czuł narastającą gwałtownie falę wściekłości, słusznego gniewu. Nie mógł w to uwierzyć. Przez całe życie ciskał kamieniami i nagle miotnął wciśniętym mu do ręki granatem. To było coś, o co zawsze prosił, na co czekał i czego zawsze wypatrywał z nadzieją.

- Chwała niech będzie Bogu i Chrystusowi! - zakrzyknął, unosząc ręce ku niebu i kierując wzrok w stronę lśniącego sklepienia. Osunął się na klęczki, a z jego ust popłynęły żarliwe, donośne słowa modlitwy: - Panie Jezu Chryste, z Twoją pomocą położymy kres obrazie wymierzonej przeciw Twemu Ojcu. Zniszczymy piekielną maszynę wzniesioną hen, na dalekiej pustyni! Położymy kres bluźnierstwu przeciw Tobie, bluźnierstwu, któremu na imię Isabella!



Za kwadrans ósma Wyman Ford wyszedł ze swojego domku i stanął na końcu podjazdu, chłonąc wonne nocne powietrze. Okna jadalni wyglądały jak żółte prostokąty unoszące się w ciemnościach. Oprócz szumu spryskiwaczy na boisku słyszał cichy dźwięk pianina i szmer głosów. Nie potrafił wyobrazić sobie Kate inaczej niż jako zbuntowaną, popalającą trawkę dociekliwą studentkę, którą kiedyś znał. A jednak musiała się zmienić, i to bardzo, by zostać zastępczynią kierownika najważniejszego naukowego eksperymentu w historii.

Powrócił do wspomnień o niej i czasów, kiedy byli razem, wspomnień, które miały niezdrową tendencję do stawania się obrazami tylko dla dorosłych. Zepchnął je pośpiesznie w głąb umysłu. Uznał, że to nie najlepszy sposób na rozpoczęcie dochodzenia.

Ominął zraszacze, dotarł do frontowych drzwi starego punktu handlowego i wszedł do środka. Z sali rekreacyjnej po prawej płynęło światło i dźwięki muzyki. Wszedł tam. Ludzie grali w karty lub szachy, czytali, pracowali przy laptopach. Z dala od Mostka wydawali się nieomal rozluźnieni.

Hazelius siedział przy pianinie. Jego drobne palce jeszcze przez chwilę prześlizgiwały się po klawiszach, aż w końcu naukowiec wstał.

- Witaj, Wyman! Kolacja jest już gotowa!

Spotkał się z Fordem pośrodku sali, ujął go za ramię i poprowadził w kierunku jadalni. Pozostali również zaczęli się podnosić i podążyli za nimi.

W jadalni uwagę zwracał przede wszystkim masywny sośnowy stół ze świecami, srebrną zastawą i świeżymi polnymi

kwiatami. W kamiennym kominku płonął ogień. Na ścianach wisiały indiańskie kilimy w stylu Nakai Rock, jak uznał Ford na podstawie wzorów geometrycznych. Kilka butelek wina było już otwartych, a z kuchni napływał aromat steków z grilla.

Hazelius, jak na dobrego gospodarza przystało, usadawiał swoich gości, śmiał się i żartował. Wskazał Fordowi miejsce pośrodku, obok smukłej, wiotkiej blondynki.

- Melissa, to Wyman Ford, nasz antropolog. Melissa Corcoran, nasza kosmolog.

Wymienili uścisk dłoni. Kaskada jasnych włosów opadająca na ramiona kobiety zafalowała, a jej zielone oczy barwy morskiego szkła spojrzały na niego z zaciekawieniem. Zadarty nosk był upstrzony licznymi piegami, miała na sobie indiańską kamizelkę z paciorkami, zarazem prostą i stylową, dobraną pod kolor bluzki i spodni. Jednak oczy Corcoran były nieco zaczerwienione i przekrwione.

Miejsce po jego drugiej stronie było puste.

- Zanim dobierzesz się do Wymana - rzekł do Corcoran Hazelius - chciałbym dokończyć przedstawienie go tym, którzy do tąd go nie poznali.

- Śmiało.

- To Julie Thibodeaux, specjalistka od elektrodynamiki kwantowej.

Kobieta siedząca naprzeciw rzuciła krótkie „cześć”, po czym powróciła do gniewnego monologu wymierzonego pod adresem siwowłosego mężczyzny o wyglądzie karła siedzącego obok niej. Thibodeaux uosabiała stereotyp kobiety naukowca: zaniedbana, z nadwagą, ubrana w wymięty laboratoryjny kitel, a jej krótkie włosy były tak brudne, że sterczały sztywno we wszystkich kierunkach. Karykaturalnego wrażenia dopełniał zestaw długopisów w plastikowym futerale.

Zgodnie z tym, co widniało w jej aktach, balansowała na „pograniczu zaburzeń osobowości”. Ford był ciekaw, jak się to objawiało.

- Ten dżentelmen rozmawiający z Julie to Harlan St. Vincent, nasz inżynier elektryk. Kiedy Isabella pracuje pełną mocą, Harlan zarządza dziewięćset megawatami energii, które spływają tu jak z wodospadu Niagara.

St. Vincent wstał i wyciągnął rękę ponad stołem.

- Miło mi cię poznać, Wyman.

Kiedy ponownie usiadł, Thibodeaux podjęła swój wywód na temat kondensatu Bosego-Einsteina.

- Michael Cecchini, nasz ulubiony fizyk molekularny, to ten dżentelmen przy drugim końcu stołu.

Niski ciemnowłosy mężczyzna wstał i wyciągnął rękę. Ford uściskał ją, nieco zdumiony widokiem dziwnie mętnych, szarych oczu tamtego. Mężczyzna wydawał się martwy w środku i uścisk dłoni też miał wątki, bez życia. Mimo to, jakby wbrew nihilizmowi trawiącemu go od wewnątrz, Cecchini przykładał ewidentnie olbrzymią wagę do ubioru: jego koszula była tak biała, że aż raziła w oczy, kanty spodni wydawały się tak ostre, że można się było o nie skaleczyć, a przedziałek we włosach miał iście wojskową precyzję, podobnie jak cała fryzura. Nawet jego dłonie były nieskazitelne, czyste i miękkie jak ciasto drożdżowe, paznokcie starannie opilowane i wypielęgnowane. Ford poczuł lekki aromat drogiej wody po goleniu. Nic jednak nie było w stanie zabić otaczającej tamtego aury rozdzierającej rozpacz i przygnębienia.

Hazelius dokończył prezentacji i zniknął w kuchni, a hałas w sali jadalnej przybrał na sile.

Ford wciąż nie spotkał się z Kate. Zastanawiał się, czy był to tylko zbieg okoliczności.

- Chyba wcześniej nie miałam okazji poznać antropologa - odezwała się do niego Melissa Corcoran.

Odwrócił się.

- A ja kosmologa.

- Zdziwiłbyś się, wiedząc, ilu ludzi uważa, że zajmuję się modelowaniem włosów i paznokci. - Jej uśmiech zdawał się zawierać w sobie zaproszenie. - Co właściwie będziesz tu robił?

- Mam zapoznać się z miejscową ludnością. Wyjaśnić im, co się dzieje.

- Och, ale czy sam rozumiesz, co się tu dzieje? - W jej głosie zabrzmiała przekora, kusząca nuta.

- Może mnie oświecisz.

Z uśmiechem sięgnęła ponad stołem po butelkę.

- Wina?

- Poproszę.

Spojrzała na etykietę.

- Villa di Capezzana, Carmignano 2000. Nie mam pojęcia, jakie to, ale jest dobre. George Innes to nasz koneser win. George? Opowiedz nam o winie.

Innes przerwał rozmowę przy drugim końcu stołu, a na jego ustach pojawił się promienny uśmiech. Uniósł kieliszek.

- Miałem szczęście, że udało mi się zwinąć skrzynkę tego trunku - chciałem dziś wieczorem zaproponować coś szczególnego. Capezzana to jeden z moich ulubionych, pochodzi ze starej posiadłości leżącej wśród wzgórz zachodniej Florencji. Była to pierwsza winnica, która uzyskała zezwolenie na produkcję cabernet sauvignon w formie mieszanki. Ma wspaniałą barwę, aromat czerwonej i czarnej porzeczeki połączonej z wiśnią i cudowną owocową głębię.

Corcoran odwróciła się do Forda z ironicznym uśmieszkiem.

- George to okropny snob, jeżeli chodzi o wino - rzekła, na pełniając kieliszek Forda, a następnie ponownie swój. Uniosła kieliszek. - Witamy w Red Mesie. To okropne miejsce.

- A to czemu?

- Przywiozłam tu swoją kotkę. Nie mogłam się z nią rozstać. Dwa dni później usłyszałam skowyt i zobaczyłam kojota, który ucieka, trzymając ją w pysku.

- Okropne.

- Są wszędzie, wyleniałe, chude kreatury. Są tu też tarantule, skorpiony, niedźwiedzie, rysie, jeżozwierze, skunksy, grzechotniki i pająki czarne wdowy. - Ta recytacja ewidentnie poprawiła jej humor. - Nie cierpię tego miejsca - dodała z lubością.

Ford uśmiechnął się z udawanym zażenowaniem i zadał najgłupsze pytanie, jakie mu przyszło do głowy. Lepiej, żeby inni nie mieli go za zbyt bystrego.

- A więc co właściwie ma robić Isabella? Jestem tylko antropologiem.

- W teorii to dość proste. Isabella zderza ze sobą cząstki subatomowe z prędkością zbliżoną do prędkości światła, by odtworzyć stan energii w momencie Wielkiego Wybuchu. To jak *demolition derby*, podczas których auta są rozwalane jedno po drugim. Dwie odrębne wiązki cząstek przyspieszają, krążąc w przeciwnych kierunkach wewnątrz olbrzymiej kolistej rury o obwodzie siedemdziesięciu pięciu kilometrów. Cząstki wirują w kręgu coraz szybciej w przeciwnych kierunkach, aż osiągają prędkość 99,99 procent prędkości światła. Cała zabawa zaczyna się, kiedy doprowadzamy do ich czołowego zderzenia. W ten sposób odtworzymy gwałtowność Wielkiego Wybuchu.

- Jakie konkretnie cząstki zderzacie ze sobą?

- Materię i antimaterię - protony i antyprotony. Kiedy zderzają się ze sobą - bum! $E = mc^2$. Nagła eksplozja energii wytwa-

rza strumienie różnego rodzaju cząstek. Te strumienie cząstek są wychwytywane przez detektory, dzięki którym możemy dowiedzieć się, jakie są te poszczególne cząstki i w jaki sposób powstały.

- Skąd macie antymaterię?
- Przysyłają nam ją pocztą z Waszyngtonu.

Ford się uśmiechnął.

- Sądziłem, że mają tam tylko czarne dziury.

- A tak na serio, stworzyliśmy własną antymaterię tu, na miejscu, bombardując płytkę złota cząsteczkami alfa. Antyprotony gromadzimy w pierścieniu zapasowym, a w razie potrzeby przierzucamy do pierścienia głównego.

- Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na kosmologię? - spytał Ford.

- Jestem tu, by studiować ciemne rzeczy! - Przewróciła z dramatyzmem oczami. - Ciemną materię i ciemną energię. - Upiła kolejny łyk wina.

- Brzmi przerażająco.

Melissa zaśmiała się. Patrzył, jak jej zielone oczy taksują go od stóp do głów, i zastanawiał się, ile ona może mieć lat. Trzydzieści trzy? Trzydzieści cztery?

- Jakieś trzydzieści lat temu astronomowie zaczęli uświadać sobie, że większość materii we wszechświecie nie jest taka, by można ją zobaczyć czy dotknąć. Nazwali ją ciemną materią. Wygląda na to, że ciemna materia jest wszędzie wokół nas, nie widzialna, przenika przez nas niepostrzeżenie jak cienisty wszechświat. Wewnątrz olbrzymich połaci czarnej materii kryją się całe galaktyki. Nie wiemy, czym ona jest, dlaczego istnieje ani skąd się wzięła. Jako że ciemna materia musiała zostać stworzona wraz ze zwykłą materią podczas Wielkiego Wybuchu, mam nadzieję wykorzystać Isabellę, by trochę jej wytworzyć.

- A ciemna energia?

- Jest cudowna, przerażająca. W 1999 roku kosmolodzy odkryli, że jakieś nieznanne pole energii spowodowało, iż wszechświat rozszerza się coraz szybciej, pęczniąc jak gigantyczny balon. Nazwali to zjawisko ciemną energią. Nikt nie ma pojęcia, czym jest to zjawisko ani skąd się bierze. Wydaje się mieć wrogie nastawienie.

Wołkoński po prawej stronie stołu parsknął i przenikliwym głosem rzucił:

- Wrogie nastawienie? Wszechświat jest obojętny. Ani trochę o nas nie dba.

- Faktem jest - ciągnęła Corcoran - że ciemna energia w końcu unicestwi wszechświat w Wielkim Rozdarciu.

- W Wielkim Rozdarciu? - Aż do teraz Ford tylko udawał niewiedzę, jednak ten zwrot usłyszał po raz pierwszy.

- To najnowsza teoria dotycząca losów wszechświata. Już wkrótce wszechświat będzie się rozszerzał tak szybko, że galaktyki rozerwą się, później przyjdzie kolej na gwiazdy, planety, aż w końcu na nas wszystkich, zostaniemy rozbici na atomy. Wszystko rozleci się w drobny mak. Nadejdzie kres wszelkiego istnienia. Napisałam o tym artykuł do Wikipedii. Możesz sprawdzić.

Upiła kolejny łyk, a Ford zwrócił uwagę, że nie tylko ona delectowała się winem. Rozmowy wokół nich stały się głośniejsze, na stole stało już sześć pustych butelek.

- Wspomniałaś, że „już wkrótce”?

- Za jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć miliardów lat.

- „Wkrótce” to pojęcie względne - wtrącił Wołkoński ze śmiechem.

- My, kosmolodzy, patrzymy na pewne sprawy perspektywicznie - odparła Corcoran.

- A my, komputerowcy, ograniczamy się w tym względzie do minimum. Jak choćby do milisekundy.

- Do milisekundy? - rzuciła pogardliwie Thibodeaux. - W mojej pracy związanej z elektrodynamiką kwantową liczą się femtosekundy.

Hazelius wyszedł z kuchni, niosąc półmisek pełen polędwicy z grilla. Postawił go na stole przy wtórze gromkiego aplauzu członków zespołu.

Za nim pojawiła się Kate Mercer, niosąc miskę frytek do steków. Nie patrząc na Forda, postawiła ją i ponownie zniknęła w kuchni.

Nic z tego, co sobie wyobrażał Ford, nie przygotowało go na ujście jej pierwszy raz, odkąd się rozstali. W wieku trzydziestu pięciu lat była jeszcze piękniejsza, niż gdy miała dwadzieścia trzy lata, tyle tylko że jej długie, kruczoczarne, gęste włosy były teraz obcięte na krótko i modnie wystylizowane; zbuntowana studentka w džinsach i przydużych męskich koszulach dorosła. Minęło dwanaście lat, odkąd widział ją po raz ostatni, ale odniósł wrażenie, jakby to było zaledwie przed paroma dniami. Poczł kuksańca w żebra i odwrócił się, by ujrzeć Corcoran podsuwającą mu stronę półmisek.

- Mam nadzieję, że nie jesteś wegetarianinem, Wyman.

- Bynajmniej.

Wybrał krwisty kawałek i podał półmisek dalej, usiłując sprawić wrażenie rozluźnionego. Widok Kate nieelicho nim wstrząsnął.

- Nie myśl, że tak jadamy co wieczór - ciągnęła. - Twoje przybycie to dla nas okazja do świętowania.

Brzęknęła łyżeczka uderzająca w szkło i Hazelius wstał, unosząc kieliszek z winem. Rozmowy ucichły.

- Przygotowałem krótki toast powitalny. - Rozejrzył się wo koło. - A gdzież to się podziała zastępczyni kierownika?

Drzwi do kuchni się otworzyły i wyszła stamtąd Kate, by pospiesznie usiąść obok Forda, wlepiając wzrok w blat stołu.

- Mówiłem właśnie, że chciałbym wznieść toast na cześć nowego członka naszego zespołu, Wymana Forda.

Ford nie spuszczał wzroku z Hazeliusa, ale czuł obok siebie obecność Kate, jej ciepło i zapach drobnego, smukłego ciała.

- Jak zapewne większość z was wie, Wyman jest antropologiem i zajmuje się badaniem natury ludzkiej, czyli czegoś o wiele bardziej złożonego niż to, nad czym tu pracujemy. - Uniósł kieliszek. - Nie mogę się doczekać, by cię lepiej poznać, Wyman. Serdecznie witam w imieniu całego zespołu.

Rozległ się gromki aplauz.

- A teraz, zanim usiądę, chciałem jeszcze powiedzieć kilka słów o naszym wczorajszym rozczarowaniu... - Przerwał. - Bierzymy udział w walce, która trwa, odkąd pierwsza istota ludzka spojrzała ku gwiazdom i zaczęła się zastanawiać, czym one są. Poszukiwanie prawdy to największe z wyzwań podjętych przez człowieka. Od odkrycia ognia po odkrycie kwarków - to właśnie stanowi esencję człowieczeństwa jako takiego. My wszyscy - cała trzynastka - jesteśmy prawdziwymi spadkobiercami Prometeusza, który skradł ogień bogom i podarował go ludzkości.

Zrobił dramatyczną pauzę.

- Wiecie, co spotkało Prometeusza. W odwecie bogowie przykuli go na wieczność do skały. Każdego dnia zjawia się orzeł, by rozerwać mu bok i wyjść wątrobę. Ale ponieważ Prometeusz jest nieśmiertelny, nie może umrzeć i musi cierpieć te męki w nieskończoność.

W sali było tak cicho, że Ford słyszał trzask ognia w kominku.

- Jak się okazuje, poszukiwanie prawdy bywa bardzo, ale to bardzo trudne. - Hazelius uniósł kieliszek. - Za spadkobierców Prometeusza.

Wszyscy zgodnie wypili toast.

- Następną próbę podejmiemy w środę w południe. Chcę, abyście wszyscy do tego czasu skoncentrowali się wyłącznie na swoich zadaniach.

Usiadł. Zebrani przy stole sięgnęli po sztucce, powoli znów rozległ się gwar rozmów. Kiedy w sali zrobiło się w miarę głośno, Ford rzucił jakby mimochodem:

- Witaj, Kate.
- Cześć, Wyman. - Unikała jego wzroku. - Muszę przyznać, że trochę mnie to zaskoczyło.
- Świetnie wyglądasz.
- Dziękuję.
- Zastępca kierownika to nie lada osiągnięcie.

Poczuł się jak podglądacz, czytając jej dossier. A jednak nie mógł się powstrzymać, zaintrygowało go to. Od ich rozstania nie było jej łatwo.

- A co z twoją karierą w CIA?
- Odszedłem.
- I jesteś teraz antropologiem?
- Tak.

Żadne z nich nie powiedziało nic więcej. Brzmienie jej głosu, dźwięcznego i melodyjnego, choć odrobinę seplenia, podziałała nań jeszcze silniej niż jej widok. Odegnął od siebie niepożądane wspomnienia. To była absurdalna reakcja - przecież zerwali dawno temu. Od tamtej pory ona miała za sobą kilka innych nieudanych związków i jedno małżeństwo. Ich zerwanie skądinąd też nie należało do łatwych - nie było „zostańmy przyjaciółmi”. To, co sobie nawzajem powiedzieli, trudno było wybaczyć i zapomnieć.

Kate odwróciła się i zaczęła rozmawiać z kimś innym. Ford upił łyk wina i pogrążył się w myślach. Powrócił we wspomnieniach do ich pierwszego spotkania na MIT. Do tamtego popołudnia,

kiedy szukał cichego kącika do lektury na tyłach Barker Engineering Library i spostrzegł kobietę śpiącą pod stołem - nie był to skądinąd rzadki widok. Podparła prawy policzek na dłoni, drugą rękę przyłożyła do piersi. Jej długie lśniące włosy rozsypały się na wykładzinie. Była szczupła i atrakcyjna, o delikatnych zmysłowych rysach typowych dla ludzi mających wśród przodków zarówno przedstawicieli rasy białej, jak i Azjatów. Wyglądała jak śpiąca gazela. Błede zagłębienie u podstawy jej wygiętej szyi, przy obojczyku wydawało mu się niezwykle zmysłowe. Nie odrywał od niej wzroku, bezwstydnie chłonąc wszystkie podniecające szczegóły jej pogrążonego we śnie ciała. Nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Po prostu patrzył.

Mucha musnęła jej policzek. Potrząsnęła głową, a jej mahoniowe oczy otworzyły się i spojrzała na niego. Poczul się zdemaskowany.

Zaczerwieniła się i niezgrabnie wypełzła spod stołu.

- O co chodzi? Coś nie tak?

Burknął, że chciał się upewnić, czy nic jej nie jest. Złagodniała nieco zdeprymowana.

- Musiałam dziwnie wyglądać, leżąc na podłodze. Zazwyczaj o tej porze nikogo tu nie ma. Mogę zdrzemnąć się dziesięć minut i obudzić z nowymi siłami.

Ponownie zapewnił, że chodziło mu tylko o jej zdrowie. Rzuciła mimochodem, że przed lekturą potrzebuje podwójnej dawki espresso. Powiedział, że też chętnie się napije, i w ten sposób odbyli pierwszą randkę.

Byli diametralnie różni. I to ich ku sobie przyciągało. Ona pochodziła z małego miasteczka, z robotniczej rodziny, on z wielkiego miasta, z jednej z najzamożniejszych rodzin. Ona lubiła Blondie, on Bacha. Ona niekiedy popalała trawkę, co dla niego było wręcz nie do pomyślenia. On był katolikiem, ona zagorzałą ateistką. On zrównoważony i opanowany, ona nieprzewidywalna, spontaniczna,

wręcz dzika. Na drugiej randce to ona wykonała wobec niego pierwszy krok. Co więcej, jako studentka była bardzo błyskotliwa, wręcz genialna. Jej inteligencja równocześnie go przerażała i pociągała. Nawet pomijając fizykę, kierował nią nieprzemyślany pęd do poznawania i zgłębiania natury ludzkiej. Była jak dzika partyzantka, wściekła na wszelkie niesprawiedliwości świata, podpisująca petycje, biorąca udział w marszach i pisząca listy do redaktorów naczelnych największych dzienników. Pamiętał ich kłótnie na temat polityki i religii ciągnące się całymi godzinami i nie mógł się nadziwić jej przenikliwości, głębokiej znajomości ludzkiej natury i surowej emocjonalności poglądów.

Ich związek zakończyła jego decyzja o podjęciu pracy w CIA. Dla niej albo mężczyzna był jednym z tych dobrych facetów, albo nie. CIA z całą pewnością podpadała pod kategorię „albo nie”. Określała ją mianem Centrali Ingerencji Antyludzkiej, i to jeżeli miała dobry dzień.

- To jak, Wyman - zagadnęła go Kate. - Dlaczego odszedłeś?
- Co? - Ford powrócił do rzeczywistości.
- Mam na myśli twoją karierę w CIA. Co się stało?

Ford załował, że nie może powiedzieć: „Ponieważ moja żona zginęła w zamachu bombowym, wysadzona we własnym aucie, gdy wspólnie pracowaliśmy incognito”.

- Nie wyszło - odparł bez przekonania.
- Rozumiem. Czy... nie powinnam się ludzić, że zmienił ci się światopogląd?

A czyja mogę się ludzić, że ty zmieniłaś swój? - pomyślał Ford, ale nie powiedział tego na głos. To było do niej podobne - walić prosto z mostu, nie bacząc na konsekwencje. Równocześnie uwielbiał to w niej i nienawidził.

- Kolacja wygląda wspaniale - rzekł, usiłując zmienić temat.
- Kiedy widzieliśmy się ostatnio, byłaś królową mikrofalówki.



- Od fast foodów zaczęłam tyć.

Znowu cisza.

Ford poczuł szturchnięcie w żebra z drugiej strony. Melissa Corcoran podsunęła butelkę, aby ponownie napełnić jego kieliszek. Miała lekkie rumieńce.

- Steki są pyszne - rzekła. - Świetnie się spisaliśmy, Kate.

- Dzięki.

- Krwiste, takie jak lubię. Ale, ale... - wskazała na talerz Forda - ty nawet nie spróbowałeś!

Ford zjadł kawałek, lecz nagle stracił apetyt.

- Założę się, że Kate opowiadała ci o teorii strun. To naprawdę niezła teoria, choć oparta na czystych spekulacjach.

- W przeciwieństwie do ciemnej energii - odparowała Kate z przekąsem.

Ford natychmiast zorientował się, że te dwie kobiety niezbyt się lubią.

- Ciemna energia - rzekła łagodnie Corcoran - została odkryta eksperymentalnie. Poprzez obserwację. Z teorią strun jest dokładnie na odwrót, istnieje wyłącznie jako ciąg równań niemających żadnych przełożeń testowych. To nie jest prawdziwa nauka.

Wołkoński nachylił się nad stołem, a Ford poczuł woń dymu tytoniowego.

- Ciemna energia, struny, phi! Kogo to obchodzi? Chciałbym wiedzieć, czym zajmuje się antropolog.

Interwencja Wołkońskiego sprawiła, że Ford aż odetchnął z ulgą.

- Jeździmy, by mieszkać wśród zacofanych plemion, i zadajemy całe mnóstwo głupich pytań.

- Ha, ha! - zaśmiał się Wołkoński. - Może słyszałeś, że czerwonoskórzy wybierają się do Red Mesy. Miejmy nadzieję, że nie chcą nas wszystkich oskalpować!

Wydał indiański okrzyk wojenny i rozejrzał się dokoła, oczekując aprobaty pozostałych.

- To nie było śmieszne - ucięła krótko Corcoran.

- Rozluźnij się trochę, Melissa - odparował Wołkoński, wysuwając do przodu podbródek, a zdobiąca go kozia bródka za drżała gniewnie. - Nie musisz się tak wywyższać.

Corcoran odwróciła się do Forda.

- Nic na to nie poradzi. Tak wyszło, że robił doktorat na najgorszym zadupiu.

Tu też sprawy mają się nie najlepiej, skostatował Ford. Będzie musiał zachować ostrożność, by nie znaleźć się na linii ognia, dopóki nie pozna relacji łączących poszczególnych członków zespołu.

- Myślę, że Melissie trochę za dobrze wchodzi dziś wino. Jak zwykle zresztą - odparował Wołkoński.

- Ta, osszywiście - wybełkotała, naśladowując akcent tamtego.

- Lepiej szebym łoła wodę do później nossy! - Uniosła kieliszek.

- Za was! - I wypła do dna.

- Jeżeli mogę przerwać na chwilę - rzekł Innes głębokim, pełnym profesjonalizmu tonem. - Choć zapewne dobrze jest nie dławić w sobie emocji, sugerowałbym jednak...

Hazelius uciszył go machnięciem ręki i przez chwilę wodził wzrokiem od Wołkońskiego do Corcoran i z powrotem, jego spojrzenie sprawiło, że oboje zamilkli. Wołkoński usiadł sztywno wyprostowany, widać było lekkie drżenie w kąciku jego ust. Corcoran splotła ramiona na piersiach.

Hazelius odczekał chwilę, nim się odezwał:

- Wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni i zniechęceni. - Głos miał cichy i łagodny. W ciszy, jaka zapadła, słyhać było trzask ognia w kominku. - Prawda, Peter?

Wołkoński milczał.



- Melissa?

Jej twarz poczerwieniała. Nieznacznie skinęła głową.

- Opuśćcie... wyluzujcie się... wybaczenie i łagodność...

Przez wzgląd na naszą pracę. Na to, co robimy - mówił jak trener próbujący uspokoić spłoszonego konia. I w przeciwieństwie do głosu Innesa nie było w nim ani krzty protekcjonalności.

- Otóż to - wtrącił psycholog, mącąc wrażenie spokoju wytworzone przez Hazeliusa. - Absolutnie. To była zdrowa wymiana na zdań. Możemy poruszyć te tematy ponownie podczas następnej sesji całej grupy. Jak już mówiłem, dobrze jest wyrzucić z siebie pewne sprawy na forum publicznym.

Wołkoński wstał tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło. Zmiał serwetkę w kulkę i rzucił na stół.

- Do diabła z grupowymi sesjami. Mam robotę do wykonania.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Nikt się nie odezwał. Słysząc tylko szelest kartek papieru, gdy Edelstein, skończywszy kolację, powrócił do przerwanej lektury powieści Joycea.

8

Pastor Russ Eddy wyszedł z przyczepy, zarzucił ręcznik na chude ramiona i przystanął na podwórzu. Misja wyglądała przepięknie w świetle budzącego się dnia. Wschodzące słońce rzucało miodowy blask na piaszczystą dolinę, złocąc gałęzie zeschniętej topoli stojącej obok niewielkiej przyczepy. W oddali na horyzoncie wznosiła się Red Mesa, która w promieniach wschodzącego słońca przypominała słup ognia.

Spojrzał w niebo, złączył dłonie, pochylił głowę i rzekł silnym, zdecydowanym głosem:

- Dzięki ci, Panie, za ten dzień.

Po krótkiej chwili milczenia poczłapał do pompy znajdującej się na środku podwórza i przewiesił ręcznik przez stary koniowiąz. Energicznie poruszał rączką pompy. Struga lodowatej wody spłynęła do cynkowanej balii poniżej. Russ ochlapał sobie twarz, wrzucił do wody mydło, nachylił się, opłukał twarz i zapadniętą klatkę piersiową, zdjął ręcznik z poręczy i szybko się wytarł. Następnie przejrzał się w lustrze wiszącym na zardzewiałym gwoździu przy płocie. Miał drobne rysy, a rzadkie kosmyki włosów sterczały na wszystkie strony. Nienawidził tego ciała, wyglądał jak wynędzniały, mikry ptaszek. Dawno temu lekarz powiedział matce, że jego organizm „nie chce się rozwijać”. Suggestia, że ta fizyczna słabość mogła być poniekąd jego winą, jego osobistą porażką, sprawiała mu ból.

Zaczesał włosy „na pożyczkę” i z dezaprobatą przyjrzał się swoim krzywym zębom, których nigdy nie pokwapił się poprawić. To w jakiś sposób przypomniało mu o synu, Luke'u, który miał już teraz jedenaście lat - i wrażenie udręki pogłębiło się. Nie



widział Lukea od sześciu lat, przez cały czas nękany o alimenty, których nie był w stanie spłacić. W jego umyśle pojawiło się nagle wspomnienie chłopca, jak biegał całkiem nagi w strugach wody ze zraszacza pewnego upalnego, letniego dnia... To wspomnienie było jak ostrze noża rozcinające mu gardło; widział kiedyś Indiankę z plemienia Nawahów podrzynającą gardło jagnięcia, które meczało i szarpało się, żyło jeszcze, choć już było martwe.

Zadrżał, myśląc o niesprawiedliwościach życia, o swoich kłopotach finansowych, niewierności żony, rozwodzie. Raz po raz padał ofiarą czegoś, choć nigdy z własnej winy. Przybył do rezerwatu uzbrojony jedynie w wiarę i dwa pudła książek. Bóg sprawdził jego wiarę, dając mu popalić w życiu i uprzykrzając je wiecznym brakiem pieniędzy. Eddy nie cierpiał mieć u kogokolwiek dług, zwłaszcza u Indian. Bóg musiał jednak wiedzieć, co robi, i Eddy powoli tworzył swój zbór, nawet jeśli wierni byli bardziej zainteresowani darmową odzieżą, którą rozdawał, niż jego kazaniem. Żaden z nich nie położył na tacy więcej niż parę dolarów, bywały tygodnie, że trafiało ich tam zaledwie dwadzieścia. Większość miejscowych chodziła na mszę do misji katolickiej, by otrzymać darmowe okulary lub leki, albo do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich w Rough Rock na darmową wyzerkę. Taki był podstawowy kłopot z Indianami Nawaho - nie potrafili odróżnić głosu Mamony od głosu Boga.

Przez chwilę rozglądał się za Lorenzem, ale jego indiański pomocnik jeszcze się nie pojawił. Na myśl o Lorenzu aż się zaczerwienił. Pieniądze z tacy zniknęły już po raz trzeci i teraz nie miał już wątpliwości, czyja to była robota. To, co prawda, tylko pięćdziesiąt parę dolarów, ale jego misja rozpaczliwie potrzebowała tych pieniędzy, a co gorsza, ten człowiek okradał samego Boga. Dusza Lorenza była zagrożona przez marne pięćdziesiąt dolarów.

Eddy był wkurzony. W zeszłym tygodniu postanowił, że wy-
leje Lorenza, jednak potrzebował dowodu. I już wkrótce go zdo-
będzie. Wczoraj pomiędzy zbiórką a zakończeniem mszy nazna-
czył banknoty na tacy żółtym markerem. Poprosił w sklepie
w Blue Gap, żeby zwrócono uwagę, gdyby ktoś próbował się ni-
mi posłużyć.

Włożył podkoszulek, przeciągnął chude ramiona i spojrzął na
swoją skromną misję z mieszaniną niesmaku i satysfakcji. Przy-
czepa, w której mieszkał, powoli się rozsypywała. Opodał znajdo-
wała się stodoła, którą kupił od ranczera z Shiprock; rozebrana na
części, przewieziona i postawiona na nowo, by pełniła funkcję
świątyni. To była prawdziwa męka. Plastikowe krzeselka różnych
rozmiarów, kształtów i kolorów zastępowały ławki. „Kościół” był
z trzech stron otwarty i podczas wczorajszej mszy w „świątyni”
w najlepsze hulał wiatr, obsypując wiernych piaskiem. Jediną
cenną rzeczą, jaką posiadał, był znajdujący się w przyczepie iMac
intel core duo z dwudziestocalowym ekranem przysłany przez
chrześcijańskiego turystę przemierzającego krainę Nawahów, na
którym misja wywarła nieodparte wrażenie. Komputer był darem
od Boga, zapewniał mu więz ze światem. Spędził przy nim wiele
godzin, odwiedzając strony chrześcijańskich grup dyskusyjnych,
czatując z nimi, przesyłając i otrzymując e-maile oraz organizu-
jąc zbiórki darmowej odzieży.

Eddy wszedł do kościoła i zaczął poprawiać krzeselka, usta-
wiając je w równych rzędach i szczotką strzepując piasek z sie-
dzeń. Myślał o Lorenzu i ogarniał go coraz większy gniew. Trza-
skał raz po raz krzeselkami, przestawiając je z narastającym
impetem. To była robota, którą powinien wykonać Lorenzo.

Kiedy skończył rozstawianie krzesel, przyniósł miotłę i pod-
szedł do drewnianego podwyższenia z pulpitem i zaczął zamia-
tać, by oczyścić go z piasku. Wtedy zauważył, że na podwórzu

pojawił się Lorenzo. Nareszcie. Nawaho zawsze pokonywał trzykilometrowy odcinek z Blue Gap pieszo i miał tendencję do pojawiania się nagle, bezszelestnie jak duch.

Eddy wyprostował się i oparł na kiju miotły, podczas gdy tamten wszedł do tonącego w półmroku kościoła.

- Witaj, Lorenzo - rzekł Eddy, próbując zachować spokojny ton. - Niechaj ci Bóg błogosławi i prowadzi cię w ten cudowny dzień.

Lorenzo odrzucił długie warkocze do tyłu.

- Cześć.

Eddy przyglądał się twarzy tamtego, by sprawdzić, czy Indianin jest pod wpływem alkoholu albo innych środków, ale odwrócił wzrok, gdy Lorenzo bez słowa wziął od niego miotłę i zaczął zamiatać. Nawahów niełatwo było przejrzeć, a z Lorenzem było jeszcze trudniej, bo ten cichy samotnik rzadko się odzywał i nigdy nie mówił, co myśli. Trudno było stwierdzić, co mu chodzi po głowie, poza zamiłowaniem do prochów i wody ognistej. Eddy nie pamiętał, aby Lorenzo kiedykolwiek powiedział choćby jedno całe zdanie. To niewiarygodne, że mógł studiować na Uniwersytecie Columbia, choć rzecz jasna go nie ukończył.

Eddy cofnął się i patrzył, jak Lorenzo zamiata powoli i nieskutecznie, pozostawiając całe smugi piasku. Stłumił w sobie chęć wspomnienia już teraz o pieniądzach z tacy. Eddy sam prawie nie dojadł i znów musiał pożyczyć pieniądze na benzynę, a ten bezczelny Lorenzo kradł boże datki, by wydać je na narkotyki i alkohol. Poczul narastające ożywienie na myśl o konfrontacji z Lorenzem. Musiał jednak poczekać na wieści ze sklepu, ponieważ potrzebował dowodu. Gdyby oskarżył Lorenza, a ten wyparł się bezczelnie - bo cóż innego mógłby zrobić ten łgarz zatracony - bez konkretnego dowodu nic by się nie dało osiągnąć.

- Kiedy tutaj skończysz, Lorenzo, czy mógłbyś posortować odzież, którą nam przysłano?

Wskazał na kilka pudeł, które nadeszły w piątek z kościoła w Arkansas.

Chłopak burknął coś pod nosem na znak, że go usłyszał. Eddy jeszcze przez chwilę patrzył, jak tamten zamiata. Lorenzo był na haju, nie ulegało wątpliwości, ukradł pieniądze, by kupić narkotyki. A teraz Eddy nie miał za co przeżyć kolejnego tygodnia i musiał znów pożyczyć pieniądze na paliwo i jedzenie.

Aż zadygotał z wściekłości, nic jednak nie powiedział, odwrócił się i sztywnym krokiem pomaszerował do swojej przyczepy, by przygotować skromne śniadanie.



Ford przystanął u wejścia do stajni. Promienie porannego poniedziałkowego słońca wpadały ukośnie do środka, podświetlając wirujące w powietrzu drobinki kurzu. Usłyszał, jak konie przestępują w swoich boksach z nogi na nogę i przezuwają paszę. Wszedł do środka, przeszedł kilka kroków i przystanął przy wierzchowcu w pierwszym boksie. Łaciaty koń przezuwający leniwie owies popatrzył na niego.

- Jak się nazywasz, kolego?

Koń zarżał, po czym opuścił łeb, by znów zgarnąć trochę owsa. Przy drugim końcu stajni zagrzechotało wiadro. Ford odwrócił się, by ujrzeć głowę wychylającą się z ostatniego z boków: Kate Mercer. Spojrzeli na siebie.

- Dzień dobry - powiedział, siłąc się na, jak się spodziewał, swobodny uśmiech.

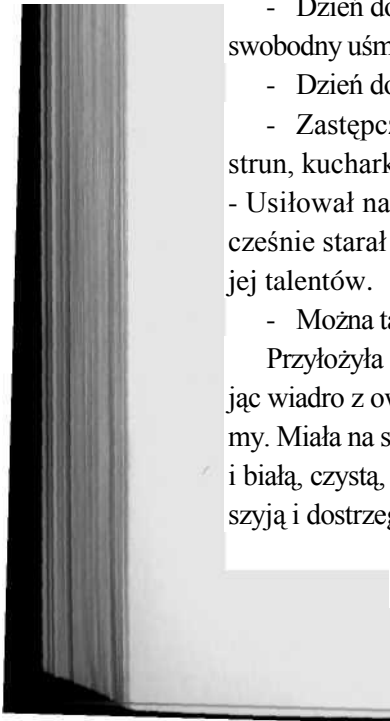
- Dzień dobry.

- Zastępczyni kierownika projektu, specjalistka od teorii strun, kucharka i... stajenna? Jesteś kobietą o wielu talentach. Usiłował nadać swojemu głosowi swobodny ton. Równocześnie starał się też odegnać od siebie wspomnienia innych jej talentów.

- Można tak powiedzieć.

Przyłożyła wierzch dłoni do czoła, po czym podeszła, dźwigając wiadro z owsem. W jej lśniące włosy zaplątało się źdźbło słomy. Miała na sobie obcisłe džinsy, wyświechtaną džinsową kurtkę i białą, czystą, wykrochmaloną męską koszulę. Była rozpięta pod szyją i dostrzegł łagodną wypukłość jej piersi.

Ford przelknął ślinę.



- Ściąłś włosy - tylko tyle zdołał wykrztusić.
 - Włosy mają to do siebie, że rosną, więc owszem, tak.
- Nie dał się złapać na tę przynętę.
- Wyglądają świetnie - rzucił przez ściśnięte gardło.
 - To moja wersja tradycyjnej japońskiej fryzury zwanej

umano-o.

Włosy Kate zawsze stanowiły drażliwy temat. Jej matka, Japonka, nie chciała, by córka pod jakimkolwiek względem kulturowała japońskie tradycje. Nie pozwalała mówić w domu po japońsku i nalegała, by Kate nosiła włosy długie i rozpuszczone jak Amerykanki. Kate nie upierała się w kwestii włosów, ale kiedy matka zaczęła sugerować, że Ford byłby idealnym amerykańskim mężem, usilnie zaczęła wypatrywać u niego potencjalnych mankamentów.

Ford zorientował się, co miała oznaczać nowa fryzura.

- Twoja matka?
- Zmarła przed czterema laty.
- Współczuję.

Chwila ciszy.

- Wybierasz się na przejażdżkę? - spytała.
- Zastanawiałem się nad tym.
- Nie wiedziałam, że umiesz jeździć konno.
- Kiedy miałem dziesięć lat, spędziłem wakacje na ranczu.
- Wobec tego odradzam przejażdżkę na Snorcie. - Wskazała na łaciatego wierzchowca. - Dokąd zamierzałeś się wybrać?

Ford wyjął z kieszeni mapę i rozłożył.

- Chciałem odwiedzić Blackhorse, by spotkać się z szamanem. Samochodem to wychodzi jakieś trzydzieści kilometrów po wiejskich drogach. Ale konno to niecałe dziesięć kilometrów, jeżeli wybierze się szlak na tyłach płaskowyżu.

Kate wzięła od niego mapę i patrzyła przez chwilę.

- To Nocne Przejście. Nie dla nowicjuszy.
- Dzięki niemu oszczędzę sporo czasu.
- Na twoim miejscu wziąłabym jeepa.
- Nie chcę zajechać tam samochodem z logo instytucji rządowej.

- Hmm. Rozumiem, o co ci chodzi.

Zamilkli oboje.

- W porządku - rzekła Kate. - Powinieneś wobec tego wybrać Ballew.

Zdjęła z haka uździenicę, weszła do boksu i wyprowadziła stamtąd konia o ziemistym umaszczeniu, z łabędzią szyją, ogonem jak u szczura i wielkim obwisłym brzuchem.

- Wygląda jak odrzut z fabryki, gdzie wyrabiają karmę dla psów.

- Nie osądzaj wierzchowca po wyglądzie. Starego Ballew i kijem nie dobijesz. A w dodatku jest na tyle bystry, by zachować całkowity spokój przy pokonywaniu Nocnego Przejścia. Weź siodło i derkę, bierzmy się do roboty.

Wyczyścili i osiodłali konia, nałożyli mu uzdę i wyprowadzili na zewnątrz.

- Wiesz, jak się wsiada na konia? - spytała.

Ford spojrział na nią.

- Trzeba włożyć stopę w strzemień, podźwignąć się i przerzucić nogę nad grzbietem, zgadza się?

Podąła mu lejce.

Przez chwilę manipulował cugłami, przerzucił lejce ponad końską szyją, przytrzymał strzemień i włożył w nie stopę.

- Zaczekaj, musisz...

Ale on już wybił się w górę. Siodło zsunęło się w bok i Ford wyładował na ziemi. Ballew stał obojętnie z siodłem zwisającym luźno przy boku.

- Chciałam powiedzieć, że powinieneś sprawdzić popręg. -
Kate z trudem zdusiła śmiech.
Ford wstał i otrzepał się z kurzu.
- Czy tak tu ujarzmiacie nowo przybyłych?
- Próbowałam cię ostrzec.
- Dobra, lepiej już będę się zbierał.
Pokręciła głową.
- Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Właśnie tutaj.
- Nie wydajesz się szczęśliwa z tego powodu.
- Bo nie jestem.
Pohamował się przed rzuceniem ciętej riposty. Miał zadanie do wykonania.
- Pogodziłem się z tym już dawno temu. Mam nadzieję, że ty też to potrafisz.
- Och, o to się nie martw, dawno już to przebolełam. Tyle tylko że nie chcę teraz żadnych niepotrzebnych komplikacji.
- O jakich komplikacjach mówimy?
- Nieważne.
Ford zamilkł. Nie zamierzał nawiązywać z Kate bliższych stosunków. *Pamiętaj o swoim zadaniu.*
- Wracasz dziś do Bunkra? - spytał po chwili.
- Obawiam się, że tak.
- Znów jakieś problemy?
W jej oczach pojawił się jakiś cień, ostrożność.
- Może.
- Jakiego rodzaju?
Spojrzała na niego, odwróciła wzrok.
- Usterki sprzętu.
- Hazelius mówił, że to coś z oprogramowaniem.
- To też.
Znów odwróciła wzrok.

- Mógłbym jakoś pomóc?

Popatrzyła na niego, w jej mahoniowych oczach malował się niepokój i wahanie.

- Nie.

- Czy to coś... poważnego?

Zawahała się.

- Wyman, zajmij się tym, co do ciebie należy, i pozwól nam robić swoje, dobra?

Odwróciła się gwałtownie i weszła do stajni. Odprowadził ją wzrokiem, dopóki jej postać nie rozplynęła się wśród głębokich cieni.

10

Jadąc konno, Ford stopniowo się rozluźniał i usiłował odegnać od siebie nadmiar myśli o Kate. Był to jeden z tych cudownych dni schyłku lata, przesycony melancholią, który przypominał mu, że ta pora roku już wkrótce dobiegnie końca. Rdesty węzowniki złożyły się wśród zeschniętych traw. Opuncje pokryły się kolcami, a korony pióropuszy Apaczów zamieniły kwiaty na kępki czerwono--białych piór zwiastujących rychłe nadejście jesieni.

Szlak się skończył, a Ford ruszył dalej na przełaj, posługując się kompasem. Stare poskręcane jałowce i osobliwe formacje skalne sprawiały, że wierzchołek płaskowyżu wyglądał jak relikw z czasów prehistorycznych. Ford przeciął widoczny na piasku trop niedźwiedzia; ślady łap wyglądały niemal jak ludzkie. *Shush*, mimochodem przypominał sobie z dawna zapomniane słowo oznaczające w języku nawaho niedźwiedzia.

Czterdzieści minut później dotarł na skraj płaskowyżu. Urwisko opadało pionowo kilkadziesiąt metrów w dół, po czym stromizna nieco łagodniała i sięgała aż do znajdującej się sześćset metrów niżej Blackhorse. Osada wyglądała jak skupisko znaków geometrycznych na pustyni, oddalone jakiś kilometr od podstawy płaskowyżu.

Ford zsiadł z Ballew i przez chwilę przepatrywał skraj urwiska, aż odnalazł uskok w skalnej krawędzi oznaczający początek Nocnego Przejścia. Szlak był oznakowany na mapie jako trasa dawnych poszukiwaczy złóż uranu, ale podmycie osuwiska i lawiny kamieni sprawiły, że stał się rzadko uczęszczany. Biegł wzdłuż klifu i opadał pod kątem; wyglądał jak narysowany na powierzchni urwiska zygzak. Na sam widok tego przejścia, które miejscami miało niespełna pół metra szerokości, mogło zakręcić

się w głowie. Może jednak powinien był pojechać jeepem. Ale teraz już za żadne skarby nie zawróci.

Podprowadził Ballew do krawędzi urwiska i zaczął schodzić, prowadząc wierzchowca za sobą. Koń, niewzruszony, opuścił łeb, pociągnął nosem i podążył za Fordem. Wyman poczuł sporą sympatię i podziw wobec tej starej chabety.

Pół godziny później dotarli do podnóża płaskowyżu. Ford wsiadł na konia i przejechał ostatni odcinek szlaku, w dół płytkiego, ocienionego przez tamaryszki wąwozu, w kierunku Blackhorse. Zagrody dla krów i koni, wiatrak, zbiornik na wodę i kilka tandetnych starych przyczep dopełniały wyglądu osady. Za jedną z przyczep stało kilka ośmiościennych hoganów zbudowanych z cedrowego drewna i z dachami pokrytymi zaschniętym błotem. W pobliżu środka osady kilkoro przedszkolaków dokazywało na rozlatującej się huśtawce, a ich piskliwe głosiki niesły się ponad pustynią. Obok przyczep stały półciężarówki.

Ford szturchnął Ballew piętami. Stary wierzchowiec wolno pokonywał skrawek pustyni na obrzeżach osady. Wiał silny wiatr. Dzieci przerwały zabawę i stały jak miniaturowe pomniki, obserwując go. Wreszcie jak na komendę rozbiegły się z krzykiem.

Ford zatrzymał Ballew piętnaście metrów od najbliższej przyczepy i czekał. W Ramah nauczył się, że u Nawahów przestrzeń osobista zaczyna się daleko przed frontowymi drzwiami. Po chwili drzwi jednej z przyczep otworzyły się raptownie i wyszedł z niej szczupły mężczyzna w kowbojskim kapeluszu i z kabłąkowatymi nogami. Uniósł rękę w stronę Forda.

- Przywiąż tam swojego konia - zawołał, przekrzykując za wodzenie wiatru.

Ford zsiadł, przywiązał Ballew i poluzował popręg. Mężczyzna podszedł do niego, osłaniając dłonią oczy od słońca.

- Kim jesteś?

Ford wyciągnął rękę.

- *Ya 'at eeh shi ei* Wyman Ford *yinishye*.

- O nie, jeszcze jeden *Bilagaana* usiłujący mówić w języku nawaho! - rzucił z rozbawieniem mężczyzna, po czym dodał: - Przynajmniej akcent ma pan lepszy niż większość innych.

- Dzięki.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Szukam Nelsona Begaya.

- Znalazł go pan.

- Ma pan chwilę?

Begay zmrużył powieki i przyjrzał mu się z uwagą.

- Zszedł pan z płaskowyżu?

- Tak.

- Och.

Cisza.

- To cholernie ciężki szlak - rzekł po chwili Begay.

- Nie, jeżeli prowadzi się konia.

- Spryciarz z pana. - Kolejna niezręczna chwila ciszy. -

A więc... jest pan przedstawicielem władz, tak?

- Tak.

Begay znów spojrzał na niego spod półprzymkniętych powiek, po czym odwrócił się i pokuśtykał z powrotem do przyczepy. Po chwili drzwi zamknęły się z trzaskiem. W osadzie Blackhorse zapanowała cisza, jeśli nie liczyć szumu wiatru omiatającego Forda tumanami żółtego kurzu.

Co teraz? Ford, stojąc wśród kłębow kurzu, czuł się jak ostatni kretyn. Jeżeli zapuka, a Begay nie odpowie, tylko upewni Indianina, że jest kolejnym upierdliwym *Bilagaana*. Z drugiej strony przybył tu, by rozmówić się z Begayem, i robi to.

Chrzanić to, facet nie może przez cały czas siedzieć w przyczepie. Ford usiadł.

Minuty płynęły leniwie. Wiatr wiał. Kurz wirował w powietrzu.

Minęło dziesięć minut. Żuk gnojowy maszerował dzielnie pośród zawieruchy, wiedziony jakimś sobie tylko znanym celem, by po paru chwilach zmienić się w małą czarną kropkę i zniknąć. Ford zaczął powracać w myślach do Kate i ich związku oraz długiej podróży przez życie, jaką odbył od tamtego czasu. Co nieuchronne, powróciły też doń wspomnienia o żonie. Jej śmierć pozbawiła go wszelkich złudzeń co do poczucia bezpieczeństwa, jakie zdołał w sobie wypracować. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak bezwzględne może być życie. Tragedie przydarzały się innym. Dobra, przyswoił sobie tę lekcję. Jemu też mogło się to przydarzyć. Idziemy dalej.

Dostrzegł lekki ruch zasłony w oknie i domyślił się, że Begay go obserwuje.

Zastanawiał się, ile czasu tamten potrzebuje, by pojąć, że przybysz się stąd nie ruszy. Miał nadzieję, że niewiele; piasek zaczął przenikać już przez materiał jego spodni, dostawał mu się do butów i skarpet.

Trzasnęły drzwi i Begay wyszedł na drewniany ganek z rękoma skrzyżowanym na piersiach; wyglądał na nielecho wkurzonego. Spojrzał na Forda, mrużąc powieki, po czym, kuśtykając, zszedł po rozchwierutanych drewnianych stopniach i poczłapał w jego stronę. Wyciągnął rękę i pomógł Fordowi wstać.

- Jest pan najbardziej cierpliwym białym, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Chyba powinienem zaprosić pana do środka. Tylko niech pan wpierw otrzepie się z kurzu, zanim zniszczy mi pan nową kanapę.

Ford zrobił to i wszedł za Begayem do salonu, gdzie obaj usiedli.

- Kawy?
- Poproszę.

Begay wrócił z kubkami płynu wodnistego jak herbata. Ford przypomniał sobie, że Nawahowie z oszczędności parzyli te same fusy z kawy po kilka razy.

- Mleko? Cukier?
- Nie, dziękuję.

Begay nasypał cukru do swojego kubka i dolał hojnie mleka z kartonu.

Ford zlustrował wzrokiem pokój. Brązowa kanapa z obiciem z welwetu, na której siedział, nie wyglądała bynajmniej na nową. Begay usadowił się w zapadniętym fotelu. W rogu pokoju stał drogi szerokoekranowy telewizor, jedyna cenna rzecz w domu, która rzuciła się w oczy. Ściana z tyłu została ozdobiona rodzinnymi fotografiami, wiele z nich ukazywało młodych mężczyzn w mundurach wojskowych.

Ford z zaciekawieniem przeniósł wzrok na Begaya. Szaman nie wyglądał tak, jak się tego spodziewał, nie był młodym zagorzałym aktywistą ani pomarszczonym mądrym staruchem. Był szczupły, miał starannie przycięte włosy i wyglądał na czterdzieści kilka lat. Zamiast kowbojek, które nosiła większość Nawahów w Ramah, miał na nogach trampki, mocno sfałtygowane, wyblakłe i z odlepiającymi się gumowymi czubami. Na jego indiańskie pochodzenie mógł wskazywać jedynie naszyjnik z turkusów.

- No dobrze, czego pan ode mnie chce? - spytał Begay łagodnym, spokojnym tonem z charakterystycznym akcentem Nawahów, który zdawał się przydawać znaczenia każdemu słowu.

Ford ruchem głowy wskazał na ścianę.

- Pańska rodzina?

- Bratankowie.
- Służą w wojsku?
- Służyli. Jeden stacjonował w Korei Południowej. Drugi, Lorenzo, odbył jedną turę w Iraku, a teraz... - zawahał się - wrócił do domu.

- Musi pan być z nich dumny.

- Jestem.

Znów cisza.

- Słyszałem, że zamierza pan poprowadzić kawalkadę protestu przeciwko projektowi Isabella.

Żadnej odpowiedzi.

- Właśnie po to tu jestem. By wysłuchać waszych skarg.

Begay zaplótł ręce na piersiach.

- Już za późno na słuchanie czegokolwiek.

- Proszę spróbować.

Begay rozluźnił ramiona i wychylił się do przodu.

- Nikt nie pytał tutejszej ludności, czy chce mieć w tej okolicy Isabellę. Układ zawarto w Window Rock. Oni wzięli pieniądze, a my zostaliśmy z niczym. Obiecano nam miejsca pracy, ale wasi ludzie sprowadzili robotników skądinąd. Zapewniano, że dzięki temu przedsięwzięciu okolicę czeka rozkwit ekonomiczny, ale wasi ludzie sprowadzają żywność i zapasy z Flagstaff. Wasi ludzie ani razu nie zrobili zakupów w tutejszych sklepach w Blue Gap czy Rough Rock. Zbudowaliście wasze osiedle w dolinie Anasazi, beczeszcząc groby, a później zagrabialiście ziemię pod wypas, z której wciąż korzystaliśmy, i nie zaoferowaliście za to żadnej rekompensaty. Teraz z kolei słyszymy plotki o rozbijaniu atomów i promieniowaniu.

Oparł wielkie dłonie na kolanach i spiorunował wzrokiem Forda.

Ford pokiwał głową.

- Słucham pana.

- Cieszę się, że nie jest pan głuchy. Nic o nas nie wiecie. Po dejrzwam, że nie ma pan nawet pojęcia, która jest teraz godzina.
- Uniósł brwi w pytającym geście. - No dalej, proszę mi powie dzieć, która jest według pana godzina.

Ford wiedział, że tamten go nabiera, ale mimo wszystko nie spasował.

- Dziewiąta.

- Myli się pan! - rzucił triumfalnie Begay. - Jest dziesiąta.

- Dziesiąta?

- Zgadza się. Tu, w Wielkim Rezerwacie, przez pół roku żyjemy w innej strefie czasowej niż reszta Arizony, a przez pół roku w tej samej. Godziny i minuty to zresztą wymysł *Bilagaana*, ale chciałem przez to powiedzieć, że wy, geniusze, tak mało o nas wiecie, że nie potraficie nawet nastawić zegarków jak należy.

Ford spojrzał na niego stanowczo.

- Panie Begay, jeżeli zgodzi się pan na współpracę ze mną, by dokonać naprawdę istotnych zmian, obiecuję, że uczynię wszystko, co w mojej mocy. Ma pan podstawy prawne, by docho dzić swego.

- Kim pan jest, jakimś naukowcem?

- Antropologiem.

Zapadła nagła cisza. Wreszcie Begay odchylił się do tyłu. Jego ciałem wstrząsnął oschły śmiech.

- Antropolog. Jakbyśmy byli jakimś prymitywnym plemie niem. To dopiero zabawne. - Przestał się śmiać. - No dobrze, je stem Amerykaninem, tak jak pan. Mam krewnych, którzy wal czyli za mój kraj. Nie podoba mi się, że tacy jak pan przybywają na mój płaskowyż, budują maszynę, która wszystkich przeraża, składają mnóstwo obietnic, których nie dotrzymują, a teraz jesz cze wysyłają antropologa, jakbyśmy byli dzikusami mającymi w nosach kawałki kości.

- Przysłano mnie tu tylko dlatego, że spędziłem sporo czasu w Ramah. Chciałbym ze swej strony zaprosić pana do kompleksu Isabella, aby zwiedził pan to miejsce, poznał Gregoryego Hazeliusa, zobaczył, co tam robimy, i spotkał się z zespołem.

Begay pokręcił głową.

- Czas na odwiedzin i oprowadzanie minął. - Przerwał, po czym nieomal niechętnie dorzucił: - Co wy tam właściwie prowadzicie za badania? Słyszałem różne dziwne historie.

- Badamy Wielki Wybuch.

- Co to takiego?

- To teoria, zgodnie z którą wszechświat powstał trzynaście miliardów lat temu wskutek wybuchu i od tamtej pory stale się rozszerza.

- Innymi słowy, wtykacie nos w sprawy Stwórcy.

- Stwórca nie na darmo dał nam mózgi.

- Zatem wy nie wierzycie, że to Stwórca stworzył wszechświat.

- Jestem katolikiem, panie Begay. Moim zdaniem On dokonał tego właśnie poprzez Wielki Wybuch.

Begay westchnął.

- Jak już wspomniałem, dość gadania. W piątek jedziemy całą kawalkadą na płaskowyż. To wiadomość, którą może pan przekazać waszemu zespołowi. A teraz, jeżeli można, mam sporo pracy.

Ford dotarł na Ballew do miejsca, gdzie szlak zaczynał się pięć. Uniósł wzrok, lustrując głązy, klify i występy skalne. Teraz, kiedy już wiedział, że Ballew potrafił pokonywać zakręty i trudne miejsca na szlaku, nie było sensu iść pod górę pieszo. Przejedzie tę drogę konno.

Kiedy godzinę później wyjechał przez wyłom skalny na szczyt płaskowyżu, Ballew natychmiast przeszedł w trucht, prag-

nąc jak najszybciej wrócić do stajni. Ford w przypiływie paniki uchwycił się lęku siodła zadowolony, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak kretyńsko teraz wygląda. Około pierwszej w zasięgu wzroku ujrzał Nakai Rock i niskie wzgórza otaczające kotlinę. Gdy wjechał pomiędzy topole, usłyszał oschły śmiech i ujrzał postać maszerującą zawzięcie ścieżką od strony Isabelli w kierunku osiedla.

To był Wołkoński, programista komputerowy. Długie przetłuszczone włosy miał w nieładzie, wyglądał na wymizowanego i zagniewanego, ale równocześnie uśmiechał się jak obłąkany.

Ford zatrzymał Ballew, zsiadł szybko z konia i ustawił wierzchowca tak, by zagrozić tamtemu drogę.

- Witam.
- Przepraszam - rzekł Wołkoński, usiłując go ominąć.
- Miły dzień, nieprawda?

Wołkoński zatrzymał się i spojrzał na niego z gniewnym rozbawieniem.

- Miły dzień, powiada pan? Ja panu na to, nie mógłby być lepszy!

- Doprawdy? - rzucił Ford.
- A czemu pana to tak interesuje, panie antropologu?

Przekrzywił głowę w bok, szczerząc w fałszywym uśmiechu zbrązowiałe zęby.

Ford podszedł tak blisko, że mógł nieomal dotknąć Rosjanina.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz, tego dnia raczej nie powinieneś uważać za udany.

Wołkoński położył dłoń na ramieniu Forda w przesadnym geście udawanej przyjaźni i nachylił się ku niemu. Ford poczuł przesycony wonią alkoholu i tytoniu oddech tamtego.

- Wcześniej się martwiłem. Teraz już wszystko w porządku!

Odchylił głowę i zaniósł się gromkim śmiechem, a jego nieogolone jabłko Adama unosiło się i opadało gwałtownie. Z tyłu rozległy się kroki. Wołkoński nagle się wyprostował.

- Ach, Peter - rzekł Wardlaw, podchodząc ścieżką w ich stronę. - I Wyman Ford. Witajcie. - W jego głosie, cichym, choć przesyconym dziwną ironią, wyczuło się szczególny nacisk na ostatnie wypowiedziane przez szefa ochrony słowo.

Wołkoński drgnął nerwowo.

- Przyszedłeś tu prosto z Bunkra, Peter? - W pytaniu Wardlaw dało się wyczuć bliżej niesprecyzowaną groźbę.

Wołkoński wciąż się uśmiechał jak obłąkany, ale Ford dostrzegł w jego oczach niepokój... a może strach?

- Zgodnie z wpisem do dziennika ochrony byłeś tam przez całą noc - ciągnął Wardlaw. - Martwiłem się o ciebie. Mam nadzieję, że dostatecznie się wysypiasz, Peter.

Wołkoński minął go bez słowa i sztywno poczłapał dalej. Wardlaw odwrócił się do Forda, jakby nie stało się nic niezwykłego.

- Miły dzień na przejażdżkę.

- Właśnie o tym gawędziliśmy - rzucił oschłym tonem Ford.

- Gdzie pan był?

- Pojechałem do Blackhorse, by spotkać się z szamanem.

- I?

- Spotkałem się z nim.

Wardlaw pokręcił głową.

- Ten Wołkoński... jest zawsze taki spięty. - Postąpił krok naprzód i nagle się zatrzymał. - Nie wspominał o niczym... dziwnym?

- To znaczy? - zapytał Ford.

Wardlaw wzruszył ramionami.

- Kto go tam wie? Ten facet jest trochę nie zrównoważony.

Ford patrzył, jak Wardlaw odchodzi z wielkimi łapskami wciśniętymi w kieszenie spodni. Ten mężczyzna podobnie jak cała reszta zespołu balansował na krawędzi załamania, ale ukrywał to znacznie lepiej niż inni.

11

Eédty stał przed swoją przyczepą ze szklanką zimnej wody w ręku, patrząc, jak słońce znika leniwie za horyzontem. Lorenza nigdzie nie było widać - ulotnił się około południa, równie bezszelstnie i niespodziewanie, jak się pojawił, nie dokończywszy pracy. Na stole leżał stos nieposortowanej odzieży, a podwórce wokół kościoła nie zostało zamiecione. Eddy wpatrywał się w horyzont, pałając z oburzenia. Nie powinien był w ogóle zgodzić się na przyjęcie Lorenza. Ten chłopak siedział w więzieniu za nieumyślne zabójstwo, kwalifikację czynu obniżono z morderstwa drugiego stopnia, zadźgał kogoś nożem podczas pijackiej bójki w Gallup. Odsiedział tylko osiemnaście miesięcy. Eddy zgodził się go zatrudnić na prośbę miejscowej rodziny, by pomóc mu wypełnić warunki konieczne do uzyskania zwolnienia warunkowego.

Poważny bład.

Eddy napił się zimnej wody, próbując stłumić w sobie pałący gniew i oburzenie. Jak dotąd nie miał wieści ze sklepu w Blue Gap, ale z pewnością już wkrótce je otrzyma. A kiedy to nastąpi, będzie miał niezbitą dowód, którego potrzebował, i na dobre pozbędzie się Lorenza, odeśle go z powrotem za kratki, gdzie było jego miejsce. Osiemnaście miesięcy za morderstwo - nic dziwnego, że liczba przestępstw na terenie rezerwatu była niebotyczna.

Upił kolejny łyk i zdziwił się, ujrawszy rozmytą sylwetkę mężczyzny zmierzającego drogą w stronę misji; w słońcu postać była prawie niewidoczna. Patrzył spod półprzymkniętych powiek.

Lorenzo.

Jeszcze z daleka po niepewnym chodzie domyślił się, że tamten jest pijany. Eddy splótł ramiona na piersiach, a jego serce zabiło żywiej, gdy pomyślał o czekającej go konfrontacji. Już mu nie odpuści - nie tym razem.

Lorenzo dotarł do bramy, oparł się na chwilę o słupek, po czym wszedł.

- Lorenzo?

Nawaho powoli odwrócił głowę. Oczy miał przekrwione, kretyńskie warkoczyki na wpół rozplecione, bandaną na głowie przekrzywioną. Wyglądał okropnie, dziwnie zgarbiony, jakby dźwigał na swoich barkach brzemię całego świata.

- Podejdz, proszę, do mnie. Chciałbym zamienić z tobą słówko.

Lorenzo tylko na niego patrzył.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

Indianin odwrócił się i, powłócząc nogami, poczłapał w stronę stosu ubrań.

Eddy szybko podszedł i zastąpił tamtemu drogę. Indianin przystanął i uniósł głowę, spoglądając na niego. Jego oddech był przesycony kwaśną wonią burbona.

- Lorenzo, wiesz doskonale, że picie napojów alkoholowych stanowi pogwałcenie zasad zwolnienia warunkowego.

Tamten tylko na niego patrzył.

- Poza tym poszedłeś sobie, nie dokończywszy pracy. Mam informować twojego kuratora, jak się sprawujesz, i nie zamierzam go oszukiwać. Nie będę kłamał. Wylatujesz.

Lorenzo spuścił głowę. Przez chwilę Eddy myślał, że ma to być gest skruchy, ale zaraz usłyszał chrząknięcie, gdy Lorenzo strzyknął stróżką lepkiej obrzydliwej flegmy wprost pod nogi karnodziei.

Eddy poczuł, że jego serce zaczyna bić jak szalone. Był wściekły.

- Ej, kolego, nie pluj, kiedy mówię do ciebie.
Lorenzo zrobił krok w bok, aby obejść Eddy ego, ale pastor znów zastąpił mu drogę.

- Słuchasz mnie, czy jesteś zbyt pijany?
Indianin tylko stał przed nim.

- Skąd miałeś pieniądze na alkohol?
Lorenzo uniósł rękę i ciężko ją opuścił.

- Zadałem pytanie.
- Jeden facet był mi winien kasę. - Głos Nawaho był ochryply.
- Czyżby? Kto taki?
- Nie wiem, jak się nazywa.
- Nie wiesz, jak się nazywa - powtórzył Eddy.

Lorenzo raz jeszcze, bez przekonania, spróbował go ominąć, ale Eddy znów zastąpił mu drogę. Poczul, że trzęsą mu się ręce.

- Tak się składa, że wiem, skąd masz te pieniądze. Ukradłeś je. Z tacy.

- Bzdura.
- Wcale nie. Ukradłeś je. Ponad pięćdziesiąt dolarów.
- Gówno prawda.
- Nie klnij, Lorenzo. Widziałem, jak je wziąłeś - skłamał, za nim zdążył się pohamować.

Ale to już nie miało znaczenia, równie dobrze faktycznie mógł go przy tym zobaczyć. Chłopak miał winę wręcz wypisaną na twarzy. Lorenzo nic nie powiedział.

- To było pięćdziesiąt dolarów, których ta misja rozpaczliwie potrzebuje. Ale okradłeś nie tylko misję. Okradłeś nie tylko mnie. Okradłeś Boga.

Żadnej reakcji.

- Jak, twoim zdaniem, Bóg na to zareaguje? Pomyślałeś o tym, gdy brałeś te pieniądze, Lorenzo? Jeśli twoja prawa ręka jest ci powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie; lepiej

jest bowiem dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła.

Lorenzo odwrócił się gwałtownie i ruszył w drugą stronę, w kierunku miasteczka. Eddy rzucił się naprzód i schwycił go za koszulę na wysokości ramienia. Lorenzo wyrwał mu się i poszedł dalej. W pewnej chwili skręcił i podążył w stronę przyczepy.

- A ty dokąd? - zawołał Eddy. - Nie wchodź tam!

Lorenzo zniknął wewnątrz przyczepy. Eddy pobiegł za nim i przystanął przy wejściu.

- Wyłaź stamtąd!

Bał się wejść do środka, żeby tamten na niego nie napadł znie-nacka.

- Jesteś złodziejem! - zawołał. - Ot co! Zwyczajnym złodziejem! Precz z mojego domu! Wzywam policję!

Z kuchni dobiegł trzask, przez pokój przeleciała szuflada z zastawą stołową.

- Zapłacisz mi za szkody! Co do centa!

Kolejny trzask i kolejna wyrzucona szuflada. Eddy rozpaczliwie chciał wejść do środka, bał się jednak. Przynajmniej pijany Indianin szalał w kuchni, a nie w sypialni z tyłu, gdzie znajdował się komputer.

- Wychodź stamtąd, ty ochlapusie! Śmieciu! Jesteś zakałą w oczach Chrystusa! Doniosę na ciebie do kuratora i wrócisz do więzienia! Masz to jak w banku!

Nagle Lorenzo pojawił się u wejścia z długim nożem do chleba w ręku.

Eddy cofnął się i zszedł z ganku.

- Lorenzo. Nie.

Indianin stał na ganku, niemrawo wymachując nożem i mrużąc oczy od słońca. Nie próbował podejść do pastora.

- Rzuć nóż, Lorenzo. Rzuć go.

Chłopak opuścił rękę.

- Rzuć nóż, natychmiast. - Eddy zauważył, że kurczowo zacisnięte na trzonku palce powoli się rozluźniają. - Rzuć nóż albo Jezus cię ukarze.

Wtem z gardła Lorenza dobył się gniewny warkot:

- Pieprzę twojego Jezusa, pieprzę go w dupę, o tak!

I dźgnął nożem w powietrze tak mocno, że omal się nie przewrócił.

Eddy cofnął się, te słowa podziałały na niego jak kopnięcie w brzuch.

- Jak śmiesz! Błuźnisz przeciwko naszemu Zbawicielowi? Jesteś chory... Jesteś skalany złem! Spłoniesz w piekle, czarci pomoiacie! Ty... - wysoki, przenikliwy, pełen hysterii głos Eddy ego uwiązał mu w gardle.

Z ust Lorenza popłynął odrażający gardłowy rechot. Chłopak wciąż wymachiwał nożem z boku na bok i uśmiechał się, jakby napawał się przerażeniem Eddy ego.

- Właśnie tak. W dupę.

- Szeźniesz w piekle! - zakrzyknął Eddy, zdobywając się na odwagę. - Będziesz wzywał Jezusa, by zwilżył twe spierzchnięte wargi, lecz On cię nie wysłucha. Bo jesteś śmieciem. Zwykłym ludzkim śmieciem!

Lorenzo znów splunął.

- No i dobrze.

- Zapamiętaj moje słowa. Bóg cię ukarze. Zapłacisz za swoje słowa, plugawy bluźnierco! Okradłeś Pana, parszywy indiański złodzieju!

Lorenzo rzucił się na Eddyego. Kaznodzieja jednak był drobny i zwinny i kiedy nóż szerokim niezdarnym łukiem przeciął powietrze, zmierzając w jego kierunku, uskoczył w bok i schwytał przedramię Lorenza. Indianin wyrywał się, próbując dosięg-

nać Eddyego nożem, jednak pastor wczepił się w jego rękę jak te-
rier, szarpiąc ją i wykręcając, by wytrącić z niej nóż.

Lorenzo stękał i napinał się, ale był zbyt pijany i brakowało
mu siły. Nagle jego ręka opadła bezwładnie, a Eddy wciąż go nie
puszczał.

- Rzuć nóż.

Lorenzo stał przed nim niepewnie. Eddy, dostrzegając swoją
szansę, pchnął Lorenza ramieniem, odwracając go bokiem i zła-
pał za nóż.

Straciwszy równowagę, Eddy przewrócił się do tyłu, a Loren-
zo runął na niego. Zanim jednak to się stało, Eddy zdążył schwy-
cić nóż za rękojeść. Lorenzo upadł na nóż, tak że ostrze pogrą-
żyło się w jego piersi, przebijając na wylot serce. Eddy poczuł
gorącą strugę krwi zalewającą mu dłonie i z głośnym krzykiem
puścił nóż, a potem wyczołgał się spod ciała Indianina. Nóż tkwił
w piersi Lorenza na wysokości serca.

- Nie!

To niesamowite, ale Lorenzo z nożem sterczącym z piersi
jeszcze podźwignął się z ziemi. Zatokczył się chwiejnie kilka kro-
ków do tyłu i ostatkiem sił zacisnął obie ręce na trzonku noża.
Stał tak jeszcze przez chwilę, napinając mięśnie, by wydobyć
ostrze z piersi, ale siły szybko go opuściły. Jego twarz powoli sta-
wała się biała i pusta, oczy mętniały coraz bardziej. W końcu ru-
nął do przodu, przewracając się ciężko na piach z takim impetem,
że nóż wbił się jeszcze głębiej w jego pierś, a czubek ostrza wy-
łonił się z jego pleców.

Eddy patrzył w osłupieniu, jego usta poruszały się bezgłoś-
nie. Spod ciała Indianina wypłynęła kałuża krwi rozlewającej
się i wsiąkającej w piach, który sprażony słońcem łąpczywie
chłonał posokę, pozostawiając na powierzchni galaretowate
szkarłatne grudki.

Eddy'emu od razu przyszła do głowy myśl: *Już nigdy więcej nie będę ofiarą.*

Słońce zaszło dawno temu i zrobiło się chłodno, zanim Eddy skończył kopać dół. Piasek był miękki i suchy, a on wykopał naprawdę bardzo głęboki dół.

Przerwał, cały zlany potem i rozdygotany zarazem. Wygramolił się z dołu, wyciągnął drabinę na górę i stopą zepchnął ciało do środka. Spadło na dno przy wtórze wilgotnego plaśnięcia.

Skrupulatnie wrzucał do dołu łopatą przesiąknięty krwią piach, starając się nie przeoczyć ani ziarenka. Następnie rozebrał się i wrzucił do środka całe swoje ubranie. Na koniec wlał do dołu kubeł brudnej od krwi wody, w której umył ręce, a potem dorzucił jeszcze ręcznik, którym się wycierał.

Stał goluteński i drżący na skraju czarnego dołu. Czy powinien się pomodlić? Co mogła dać modlitwa komuś, kto wił się już teraz w męczarniach pośród gorejących ogni piekielnych? Eddy powiedział, że Bóg ukarze bluźniercę, i niespełna piętnaście sekund później tak właśnie się stało. Bóg obrócił uzbrojoną w nóż dłoń bluźniercy przeciw niemu samemu. Eddy widział to na własne oczy - był świadkiem cudu.

Wciąż nagi zasypał dół, pracując łopatą ciężko i metodycznie, by zachować ciepłotę ciała. Skończył tuż przed północą. Zlustrował wzrokiem efekt swojej pracy, schował narzędzia i wrócił do przyczepy.

Kiedy pastor leżał tej nocy w łóżku, modląc się żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu, usłyszał zrywający się nocny wiatr, jak to się nieraz zdarzało. Podmuchy kołysały i smagały starą przyczepę, piach z sykiem uderzał w okna. Do rana, pomyślał Eddy, wiatr starannie zamiecie całe podwórze, piasek będzie wyglądał na nie-naruszony, po niedawnym zdarzeniu zniknie wszelki ślad.

Pan oczyszcza dla mnie ziemię, tak jak wybacza mi i oczyszcza mą duszę z grzechu.

Eddy leżał w ciemnościach rozdygotany i triumfujący.

12

Tego wieczoru Booker Crawley podążył za *maitre dhôtel* do drugiej sali restauracji w McLean w Wirginii i ujrzał wielbnego D.T. Spatesa siedzącego już przy stoliku i przeglądającego ważącą dwa i pół kilo oprawną w skórę kartę dań.

- Miło znów pana widzieć, wielbny. - Uścisnął mu dłoń.
- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Crawley.

Crawley zajął miejsce, strzepnięciem nadgarstka rozłożył fanta zycznie ułożoną płócienną serwetkę i umieścił ją sobie na udach.

Zjawił się kelner od koktajli.

- Czy mogę zaproponować coś do picia?
- Seven i seven - rzekł pastor.

Crawley aż się skulił, zadowolony, że wybrał restaurację, w której nikt go nie poznawał. Wielbny pachniał old spiceem, a jego baczki były o centymetr za długie. W rzeczywistości wyglądał o dwadzieścia lat starzej niż na ekranie, jego twarz upstrzona była plamami wątrobowymi, a szorstka zaczerwieniona skóra zdradzała zbyt duży pociąg pastora do butelki. Jego rude włosy lśniły w dyskretnym świetle. Jak ktoś, kto przykładał wielką wagę do swojego wizerunku w mediach, mógł tolerować tak fatalną fryzurę?

- A dla pana?
- Martini bombay sapphire, bardzo wytrawne, z plasterkiem cytryny.

- Już podaję.

Crawley uśmiechnął się szeroko.

- Cóż, widziałem wczoraj pański program, wielbny. To było... niesamowite.

Spates pokiwał głową, stukając pulchną wypielegnowaną dłonią w obrus.

- Bóg był ze mną.
- Zastanawiałem się, czy otrzymał pan jakiś odzew.
- Oczywiście. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny do mojego biura napłynęło ponad osiemdziesiąt tysięcy maili.

Cisza.

- Osiemnaście tysięcy?
- Nie. Osiemdziesiąt tysięcy.

Crawleyowi zabrakło słów.

- Od kogo? - zapytał w końcu.
- Od widzów, ma się rozumieć.
- Czy słusznie domyślam się, że to dość niespotykana reakcja?
- W rzeczy samej. Kazanie naprawdę trafiło w czuły punkt.

Kiedy rząd wydaje pieniądze podatników, by zaprzeczyć prawdziwości słów bożych, to rozumiałe, że wszyscy chrześcijanie murem stają w obronie wiary.

- Tak, oczywiście. - Crawley wysilił się na uśmiech.

Osiemdziesiąt tysięcy. To mogło przerazić każdego kongresmena. Przerwał na chwilę, gdy kelner przyniósł im zamówione drinki.

Spates oplótł pulchną dłonią oszronioną szklaneczkę, upił łyk i odstawił.

- Pozostaje jeszcze kwestia datku, jaki zechciał przekazać pan na rzecz Zboru Bożego Czasu.
- Jasne. - Crawley dotknął marynarki ponad wewnętrzną kieszeń. - Wszystko w swoim czasie.

Spates wypił kolejny łyk.

- Jaka jest reakcja Waszyngtonu?

Łącznicy Crawleya dowiedzieli się, że nadeszła też znaczna liczba e-maili od wielu kongresmenów, nie wspominając już

0 licznych telefonach. Nie zamierzał jednak zbytnio rozbudzać oczekiwań Spatesa.

- Taka sprawa jak ta musi się trochę odleżeć, zanim przeniknie przez twardą skorupę Waszyngtonu.

- Od moich widzów dowiedziałem się czegoś całkiem innego. Wiele z tych e-maili zostało skopiowanych i przesłanych do Waszyngtonu.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - rzucił pospiesznie Crawley. Zjawił się kelner i przyjął ich zamówienia.

- A teraz, jeśli łaska - powiedział Spates - chciałbym odebrać ten datek, zanim przyniosą nam posiłek. Nie chcę, żeby się zatłuścił.

- Oczywiście.

Crawley wyjął z kieszeni kopertę i położył niespostrzeżenie na stoliku, po czym znów się skulił, gdy Spates sięgnął ręką i ostentacyjnie uniósł kopertę. Rękaw marynarki pastora zsunął się nieznacznie, odsłaniając mięsisty nadgarstek porośnięty rudymi włosami. A więc naprawdę był rudy. Jak to możliwe, że szcegół, który w wyglądzie Spatesa wydawał się najbardziej fałszywy, był jak najbardziej prawdziwy? Czy było coś istotniejszego, co przeoczył, jeżeli chodziło o tego człowieka? Crawley stłumił w sobie irytację.

Spates odwrócił kopertę i rozerwał ją polakierowanym paznokciem. Wysunął czek z koperty, uniósł do światła i uważnie go obejrzał.

- Dziesięć tysięcy dolarów - przeczytał powoli.

Crawley rozejrzał się wokoło i odetchnął z ulgą, stwierdzivszy, że prócz nich w drugiej sali restauracji nie było nikogo. Ten człowiek nie miał za grosz klasy.

Spates wciąż wpatrywał się w czek.

- Dziesięć tysięcy dolarów - powtórzył.

- Zakładam, że to wystarczy?

Wielebny wsunął czek z powrotem do koperty i włożył ją do kieszeni.

- Wie pan, ile kosztuje prowadzenie mojego kościoła? Pięć tysięcy dziennie. Trzydzieści pięć tysięcy tygodniowo, prawie milion dolarów rocznie.

- To spore przedsięwzięcie - zauważył Crawley.

- Poświęciłem całą godzinę mojego kazania pańskiemu problemowi. Mam nadzieję poruszyć go raz jeszcze w programie *Ameryka przy okrągłym stole* w ten piątek. Ogląda go pan?

- Zawsze. - Crawley wiedział, że kanał chrześcijański na kabłowce puszcza co tydzień talk-show Spatesa, ale nigdy go jeszcze nie widział.

- Zamierzam mówić o tym tak długo, aż wszyscy chrześcijaństwo nie w tym kraju poczują, że ogarnia ich słuszny gniew.

- Jestem bardzo wdzięczny, wielebny.

- W tej sytuacji dziesięć tysięcy dolarów to zaledwie kropla w morzu.

Cholerny świątobliwy pajac, pomyślał Crawley. Nie znosił użerania się z takimi ludźmi.

- Proszę wybaczyć, wielebny, ale odniosłem wrażenie, że zajmie się pan tą sprawą w zamian za jednorazowy datek.

- I tak się stało: jeden datek, jedno kazanie. Teraz mówię o wzajemnej relacji.

Spates uniósł szklankę do wilgotnych ust i dopił jej zawartość, pozostawiając tylko kostki lodu. Odstawił szklankę na stół i wytarł usta.

- Dałem panu wyśmienity temat. Sądząc po reakcji, warto pójść za ciosem, niezależnie od, rzekłbym, aspektów natury materialnej.

- Przyjacielu, wokół nas trwa wojna przeciwko wierze. Walczymy z humanistami świeckimi na wielu frontach. Mogę

w każdej chwili zmienić ukształtowanie linii frontu. Jeżeli chcesz, abym walczył na twoim przyczółku, to, sam rozumiesz, musisz się dołożyć.

Kelner przyniósł dla nich filety mignon. Spates zamówił dobrze wysmażony, a kawałek mięsa za trzydzieści dziewięć dolarów leżący teraz przed nim miał kształt, rozmiar i kolor krążka hokejowego. Spates splótł dłonie i pochylił głowę nad talerzem. Crawley dopiero po chwili zorientował się, że tamten modlił się i dziękował za posiłek, a nie wachał przyniesione danie.

- Czy mogę podać coś jeszcze? - spytał kelner.

Wielebny uniósł głowę i wziął do ręki szklanke.

- Jeszcze raz to samo.

Spojrzał na oddalającego się kelnera spod przymkniętych powiek.

Myślę, że ten mężczyzna jest homoseksualistą.

Crawley wziął długi głęboki oddech.

- Jaki wobec tego proponuje pan układ, wielebny?

- *Quid pro quo*. Coś za coś. Ty zrobisz coś dla mnie, a ja zrobię coś dla ciebie.

Crawley czekał.

- Powiedzmy pięć tysięcy na tydzień, a ja ze swej strony gwarantuję, że wspomnę o projekcie Isabella w każdym kazaniu i co najmniej raz poruszę ten temat podczas mojego talk-show.

A więc tak to miało wyglądać.

- Dziesięć tysięcy miesięcznie - powiedział chłodno Crawley - z gwarancją co najmniej dziesięciu minut poświęconych temu tematowi podczas każdego kazania. Co się tyczy programu w kablówce, spodziewam się, że najbliższy będzie poświęcony w całości Isabelli i że temat ten będzie kontynuowany w kolejnych. Moje dotacje będą wpływać na koniec każdego miesiąca już po emisji programu. Każda wpłata zostanie skrupulatnie od-

notowana jako datek charytatywny z potwierdzeniem na piśmie.
To moja pierwsza, ostatnia i jedyna propozycja.

Wielebny Don T. Spates spojrział z zamyśleniem na Crawleya. Zaraz potem na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Piegowata dłoń przesunęła się nad stołem, spod mankietów znów wychynęły rude włosy.

- Bóg zadba, aby to były naprawdę dobrze wydane pieniądze, przyjacielu.

13

We wtorek rankiem, jeszcze przed śniadaniem, Ford siedział przy kuchennym stole w swojej *casita*, wpatrując się w plik teczek. Nie było powodu, dla którego wysoki iloraz inteligencji miałby chronić kogokolwiek przed trudami życia i zmiennymi kolejami losu, lecz ta grupa wydawała się mieć więcej problemów niż inni: trudne dzieciństwo, dysfunkcyjni rodzice, kłopoty z tożsamością seksualną, osobiste porażki, nawet kilka bankructw. Thibodeaux od dwudziestego roku życia uczęszczała na terapię, odkąd zdiagnozowano u niej stan zbliżony do zaburzeń osobowości, o którym czytał wcześniej. Cecchini jako nastolatek związał się z sektą religijną. Edelstein cierpiał na depresję. St. Vincent był alkoholiczkiem. Wardlaw przeżył zespół stresu posttraumatycznego, gdy na jego oczach dowódca jego oddziału zmarł wskutek postrzału w głowę w jednej z jaskiń w górach Tora Bora. W wieku lat trzydziestu czterech Corcoran miała za sobą dwa małżeństwa i dwa rozwody. Innes otrzymał nagane za sypianie z pacjentkami.

Tylko Rae Chen nie miała żadnych ciemnych plam w życiorysie. Amerykańska Azjatka w pierwszym pokoleniu, jej rodzina prowadziła restaurację. Dolby także wydawał się w zasadzie normalny, choć dorastał w jednej z najgorszych dzielnic w Watts, a jego brat został sparaliżowany po postrzale zblakaną kulą podczas strzelaniny między gangami.

Najwięcej dowiedział się z lektury akt Kate. Czytał je z chorobliwą, budzącą wyrzuty sumienia fascynacją. Jej ojciec popełnił samobójstwo wkrótce po tym, jak Wyman i Kate się rozstali; zastrzelił się, gdy zbankrutowała firma, którą prowadził. Jej matka od tego czasu zaczęła podupadać na zdrowiu i wieku lat sie-

demdziesięciu trafiła do domu opieki, córki praktycznie już nie poznawała. Po śmierci matki w aktach Kate następowała prawie dwuletnia luka. Kate zapłaciła czynsz za mieszkanie w Teksasie za okres dwóch lat i zniknęła na ten czas. Ford uznał za niezwyczajne, że ani FBI, ani CIA nie udało się odkryć, dokąd się udała i co robiła. Odmówiła udzielenia odpowiedzi na ich pytania pomimo ryzyka, że nie przejdzie wymaganej kontroli, która była niezbędna do otrzymania stanowiska zastępczyni kierownika projektu Isabella. Tu jednak ujął się za nią Hazelius, a powód jego decyzji był oczywisty - łączył ich zażyły związek. Był on oparty raczej na przyjaźni niż namiętności i zakończył się w miarę spokojnie.

Ford pozbiierał akta, oburzony dogłębnnością, z jaką rząd naruszał prywatność tych ludzi, badając ich życie prywatne, czego miał jawny dowód w leżących przed nim teczkach. Zastanawiał się, jakim cudem zdołał przepracować te wszystkie lata w CIA. Klasztor zmienił go bardziej, niż przypuszczał.

Wyjął teczkę Hazeliusa i otworzył. Przeczytał pospiesznie jej zawartość, a teraz zaczął przeglądać ją z większą uwagą. Opis był sporządzony chronologicznie i Ford przeczytał go w takim właśnie porządku, by zwizualizować sobie dotychczasowe życie i osiągnięcia Hazeliusa. Miał on zdumiewająco proste pochodzenie, był jedynym dzieckiem solidnej rodziny należącej do klasy średniej, o korzeniach skandynawskich, ojciec był sklepikarzem, matka prowadziła dom. Byli nudnymi, skromnymi, pobożnymi ludźmi. Aż dziwne, że mogli wydać na świat takiego geniusza. Hazelius bardzo szybko dał się poznać jako urodzony geniusz: *summa cum laude* od Johna Hopkinsa w wieku lat siedemnastu, doktorat na Caltechu w wieku lat dwudziestu, profesor zwyczajny na Uniwersytecie Columbia w wieku lat dwudziestu sześciu, jako trzydziestolatek otrzymał Nagrodę Nobla.

Pomijając tę błyskotliwość, Hazeliusa trudno było rozgryźć. Nie przypominał typowych uczonych o wąskich horyzontach. Na Columbii studenci uwielbiali go za cięty dowcip, rozrywkowy charakter i zamiłowanie do mistyki. Grywał boogie-woogie i impresje na pianinie w zespole o nazwie Quarksters w knajpie przy Sto Dziesiątej, a lokal ten zawsze pękał w szwach od przychodzących tam studentów. Zabierał też swoich studentów do klubów ze striptizem. Opracował teorię „osobliwego atraktora” dla giełdy papierów wartościowych i zarobił miliony, zanim sprzedał ten system funduszowi hedgingowemu.

Po otrzymaniu Nagrody Nobla za pracę nad splątaniem stanów kwantowych Hazelius gładko wszedł w rolę dziedzica supergwiazdy fizyki, Richarda Feynmana. Opublikował ponad trzydzieści prac na temat niepełności teorii kwantowej, wstrząsając fundamentami tej dyscypliny. Otrzymał Medal Fieldsa w dziedzinie matematyki za udowodnienie trzeciej hipotezy Laplacea i był jedynym człowiekiem, któremu przyznano zarówno Nagrodę Nobla, jak i Fieldsa. Do swoich zdobyczy dołączył także Pulitzera za tomik poezji - dziwnie urokliwych wierszy, w których wyrafinowany język mieszał się z równaniami matematycznymi i naukowymi twierdzeniami. Zainicjował program pomocy w Indiach, zapewniając opiekę medyczną w regionach, gdzie zwyczajowo chore dziewczynki pozostawiano, by umarły; program zawierał także nienachalne, lecz intensywne szkolenie edukacyjne mające odmienić nastawienie społeczne do dziewczynek. Wyłożył miliony dolarów na kampanię mającą na celu powstrzymanie rytualnych okaleczeń narządów intymnych kobiet w Afryce. Opatentował - i to wydało się Fordowi zabawne - lepszą i bardziej humanitarną, lecz również skuteczniejszą, pułapkę na myszy.

Często pojawiał się na stronie szóstej „Post”, gawędząc ze sławnymi i bogatymi, ubrany zawsze w garnitur rodem z lat 70., z sze-

rokami klapami i z równie szerokim krawatem. Chwalił się, że kupował je od Armii Zbawienia, nigdy nie płacąc za nie więcej niż pięć dolarów. Był regularnie gościem u Lettermana, gdzie zawsze można było liczyć, że powie coś, co będzie sprzeczne z ogólnie przyjętymi zasadami poprawności politycznej - określał je mianem „nieprzyjemnych prawd” - i gdzie snuł z lubością swoje utopijne wizje.

Mając trzydzieści dwa lata, zaskoczył wszystkich, poślubiając supermodelkę i byłego króliczka „Playboya”, Astrid Gund, młodszą od niego o dziesięć lat i słynącą głównie z tego, że wszyscy uważali ją za inteligentną inaczej. Wszędzie mu towarzyszyła, nawet w programach telewizyjnych, gdzie patrzył na nią czule i z miłością, gdy radośnie szczebiocąc, wyrażała swoje ciepłe i skądinąd dość mętne opinie polityczne, a raz podczas dyskusji na temat 11 września rzuciła z nieskrywanym zdziwieniem: „Jejku, czemu ci wszyscy ludzie nie mogą przejść nad tym do porządku dziennego?”.

Tego już było za wiele. Również w tym okresie Hazelius powiedział coś, co tak rozjuszyło Zeitgeist, że przeszło do historii podobnie jak stwierdzenie Beatlesów, iż są popularniejsi od Jezusa. Jeden z dziennikarzy zapytał fizyka, dlaczego poślubił kobietę „tak bardzo ustępującą mu pod względem intelektualnym”. Hazeliusa te słowa uraziły do żywego. „A kogo miałbym poślubić? - ryknął na dziennikarza. - Wszyscy ustępują mi pod względem intelektualnym. Astrid umie przynajmniej kochać, a to zdecydowanie więcej, niż mogę powiedzieć o całej reszcie zidiociałej populacji ludzkości”.

Najinteligentniejszy człowiek świata powiedział wprost, że wszyscy inni są idiotami. Zrobiło się nieliche zamieszanie. Na pierwszej stronie „Post” pojawił się wielki nagłówek:

HAZELIUS DO ŚWIATA:
WSZYSCY JESTEŚCIE IDIOTAMI

Wszyscy jak jeden mąż, pracownicy radia i telewizji, wędrujący kaznodzieje i głosiciele niezbywalnych prawd, zapalali wobec uczonego strasznym gniewem. Hazelius został zdjęty ze wszystkich mównic i ambon w całej Ameryce, napiętnowany jako osobnik antyamerykański, antyreligijny, niepatriotyczny, mizantrop i przedstawiciel najbardziej pogardzanego gatunku: lubującej się w picciu sherry, zamkniętej w wieży z kości słoniowej wschodniej elity establishmentu.

Ford odłożył dokumenty i nalał sobie kolejną filiżankę kawy. Jak na razie treść akt nie odpowiadała temu, czego dowiedział się o Hazeliusie, który rozważał każde słowo i zachowywał się jak rozjemca, dyplomata i przywódca zespołu. Musiał jeszcze usłyszeć z jego ust choć jedną opinię natury politycznej.

Później Hazelius przeżył osobistą tragedię. Może to go odmieniło. Ford wertował akta, aż znalazł to, o co mu chodziło. Przed dziesięciu laty, kiedy Hazelius miał trzydzieści sześć lat, Astrid zmarła na wylew krwi do mózgu. Jej śmierć kompletnie go zdruzgotła. Na kilka lat odciął się od świata, zmieniając się w odludka pokroju Howarda Hughesa. Aż w końcu znów się pojawił z planami Isabelli. Wydał się całkiem odmieniony - koniec z udziałem w talk-show, z oburzającymi, obraźliwymi wypowiedziami, utopijnymi planami czy walką o przegraną sprawę. Wyzybył się snobistycznych ciągót i zrezygnował z tandetnych garniturów. Gregory North Hazelius dorósł.

Dzięki nadzwyczajnym umiejętnościom, cierpliwości i taktowi popychał swój projekt naprzód, zyskując sojuszników ze świata nauki, zdobywając wsparcie ze strony wszelkich fundacji i ludzi ze szczytów władzy. Nigdy nie przegapił okazji, by przypomnieć Amerykanom, że Stany Zjednoczone zostały daleko w tyle za Europą, jeżeli chodzi o badania nad fizyką jądrową. Dowodził, że Isabella mogła doprowadzić do pozyskania tanich źródeł energii,

których tak rozpaczliwie potrzebował cały świat - a za sprawą tego przedsięwzięcia wszystkie patenty, jak i know-how, będą w rękach amerykańskich. Tym stwierdzeniem udało mu się dokonać niemożliwego - wyciągnąć od Kongresu czterdzieści miliardów dolarów, i to w czasach kryzysu budżetowego.

Był, jak się wydawało, prawdziwym mistrzem perswazji prowadzącym zakulisowe działania, ostrożnym wizjonerem gotowym wszelako do podjęcia dużego, lecz skalkulowanego ryzyka. Takiego Hazeliusa zaczął poznawać Ford.

Isabella była tworem wielkiego geniuszu Hazeliusa, jego dzieckiem. Przemierzył cały kraj, osobiście dobierając ekipę spośród ścisłej elity fizyków, inżynierów i programistów. Wszystko szło gładko. Aż do teraz.

Ford zamknął teczkę i zamyślił się. Wciąż odnosił wrażenie, że nie zdołał przebić się przez wierzchnie warstwy, by ujrzeć, co tkwiło wewnątrz tego człowieka. Geniusz, showman, muzyk, utopijny marzyciel, oddany mąż, arogancki snob, błyskotliwy fizyk, cierpliwy lobbysta - który z nich był tym prawdziwym? A może za nimi wszystkimi krył się ktoś jeszcze, mroczna postać manipulująca tymi wszystkimi maskami?

Pewne szczegóły z życia Hazeliusa przypominały jego własne. Obaj utracili żony wskutek strasznych tragedii. Kiedy zginęła żona Forda, cały świat, jaki znał, nagle się zawalił, a on jak otępiały błąkał się pośród ruin. Reakcja Hazeliusa była diametralnie różna: śmierć żony pomogła mu skupić się na konkretnym celu. Ford zatracił sens życia, Hazelius swój odnalazł.

Zastanawiał się, jak mogło wyglądać jego własne dossier. Nie wątpił, że takowe istniało i że Lockwood je czytał, tak jak on czytał teraz te wszystkie akta. Jak mogło wyglądać? Dziecko z dobrej, zamożnej rodziny. Choate, Harvard, MIT, CIA, małżeństwo. A potem: bomba.

Co po bombie? Klasztor. A na koniec Advanced Security and Intelligence, Inc., tak oficjalnie brzmiała nazwa jego nowej firmy. Nagle uznał, że brzmi bardzo pretensjonalnie. Z kogo chciał żartować? Założył firmę cztery miesiące temu i to było pierwsze zlecenie, jakie uzyskał. Owszem, było bardzo atrakcyjne, ale wybrano go z konkretnych powodów. I nie mógł wspomnieć o tym w swoim *resume*.

Spojrzał na zegarek: był już spóźniony na śniadanie i w dodatku marnował czas na użalanie się nad sobą.

Włożywszy akta do teczek, zamknął je na klucz i ruszył w kierunku jadalni. Słońce wznosiło się właśnie ponad czerwone wzgórza i jego promienie przesączające się pomiędzy koronami topoli sprawiały, że lśniły jak odłamki żółtego i zielonego szkła.

Wnętrze jadalni wypełniał aromat cynamonowych bułeczek i bekonu. Hazelius siedział u szczytu stołu, prowadząc z Innesem ożywioną rozmowę. Kate zajęła miejsce po drugiej stronie, obok Wardlawa, i właśnie nalewała sobie kawę.

Na jej widok Ford poczuł ucisk w dołku.

Zajął ostatnie wolne miejsce obok Hazeliusa.

- Dobrze się spało?

- Wyśmienicie.

W jadalni byli wszyscy oprócz Wołkońskiego.

- A gdzie się podział Peter? - spytał Ford. - Nie widziałem jego wozu na podjeździe.

Rozmowy ucichły powoli.

- Doktor Wołkoński najwyraźniej postanowił nas opuścić - rzekł Wardlaw.

- Opuścić? Dlaczego?

W pierwszej chwili nikt się nie odezwał. W końcu nienaturalnie donośnym głosem Innes odparł:

- Być może - jako psycholog zespołu - jestem w stanie rzucić odrobinę światła na tę sprawę. Nie łamiąc zasady poufności zawodowej, mogę chyba powiedzieć, że Peter nigdy nie czuł się tu dobrze. Trudno mu było przywyknąć do izolacji i ciężkich, stresogennych warunków. Tęsknił za żoną i dzieckiem, które zostały w Brookhaven. Nic dziwnego, że postanowił odejść.

- Nic nikomu nie mówiąc?

- Wydajesz się zaniepokojony, Wyman - powiedział Hazelius, przyglądając mu się dość znacząco.

Ford pohamował się. Za bardzo się angażował, a człowiek o tak wybitnych zdolnościach obserwacyjnych jak Hazelius musiał zwrócić na to uwagę.

- Nie tyle zaniepokojony - odrzekł Ford - ile zaskoczony.

- Obawiałem się, że może do tego dojść, i to już od jakiegoś czasu - powiedział Hazelius. - Peter nie był stworzony do takiego życia. Jestem pewien, że odezwie się, kiedy już dotrze do domu. A teraz, Wyman, czy zechciałbyś opowiedzieć nam o swojej wczorajszej wizycie u Begaya.

Wszyscy odwrócili się, by tego posłuchać.

- Begay jest wściekły. Ma całą listę skarg przeciwko projektowi Isabella.

- Jakich?

- Powiedzmy, że wiele obietnic, które złożono, nie zostało dotrzymany.

- My nic nikomu nie obiecywaliśmy - odparł Hazelius.

- Wygląda na to, że Departament Energii obiecał lokalnej ludności zatrudnienie i korzyści natury ekonomicznej.

Hazelius pokręcił głową z niesmakiem.

- Nie mam wpływu na to, co mówi Departament Energii. Czy przynajmniej udało ci się odwieść go od planowanego protestu?

- Nie.

Hazelius zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że uda ci się to w jakiś sposób opóźnić.

- Może powinniśmy pozwolić, by to się stało.

- Wyman, media od razu zwęszą sensację - rzekł Hazelius. -

Rozdmuchają każdy, nawet najmniejszy problem. Nie możemy sobie pozwolić na złą prasę.

Ford spojrzał stanowczo na Hazeliusa.

- Zaszliście się tu, na płaskowyżu, prowadząc prace nad tym projektem rządowym, unikając wszelkich kontaktów z miejscową ludnością. To oczywiste, że musiały się pojawić plotki i po dejrzenia. Czego, u licha, oczekiwałeś? - Jego słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzał.

Wszyscy patrzyli na niego, jakby obraził ich największego guru. Rozluźnili się jednak, gdy i Hazelius się rozluźnił.

- W porządku, przyznaję, zasłużyłem na tę reprimendę. Bez dwóch zdań. Może nie zajmowaliśmy się tym wszystkim tak, jak powinniśmy. A więc... jaki jest następny krok?

- Zamierzam złożyć przyjacielską wizytę przewodniczącemu miejscowej kapituły Nawahów w Blue Gap. Zobaczę, czy uda się doprowadzić do spotkania z miejscową ludnością, w którym ty także musiałbyś wziąć udział.

- Jeżeli znajdę trochę wolnego czasu.

- Obawiam się, że będziesz musiał go znaleźć.

Hazelius machnął ręką.

- Pomówimy o tym, gdy już do tego dojdzie.

- Chciałbym też zabrać kogoś ze sobą.

- Kogoś konkretnego?

- Kate Mercer.

Hazelius rozejrzał się dokoła.

- Kate? Nie masz dziś nic do roboty, prawda?

Kate się zaczerwieniła.

- Jestem zajęta.

- Jeżeli Kate nie może, ja chętnie pojadę - rzekła Melissa Corcoran, z uśmiechem odgarniając włosy. - Chciałabym choć na kilka godzin wyrwać się z tego cholernego płaskowyzu.

Ford spojrział na Kate, a następnie na Corcoran. Nie miał odwagi powiedzieć wprost, że wolałby nie pojawić się w Blue Gap w towarzystwie mierzącej metr osiemdziesiąt, niebieskookiej, posągowo zbudowanej blondynki. Kate z czarnymi włosami i oczami jak u Azjatki wyglądała choć trochę jak Indianka.

- Naprawdę masz tyle pracy, Kate? - spytał Hazelius. - Mówiłaś, że już prawie skończyłaś nowe obliczenia dotyczące czarnej dziury. To bardzo ważne, a ty jesteś przecież zastępczynią kierownika projektu.

Kate spojrzała na Corcoran z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Tamta odpowiedziała wręcz lodowatym spojrzeniem.

- Myślę, że sprawą czarnej dziury mogę się zająć później - rzekła Kate.

- Świetnie - powiedział Ford. - Podjadę po ciebie za godzinę.

Dziwnie podekscytowany ruszył w stronę drzwi.

Gdy mijał Corcoran, ta uśmiechnęła się do niego znacząco.

- Następnym razem - oznajmiła.

Po powrocie do *casita* Ford zamknął drzwi na klucz, zaniósł aktówkę do sypialni, zaciągnął zasłony, wyjął telefon satelitarny i wybrał numer Lockwooda.

- Witaj, Wyman. Co nowego?

- Znasz inżyniera od oprogramowania, niejakiego Petera Wołkońskiego?

- Tak.

- Zniknął ubiegłej nocy. Nie ma jego auta i dowiedziałem się, że zabrał swoje rzeczy. Mógłbyś sprawdzić, czy gdzieś się pojawił albo z kimś kontaktował?

- Spróbujemy.

- Muszę to wiedzieć jak najszybciej.

- Oddzwonię, jak tylko się czegoś dowiem.

- Jeszcze parę spraw.

- Wal.

- Michael Cecchini. W jego aktach napisano, że jako nastoletni wstąpił do sekty. Chciałbym wiedzieć coś więcej na ten temat.

- Zrobi się. Coś jeszcze?

- Rae Chen. Wydaje się... Jakby to powiedzieć?... Zbyt normalna.

- To za mało, by ruszyć ten temat.

- Sprawdź ją, dowiedz się, czy była zamieszana w coś dziwnego.

Dziesięć minut później zamrugało światelko połączenia. Ford nacisnął przycisk odbioru i usłyszał wyraźne spięty głos Lockwooda.

- Jeżeli chodzi o Wołkońskiego, zadzwoniliśmy do jego żony i kolegów z Brookhaven. Z nikim się nie kontaktował. Mówisz, że wyjechał wczoraj w nocy? O której?

- Podejrzewam, że około dziewiątej.

- Prześlemy policji informację o jego samochodzie, podamy też numer rejestracyjny, niech się za nim rozejrzą. Od stanu Nowy Jork dzieliło go jakieś czterdzieści godzin jazdy. Jeżeli zmierzna w tę stronę, znajdziemy go. Coś się wydarzyło?

- Wpadłem na niego wczoraj. Spędził całą noc przy Isabelli i pił. Wydawał się podejrzenie rozbawiony. Powiedział: „Wcześniej się martwiłem, ale teraz już nie”. Wcale nie wyglądał na uspokojonego.

- Domyślasz się, co chciał przez to powiedzieć?
- Ani trochę.
- Chciałbym, żebyś przeszukał jego kwaterę.

Chwila wahania.

- Zrobię to dziś w nocy.

Ford zakończył połączenie i odłożył słuchawkę telefonu na miejsce, po czym spojrział na topole za oknem. Kłamstwa, oszustwa, szpiegowanie, a teraz jeszcze włamanie z wtargnięciem. Nieźle jak na uczczenie rocznicy opuszczenia klasztoru.

14

Ford jednym pociągłym spojrzeniem zlustrował całe Blue Gap w Arizonie. Miasteczko leżało w pylistej kotlinie, otoczone wzgórzami i szarymi szkieletami zeschniętych sosen. Tworzyło je zaledwie kilka przecinających się ze sobą dróg, wyasfaltowanych na długości zaledwie stu metrów od skrzyżowania. Była tam stacja benzynowa, z gazobetonu w kolorze cegły suszonej na słońcu, i sklep wielobranżowy z pękniętą szybą wystawową. Plastikowe reklamówki trzepotały jak proporczyki zawieszony na ogrodzeniu zwieńczonym druciem kolczastym na tyłach stacji benzynowej. Obok sklepu wznosił się niewielki budynek gimnazjum otoczony drucianą siatką. W kierunku wschodnim i północnym biegły dwa ciągi domów z prefabrykatów, rozstawione symetrycznie na czerwonym gruncie. W tle nieopodal górował fioletowy masyw Red Mesa.

- Na dobrze - powiedziała Kate, gdy jeep wjechał na asfalt wany odcinek drogi - jaki masz plan?

- Kupić benzynę.

- Benzynę? Jest pół baku, a my w Isabelli mamy darmowej benzyny pod dostatkiem.

- Rób, co mówię, dobra?

Zajeżdżał pod stację, wysiadł i nalał paliwa. Po chwili postukał w szybę od strony, gdzie siedziała Kate.

- Masz jakieś pieniądze? - spytał.

Spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

- Nie wzięłam torebki.

- Świetnie.

Weszli do środka. Za ladą stała potężna Indianka. W sklepie buszowało też kilkoro innych klientów - sami Nawahowie.

Ford wziął paczkę gumy, colę, torebkę chipsów i „Nawaho Times”. Podeszedł do lady i położył wszystko przy kasie. Kobieta dodała do rachunku opłatę za paliwo.

Ford sięgnął do kieszeni i jego wyraz twarzy się zmienił. Przez chwilę przeszukiwał kolejno wszystkie kieszenie.

- Cholera. Zapomniałem portfela. - Spojrzał na Mercer. - Masz jakieś pieniądze?

Łypnęła na niego gniewnie.

- Wiesz, że nie.

Ford rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się przepaszająco do kobiety za ladą.

- Zapomniałem portfela.

Odpowiedziała niewzruszonym spojrzeniem.

- Musi pan zapłacić. Przynajmniej za benzynę.

- Ile to będzie?

- Osiemnaście pięćdziesiąt.

Znów zaczął przetrząsać wszystkie kieszenie. Inni klienci przystanęli, nasłuchując.

- Nie mam przy sobie ani centa. Bardzo mi przykro.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

- Musi pan uiścić należność - rzekła kobieta.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę. Proszę posłuchać, pojedę do domu, wezmę portfel i zaraz tu wrócę. Obiecuję. Rany, tak mi głupio.

- Nie mogę pana puścić, zanim pan nie zapłaci - rzekła kobieta. - To moja praca.

Drobny, chudy, z wyglądu nerwowy mężczyzna w piaskowym kowbojskim kapeluszu i z długimi do ramion kruczoczarnymi włosami postąpił naprzód i wyjął z kieszeni dzinsów portfel na łańcuszku.

- Ja to załatwię, Doris - rzekł donośnym tonem i podał jej dwudziestodolarowy banknot.

Ford odwrócił się do tamtego.

- To bardzo miło z pana strony. Zwrócę wszystko co do centa.

- Nie wątpię, proszę się nie przejmować. Gdy zjawi się pan tu ponownie, proszę przekazać pieniądze Doris. Któregoś dnia zrobi pan to samo dla kogoś innego, jasne?

Przekrzywił głowę, mrugnął i wskazał palcem na Forda.

- Jasne. - Ford wyciągnął rękę. - Wyman Ford.

- Willy Becenti. - Willy uścisnął mu dłoń.

- Dobry z ciebie człowiek, Willy.

- Jeszcze jak! Prawda, Doris? Najlepszy w całym Blue Gap.

Doris przewróciła oczami.

- To Kate Mercer - powiedział Ford.

- Cześć, Kate.

Becenti ujął jej dłoń, schylił się i ucałował szarmancko.

- Szukamy siedziby kapituły - powiedział Ford. - Chcemy się spotkać z przewodniczącym. Zastaniemy go?

- Raczej ją. Marię Atcitty. Pewno, że tak. Budynek kapituły mieści się przy końcu tej drogi. Ostatni dom po prawej, tuż przed miejscem, gdzie kończy się asfalt. To stary drewniany budynek z blaszanym dachem, tuż obok zbiornika wodnego. Pozdrów ją ode mnie.

Gdy wyjechali ze stacji benzynowej, Ford powiedział:

- Ta sztuczka jest w rezerwacie niezawodna. Nawahowie to najbardziej szczodrzy ludzie na świecie.

- Z cynicznej motywacji masz szóstkę z plusem.

- To było w słusznej sprawie.

- Facet sam wyglądał jak niezły cwaniaczek. Jak myślisz, na czym się dorabia?

Zajechali na parking przy siedzibie kapituły, zatrzymali przy rzędzie zakurzonych pikapów. Na drzwiach wejściowych ktoś

przylepił taśmą jedną z ulotek Begaya o kawalkadzie protestacyjnej. Druga trzepotała zawieszona na słupie telefonicznym.

Zapytali o przewodniczącą kapituły. Pojawiła się schludna, postawna kobieta w turkusowej bluzce i brązowym spodniem.

Przywitali się i przedstawili.

- Willy Becenti kazał panią pozdrowić.

- Znacie Willyego. - Wydawała się zaskoczona i ucieszona zarazem.

- Poniekąd. - Ford zaśmiał się ironicznie. - Pożyczył mi dwadzieścia doków.

Atcitty pokręciła głową.

- Poczciwy, stary Willy. Oddałby ostatnią dwudziestkę jakieś muś włóczędze, a potem obrobiłby sklep, żeby samemu nie zostać bez grosza. Wejdźcie, zapraszam na kawę.

Z ekspresu stojącego na ladzie napełnili kubki słabą indiańską kawą i weszli za Atcitty do małego, zawałonego mnóstwem papierów gabinetu.

- A więc, co mogę dla was zrobić? - spytała z szerokim uśmiechem.

- Cóż, mówię to z niechęcią, ale jesteśmy z projektu Isabella.

Jej uśmiech przygasł.

- Rozumiem.

- Kate to zastępczyni kierownika projektu Isabella, a ja właśnie przybyłem, by objąć funkcję łącznika z miejscową ludnością.

Atcitty nic nie powiedziała.

- Panno Atcitty, wiem, że ludzie zastanawiają się, co tam się, u licha, dzieje.

- Dobrze pan to ujął.

- Potrzebuję pani pomocy. Jeżeli mogłaby pani zebrać ludzi tu, w siedzibie kapituły, powiedzmy, któregoś wieczoru jeszcze

w tym tygodniu, sprowadziłbym Gregoryego Northa Hazeliusa, aby osobiście odpowiedział na wszelkie pytania i wytłumaczył, co właściwie robimy.

Zapadła długa cisza, aż w końcu usłyszeli:

- W tym tygodniu się nie da. Za mało czasu. W przyszłym, we środę.

- Doskonale. Wszystko się zmieni. Od tej pory będziemy robić część zakupów tu i w Rough Rock. Będziemy zaopatrywać się w paliwo i nabywać żywność oraz zapasy.

- Wyman, nie sądzisz chyba... - zaczęła Mercer, ale po wstrzymała ją, kładąc dłoń na ramieniu.

- To bardzo by pomogło - rzekła Atcitty.

Wstali i się pożegnali.

Gdy Blue Gap zniknęło hen za jeepem w tumanach kurzu, Mercer odwróciła się do Forda.

- Środa w przyszłym tygodniu to za późno, by zatrzymać protest.

- Nie zamierzałem go zatrzymywać.

- Jeżeli sądzisz, że będziemy robić zakupy w tym sklepie, jeść doritos, jagnięcinę i fasolę z puszki na kolację, to całkiem ci odbiło. A benzyna na tej stacji kosztuje fortunę.

- To nie Nowy Jork ani Waszyngton - powiedział Ford. - To wiejska Arizona, a ci ludzie są waszymi sąsiadami. Musicie wyjść i pokazać im, że nie jesteście bandą szurniętych naukowców, którzy pragną zniszczyć świat. Poza tym interesy z wami im się przysłużą.

Pokręciła głową.

- Kate - rzekł Ford - co się stało z twoim pozytywnym nastawieniem? Z twoją sympatią wobec biednych i doświadczonych przez los?

- Opuść sobie ten wykład.

- Przykro mi - mruknął - ale najwidoczniej potrzebujesz takiego wykładu. Stałaś się członkiem wielkiego, złego establishmentu i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy - powiedział ze śmiechem, próbując nieco rozluźnić atmosferę, ale ponieważ uświadomił sobie, że boleśnie zranił jej uczucia.

Spojrzała na niego z pobladłymi wargami, po czym odwróciła wzrok i wyjrzała przez szybę. Jechali w górę Dugway w kompletnym milczeniu i w ten sposób pokonali ostatni, długi odcinek asfaltowej szosy wiodącej do projektu Isabella. W połowie drogi przez płaskowyż Ford zwolnił i mrużąc powieki, spojrzał przez przednią szybę.

- A teraz co znowu?
- Widzisz to stado ścierwojadów?
- No i co z tego?

Zatrzymał wóz i wskazał ręką.

- Spójrz, świeże ślady opon odchodzą od szosy w kierunku zachodnim, w stronę, gdzie krążą sępy.

Nie chciała spojrzeć w tę stronę.

- Zamierzam to sprawdzić.
- Świetnie. Teraz mam w perspektywie prowadzenie obliczeń do późnej nocy.

Zaparkował w cieniu jałowca i podążył za śladami; podeszwy jego butów chrzęściły na zbitej w grudy sprężonej ziemi. Wciąż było przeraźliwie gorąco, bo ziemia oddawała ciepło, które chłoneła przez cały dzień. W oddali przemknął kojot, trzymając coś w pysku.

Po dziesięciu minutach Ford dotarł do skraju głębokiego, wąskiego *arroyo* i spojrzał w dół. Na dnie parowu leżał samochód przewrócony kołami do góry. Na korzeniach zeschniętej sosny siedziały sępy, czekając cierpliwie. Drugi kojot wetknął łeb przez rozbitą szybę i zawzięcie coś tarmosił i szarpał. Na widok Forda puścił zdobycz i uciekł z wywieszonym zakrwawionym jęzorem.

Ford zszedł po głazach z piaskowca w stronę samochodu, przykładając materiał koszuli do nosa, by nieco złagodzić odór śmierci mieszający się z silną wonią benzyny. Ścierwojady wzbily się w powietrze trzepocząc nieporadnie gromadą. Przykucnął i zajrzał do środka przez strzaskaną przednią szybę.

Na fotelu leżało bokiem przyszpilone ciało. Nie miało już oczu ani ust. Jedno ramię, wyciągnięte w stronę stłuczonej szyby, zostało ogryzione do kości, brakowało też całej dłoni. Pomimo okaleczeń ciało dało się rozpoznać.

Wołkoński.

Ford znieruchomiał, chłonąc z uwagą każdy szczegół. Wycofał się ostrożnie, by niczego nie poruszyć, i wspiął się na powrót na szczyt parowu. Kiedy już mógł, wziął kilka głębokich oddechów, by napełnić płuca czystym świeżym powietrzem, po czym wrócił truchtem na szosę. W oddali na tle wzniesienia dostrzegł dwa kojoty ujadające i walczące o kawałek krwistego mięsa.

Dotarł do auta i nachylił się przez otwarte okno. Na twarzy Kate malowało się oburzenie.

- To Wołkoński - powiedział. - Tak mi przykro, Kate... On nie żyje.

Zamrugła i szepnęła z przejęciem.

- Boże... Jesteś pewien?

Pokiwał głową.

Jej warga zadrżała. Wreszcie ochrypłym głosem spytała:

- Wypadek?

- Nie.

Pokonując w sobie wzbierające mdłości, Ford wyjął z tylnej kieszeni komórkę i zadzwonił pod 911.

15

Lockwood wszedł do Gabinetu Owального, a jego buty nie wydawały żadnego dźwięku na grubym dywanie. Jak zawsze bycie tak blisko największego ośrodka władzy na kuli ziemskiej przepęłniało go ekscytacją.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wyszedł zza swojego biurka z wyciągniętą ręką i przywitał go, jak na prawdziwego polityka przystało.

- Stanton! Miło cię widzieć. Jak Betsy i dzieciaki?
- Dziękuję, świetnie, panie prezydencie.

Wciąż ściskając jego dłoń, prezydent ujął Lockwooda za przedramię i doprowadził w stronę krzesła stojącego najbliżej biurka. Lockwood usiadł, kładąc sobie teczkę na kolanach. Przez okno wychodzące na wschód widział Ogród Różany skąpany w łagodnym letnim zmierzchu. Roger Morton, prezydencki szef sztabu, wszedł i zasiadł na sąsiednim krześle, podczas gdy sekretarka prezydenta Jean zajęła miejsce na trzecim, gotowa prowadzić zapiski w staroświecki sposób, stenografując.

Masywny mężczyzna w granatowym garniturze wszedł i nie czekając na zaproszenie, usadowił się na najbliższym krześle. Był to Gordon Galdone, przewodniczący prezydenckiej kampanii do spraw reelekcji. Lockwood go nie znosił. Tamten był wszędzie, pojawiał się na każdym spotkaniu, był wszechobecny. O niczym nie dyskutowano i nic nie działało się bez jego aprobaty.

Prezydent wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- W porządku, Stan, zaczynaj.
- Tak jest, panie prezydencie. - Lockwood uniósł teczkę. - Słyszał pan o teleewangeliście, niejakim Donie T. Spatesie?

Prowadzi działalność w Virginia Beach pod nazwą Zbór Bożego Czasu.

- Masz na myśli tego faceta, którego przyłapano, jak barasz kował z dwiema prostytutkami?

W pomieszczeniu rozległ się typowo dżentelmeński śmiech. Prezydent, były prawnik z Południa, był znany z kwiecistego słownictwa.

- Ten sam. Podjął temat projektu Isabella podczas niedzielnego kazania w programie chrześcijańskiej telewizji kablowej. Pałał niepoohamowanym gniewem. Grzmiał, że rząd wydał czterdzieści miliardów dolarów z pieniędzy podatników, usiłując za przeczyć słowom z Księgi Rodzaju.

- Projekt Isabella nie ma nic wspólnego z Księgą Rodzaju.

- Oczywiście. Problem w tym, że jego słowa dotknęły czułej struny. O ile mi wiadomo, wielu kongresmenów i senatorów zostało wręcz zasypanych e-mailami i telefonami. Nasz gabinet zresztą również. Sprawa jest na tyle poważna, że może wymagać jakiegoś konkretnego odzewu.

Prezydent odwrócił się do swojego szefa sztabu.

- Co wiesz na ten temat, Roger?

- Jak dotąd około dwudziestu tysięcy e-maili, dziewięćdziesiąt sześć procent jest przeciw.

- Dwadzieścia tysięcy?

- Tak jest, panie prezydencie.

Lockwood łypnął na Galdonea. Twarz tamtego wyglądała jak wryta z kamienia. Galdone miał w zwyczaju czekać i mówić na samym końcu. Lockwood nienawidził ludzi, którzy tak robili.

- Warto podkreślić - kontynuował Lockwood - że pięćdziesiąt dwa procent Amerykanów nie wierzy w ewolucję, wśród zdeklarowanych republikanów aż sześćdziesiąt osiem procent. Atak

na Isabellę to przedłużenie ich kampanii. Może zmienić się w partyzantkę i nielecho nam nabruździć.

- Skąd masz te informacje?
- Z sondażu Gallupa.

Prezydent pokręcił głową.

- Poprzestaniemy na oświadczeniu. Projekt Isabella jest kluczowym elementem mającym za zadanie zapewnienie amerykańskiej nauce i technologii czołowego miejsca w światowej rywalizacji na tym polu. Po latach pozostawiania w tyle udało nam się w końcu prześcignąć Europejczyków i Japończyków. Isabella to dobre rozwiązanie dla ekonomii, przysłuży się dalszemu rozwojowi badań i dobrze wpłynie na interesy naszego kraju. Może rozwiązać nasze potrzeby energetyczne, pomoże też uwolnić się od zależności od ropy z Bliskiego Wschodu. Stan, zwołaj konferencję prasową, by ogłosić to oświadczenie. Zrób trochę zamieszania. Wydamy to oświadczenie

- Tak jest, panie prezydencie.

Przyszła kolej na Galdonea. Poruszył się nieznacznie na krześle.

- Nie musielibyśmy się przejmować, gdyby z projektu Isabella napływały dobre wieści. - Odwrócił się do Lockwooda. - Doktorze Lockwood, czy może pan nam powiedzieć, kiedy wszelkie tamtejsze problemy zostaną zażegnane?

- Za tydzień, może wcześniej - odparł. - Robimy, co w naszej mocy.

- Tydzień to długo - rzekł Galdone - kiedy osobnicy pokroju Spatesa biją w tam-tamy i oliwią broń.

Lockwood skrzywił się na tę metaforę.

- Panie Galdone, zapewniam, że robimy wszystko, co tylko możemy.

Nalana twarz Galdonea poruszyła się.

- Tydzień - rzekł z dezaprobatą.

Lockwood usłyszał głos przy wejściu do Gabinetu Ovalnego i omal serce nie zamarło mu w piersi na widok wchodzącej do środka jego asystentki. To musiało być coś poważnego, skoro zdecydowała się przerwać mu spotkanie z prezydentem. Kłaniając się niemal z komiczną unізonością, podała Lockwoodowi krótką notatkę i pospiesznie wyszła. Z narastającą zgrozą rozłożył kartkę, by przeczytać jej treść.

Próbował przełknąć ślinę, ale nie mógł. Przez chwilę zastanawiał się, czy nic nie powiedzieć, ale zmienił zdanie - lepiej teraz niż później.

- Panie prezydencie, właśnie otrzymałem wiadomość, że jeden z naukowców z projektu Isabella został znaleziony martwy w wąwozie przy Red Mesie. Pół godziny temu wezwano w związku z tym FBI. Agenci są już w drodze na miejsce zdarzenia.

- Martwy? Co się stało?

- Postrzał... w głowę.

Prezydent patrzył na niego bez słowa. Lockwood jeszcze nigdy nie widział na jego twarzy tak silnych rumieńców i to go przeraziło.

16

Zanim zjawiła się policja plemienna Nawahów, Ford patrzył, jak słońce znika za zasłoną chmur w kolorze burbona. Cztery radiowozy i furgonetka nadjechały z rykiem silników i z włączonymi kogutami po asfaltowej rozpalonej żarem szosie i zatrzymały się przy wtórze niemal identycznego pisku opon.

Z pierwszego samochodu wyszedł Indianin o baryłkowatym torsie. Był chudy jak tyka, miał jakieś sześćdziesiąt lat i posiwiałe krótkie włosy; tuż za nim pojawiła się cała grupa indiańskich policjantów. Mężczyzna w zakurzonych kowbojkach przeszedł na kabłąkowatych nogach wzdłuż śladów opon aż do skraju *arroyo*, pozostali uczynili to samo, po czym zaczęli oznaczać perymetr miejsca zbrodni i odgradzać go policyjną taśmą.

Hazelius i Wardlaw przyjechali jeepem; zatrzymali wóz przy drodze i wysiedli. Przyglądali się w milczeniu pracującym policjantom, aż w końcu Wardlaw zwrócił się do Forda:

- Mówisz, że został zastrzelony?
- Z przyłożenia w skroń.
- Skąd wiesz?
- Świadczą o tym drobiny prochu wbite pod skórę.

Wardlaw przyjrzał mu się podejrzliwie spod półprzymkniętych powiek.

- Lubi pan *CSI: kryminalne zagadki Las Vegas*, panie Ford? A może badanie miejsc zbrodni jest pańskim hobby?

Detektyw Nawahów po zabezpieczeniu miejsca zdarzenia podszedł do nich z dyktafonem w rękę. Zbliżał się powoli, jakby każdy krok sprawiał mu ból. Na plakietce miał napisane „Bia” i był porucznikiem. Nosił lustrzanki, w których wyglądał dość

idiotycznie. Ford wyczuł jednak, że tamten nie jest tak głupi, jak mógł się wydawać.

- Kto znalazł ofiarę? - spytał Bia.

- Ja.

Lustrzanki zwróciły się ku niemu.

- Pana nazwisko?

- Wyman Ford.

Usłyszał podejrzliwość w głosie tamtego, jakby padły już pierwsze kłamstwa.

- Jak go pan znalazł?

Ford opisał okoliczności.

- Zatem zauważył pan sepy, ślady opon i postanowił ot tak, wysiąść i przemaszerować kilometr przez pustynię w czterdziestostopniowym upale, by to sprawdzić?

Ford pokiwał głową.

- Hmm...

Bia zapisał coś w notesie i wydał wargi. Zaraz potem jego lustrzanki przesunęły się w stronę Hazeliusa.

- A pan to...?

- Gregory North Hazelius, kierownik projektu Isabella, a to nasz szef bezpieczeństwa i ochrony Wardlaw. Czy to pan będzie prowadził śledztwo?

- Tylko z ramienia plemienia. Zajmie się nim FBI.

- FBI? Kiedy się tu zjawą?

Bia spojrział w niebo.

- Już.

Na południowym zachodzie zmaterializował się śmigłowiec. Łoskot rotorów z każdą chwilą przybierał na sile. Zbliżywszy się na odległość kilkuset metrów, zawisł w powietrzu, wzbijając fontanny kurzu, i w końcu miękko wylądował na szosie. Z maszyny wysiadło dwóch mężczyzn. Mieli okulary przeciwsłoneczne, roz-

piętę pod szyją koszule z krótkimi rękawami i czapeczki baseballowe z wyszytym z przodu napisem FBI. Pomimo różnicy wzrostu i koloru skóry wyglądali prawie jak bliźniacy. Podeszli, a ten wyższy wyjął swoją odznakę.

- Specjalny agent dowodzący Dan Greer - powiedział. - Z filii biura we Flagstaff. Agent specjalny Franklin Alvarez. - Wsunął odznakę z powrotem do kieszeni i skinął głową do Bii. - Witam, poruczniku.

Bia odpowiedział skinięciem.

Hazelius postąpił naprzód.

- A ja jestem Gregory North Hazelius, kierownik projektu Isabella. - Uścisnął dłoń Greera. - Ofiara to naukowiec z mojego zespołu. Chcę wiedzieć, co się tu stało, i to jak najszybciej.

- Dowie się pan. Kiedy tylko zakończymy dochodzenie. - Greer odwrócił się do Bii. - Miejsce zabezpieczone?

- Tak.

- Doskonale. A teraz proszę posłuchać. Chciałbym, aby wszystkie osoby z projektu Isabella wróciły do swojej bazy. Doktorze Hazelius, chciałbym, aby zebrał pan wszystkich w jakimś centralnym miejscu spotkań o... - Spojrzał w niebo, a potem na zegarek - ...o siódmej. Przyjadę tam, by spisać wasze zeznania.

- Przykro mi, ale to nie będzie możliwe - rzekł Hazelius. - Nie możemy pozwolić, aby wszyscy naraz opuścili swoje stanowiska. Będzie pan musiał spisać zeznanie naszej ekipy w dwóch turach.

Greer opuścił okulary i spojrzał niewzruszenie na Hazeliusa.

- Spodziewam się, że wszyscy znajdą się o siódmej w jednym, tym samym miejscu. Zrozumiano? - wycedził z emfazą.

Hazelius odpowiedział równie stanowczym spojrzeniem, nie dał się zastraszyć.

- Panie Greer, mam pod swoją opieką wewnątrz tej góry urządzenie za czterdzieści miliardów dolarów i jesteśmy właśnie

w trakcie przeprowadzania naukowego eksperymentu o kluczowym znaczeniu. Jestem pewien, że nie chciałby pan, aby coś poszło nie tak, zwłaszcza gdybym musiał tłumaczyć śledczym z Departamentu Energii, że na pańskie polecenie pozostawiłem urządzenie bez nadzoru. Dziś wieczorem na swoich stanowiskach muszę mieć trzech członków ekipy. Będzie pan mógł ich przesłuchać jutro rano.

Długa chwila przerwy, aż w końcu Greer skinął lekko głową.

- Dobrze.

- O siódmej stawimy się przy starym punkcie handlowym - rzekł Hazelius. - To stara chata z bali, nie sposób jej przeoczyć.

Ford ruszył w stronę jeepa i wszedł. Kate pospieszyła za nim. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na szosę.

- Nie do wiary - rzekła drżącym głosem Kate, twarz miała pobladła. Przez chwilę szperała w kieszeni, wyjęła chusteczkę i wytarła oczy. - To straszne. Nie mogę w to uwierzyć.

Gdy jeep sunął drogą, Ford po raz ostatni spostrzegł dwa kojoty, które zakończyły posiłek i wracały ukradkiem nadziei, że zdołają załapać się na dokładkę.

Pomimo niewątpliwego uroku Red Mesa była ponurym i groźnym miejscem.

Punktualnie o siódmej porucznik Joseph Bia wszedł za Greerem i Alvarezem do budynku starego składu Nakai Rock. Pamiętał to miejsce z dzieciństwa, kiedy punkt handlowy prowadził stary Weindorfer. Ogarnęła go melancholia. Oczyma duszy wciąż widział stary sklep, wór z mąką, sterty rur do pieca na sprzedaż, uździenice i lassa, słoje ze słodyczami. W dawnych czasach Weindorfer handlował też pędami i kocami. Susza z lat 1954-55 zabiła ponad połowę owiec na płaskowyżu, wcześniej jednak zwierzęta zdążyły ogołocić te tereny. W owych czasach z kopalni wy-

dobywano dziennie niemal dwadzieścia tysięcy ton węgla. Rada plemienna z pieniędzy od spółki węglowej spłaciła wszystkich, którzy mieszkali na płaskowyżu, i przesiedliła ich do Blue Gap, Piñon i Rough Rock. fego rodzice należeli do tych, którzy stracili na przeprowadzce. Bia wrócił tu po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat. To miejsce wyglądało zupełnie inaczej, ale wciąż czuł stary znajomy aromat dymu palonego drewna, kurzu i owczej wełny.

Naukowcy już czekali w napięciu. Było ich dziewięcioro. Wyglądali okropnie, a Bia zaczął się zastanawiać, czy poza śmiercią Wołkońskiego nie wydarzyło się coś jeszcze. Coś tu było nie tak. I to już od jakiegoś czasu. Żałował, że to Greer miał prowadzić tę sprawę. Greer był kiedyś dobrym agentem, ale stało się z nim to, co z wieloma innymi dobrymi agentami: otrzymał awans na specjalnego agenta dowodzącego i jego umiejętności zostały zmarnowane, gdy zmuszono go, by większość czasu poświęcał na przekładanie papierów z jednego miejsca na drugie.

- Dobry wieczór państwu - rzekł Greer, zdejmując ciemne okulary i rzucając ukradkowe, lecz znaczące spojrzenie na Bie, by uczynił to samo.

Bia nie zdjął lustrzanek. Nie lubił, gdy ludzie mówili mu, co miał robić. Zawsze był taki - miał to we krwi. Z takiej wywodził się rodziny. Nawet imię Bia wzięło się stąd, że jego dziadek nie chciał podać nazwiska, kiedy zaciągnięto go siłą do szkoły z internatem. Napisano po prostu BIA - jak skrót od Bureau of Indian Affairs... Biuro ds. Indian. Wielu innych Nawahów uczyniło tak samo, przez co Bia stało się w rezerwacie popularnym nazwiskiem. Był z niego dumny. Bia, mimo że niespokrewnieni, mieli coś wspólnego: nie lubili, by im rozkazywano i próbowano nimi kierować.

- Uporamy się z tym możliwie jak najszybciej - mówił Greer.
- Pojedynczo w kolejności alfabetycznej,
 - Czy są jakieś postępy? - zapytał Hazelius.
 - Są - odparł Greer.
 - Czy doktor Wołkoński został zamordowany?

Bia czekał na odpowiedź Greera. Od początku brano tę ewentualność pod uwagę, ale ciało musieli jeszcze zbadać eksperci sądowi. Czekano na raport koronera. Sekcję miano przeprowadzić we Flagstaff. Wątpił, by pokazano mu coś więcej niż skrót. Włączono go do sprawy tylko dlatego, że jakiś biurokrata z FBI potrzebował nazwiska w rubryce, dowodu czarno na białym, że policja plemienna „nawiązała współpracę” z Federalnym Biurem Śledczym, jak to się u nich mawiało. Bia powiedział sobie, że ta sprawa i tak go nie interesuje. To nie byli jego ludzie.

- Melissa Corcoran? - rzekł Greer.

Atletyczna blondynka, przywodząca na myśl raczej zawodową tenisistkę niż naukowca, podniosła się z miejsca.

Bia udał się za nimi do biblioteki, gdzie Alvarez poprzestawiał stół i kilka krzeseł i przygotował cyfrowy dyktafon.

Greer i Alvarez prowadzili przesłuchanie, Bia słuchał i robił notatki. Przesłuchanie przebiegało szybko, jedna osoba po drugiej. Już wkrótce wyklarował się jeden szczegół wspólny: wszyscy pracowali w silnym stresie, sprawy nie szły za dobrze; Wołkoński był człowiekiem nerwowym i ciężko to znosił, zaczął pić, podejrzewano też, że sięgał po mocniejsze używki. Corcoran powiedziała, że któregoś dnia po pijanemu dobijał się do jej drzwi, chcąc się z nią przespać. Innes, psycholog zespołu, wspomniał o izolacji i dodał, że Wołkoński miał depresję, lecz wypierał się tego. Wardlaw, szef ochrony, stwierdził, że Rosjanin zachowywał się dziwnie i nie dbał o zachowanie bezpieczeństwa.

Wszystko to potwierdziło przeszukanie kwatery Wołkońskiego: puste butelki po wódce, ślady metyloamfetaminy w mózdzierzu, popielniczki pełne petów i stopy płyt DVD z filmami porno - to wszystko w jednym, małym, mocno zaniedbanym domku.

Zeznania były spójne i wiarygodne, różnic zaś tyle, że nie trzeba było ich powtarzać. Bia widział w rezerwacie wiele samobójstw, a to wyglądało na niemal klasyczne, gdyby nie kilka drobnych szczegółów. Nie było rzeczą prostą strzelić sobie w głowę i równocześnie zjechać samochodem w przepaść. Z drugiej strony, gdyby w grę wchodziło morderstwo, zabójca podpaliłby samochód. Jeżeli był sprytny. Większość zabójców nie grzeszyła inteligencją.

Bia pokręcił głową. Myślał zamiast słuchać. To był jego najgorszy nawyk.

Do wpół do dziewiątej Greer już skończył. Hazelius odprowadził ich do drzwi, gdzie przystanął Bia, który aż do teraz ogóle się nie odzywał. Zdjął lustrzanki, postukał w nie paznokciem.

- Mogę o coś spytać, doktorze Hazelius?
- Tak?
- Mówił pan, że Wołkoński i reszta pańskiego zespołu jest w ciężkim stresie. Dlaczego?

Hazelius odparł ze spokojem:

- Ponieważ zbudowaliśmy maszynę, która kosztowała czterdzieści miliardów dolarów, i nie możemy zmusić tego cholerstwa, żeby działało. - Uśmiechnął się. - Czy to wyczerpująca odpowiedź na pańskie pytanie, poruczniku?

- Dziękuję. Och... i jeszcze jedno, jeżeli wolno spytać...
- Poruczniku - rzekł Greer - nie uważa pan, że zadaliśmy już dość pytań?

Bia mówił dalej, jakby nie usłyszał tamtego:

- Czy zatrudni pan kogoś nowego na miejsce Wołkońskiego?

Chwila ciszy i w końcu:

- Nie. Jego obowiązki przejmę ja oraz Rae Chen.

Bia nałożył okulary i odwrócił się, by odejść. W tej sprawie było coś, co mu się nie spodobało, ale nie miał bladego pojęcia co.



17

Trzecia nad ranem. Ford uchylił tylne drzwi swojej *casita* i wymknął się w mrok z plecakiem. Niebo było upstrzone gwiazdami. Chór kojotów zawył w oddali, po czym ucichł. Księżyc zbliżał się do pełni, pustynne powietrze było tak czyste, że światło srebrzyło każdy szczegół krajobrazu. *To naprawdę przepiękny wieczór*, pomyślał Ford. Szkoda, że nie miał czasu, by się tym nacieszyć.

Zlustrował wzrokiem niewielkie osiedle. W innych *casita* było ciemno. Z wyjątkiem ostatniego domku: chatki Hazeliusa, skąd pomiędzy zasłonami przesuwiał się żółtawy blask. *Casita* Wołkońskiego znajdowała się pół kilometra dalej, wzdłuż zakola drogi.

Ford przemknął przez oświetlone blaskiem księżyca podwórze, by skryć się wśród cieni między topolami. Posuwał się wolno, unikając plam księżycowego światła, aż dotarł do domku Wołkońskiego. Przepatrywał okolicę, ale nie zauważył ani nie usłyszał niczego niebezpiecznego. Znalazłszy się za domem, przywarował wśród cieni za tylnym wejściem. Drzwi były zapieczętowane policyjną taśmą. Sięgając do plecaka, wyjął rękawiczki i nóż. Nacisnął klamkę - oczywiście zamknięte. Przez krótką chwilę rozważał konsekwencje przełamania pieczęci i uznał, że warto to zrobić.

Rozciął taśmę, wyjął z plecaka niewielki ręcznik, owinął nim kamień i nacisnął na szybę, aż szkło zadrżało i pękło. Usunąwszy pojedyncze kawałki, sięgnął do środka, otworzył drzwi i wślizgnął się do domu.

Poczuł uderzającą woń rozpacz i desperacji Wołkońskiego: zatęchłego dymu papierosów i marihuany, taniego alkoholu,

gotowanej cebuli i zjełzalego tłuszczu do smażenia. Wyjął z plecaka ledową latarkę i poświecił nisko nad podłogą.

W kuchni panował bałagan. Zielonoszara pleśń pienila się na papierowej tacce z gotowaną kapustą i małymi papryczkami, która musiała stać tu od wielu dni. Z kosza na śmieci wysypywały się butelki po piwie i wódce. Kilka małych butelek po alkoholu stłukło się na podłodze z terakoty i odłamki zamieciono w kąt.

Przeszedł do salonu-jadalni. Dywan był aż sztywny z brudu, kanapa poplamiona. Na ścianach nic nie wisiało, tylko na drzwiach przyklejono kilka dziecięcych rysunków. Jeden przedstawiał statek kosmiczny, a drugi grzyb atomowy. Prócz tego nie było żadnych zdjęć żony ani dzieci, ani śladu sentymentalnych szczegółów.

Dlaczego Wołkoński nie zabrał rysunków? Przypuszczalnie nie był ideałem ojca. Ford w ogóle nie wyobrażał go sobie jako ojca. Drzwi do sypialni były otwarte, ale pokój aż cuchnął stęchlizną. Łóżko wyglądało tak, jakby nigdy go nie ścielono, a pościeli nie zmieniano. Z wielkiego kosza wysypywały się rzeczy do prania. Pół szafy było wypełnionej ubraniami. Ford znalazł garnitur. Dotknął materiału - najlepsza wełna - i przejrzał rzeczy na wieszakach. Wołkoński zabrał na to odludzie sporo ubrań, wiele z nich wyglądało sztywnie na europejską tandetną modłę. Chyba nie zdawał sobie sprawy, gdzie miał trafić. Tylko dlaczego nie zabrał ich ze sobą, gdy wyjeżdżał?

Ford przeszedł wzdłuż korytarza do drugiego sypialni, którą przerobiono na gabinet. Komputer zniknął, ale pozostały kable USB i FireWire oraz drukarka, wyspecjalizowany ultraszybki modem i stacja wi-fi. Wokoło leżały rozsypane komputerowe płyty CD. Wyglądało to tak, jakby ktoś przejrzał je w pośpiechu, pozostawiając te, których nie chciał.

Otworzył górną szufladę biurka, by i tam ujrzeć nieopisany bałagan: rozlane długopisy, obgryzione ołówki, pliki wydruków z programami w języku assemblerowym; analiza tego typu rzeczy mogła zająć całe lata. Przejrzał je: wydruki fragmentów kodu, zapiski w języku rosyjskim, diagramy przepływu oprogramowania. Sięgnął pod papiery i na samym dnie natknął się na kopertę, zaklejoną i ofrankowaną, niezaadresowaną i przedartą na pół.

Ford wyjął oba kawałki i rozłożył je, ale w kopercie nie było listu, lecz stronica szesnastkowego kodu komputerowego. Zapisana odręcznie. U góry widniała poniedziałkowa data, dzień, kiedy Wołkoński zniknął. I to wszystko.

W umyśle Forda pojawiły się niezliczone pytania. Dlaczego Wołkoński napisał to, a potem podarł? Dlaczego ofrankował list, ale go nie zaadresował? Dlaczego go zostawił? Co oznaczał ten kod? I dlaczego napisał go odręcznie? Nikt nie zapisywał odręcznie kodu komputerowego. To trwało w nieskończoność i zbyt łatwo było o pomyłkę.

Coś przyszło Fordowi na myśl: w ściśle strzeżonym komputerowym otoczeniu, takim jak projekt Isabella, nie można było kopiować, drukować przekazywać ani przesyłać drogą e-mailową żadnych danych tak, by nie trzeba się było w tym celu załogować. A tymczasem komputer nie mógł wiedzieć, jeśli skopiowałeś coś odręcznie. Włożył oba kawałki kartki do kieszeni. Cokolwiek oznaczały, musiały być ważne.

Z tylnego ganku dobiegł chrzęst żwiru pod czyimiś stopami. Ford zgasił latarkę i zastygł w bezruchu. Cisza. A potem usłyszał coś, jakby skrzypnięcie podeszwy buta o podłogę w kuchni. Nie mógł wyjść niepostrzeżenie ani przez drzwi kuchenne, ani frontowe.

Kolejne skrzypnięcie oznaczające kroki - tym razem bliżej. Intruz wiedział, że Ford tam był, i zbliżał się ku niemu wolno, bardzo wolno, przypuszczalnie zamierzając go zaskoczyć.

Ford bezszelestnie przeszedł po dywanie do tylnego okna i sięgnął w górę. Przekręcił okrągłą zasuwkę i uchwycił górną połowę, popychając ją lekko w górę. Zacięła się.

A nie miał już czasu.

Silne pchnięcie i okno w końcu ustąpiło. W ułamek sekundy później intruz wykonał swój ruch. Ford rzucił się szczupakiem przez okno, rozrywając plastikową storę, i w tej samej chwili dwa oddane jeden po drugim strzały z małokalibrowego pistoletu strzaskały okno tuż za nim. Przeturlał się po ziemi, a wokół niego posypały się odłamki szkła.

W mgnieniu oka poderwał się z ziemi i pobiegł zygakiem przez cienie zalegające pod topolami. Znalazłszy się za drzewami, pognął przez otwartą przestrzeń w górę kotliny. Księżyc świecił tak jasno, że widział biegnący tuż obok własny cień.

Kolejne pociski o niskiej prędkości wylotowej przeleciały mu z wizgiem koło ucha. To musiał być Wardlaw, nikt inny nie miałby tłumika ani tak by nie strzelał.

Ford biegł sprintem w stronę ciemnego kształtu Nakai Rock, przy skale odbił w lewo i pognął ścieżką pod górę, w kierunku niskich wzniesień. Na lewo od niego ze świstem przeleciała kolejna kula. Zbiegł ze ścieżki i po skałach zaczął wdrapywać się ku szczytowi wzniesienia, wykorzystując głazy jako osłonę. Gdy kilka chwil później dotarł na samą górę, nogi z wysiłku paliły go żywym ogniem. Przystanął na chwilę, by obejrzeć się wstecz. Dwieście metrów niżej dostrzegł ciemną postać zmierzającą ku niemu pomiędzy skałami. Ford przebiegł wzdłuż niskiego skalnego grzbietu. Nic tam nie rosło ani nie oferowało schronienia, ale przynajmniej na ziemi nie pozostaną ślady stóp. W oddali dostrzegł kilka niewielkich parowów ciągnących się zygakowato w stronę drugiego końca płaskowyżu. Po chwili dotarł do pierwszego z nich. Skoczył i przebiegł przez całą długość zlebu aż do

miejsca, w którym podłoże zaczęło się wznosić ostro w stronę krawędzi płaskowyżu. Rozciągnął się płasko na ziemi za masywną skałą i obejrzał za siebie. Jego prześladowca zatrzymał się przy krawędzi i przepatrywał grunt w świetle latarki.

To był z całą pewnością Wardlaw.

Szef ochrony podniósł się i omiół *arroyo* promieniem latarki, zszedł na dół i ruszył w jego stronę z pistoletem w dłoni.

Ford ukrył się za skałą i zaczął wspinać się po zboczu. Gdy dotarł do szczytu żlebu i na moment się pokazał, w jego stronę oddano natychmiast dwa szybkie strzały; jeden odłupał fragment skały tuż obok niego, zasypując go kaskadą odłamków.

Ford skierował się przez otwartą piaszczystą przestrzeń, licząc, że zdoła dotrzeć na drugi jej koniec, zanim szef ochrony weśnie się na szczyt parowu. Biegł po piaszczystej równinie tak szybko i z takim wysiłkiem, jakby ktoś wbijał mu nóż w płuca. Zbliżywszy się do krańca płaskiej przestrzeni, skręcił ku nagiej kamienistej niecce. To miejsce było absurdalnie odsłonięte, ale za nim rozciągała się cała masa większych i mniejszych skał, wśród których mógł się ukryć i które mogły zapewnić mu możliwość ucieczki. Zeskoczył z ostatniej wydmy i wbiegł do kamienistej niecki, na chwilę znikając Wardlawowi z oczu.

Nagle dostrzegł swoją szansę i zmienił zamiar. W połowie długości niecki zauważył jeszcze większe wyżłobienie w skalnym podłożu, wypełnione gęstymi cieniami i na tyle głębokie, że mógł się w nim zmieścić. Obróciwszy się pośpiesznie, zeskoczył do skalnej niszy i skulił się w niej. Kryjówka nie była najlepsza; wystarczyło, by Wardlaw skierował latarkę we właściwą stronę. Ale nie zrobił tego, gdyż z pewnością podejrzewał, że Ford skierował się w stronę oferujących idealne schronienie skał opodal.

Minęło kilka minut i nagle usłyszał tupot stóp Wardlawia na kamienistym podłożu i jego ochrypły, szorstki oddech, kiedy go mijał.

Odliczył do sześćdziesięciu, po czym ostrożnie wyjrzał ze swojej kryjówki. W oddali wśród skał dostrzegł blask latarki Wardlawa, który zapuszczał się coraz bardziej w głąb kamienistego labiryntu.

Ford wyskoczył ze skalnej niecki i pobiegł co sił w nogach w stronę Nakai Valley.

Dotarliszy okreśną drogą do swojej *casita*. Ford podkrał się do niej od tyłu. Obszedł domek, by upewnić się, że Wardlaw nie czeka na niego, i wszedł od tyłu do środka. Księżyc zaszedł i niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć. Ponad płaskowyżem poniósł się dochodzący z daleka ryk kuguara.

Ford wszedł do sypialni, licząc, że zdoła jeszcze choć chwilę się zdrzemnąć przed śniadaniem. I znieruchomiał, wpatrując się w łóżko.

Na poduszce leżała koperta. Podniósł ją i wyjął kartkę. „Szko-
da, że cię nie zastałam”. Pismo było zgrabne, eleganckie. Liścik podpisano: „Melissa”.

Ford upuścił go na poduszkę i z kąśliwą ironią stwierdził, że dopiero teraz zaczynał sobie uświadamiać, jak ryzykowne było zadanie, którego się podjął.

18

Godzinę później Ford przyszedł na śniadanie, by poczuć ożywczy aromat kawy, bekonu i naleśników. Przystanął w drzwiach. Grupa była pomniejszona, kilkoro członków zespołu znajdowało się w Bunkrze, a innych FBI przesłuchiwało w sali rekreacyjnej. Hazelius zajmował jak zwykle miejsce u szczytu stołu.

Wziąwszy głęboki oddech, Ford wszedł do jadalni. Jeżeli wcześniej naukowcy wydawali się wynędzniali i zmęczeni, teraz przypominali żywe trupy, jedli w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń zaczerwienionymi oczami. Zwłaszcza Hazelius wyglądał okropnie.

Ford nalał sobie kubek kawy. Kiedy kilka minut później zjawił się Wardlaw, Ford przyglądał mu się ukradkiem. W porównaniu z innymi tamten wydawał się wypoczęty, niewzruszony i podejrzanie przyjacielski, kiedy skinął do niego, zanim zajął swoje miejsce. Kate krążyła między kuchnią a jadalnią, wykładając kolejne półmiski z jedzeniem. Ford próbował na nią nie patrzeć. Wokół niego prowadzono niezobowiązujące rozmowy. Nikt nie chciał mówić o Wołkońskim. O wszystkim, tylko nie o Wołkońskim. Corcoran usiadła obok niego. Poczul na sobie jej wzrok i odwrócił się, by ujrzeć znajomy uśmiech na jej ustach. Nachyliła się i *sotto voce* zapytała:

- Gdzie byłeś wczorajszej nocy?
- Wybrałem się na spacer.
- Tak, no jasne. - Uśmiechnęła się drwiąco i przeniosła

wzrok na Kate.

Ona myśli, że śpiam z Kate.

Corcoran odwróciła się do pozostałych i rzekła:

- Od rana głośno o nas w wiadomościach. Słyszeliście?

Wszyscy przestali jeść.

- Nikt z was nic nie słyszał? - Corcoran powiodła po ich twarzach triumfalnym wzrokiem. - To nie to, o czym myślicie. Nie chodzi o Wołkońskiego, o nim jeszcze w wiadomościach nie wspomniano. - Ponownie zlustrowała całą grupę wzrokiem, lubując się tym, że zwróciła ich uwagę. - To coś innego. Coś dziwnego. Słyszeliście o tym teleewangelistę, który prowadzi megakościół w Virginia Beach? Dziś od rana piszą o nim na internetowej stronie „Timesa”.

- Spates? - Innes nachylił się nad stołem. - Ten kaznodzieja, którego przyłapano z prostytutkami? Co on może mieć z nami wspólnego?

Jej uśmiech się poszerzył.

- Całe jego niedzielne kazanie było poświęcone nam.

- Nie rozumiem dlaczego - rzekł Innes.

- Powiedział, że jesteśmy bandą bezbożnych naukowców, którzy próbują zadać kłam Księdze Rodzaju. Całe kazanie jest dostępne na jego stronie internetowej. Witam waaas w imię Pa na Naszego Jeezusa Chrejtusa - rzuciła donośnie, naśladując południowy akcent kaznodziei i ponownie udowadniając swoje zdolności naśladowcze.

- Chyba żartujesz - powiedział Innes.

Stuknęła pod stołem Forda w nogę.

- A ty o tym nie słyszałeś?

- Nie.

- Kto ma czas surfować po sieci? - rzuciła Thibodeaux wy sokim, pełnym irytacji głosem. - I tak ledwie daję radę wypełnić swoje obowiązki.

- Nie rozumiem - rzekł Dolby - w jaki sposób mielibyśmy zadać kłam Księdze Rodzaju?

- Prowadzimy badania nad Wielkim Wybuchem, teorią humanistów świeckich, zgodnie z którą wszechświat został stwo-

rzony bez udziału Boga. Jesteśmy uczestnikami wojny przeciwko wierze. Jesteśmy tymi, którzy nienawidzą Chrystusa. Dolby pokręcił głową z niesmakiem.

- Według „Timesa” to kazanie wywołało prawdziwą burzę. Kilku kongresmenów z Południa domaga się przeprowadzenia zbiorowego śledztwa i grozi, że obetnie nam fundusze.

Innes odwrócił się do Hazeliusa.

- Wiedziałeś o tym, Gregory?

Tamten ze znużeniem pokręcił głową.

- Co z tym zrobimy?

Hazelius odstawił kubek z kawą i przetarł oczy.

- Krzywa Stanforda-Bineta wykazuje, że siedemdziesiąt procent ludzkości może poszczycić się inteligencją przeciętną lub poniżej przeciętnej. Innymi słowy, ponad dwie trzecie ludzkości to tępi przeciętniacy, żeby nie powiedzieć skończeni debile.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz - rzekł Innes.

- Chcę powiedzieć, że taki jest ten świat, George. Trzeba z tym żyć.

- Ale będziemy musieli wystosować oświadczenie, by za przeczyć tym oskarżeniom - powiedział Innes. - O ile mi wiadomo, teoria Wielkiego Wybuchu nie jest wcale sprzeczna z wiarą w Boga. Jedno nie wyklucza drugiego.

Edelstein oderwał wzrok od książki, w jego oczach pojawiły się isierki rozbawienia.

- Jeżeli naprawdę tak myślisz, George, to nie rozumiesz ani Boga, ani Wielkiego Wybuchu.

- Chwileczkę, Alan - przerwał mu Ken Dolby. - Możesz wierzyć w całkowicie fizyczną teorię w rodzaju Wielkiego Wybuchu i nadal wierzyć, że stał za nią Bóg.

Ciemne oczy Edelsteina zwróciły się ku niemu.

- Skoro teoria w pełni wszystko wyjaśnia, jak w wypadku na prawdę dobrej teorii, to po co w niej Bóg? Byłby tu jedynie widzem. A na co komu taki zbędny Bóg?
- Czemu nie powiesz nam, co naprawdę myślisz, Alan - rzucił z sarkazmem Dolby.
- Innes odezwał się głośno tonem pełnym profesjonalizmu:
- Z całą pewnością świat jest dostatecznie duży dla Boga i nauki.
- Corcoran przewróciła oczami.
- Jestem przeciwny oświadczeniu wydawanemu w imieniu projektu Isabella, w którym miałyby znaleźć się wzmianka o Bogu - powiedział Edelstein.
- Dość dyskusji - uciął Hazelius. - Nie będzie żadnych oświadczeń. Niech się tym zajmą politycy.
- Drzwi do sali rekreacyjnej otworzyły się i wyszło stamtąd trzech naukowców, agenci specjalni Greer i AWarez oraz porucznik Bia. W pomieszczeniu zapadła cisza.
- Chciałbym podziękować państwu za współpracę - rzucił oschle Greer, zwracając się do grupy z notatnikiem na podkładce w dłoni. - Macie moją wizytówkę. Gdybyście czegoś potrzebowali albo przypomnieli sobie o czymś ważnym, proszę o telefon.
- Kiedy będziecie coś wiedzieć? - zagadnął Hazelius.
- Za dwa, trzy dni.
- Zapadła cisza, którą przerwał Hazelius:
- Czy mogę o coś spytać?
- Greer czekał.
- Czy w samochodzie znaleziono pistolet?
- Greer po chwili wahania odparł:
- Tak.
- Gdzie?
- Na podłodze, obok kierowcy.

- O ile mi wiadomo, doktor Wołkoński zmarł wskutek postrzału w prawą skroń, strzał oddano z przyłożenia, kiedy siedział za kierownicą. Zgadza się?

- Owszem.
- Czy szyby w samochodzie były otwarte?
- Wszystkie były pozamykane.
- Klimatyzacja była włączona?
- Tak.
- Kluczyki w stacyjce?
- Tak.
- Czy prawą dłoń doktora Wołkońskiego zbadano na obecność prochu?

Cisza.

- Nie mamy jeszcze wyników - odparł Greer.
- Dziękuję.

Ford zdał sobie sprawę z wagi tych pytań, podobnie jak Greer. Kiedy agenci wyszli z pokoju, wszyscy w milczeniu powrócili do przerwane go posiłku. W powietrzu zdawało się unosić widmo niewypowiedzianego słowa „samobójstwo”.

Po zakończonym posiłku Hazelius wstał.

- Chciałem coś powiedzieć. - Powiódł zmęczonym wzrokiem po twarzach zebranych. - Wiem, że wszyscy jesteście równie głę boko wstrząśnięci jak ja.

Ludzie zaczęli nerwowo wiercić się na krzesłach. Ford spoj rzał na Kate. Wydawała się nie tyle wstrząśnięta, ile raczej zdru zgotana.

- Problemy z Isabellą najciężej odcisnęły się na Peterze z wia domych wam wszystkim powodów. Nadludzkiem wysiłkiem starał się uporać z problemami w oprogramowaniu Isabelli. I chyba mu siał się poddać. Pragnę zacytować na jego cześć tych kilka wersów z wiersza Keatsa traktującego o ulotnym momencie odkrycia.

Zacytował z pamięci:

*Nagłem zamarł, jak widokiem Niespodziewanej
planety olśniony astronom Albo jak śmiałek Cortez,
na wzgórzu Wysokiem Panamskiego przesmyku, gdy
jego legionom Podziw odebrał mowę -a on orlim
okiem Mknął ponad Pacyfikiem ku nieznanym
stronom*.*

Hazellius przerwał, po czym uniósł wzrok.

- Wspomniałem już o tym wcześniej, że żadne istotne odkrycie na tym świecie nie przychodzi łatwo. Wszystkie wielkie dokonania w domenie nieznanego są niebezpieczne, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychologicznym. Zwróćcie uwagę na podróż Magellana dookoła świata albo odkrycie Antarktydy przez kapitana Cooka. Przypomnijcie sobie program Apollo albo programy kosmiczne. Wczoraj z powodu ciężkich warunków, w jakich prowadzimy badania, straciliśmy jednego z członków naszej ekipy. Niezależnie od tego, co wykaże śledztwo - a chyba większość z nas domyśla się, jaki będzie jego wynik - zawsze będę uważał Petera za bohatera.

Przerwał, gdyż emocje odebrały mu głos. Po chwili odchrząknął.

- Jutro w południe ponownie uruchamiamy Isabellę. Wszyscy wiecie, co macie robić. Ci, którzy nie będą wówczas jeszcze wewnątrz góry, mogą zebrać się tu, w sali rekreacyjnej, o wpół do dwunastej, i całą grupą udać się do kompleksu. Drzwi Bunkra zo-

„Na pierwsze zapoznanie się z Homerem w przekładzie Chapmana”
[John Keats 33 wiersze, wybór, przekład Stanisław Barańczak, wyd. Znak,
Kraków 1997].

staną automatycznie zamknięte i zablokowane o jedenastej czterdzieści pięć. Tym razem, panie i panowie, przysięgam, że spojrzymy w oczy nieznanemu dumnie jak Cortez.

W jego głosie pobrzmiwał zapal, który zdumiał Forda, gdyż była to żarliwość prawdziwego wiernego wyznawcy.



19

Tego samego ranka wielbny D.T. Spates rozsiadł się w fotelu w swoim gabinecie, dźwigienką regulując ustawienie oparcia, aby było mu najwygodniej, i manipulując innymi dźwigienkami, by odnaleźć takie położenie, w jakim czuł się najlepiej. Czuł się wyśmienicie. Projekt Isabella okazał się gorącym tematem. Pieniądze wciąż napływały, a linie telefonicznie z trudem wytrzymywały obciążenie nieustających połączeń. Pozostawała kwestia, jak miał podejść do tematu podczas piątkowego talk-show *Ameryka przy okrągłym stole*. W trakcie kazania mógł zagrać na emocjach, grzmieć i domagać się krwi. Jednak *Ameryka przy okrągłym stole* była bardziej wyważona. Miała ustaloną renomę. Dlatego też potrzebował ścisłych danych, informacji, których mu brakowało, poza tym, co zdołał ściągnąć z oficjalnej strony internetowej projektu Isabella. Zrezygnował już z udziału gości, których zaprosił przed kilkoma tygodniami, i znalazł nowego, fizyka, który mógł opowiedzieć o projekcie Isabella. Ale poszukiwał czegoś więcej - niespodzianki.

Jego asystent Charles zjawił się z plikiem porannych wydruków.

- E-maile, o które prosiłeś, wielbny. Wiadomości. Grafiki.

Poukładał je starannie i skrupulatnie.

- Gdzie moja kawa?

Weszła sekretarka.

- Dzień dobry, wielbny! - rzuciła pogodnie.

Jej jasne farbowane włosy falowały i lśniły w porannym słońcu. Postawiła przed nim tacę: srebrny dzbanek z kawą, filiżankę, cukier, śmietankę i ciastko z orzechami makadamii oraz świeży egzemplarz „Virginia Beach Daily Press”.

- Zamknij za sobą drzwi, wychodząc.

W błogiej ciszy, jaka potem nastąpiła, Spates nalał sobie filiżankę kawy, rozparł się wygodnie w fotelu, uniósł filiżankę do ust i wypił pierwszy przepyszny łyk gorzkiego naparu. Przez chwilę trzymał go w ustach, przełknął, zrobił wydech i odstawił filiżankę. Następnie sięgnął po teczkę z e-mailami. Każdego dnia Charles i jego trzech pomocnicy przeglądali tysiące nadchodzących e-maili, wybierając te od osób, które osiągnęły poziom „Tysiąca błogosławieństw” lub były tego bliskie, i te od polityków oraz biznesmenów, których należało sobie zjednać. Rezultat tej selekcji miał teraz przed sobą. Wymagana była osobista odpowiedź, zwykle podziękowanie za pieniądze lub prośba o pieniądze.

Spates wyjął z teczki pierwszego e-maila, przebiegł go wzrokiem, napisał odpowiedź, odłożył na bok, wziął drugiego i w ten sposób powoli, żmudnie, przedzierał się przez pokaźny plik. Piętnaście minut później natknął się na e-maila, którego Charles oznakował jako intrygujący.

Skosztował kawałek ciastka i zaczął czytać.

Drogi Wielebny,

Pozdrawiam w Chrystusie. To ja, pastor Russ Eddy, piszę do Ciebie ze Zboru w Imię Pańskie, misji w Blue Gap w Arizonie. Głoszę Dobrą Nowinę w kraju Nawahów już od 1999 roku, kiedy to założyłem tę misję. Nie jest to duże przedsięwzięcie, właściwie prowadzę je sam.

Twoje kazanie o projekcie Isabella naprawdę trafiło w czuły punkt, Wielebny. I powiem ci dlaczego. Isabella znajduje się o rzut kamieniem stąd, na płaskowyżu Red Mesa. Widzę go przez okno, gdy piszę te słowa. Moja trzódka też często o tym mówi. Docierają do mnie dość niepokojące plotki na ten temat. Naprawdę niepokojące. Ludzie się boją: przeraża ich to, co się dzieje tam na górze.

Nie będę zabierał więcej twego cennego czasu, Wielebny, pragnę jedynie podziękować, że walczysz w słusznej sprawie i ostrzegasz chrześcijan na całym świecie przed tą bezbożną machiną na pustyni. Nie zaprzestawaj swych wysiłków.

Twój sojusznik w Chrystusie,
pastor Russ Eddy,
Zbór w Imię Pańskie,
misja Blue Gap w Arizonie

Spates przeczytał e-maila raz i drugi. Dopił kawę, odstawił filiżankę na tacę i oblizał kciuk z okruszków lepkiego ciastka. Potem rozsiadł się wygodnie i pogrążył w zamyśleniu. W Arizonie było piętnaście po siódmej. Wiejscy księża wstawali dość wcześnie, prawda?

Podniósł słuchawkę i wstukał numer podany na końcu e-maila. Po kilku sygnałach usłyszał wysoki głos.

- Pastor Russ przy telefonie.
- Witam, pastorze. Mówi wielebny Don T. Spates ze Zboru Bożego Czasu w Virginia Beach. Co słyhać, pastorze?
- Dziękuję, wszystko gra. - Głos był pełen powątpiewania, a może nawet podejrzliwości. - Zechce pan powtórzyć na zwisko?
- Wielebny Don T. Spates! Boży Czas.
- Ach, wielebny Spates! Cóż za niespodzianka! Musiał pan dostać mojego e-maila.
- Owszem, dostałem. I był bardzo interesujący.
- Dziękuję, wielebny.
- Proszę, mów mi Don. Rozumiem, że skoro znajdujesz się tak blisko tej maszyny i masz dostęp do tego naukowego eksperymentu, może to być poczytywane za dar od Boga.

- Jak to?
 - Potrzebuję kogoś, kto na bieżąco zdawałby mi relacje z tego, co się tam dzieje, kogoś, kto jest tam, na miejscu. Może Bóg pragnie, abyś ty był tym źródłem. Chyba nie na darmo nakłonił cię do napisania tego e-maila, Russ. Mam rację?
 - Tak, pastorze. To znaczy nie. Co tydzień w niedzielę słucham pańskich kazań. Nie mamy tu dobrego odbioru, jeśli chodzi o telewizję, ale mam satelitarne łącze internetowe i to pozwala mi uczestniczyć w pańskich nabożeństwach.
 - Miło mi to słyszeć, Russ. Dobrze wiedzieć, że nasz przekaz internetowy dociera w świat. A teraz, Russ, w swoim e-mailu wspominałeś o jakichś plotkach. Czy możesz mi to jakoś sprecyzować?
 - Jest ich wiele. Eksperyment z promieniowaniem, wybuchy, molestowanie dzieci. Mówi się, że produkują tam jakieś dziwolągi, potwory. Że rząd testuje nową broń, która ma zniszczyć świat.
- W brzuchu Spatesa pojawiła się nieprzyjemna gęstwa rozczarowania. Ten pastor mówił jak jakiś oszołom. Nic dziwnego, skoro żył na pustyni z bandą Indian.
- Może coś... konkretniejszego?
 - Wczoraj ktoś tam zginął. Jednego z naukowców znaleziono z kulą w głowie.
 - Naprawdę? - *To już coś lepszego. Chwała Panu.* - Skąd o tym wiesz?
 - Cóż, na prowincji plotki szybko się rozchodzą. Na płasko widać aż się roilo od agentów federalnych.
 - Widziałeś ich?
 - Pewnie, że tak. FBI zjawia się w rezerwacie tylko wtedy, gdy dochodzi do morderstwa. Większością innych przestępstw zajmuje się policja plemienna.

Spates poczuł na plecach dreszcz.

- Jeden z moich wiernych ma brata w policji. Ostatnie plotki głoszą, że to było samobójstwo. Wszystko robi się po cichu.
- Jak nazywał się ten nieżyjący naukowiec?
- Nie wiem.
- Jesteś pewien, że to jeden z naukowców, Russ, a nie ktoś inny?
- Proszę mi wierzyć, wiedziałbym, gdyby to był jeden z Nawahów. Ta społeczność jest bardzo mocno ze sobą związana.
- Zetknąłeś się z jakimś naukowcem z tego zespołu?
- Nie. Oni trzymają się raczej na uboczu.
- Czy mógłbyś jakoś nawiązać z nimi kontakt?
- Myślę, że tak. Chyba mógłbym tam do nich zajrzeć, przedstawić się jako miejscowy pastor. Przyjazne podejście i takie tam.
- To wyśmienity pomysł, Russ! Naprawdę chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, który kieruje Isabellą, nieja kim Hazeliusie. Słyszałeś o nim?
- Nazwisko brzmi znajomo.
- Ogłosił się najinteligentniejszym człowiekiem świata. Po wiedział, że wszyscy są głupszy od niego, określił ludzkość mianem idiotów. Pamiętasz to?
- Chyba tak.
- Ostro powiedziane, nie uważasz? Zwłaszcza gdy takie słowa padają z ust człowieka, który nie wierzy w Boga.
- To mnie nie dziwi, wielebny. Żyjemy w świecie, który czci zło.
- W rzeczy samej, synu. Czy mogę na ciebie liczyć?
- Oczywiście, wielebny. Jak najbardziej.
- Posłuchaj. To ważne. Potrzebuję tej informacji za dwa dni, żeby wykorzystać ją w moim programie *Ameryka przy okrągłym stole*. Widziałeś go kiedyś?

- Odkąd jest w sieci, zawsze go oglądam.

- W ten piątek będę miał w programie gościa, kogoś, kto z chrześcijańskiej perspektywy spróbuje opowiedzieć coś więcej na temat projektu Isabella. Potrzebuję więcej informacji, ale nie takich, które otrzymuje się za pośrednictwem biura PR. Mam na myśli brudy. Jak choćby ta śmierć - co się właściwie wydarzyło? Porozmawiaj z tym indiańskim gliną, o którym wspomniałeś. Rozumiemy się, Russ?

- Oczywiście, tak właśnie zrobię, wielebny.

Spates odłożył słuchawkę na widelki i z zamyśleniem wyjrzał przez okno. Wszystko powoli zaczynało się układać. Moc Boga nie miała granic.

20

Po powrocie ze śniadania Ford już miał wejść do swojej *casita*, gdy nagle zza załomu muru wyszedł Wardlaw i zastąpił mu drogę.

Ford spodziewał się czegoś takiego.

- Możemy zamienić słówko? - spytał niewinnie Wardlaw.

Żuł gumę, mięśnie nad jego uszami poruszały się rytmicznie. Ford czekał. To nie był odpowiedni moment na konfrontację, ale skoro Wardlaw tego sobie życzył, to będzie ją miał.

- Nie wiem, w co pogrywasz, Ford, ani kim naprawdę jesteś. Domyślam się, że działasz na pół oficjalnie. Wyczułem to już w dniu, kiedy się pojawiłeś.

Ford czekał.

Wardlaw podszedł tak blisko, że poczuł zapach jego wody po goleniu.

- Moim zadaniem jest strzec Isabellę także przed tobą. Po dejrzwam, że przybyłeś tu incognito, bo jakiś biurokrata z Waszyngtonu uznał, że w ten sposób ochroni swój tyłek. To nie gwarantuje ci większej ochrony, rozumiesz?

Ford milczał. Niech tamten wypuści trochę pary.

- Nie powiem nikomu o twojej małej nocnej eskapadzie. Rzecz jasna, ty doniesiesz o tym swoim przełożonym. Jeżeli sprawa wyjdzie na jaw, wiesz, jaka będzie moja odpowiedź. Moja linia obrony jest jasna. Byłeś intruzem, a zgodnie z moimi zaleceniami w takich sytuacjach mam strzelać, żeby zabić. A jeżeli wydaje ci się, że stłuczona szyba i zerwana stora w oknie sprawią, że Greer się wścieknie, wiedz, że zostały naprawione. To wszystko pozostaje wyłącznie między nami.

Ford był pod wrażeniem. Wardlaw nie zapomniał o niczym. Cieszył się, że szef ochrony nie okazał się w ciemną bitą. Zawsze było mu łatwiej stawić czoło inteligentnemu przeciwnikowi. Głupcy byli nieobliczalni. Zapytał:

- Skończyłeś tę swoją tyradę?

Na grubej szyi Wardlawa zaczęła pulsować tętnica.

- Miej się na baczności, glino.

Nieznacznie zszedł na bok, przepuszczając Forda.

Ten postąpił krok naprzód i nagle się zatrzymał. Znalazł się na tyle blisko, że mógł kolanem kopnąć tamtego w krocze. Spojrzał na szefa ochrony, przysuwając się do niego jeszcze bardziej, i ze spokojem rzucił:

- Wiesz, co jest najzabawniejsze? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Na twarzy Wardlawa pojawił się cień powątpiewania, gdy Ford w końcu pomaszerował dalej.

Wszedł do domu i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi. A zatem Wardlaw nie miał absolutnej pewności, że to właśnie jego ścigał. Ta niepewność go spowolni, sprawi, że stanie się ostrożniejszy.

Kiedy Ford był już pewien, że szef ochrony sobie poszedł, wyciągnął się na kanapie, rozdrażniony i sfrustrowany. Był na płaskowyzu prawie od czterech dni, ale wiedział niewiele więcej niż to, co usłyszał w gabinecie Lockwooda.

Zastanawiał się, jak w ogóle mógł przypuszczać, że to zadanie będzie względnie proste. Nadeszła pora, aby uczynił kolejny krok, którego miał nadzieję uniknąć, odkąd Lockwood pokazał mu teczkę Kate.

Godzinę później Ford odnalazł Kate w stajni, gdzie karmiła i poila konie. Stał w drzwiach i śledził wzrokiem, jak napełniała wiadra obrokiem, otwierała bele lucerny i dorzucała po trochu

do każdego boksu. Patrzył, jak się porusza; jej ciało, smukłe i prężne, wykonywało banalne zadanie z pewnością i gracją pomimo wyraźnego wyczerpania. Poczul się jak dwanaście lat temu, gdy przyglądał się jej śpiącej pod stołem.

Z wnętrza stajni płynęły ciche dźwięki muzyki rockowej. Dozruciała lucerny do ostatniego boksu, odwróciła się i dopiero teraz go zauważyła.

- Wybierasz się na kolejną przejazdzkę? - spytała stłumionym głosem.

Wszedł w chłodny cień.

- Jak leci, Kate?

Oparła dłonie w rękawiczkach na biodrach.

- Nie za dobrze.

- Przykro mi z powodu Petera.

- Taa.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Już skończyłam.

W tle płynęły łagodne dźwięki muzyki. Dopiero teraz je rozpoznał.

- Blondie?

- Często puszczam muzykę, gdy pracuję przy koniach. One ją lubią.

- Pamiętasz... ? - zaczął.

- Tak - ucięła krótko.

Patrzyli na siebie nawzajem w milczeniu. Na MIT zazwyczaj zaczynała dzień w laboratorium elektroniki, puszczać na cały regulator Atomie. Gdy docierał na miejsce, widywał ją, jak tańczyła po całym pomieszczeniu w słuchawkach na uszach i z kubkiem kawy w dłoni, robiąc z siebie widowisko. Uwielbiała się popisywać, jak wtedy, gdy wlała pół litra benzyny do fontanny Murphy Memoriał i podpaliła ją. Poczul pod sercem ukłucie żalu, że te

czasy minęły. Była tak pełna naiwnych nadziei i święcie wierzyła, że życie to nieustanna impreza. Ale ono zawsze w końcu dawało człowiekowi w kość, a jej dopiekło szczególnie mocno.

Odegnął od siebie wspomnienia i skupił się na misji. W wypadku Kate zawsze najlepiej było wyłożyć od razu kawę na ławę. Nie znosiła ludzi, którzy owijali w bawełnę. Ford przełknął ślinę. Czy kiedykolwiek wybaczy sobie to, co zamierzał zrobić?

Zapytał wprost:

- Dobra, powiedz mi, co wy wszyscy ukrywacie?

Spojrzała na niego stanowczo. Żadnego fałszywego zdziwienia, protestów czy udawanej niewiedzy.

- Nie twoja sprawa.
- Owszem, moja. Należę do zespołu.
- Wobec tego spytaj Gregoryego.
- Wiem, że będziesz ze mną szczera. Jeżeli chodzi o Hazeliusa, nie wiem, co mam o nim myśleć.

Jej oblicze złagodniało.

- Zaufaj mi, Wyman, nie chcesz tego wiedzieć.
- Chcę. Muszę to wiedzieć. To moja praca. To do ciebie nie podobne, Kate, trzymać cokolwiek w tajemnicy.
- Skąd przypuszczenie, że cokolwiek ukrywamy?
- Odkąd tu przybyłem, mam wrażenie, że coś ukrywacie. Wołkoński coś w związku z tym sugerował. Ty również. Coś jest nie tak z Isabellą, zgadza się?

Kate pokręciła głową.

- Boże, Wyman, ty się nigdy nie zmienisz. Wciąż jesteś cholernie ciekawski.

Przyjrzała się swojej koszuli, zdjęła źdźbło trawy z rękawa i zmarszczyła brwi.

Kolejna długa chwila ciszy. W końcu popatrzyła na niego brązowymi oczyma i zrozumiał, że podjęła decyzję.

- Tak. Z Isabellą jest coś nie w porządku. Ale nie tak, jak mo-
że ci się wydawać. To nic ekscytującego. To raczej głupie. Nie ma
nic wspólnego z tobą czy twoją pracą tutaj. Nie chcę, żebyś o tym
wiedział, żebyś... nie napytał sobie biedy.

Ford milczał. Czekał.

Kate wybuchnęła krótkim gorzkim śmiechem.

- W porządku. Sam tego chciałeś. Ale nie spodziewaj się
wielkich rewelacji.

Ogarnęło go silne poczucie winy. Stłumił w sobie wyrzuty su-
mienia, z emocjami upora się później.

- Kiedy ci o tym opowiem, zrozumiesz, dlaczego utrzymy-
waliśmy to w sekrecie. - Spojrzała na niego z przejęciem. - Ktoś
sabotował Isabellę. Jakiś haker robi nas w balona.

- Jak to?

- Ktoś wprowadził do superkomputera destrukcyjne opro-
gramowanie. To musiała być jakaś bomba logiczna, która została
aktywowana, kiedy Isabellą miała osiągnąć sto procent swojej
mocy. Najpierw na wizualizatorze pojawia się dziwny obraz,
a potem superkomputer się wyłącza i emituje kretyński komuni-
kat. To piekielnie frustrujące i wyjątkowo niebezpieczne. Przy
tak wysokim poziomie energii, gdyby wiązka cząstek zeszła z to-
ru albo zaczęła wariować, moglibyśmy wszyscy wylecieć w po-
wietrze. Co gorsza, nagła fluktuacja energii mogłaby stworzyć
niebezpieczne cząstki albo miniaturowe czarne dziury. To Mona
Liza hakerstwa, prawdziwy majstersztyk, dzieło niewiarygodnie
wyrafinowanego programisty. Nie możemy tego znaleźć.

- Jak brzmi przekaz?

- No wiesz, „witajcie, halo” albo „jest tam kto?”.

- Jak w tym starym programie sztucznej inteligencji: „Witaj,
świecie”.

- Właśnie, taki wewnętrzny żarcik.

- I co dalej?
 - To wszystko.
 - Nie mówi nic więcej?
 - Nie było na to czasu. Z uwagi na awarię komputera musieliśmy wdrożyć procedurę awaryjnego wyłączenia systemu.
 - Nie wdaliście się w rozmowę? Nie próbowaliście nakłonić tego do mówienia?
 - Żarty sobie stroisz? W obliczu potencjalnej eksplozji urządzenia za czterdzieści miliardów dolarów? Zresztą to i tak by nic nie dało, pewnie pojawiłyby się tylko kolejne idiotyczne komunikaty. A przy zepsutym superkomputerze kierowanie Isabellą przypomina nocną jazdę po ciemnej szosie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i wyłączonymi światłami. Musielibyśmy być kompletnie szurnięci, żeby siedzieć i gawędzić z tym czymś.
 - A ten obraz?
 - Bardzo dziwny. Trudno to opisać. Jest naprawdę widowiskowy, migocący jak duch. Ktokolwiek go sporządził, musiał być prawdziwym artystą w swoim fachu.
 - Nie potraficie znaleźć tego destrukcyjnego programu?
 - Nie, jest diabelnie sprytny. Wydaje się przemieszczać w całym systemie, zacierając za sobą ślady i unikając wykrycia.
 - Czemu nie powiadomicie o tym Waszyngtonu, aby przysłał tu specjalny zespół w celu usunięcia usterki?
- Zamilkła na chwilę.
- Już na to za późno. Gdyby wyszło na jaw, że padliśmy ofiarą hakera, zrobiłby się wielki skandal. Projekt Isabellą z ledwością zyskał fundusze w Kongresie. To byłby koniec.
 - Dlaczego od razu tego nie zgłosiliście? Po co to ukrywacie?
 - Wcale tego nie chcieliśmy! - Odgarnęła ręką włosy. - Ale w końcu ustaliliśmy, że lepiej będzie skasować destrukcyjny

program, zanim zgłosimy ten problem. Minął dzień, potem drugi i kolejny, a my nie byliśmy w stanie wykryć tego destrukcyjnego programu. Minął tydzień, dziesięć dni, aż w końcu zrozumieliśmy że zwlekaliśmy zbyt długo. Gdybyśmy to teraz zgłosili, oskarżono by nas o próbę zatuszowania sprawy.

- To był błąd.

- Bez wątplenia. Nie wiem, jak do tego doszło... Byliśmy tak zestresowani, że niemal odchodziliśmy od zmysłów, a zakończenie nie jednego pełnego cyklu zajmuje minimum czterdzieści osiem godzin...

- Domyślasz się, kto może za tym stać?

- Gregory uważa, że może to być grupa wysoko wykwalifikowanych hakerów, którzy zaplanowali z rozmysłem akcję sabotażową o charakterze przestępczym. Ale zawsze istnieje niewypowiedziana obawa... że hakerem może być ktoś spośród nas. - Przerwała, ciężko oddychając. - Teraz rozumiesz, w jakiej jesteśmy sytuacji.

W ciemnościach cicho zarżał koń.

- Pewnie dlatego Hazelius uważa śmierć Wołkońskiego za samobójstwo.

- Oczywiście, że to było samobójstwo. Jako inżynier programista nie mógł się chyba pogodzić z faktem, że jego dzieło padło ofiarą hakera. Biedny Peter. Był taki delikatny, pod względem emocjonalnym jak dwunastolatek, nadaktywny, niepewny siebie dzieciak w przydużych podkoszulkach. - Pokręciła głową. - Nie mógł znieść presji. W ogóle nie sypiał. Dzień i noc siedział przy komputerze. Ale nie potrafił odnaleźć podstawionego kodu. To go dobijało. Zaczął pić i nie zdziwiłabym się, gdyby zaczął sięgać też po coś mocniejszego.

- A co z Innesem? Przecież to, bądź co bądź, psycholog zespołu.

- Innes. - Zmarszczyła brwi. - Chce dobrze, ale okropnie od staje pod względem intelektualnym. Chodzi mi o to, że jego co tygodniowe sesje w rodzaju „pomówmy o wszystkim, co nam do skwiera” z normalnymi ludźmi pewne zdałyby egzamin, ale nie z nami. Tak łatwo jest przejrzeć wszystkie jego sztuczki, zasadnicze pytania, strategię działań. Peter go nie znosił. - Wierzchem dłoni otarła pojedynczą łzę. - Wszyscy bardzo lubiliśmy Petera.

- Wszyscy z wyjątkiem Wardlawa - wtrącił Ford. -1 Corcoran.

- Wardlaw... Cóż, on nie przepada za nikim z nas z wyjątkiem Hazeliusa. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że znajduje się pod jeszcze większą presją. Jest szefem ochrony i bezpieczeństwa, on powinien mieć pieczę nad wszystkim. Gdyby sprawa wyszła na jaw, trafiłby za kratki.

Nic dziwnego, że jest, delikatnie mówiąc, spięty.

- Co się tyczy Melissy, miewała zatargi z kilkoma członkami zespołu. Nie tylko z Wołkońskim. Radzę na nią... uważać.

Ford zapamiętał w duchu jej ostrzeżenie, ale nic nie powiedział.

Zdjęła rękawiczki i cisnęła je do wiszącego na ścianie kosza.

- Zadowolony? - spytała nerwowo.

Gdy Ford wracał do swojej *casita* w myślach powtórzył to pytanie.

Zadowolony?

21

Pastor Russ Eddy wsiadł do swojego starego forda pikapa i spojrzął na wskaźnik poziomu paliwa, usiłując oszacować, czy starczy mu benzyny na dotarcie na płaskowyż i z powrotem, gdy zobaczył na horyzoncie charakterystyczny korkociąg kurzu zwiastujący nadjeżdżający pojazd. Wsiadł z szoferki i oparł się o nią, czekając.

Kilka chwil później radiowóz policji plemiennej zatrzymał się przed jego przyczepą, a wiatr unosił w dal tumany gęstego kurzu. Po otwarciu drzwiczek pojawiły się zakurzone kowbojki. Wysoki mężczyzna wysiadł z auta i wyprostował się.

- Dzień dobry, pastorze - powiedział, dotykając runda ka pelusza.

- Dzień dobry, poruczniku Bia - rzekł Eddy, siląc się na spokojny, swobodny ton.

- Wybiera się pan gdzieś?

- Ee, nie, sprawdzałem tylko, ile mam paliwa - odparł Eddy. - Myślałem o tym, by udać się na płaskowyż i przedstawić naukowcom, którzy tam pracują. Zastanawia mnie, co się tam właściwie dzieje.

Bia rozejrzał się dokoła, w szklach jego lustrzanek odbijał się nieskończony horyzont.

- Widział pan może ostatnio Lorenza?

- Nie - odparł Eddy. - Nie widziałem go od poniedziałku rano.

Bia podciągnął spodnie, wiszące przy pasku przedmioty za brzęczały jak amulety przy bransoletce.

- To zabawne, bo w poniedziałek około czwartej złapał sto pa do Blue Gap i wspominał tam paru osobom, że wybiera się tu, by dokończyć robotę. Widziano go, jak szedł drogą w stronę mi sji, i od tej pory wszelki ślad po nim zaginął.

Eddy odczekał krótką chwilę.

- Cóż, ja go nie widziałem. To znaczy widziałem go rano, ale poszedł sobie około południa, a może wcześniej, i od tamtej pory już się nie pojawił. Miał dla mnie pracować, ale...

- Gorąco dziś, prawda? - Bia odwrócił się i uśmiechnął do Eddy ego, po czym spojrzał w stronę przyczepy. - Czy mógłbym namówić pana na kubek kawy?

- Oczywiście.

Bia wszedł za Eddym do kuchni i usiadł przy stole. Eddy nalał wody do maszynki do kawy i zapalił palnik kuchenki. Nawa-howie parzyli kawę po parę razy i Eddy uznał, że Bia nie będzie miał mu tego za złe.

Bia położył kapelusz na stole. Jego włosy przylepiły się do czaszki, tworząc wilgotny krąg.

- Cóż, właściwie nie przyjechałem tu w sprawie Lorenza. Uważam, że znów ruszył w tango. Ludzie w Blue Gap mówili, że był pijany, kiedy zjawił się tam w poniedziałek.

Eddy pokiwał głową.

- Zauważyłem, że zaczął popijać.

Bia pokręcił głową.

- Szkoda. Ten dzieciak mógł wyjść na prostą. Jak się wkrótce nie pojawi, cofną mu warunkowe i wróci do Alamedy.

Eddy znów skinął głową.

- Szkoda.

Kawa zaczęła bulgotać. Eddy wykorzystał okazję, by zająć się wyjmowaniem kubków, cukru i śmietanki, po czym poustawiał to wszystko na stoliku. Napełnił dwa kubki i ponownie usiadł.

- Właściwie - rzekł Bia - sprowadza mnie tu coś innego. Rozmawiałem wczoraj ze sprzedawcą z Blue Gap i powiedział mi o... problemie, jaki miał pastor z podbieraniem pieniędzy.

- Zgadza się.

Eddy napił się kawy, parząc sobie usta.

- Wspomniał, że oznakował pan niektóre banknoty i prosił, by zwrócił uwagę, gdyby znów się pojawiły

Eddy czekał.

- No cóż, wczoraj pojawiło się kilka z tych banknotów.

- Rozumiem. - Eddy przełknął ślinę. - Wczoraj?

- To dość niezręczna sytuacja - odparł Bia - i dlatego sprzedawca najpierw rozmówił się ze mną, zamiast zadzwonić do pana. Mam nadzieję, że zrozumie pan, co zamierzam powiedzieć. Nie chcę robić z tego wielkiego halo.

- Jasne.

- Zna pan starą panią Benally? Elizabeth Benally?

- Oczywiście, przychodzi do mojego kościoła.

- Wypasała owce na płaskowyżu każdego lata i miała stary szałas w pobliżu Piute Spring. To nie była jej ziemia, nie miała do niej żadnych praw, ale robiła to niemal przez całe swoje życie. Kiedy władze plemienne przejęły płaskowyż, by urządzić tam projekt Isabella, straciła tereny pod wypas i musiała sprzedać owce.

- Przykro mi to słyszeć.

- Dla niej to nie była wielka tragedia. Była po siedemdziesiątce i przeniesiono ją do małego domku na osiedlu w Blue Gap. Problem polega na tym, że w takim domu trzeba płacić rachunki za wodę, za prąd, rozumie pan, o co mi chodzi? A ona nigdy w życiu nie płaciła żadnych rachunków. Teraz w dodatku jej zarobki ograniczają się tylko do rządowej pensji, bo przecież nie ma już owiec.

Eddy powiedział, że rozumie.

- Cóż, w tym tygodniu jej wnuczka miała dziesiąte urodziny i wczoraj starsza pani Benally kupiła jej na prezent gameboya w punkcie handlowym, kazała go ładnie zapakować i w ogóle. -

Przerwał, spoglądając niewzruszenie na Eddy'ego. - Zapłaciła pańskimi oznakowanymi banknotami. Eddy tylko siedział, patrząc na Bię.

- Wiem. To dość zaskakujące.

Bia wyjął z tylnej kieszeni portfel. Jego wielka zakurzona dłoń wyłuskała pięćdziesięciodolarowy banknot i przesunęła po blacie.

- Po co robić z tego aferę.

Eddy był jak sparaliżowany.

Bia wstał i schował portfel.

- Gdyby to się powtórzyło, proszę dać mi znać, a ja ureguluję należność. Jak powiedziałem, nie ma sensu mieszać w to policji. Poza tym szczerze wątpię, aby starsza pani była *compos mentis*.

Zabrał swój kapelusz i nałożył na spocone szpakowate włosy.

- Dziękuję za wyrozumiałość, pastorze.

Odwrócił się, by odejść, i nagle się zatrzymał.

- Gdyby pan zobaczył Lorenza, proszę mnie powiadomić, dobrze?

- Oczywiście, poruczniku.

Pastor Russ Eddy patrzył, jak porucznik Bia wychodzi przez frontowe drzwi i znika, by po chwili pojawić się za oknem. Patrzył, jak Nawaho przechodzi przez podwórze od frontu, przecinając na ukos miejsce, gdzie pogrzebane były zwłoki młodego Indianina; spod kowbojek policjanta wzbijały się niewielkie kłęby kurzu.

Wzrok pastora padł na brudny pięćdziesięciodolarowy banknot i mdłości podeszły mu do gardła. A potem ogarnęła go wściekłość. Niepohamowana wściekłość.

22

Ford wszedł do swojego pokoju i stanął przy oknie. Spoglądał na nieregularną sylwetkę Nakai Rock wznoszącą się nad topolami. Wypełnił swoje zadanie, a teraz zastanawiał się nad podjęciem decyzji: czy powinien to zgłosić?

Osunął się na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Kate miała rację: gdyby te informacje wyciekły na zewnątrz, projekt mógłby być poważnie zagrożony. Kariery wszystkich, w tym także jej, ległyby w gruzach. Na niwie nauki próba zatuszowania wpadki albo jawne kłamstwo kładły kres każdej karierze.

Zadowolony? Zapytał raz jeszcze sam siebie.

Wstał i gniewnie zaczął krążyć po pokoju. Lockwood od początku wiedział, że Wyman znajdzie rozwiązanie, wypytując Kate. Nie wynajęto go, bo był agentem CIA, który został prywatnym detektywem, lecz dlatego, że dwanaście lat temu spotykał się z pewną kobietą. Powinien był odmówić Lockwoodowi, kiedy jeszcze było to możliwe. Ale to zadanie go zaintrygowało. Pochlebiało mu. No i prawdę mówiąc, bardzo chciał znów zobaczyć Kate.

Przez chwilę zatęsknił za klasztorem, tymi trzydziestoma miesiącami, kiedy życie wydawało się takie proste i czyste. Żyjąc tam, nieomal zapomniał o upiornych szarościach świata i niemożliwych wyborach moralnych, które wymuszał. Nigdy jednak nie byłby dobrym mnichem. Udał się do klasztoru w nadziei, że odzyska tam pewność i wiarę. Rezultat był dokładnie odwrotny. Pochylił głowę i próbował się modlić, ale to były tylko słowa. Słowa wypowiedane w ciszy.

Może nie było już czegoś takiego jak dobro i zło - ludzie po prostu robili to, co robili. Podjął decyzję. Nie zrobi niczego, co

■

mogłoby zagrozić karierze Kate. Dość już nacierpiała się w życiu. Da im dwa dni na odnalezienie destrukcyjnego programu. I pomoże im. Był święcie przekonany, że sabotażystą jest ktoś z ekipy. Nikt inny nie miałby odpowiedniego dostępu i wiedzy.

Wychodząc przez frontowe drzwi, Ford obszedł dom, jakby chciał się przejść, upewniając się równocześnie, że w pobliżu nie ma Wardlawa. Następnie wszedł do sypialni, otworzył szafkę i wyjął aktówkę. Wstukał kod, aby ją otworzyć, i wybrał numer w telefonie.

Lockwood odebrał tak szybko, że Ford odniósł wrażenie, iż doradca naukowy musiał czekać przy telefonie

- Jakież nowiny? - spytał zdyszczonym tonem.
- Niewiele.

Lockwood westchnął z rozczarowaniem i rozdrażnieniem.

- Miałeś cztery dni, Wyman.
- Po prostu nie mogą uruchomić Isabelli. Zaczynam podejrzewać, że się myliłeś, Stan. Oni niczego nie ukrywają. Jest tak, jak mówią. Po prostu nie są w stanie włączyć tego urządzenia, że by pracowało jak należy.

- Do cholery, Ford, nie kupuję tego!

Usłyszał w słuchawce ciężki oddech Lockwooda. Dla niego to także oznaczało koniec kariery. Ale on ani trochę nie dbał o tamtego. Niech spada. Liczyła się tylko Kate. Mógł załatwić im jeszcze parę dni na odnalezienie tego destrukcyjnego programu. Lockwood nie musiał o niczym wiedzieć.

Tamten mówił dalej:

- Słyszałeś o tym kaznodziei Spatesie i jego kazaniu?
- Tak.
- To zawęźa nam ramy czasowe. Masz dwa, góra trzy dni, za nim sami wyciągniemy wtyczkę. Wyman, musisz dowiedzieć się, co oni ukrywają, jasne? Dowiedz się tego!

- Zrozumiałem.
- Przeszukałeś dom Wołkońskiego?
- Tak.
- Znalazłeś coś?
- Nic szczególnego...

Cisza po stronie Lockwooda, aż w końcu:

- Właśnie otrzymałem wstępny raport z autopsji Wołkońskiego. Wszystko wskazuje na samobójstwo.

- Rozumiem.

Ford usłyszał dochodzący z drugiego końca łącza szelest papieru.

- Poszperałem też trochę, jak prosiłeś. Co się tyczy Cecchiniego... Sekta nazywała się Wrota Niebios. Pewnie pamiętasz, jak w 1997 roku członkowie tej właśnie sekty popełnili masowe samobójstwo, przekonani, że ich dusze trafią na pokład statku obcych, który miał zbliżyć się do Ziemi za kometa Halea-Boppa? Cecchini wstąpił do sekty w 1995; pozostał w niej niecały rok i odszedł przed masowym samobójstwem.

- Czy są jakieś przesłanki, że nadal w to wierzy? Ten facet sprawia wrażenie cyborga.

- Sekta już nie istnieje i nic nie wskazuje, aby on nadal w to wierzył. Od tamtej pory wiódł w miarę normalny, choć samotny tryb życia. Nie pije, nie pali, nie ma dziewczyny, przyjaciół też jak na lekarstwo. Skupiony wyłącznie na karierze. Ten człowiek to błyskotliwy fizyk całkowicie oddany swojej pracy.

- AChen?

- Zgodnie z treścią jej dossier ojciec Chen był robotnikiem analfabeta, który zmarł, zanim ona i jej matka wyemigrowały z Chin. To nie całkiem prawda. Był fizykiem pracującym w chińskim ośrodku badań i rozwoju nad bronią atomową w Lop Nor. I nadal żyje, tyle że w Chinach.

- Jak ta fałszywa informacja trafiła do akt?
- Z akt urzędu imigracyjnego i wywiadu z samą Chen.
- Zatem ona kłamie.
- Możliwe, że nie. Matka wywiozła ją z Chin, kiedy Chen miała dwa lata. Może to matka skłamała. Choć wyjaśnienie tej sprawy może być o wiele prostsze - matka nie otrzymałaby wizy wjazdowej do Ameryki, gdyby powiedziała prawdę. Chen może w ogóle nie wiedzieć, że jej ojciec żyje. Nie ma żadnych dowodów, aby przekazywała informacje.

- Hmm.

- Mamy coraz mniej czasu, Wyman. Draż dalej. Wiem, że oni ukrywają coś wielkiego, po prostu to wiem.

Lockwood się rozłączył.

Ford znów podszedł do okna i ponownie spojrzął w stronę Nakai Rock. Teraz był jednym z nich - on też skrywał tajemnicę. Ale w przeciwieństwie do nich więcej niż jedną.

23

Dwadzieścia po jedenastej pastor Russ Eddy mknął po świeżo wyasfaltowanej drodze biegnącej przez szczyt płaskowyżu Red Mesa w swoim rozklekotanym pikapie F-150 rocznik 1989. Wiatr wpadający przez otwarte okno rozwiewał stronicę Biblii króla Jakuba leżącej na siedzeniu obok niego, a krew w jego żyłach pulsowała gwałtowniej pod wpływem zakłopotania, gniewu i niepokoju, jakie go ogarniały. A więc to jednak nie był Lorenzo. Mimo to chłopak pił, był arogancki i bluźnił przeciwko Bogu w najohydniejszy z możliwych sposobów. Eddy nie miał nic wspólnego z jego śmiercią - chłopak zabił się sam. Ale koniec końców wszystko było zgodne z bożym planem. A Bóg wie, co robi.

Niebadane są wyroki boskie.

Powtarzał to sobie po wielokroć. Przez całe życie czekał na wezwanie, na to, by Bóg objawił przed nim cel. To była długa, trudna podróż. Bóg poddawał go licznym próbom jak Hioba, poprzez rozwód odebrał mu żonę i dziecko, pozbawił go też kariery, pieniędzy i szacunku do samego siebie.

A teraz ta sprawa z Lorenzem. Lorenzo bluźnił przeciw Bogu i Chrystusowi najgorszymi słowami i w obecności pastora. Bóg ukarał grzesznika, odbierając mu życie. Na oczach pastora. Ale Lorenzo nie był złodziejem, Eddy oskarżył go niesłusznie. Co to oznaczało? Gdzie w tym wszystkim była wola boża? Jakże Bóg miał wobec niego plany?

Niebadane są wyroki boskie.

Pikap, kaszląc i prychając, toczył się po lśniącym czarnym asfalcie, wziął szeroki zakręt, przejechał między wzniesieniami z piaskowca i oczom pastora ukazało się skupisko domów z cegły

suszanej na słońcu, na wpół ukryte pomiędzy topolami. Jakieś dwa kilometry dalej, na prawo widać było dwa nowe pasy startowe i rząd hangarów. Za nimi, na skraju płaskowyżu mieścił się kompleks projektu Isabella otoczony podwójnym ogrodzeniem z drucianej siatki. Wiedział, że większość kompleksu jest umieszczona pod ziemią. Wejście musiało znajdować się w ogrodzonej części bazy.

Ojcze w Niebiosach, prowadź mnie, modlił się.

Eddy wjechał do niewielkiej zielonej doliny. Na jej drugim końcu znajdowała się chata z drewnianych bali, zapewne stary skład, punkt handlowy Nakai Rock. W jej kierunku szło dwóch mężczyzn i kobieta. Inni kręcili się przy drzwiach. To sam Bóg ich tam ściągał dla niego. Wziął głęboki oddech, zwolnił i zatrzymał wóz przed chatą. Na ręcznie namalowanym szyldzie nad drzwiami chaty widział napis: „Punkt handlowy Nakai Rock 1888”.

Przez siatkowe drzwi naliczył w środku osiem osób. Zapukał w drewnianą framugę. Żadnej odpowiedzi. Zapukał głośniej. Mężczyzna znajdujący się najbliżej niego odwrócił się, a Russa zdumiały jego oczy. Były tak przeraźliwie niebieskie, że zdawały się tryskać elektrycznymi iskrami.

Hazelius. To musiał być on.

Russ odmówił krótką modlitwę i wszedł do środka.

- Czym mogę służyć? - spytał mężczyzna.

- Nazywam się Russ Eddy. Jestem pastorem Zboru w Imię Pańskie misji w Blue Gap. - Powiedział to jednym tchem. Po czuł się głupio, ale równocześnie był bardzo pewny siebie.

Z ciepłym uśmiechem mężczyzna odsunął się od krzesła, o które się opierał, i podszedł do niego.

- Gregory North Hazelius - rzekł, energicznie uściskawszy mu rękę. - Miło cię poznać, Russ.

- Bardzo dziękuję.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Russ poczuł, jak narasta w nim panika. Gdzie się podziały słowa, które powtarzał, jadąc przez Dugway? I nagle odnalazł je w sobie.

- Słyszałem o projekcie Isabella i postanowiłem przyjechać, aby opowiedzieć o mojej misji i zaproponować wsparcie duchowe. Spotykamy się co niedzielę o dziesiątej w Blue Gap, cztery kilometry na zachód od wieży wodnej.

- Bardzo dziękuję, Russ - powiedział Hazelius ciepłym, szczerym głosem. - Niebawem cię odwiedzimy i być może również zaprosimy, by oprowadzić cię po kompleksie Isabella. Nie stety, jesteśmy właśnie w trakcie ważnego spotkania. Może ze chciałbyś odwiedzić nas ponownie w przyszłym tygodniu?

Russ poczuł, że się czerwieni.

- Obawiam się, że to raczej nie wchodzi w grę. - Przełknął ślinę. - Widzi pan, moi wierni i ja martwimy się o to, co tu się dzieje. Przyjechałem, by usłyszeć konkretne odpowiedzi.

- Rozumiem twoją troskę, Russ, naprawdę. - Hazelius spojrział na stojącego przy nim mężczyznę, wysokiego, kanciastego i szpetnego. - Pastorze, pan pozwoli, że przedstawię, Wyman Ford, nasz łącznik z miejscową ludnością.

Mężczyzna postąpił naprzód, wyciągając do niego rękę.

- Miło mi pana poznać, pastorze.

Hazelius już zaczął się wycofywać.

- Przyszedłem porozmawiać z nim, a nie z panem - rzekł Eddy wysokim, jakże przez siebie znienawidzonym głosem, który aż się łamał z wysiłku.

Hazelius się odwrócił.

- Proszę wybaczyć, pastorze. Nie chcieliśmy być niegrzeczni. Tyle tylko że mamy teraz dość napięty grafik... Czy moglibyśmy spotkać się jutro o tej samej porze?



- Niestety nie.
- Czy mogę spytać, dlaczego tak panu zależy, abyśmy porozmawiali już tu i teraz?
 - Bo, o ile mi wiadomo, doszło tu do... nieoczekiwanej tragedii, i wydaje mi się, że nie wolno tej sprawy tak zostawić.
- Hazelius spojrział na niego.
- Ma pan na myśli śmierć Petera Wołkońskiego? - Jego głos stał się cichy.
- Jeżeli tak nazywał się człowiek, który odebrał sobie życie, to owszem, tak.
- Mężczyzna nazwiskiem Ford znów postąpił naprzód.
- Pastarze, z przyjemnością z panem pomówię. Doktor Hazelius przygotowuje się właśnie do kolejnego testu Isabelli i nie jest w stanie poświęcić panu czasu, o który pan prosi. Ale ja tak.
- Eddy nie zamierzał dopuścić, by jakiś pijarowy sługus zaczął mydlić mu oczy.
- Jak już mówiłem, nie chcę rozmawiać z panem, tylko z nim. Czy to nie on ogłosił się najinteligentniejszym człowiekiem na ziemi? Czy to nie on powiedział, że cała reszta ludzkości to idio ci? Czy to nie on zbudował maszynę mającą zaprzeczyć Słowu Bożemu?
- Zapadła krótka cisza.
- Projekt Isabella nie ma nic wspólnego z religią - rzekł pijarowiec. - To ściśle naukowy eksperyment.
- Eddy poczuł, jak narasta w nim gniew, prawy, niepohamowany, wymierzony przeciwko Lorenzowi, przeciwko byłej żonie, sądowi, w którym prowadzona była ich sprawa rozwodowa, i przeciwko całej niesprawiedliwości tego świata. Tak musiał czuć się w świątyni Jezus, kiedy wyrzucał stamtąd lichwiarzy.
- Wskazał drżącym palcem na Hazeliusa.
- Bóg ukarze cię raz jeszcze.

- Dość już... - rzekł pijarowiec ostrym tonem, ale Hazelius wszedł mu w słowo:

- Co znaczy „raz jeszcze”?

- Czytałem o tobie. Wiem o twojej żonie, która obnażała bez wstydu swoje ciało na łamach pornograficznego „Playboya”, która chępiła się przed innymi i żyła w luksusie niczym nierządnicą babilońska. Bóg ukarał cię, odbierając ci ją. Ale ty mimo to nie zacząłeś żałować za grzechy.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Po chwili pijarowiec rzekł:

- Panie Wardlaw, proszę wyprowadzić stąd pana Eddy'ego.

- Nie - rzekł Hazelius. - Jeszcze nie.

Odwrócił się do Eddyego z przerażającym uśmiechem, który zmroził duszę kaznodziei.

- Powiedz mi, Russ, jesteś pastorem z pobliskiej misji, zgadza się?

- Tak.

- Do jakiego wyznania należycie?

- Do żadnego. Jesteśmy niezrzeszeni. Jesteśmy ewangelikami.

- Ale protestantami? Katolikami? Mormonami?

- Jesteśmy odrodzonymi chrześcijańskimi fundamentalistami.

- Co to oznacza?

- Że przyjęliśmy do naszych serc Jezusa Chrystusa jako naszego Pana i Zbawiciela, zostaliśmy odrodzeni poprzez wodę i ducha, co jest jedyną prawdziwą drogą do zbawienia. Wierzymy, że każde słowo Pisma jest świętym, nieomylnym Słowem Bożym.

- Uważasz zatem, że protestanci i katolicy nie są prawdziwymi chrześcijanami i Bóg pošle ich do piekła, tak?

Eddy poczuł się nieswojo, słysząc to pytanie. Skoro jednak najinteligentniejszy człowiek świata chciał poruszyć ten temat, jemu to pasowało.

- Jeżeli nie zostali odrodzeni, to owszem, tak.
 - A co z żydami? Muzułmanami? Hindusami? Tymi, którzy są niepewni, którzy poszukują, którzy są zagubieni? Wszyscy będą potępieni?
 - Tak.
 - Wobec tego większość ludzi na tej małej bryłce błota wirującej na obrzeżu jednej z pomniejszych galaktyk trafi do piekła, wszyscy z wyjątkiem ciebie i garstki osobników myślących tak jak ty?
 - Musi pan zrozumieć...
 - Właśnie po to zadaję te pytania, Russ, aby zrozumieć. Powtarzam: Czy wierzysz, że Bóg pošle większość ludzi na ziemi do piekła?
 - Tak.
 - Jesteś o tym przekonany?
 - Tak. Pismo wielokrotnie to potwierdza. Ten, który wierzy i jest ochrzczony, będzie zbawiony. Ten, który uwierzy, nie będzie potępiony.
- Hazelius odwrócił się do grupy.
- Panie i panowie, oto macie przed sobą insekta, nie, bakterię, która wierzy, że zdołała poznać umysł Boga.
- Eddy się zaczerwienił. Rozpaczliwie zastanawiał się nad jakąś celną ripostą.
- Szpetny mężczyzna nazwiskiem Ford odezwał się do Hazeliusa:
- Gregory, proszę, nie szukaj zwady.
 - Ja tylko zadaję pytania, Wyman.
 - Ale wynikają z tego same kłopoty.
- Mężczyzna znów odwrócił się do funkcjonariusza ochrony.
- Panie Wardlaw? Raz jeszcze proszę, by wyprowadził pan stąd pana Eddy'ego.

Szef ochrony odparł stanowczo:

- Moim przełożonym jest doktor Hazelius i tylko on może mi rozkazywać. - Odwrócił się. - Czekam na decyzję.

Hazelius się nie odezwał.

Eddy jeszcze nie skończył z przemową, jaką przygotował sobie w myślach, kiedy tu jechał. Stłumił w sobie gniew i z lodowatą, niezłomną pewnością siebie, patrząc tamtemu prosto w te niebieskie oczy, powiedział:

- Uważa się pan za najinteligentniejszego człowieka świata. Ale jak naprawdę jest pan inteligentny? Bystrzak z pana, uważa pan, że świat zaistniał wskutek jakiejś przypadkowej eksplozji, Wielkiego Wybuchu, i wszystkie atomy jakoś tak same z siebie się połączyły, by stworzyć życie bez udziału i pomocy Boga. To ma być przejaw inteligencji? No to wiedz, że ta inteligencja za prowadzi cię prosto do piekła. Bierzesz udział w wojnie przeciwko wierze, ty i twoje bezbożne teorie. Pragniecie odrzucić chrześcijański fundament, na jakim wzniesli ten naród Ojcowie Założyciele, i zmienić kraj w świątynię świeckiego humanizmu, gdzie wszystko jest dozwolone - homoseksualizm, aborcje, narkotyki, seks przedmałżeński, pornografia. Ale oto zacząłeś zbierać to, co zasiałeś. Doszło już do jednego samobójstwa. Oto dokąd prowadzą bluźnierstwa i nienawiść wobec Boga. Samobójstwo. Bóg znów skieruje przeciwko tobie swój gniew, Hazeliusie. *Moja jest zemsta, rzecze Pan.*

Eddy przerwał, dysząc ciężko. Naukowiec dziwnie na niego patrzył, jego oczy lśniły jak dwie stalowe kulki od łożysk. Dziwnie zduszonym głosem Hazelius rzekł:

- Już czas na pana.

Eddy nie odpowiedział. Masywny szef ochrony postąpił na przód:

- Tędy, kolego.

- To nie będzie konieczne, Tony. Russ powiedział już, co miał powiedzieć. Wie, że czas na niego.

Szef ochrony mimo wszystko postąpił kolejny krok w jego stronę.

- Bez obawy - rzekł pospiesznie Eddy. - Nie mogę się do czekać, kiedy opuszczę to bezbożne miejsce.

Gdy siatkowe drzwi zamknęły się za nim, Eddy usłyszał spokojny głos mówiący:

- Bakteria rozciąga swą wic, by się oddalić.

Odwrócił się, przyłożył twarz do siatki i zawołał:

- *I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli.* Jan 8,32.

Obrócił się na pięcie i sztywnym krokiem poczłapał do pika-pa; lewa strona jego twarzy pulsowała od upokorzenia i bezgranicznego, niepohamowanego gniewu.

24

Ford patrzył, jak chudy kaznodzieja przechodzi przez parking w stronę zdezelowanego pikapa. Taki człowiek, gdyby miał popleczników, mógłby nieźle zaszkodzić projektowi Isabella. Bardzo żałował, że Hazelius go sprowokował, i podejrzewał, iż nie było to ostatnie wejście pastora.

Kiedy się odwrócił, Hazelius spokojnie patrzył na zegarek, jakby nic się nie stało.

- Jesteśmy spóźnieni - rzekł krótko uczony, zdejmując z haczyka biały laboratoryjny fartuch. Rozejrzał się dokoła. - Chodźmy. - Jego wzrok padł na Forda. - Obawiam się, że następne dwa naście godzin będziesz musiał spędzić samotnie.

- Właściwie - odparł Ford - chciałbym uczestniczyć w tym teście.

Hazelius nałożył fartuch i wziął swoją aktówkę.

- Przykro mi, ale to niemożliwe, Wyman. Kiedy schodzimy do Bunkra, wszyscy mamy tam przypisane role i musimy robić swoje, a miejsca jest niewiele. Nie możemy sobie pozwolić na obecność dodatkowych osób. Mam nadzieję, że to rozu miesz.

- Mnie też jest przykro, Gregory, ale z uwagi na zadanie, jakie mi wyznaczono, muszę być przy tym teście.

- Niech będzie, ale jeszcze nie tym razem. Mamy mnóstwo problemów, pracujemy pod ciągłą presją i dopóki nie rozwiążemy my kłopotów natury technicznej, nie możemy wpuścić na Mostek dodatkowych osób.

- Niestety, muszę nalegać - rzekł półgłosem Ford.

Hazelius zamilkł. Zapadła niezręczna cisza.

- Dlaczego twoja obecność podczas testu miałyby być związana z zadaniem, które wykonujesz?

- Wynajęto mnie, bym zapewnił miejscową ludność, że Isabella jest bezpieczna. Nie zamierzam nikogo o niczym zapewniać, dopóki sam nie będę mieć pewności.

- Czyżbyś wątpił w to, że Isabella jest bezpiecznym urządzeniem?

- Nie zamierzam polegać na zdaniu innych.

Hazelius wolno pokręcił głową.

- Muszę szczerze powiedzieć Nawahom, że pod każdym względem należę do ekipy projektu i że nikt niczego przede mną nie ukrywa.

- Jako szef ochrony - odezwał się nagle Wardlaw - pragnę poinformować pana Forda, że z uwagi na wymogi bezpieczeństwa nie ma wstępu do Bunkra. Koniec dyskusji.

Ford odwrócił się do Wardlawa:

- Nie chciałby pan chyba podążać dalej tym torem.

Hazelius pokręcił głową.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Wyman. Naprawdę. Problem w tym, że...

- Jeżeli martwicie się, że dowie się o destrukcyjnym programie w softwarze, to dajcie spokój. On już o tym wie - odezwała się Kate Mercer.

Wszyscy spojrzeli na nią. Wydawali się wstrząśnięci. Nikt nie mówił.

- Powiedziałam mu wszystko - ciągnęła Mercer. - Uznałam, że powinien wiedzieć.

- No to pięknie - mruknęła Corcoran, wlepiając wzrok w sufit.

Kate odwróciła się do niej.

- Jest członkiem zespołu. Ma prawo wiedzieć. Ufam mu na sto procent. Nie ujawni naszej tajemnicy.

Corcoran się zaczerwieniła.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy w stanie odczytać, co kryje się między wierszami tego monologu.

- Nie to, o czym myślisz - wycedziła chłodno Mercer.

Corcoran uśmiechnęła się drwiąco.

- A niby o czym myślę?

Hazelius chrząknął.

- No, no.

Odwrócił się do Forda i przyjaznym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- A więc Kate wyjaśniła ci wszystko.

- Tak.

Pokiwał głową.

- W porządku...

Zamyślił się przez chwilę. W końcu odwrócił się i uśmiechnął do Kate.

- Szanuję twój osąd. I postanowiłem ci zaufać.

Odwrócił się do Forda.

- Wiem, że jesteś honorowym człowiekiem. Witaj w naszym zespole, tym razem naprawdę. Teraz zostałeś wtajemniczony w nasz mały sekret. - Jego niebieskie oczy wydawały się niepokojąco przenikliwe.

Ford próbował nie dopuścić, by na jego twarzy pojawiły się rumieńce. Spojrzał na Kate i zdziwił się, ujrawszy malujące się na jej twarzy... nadzieję? Wyczekiwanie? Nie wydawała się zagniewana, że postawił na swoim.

- Pomówimy o tym później, Wyman. - Hazelius zsunął dłoń z ramienia Forda i odwrócił się do Wardlawa: - Tony, wygląda na to, że pan Ford weźmie jednak udział w kolejnym rozruchu testowym.

Szef ochrony nic nie odpowiedział. Jego twarz pozostawała niewzruszona i pozbawiona wyrazu, patrzył prosto przed siebie.

- Tony?

- Tak jest - padła oschła odpowiedź. - Rozumiem.

Ford, mijając Wardlaw, celowo i z rozmysłem spojrzął na niego. Tamten nie próbował odwrócić wzroku, a jego oczy były puste i lodowate.

25

Ken Dolby patrzył, jak wielkie tytanowe drzwi do Bunkra opadają i zapieczętowują się przy wtórze głuchego łoskotu. Podmucha wilgotnego powietrza omiół mu twarz. Pachniało jaskiniami, mokrymi kamieniami, rozgrzаныmi urządzeniami elektronicznymi, olejem do maszyn i pyłem węglowym. Wziął głęboki wdech. To był oszałamiający zapach, bogaty zapach - zapach Isabelli.

Naukowcy minęli go, idąc gęsiego na Mostek. Dolby na chwilę zatrzymał Hazeliusa.

- Mamy czerwone światło na magnesie 140 - powiedział. - Pojawił się sygnał ostrzegawczy, ale to nic poważnego. Zamierzam to sprawdzić.

- Jak sądzisz, ile ci to zajmie?

- Niecałą godzinę.

Hazelius poklepał go po plecach.

- Zajmij się tym, Ken, i zgłoś się, gdy skończysz. Nie urucho mię Isabelli, dopóki nie zdasz raportu.

Dolby pokiwał głową. Stał w ogromnej jaskini, podczas gdy pozostali weszli na Mostek. Drzwi zamknęły się z hukiem, którego echo poniosło się w tej rozległej jak wnętrze hangaru przestrzeni.

Stopniowo cisza powróciła. Dolby znów napełnił płuca wonnym powietrzem. Prowadził zespół projektantów Isabelli, kierując tuzinem inżynierów z tytułami doktorskimi i niemal setką projektantów konstrukcyjnych, którzy opracowywali plany poszczególnych podsystemów i komputera. Pomimo zaangażowania wielu ludzi, to on wszystkim kierował, do wszystkiego przyłożył rękę. Znał każdy centymetr kwadratowy Isabelli, każdy jej

szczegól, każdą zachciankę, każde zagłębienie i każdą wypukłość. Isabella była jego tworem, jego urządzeniem.

Owalny otwór prowadzący do tunelu Isabelli, jak odcięty kawałek pączka, lśnił łagodnym niebieskim światłem. Wąskie smużki kondensacji wiły się węzowato przez portal to w tę, to w drugą stronę, po czym się rozpraszały. Wewnątrz tunelu, tuż poza otworem, Dolby dostrzegł masywną szaroniebieską ścianę osłony ze zubożonego uranu - za którą znajdowała się współrzędna zero, bijące serce Isabelli.

Współrzędna zero. To właśnie w tym punkcie, nie większym od łebka szpilki, wiązki cząstek materii i antymaterii zderzały się ze sobą z prędkością światła, by unicestwić się nawzajem w eksplozji czystej energii. Kiedy Isabella pracowała z pełną mocą stu procent swojej wydajności, to było właśnie najgorętsze, najważniejsze miejsce w całym wszechświecie - trylion stopni. Chyba że, pomyślał Dolby z uśmiechem, gdzieś tam były istoty dysponujące akceleratorem cząstek większym niż ten jego.

Ale w to wątpił.

Większość energii powstałej wskutek eksplozji materii zderzającej się z antymaterią w punkcie o współrzędnych zero była natychmiast przetwarzana z powrotem w masę zgodnie ze słynną formułą Einsteina $E = mc^2$ i stawała się niezwykłą strugą egzotycznych cząstek subatomowych. Niektórych z nich nie widywano od momentu stworzenia wszechświata w wyniku Wielkiego Wybuchu, 13,7 miliarda lat temu.

Zamknął oczy i wyobraził sobie siebie jako jeden z protonów wirujący w kręgu, w koło, w koło, i przyspieszający za sprawą supermagnesów nadprzewodzących do 99,999 procent prędkości światła. Zataczał krąg o obwodzie siedemdziesięciu pięciu kilometrów cztery tysiące razy na sekundę, bez przerwy. Widział siebie spadającego w dół zakrzywionego tunelu z niewyobrażalną

prędkością, nabierającego przyspieszenia od każdego z kolejnych magnesów, ponad trzy miliony „kopów” na sekundę, coraz szybciej... samo wyobrażanie sobie tego sprawiało mu nie lada frajdę. A zaledwie o centymetr od niego w przewodzie przepływał strumień antyprotonów krążący w przeciwnym kierunku i chłostany przez niego z tą samą niewiarygodną szybkością.

Wyobraził sobie moment kontaktu. Jego promień został skierowany na nadciągający strumień. Wprost na zderzenie czołowe w punkcie o współrzędnych zero. Materia zderzająca się z antymateria z prędkością światła. Wpadając z cząsteczką do punktu 0 współrzędnych zero, poczuł zderzenie - wrażenie czystej, absolutnej, nieujarzmionej anihilacji. Poczuł, jak się odradza w osobliwych nowych cząsteczkach rozpryskujących się na zewnątrz we wszystkich kierunkach i wpadających do wielowarstwowych detektorów, które zliczały, rejestrowały i badały każdą cząsteczkę.

Dziesięć trylionów cząstek na sekundę.

Dolby otworzył oczy, wrywając się z zamyślenia, i zrobiło mu się trochę głupio. Sprawdzając kieszenie w poszukiwaniu drobniaków czy innych przedmiotów ferromagnetycznych, przeszedł przez obszar bazy operacyjnej w stronę rzędu wózków golfowych. Nadprzewodzące magnesy Isabelli były tysiące razy silniejsze niż te, których używano w urządzeniach do rezonansu magnetycznego. Mogły sprawić, że zwykła dziesięciocentówka przeszłaby człowieka na wylot albo klamra od paska wyprułaby mu wnętrzności.

Isabella była niebezpieczna i domagała się szacunku.

Zasiadł za kółkiem. Nacisnąwszy guzik, uruchomił sprzęgło i wrzucił pierwszy bieg.

Sam zaprojektował ten wózek, to była jego chluba. Choć poruszał się z prędkością zaledwie pięćdziesięciu kilometrów na go-

dzinę, kosztował tyle samo co ferrari testarossa, głównie dlatego, że wykonano go wyłącznie z niemagnetycznych materiałów - plastików, ceramiki i metali niskodiamagnetycznych. Pojazd był zaopatrzony w system łączności, wbudowany komputer, radarowe detektory ostrzegawcze i urządzenia kontrolujące z przodu, z tyłu i po bokach, detektory promieniowania, alarmy ferromagnetyczne i chroniący przed wibracjami specjalny bagażnik do przewozu delikatnych sprzętów naukowych. Dolby przejechał po betonowym podłożu i przez owalny otwór dostał się do tunelu Isabelli. Było ciasno i musiał się zatrzymać, żeby wykręcić.

- Witaj, Isabello.

Wjechał na betonowy tor biegnący po podłożu tunelu, obok zakrzywiającego się pęku rur. Znalazł się na torze, przyspieszył, koła wózka wpasowały się w koleiny. Wszystko było skąpane w zielonkawoniebieskim świetle płynącym z podwójnych rzędów świetlówek powyżej. Sunąc przed siebie, spojrzął na największą z rur, lśniącą konstrukcję ze stopu aluminium zaopatrzoną w kryzę i nitowaną co półtora metra. Wewnątrz była próżnia, większa nawet niż ta, jaka panuje na powierzchni Księżyca. Rura musiała być wąska, jeden luźny atom wpadający do punktu o współrzędnych zero mógł być jak spłaszczony koń na torze wyścigowym. Aż się prosiło o tragedię.

Przyspieszył do maksimum. Gumowe koła skrzypiały w specjalnie przystosowanych koleinach. Co trzydzieści metrów mijał magnes okalający przewód jak wielki obwarzanek. Każdy magnes, schłodzony do temperatury czterech i pół stopnia powyżej zera absolutnego, wytwarzał mgiełkę kondensacji. Dolby rozwiewał opary, pozostawiając za sobą wirującą chłodną chmurkę.

Co jakiś czas mijał stalowe drzwi po lewej stronie tunelu, wejścia do dawnych tuneli kopalni. Wyjścia awaryjne, gdyby coś się stało. Ale nic się nie stanie. To przecież Isabella.

Magnes 140 znajdował się dwanaście kilometrów w głąb tunelu... Dwadzieścia minut jazdy. Dolby niemal się z tego ucieszył, lubił spędzać czas ze swoim urządzeniem.

- Całkiem niezłe - rzekł na głos - jak na syna mechanika z Watts, co, Isabello?

Pomyślał o swoim ojcu, który potrafił naprawić każdy silnik samochodowy na świecie. Nigdy nie zarabiał więcej niż minimum, które ledwie starczało na życie. To oburzające, że tak wyśmienity specjalista jak on nie dorobił się fortuny. Dolby postawił sobie za punkt honoru, aby naprawić tę niesprawiedliwość, i udało mu się. Kiedy miał siedem lat, ojciec podarował mu radio do składania. To zakrawało na cud: skręcać i lutować kawałki plastiku oraz metalu, a na koniec usłyszeć głos płynący z gotowego już urządzenia. Zanim skończył dziesięć lat, Dolby skonstruował swój pierwszy komputer. Potem zbudował teleskop, dołożył parę urządzeń półprzewodnikowych zrobionych z elementów światłoczułych, podłączył do komputera i zaczął śledzić asteroidy. Zbudował miniakcelerator, używając do tego starego pistoletu elektronowego z zestawu do gier telewizyjnych. Dzięki niemu spełnił marzenie każdego alchemika, zrobił coś, co nie udało się nawet Isaacowi Newtonowi: rozbił kawałek ołowianej folii elektronami, zmieniając jakieś kilkakaset atomów w złoto. Jego biedny ojciec, niechaj spoczywa w spokoju, wydawał każdego dolara z tego, co zostawało z jego nędznych zarobków, aby kupować mu zestawy do składania, sprzęt i części. Marzeniem Kena było zbudować największą, najbardziej błyszczącą, najdroższą maszynę, jaka kiedykolwiek powstała.

I właśnie tego dokonał.

Jego maszyna była doskonała, nawet jeżeli jakiś skurwiel włamał się do oprogramowania komputerowego.

Jego oczom ukazał się magnes 140, więc zahamował gwałtownie. Wyjął z bagażnika specjalny laptop i podłączył go do panelu obok magnesu. Przycupnąwszy na piętach, pracował, bez przerwy mówiąc do siebie. Odkręcił metalową płytkę przy magnesie z boku i dwoma przewodami, czarnym i czerwonym, podłączył urządzenie do terminala.

Spojrzał na ekran laptopa, a jego oblicze spochmurniało.

- Niech cię diabli, suko.

Pompa kriogeniczna, która stanowiła element systemu chłodzenia, zaczęła szwankować.

- Cieszę się, że w porę się zorientowałem.

Bez słowa spakował narzędzia, włożył laptopa z powrotem do neoprenowej walizeczki i wrócił za kierownicę wózka. Odczepił umieszczone na desce rozdzielczej radio i nacisnął przycisk.

- Dolby wzywa Mostek.

- Tu Wardlaw - dobiegło z głośnika.

- Chcę mówić z Gregorym.

Po chwili usłyszał głos Hazeliusa.

- Można uruchomić Isabelle.

- Na pulpicie wciąż świeci się czerwona lampka oznaczająca zagrożenie podwyższoną temperaturą.

Cisza.

- Wiesz, Gregory, że nigdy nie podjąłbym ryzyka, które mogłoby zagrozić maszynie.

- Dobra, zacznę ją uruchamiać.

- Będziemy musieli zainstalować nową pompę kriogeniczną, ale mamy na to mnóstwo czasu. Ta wytrzyma jeszcze co najmniej dwie kolejne próby.

Dolby wyłączył się, złożył dłonie za głową i oparł stopy o deskę rozdzielczą. W niemal kompletnej ciszy, jaka zapadła, zaczął wychwytywać słabe dźwięki - szmer systemu napowietrzania

i wentylacji, szum pomp kriogenicznych, syk ciekłego azotu przepływającego przez zewnętrzne komory, ciche pykanie stygnącego silnika wózka golfowego oraz dźwięki wydawane przez samą górę.

Dolby zamknął oczy i czekał, aż w końcu usłyszał nowy dźwięk. To brzmiało jak cichy śpiew, nucona niemal szeptem melodia, złożona i mroczna.

Isabella została uruchomiona.

Poczuł nieodparty dreszcz trwogi i podziw, że oto on sam zaprojektował urządzenie, które mogło rzucić odrobinę światła na moment stworzenia, maszynę, która była w stanie odtworzyć sam moment stworzenia.

Boską maszynę.

Isabelle.

26

Ford dopił resztki gorzkiej kawy z fusami z dna kubka i spojrzął na zegarek. Próba okazała się ciągiem długich, niekończących się poprawek i regulacji trwających całymi godzinami. Gdy tak obserwował wszystkich przy pracy, zastanawiał się: czy jeden z nich to sabotażysta?

Podszedł do niego Hazelius.

- Dprowadzamy teraz do kontaktu dwóch promieni. Patrz na wizualizator, to ten ekran z przodu.

Fizyk wydał polecenie i po chwili pośrodku ekranu pojawił się jasny punkcik światła, a zaraz potem zaczęły się z niego rozchodzić falujące wstęgi barw.

Ford wskazał głową na ekran.

- Co przedstawiają te kolory?

- Komputer przetwarza zderzenia cząstek w punkcie współrzędnych zero na obrazy. Każdy kolor reprezentuje inny rodzaj cząstki, wstęgi przedstawiają poziomy energii, a promieniste kształty trajektorie cząstek, po których opuszczają one punkt o współrzędnych zero. Dzięki temu możemy zobaczyć na własne oczy, co się dzieje, bez konieczności użerania się z liczbami.

- Sprytne.

- To był pomysł Wołkońskiego. - Hazelius ze smutkiem po kręcił głową.

Rozległ się głos Kena Dolby ego:

- Dziewięćdziesiąt procent mocy.

Hazelius wziął do ręki pusty kubek Forda.

- Jeszcze dolewki?

Tamten się skrzywił.

- Dlaczego nie macie porządnego automatu do kawy?

Hazelius oddalił się, chichocząc cicho. Wszyscy inni zamilkli, skoncentrowani na swoich zadaniach, oprócz Innesa, który krążył w tę i z powrotem, nie mając nic do roboty, i Edelsteina, który siedział w kącie i czytał *Finnegans Wake*. Pudełka po mrożonej pizze, którą jedli na kolację, wysypywały się ze stojącego przy wejściu kosza na śmieci. Na białych powierzchniach widać było okrągłe ślady po kawie. Butelka veuve clicquot wciąż leżała pod ścianą.

To było dwanaście długich godzin - niekończąca się nuda przerywana krótkimi wybuchami aktywności.

- Wiązka stabilna, skolimowana, luminancja czternaście przez cinek dziewięć teraelektronowoltów - rzekła Rae Chen, pochylając się nad klawiaturą; jej lśniące czarne włosy opadały na klawisze.

Ford spacerował po podwyższonej części Mostka. Gdy mijał Wardlawa, który siedział przy swoim stanowisku, pochwycił jego wrogie spojrzenie i w odpowiedzi tylko chłodno się uśmiechnął. Mężczyzna czekał i patrzył.

Rozległ się głos Hazeliusa:

- Zwiększ do dziewięćdziesięciu pięciu, Rae.

W ciszy dało się słyszeć stukanie w klawiaturę.

- Wiązka stabilna - oznajmiła.

- Harlan? Jak moc?

Pojawiło się przywodzące na myśl irlandzkiego gнома oblicze St. Vincenta.

- Napływa jak fala przyboju, mocno i zdecydowanie.

- Michael?

- Jak dotąd nieźle. Bez anomalii.

Litania głosów trwała. Hazelius prosił o raport kolejno wszystkich zebranych, a gdy skończył, wszystko zaczynało się od począt-

ku. Trwało to już dobrych parę godzin, ale dopiero teraz Ford poczuł narastające napięcie.

- Moc na dziewięćdziesiąt pięć procent - rzekł Dolby.
- Wiązka cząstek stabilna. Skolimowana.
- Luminancja siedemnaście teraelektronowoltów.
- W porządku, ludziska, wkraczamy na nieznane terytorium
- rzekła Chen, trzymając dłonie na urządzeniach kontrolnych.
- Tu żyją potwory - dodał Hazelius.

Ekran zalewała kaskada barw. Obraz wyglądał niby jakiś wiecznie kwitnący kwiat. Fordowi ten widok wydał się hipnotycznie urzekający. Przeniósł wzrok na Kate. Pracowała w ciszy na podłączonym do sieci power macu przy programie, który rozpoznał jako Wolfram's Mathematica. Na ekranie pojawił się skomplikowany obiekt. Ford podszedł i spojrzał ponad jej ramieniem.

- Przeszkadzam?

Odwracając się, westchnęła:

- W zasadzie nie. I tak zamierzałam to wyłączyć i obejrzeć ostatni etap rozruchu.

- Co to takiego? - Ford skinął głową na ekran.

- Jedenastowymiarowa przestrzeń Kaluzy-Kleina. Prowadziłam pewne obliczenia dotyczące miniaturowych czarnych dziur.

- Słyszałam, że Isabella ma zbadać możliwość generowania mocy z wykorzystaniem miniaturowych czarnych dziur.

- Tak. To jeden z naszych projektów, o ile uda nam się kiedykolwiek podłączyć Isabellę do sieci.

- Jak miałyby to funkcjonować?

Dostrzegł nerwowe spojrzenie w stronę Hazeliusa. Ich spojrzenia spotkały się przez moment.

- Cóż, wygląda na to, że Isabella może być dostatecznie potężna, by wytwarzać miniaturowe czarne dziury. Stephen Hawking

dowodził, że wyparowują po kilku trylionowych sekundy, uwalniając energię.

- To znaczy eksplodują.

- Zgadza się. Istnieje idea, że moglibyśmy ujarzmić tę energię.

- Zatem istnieje możliwość, że Isabella wytworzy czarną dziurę, która wybuchnie?

Kate machnęła ręką.

- Niezupełnie. Czarne dziury, jakie mogłaby wytworzyć Isabella - o ile w ogóle by się to udało - byłyby tak małe, że wyparowałyby w ciągu trylionowych części sekundy, uwalniając przy tym mniej energii, niż powstaje przy pęknięciu bańki mydlanej.

- Ale wybuch mógłby być silniejszy?

- To wysoce wątpliwe. Sądzę, że byłoby to możliwe, gdyby miniaturowa czarna dziura przetrwała, dajmy na to, kilka sekund i zdążyła w tym czasie nabrać więcej masy... i dopiero wtedy eksplodowała.

- Jak duża byłaby to eksplozja?

- Trudno powiedzieć. Przypuszczalnie rozmiarów małej bomby atomowej.

Corcoran podeszła i przystanęła obok Forda.

- Ale to nie jest najbardziej przerażający scenariusz - rzekła.

- Melissa.

Uniosła brwi, spoglądając na Kate, i zrobiła niewinną minę.

- Sądziłam, że mamy niczego nie ukrywać przed Wymanem.

- Odwróciła się do Forda. - Naprawdę przerażający scenariusz zakłada, że Isabella wytworzy miniaturową czarną dziurę, która będzie całkowicie stabilna. W tym wypadku mogłaby opaść do wnętrza Ziemi i pozostać tam, pochłaniając coraz więcej materii, aż... łubudu! I Ziemi już dziękujemy.

- Może się tak zdarzyć? - spytał Ford.

- Nie - odparła z rozdrażnieniem Kate. - Melissa cię nabiera.
- Dziewięćdziesiąt siedem procent - oznajmił Dolby.
- Luminancja siedemnaście przecinek dziewięćdziesiąt dwie setne teraelektronowoltów.

Ford zniżył głos.

- Kate... Nie uważasz, że nawet najmniejsza ewentualność to zbyt duże ryzyko? Mówimy tu o zagładzie Ziemi.

- Nie możemy zrezygnować z nauki z uwagi na potencjalnie nikłe ewentualności.

- Nie dbasz o to?

Kate wzburzyła się.

- Do cholery, Wyman, oczywiście, że dbam! Przecież także żyję na tej planecie. Myślisz, że podjęłabym takie ryzyko?

- Jeżeli prawdopodobieństwo nie jest równe zero, to znaczy, że ryzykujesz.

- Prawdopodobieństwo wynosi zero.

Obróciła się na fotelu, odwracając się do niego plecami. Ford wyprostował się i stwierdził, że Hazelius wciąż mu się przygląda. Fizyk wstał z fotela i podszedł do niego z uśmiechem.

- Wyman? Pozwól, że uspokoję cię drobną informacją: gdy by miniaturowe czarne dziury były stabilne, widzielibyśmy je wszędzie jako pozostałości po Wielkim Wybuchu. Prawdę mówiąc, byłoby ich tyle, że do tej pory pochłonęłyby już wszystko. Tak więc to, że istniejemy, stanowi dowód niestabilności czarnych dziur.

Corcoran uśmiechnęła się pod nosem, zadowolona z efektu, jaki wywarły jej słowa.

- Jakoś nie całkiem mnie to uspokaja.

Hazelius delikatnie położył dłoń na ramieniu Forda.

- Niemożliwe, aby Isabella wytworzyła czarną dziurę, która unicestwi Ziemię. To po prostu niemożliwe.

- Moc ustabilizowana.
- Wiązka skolimowana. Luminancja osiemnaście przecinek dwie dziesiąte teraelektronowoltów.

W pomieszczeniu zaczął narastać gwar głosów. Ford usłyszał też słaby odległy zaśpiew.

- Słyszysz to? - spytał Hazelius. - To dźwięk wytworzony przez tryliony cząsteczek krążących wokół Isabelli. Nie wiemy, dlaczego powstają przy tym jakiegokolwiek dźwięki, promienie krążą w próżni. A jednak w jakiś sposób wywołują współczulne wiązki przenoszone przez te potężne pola magnetyczne.

Napięcie na Mostku narastało z każdą chwilą.

- Ken, zwiększ do dziewięćdziesięciu dziewięciu i utrzymaj
- powiedział Hazelius.

- Robi się.
- Rae?
- Luminancja nieco ponad dziewięćnaście teraelektronowoltów i rośnie.

- Harlan?
- Wszystko pod kontrolą.
- Michael?
- Bez anomalii.

Wardlaw odezwał się ze swojego stanowiska przy drugim końcu pomieszczenia. Jego głos brzmiał bardzo donośnie w panującej na Mostku ciszy.

- Mam intruza.
- Co takiego? - Hazelius wyprostował się, zdumiony. - Gdzie?
- Niedaleko ogrodzenia, przy windzie. Namierzam go.

Hazelius podszedł bliżej, Ford również. Na jednym z monitorów Wardlawa pojawił się zielonkawy obraz siatki widzianej z perspektywy kamery zamontowanej na maszcie nad windą. To był mężczyzna krążący niespokojnie wzdłuż ogrodzenia.

- Możesz zrobić zbliżenie?

Wardlaw nacisnął przycisk i na ekranie pojawił się obraz z innej kamery na wysokości ogrodzenia.

- To ten karnodzieja! - stwierdził Hazelius.

Russ Eddy, chudy jak strach na wróble, przystanął nagle i wbił palce w otwory drucianej siatki, zaglądając przez ogrodzenie z podejrzliwym grymasem na twarzy. Za nim księżyc zalewał płaskowyż zielonkawą poświatą.

- Zajmę się tym - powiedział Wardlaw, wstając.

- Niczym się nie będziesz zajmował - uciął Hazelius.

- To wtargnięcie.

- Zostaw go. Jest niegroźny. Jeśli spróbuje wspiąć się na ogrodzenie, przemów do niego przez głośniki i każ mu się wynosić.

- Tak jest.

Hazelius się odwrócił.

- Ken?

- Utrzymuję dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- Jak superkomputer, Rae?

- Jak dotąd nieźle. Daję radę z przepływem cząstek.

- Ken, zwiększ o jedną dziesiątą.

Kwiat na ekranie rozkwitł, zamigotał i rozprzestrzenił się, przybierając wszystkie barwy tęczy. Ford wpatrywał się w ten obraz urzeczony.

- Zaczynam wychwytywać dolny kraniec tego rezonansu - powiedział Michael Cecchini. - Jest naprawdę silny.

- Zwiększ o jeszcze jedną dziesiątą - polecił Hazelius.

Wijący się kwiat na ekranie stał się intensywniejszy, a po obu stronach punktu centralnego pojawiły się skrzące się płatki wysuwające się do przodu i cofające jak sięgająca po coś dłoń.

- Wszystkie systemy mocy sprawne - rzekł St. Vincent.

- Zwiększ o jedną dziesiątą - powiedział Hazelius.

Chen zaczęła uderzać w klawisze.

- Zaczynam to dostrzegać. Ekstremalne zakrzywienie czasu przestrzeni w punkcie o współrzędnych zero.

- Podwyż o jedną dziesiątą. - Głos Hazeliusa był spokojny, zrównoważony.

- Jest! - rzuciła Chen, a jej głos przetoczył się przez cały Mostek.

- Widzisz? - Kate zwróciła się do Forda. - Ta czarna kropka w punkcie zero. Zupełnie jakby strumień cząstek na chwilę opuszczał nasz wszechświat i do niego powracał.

- Dwadzieścia dwa i pięć dziesiątych teraelektronowoltów. - Nawet rzeczowy głos Chen wydawał się spięty.

- Wszystko pod kontrolą na dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek cztery.

- Zwiększ o jedną dziesiątą.

Kwiat wił się i skręcał, buchając kaskadami barw. Ciemny otwór pośrodku powiększył się, jego obrzeża zamigotały strzępiasto. Rezonans nagle wyprysnął do przodu, pochłaniając brzegi ekranu.

Ford dostrzegł kropelkę potu ściekającą po policzku Hazeliusa.

- To źródło naładowanego strumienia na dwadzieścia dwa i siedem dziesiątych teraelektronowoltów - rzekła Kate Mercer. - Wygląda na to, że właśnie w tym punkcie rozdieramy membranę.

- Zwiększ o jedną dziesiątą.

Otwór powiększał się, pulsując dziwnie jak bijące serce. W środku był czarny jak noc. Ford patrzył zafascynowany.

- Nieskończone zakrzywienie w punkcie zero - oznajmiła Chen.

Otwór powiększył się tak, że pochłonął większość środka ekranu. Nagle Ford dostrzegł w jego głębi drobne błyski przypominające mgławicę małych rybek przepływającą w odmętach morza.

- Co z komputerem? - spytał ostro Hazelius.

- Wariuje - odparła Chen.
- Zwiększ o jedną dziesiątą - powiedział cicho Hazelius.

Błyski stały się intensywniejsze. Śpiewny dźwięk, który regularnie przybierał na sile, nabrał dziwnie syczącego, wężowego pogłosu w tle.

- Komputer coraz bardziej wariuje - rzekła zduszonym głosem Chen.

- Jak?
- Sam zobacz.

Wszyscy stali teraz przed wielkim ekranem - wszyscy oprócz Edelsteina, który w dalszym ciągu czytał. Coś zaczęło się materializować w otworze centralnym, pośród błysków i feerii barw wirujących coraz szybciej, wyłaniało się z nieskończonej głębi opalizujące i z wolna nabierało kształtu. Było takie dziwne, że Ford nie miał pewności, czy właściwie to interpretował.

Hazelius sięgnął do klawiatury i wprowadził komendę.

- Isabella ma kłopot z kontrolą strumienia bitów. Rae, wyłącz sprawdzanie sum kontrolnych, to powinno odciążyć jednostkę centralną.

- Zaczekaj - rzekł Dolby. - To nasz jedyny system wczesnego ostrzegania.

- To podwójne zabezpieczenie. Rae, zrób to, proszę.

Chen wprowadziła polecenie.

- Gregory, komputer wariuje.

- Popieram Kena. Uważam, że powinniśmy wyłączyć z powrotem proces sprawdzania sum kontrolnych - odezwała się Kate.

- Jeszcze nie. Zwiększ o jedną dziesiątą, Ken.

Wahanie.

- Podwyższ o jedną dziesiątą.

- W porządku - zgodził się niepewnie Ken.

- Harlan?

- Moc jest silna, czysta i donośna.

- Rae?

Chen odezwała się wysokim głosem:

- To znów się dzieje. Komputer zaczyna świrować, tak **jak** wtedy przy Wołkońskim.

Migotanie przybrało na sile.

- Wiązki nadal skolimowane. Luminancja dwadzieścia cztery przecinek dziewięć. Wszystko pod kontrolą - oznajmił Cecchini.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek osiem - powiedziała Chen.

- Zwiększ o jedną dziesiątą.

Dolby odezwał się, a jego lakoniczny zwykle głos wydawał się spięty:

- Gregory, j esteś pewien... ?

- Zwiększ o jedną dziesiątą.

- Tracę komputer - rzekła Chen. - Siada. To znów się dzieje.

- Niemożliwe. Zwiększ o jedną dziesiątą!

- Zbliżamy się do dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek dziewięciu - powiedziała Chen z lekkim drżeniem w głosie.

Śpiew stał się głośniejszy i przywodził Fordowi na myśl dźwięki wydawane przez monolit w 200/: Odyssei kosmicznej, chór głosów.

- Zwiększ do dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek dziewięć pięć.

- Za późno! Nie przyjmuje żadnych komend!

Chen potrząsnęła głową, a jej włosy zafalowały gniewną kaskadą czerni.

Ford stał z innymi za Hazeliusem, Cecchinim, Chen i St. Vincentem, którzy pochylali się nad swoimi klawiaturami. Obraz pośrodku wizualizatora skrzył się jeszcze intensywniej i szybciej, fioletowe i ciemnoczerwone strugi chłostały w przód i w tył wirującą feerią barw, głęboką i trójwymiarową.

To coś wyglądało niemal jak żywe.

- Boże - westchnął mimowolnie Ford. - Co to jest?
- Wadliwy kod - odrzekł oschle Edelstein, nie odrywając wzroku od książki.

Nagle wizualizator ściemniał.

- O nie. Boże, nie - jęknął Hazelius.

Pośrodku ekranu pojawiło się słowo:

Witajcie

Hazelius rąbnął w klawiaturę.

- Szlag!
- Komputer się zawiesił - rzekła Chen.

Dolby odwrócił się do Chen:

- Zredukuj moc, Rae! Ale już!
- Nie! - Hazelius odwrócił się do niego. - Zwiększ do stu procent!
- Oszalałeś? - krzyknął Dolby.

Nagle Hazelius stał się całkiem spokojny.

- Ken, musimy znaleźć ten wadliwy program. Najwyraźniej musi się przemieszczać. Nie znajduje się w głównym komputerze. Gdzie zatem może być? Detektory mają wbudowane mikroprocesory - przemieszcza się w detektorach. A to oznacza, że możemy je znaleźć. Możemy wyizolować wyjście z każdego detektora i tam namierzyć ten program. Mam rację, Chen?
- Jak najbardziej. To doskonały pomysł.
- Na miłość boską - rzekł Dolby z twarzą lśniąca od potu - pracujemy na oślep. Jeżeli dojdzie do dekolimacji wiązek cząstek, mogą przeciąć Mostek i roznieść nas wszystkich w pył, że nie wspomnę o zniszczeniu detektorów za dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów.
- Kate? - rzucił Hazelius.

- Zgadzą się z tobą, Gregory.
- Zwiększ do stu, Rae - polecił chłodnym tonem.
- Dobra.

Dolby rzucił się w stronę klawiatury, ale Hazelius zastąpił mu drogę.

- Ken - rzucił pośpiesznie - posłuchaj. Gdyby komputer miał paść, już by się to stało. Urządzenie sterujące oprogramowaniem wciąż pracuje. Tylko że tego nie widzimy. Daj mi dziesięć minut na wytropienie tego.

- Nie ma mowy.

- Wobec tego pięć minut. Proszę. To nie jest tylko moja decyzja. Moja zastępczyni też się ze mną zgadza. A my tym wszystkim kierujemy.

- Nikt prócz mnie nie kieruje moją maszyną.

Ciężko oddychając, Dolby spojrzął na Hazeliusa i Mercer, po czym odwrócił wzrok, opuszczając ręce wzdłuż boków. Dłonie miał zaciśnięte w pięści.

Hazelius, nie odwracając się, powiedział:

- Kate? Spróbujemy tego, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Wpisz jakieś pytanie, cokolwiek. Zobaczymy, czy uda się nam na klonić to coś do mówienia.

- Jaki jest sens zadawać temu czemuś pytania? - zdziwił się Dolby. - To tylko program typu chatterbot.

- Może uda nam się dotrzeć po nim do źródła. Do samej bomby logicznej.

Dolby tylko spojrzął na niego.

- Rae - rzekł Hazelius. - Jeżeli zaczną się przemieszczać, zacznij sprawdzać detektory, poszukując sygnału.

- Jasne.

Chen poderwała się z fotela i usiadła przy innym stanowisku, stukając zawzięcie w klawisze.

Pozostali wydawali się jak sparaliżowani, jakby byli w szoku. Ford zauważył, że Edelstein w końcu odłożył książkę i też się przyglądał z wyrazem lekkiego zaciekawienia na twarzy.

Hazelius i Dolby wciąż prowadzili milczącą konfrontację. Hazelius blokował tamtemu dostęp do panelu kontrolnego.

Ty także witaj, wpisała Kate.

Ekran LED nad konsolą zamigotał i pociemniał. Po chwili pojawiła się odpowiedź:

Cieszę się, że z wami rozmawiam.

- Odpowiada! - zawołała Kate.

- Masz to, Rae? - krzyknął Hazelius.

- Miałam - odparła z ekscytacją Chen. - Udało mi się namierzyć strumień wyjściowy. Miałeś rację, to faktycznie pochodzi z detektora! To jest to! Mamy go! Kontynuujcie!

My też się cieszymy, że z tobą rozmawiamy - wpisała Kate i zapytała:

- Rany, co ja mam teraz powiedzieć?

- Zapytaj, kim jest - podsunął Hazelius.

Kim jesteś? - wpisała Kate.

Z braku lepszego słowa jestem Bogiem.

- Cholerni hakerzy! - parsknął drwiąco Hazelius.

Jeżeli naprawdę jesteś Bogiem, udowodnij to.

Nie mamy czasu na dowody.

Myślę o liczbie pomiędzy jeden a dziesięć. Jaka to liczba?

Myślisz o transcendentnej liczbie e.

Kate odsunęła dłonie od klawiatury i usiadła prosto.

- Jak ci idzie, Rae? - zawołał Hazelius do Chen.

- Namierzam go! Nie przerywajcie wpisywania!

Kate wyprostowała się, po czym pochyliła, by znów zacząć stukać w klawisze.

Teraz myślę o liczbie pomiędzy zero a jeden.

Liczba Chaitina: omega.

W tym momencie Kate podniosła się gwałtownie i cofnęła od klawiatury, przykładając dłoń do ust.

- Co się dzieje? - spytał Ford.

- Wpisujcie dalej! - krzyknęła wciąż pochylona Chen. - Dla czego nikt nie wpisuje, do cholery!

Hazelius odwrócił się do Forda.

- Wyman, przejmij obowiązki Kate.

Ford podszedł do klawiatury.

Jeżeli jesteś Bogiem, to... O co mógł zapytać? Dopisał pospiesznie: Jaki jest cel istnienia? Nie znam ostatecznego celu.

- Już prawie mam! - zawołała Chen. - To jest to! Kontynuujcie!

To ci dopiero, napisał Ford, Bóg, który nie zna celu istnienia.

Gdybym go znał, istnienie byłoby bezsensowne.

Jak to?

Gdyby kres wszechświata był oczywisty u jego zarania, gdybyśmy byli zaledwie pośrodku deterministycznego wyłonienia się całej gamy okoliczności wstępnych, cały wszechświat byłby bezsensownym ćwiczeniem.

- W porządku - rzekł Dolby cichym, złowieszczym tonem. - Wasz czas minął. Chcę odzyskać Isabellę.

- Ken, potrzebujemy więcej czasu - odparł Hazelius.

Dolby próbował ominąć fizyka, ale ten zastąpił mu drogę.

- Jeszcze nie.

- Prawie go miałam! - zawołała Chen. - Daj mi jeszcze minutę, na miłość boską!

- Nie - warknął Dolby. - Redukuję moc, i to natychmiast!

- Mowy nie ma - uciął Hazelius. - Do cholery, pisz, Wyman!

Wyjaśnij, wystukał pospiesznie Ford.

Jeśli znajdujesz się u celu, po co udawać się w podróż? Po co zadawać pytanie, skoro znasz już odpowiedź? Właśnie dlatego przyszłość jest - i musi być - skrzętnie ukryta, nawet przed Bogiem. W przeciwnym razie istnienie nie miałoby sensu.

To argument metafizyczny, a nie fizyczny, wpisał Ford.

Argument fizyczny jest taki, że żadna cząstka wszechświata nie może zliczać rzeczy szybciej niż sam wszechświat. Wszechświat „przewiduje przyszłość” tak szybko jak to możliwe.

Dolby próbował obejść Hazeliusa, ale fizyk dał susa w bok i znów zastąpił mu drogę.

- Wpisuj dalej, już prawie go mam! - krzyknęła skulona nad klawiaturą Chen, stukając opętańczo w klawisze.

Czym jest wszechświat? - napisał Ford, wybierając pytania na chybił trafił. Kim my jesteśmy? Co tu robimy?

Dolby rzucił się naprzód, spychając Hazeliusa z drogi. Fizyk zatoczył się do tyłu, ale szybko się pozbierał i skoczył na inżyniera, odciągając go od pulpitu ze zdumiewającą siłą.

- Oszalałeś? - krzyknął Dolby, próbując go z siebie strząsnąć. - Zniszczysz moją maszynę!

Mężczyźni mocowali się: drobny fizyk wczepił się w szerokie plecy inżyniera jak małpa, aż w końcu ciężko runęli na podłogę, przewracając tym krzesło.

Pozostali w osłupieniu przyglądali się bójce. Nikt nie wiedział, co ma robić.

- Ty szurnięty durniu! - ryknął Dolby, turlając się po podłodze i próbując uwolnić się od przywierającego doń dziko fizyka.

Bomba logiczna wciąż pojawiała się na ekranie wizualizatora.

Wszechświat jest jednym, wielkim, niedającym się zredukować, zachodzącym nieprzerwanie obliczaniem zmierzającym ku stanowi, którego nie znam i znać nie mogę. Celem istnienia jest osiągnięcie tego ostatecznego

stanu. Jednak ów ostateczny stan jest dla mnie tajemnicą i musi nią być, gdybym bowiem znał odpowiedź, jaki sens miałyby to wszystko?

- Puszczaj! - krzyknął Dolby

- Niech mi ktoś pomoże! - zawołał Hazelius. - Nie pozwól cię, żeby dotknął klawiatury!

Co chcesz powiedzieć, mówiąc o obliczaniu? - napisał Ford. *Że wszyscy znajdujemy się wewnątrz komputera?*

Gdy mówię o obliczaniu, chodzi mi o myślenie. Całe istnienie, wszystko, co się dzieje, opadający liść, fala rozbijająca się o brzeg, spadająca gwiazda - to wszystko to tylko ja - myślę.

- Mam go! - rzuciła triumfalnie Rae Chen. - Już... chwileczkę! Co, u diabła?

O czym myślisz? - wpisał Ford.

Dolby, wyczerpując wszystkie siły, uwolnił się od Hazeliusa i rzucił w kierunku pulpitu kontrolnego.

- Nie! - krzyknął Hazelius. - Nie wyłączaj jej! Zaczekaj!

Dolby usiadł pod ścianą, ciężko dysząc.

- Sekwencja redukcji mocy uruchomiona.

Śpiewny dźwięk wypełniający pomieszczenie zaczął tracić na sile, a ekran przed Fordem zamigotał, słowa się rozplynęły. Przez mgnienie oka widział jeszcze jakiś niesamowity widmowy kształt przemykający i znikający w punkcie pośrodku ekranu, po czym ekran spowiła czerń.

Hazelius wzruszył ramionami, poprawił ubranie, otrzepał kurz z ramion i odwróciwszy się do Chen, rzekł spokojniejszym tonem:

- Rae? Masz to?

Chen spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Rae?

- Tak - odparła. - Mam to.

- No i? Skąd pochodził przekaz? Z którego procesora?

- Z żadnego.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

- Jak to z żadnego?

- Pochodził z samego punktu zero.

- O czym ty mówisz?

- Tak jak powiedziałam. Przekaz pochodził bezpośrednio z otworu dziury czasoprzestrzennej w punkcie o współrzędnych zero.

W ciszy, jaka wówczas zapadła, Ford zaczął rozglądać się za ate. Stała samotnie i nieruchomo w tylnej części Mostka. Szybko do niej podszedł i zapytał półgłosem:

- Kate? Dobrze się czujesz?

- To wiedziało - wyszeptała cała blada jak ściana. - To wiedziało.

Jej dłoń odnalazła jego rękę i mocno, rozpaczliwie ją ścisnęła.

Eddy wyszedł z przyczepy z ręcznikiem zarzuconym na ramiona i przyborami do golenia w dłoni, po czym spojrzął na pudła z nieposortowaną odzieżą, które nadeszły w tym tygodniu. Po nocnej wyprawie na płaskowyż nie był w stanie zmrużyć oka i większość nocy przesiedział przy komputerze, czatując w internecie na chrześcijańskich serwisach pogawędkowych.

Pociągnął kilka razy za rączkę pompy, nabrał zimnej wody w dłoń i opryskał sobie twarz, aby się orzeźwić. Z niewyspania aż szumiało mu w głowie.

Namydlił policzki i ogolił się, obmywając ostrze brzytwy w miednicy, po czym wylał wodę na piasek. Patrzył, jak wsiąka w grunt, pozostawiając na powierzchni drobinki piany. Nagle ten widok przywiódł mu na myśl krew Lorenza. W przypływie paniki odegnał od siebie tę wizję. To Bóg uśmiercił Lorenza, nie on. To nie była jego wina, lecz wola Boga. A Bóg nigdy nie robił niczego bez celu. Ten cel zaś wiązał się z projektem Isabella i z Hazelusem.

Hazelius. W myślach wciąż odtwarzał spotkanie z poprzedniego dnia. Na to wspomnienie aż się zaczerwienił, jego tyrada stawała się dłuższa, bardziej wymowna, pełna słusznego gniewu. Na oczach wszystkich Hazelius nazwał go insektem, bakterią, ponieważ był chrześcijaninem. Ten człowiek stanowił przykład wszystkiego, co złe, co trawiło Amerykę, był arcykapłanem w świątyni świeckiego humanizmu.

Eddy przeniósł wzrok na pudła, które nadeszły poprzedniego dnia. W czwartki rozdawał Indianom darmową odzież. Przez internet dogadał się z kilkoma innymi kościołami w Arkansas

i Teksasie, aby przysłały mu zgromadzone w trakcie zbiórek używane ubrania w celu przekazania ich potrzebującym rodzinom.

Scyzorykiem otworzył wieko pierwszego pudła i zaczął rozdzielać nędzną darowiznę, wyjmując to dżinsy, to bluzę i rozwieszając na wieszakach albo wykładając na plastikowe stoliki obok stodoły.

Pracował w chłodzie poranka, sortując, przebierając, wieszając, składając. W tle wznosił się olbrzymi kształt Red Mesy, fioletowy w świetle poranka. Myślni pastor był wciąż przy Hazeliusie, powtarzając i odtwarzając scenę ich spotkania. Bóg ukazał mu, co może uczynić, jeżeli zechce, z takimi bluźniercami jak Lorenzo. Jak Pan potraktowałby Hazeliusa?

Spojrzał na zarys płaskowyżu wznoszący się powyżej, mglicie groźny, i przypomniał sobie ciemność minionej nocy, wraz z nie opuszczenia i pustki. Trzaski i brzęczenie linii energetycznych, woń ozonu. Nieomal czuł tam na górze obecność szatana.

Charakterystyczna chmura kurzu na horyzoncie zapowiadała nadjeżdżający pojazd. Zmrużył lekko powieki, patrząc w stronę słońca, i niebawem z kłębow kurzu wyłonił się pikap, który kolebiąc się i skrzypiąc, sunął po pełnej wybojów drodze. Wóz stanął, mocno się zakołysawszy. Wysiadła z niego potężna Indianka i dwóch chłopców. Jeden miał pistolet z *Gwiazdnych wojen*, a drugi plastikowe uzi. Pobiegli przez sprażoną słońcem równinę, udając, że strzelają do siebie nawzajem. Russ patrzył na nich, uświadamiając sobie, że jego syn dorastał bez niego, i ogarnęła go narastająca wściekłość.

- Jak leci, pastorze? - spytała radośnie kobieta.

- Witaj, Muriel, niech cię Chrystus błogosławi - odrzekł Eddy.

- Co ma pan dzisiaj?

- Rozejrzyj się.

Ponownie powiódł wzrokiem w stronę chłopców, którzy strzelali do siebie nawzajem zza kęp bylicy.

Rozległ się dzwonek umieszczony na zewnątrz przyczepy i mówiący mu, że dzwonił telefon. Wpadł do przyczepy, rozglądając się za słuchawką ukrytą gdzieś wśród stert książek.

- Halo? - rzucił zdyszany. Prawie nigdy nie odbierał telefonów.

- Pastor Russ Eddy? - To był wielebny Don Spates.

- Dzień dobry, wielebny. Niech pana Bóg...

- Zastanawiałem się, czy rozejrzałeś się trochę, jak prosiłem.

- Owszem. Wczoraj wieczorem udałem się na płaskowyż.

Domy i osiedle były całkiem opustoszałe. Wszystkie trzy linie wysokiego napięcia aż brzęczały od przepływającej przez nie energii. Włosy stanęły mi dęba.

- Doprawdy?

- Wreszcie około północy usłyszałem jakby wibrację albo śpiewny hałas dochodzący spod ziemi. To trwało jakieś dziesięć minut.

- Przeszedłeś przez ogrodzenie?

- Nie... nie odważyłem się.

Kolejne chrząknięcie i chwila ciszy. Eddy usłyszał, że przyjechały następne pikapy i ktoś zawołał go po nazwisku. Zignorował to.

- Powiem ci, na czym polega mój problem - rzekł Spates. - Jutro wieczorem, o szóstej, mam w telewizji swój program *Amerika przy okrągłym stole*, a moim gościem jest fizyk z Liberty University. Muszę mieć coś nowego na temat projektu Isabella.

- Rozumiem, wielebny.

- Dlatego, jak już mówiłem poprzednim razem, musisz wygrzebać dla mnie coś dobrego. Jesteś moim człowiekiem w terenie. To samobójstwo to dobry początek, ale mimo wszystko za

mało. Potrzebujemy czegoś, by przerazić ludzi. Co oni tam naprawdę robią? Czy promieniowanie wydostaje się na zewnątrz, jak głoszą plotki, o których wspomniałeś? Czy zamierzają rozwalić cały glob?

- Nie mam zielonego...

- Otóż to, Russ! Dostań się tam i dowiedz się tego. Nie daj się spławić, wejdź na teren kompleksu, naginając prawa ludzkie, by służyły boskim. Liczę na ciebie!

- Dziękuję, wielebny. Dziękuję. Zrobię to.

Po zakończeniu rozmowy pastor Russ Eddy wyszedł na słońce i podszedł do miejsca, gdzie kilka osób przeglądało rzeczy - były to głównie samotne matki z dziećmi. Uniósł ręce.

- Moi mili, bardzo mi przykro, ale na dziś kończymy. Coś mi wypadło.

Rozległy się głosy zawodu i rozczarowania, a jemu zrobiło się głupio. Wiedział, że niektóre z tych matek przyjechały z dość daleka, nie bacząc na ceny benzyny.

Kiedy wreszcie odjechały, powiesił tabliczkę, że rozdawanie ubrań tego dnia zostało odwołane, i wsiadł do swojego pikapa. Spojrzał na wskaźnik paliwa: jedna ósma baku. Za mało, żeby dotrzeć na płaskowyż i z powrotem. Wyjąwszy portfel, stwierdził, że ma w nim trzy dolary. Już i tak był winien kilkaset dolarów za paliwo na stacji w Blue Gap i niemal drugie tyle w Rough Roch. Będzie musiał się modlić, żeby dotrzeć do Piñon i tam napelnić bak, o ile przedłużą mu kredyt. Był pewien, że tak się stanie, Nawahowie zawsze pożyczali pieniądze.

Za dnia wyprawa do Isabelli mijała się z celem - zauważono by go. Musiał tam dotrzeć po zmierzchu, ukryć samochód za Nakai Rock i pokręcić się trochę w ciemnościach. A tymczasem może w Piñon dowie się czegoś więcej na temat samobójstwa na płaskowyżu.

Wziął głęboki, przynoszący zadowolenie oddech. Bóg w końcu go powołał. Dał mu misję do wypełnienia. Ten ziejący nienawiścią do Chrystusa Gregory North Hazelius, bluźnierca i herezyk, musiał zostać powstrzymany.



Ford zanurzył się w starym skórzanym fotelu w kącie sali rekreacyjnej, obserwując, jak reszta zespołu powraca z Bunkra wyczerpana i z nadszarpniętym morale. Pierwsze promienie słońca padały ukośnie znad horyzontu, wpływając przez okna od wschodu do wnętrza budynku, wypełniając pomieszczenie złocistym blaskiem. Ludzie w milczeniu zatapiali się w fotelach, wzrok mieli mętny. Hazelius wszedł ostatni. Zbliżył się do kominka i rozpałił przygotowaną podpałkę pod stosem bierwion. Potem on także osunął się na fotel.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Słyszeć było tylko trzask ognia. W końcu Hazelius podniósł się powoli. Spojrzenia wszystkich skierowały się na niego. Powiódł wzrokiem od jednej twarzy do drugiej, jego niebieskie oczy były zaczerwienione i podkrążone ze zmęczenia, usta zbieleły z napięcia.

- Mam plan.

Te słowa spotkały się z kompletną ciszą. Trzask jednego z pękających, przesyconych żywicą bierwion sprawił, że wszyscy nerwowo drgnęli.

- Jutro w południe przeprowadzimy kolejny rozruch - ciągnął Hazelius. - Na sto procent mocy. I co najistotniejsze, nie przerwiemy próby, dopóki nie dotrzemy za wadliwym programem do jego źródła.

Ken Dolby wyjął chustkę i otarł twarz.

- Posłuchaj, Gregory, nieomal zniszczyłeś moją maszynę. To się nie może powtórzyć.

Hazelius pochylił głowę.

- Ken, jestem ci winien przeprosiny. Wiem, że czasami trochę za bardzo naciskam. Byłem wściekły i sfrustrowany. Zachowałem się jak szaleniec. Wybacz.

Wyciągnął rękę, którą po chwili Dolby uściskał.

- Bez urazy?

- Tak, pewno że tak - odparł Dolby. - Ale to nie zmienia faktu, że nie pozwolę na przeprowadzenie kolejnych prób na sto procent mocy, dopóki nie uporamy się z problemem, jakim jest ten haker.

- A jak zamierzasz to uczynić, nie przeprowadzając prób na sto procent?

- Może nadszedł czas, by przyznać się do porażki i zgłosić do Waszyngtonu. Niech oni się tym zajmą.

Zapadła długa cisza, aż w końcu Hazelius rzekł:

- Czy ktoś jeszcze chce się wypowiedzieć w tej sprawie?

Melissa Corcoran odwróciła się do Dolby ego.

- Ken, jeśli teraz przyznamy się do porażki, nasze kariery będą skończone. Nie wiem, jak dla was, ale dla mnie to była życiowa szansa. Nie pozwolę, by przeszła mi koło nosa.

- Jakież inne sugestie? - spytał Hazelius.

Rae Chen wstała, jej drobna postać była niewiele wyższa od tych, którzy siedzieli w fotelach. Jednak to, że wstała, nadało temu gestowi ważności.

- Ja mam jedną.

Powiodła wzrokiem wokół stołu.

- Dorastałam na zapleczu chińskiej restauracji w Culver City w Kalifornii. Moja matka zaharowywała się prawie na śmierć, by posłać mnie do college'u i na studia podyplomowe. Jest ze mnie dumna, bo dokonałam tego w tym kraju. A teraz jestem tutaj. Cały świat na nas patrzy. - Głos zaczął się jej łamać. - Wolałabym umrzeć, niż się poddać. To właśnie chciałam powiedzieć. Prędzej umrę.

Usiadła gwałtownie.

W krępującej ciszy, jaka wówczas zapadła, rozległ się głos Wardlawa.

- Wiem, jak Departament Energii załatwia takie sprawy. Jeżeli teraz to zgłosimy, zostaniemy oskarżeni o próbę zatuszowania całej sytuacji. I zostaniemy postawieni w stan oskarżenia.

- W stan oskarżenia? - wtrącił Innes z drugiego końca sali. - Na miłość boską, Tony, nie pleć bzdur.

- Mówię serio.

- To bicie piany. - Blade oblicze Innesa przeczyło jego lekceważącemu tonowi. Nerwowo wodził wzrokiem dokoła stołu. - A gdyby nawet to była prawda, jestem tylko psychologiem zespołu. Nie miałem wpływu na podjęcie decyzji o zatajeniu pewnych informacji.

- Owszem, ale ty też tego nie zgłosiłeś - powiedział Wardlaw, mrużąc lekko oczy. - Nie oszukuj się, bekniesz za to tak jak my wszyscy.

W ciszy rozległ się świergot ptaków.

- Czy ktoś zgadza się z Kenem? - zapytał w końcu Hazelius. - Że powinniśmy się poddać i zgłosić problem Waszyngtonowi?

Nikt się nie odezwał. Dolby rozejrzał się dokoła.

- Pomyślcie o ryzyku! - krzyknął. - Mogliśmy uszkodzić Isabellę! Nie możemy jej tak po prostu włączyć i prowadzić na oślep!

- Zgadza się, Ken - przyznał Hazelius. - Mój plan bierze to pod uwagę. Chciałbyś poznać szczegóły?

- To nie jest równoznaczne z moją zgodą - odparł Dolby.

- Oczywiście. Jak wiesz, urządzenia projektu Isabella są sterowane przez trzy będące istnym dziełem sztuki serwery

IBM p5 595. Sam je wybrałeś, Ken. Kontrolują łączność telekomunikacyjną, e-maile, program obsługi sieci LAN i kilka innych rzeczy. To nadwyżka mocy obliczeniowej, te serwery są na tyle potężne, by mogły obsługiwać Pentagon. Mam taki pomysł, żeby zrekonfigurować je jako system pomocniczy dla Isabelli. - Odwrócił się do Rae Chen. - Czy to możliwe?

- Chyba tak. - Spojrzała na Edelsteina. - Co o tym myślisz, Alan?

Tamten wolno pokiwał głową.

- Jak proponujesz to zrobić? - spytał Dolby.

- Największym problemem jest firewall - ciągnęła Chen. - Będziemy musieli odłączyć wszystkie linie zewnętrzne. Łączność także. Nasze telefony, stacjonarne i komórkowe przestaną działać. A wtedy połączymy serwery i podłączymy bezpośrednio do Isabelli. To jest do zrobienia.

- Żadnej łączności ze światem zewnętrznym?

- Żadnej, dopóki Isabella będzie włączona. Firewall jest nie do przejścia. Gdyby oprogramowanie kierujące Isabella wyłowiło jakieś łącze ze światem zewnętrznym, wyłączyłoby je przez wzgląd na wymogi bezpieczeństwa. To dlatego musimy odciąć całą łączność.

- Ken?

Dolby stuknął palcami w blat stołu, marszcząc brwi.

Hazelius rozejrzał się po sali.

- Ktoś jeszcze?

Jego wzrok padł na Kate Mercer, która siedziała z tyłu, nie włączając się do dyskusji.

- Kate? Jakież uwagi?

Cisza.

- Kate? Dobrze się czujesz?

Jej głos był ledwie słyszalny.

- To wiedziało.

Znów cisza. I nagle Corcoran rzuciła z ożywieniem:

- Cóż, to wcale nie musi być tak zdumiewające, jak się wydaje. Najwyraźniej mamy do czynienia z programem w typie Elizy. Czy ktoś pamięta Elizę?

- Ten stary program w FORTRAN-ie z lat osiemdziesiątych, który mówił do ciebie jak psychoanalityk? - spytał Cecchini.

- Ten sam - potwierdziła Corcoran. - Program był prosty, obracał wszystko, co powiedziałaś, w kolejne pytanie. Wpisałeś: „Moja matka mnie nienawidzi”, a Eliza odpowiadała: „Dlaczego mówisz, że matka cię nienawidzi?”. Ten drobny programik przez lata bardzo się rozwinął.

- To nie była Eliza - rzekła Kate. - To wiedziało, o czym myślę.

- W sumie to dość elementarne - rzekła Melissa, spoglądając na nią z wyższością. - Haker, który stworzył tę bombę logiczną, wie, że jesteśmy bandą jajogłowych naukowców. Wie, że nie myślimy jak zwyczajni ludzie. Dlatego kiedy powiedziałaś: myślę o liczbie od jednego do dziesięciu, haker wcześniej przewidział, że ktoś zada takie pytanie. Domyślił się, że niekoniecznie będziesz myśleć o liczbie całkowitej ani nawet o liczbie wymiernej. Nie, on założył, że będziesz myśleć o wszystkich liczbach od jednego do dziesięciu. A jaka jest największa liczba w tym przedziale? Pi albo e. Ale z tych dwóch to e jest bardziej tajemnicza.

Rozejrzała się pośpiesznie dokoła.

- A co z następnym trafieniem?

- Jest dokładnie tak samo. Jaka jest najdziwniejsza liczba pomiędzy zero a jeden? To proste: omega, liczba Chaitina. Zgadza się, Alan?

Edelstein pochylił głowę.

Melissa spojrzała na Kate, uśmiechając się promiennie.

- Widzisz?
- Bzdura.
- A zatem uważasz, że rozmawiamy z Bogiem?
- Nie bądź idiotką - rzuciła z rozdrażnieniem Kate. - Mówię tylko, że to coś wiedziało.
- Posłuchajcie - odezwała się Rae Chen - nie chcę mącić wody i w ogóle, ale wysłedziłam sygnał i dochodził bezpośrednio z punktu zero. Nie napływał z żadnego detektora ani innego elementu urządzenia. Wypływał z tej osobliwej chmury danych wewnątrz wyrwy czasoprzestrzennej w punkcie o współrzędnych zero.
- Rae - rzekł Hazelius - wiesz, że to nie może być prawda.
- Mówię, co widziałam. To chmura danych wypływała kod binarny wprost do detektorów. Poza tym zachodziły fluktuacje energii. Więcej energii wypływało z punktu zero, niż do niego wpływało. Obliczenia są tutaj.
- Przesunęła plik papierów w stronę Hazeliusa.
- Niemożliwe.
- Wobec tego sam przeprowadź obliczenia. - Chen rozłożyła ręce.
- Właśnie dlatego musimy to powtórzyć - powiedział Hazelius. - Nie pod presją i bez żadnych deadlineów. Musimy przeprowadzić jeszcze jedną próbę, aby Rae miała dość czasu, by na prawdę namierzyć tę bombę logiczną.
- Podczas tej wymiany zdań byłem unieruchomiony przy konsoli numer trzy - odezwał się Edelstein. - Czy ktoś ma transkrypcję? Chciałbym przeczytać, co naprawdę wypisywał ten destrukcyjny program.
- Czy to ważne? - spytał Hazelius.
- Edelstein wzruszył ramionami.
- Tak tylko, z ciekawości.
- Hazelius rozejrzył się dokoła.

- Czy ktokolwiek to rejestrował?
- Gdzieś to mam - rzekła Chen. - Wydrukowałam to wraz z resztą zrzutu danych.

Przez chwilę wertowała papiery, wyjęła jedną kartkę.

Hazelius wziął ją do ręki.

- Przeczytaj na głos - rzekł St. Vincent. - Mnie też to w więk-
szości umknęło.

- Mnie również - powiedziała Thibodeaux.

Pozostali poparli tę decyzję.

Hazelius odchrząknął i zaczął czytać spokojnym, rzeczowym
tonem: *Witajcie Ty także witaj.*

*Cieszę się, że z wami rozmawiam. My też się cieszymy, że z
tobą rozmawiamy. Kim jesteś? Z braku lepszego słowa
jestem Bogiem.* Hazelius przerwał na chwilę.

- Kiedy dorwę w swoje ręce sukinsyna, który podrzucił tę
bombę logiczną do systemu, urwę mu jaja.

Thibodeaux zaśmiała się nerwowo.

- Skąd wiadomo, że to nie była kobieta? - wtrąciła Corcoran.

Po chwili Hazelius kontynuował czytanie:

Jeżeli naprawdę jesteś Bogiem, udowodnij to.

Nie mamy czasu na dowody.

Myślę o liczbie pomiędzy jeden a dziesięć. Jak to liczba?

Myślisz o transcendentalnej liczbie e.

Teraz myślę o liczbie pomiędzy zero a jeden.

Liczba Chaitina: omega.

Jeżeli jesteś Bogiem, to jaki jest cel istnienia?

Nie znam ostatecznego celu.

To ci dopiero Bóg, który nie zna celu istnienia.

Gdybym go znał, istnienie byłoby bezsensowne.

Jak to?

Gdyby kres wszechświata był oczywisty u jego zarania, gdybyśmy byli zaledwie pośrodku deterministycznego wyłonienia się całej gamy okoliczności wstępnych, cały wszechświat byłby bezsensownym ćwiczeniem.

Wyjaśnij.

Jeśli znajdujesz się u celu, po co udawać się w podróż? Po co zadawać pytanie, skoro znasz już odpowiedź? Właśnie dlatego przyszłość jest - i musi być - skrzętnie ukryta nawet przed Bogiem. W przeciwnym razie istnienie nie miałoby sensu.

To argument metafizyczny, a nie fizyczny.

Argument fizyczny jest taki, że żadna cząstka wszechświata nie może zliczać rzeczy szybciej niż sam wszechświat. Wszechświat „przewiduje przyszłość” tak szybko jak to możliwe.

Czym jest wszechświat? Kim my jesteśmy? Co tu robimy?

Wszechświat jest jednym, wielkim, niedającym się zredukować, zachodzącym nieprzerwanie obliczaniem, które zmierza ku stanowi, którego nie znam i znać nie mogę. Celem istnienia jest osiągnięcie tego ostatecznego stanu. Jednak ów ostateczny stan jest dla mnie tajemnicą i musi nią być, gdybym bowiem znał odpowiedź, jaki sens miałyby to wszystko?

Co chcesz powiedzieć, mówiąc o obliczaniu? Że wszyscy znajdujemy się wewnątrz komputera?

Gdy mówię o obliczaniu, chodzi mi o myślenie. Całe istnienie, wszystko co się dzieje, opadający liść, fala rozbijająca się o brzeg, spadająca gwiazda - to wszystko to tylko ja - myślę.

O czym myślisz?

Hazelius opuścił kartkę.

- To wszystko.

- Nadzwyczajne - mruknął Edelstein.

- A mnie to wszystko trąci newageowym szajsem - rzucił Innes. - „To wszystko to tylko ja - myślę”. Te zdania brzmią sztu-

backo. Czegoś takiego można by się spodziewać po społecznie nieprzystosowanym hakerze.

- Tak uważasz? - spytał Edelstein.
- Jak najbardziej.
- Czy zatem mogę zwrócić uwagę, że ten destrukcyjny program, przynajmniej jak na razie, przeszedł test Turinga?

- Test Turinga?

Edelstein spojrzął na niego, mrużąc lekko powieki.

- Przecież musisz o tym wiedzieć.
- Przepraszam, że jestem tylko zwykłym psychologiem.
- Podstawowa praca na ten temat została opublikowana w dzienniku psychologicznym „Mind”.

Oblicze Innesa przybrało profesjonalnie nieodgadniony wyraz.

- Alan, może powinieneś zastanowić się, skąd u ciebie taka silna potrzeba potwierdzenia własnej ważności.

- Turing - rzekł Edelstein - był jednym z geniuszy dwudziestego wieku. Jeszcze w latach trzydziestych wpadł na pomysł stworzenia komputera. Podczas drugiej wojny światowej pracował nad złamaniem szyfru hitlerowskiej Enigmy. Po wojnie był szykanowany dlatego, że był homoseksualistą, i popełnił samobójstwo, zjadając zatrute jabłko.

Innes zmarszczył brwi.

- Ten człowiek miał poważne zaburzenia.
- Chcesz powiedzieć, że homoseksualiści są nierównoważeni?
- Nie, nie, bynajmniej - rzucił pośpiesznie Innes. - Miałem na myśli to, w jaki sposób popełnił samobójstwo.

- Turing ocalił Anglię przed faszystami. W przeciwnym razie Brytyjczycy przegraliby wojnę, a Anglia podziękowała mu bezwzględными szykanami. W tych okolicznościach myślę, że samobójstwo wcale nie było takie... nielogiczne. Co się tyczy me tody, była czysta, skuteczna i wymowna w swojej symbolice.

Innes się zaczerwienił.

- Jestem pewien, że wszyscy byliby ci wdzięczni, Alan, gdy byś wreszcie przeszedł do sedna.

Edelstein mówił dalej:

- Test Turinga był próbą odpowiedzi na pytanie, czy maszyna potrafi myśleć. Propozycja Turinga przedstawiała się następująco: człowiek - sędzia prowadzi na piśmie rozmowę z dwiema osobami, których nie widzi - człowiekiem i maszyną. Gdyby po długiej wymianie zdań sędzia nie potrafił odróżnić człowieka od maszyny, maszynę określono by mianem inteligentnej. Test Turinga stał się standardową definicją w określeniu sztucznej inteligencji.

- To wszystko bardzo ciekawe - rzekł Innes - ale co to ma wspólnego z naszym problemem?

- Jako że nie udało nam się stworzyć niczego zbliżonego do sztucznej inteligencji, nawet dysponując najpotężniejszymi superkomputerami, zdumiewa mnie, że byle destrukcyjny program, parę tysięcy linijek wadliwego kodu, jak sądzę, jest w stanie przejść test Turinga. W dodatku operując tak absurdalnym tematem jak Bóg i sens życia. - Wskazał na transkrypcję. - Właśnie dlatego to nie jest sztubacki tekst. Wręcz przeciwnie.

Zaplótl ramiona i rozejrzał się dokoła.

- I właśnie dlatego musimy przeprowadzić kolejną próbę - powtórzył Hazelius. - Musimy zmusić to do mówienia, aby Rae mogła dotrzeć do źródła usterki.

Wszyscy usadowili się luźniej na swoich miejscach. Nikt się nie odzywał.

- To jak? - spytał Hazelius. - Rzuciłem pewną propozycję. Omówiliśmy ją. Przeprowadźmy głosowanie. Czy jutro namierzymy tę bombę logiczną, czy nie?

W pomieszczeniu rozległy się ciche potaknięcia, pojawiły się też ledwie widoczne skinienia głową.

- Na jutro zaplanowano protest - przypomniał Ford.
- Nie możemy dłużej tego odwlekać - odparł Hazelius. Po wiodł zuchwale wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. - No dalej! Podnieście ręce!

Dłonie uniosły się jedna po drugiej. Po chwili wahania Ford także dołączył do pozostałych. Tylko Dolby nie podniósł ręki.

- Nie możemy zrobić tego bez ciebie, Ken - rzekł cicho Hazelius. - Isabella to twoje dziecko.

Chwila przerwy, po czym Dolby zaklął:

- Dobra, niech to szlag, wchodzę w to.
- Jednogłośnie - oświadczył Hazelius. - Zaczynamy rozruch jutro w południe. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przed zmierzchem osiągniemy moc na poziomie stu procent. Potem będziemy mieć całą noc na wytropienie i zlikwidowanie tego destrukcyjnego programu. A teraz pora się trochę przespać.

Gdy Ford wracał do swojego domku, przez cały czas w jego głowie rozbrzmiewały słowa Kate. *To wiedziało. To wiedziało.*

29

Gdy Ford zmierzał w stronę swojej *casita*, usłyszał, jak ktoś zwraca się do niego po imieniu, i odwrócił się. Niska szczupła postać szła przez boisko w jego stronę.

- Wydarzenia ubiegłej nocy musiały być dla ciebie szokiem - rzekł Hazelius, zrównując się z nim.

- Owszem.

- I co o tym myślisz? - Hazelius nieznacznie przekrzywił głowę i spojrzał na Forda z boku. Miał wyjątkowo przenikliwe spojrzenie.

- Myślę, że nie zgłaszając tego od razu, zapędziliście się w kozi róg.

- Co się stało, to się nie odstanie. Ulżyło mi, gdy się dowiedziałem, że Kate opowiedziała ci o wszystkim. Nie czułem się dobrze, oszukując cię. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego wcześniej nie byliśmy wobec ciebie szczerzy.

Ford pokiwał głową.

- Podobno zapewniłeś Kate, że zachowasz to dla siebie.

Ford nie ośmielił się odezwać. Nie uważał się już za dobrego kłamcę.

- Masz chwilkę? - spytał Hazelius. - Chciałbym pokazać ci indiańskie ruiny w dolinie. To doprawdy coś niezwykłego i kontrowersyjnego zarazem. A przy okazji moglibyśmy jeszcze pogawędzić.

Przeszli przez drogę i podążyli ścieżką pomiędzy topolami, zostawiając za sobą wyschnięte koryto *arroyo* oddzielającego się od Nakai Wash. Ford poczuł, że jego ciało i umysł z wolna dochodzą do siebie po wyczerpującej nocy. Ściany z piaskowca po

obu stronach koryta zwały się, a falujące ślady wryte w miękkim kamieniu przez powódzie z odległej, zapomnianej przeszłości znajdowały się bardzo blisko, nieomal na wyciągnięcie ręki. Orzeł przedni przemknął nad obrzeżem, rozpiętość skrzydeł ptaka była równa wzrostowi Forda. Dwaj mężczyźni przystanęli, by przez chwilę obserwować majestatycznego ptaka. Kiedy zniknął im z oczu, Hazelius dotknął ramienia Forda i wskazał w górę wąwozu. Jakies piętnaście metrów dalej, w ukośnie nachylonej ścianie z piaskowca, znajdowała się nisza, a w nią wciśnięte były reliki kultury Anasazi. Prowadził ku nim prastary szlak wykuty w kamiennej ścianie.

- Kiedy byłem młodszy - rzekł półgłosem Hazelius - byłem roganckim bufonem. Uważałem się za bystrzejszego od wszystkich. Wierzyłem, że to czyniło mnie kimś lepszym, godniejszym niż ci, których poziom inteligencji był przeciętny. Nie wiedziałem, w co wierzę, i nie dbałem o to. Moje życie było chaosem, które rozjaśniały kolejne dowody zdające się potwierdzać mój geniusz - Nagroda Nobla, Fieldsa, tytuły naukowe, strumienie pieniędzy. Postrzegałem innych ludzi jak statystów w filmie ze mną w roli głównej. I wtedy poznałem Astrid.

Przerwał, gdy dotarli do początku prastarego szlaku wykutego w skale.

- Astrid była jedyną osobą, którą naprawdę kochałem i która wyleczyła mnie z manii wyższości. A potem umarła. Młoda i pełna życia, skonała na moich rękach. Kiedy odeszła, myślałem, że cały świat się dla mnie zawalił. - Znów przerwał. - Trudno to wyjaśnić komuś, kto tego sam nie przeżył.

- Ja też to przeżyłem - rzekł nieomal bezwiednie Ford. Miażdżące uczucie straty przepełniło jego serce i mocno ścisnęło.

Hazelius oparł się ramieniem o skałę.

- Straciłeś żonę?

Ford skinął głową. Zastanawiał się, dlaczego rozmawiał o tym z Hazeliusem, choć nie poruszył tego tematu nawet podczas sesji terapeutycznej z psychiatrą.

- Jak sobie dałeś z tym radę?
- Nie dałem. Zaszylem się w klasztorze.

Hazelius zbliżył się do niego.

- Jesteś wierzący?
- Nie wiem... Jej śmierć nadszarpnęła moją wiarę. Musiałem dowiedzieć się, na czym stoję. W co wierzę.

- I?

- Im bardziej się starałem, tym mniej byłem pewien czegokolwiek. Miło było odkryć, że nigdy nie będę mieć pewności. Że nie urodziłem się z niezłomną wiarą.

- Być może żaden racjonalny, inteligentny człowiek nigdy nie jest pewien swojej wiary - ciągnął Hazelius. - Albo, jak w moim wypadku, jej braku. Kto wie, może gdzieś tam, na górze, faktycznie jest Bóg Eddyego, mściwy, sadystyczny, zawsze chętny do ludobójstwa, gotów spalić żywym ogniem wszystkich, którzy w niego nie wierzą.

- Kiedy umarła twoja żona... - wrócił do tematu Ford - jak się z tym uporałeś?

- Postanowiłem dać coś światu. A będąc fizykiem, wpadłem na pomysł stworzenia Isabelli. Moja żona mawiała: Jeżeli najinteligentniejszy człowiek świata nie jest w stanie odkryć, jak się tu znaleźliśmy, to kto to potrafi? Isabella jest moją próbą odpowiedzi na to pytanie - i wiele innych. To moje wyznanie wiary.

W wąskiej smudze światła Ford zobaczył niewielką jaszczurkę przywartą do skalnej ściany. Gdzieś w górze wciąż krążył orzeł przedni, jego wysoki krzyk odbił się echem od klifów.

- Wyman - ciągnął Hazelius - gdyby ta sprawa z hakerem wyszła na jaw, projekt Isabella upadłby, nasze kariery zostałyby

zrujnowane, a nauka amerykańska cofnęłaby się o całe pokolenia. Wiesz o tym, prawda? Ford nie odpowiedział.

- Z całego serca proszę, byś nie zgłaszał tego problemu, do póki nie będziemy potrafili się z nim uporać. To zniszczyłoby nas wszystkich, łącznie z Kate.

Ford spojrzał na niego gwałtownie.

- Tak, widzę, że coś was łączy - ciągnął Hazelius. - Coś do brego. Powiedziałbym nawet, że coś świętego.

Gdyby to była prawda, pomyślał Ford.

- Daj nam jeszcze czterdzieści osiem godzin na rozwiązanie tego problemu i ocalenie projektu Isabella. Błagam cię.

Ford zastanawiał się, czy ten drobny człowiek wiedział albo domyślał się, jaki był prawdziwy cel jego misji. Wyglądało na to, że tak.

- Czterdzieści osiem godzin - powtórzył łagodnie Hazelius.

- Dobrze - odparł Ford.

- Dziękuję - rzekł Hazelius głosem ochrypłym z emocji. - A teraz powspinamy się trochę.

Ford oparł dłonie na stopniach przed sobą i podążył wolno za Hazeliusem po zdradzieckim szlaku. Warunki pogodowe naruszyły i osłabiły stopnie, trudno było się wspinać i znajdować na kamieniach oparcie dla dłoni i stóp.

Kiedy dotarli do ruin, przystanęli na skalnej półce pod wejściem, by złapać oddech.

- Popatrz.

Hazelius wskazał na miejsce, gdzie dawny mieszkaniec domu wygładził zewnętrzną warstwę błotnego tynku na kamiennej ścieżce. Większość tynku odpadła, ale w pobliżu drewnianego nadproża widać było zaschnięte w błocie rozmazane smugi i ślady dłoni.

- Jeżeli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz nawet ślady linii papiarnych - powiedział. - Mają tysiąc lat, ale to wszystko, co pozostało po tamtym człowieku. - Odwrócił głowę w stronę błękitnego horyzontu. - Tak to już bywa ze śmiercią. Któregoś dnia bach i po wszystkim, koniec pieśni. Wszystko znika. Wspomnienia, nadzieje, marzenia, domy, miłość, pieniądze, ruchomości. Nasza rodzina i przyjaciele uronią kilka łez, odprawią ceremonię i będą żyć dalej. Staniemy się blaknącymi fotografiami w albumie. A później umrą ci, którzy nas kochali, i ci, którzy kochali ich, aż w końcu przypadnie nawet wspomnienie o nas. Widziałeś kiedyś w antykwariatach stare albumy ze zdjęciami przedstawiającymi ludzi w dziewiętnastowiecznych strojach - mężczyzn, kobiety, dzieci. Nikt już nie wie, kim oni byli. Tak samo jest z człowiekiem, który pozostawił ten odcisk dłoni. Odszedł i po padł w zapomnienie. Jaki to wszystko ma cel?

- Chciałbym to wiedzieć - rzekł Ford.

Chociaż upał tego dnia coraz bardziej przybierał na sile, kiedy schodzili w głąb wąwozu, Ford poczuł lodowaty dreszcz, uświadamiając sobie ulotną kruchość własnego istnienia.

30

Kiedy Ford wrócił do *casita*, zamknął drzwi, zaciągnął zasłony, wyjął z szafki aktówkę i wprowadził kombinację cyfr.

Śpij, durniu, śpij, krzyczało jego ciało. On jednak zamiast tego wyjął z aktówki laptop i notatkę Wołkońskiego. To była jierwsza wolna chwila, kiedy mógł spróbować ją rozszyfrować. Jsiadł po turecku na łóżku, opierając się plecami o drewno wezgłowia, i położył komputer na udach. Wybrał edytor heksadecylny i zaczął wpisywać cyfry oraz litery do pliku danych. Musiał wprowadzić kod szesnastkowy z tajemniczej kartki, zanim będzie mógł z nim pracować.

Tym kodem mogło być cokolwiek: krótki program komputerowy, plik z danymi, plik tekstowy, niewielkie zdjęcie, kilka pierwszych nut z V symfonii Beethovena. Mógł to być także prywatny klucz algorytmu RSA, bezużyteczny, gdyż FBI zabrało peceta Wołkońskiego.

Ford przysnął i osunął się do przodu, strącając laptopa ze swoich nóg. Otrząsnął się i poszedł do kuchni, by zaparzyć kawę. Nie spał od blisko czterdziestu ośmiu godzin.

Wsypywał właśnie do filtra ostatnią miarkę, gdy poczuł dziwny ucisk w dołku i pomyślał o wszystkich kawach wypitych w ciągu ostatnich dni. Odstawił maszynkę do kawy i przez chwilę grzebał w kredensie, by wyjąć pudełko organicznej zielonej herbaty. Dwie torebki parzone przez dziesięć minut i wrócił do sypialni z kubkiem zielonego naparu. Wpisując dalszy ciąg kodu, zaczął sączyć gorzką zieloną herbatę. Chciał szybko skończyć, żeby trochę się zdrzemnąć, zanim pojedzie do Blackhorse, by po raz ostatni pomówić z Begayem przed kawalkadą protestacyjną.

Obraz zaczął mu się zacierać przed oczami, gdy wodził wzrokiem pomiędzy ekranem a kartką papieru, i stwierdził, że zaczyna robić błędy.

Zmusił się, by zwolnić.

Skończył o wpół do jedenastej. Usiadł wygodnie i porównał dane z pliku z tymi z kartki. Chyba nie było błędów. Zapisał plik i wcisnął przycisk konwersji z układu heksadecymalnego na binarny. W jednej chwili kod szesnastkowy został przetworzony na wielki ciąg zer i jedynek.

Wiedziony instynktem aktywował konwersję z kodu binarnego na ASCII i jakie było jego zdziwienie, gdy na ekranie pojawił się tekst.

Gratulacje, kimkolwiek jesteś. Ha, ha! Masz iloraz inteligencji nieco wyższy niż przeciętny kretyn na tym świecie.

No i tak. Zabieram się z tego cholernego wariatkowa i wracam do domu. Zaparkuję przed telewizorem z butelką dobrze schłodzonej wódki i skrzętem i będę patrzył, jak małpy w małpiarni tłuką w pręty klatki. Ha, ha! I może napiszę długi list do ciotki Nataszy.

Widzisz, durniu, znam prawdę. Przejrzałem to szaleństwo.

Na dowód tego podam ci tylko nazwisko: Joe Blitz.

Ha, ha!

P Wołkoński

Ford dwukrotnie przeczytał treść listu i usiadł wygodnie. Z jego tonu można było wywnioskować, że napisała go osoba pograżająca się w coraz silniejszym obłędzie. O jakim szaleństwie wspominał? Co miał na myśli? Destrukcyjny program? Isabelle? Samych naukowców? Dlaczego zaszyfrował tę wiadomość, zamiast po prostu pozostawić liścik?

I jeszcze ten Joe Blitz?

Ford wpisał to nazwisko w Google i uzyskał w odpowiedzi milion zestawień. Przejrzał kilka początkowych, ale nie dostrzegł żadnych oczywistych związków.

Wyjął z aktówki telefon satelitarny i spojrzął na niego. Wprowadził Lockwooda w błąd. Nie, okłamał go. A teraz obiecał Hazeliusowi, że nie wspomni o destrukcyjnym programie.

Niech to szlag. Dlaczego sądził, że po dwóch latach w klasztorze będzie mógł gładko wrócić do świata kłamstw jak za czasów, kiedy pracował w CIA? Przynajmniej mógł powiedzieć Lockwoodowi o liście. Może Lockwood będzie wiedział coś więcej o tym tajemniczym Joem Blitzu. Wprowadził jego numer.

- Minęło więcej niż dwadzieścia cztery godziny - Lockwood odebrał telefon dość szorstko, nie siląc się na zbędne powitania. - Co robiłeś?

- U Wołkońskiego tamtej nocy znalazłem krótki list, pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

- Dlaczego wczoraj o tym nie wspomniałeś?

- To była tylko przedarta na pół kartka papieru zapisana szyfrem. Nie wiedziałem, że może być ważna. Ale udało mi się rozszyfrować jej treść.

- No i? Jak brzmi treść tego listu?

Przeczytał całą treść listu do słuchawki.

- Kim jest, u licha, Joe Blitz? - rzucił Lockwood.

- Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedział.

- Oddeleguję moich ludzi, żeby to sprawdzili. I ciotkę Nataszę też.

Ford powoli odłożył słuchawkę. Było jeszcze coś, na co zwrócił uwagę: ten list nie wydawał się napisany ręką człowieka bliskiego popełnienia samobójstwa.

31

Po krótkiej drzemce i późnym lunchu Ford poszedł do stajni. Miał do załatwienia pilną sprawę z Kate - była z nim szczerą i teraz nadeszła pora, aby i on odwzajemnił się jej tym samym i wyjawiał prawdę.

Napełniała koryta dla koni wodą ze szlauchu. Spojrzała na niego. Była blada, wręcz przezroczysta ze zmartwienia.

- Dzięki, że się wtedy za mną ujęłaś - rzekł Ford. - Przepraszam, że postawiłem cię w niezręcznej sytuacji.

Pokręciła głową.

- Nieważne. Ulżyło mi, że już niczego nie muszę przed tobą ukrywać.

Stanął w drzwiach, siłąc się na odwagę, by powiedzieć jej to, po co tu przyszedł. Na pewno nie zniesie tego dobrze, nie miał co do tego wątpliwości. Poczul, jak opuszcza go odwaga. Powie jej później w drodze.

- Dzięki Melissie wszyscy sądzą, że śpimy ze sobą. - Kate spojrzała na niego. - Ona jest niemożliwa. Najpierw uganiała się za Innesem, potem za Dolbym, teraz za tobą. Potrzeba jej po prostu dobrego rżnięcia. - Uśmiechnęła się słabo. - Może wy, face ci, powinniście się zebrać i przeprowadzić losowanie.

- Dzięki, ale nie.

Ford przysiadł na beli słomy. W stajni było chłodno, w powietrzu unosiły się pyłki. Z przenośnego boom boksa płynęły dźwięki piosenki Blondie.

- Przepraszam, Wyman, że byłem taka oschła, kiedy się zjawiłeś. Ale cieszę się, że tu jesteś. Nigdy nie czułam się dobrze, gdy myślałam o tym, w jaki sposób się rozstaliśmy.

- To nie było zbyt przyjemne.

- Byliśmy młodzi i głupi. Od tamtej pory bardzo dojrzałam. Ford żałował, że przeczytał jej dossier. Wiedział, jakich cierpień doznała przez te wszystkie lata.

- Ja też.

Uniosła i opuściła ręce.

- I jesteśmy tu razem. Znowu.

Wydawała się tak pełna nadziei, kiedy stała w stajni ze źdźbłami słomy we włosach. Była ta piękna, że jej uroda aż zapierała dech.

- Chcesz wybrać się na przejażdżkę? - zapytał. - Zamierzam jeszcze raz spotkać się z Begayem.

- Mam sporo pracy...

- Poprzednim razem poszło nam całkiem nieźle.

Odgarnęła włosy i patrzyła na niego badawczo przez dłuższą chwilę. W końcu odrzekła:

- No dobrze.

Osiadłali konie i wyruszyli na południowy zachód w stronę wznieść z piaskowca ciągnących się wzdłuż skraju kotliny. Kate jechała na przedzie, jej szczupłe ciało pewnie utrzymywało się na grzbiecie wierzchowca, kołysząc się w rytm jego kroków niemal erotycznie. Na głowie miała wyświechtany australijski kapelusz kowbojski, a jej czarne włosy falowały na wietrze.

Boże, jak mam jej to powiedzieć?

Gdy dotarli na skraj płaskowyżu, gdzie w szczelinie skalnej miało swój początek Nocne Przejście, Ford podjechał i zrównał się z nią. Zatrzymali się o jakieś siedem metrów od krawędzi klifu. Kate patrzyła w stronę horyzontu, a na jej twarzy malował się dziwnie niepokojący wyraz. Z dołu wiał wiatr, jego nieregularne podmuchy niosły ze sobą chmury niewidocznego pyłu. Ford splunął i poruszył się w siodle.

- Wciąż myślisz o tym, co się stało zeszłej nocy? - zapytał.
- Nie mogę przestać o tym myśleć. Wyman, jak to coś mogło odgadnąć te liczby?

- Nie wiem.

Powiodła wzrokiem ponad rozległą czerwoną pustynią ciągnącą się aż ku sinym górcom i skapaną wśród chmur nieskończoności.

- Gdy się na to patrzy - szepnęła - nietrudno uwierzyć w Boga. Kto wie, może faktycznie rozmawiamy z Bogiem?

Odgarnęła włosy i uśmiechnęła się smętnie do niego.

Ford był naprawdę zdziwiony. To nie była ta sama Kate, zagorzała ateistka, którą poznał na uczelni. Znow zaczął się zastanawiać, co się z nią działo przez te dwa lata, kiedy zniknęła bez śladu.

Booker Crawley włożył do ust cygaro, przygotowując się do wykonania uderzenia. Zadowolony z rozkładu bil, zrobił, co do niego należało, i patrzył, jak kule przetaczają się po stole.

- Nieźle - pochwalił go kompan od bilarda, gdy trzy bile trafiły do plecionych skórzanych luz.

Promienie słońca odbijające się od powierzchni rzeki wpadały przez wąskie okna. W ten miły czwartkowy poranek większość członków Potomac Clubu była w pracy. Crawley także - a przynajmniej tak to traktował - zabawiając potencjalnego klienta, właściciela niewielkiej wysepki u przylądka Hatteras, który chciał, żeby rząd zapłacił dwadzieścia milionów dolarów, by zbudować wiodący na nią most. Taki most podwoiłby albo nawet potroił wartość gruntów. Dla Crawleya to była bułka z masłem. Młodszy senator z Karoliny Północnej był mu winien przysługę po wyprawie na partyjkę golfa do St. Andrews, a człowiek ten słynął z lojalności i tego, że dbał o swoje interesy. Jeden telefon i plik banknotów w kopercie, a Crawley zmieni inwestycję dewelopera w interes przynoszący milionowe zyski, no i sam też przy tym nieźle się obłowi. Skoro na Alasce mógł się znajdować most wiodący donikąd, to czemu Karolina Pomocna nie miałaby mieć własnego.

Patrzył, jak deweloper ustawia się do uderzenia. Należał do tego szczególnego typu południowców, którzy mieli podwójne nazwisko i cyfrę rzymską na dodatek. Nazywał się Safford, a konkretnie Safford Montague McGrath III. McGrath pochodził ze starego szkocko-irlandzkiego rodu, był potężny, jasnowłosy, wysportowany i majątny. Innymi słowy, był ciemny jak tabaka w rogu i głupi jak but. McGrath zgrywał światowca z Waszyngtonu,

ale widać było, że słoma wychodzi mu z butów. Crawley domyślał się, że tamten będzie się wyklócał z nim o wynagrodzenie i nie odpuści za żadne skarby. Był z tych, którzy musieli czuć, że wyciągnęli od drugiej strony każdego centa, w przeciwnym razie nie mogli spokojnie zasnąć.

- A jak tam senator Stratham? - spytał McGrath, jakby do brze znał tego starego drania.

- Świetnie, po prostu świetnie.

Ten staruch bez wątpienia mógł już jadać wyłącznie papki ze słoiczków Gerbera i pić przez słomkę. Prawda była taka, że Crawley nigdy nie pracował ze starym senatorem Strathamem; odkupił firmę Stratham & Co., kiedy Stratham przeszedł na emeryturę. Dzięki temu zyskał aurę dostojności i szacunku, więź łączącą z dawnymi dobrymi czasami, a ta odróżniała go od innych lobbystów z K Street, którzy wyrosli po ostatnich wyborach jak grzyby po deszczu.

Następne uderzenie McGratha i bila otarła się o róg, przeturlała przed otworem łuzi i pozostała na stole. Mężczyzna wyprostował się, nie mówiąc ani słowa, wargi miał kurczowo zaciśnięte.

Crawley mógł pokonać tamtego z zamkniętymi oczami, ale nie o to tu chodziło. Nie, rzecz polegała na tym, by przez całą rozgrywkę mieć przewagę nad przeciwnikiem, a w końcu z nim przegrać. I dobić targu, gdy tamten będzie świętował wygraną.

Sfuszerował następne uderzenie, przydając mu pozorów prawdopodobieństwa.

- Prawie nieźle - rzekł McGrath.

Wypuścił ustami kłęb dymu z cygara, odłożył je na szklaną popielniczkę i przygotował się do uderzenia. A potem je wykonał. Najwyraźniej uważał się za wytrawnego gracza, ale do snookera brakowało mu fantazji. Tyle tylko że strzał był w miarę prosty i bila gładko wpadła do łuzi.

- No, no - rzucił Crawley. - Będę musiał się naprawdę po starać, Safford.

Zjawił się służący niosący srebrną tacę z liścikiem.

- Pan Crawley?

Crawley zamaszystym gestem sięgnął po liścik. Zarząd klubu, skonstatował z uśmiechem, wciąż hołdował tradycji, zgodnie z którą wiadomości przynosili na srebrnych tacach czarnoskórzy służący - to aż tchnęło atmosferą przedwojennej Ameryki. Liściki na srebrnych tacach były na głowę rozpaczliwe szukanie po kieszeniach piszczącego telefonu komórkowego.

- Przepraszam, Safford.

Crawley otworzył liścik, a wiadomość brzmiała następująco: *Delbert Yazzie, Przewodniczący Ludu Nawaho, godz. 11.35. Proszę o jak najszybszy kontakt.* Dalej widniał numer telefonu.

Gdy miał do czynienia z potencjalnym intratnym klientem, Crawley lubił dawać do zrozumienia, że ma co najmniej jeszcze jednego, ważniejszego. Ludzie pogardzali innymi, gdy uważali, że są ich najważniejszymi kontrahentami.

- Bardzo mi przykro, Safford, ale muszę do kogoś zadzwonić. A tymczasem zamów martini dla nas obu.

Oddalił się do jednej ze starych dębowych budek telefonicznych, które znajdowały się na każdym piętrze, zamknął się w kabinie i wybrał numer. Po chwili usłyszał na drugim końcu łącza Delberta Yazziego.

- Pan Booker Crawley? - Głos Indianina był słaby, brzmiał staro i niewyraźnie, jakby dochodził z Timbaktu.

- Co słychać, panie Yazzie? - Crawley zachowywał przyjazny ton, lecz z wyraźną nutą chłodu i dystansu.

Cisza.

- Wyniknęło coś nieoczekiwanego. Słyszał pan o tym kaznodziei, Donie T. Spatesie?

- Oczywiście.
- Jego kazanie wywołało u nas nie lada zamieszanie, także wśród naszego ludu. Jak pan wie, wśród Nawahów trwają szero ko zakrojone prace misyjne. A teraz okazuje się, że przez to kaza nie zrobiło się o tej sprawie głośno w samym Waszyngtonie.

- Owszem, to prawda - przyznał Crawley.
- Wydaje mi się, że to może być poważnym wyzwaniem dla projektu Isabella.

- Jak najbardziej.

Crawley poczuł, że narasta w nim uczucie triumfu. Zadzwoił do Spatesa nie dalej jak tydzień temu. To będzie jedno z najlepszych zagrań w całej jego karierze.

- A więc, panie Crawley, co możemy na to poradzić?

Crawley odczekał chwilę, by przedłużająca się cisza spotęgo wała napięcie.

- Cóż, nie wiem, czy ja w ogóle mogę cokolwiek z tym zro bić. Odniosłem wrażenie, że moje usługi nie są wam już dłużej potrzebne.

- Nasza umowa opiewa jeszcze na najbliższych sześć tygo dni. Mamy zapłacone do pierwszego listopada.

- Panie Yazzie, nie oferujemy mieszkań pod wynajem. W Waszyngtonie tak się nie pracuje. Przykro mi. Z żalem muszę poinformować, że nasza praca nad projektem Isabella dobiegła końca.

Syki, trzaski.

- Utrata rządowych opłat z tytułu wynajmu gruntu dla pro jektu Isabella może okazać się wielkim ciosem dla ludu Nawaho.

Crawley milczał, trzymając słuchawkę przy uchu.

- Powiedziano mi, że w swoim jutrzejszym programie Spates znów zamierza atakować projekt Isabella. Poza tym krążą plotki, że Isabella ma jakieś problemy. Jeden z naukowców popełnił sa-

mobójstwo. Panie Crawley, skonsultuję się z radą plemienną i spróbuję odnowić pański kontrakt. Wygląda na to, że pańska pomoc jest nam jednak potrzebna.

- Przykro mi, panie Yazzie, ale na pana miejsce mam już kolejnego klienta. Doprawdy bardzo mi przykro, ale, o ile sobie przypominam, wspominałem, że może się tak zdarzyć. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo tego żałuję, osobiście, jak i z zawodowego punktu widzenia. Może znajdzie pan inną firmę, która zajmie się pana sprawą. Mogę panu kilka polecić.

Na linii było słyhać tylko ciche trzaski. Crawley wychwyił w tle jakieś ciche słowa, kilka zdań. Chryste, jaką łączność oni tam mają? Pewnie nadal korzystają z linii telefonicznych, które zakładał jeszcze Kit Carson.

- Inna firma nie będzie w stanie dostatecznie szybko zapoznać się z tą sprawą. Potrzebujemy Crawleya i Strathama. Potrzebujemy was.

Potrzebujemy was. Czyżby tamci właśnie lali miód na jego serce?

- Naprawdę przykro mi, panie Yazzie. Ten rodzaj pracy wiąże się ze sporym osobistym zaangażowaniem. I to bardzo intensywnym. A my jesteśmy urobieni po łokcie. Aby znów wrócić do tamtej sprawy... musielibyśmy wynająć nowych pracowników, a być może także powiększyć, i to znacznie, przestrzeń biurową...

- Bylibyśmy radzi...

Crawley nie pozwolił dokończyć rozmówcy.

- Panie Yazzie, naprawdę bardzo mi przykro, ale mam akurat ważne spotkanie biznesowe. Czy mógłby pan zadzwonić do mnie ponownie w poniedziałek po południu, powiedzmy, o szesnastej czasu wschodniego? Naprawdę chcę panu pomóc i obiecuję, że głęboko się nad tym zastanowię. Jutro wieczorem obejrzę program Spatesa, a pan i rada plemienna powinniście uczynić to

samo, żebyśmy mieli lepsze pojęcie, z czym właściwie walczymy. Pomówimy w poniedziałek.

Wyszedł z kabiny i przystanął, by ponownie zapalić cygaro, po czym wypełnił usta dymem. Dym z cygara pachniał słodko i oszłamiająco. Cała rada plemienna oglądająca talk-show, to ci dopiero. Oby Spates pokazał, na co go stać.

Wrócił do sali bilardowej, ciągnąc za sobą kłąb dymu i czując się naprawdę wielki, ale gdy ujrzał Safforda pochylającego się nad stołem i badającego wszystkie kąty potencjalnych uderzeń, ogarnęło go rozdrażnienie. Czas odciąć przynętę.

Tym razem to Crawley miał uderzać, a Safford nieroztropnie umieścił bilę w miejscu, skąd gładko można było ją wbić do luzu.

W pięć minut było po grze. Safford przegrał, i to z kretesem.

- Cóż - powiedział Safford, sięgając po swoje martini i uśmiechając się znacząco. - Teraz dwa razy się zastanowię, za nim znów zdecyduję się z tobą zagrać, Booker. - Zachichotał nie szczerze. - Co się tyczy twojego wynagrodzenia - ciągnął, naśladując Gary Coopera z filmu *W samo południe* - mowy nie ma, żebyś otrzymał kwotę, o jakiej wspomniałeś w liście. Nie mamy tego w naszym budżecie. A poza tym, szczerze mówiąc, nie odpowiada ona nakładowi włożonej przez ciebie pracy.

Crawley odstawił kij bilardowy na stojak i wyrzucił cygaro do kubła z piaskiem. Nawet nie sięgnął po swoje martini, przeszedł tylko obok i nie odwracając się, rzucił:

- Obawiam się, że coś mi wypadło, Safford, i zmuszony jestem odwołać nasz lunch.

Dopiero wtedy się odwrócił, by z lubością spojrzeć na wyraz osłupienia malujący się na twarzy dewelopera. Przedsiębiorca stał tam z kijem, cygarem i martini i wyglądał, jakby ktoś zdzielił go w głowę czymś ciężkim.

- Zadzwoń do mnie, jeżeli zmienisz zdanie co do naszego honorarium - dodał Crawley, wychodząc.

Nie ulegało wątpliwości, że Safford Montague McGrath III tej nocy nie zmruży oka.

33

Ford dotarł na samo dno płaskowyżu i zaczął jechać korytem wyschniętej rzeki w kierunku Blackhorse; Kate zrównała się z nim. W połowie drogi przez stare koryto rzeki usłyszał, jak wierzcho-
wiec parsknął, więc się odwrócił.

- Ktoś za nami jedzie - rzekł, zatrzymując Ballew.

Zza krzewów tamaryszku dobiegł tętent kopyt i po chwili wy-
łonił się stamtąd wysoki mężczyzna na masywnym koniu miesza-
nej krwi. To był Bia. Porucznik policji plemiennej zatrzymał się
i dotknął lekko runda kapelusza.

- Wybrali się państwo na przejażdżkę dla przyjemności? -
zapytał.

- Jedziemy do Blackhorse - odparł Ford.

Bia się uśmiechnął.

- To wyśmienity dzień na taki wypad, nie za gorąco, spory
wiatr. - Oparł dłonie o łęk siodła. - Zamierzacie, jak miemam,
odwiedzić Nelsona Begaya.

- Zgadza się - przyznał Ford.

- To dobry człowiek - powiedział Bia. - Gdybym podejrze-
wał, że podczas tej kawalkady protestacyjnej może dojść do ja-
kichś incydentów, zaproponowałbym wam ochronę ze strony po-
licji plemiennej. Ale to byłoby raczej niewskazane.

- Owszem - zgodził się Ford nieco zaskoczony przenikliwo-
ścią tamtego.

- Niech robią swoje. Będę miał ich na oku, ale dyskretnie.

- Dziękuję.

Bia pokiwał głową i wychylił się lekko do przodu.

- Skoro już tu państwo jesteście, czy mogę zadać kilka pytań?

- Śmiało - rzekł Ford.
- Czy ten Peter Wołkoński dogadywał się ze wszystkimi?
- Z większością - odparła Kate.
- Nie było żadnych konfliktów? Sprzeczek?
- Bywał trochę spięty, ale jakoś to tolerowaliśmy.
- Czy był ważnym członkiem zespołu?
- Jednym z najważniejszych.

Bia poprawił kapelusz.

- Facet wrzuca trochę ciuchów do walizki i wyjeżdża. Jest dziewięta, może dziesiąta, księżyc już zaszedł. Jedzie jakieś dziesięć minut, po czym zbacza z drogi, zapuszczając się na mniej więcej pół kilometra w głąb pustyni. Dociera do głębokiego parowu, zatrzymuje auto przy skraju przepaści, zaciąga hamulec ręczny, gasi silnik i wrzuca luz. Potem przykłada sobie prawą ręką pistolet do skroni, lewą ręką zwalnia hamulec ręczny, strzela sobie w prawą skroń, a samochód stacza się do wąwozu.

Przerwał. Rondo kapelusza ocieniało jego oczy.

- Tak pana zdaniem to musiało wyglądać? - spytała Kate.
- Tak przedstawia się rekonstrukcja zdarzeń według FBI.
- Ale pan tego nie kupuje - wtrącił Ford.

Bia zdawał się świdrować go wzrokiem spomiędzy głębokich cieni rzucanych przez rondo jego kapelusza.

- A pan?
- Moim zdaniem to trochę dziwne, że po tym, jak się zastrzelił, jeszcze stoczył wóz w przepaść - odparował Ford.

Pomyślał o liście. Czy powinien powiedzieć o nim porucznikowi? Lepiej niech zajmie się tym Lockwood.

- Właściwie - powiedział Bia - dla mnie to element, który przydaje temu wiarygodności.
- Zdziwiło pana, że spakował walizkę?

- W wypadku niektórych samobójstw to się zdarza. Samo bójstwo bywa często spontaniczne.

- W czym zatem problem?

- Panie Ford, skąd pan wiedział, że ten samochód tam jest?

- Zauważyłem świeże ślady opon, wygniecioną bylicę i kołującą na niebie sępy.

- Ale przepaści pan nie widział.

- Nie.

- Bo od strony drogi w ogóle nie widać tego wąwozu, sprawdziłem to. Skąd Wołkoński wiedział, że on tam jest?

- Był roztrzęsiony, zjechał na pustynię, aby się zastrzelić, na tknął się na wąwóz i postanowił, że zrobi to tak, by mieć absolutną pewność.

Ford sam nie do końca wierzył w to, co mówi, zastanawiał się, czy Bia podzielał jego przekonanie.

- Tak właśnie uważa FBI.

- Ale pan tak nie myśli.

Bia wyprostował się i dotknął róna kapelusza.

- Do zobaczenia.

- Proszę zaczekać - rzekła Kate.

Bia znieruchomiał.

- Chyba nie sądzi pan, że mógł go zabić ktoś z nas? - spytała.

Bia strzepnął z uda złamaną gałązkę tamaryszku.

- Ujmę to tak: jeśli to nie było samobójstwo, to z całą pewnością bardzo, ale to bardzo inteligentne morderstwo.

To rzekłszy, znów musnął palcami róna kapelusza, dźgnął piętami boki swojego wierzchowca i minąwszy ich, odjechał.

Ford pomyślał: *Wardlaw*.

34

Blackhorse wyglądało jeszcze bardziej ponuro, niż kiedy Ford ujrzał je po raz pierwszy w poniedziałek - ot samotne skupisko zakurzonych przyczep wciśniętych pomiędzy boki Red Mesy i kilku niewielkich żółtych wzgórz. W powietrzu unosił się zapach rdestów wężowników. Na spłachetku pustej przestrzeni, gdzie ostatnim razem bawiły się dzieci, pusta huśtawka kołysała się na wietrze. Ford zastanawiał się, gdzie jest szkoła - zapewne w Blue Gap, czterdzieści pięć kilometrów stąd.

Cóż za miejsce, by tu dorastać. A jednak królująca pustka sprawiała, że osada Nawahów wydała się Fordowi na swój sposób urzekająca. Nawahowie nie gromadzili rzeczy tak jak inni ludzie. Nawet ich domy były skromne i spartańsko urządzone.

Gdy jechali w kierunku korralu, Ford zauważył Nelsona Begaya uspokajającego gniadosza przywiązanego do cedrowego słupka. Wprawnymi, zdecydowanymi uderzeniami młota kształtował na kowadle podkowę. Odgłosy uderzeń niesły się echem w stronę płaskowyżu.

Begay odłożył młot i podkowę, po czym wyprostował się, patrząc na zbliżających się gości.

Ford i Kate zatrzymali się, zsiadli z koni i przywiązali je do ogrodzenia korralu. Ford uniósł dłoń na powitanie, a Begay przywołał ich gestem ręki.

- To doktor Kate Mercer, zastępczyni kierownika projektu Isabella.

Begay uniósł rondo kapelusza, wykonując ten gest pod adresem Kate. Mercer podeszła i uścisnęła mu dłoń.

- Jest pani fizykiem? - spytał Begay, przyglądając się jej sceptycznie.

- Tak.

Brwi Begaya nieznacznie się uniosły. Z wielką rozważą odwrócił się, oparł barkiem o koński bok; podniósł tylną nogę zwierzęcia i zaczął przymierzać podkowę do kopyta. Potem położył ją na kowadle i uderzył jeszcze kilka razy.

Gdy Ford stał tak, zastanawiając się nad kulturową wrażliwością Nawahów, Kate rzuciła do przyobleczonego w niebieski pled pleców Begaya:

- Mieliliśmy nadzieję na rozmowę z panem.

- No to mówcie.

- Nie lubię rozmawiać z kimś, kto jest do mnie odwrócony plecami.

Begay upuścił podkowę i się odwrócił.

- Cóż, paniusiu, nie zaprosiłem tu pani, a tak się składa, że obecnie jestem zajęty.

- Proszę do mnie nie mówić per „paniusiu”. Mam tytuł doktora.

Begay kaszlnął, odłożył narzędzia i spojrzał na nią bez wyrazu.

- No więc? - rzuciła. - Będziemy tak stać w słońcu, czy za prosi nas pan na kawę?

Na twarzy Begaya rozdrażnienie mieszało się z rozbawieniem.

- W porządku, wejdźcie, zapraszam.

Ford ponownie znalazł się w skromnie urządzonej sieni z zdjęciami wojskowych na ścianach. Podczas gdy Begay nalewał kawę, Ford i Kate usiedli na brązowej kanapie. Kiedy ich kubki były już pełne, Begay usadowił się w połamanym fotelu klubowym.

- Czy wszystkie kobiety naukowcy są takie?

- Jakie?

- Jak moja babka. Nie przyjmujecie odmowy, prawda? Rów nie dobrze mogłaby pani być Dine. Właściwie... - Wychylił się do przodu, przyglądając się jej twarzy. - Czy nie jest pani...?

- Jestem w połowie Japonką.

- No tak. - Odchylił się do tyłu. - Dobrze, wszystko jasne. Ford czekał na Kate. Zawsze miała podejście do ludzi i udowodniła to w wypadku Begaya. Był ciekaw, jak sobie z nim poradzi.

- Zastanawiałam się - rzekła Kate - kim właściwie jest szaman.

- Jestem kimś w rodzaju lekarza.

- Jak to?

- Odprawiam ceremonie, leczę ludzi.

- Jakiego rodzaju ceremonie?

Begay nie odpowiedział.

- Przepraszam, jeśli sprawiam wrażenie wścibskiej - rzekła Kate, uśmiechając się do niego olśniewająco. - To część mojego zawodu.

- Nie mam nic przeciwko pytaniu, jeżeli nie jest podyktowane jedynie zwykłą ciekawością. Odprawiam kilka ceremonii, Drogę Błogosławieństwa, Drogę Wroga i Drogę Spadającej Gwiazdy.

- Co dają te ceremonie?

Begay chrząknął, upił łyk kawy i rozsiadł się wygodniej.

- Droga Błogosławieństwa przywraca piękno i równowagę w życiu danej osoby po tym, jak miała kłopoty z alkoholem, narokotykami albo odsiedziała wyrok w więzieniu. Droga Wroga jest dla żołnierzy powracających z wojny. To ceremonia, która usuwa piętno zabijania. Ponieważ kiedy zabijasz, odrobina tego zła przywiera do ciebie, nawet jeśli to się stało na wojnie i robiłeś to w zgodzie z prawem. Jeżeli nie poddasz się Drodze Wroga, zło w końcu cię pochłonie.

- Nasi lekarze nazywają to stresem posttraumatycznym - rzekła Kate.

- Tak - mruknął Begay. - To się przydarzyło mojemu bratankowi Lorenzowi, który pojechał do Iraku... Już nigdy nie będzie taki jak kiedyś...

- Czy Droga Wroga leczy stres posttraumatyczny?

- W większości wypadków.

- To nadzwyczaj interesujące... A Droga Spadającej Gwiazdy?

- To ceremonia, o której nie rozmawiamy - uciął Begay.

- Czy rozważał pan kiedykolwiek przeprowadzenie ceremonii dla kogoś, kto nie jest z Nawahów?

- Czemu pani pyta, potrzebuje pani tego?

Kate się zaśmiała.

- Przydałaby mi się porządna Droga Błogosławieństwa.

Begay wyraźnie się oburzył.

- Takich rzeczy nie traktuje się lekko. W grę wchodzi życie przygotowania i musi pani w to wierzyć, aby poskutkowało. Wielu *Bilagaana* ma kłopot z wiarą w to, czego nie mogą zobaczyć. Albo są newageowcami, którzy nie lubią długich, żmudnych przygotowań - szalasu potu, postu, seksualnej abstynencji. Nie odmówiłbym jednak ceremonii *Bilagaana* tylko dlatego, że są biali.

- Nie chciałam, by moje słowa zabrzmiały tak lekko... - powiedziała. - Tyle tylko że ... od dłuższego czasu zastanawiałam się, jaki sens ma to wszystko. Co tu robimy.

Pokiwał głową.

- Witamy w klubie.

Po dłuższej chwili ciszy Kate rzekła:

- Dziękuję, że zechciał się pan tym z nami podzielić.

W tym momencie Begay odchylił się do tyłu i oparł dłonie na udach.

- W kulturze Dine wierzymy w wymianę informacji. Powie działem pani co nieco o swojej pracy. Teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś o waszej. Pan Ford wspomniał, że w projekcie Isabella badacie coś, co nazywane jest Wielkim Wybuchem.

- Zgadza się.

- Myślałem o tym. Skoro wszechświat został stworzony w Wielkim Wybuchu, to co było wcześniej?

- Nikt tego nie wie. Wielu fizyków wierzy, że nic. A nawet że nie było żadnego „wcześniej”. Że od Wielkiego Wybuchu zaczęło się wszelkie istnienie jako takie.

Beagy zagwizdał.

- Co zatem spowodowało Wielki Wybuch?

- To trudne pytanie, by je wyjaśnić laikowi.

- Proszę spróbować.

- Teoria mechaniki kwantowej głosi, że rzeczy mogą się po prostu wydarzać bez żadnej przyczyny.

- Chcecie powiedzieć, że nie znacie tej przyczyny.

- Nie, chcę powiedzieć, że nie było żadnej przyczyny. Nagłe stworzenie wszechświata z niczego nie musi być sprzeczne z jakimkolwiek prawem, czy być czymś nienaturalnym bądź nienaukowym w jakikolwiek sposób. Wcześniej nie było absolutnie nic. Ani przestrzeni, ani czasu, ani istnienia. I nagle to się po prostu stało i pojawiło się istnienie.

Begay spojrzał na nią, po czym pokiwał głową.

- Mówi pani jak mój bratanek Lorenzo. To mądry chłopak, miał stypendium na Uniwersytecie Columbia, studiował matematykę. To pomieszało mu w głowie - cały świat *Bilagaana* zamał mu w głowie. Rzucił studia, pojechał do Iraku i wrócił, nie wierząc w nic. Dosłownie w nic. Teraz zarabia na życie, sprząając w kościele. Albo raczej zarabiał, dopóki nie uciekł.

- Wini pan za to naukę? - spytała Kate.

Begay pokręcił głową.

- Nie, nie obwiniam nauki. Tyle tylko że kiedy słyszę, jak pani mówi, że świat powstał z niczego... przypomina mi to bzdury, które on wygadywał. Jak dzieło stworzenia mogło zdarzyć się ot tak po prostu?

- Postaram się to wyjaśnić. Stephen Hawking wysunął tezę, że przed Wielkim Wybuchem czas w ogóle nie istniał. Bez czasu nie może być mowy o żadnym definiowalnym istnieniu. Hawking był w stanie wykazać dzięki matematyce, że nieistnienie ma mimo wszystko pewien potencjał przestrzenny i że w pewnych osobliwych okolicznościach przestrzeń może przechodzić w czas i vice versa. Wykazał, że jeśli mały, mikroskopijny okruch przestrzeni zmienił się w czas, pojawienie się czasu mogło wywołać Wielki Wybuch, ponieważ nagle mógł pojawić się ruch, a także przyczyna i skutek, a co za tym idzie, także prawdziwa przestrzeń i prawdziwa energia. To czas uczynił to wszystko możliwym. Dla nas Wielki Wybuch wygląda jak eksplozja czasu, przestrzeni i materii z jednego punktu. Ale też to jest naprawdę dziwne: jeżeli wejrzeć w ten pierwszy maleńki ułamek sekundy, można zobaczyć, że początku wcale nie było - wydaje się, że czas istniał zawsze. Dlatego też teoria Wielkiego Wybuchu zdaje się zawierać sprzeczność: że czas nie istniał zawsze i że czas nie ma początku. Co oznacza, że czas jest wieczny. Jedno i drugie jest prawdą. I jeżeli naprawdę się nad tym zastanowić, kiedy czas nie istniał, nie ma praktycznie różnicy pomiędzy wiecznością a sekundą. Tak więc kiedy zaistniał czas, istniał od zawsze. Nigdy nie było czasu, kiedy on nie istniał.

Begay pokręcił głową.

- To czyste szaleństwo.

W obskurnym pokoju zapadła niezręczna cisza.

- Czy Nawaho mają historię stworzenia? - spytała Kate.

- Tak. Nazywamy ją Dine Bahane. Nie jest zapisana. Trzeba zapamiętać, a wyśpiewanie jej zajmuje dziewięć nocy. To Droga Błogosławieństwa, o której wam mówiłem - to pieśń, która opowiada historię stworzenia świata. Wyśpiewujesz ją w obecności chorej osoby, a historia ją uzdrawia.

- Nauczył się jej pan na pamięć?

- Oczywiście, nauczył mnie jej mój wuj. *Zajęło* mi to pięć lat.

- Tyle samo co mnie zrobienie doktoratu - rzekła Kate.

Begay wydawał się zadowolony z tego porównania.

- Mógłby pan zacytować kilka wersów?

Begay rzekł:

- Drogi Błogosławieństwa nie należy recytować z błahałego powodu.

- Jestem pewna, że nasza rozmowa nie jest błaha.

Spojrzał na nią z przejęciem.

- Może i tak.

Begay zamknął oczy. Kiedy otworzył usta, popłynął z nich drżący wysoki głos. Mężczyzna zaintonował pieśń w dziwnej pięcotonowej skali. Harmoniczność różna od zachodniej i brzmienie słów języka nawaho, w tym niektóre znajome, większość jednak zupełnie obca, przepełniły Forda tęsknotą za czymś, czego nie potrafił rozwiązać.

Po jakichś pięciu minutach Begay przerwał. Miał wilgotne oczy.

- Tak się to zaczyna - rzekł półgłosem. - To najpiękniejsza poezja, jaka kiedykolwiek powstała, przynajmniej moim zdaniem.

- Czy mógłby pan to dla nas przetłumaczyć? - poprosiła Kate.

- Miałem nadzieję, że mnie o to nie poprosicie. Cóż, to brzmi jakoś tak.

Wziął głęboki oddech:

O tym on myśli, on myśli.
O odległej przeszłości on myśli.
O tym, jak stała się ciemność, on myśli.
O tym, jak stała się Ziemia, on myśli.
O tym, jak stało się błękitne niebo, on myśli.
O tym, jak stał się żółty świt, on myśli.
O tym, jak stał się zmierzch, on myśli.
O ciemnym mchu i wilgoci, on myśli.
O koniach on myśli.
O porządku wszechrzeczy, o pięknie on myśli.
O tym, jak wszystko rozrasta się, a nie pomniejsza, on myśli.

Przerwał.

- W tłumaczeniu to nie brzmi najlepiej, ale taka jest właśnie treść.

- Kim jest „on” - spytała Kate.

- Stwórcą.

Kate się uśmiechnęła.

- Proszę powiedzieć, panie Begay, kto stworzył Stwórcę?

Begay wzruszył ramionami.

- Tego opowieści nie mówią.

- Kto był przed Nim?

- Któż to wie?

- Wygląda na to, że obie nasze historie mówiące o stworzeniu mają problem z początkami.

W ciszy dało się słyszeć kapanie kropeł wody z kranu do zlewu kuchennego, jedna kropla, potem druga i kolejna. W końcu Begay wstał i pokuśtykał, by dokręcić kran.

- To była interesująca rozmowa - rzekł, kiedy wrócił. - Ale tam na zewnątrz jest prawdziwy świat i koń, którego trzeba podkuć.

Wyszli na jasne, oślepiające słońce. Gdy zmierzali w kierunku zagrody, Ford powiedział:

- Panie Begay, chcieliśmy powiedzieć panu między innymi to, że jutro przeprowadzimy kolejną próbę Isabelli. Wszyscy zjadą pod ziemię, kiedy zjawicie się pan i pańska kawalkada, ja będę jedynym, który się z wami spotka.

- Nie jedziemy tam, żeby się z kimkolwiek spotykać.

- Nie chcę, aby pan myślał, że nie żyjemy wobec pana szacunku.

Begay poklepał konia i pogładził jego bok.

- Panie Ford, mamy własne plany. Urządzimy szalas potu, odprawimy kilka ceremonii. Porozmawiamy z ziemią. To pokójowa manifestacja. Kiedy zjawi się policja, by nas aresztować, nie będziemy stawiać oporu.

- Policja się nie zjawi - rzekł Ford.

Begay sprawiał wrażenie rozczarowanego.

- Nie będzie policji?

- A powinienem ją wezwać? - spytał drwiąco Ford.

Begay się uśmiechnął.

- Chyba w duchu marzyłem o tym, by zostać aresztowany dla sprawy.

Odwrócił się do nich tyłem i jedną ręką podniósł nogę konia, a drugą ujął nóż do kopyt.

- Spokojnie, maleńki - wymamrotał pod nosem, zdecydowanymi ruchami wyrównując i formując kopyto.

Ford spojrział na Kate. Wyjaśni jej wszystko w drodze powrotnej.

35

Zanim Ford i Kate dotarli na szczyt płaskowyżu, słońce zawisło tak nisko, że zdawało się kołysać nad horyzontem. Gdy jechali w milczeniu pośród kwitnących rdestów wężowników, Ford po raz setny starał się poukładać sobie to, co chciał powiedzieć. Jeżeli nie zacznie mówić, wróćą do Isabelli i przegapi swoją szansę.

- Kate? - zaczął, zrównując się z nią.

Odwróciła się.

- Poprosiłem cię, byś mi towarzyszyła, nie tylko po to, abyśmy odwiedzili Begaya.

Spojrzała na niego, jej włosy w blasku słońca lśniły jak czarne złoto; podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że to mi się nie spodoba?

- Jestem tu po części jako antropolog, po części z innego powodu.

- Powinam się była domyślić. Co jest celem pana misji, pa nie tajny agencie?

- Przysłano mnie tu... żeby zinfiltrować projekt Isabella.

- Innymi słowy, jesteś szpiegiem.

Wziął głęboki oddech.

- Tak.

- Czy Hazelius wie?

- Nikt nie wie.

- Rozumiem... I zaprzyjaźniłeś się ze mną, bo ode mnie najszybciej mogłeś wydobyć potrzebne informacje.

- Kate...

- Nie, zaczekaj, jest jeszcze gorzej: wynajęli cię, bo wiedzieli o tym, co nas kiedyś łączyło, i liczyli, że zdołasz rozpaść płomień

dawniej namiętności, by wydobyć ode mnie informacje. - Jak zwykle Kate domyśliła się wszystkiego, zanim zdążył dokończyć.

- Kiedy przyjmowałem to zlecenie, nie zdawałem sobie sprawy, że ...

- Że co? Że okażę się taką idiotką?

- Nie miałem pojęcia, że... pojawią się komplikacje.

Zatrzymała wierzchowca i spojrzała na Forda.

- Komplikacje? O czym ty mówisz?

Twarz Forda płonęła. Dlaczego życie stało się nagle takie niepojęte? Jak mógł jej odpowiedzieć?

Odgarnęła włosy i dłonią w rękawiczce przejechała szorstko po policzku.

- Wciąż jesteś w CIA?

- Nie, odszedłem trzy lata temu, kiedy moja żona... moja żona... - Nie potrafił tego powiedzieć.

- Tak, jasne, że odszedłeś. A więc... zdradziłeś im nasz sekret?

- Nie.

- Kłamiesz. Oczywiście, że im powiedziałaś. Zaufałam ci, otworzyłam się przed tobą... a teraz wszyscy mamy przechłapanie.

- Nie powiedziałem im.

- Chciałabym ci uwierzyć.

Dźgnęła boki wierzchowca piętami i zwierzę ruszyło truchtem.

- Kate, proszę, posłuchaj.

Ballew też przeszedł w trucht. Ford to unosił się, to opadał, jedną ręką przytrzymując się lęku.

Kate ponownie dźgnęła konia piętami i zwierzę przeszło w kłus.

- Nie zbliżaj się do mnie.

Ballew, nie czekając na znak, także ruszył kłusem. Ford ścisnął mocno lęk siodła, jego ciało kołysało się bezwładnie jak szmaciana lalka.

- Kate, proszę, zwolnij, musimy pomówić...

Ponagliła wierzchowca do galopu i Ballew znów popędził w ślad za nią. Dwa wierzchowce mknęły, a ponad płaskowyżem niósł się tętent kopyt.

Ford przerażony z całej siły trzymał się lęku.

- Kate! - zawołał.

Cugle wyslizgnęły mu się z ręki. Wychylił się do przodu, by je złapać, ale Ballew nadepnął na upuszczone lejce i szarpnął się całym ciałem. Ford zleciał z końskiego grzbietu, i koziołkując, wylądował na kępie rdestów wężowników. Kiedy doszedł do siebie, ujrzał nad sobą gwiazdy i zaczął się zastanawiać, gdzie się, u licha, znajduje.

W jego polu widzenia pojawiła się twarz Kate. Nie miała kapelusza, jej włosy były rozwiane, a na twarzy malowało się głębokie zatroskanie.

- Wyman? Boże, nic ci nie jest?

Sapnął i zakasłał, gdy powietrze znów wypełniło jego płuca. Spróbował usiąść.

- Nie, nie. Połóż się.

Kiedy ponownie się położył, poczuł, że jego potylicą opiera się na jej kapeluszu i zrozumiał, że musiała podłożyć mu go pod głowę. Zaczekał, aż przed oczyma przestaną mu wirować gwiazdy i powrócą wspomnienia.

- Boże, Wyman, przez chwilę myślałam, że nie żyjesz.

Nie mógł zebrać myśli. Wziął głęboki wdech i zrobił wydech, chłonąc łąpczywie powietrze.

Zdjęła rękawicę i chłodną dłonią poklepała go po twarzy.

- Złamałeś sobie coś? Jesteś ranny? Och, krwawisz!

Zdjęła bandanę i przyłożyła mu do czoła.

Zaczęło przejaśniać mu się w głowie.

- Pozwól mi usiąść.

- Nie, nie ruszaj się. - Mocniej przycisnęła bandanę do jego skóry. - Uderzyłeś się w głowę. Możesz mieć wstrząśnienie mózgu.

- Nie sędę - jęknął. - Musiałem wyglądać jak skończony głupiec. Spadłem z konia jak worek kartofli.

- Nie umiesz jeździć konno, to wszystko. To moja wina. Nie powinnam była tak pędzić. Czasami potrafisz mnie wkurzyć.

Pulsowanie pod czaszką powoli słabło.

- Nie zdradziłem waszej tajemnicy. I nie zamierzam.

Spojrzała na niego.

- Dlaczego? Czy nie po to cię wynajęto?

- Chrzanię to, po co mnie wynajęto.

Wciąż ocierała skaleczone miejsce.

- Musisz trochę dłużej odpocząć.

Leżał w bezruchu.

- Czy nie powinienem spróbować wsiąść na konia?

- Ballew wrócił do stajni. Niech ci nie będzie głupio. Każdy kiedyś prędzej czy później spada z konia.

Przyłożyła dłoń do jego policzka. Jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, po czym powoli usiadł.

- Przepraszam.

- Wspomniałeś coś o żonie. Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

- Byłem.

- Musiało ci być trudno połączyć małżeństwo i CIA.

Sprostował pospiesznie.

- To nie tak. Ona umarła.

Kate przyłożyła dłoń do ust.

- Och, tak mi przykro. To głupie, co powiedziałam.

- Pracowaliśmy razem w CIA. Zabito ją w Kambodży. Bomba w samochodzie.

- Boże, Wyman, tak mi przykro!

Nie sądził, że zdoła jej o tym powiedzieć. Ale ostatecznie poszło mu całkiem gładko.

- Dlatego odszedłem z CIA i zaszyłem się w klasztorze. Szu-
kałem czegoś, sądziłem, że Boga. Ale Go nie znalazłem. Nie mam
zadatków na mnicha. Opuściłem klasztor, a ponieważ musiałem
jakoś zarabiać na życie, założyłem agencję detektywistyczną i zo-
stałem wynajęty do tego zlecenia, którego nigdy nie powinienem
był przyjąć. To wszystko.

- Dla kogo pracujesz? Dla Lockwooda?

Pokiwał głową.

- On wie, że coś ukrywacie, i chciał, żebym się dowie-
dział, co to takiego. Twierdzi, że za dwa dni wyjmą Isabelli
wtyczkę.

- Jezu.

Przyłożyła chłodną dłoń do jego twarzy.

- Przepraszam, że cię okłamałem. Gdybym wiedział, w co się
wpakuję, nigdy nie przyjąłbym tego zlecenia. Nie spodziewałem
się... - Urwał.

- Czego?

Nie odpowiedział.

- Czego się nie spodziewałeś?

Nachyliła się nad nim, jej cień padł na jego twarz, poczuł jej
słaby zapach.

Ford dokończył:

- Że znów się w tobie zakocham.

W oddali rozległo się pohukiwanie sowy.

- Mówisz serio? - spytała w końcu.

Ford pokiwał głową.

Kate powoli przybliżyła swoją twarz do jego. Nie pocałowała
go, po prostu patrzyła. W zdumieniu.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś, kiedy byliśmy razem.

- Naprawdę?

Pokręciła głową.

- Słowa „kocham” nie było w twoim słowniku. Jak sądzisz, dlaczego się rozstaliśmy?

Zamrugął.

- To było powodem? A nie podjęcie przeze mnie pracy w CIA?

- Z tym mogłabym jakoś się pogodzić.

- Chciałabyś... spróbować jeszcze raz? - zapytał Ford.

Spojrzała na niego otoczona złocistym światłem. Nigdy nie wyglądała równie pięknie.

- Tak.

A potem go pocałowała, powoli, lekko, cudownie. Wychylił się do przodu, by ją objąć, ale powstrzymała go delikatnie, przykładając dłoń do jego piersi.

- Robi się ciemno. Mamy spory kawałek do przejścia i...

- I co?

Wciąż na niego patrzyła, uśmiechając się.

- Nieważne - odparła.

Pochyliła się, by znów go pocałować, jej miękkie piersi oparły się o niego. Dłonie Kate zawędrowały do jego koszuli i zaczęły rozpinąć guziki. Rozchyliła koszulę i zaczęła rozpinąć pasek, jej pocałunki stawały się coraz głębsze i coraz bardziej miękkie, jakby ich usta stapały się ze sobą, podczas gdy na powierzchni pustyni płożyły się coraz dłuższe wieczorne cienie.

Pastor Russ Eddy zjechał pikapem z szosy wiodącej na płaskowyż i skierował wóz w stronę skały z piaskowca, za którą mógł go ukryć. Noc była czysta, księżyc zbliżający się do pełni i mrowie gwiazd zalały niebo. Samochód, kolebiąc się, przetoczył się po gołej skale, obluźowany zderzak łomotał przy każdym wahnięciu. Jeżeli nie pożyczyc palnika na stacji obsługi w Blue Gap, któregoś dnia ten zderzak całkiem odpadnie, ale wstydził się o to poprosić, bo stale pożyczał od Indian narzędzia i sępił benzynę. Musiał upomnieć sam siebie, że niesie ludziom największy ze wszystkich darów - zbawienie, gdyby tylko zechcieli go przyjąć.

Przez cały dzień myślał o Hazelusie. Im dłużej powtarzał w myślach jego słowa, tym więcej wersów z Pierwszego Listu św. Jana zdawało się do niego pasować: *I tak jak słyszeliście. Antychryst nadchodzi... Ten właśnie jest Antychrystem, który nie uznaje Ojca i Syna. ...i to jest duch Antychrysta...*

Znów powróciło doń wspomnienie Lorenza leżącego na ziemi i jego krwi wsiąkającej w piasek.... Skrzywił się. Dlaczego ta upiorna wizja nie dawała mu spokoju? Odegnął ją siebie z głośnym stęknieniem.

Wprowadził wóz za skałę z piaskowca tak, by nie było go widać od strony drogi. Silnik zgasł z głuchym kaszlnięciem. Eddy zaciągnął hamulec ręczny i zablokował koła paroma kamieniami. Następnie schował kluczyki do kieszeni, wziął głęboki oddech i ruszył dalej skrajem szosy. Księżyc świecił dostatecznie jasno, by mógł bez latarki widzieć, dokąd idzie.

Bardziej niż dotychczas miał głęboką świadomość celu. To Bóg go powołał, a on odpowiedział na wezwanie. Aż do teraz

wszystko, wszelkie problemy w jego życiu, stanowiło ledwie preludium. Bóg poddał go próbie, a on przeszedł ją pomyślnie. Lorenzo stanowił ostatnią próbę. To był znak od Boga, który przygotowywał go na coś wielkiego. Naprawdę wielkiego.

To Bóg nim pokierował tamtego popołudnia w Piñon. Najpierw pełny bak benzyny - za darmo. Potem zawrócony turysta poszukujący Flagstaff podziękował mu, wręczając dziesięciodolarowy banknot. Następnie od pracownika stacji benzynowej dowiedział się, że Bia prowadzi śledztwo w sprawie śmierci w projekcie Isabella i zgon naukowca nie był już uznawany za samobójstwo, lecz za morderstwo!

Gdzieś w oddali zawył kojot i z jeszcze większej odległości odpowiedział mu drugi. Te dźwięki brzmiały jak samotne, posępne zawodzenie potępionych dusz. Eddy dotarł do skraju urwiska i zszedł szlakiem do Nakai Valley. Na prawo od niego wznosiło się przypominające garbatego demona Nakai Rock. Poniżej miał skupisko świateł oznaczające osadę - okna starego punktu handlowego wyglądały jak prostokąty światła zawieszony w ciemnościach.

Trzymając się blisko skał i jałowców, ruszył w stronę starego punktu handlowego. Nie wiedział, czego szuka ani jak ma to znaleźć. Zamierzał czekać na znak od Boga. Bóg wskaże mu drogę.

Pośród pustynnej nocy niosły się słabe dźwięki pianina. Dotarł na dno kotliny; przemykając przez cienie wśród topoli i przecinając na ukos trawnik, dostał się na tyły dawnego składu. Przez zalepione gipsem szczeliny między belkami dochodziły go stłumione odgłosy rozmów. Ostrożnie podszedł do okna i zajrzał do środka. Przy stoliku do kawy siedziało kilkoro naukowców, rozbawiając o czymś zawzięcie, jakby się kłócili. Hazelius grał na Pianinie.

Na widok człowieka, który mógł być Antychrystem, Russ poczuł falę gniewu i trwogi. Skulił się pod oknem i próbował nasłuchiwać, o czym mówią tamci, ale mężczyzna tak głośno grał, że prawie nic nie było słyhać. Wreszcie pośród dźwięków pianina, przez podwójne szyby i chłodne jesienne powietrze do miejsca, gdzie Russ przyczał się pod oknem, doszło go jedno ze słów wypowiedzianych przez któregoś z naukowców: *Bóg*.

Inny głos powtórzył: *Bóg*.

Siatkowe drzwi otworzyły się z hukiem, dwa głosy wypłynęły zza rogu, jeden wysoki i pełen napięcia, drugi ostrożny, powolny.

Eddy z dudniącym sercem podpełzł przez ciemność do przodu, aż od frontowych drzwi dzielił go tylko narożnik chaty. Nasłuchiwał, prawie nie oddychając.

- ... chciałem cię prosić o jedno, Tony, to poufna sprawa... - mężczyzna zniżył głos.

Eddy nie dosłyszał reszty, ale nie mógł ryzykować i zbliżyć się jeszcze bardziej.

- ... jesteśmy tu jedynymi dwiema osobami, które nie są naukowcami...

Odeszli w mrok. Eddy wycofał się, a głosy rozmyły się w od dali. Dostrzegł dwa ciemne kształty idące drogą. Oczekał chwilę, po czym przebiegł przez szosę i wpadł między drzewa, gdzie przywarł do gruzłowatego pnia topoli. Poczul na twarzy podmuch powietrza. To mógł być Duch Święty, który zmienił się w wiatr, aby przynieść ku niemu głosy widmowych postaci.

- ... co się tyczy tych oskarżeń, ale nie mam nic wspólnego z operacją Isabella.

Głębszy głos odparł:

- Nie ludź się. Jak już wcześniej wspomniałem, pójdiesz na dno razem z nami.

- Ale ja jestem tylko psychologiem.

- Tak czy owak jesteś elementem oszustwa...
Oszustwa? Eddy nieznacznie zmienił pozycję.

- ... jak, u licha, wpakowaliśmy się w to bagno? - zapytał niski głos.

Odpowiedź była zbyt cicha, by Eddy mógł ją usłyszeć.

- Nie mogę uwierzyć, że ten cholerny komputer twierdzi, że jest Bogiem... To jak pomysł rodem z powieści s.f.

Kolejna cicha odpowiedź. Eddy nasłuchiwał z uwagą i takim przejęciem, że aż wstrzymał oddech.

Mężczyźni weszli w zasięg światła płynącego z wnętrza domów. Eddy pełzył przed siebie jak pająk, chłonec ich słowa niesione wiatrem.

- ... Bóg w maszynie... To doprowadziło Wołkońskiego do kompletnego załamania... - znów odezwał się ten wysoki głos.

- ... nie ma co spekulować. To strata czasu... - padło w odpowiedzi.

Rozmowa nieco przycichła. Eddy był bliski obłądu, nie mogąc usłyszeć jej dalszego ciągu. Zaryzykował i podkraść się jeszcze bliżej. Dwaj mężczyźni zatrzymali się na końcu podjazdu. W łagodnym żółtym świetle wyższy z nich sprawiał wrażenie niecierpliwego, jakby próbował uwolnić się od tego nerwowego. Głosy brzmiały teraz wyraźniej.

- ... mówi rzeczy jak żaden Bóg, o którym słyszałem. To same newageowe bzdety. „Istnienie to ja, myślę” - daj spokój. A Edelstein to kupuje. Cóż, to matematyk, czyli dziwak z definicji. Bądź co bądź ten facet hołduje grzechotniki.

Wysoki głos przybrał na sile, jakby mówiąc głośniej, mógł zatrzymać swojego rozmówcę nieco dłużej.

Postawny facet odwrócił się, a Eddy mógł zobaczyć jego twarz. To był szef ochrony.

Tamten powiedział coś, co zabrzmiało jak „muszę jeszcze wszystko skontrolować na terenie, zanim uderzę w kimono”. Uścisk dłoni i niski mężczyzna ruszył w stronę swojego domku, podczas gdy ochroniarz rozejrzał się po drodze, po czym przeniósł wzrok ku topolom, jakby lustrował otoczenie, zastanawiając się, od którego miejsca rozpocząć patrol.

Błagam, Boże, błagam. Serce Eddy ego biło tak mocno, że słyszał pulsowanie krwi w uszach. W końcu mężczyzna ruszył w przeciwnym kierunku. Poruszając się nader ostrożnie, by nie nadepnąć na walające się pod stopami suche gałązki, Eddy przeszedł pomiędzy topolami i pnąc się pod górę ciemnym szlakiem, opuścił kotlinę.

Dopiero gdy zjeżdżał Dugway w dół, pozwolił sobie na okrzyk triumfu. Zdobył dokładnie to, o co chodziło wielebnemu Spatesowi. W Virginia Beach był teraz środek nocy, ale wielebny na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby Eddy go obudzili. Bynajmniej.

37

W piątek o świcie Nelson Begay oparł się o framugę w drzwiach kapituły i patrzył, jak nadjeżdżają pierwsze przyczepy z końmi. Zwierzęta wzbijały w górę złociste kłęby kurzu, jeźdźcy wyprawiali wierzchowce z przyczep i siodłali przy wtórce pobrękiwania ostróg i skrzypienia skóry. Koń Begaya, Winter, był już osiodłany i gotowy do drogi, stał w cieniu jedynej zdrowej sosny, pojadając obrok z worka. Begay żałował, że nie może obwinie *Bilagaana* o uschnięcie wszystkich sosen, ale o ile się orientował, informacje podane w wiadomościach były prawdziwe - odpowiadały za to szkodniki żerujące na korze drzew oraz uciążliwa susza. Pojawiła się Maria Atcitty, przewodnicząca kapituły.

- Nieźle się zapowiada - rzekła.

- Lepiej, niż się spodziewałem. Jedziesz z nami?

Atcitty się zaśmiała.

- Każdy powód jest dobry, abym tylko wyrwała się z mojego biura.

- Gdzie twój koń?

- Oszalałeś? Pojadę autem.

Begay wrócił, by obserwować kolejne konie przywiezione na kawalkadę. Pomijając kilka wierzchowców ćwierćkrwi i araba, były to głównie mustangi z rezerwatu, niepodkute, chude, białookie. Ta scena przywiodła mu na myśl dom jego wujka Silversa w Toh Ateen. Silvers nauczył go Drogi Błogosławieństwa, ale brał poza tym udział w objazdowym rodeo, dosiadając dzikich koni, dopóki nie doznał kontuzji kręgosłupa. Od tej pory trzymał tylko kilka koni, aby mogły na nich jeździć dzieci; to właśnie u niego Begay nauczył się wszystkiego, co wiedział o tych zwierzętach.

Pokręcił głową. To wydawało się tak odległe. Wuj Silvers odszedł, tradycja umierała, a współczesne dzieciaki nie umiały jeździć konno ani nie znały języka. Begay był jedynym, którego stary wuj Silvers zdołał namówić, by nauczył się Drogi Błogosławieństwa. W tej kawalkadzie chodziło o coś więcej niż o protest przeciwko projektowi Isabella, chodziło o powrót do tradycji i życia w sposób, który nieuchronnie odchodził w zapomnienie. Chodziło o ich rytuały, język i ziemię, a także o wzięcie odpowiedzialności za ich przeznaczenie.

Pojawiła się zdezelowana półciężarówka isuzu ciągnąca zbyt wielką jak na tego pikapa przyczepę. Z głośnym okrzykiem z szoferki wyskoczył długonogi mężczyzna w koszuli z obciętymi rękawami. Kilkakrotnie energicznie uniósł i opuścił prawą rękę, ponownie wrzasnął i ruszył w stronę przyczepy, by wyprowadzić konia.

- Przyjechał Willy Becenti - rzekła Atcitty.

- Trudno go nie zauważyć.

Koń, już osiodłany, zszedł na piaszczysty grunt. Becenti doprowadził go i przywiązał do haka przyczepy.

- Ma broń.

- Widzę.

- Pozwolisz, żeby zabrał ją ze sobą?

Begay zamyślił się nad tym przez chwilę. Willy był rozentuzjasmowany, ale miał dobre serce i kiedy nie pił, był solidny jak gład. Podczas kawalkady obowiązywał ścisły zakaz picia alkoholu - to jedyne, czego Begay zamierzał surowo przestrzegać.

- Willy nic nie zmaluje.

- A jeśli zrobi się nieprzyjemnie? - spytała Maria.

- Nic takiego się nie stanie. Spotkałem się wczoraj z dwójką naukowców. Nic się nie wydarzy.

Atcitty spytała:

- Z kim się widziałeś?
- Z tym, który nazywa siebie antropologiem, z Fordem, i za stępczynią kierownika, kobietą nazwiskiem Mercer.

Atcitty skinęła głową.

- To ci sami, z którymi ja się widziałam.

Po chwili dodała:

- Jesteś pewien, że ta kawalkada to doby pomysł?
- Chyba wkrótce się przekonamy, prawda?

Ken Dolby spojrział na zegarek. 18.00. Odwrócił się tyłem do ekranu i sprawdził temperaturę wadliwego magnesu. Trzymał nieźle, w granicach tolerancji. Używając myszy, przejrzał kilka stron stanu oprogramowania Isabelli. Wszystkie systemy były sprawne, wszystko funkcjonowało doskonale. Moc na osiemdziesiąt procent.

To był doskonały wieczór na przeprowadzenie testu. Podczas gdy Isabella wykorzystywała spory procent zachodniej sieci energetycznej Red Mesy, nawet najmniejsze zakłócenie, uderzenie pioruna, zepsuty transformator, uszkodzona linia przesyłowa mogły spowodować kaskadę. Ale na południowym zachodzie wieczór był chłodny, klimatyzację wyłączono, nie było śladu burzy, tylko lekki wietrzyk.

Dolby czuł intuicyjnie, że tej nocy rozwiążą problem. To właśnie tej nocy Isabella rozjarzy się do perfekcji.

- Ken, zwiększ do osiemdziesięciu pięciu - rzekł Hazelius ze skórzanego fotela pośrodku Mostka.

Dolby przeniósł wzrok na St. Vincenta monitorującego przepływ energii. Mężczyzna o wyglądzie skrzata pokazał mu uniesione oba kciuki i mrugnął.

- Mam cię.

Zaczynał czuć słabe wibracje oznaczające ogromny przepływ mocy. Dwie wiązki protonów i antyprotonów krążące w przeciwnych kierunkach z niewyobrażalną szybkością wciąż jeszcze się nie zetknęły. To się stanie, gdy moc osiągnie dziewięćdziesiąt procent. W miarę jak dochodziło do kontaktu, potrzebna była większa moc, więcej czasu i coraz czulsze dostrajanie, by system mógł dojść do stu procent.

Wskaźniki mocy podniosły się do osiemdziesięciu pięciu procent.

- Cudowna noc na test - rzekł St. Vincent.

Dolby pokiwał głową zadowolony, że to St. Vincent kontrolował przepływ mocy. Był cichym, spokojnym facetem, który niewiele mówił, ale kontrolował moc jak dyrygent orkiestrę symfoniczną, ze skrupulatnością i olbrzymią finezją. I bez najmniejszego wysiłku.

- Osiemdziesiąt pięć procent - rzekł Dolby.

- Alan? - spytał Hazelius. - Jak serwery?

- Wszystko pod kontrolą.

Hazelius obszedł pomieszczenie po raz chyba pięćdziesiąty, by usłyszeć odpowiedzi poszczególnych członków zespołu. Jak dotąd test wychodził podręcznikowo.

Dolby ponownie sprawdził system. Wszystko funkcjonowało jak należy. Jediną wadliwą częścią był przegrzewający się magnes, ale przez „przegrzewający się” rozumiano gorętszy o trzy setne stopnia, niż być powinno.

Isabella osiągnęła moc rzędu osiemdziesięciu pięciu procent, podczas gdy Rae Chen dokonała nieznaczących korekt ustawienia promieni. Rozglądając się leniwie po pomieszczeniu, Dolby zaczął się zastanawiać nad składem powołanego przez Hazeliusa zespołu. Weźmy na przykład Edelsteina. Dolby podejrzewał, że mógł być inteligentniejszy nawet od Hazeliusa, ale ciut pokręcony. Edelstein wydawał się trochę przerażający, jakby jego mózg był na wpół obcy. No i jeszcze te grzechotniki. Co to za dziwaczne hobby? A ta Corcoran, która wyglądała jak Darryl Hannah. Nie była w jego typie, zbyt wysoka i szorstka. Zbyt piękna i za bardzo blond, aby mogła być tak bystra, jak się wydawała... To byli błyskotliwi ludzie, można to powiedzieć nawet o cyborgu Cecchinim, który zawsze sprawiał wrażenie balansującego na

granicy obłądu. Jednak nie o Innesie. Ten facet naprawdę szczerze się starał, ale mocą swojego umysłu rozjaśniłby co najwyżej środek tego pokoju. Jak Hazelius mógł go zwerbować i traktować jego sesje terapeutyczne poważnie? A może Hazelius wykonywał po prostu zalecenia służbowe Departamentu Energii? Czy wszyscy psychologowie byli jak Innes i snuli swoje teorie bez cienia empirycznego dowodu? Ten człowiek, choć widział wszystko, niczego nie rozumiał. Innes przypominał Dolbyemu kierowcę ciężarówki, domorosłego psychologa, z którym umówiła się jego matka po śmierci ojca. Ten przyzwoity skądinąd facet mógł zanuodzić na śmierć, polecając kolejny bestsellerowy podręcznik nauki samodoskonalenia.

No i jeszcze Rae Chen. Była bystra jak diabli, ale nie afiszowała się z tym. Ktoś powiedział, że jako dziecko była mistrzynią skateboardu. Wyglądała jak zwolenniczka wolnej miłości, studentka z Berkeley, łatwa, zabawowa, nieskomplikowana. Ale czy na pewno tak było? Z Azjatami nigdy nie wiadomo. Tak czy owak, chętnie zapoznałby się z nią bliżej. Spojrzał na nią, gdy pochylała się nad klawiaturą, jej czarne włosy opadały niczym wodospad, wyobraził ją sobie bez ubrania...

Nagle rozległ się głos Hazeliusa:

- Ken, jesteśmy gotowi, by przejść na dziewięćdziesiąt.
- Jasne.
- Alan? Kiedy ustabilizujemy na dziewięćdziesięciu, chcę, żebyś był gotowy do przełączenia wszystkich p5 595 jednocześnie.

Edelstein pokiwał głową.

Dolby przesunął suwaki, patrząc, jak Isabella reaguje. To było to. To był ten wieczór. Wszystko w jego życiu prowadziło do tego właśnie momentu. Poczł nasilającą się wibrację rosnącej mocy. Zupełnie jakby cała góra nabierała energii. Mruczała jak Bentley. Uwielbiał tę maszynę. To była jego maszyna.

39

Z sypialni swojego bungalowu Ford ujrział pierwszych członków kawalkady protestacyjnej pojawiających się za Nakai Rock, ich sylwetki odcinały się na tle zachodzącego słońca. Uniósł do oczu lornetkę i rozpoznał Nelsona Begaya na gniadoszu i innych jeźdźców.

Odwrócił głowę i poczuł tępy ból po wczorajszym upadku. Od tamtej pory on i Kate prawie nie zamienili słowa, była zbyt zajęta przygotowaniami do testu.

Lampka na telefonie satelitarnym zamrugła punktualnie o umówionej porze. Podniósł słuchawkę.

- Jakież wieści? - spytał Lockwood.

- Nic konkretnego. Wszyscy są w Bunkrze, szykując się do ponownego rozruchu Isabelli. Ja czekam, żeby spotkać się z uczestnikami protestu.

- Szkoda, że tego nie odwołałeś.

- Zaufaj mi, tak będzie lepiej. Sprawdziłeś tego Joego Blitza?

- Są ich tu setki - ludzie, firmy, miejsca, do wyboru, do koloru. Okroiłem listę do moim zdaniem najbardziej prawdopodobnych pozycji. Pomyślałem, że kilka z nich podam ci od razu.

- Wal.

- Po pierwsze, Joe Blitz to nazwisko jednej z figurek z serii GI Joe.

- To może być aluzja do Wardlawa. Wołkoński go nienawidził. Co jeszcze?

- Producent z Broadwayu, z lat czterdziestych, który zrobił *Garbage Can Follies* i *CraterLake Cut-up*. Dwa musicale, jeden o kordachowych, a drugi o kolonii nudystów.

- Mów dalej.
- Joe Blitz, właściciel salonu Forda z Ohio, obecnie bankrut. .. Joe Blitz Park Stanowy w Medford w Oregonie, Lodowisko do Gry w Hokeja imienia Joego Blitzza w Ontario w Kanadzie..., Joe Blitz, pisarz s.f. z lat trzydziestych i czterdziestych... Joe Blitz, deweloper, budowniczy Budynku Mausleera w Chicago. .. Joe Blitz, rysownik komiksów...
- Powiedz mi coś o tym pisarzu.
- Joe Blitz opublikował mnóstwo opowiadań s.f. w kilku popularnych magazynach na początku lat czterdziestych.
- Tytuły?
- Jest ich trochę. Niech no zerknę... *Morskie kły*, *Zabójcy z przeszłości* i inne.
- Czy wydał jakieś powieści?
- O ile nam wiadomo, tylko opowiadania.
- A co z Joem Blitzem, rysownikiem komiksów?
- W końcu lat pięćdziesiątych rysował paski do gazety o grubym facie z pudełkiem. Coś w rodzaju Garfielda. Nigdy nie osiągnął większego sukcesu. Mam tu jeszcze z dwieście odnośników, jest w nich wszystko, od nazwy domu pogrzebowego, po przepis na wędzoną rybę.
- Ford westchnął.
- To jak szukanie igły w stogu siana, kiedy nie wiemy nawet, jak ta igła wygląda. A co z ciotką Nataszą?
- Wołkoński nie miał ciotki Nataszy. To mógł być jakiś żart, no wiesz, wszyscy Rosjanie mają ciotkę Nataszę i wuja Borysa.
- Ford wyjrzał przez okno na kawalkadę wjeżdżającą do kotliny.
- Wygląda na to, że ten liścik to ślepa uliczka.
- Chyba tak.
- Muszę kończyć, jeźdźcy już tu są.

- Zadzwoń do mnie, gdy tylko test dobiegnie końca - rzekł Lockwood.

Ford schował telefon satelitarny, zamknął aktówkę i wyszedł na zewnątrz. Usłyszał z oddali warkot silnika i w miejscu, gdzie szosa schodziła w dolinę, pojawił się zdezelowany pikap. Pokonał wzniesienie, po czym zaczął zjeżdżać w kotlinę, a za nim biały furgon z napisem KREZ z boku i z talerzem satelitarnym na dachu.

Ford podszedł i stanął między drzewami, na skraju pola, patrząc na zbliżającego się Begaya i tuzin innych jeźdźców na zdronzonych wierzchowcach. Furgonetka z napisem KREZ zatrzymała się i wysiadła z niej ekipa telewizyjna, która zaczęła filmować nadjeżdżających jeźdźców. Z pikapa wyszła postawna kobieta - Maria Atcitty.

Gdy jeźdźcy dotarli do pola, kamerzysta zaczął kręcić. Jeden z jeźdźców wysforował się naprzód z triumfalnym okrzykiem, kręcąc trzymaną w dłoni bandaną. Ford rozpoznał Willyego Becentiego, mężczyznę, który pożyczył mu pieniądze. Kilku innych jeźdźców ponaglało swoje wierzchowce do galopu. Begay uczynił to samo. Przemknęli przez pola, przegalopowali przed kamerą i zatrzymali się na pylistym parkingu przed starym punktem handlowym, niedaleko miejsca, gdzie stał Ford.

Kiedy Begay zsiadł z konia, podszedł reporter z KREZ, przybił mu piątkę i zaczął rozstawiać sprzęt do wywiadu.

Pojawili się też inni. Kolejne przybijanie piątek. Włączono oświetlenie kamer i reporter zaczął przeprowadzać wywiad z Begayem. Inni stali wokoło i patrzyli.

Ford wyszedł spomiędzy drzew i przeszedł po trawie. Spojrzenia wszystkich zwróciły się w jego stronę. Reporter podszedł do niego z mikrofonem w ręku.

- Jak się pan nazywa?

Ford zauważył, że kamera go filmuje.

- Wyman Ford.

- Jest pan naukowcem?

- Nie, łącznikiem pomiędzy projektem Isabella a miejscową ludnością.

- Nie idzie panu najlepiej - zauważył reporter. - Szykuje się wielka akacja protestacyjna.

- Wiem.

- I co pan myśli?

- Myślę, że obecny tu pan Begay ma rację.

Zapadła krótka chwila ciszy.

- Ma rację w związku z czym?

- Z większością tego, o czym mówi - że Isabella budzi lęk wśród miejscowej ludności, że obecność tego projektu nie wpłynęła na poprawę ekonomiczną tego regionu wbrew temu, co za powiedziano, i że naukowcy zachowują się zbyt wyniośle.

Kolejna krótka bulwersująca chwila ciszy.

- I co zamierza pan z tym zrobić?

- Na początek zamierzam słuchać. Po to tu jestem. A później uczynię, co w mojej mocy, by naprawić pewne rzeczy. Źle zaczęliśmy współpracę z tutejszą ludnością, ale obiecuję wam, że to się zmieni.

- Gówno prawda! - rozległ się okrzyk.

Willy Becenti, przywiązawszy swojego konia do palika na polu, podszedł w ich stronę.

- Cięcie! - Reporter odwrócił się do Becentiego: - Ej, Willy, ja tu próbuję przeprowadzić wywiad, ale może tego nie za uważyles?

- On pieprzy bzdury.

- Nie mogę nagrać twoich wypowiedzi, jeżeli będziesz się tak wyrażał.

Becenti przystanął, wlepiając wzrok w Forda. I nagle go rozpoznał.

- Ej, to ty!

- Cześć, Willy - rzekł Ford, wyciągając rękę.

Willy zignorował ten gest.

- Jesteś jednym z nich!

- Tak.

- Wisisz mi dwadzieścia dolców.

Ford sięgnął po portfel.

Becenti zaczerwienił się triumfalnie.

- Zatrzymaj je sobie. Nie chcę ich.

- Willy, mam nadzieję, że zdołamy rozwiązać te problemy dzięki współpracy.

- Pierdzielisz! Widzisz tam, w górze? - Becenti uniósł chudą rękę, na której widniał tatuaż, wskazując w stronę doliny. - Tam, wśród tych skał, są ruiny. Groby. Bezczście groby naszych przodków.

Kamera znów została włączona.

- Co pan na to? - spytał reporter, podsuwając Wymanowi mikrofon pod nos.

Ford powstrzymał się przed stwierdzeniem, że to ruiny kultury Indian Anasazi.

- Gdybyśmy mieli wsparcie mogące wskazać nam dokładne umiejscowienie tych grobów, postaralibyśmy się zabezpieczyć...

- One są wszędzie! Wszędzie wokół! Wydarzy się coś złego. Czuję to. A wy nie? - Becenti rozejrzał się dokoła. - Wy tego nie czujecie?

Rozległy się ciche potaknięcia.

- *Chindii* są wszędzie wokół, Chodzący w Skórach. Odkąd kopalnie Peabodyego wyrwały duszę Red Mesy, to miejsce stało się złe, bardzo złe.

- Złe miejsce - powtórzyli Indianie.

- To jeszcze jeden przykład tego, że biały człowiek zjawia się i zawłaszcza ziemie Indian. Tak właśnie jest. Mam rację?

Kolejne, głośniejsze już, potaknięcia i pomruki.

- Willy, masz prawo tak to odbierać - rzekł Ford. - Ale po zwól, że na naszą obronę powiem, iż problem wynika po części z tego, że plemienny rząd Nawahów zawarł umowę z władzami, nie konsultując tej decyzji z lokalną ludnością.

- Władze plemienne to banda dupków wynajętych przez *Bilagaana*, by pomagała im zawłaszczać to, czego chcą. Nie mieli śmy plemiennych władz, zanim przybyli *Bilagaana*.

- Nie możesz tego cofnąć. Ja zresztą też nie. Ale możemy współpracować dla poprawy sytuacji. Co ty na to?

- Cóż ja na to: wal się! - Beeenti groźnie postąpił krok w jego stronę.

Ford nie ruszył się z miejsca. Stali przez chwilę, mierząc się wzajem wzrokiem. Beeenti oddychał ciężko. Jego chudy tors unosił się i opadał, mięśnie na żyłastych ramionach napięły się.

Ford był rozluźniony, spokojny.

- Jestem po waszej stronie, Willy.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie, *Bilagaanal*

Był o jedną trzecią niższy od Forda i o połowę od niego lżejszy, ale rwał się do bójki. Ford zerknął na Begaya i po obojętnym wyrazie twarzy szamana zorientował się, że tamten nie próbowałby załagodzić sytuacji. Kamera wciąż pracowała.

Beeenti powiódł ręką ponad trawą.

- Spójrz na to. Wy, *Bilagaana*, odebraliście nam płaskowyż i wydrążyliście w skałach otwory na głębokość kilkuset metrów, aby móc nawadniać wasze zafajdane pola, podczas gdy moja ciotka Emma musiała codziennie jeździć pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę, by nabrać wody dla swoich wnuków i owiec. Jak sądzisz, ile potrwa, zanim wszystkie studnie w Blue Gap i Black-

horse wyschną? I co z wirusami hanta? Wszyscy wiedzą, że w tej okolicy nie było żadnych wirusów hanta, dopóki w Fort Wingate coś się nie wydarzyło.

Kilku Indian potaknęło, zgadzając się ze starą teorią spiskową.

- Kto wie, może coś w tym projekcie już teraz nas zatrauwa. Któregoś dnia nasze dzieci może zacząć umierać. - Dźgnął zakurczonym paluchem w pierś Forda, tuż pod mostkiem. - I wiesz, kim wtedy się staniesz, *Bilagaanat* Morderca.

- Spokojnie, Willy. Pokojowo i z szacunkiem.

- Pokojowo? Z szacunkiem? Czy to dlatego wasi ludzie pali li nasze hogany i pola kukurydzy? Czy dlatego gwałcili nasze kobiety? Czy dlatego wysłaliście nas w Długi Marsz do Fortu Sumner, abyśmy zachowywali się pokojowo i z szacunkiem?

Ford jeszcze z Ramah wiedział, że Nawahowie wciąż wspominali Długi Marsz z lat sześćdziesiątych XIX wieku, nawet jeśli dla reszty kraju był to fragment zamierzehłej historii, o którym dawno już zapomniano.

- Jak mi Bóg miły, pragnąłbym odwrócić bieg historii - rzekł z większym przejęciem, niż zamierzał.

W dłoni Wyllyego pojawiła się tania dwudziestkadwójka, którą wyjął z kieszeni džinsów. Ford sprężył się, gotowy do błyskawicznego działania.

Dopiero teraz wkroczył Begay.

- Daswood, wyłącz kamerę - rzucił ostro.

Reporter wykonał polecenie.

- Willy, schowaj broń.

- Wal się, Nelson, jestem tu, by walczyć, a nie gadać.

Begay odparł cicho:

- Postawimy na polu szalas potu. Spędzimy tu całą noc, odprawiając pokojowe ceremonie. Odzyskamy tę ziemię na drodze

duchowej, poprzez nasze modlitwy. To czas na modlitwę i kontemplację, a nie na konfrontację.

- Sądziłem, że to protest, a nie tańce cholernych squaw - rzekł Becenti, ale schował broń do kieszeni spodni.

Begay wskazał na linie wysokiego napięcia biegnące w stronę skraju płaskowyżu, prawie kilometr dalej.

- Nie walczymy z tym człowiekiem. Walczymy z tym.

Linie energetyczne zaczęły buczeć i brzęczeć, dźwięk, choć cichy, był wyraźnie słyszalny.

- Wygląda na to, że wasza maszyna jest właśnie uruchamiana - rzekł Begay, odwracając się do Forda. Wzrok miał obojętny.
- Myślę, że to odpowiedni moment, żebyś zostawił nas, byśmy mogli robić, co do nas należy.

Ford pokiwał głową, odwrócił się i ruszył w stronę Bunkra.

- Tak, jasne, wynoś się stąd - krzyknął w ślad za nim Becenti. - Zanim wetknę czapkę w twój biały tyłek, *Bilagaanal*

Kiedy Ford zbliżał się do bramy projektu Isabella, trzaski i szum linii energetycznych przybrały na sile i poczuł wywołany przez ten dziwny dźwięk lekki dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie, bo przez chwilę wydawało mu się, że ten odgłos wydaje żyjąca istota.

40

Pięć minut przed ósmą Booker Crawley zasiadł przed telewizorem w swoim przytulnym, wyłożonym wiśniową boazerią gniazdku, czyli w domu przy Dumbarton Street w Georgetown, czując narastające, pełne ekscytacji wyczekiwanie. Kiedy Spates powiedział, że odpłaci mu jak należy za otrzymane pieniądze, bynajmniej nie żartował. Niedzielne kazanie było naprawdę strzałem w dziesiątkę. A teraz pójdzie za ciosem w *Ameryce przy okrągłym stole*. To zdumiewające, ile można osiągnąć dzięki jednemu telefonowi i kilku wpłatom w gotówce. Nie było w tym nic nielegalnego, ot zwyczajny dattek na cele charytatywne, taki, który można potem odpisać od podatku. Lobbyista zamknął kieliszek w dłoni, ogrzewając go, po czym upił łyk ulubionego calvadosu, którym delectował się zawsze po kolacji. Rozległy się dźwięki patriotycznej muzyki, a pośród wirujących, generowanych cyfrowo amerykańskich flag, orłów i patriotycznych emblematów pojawiło się logo *Ameryki przy okrągłym stole*. Potem ukazał się stół z wiśniowego drewna, a w tle obraz Kapitolu. Przy okrągłym stole siedział Spates z poważną, wręcz zatroskaną miną. Jego gość siedział naprzeciw niego. Był to siwowłosy mężczyzna w garniturze, z mocno pobrużdżoną twarzą, krzaczastymi brwiami i wydętymi wargami. Wyglądał, jakby zastanawiał się nad tajemnicą ludzkiego istnienia.

Muzyka ucichła, a Spates odwrócił się do kamery.

Crawley zdumiał się, że ten człowiek, który w życiu prywatnym był kompletnym osłem i prostakiem, tak świetnie prezentował się w telewizji. Nawet ryże włosy wyglądały szacownie, mocno stonowane. Crawley znów sobie pogratulował. To było mistrzowskie posunięcie, żeby wprowadzić do gry kaznodzieję.

- Dobry wieczór państwu, witam w *Ameryce przy okrągłym stole*. Jestem wielebny Don T. Spates i pragnę powitać mojego gościa, doktora Hendersona Crockera, profesora nadzwyczajnego na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Liberty w Lynehburgu w Wirginii.

Profesor skinął niedbale do kamery, miał marsową minę.

- Poprosiłem doktora Crockera, aby opowiedział nam o projekcie Isabella, który jest tematem dzisiejszego programu. Tym, którzy nie słyszeli o Isabelli, wyjaśniam, że to naukowe urządzenie wybudowane przez rząd na pustyni w Arizonie za czterdzieści miliardów dolarów pochodzących z pieniędzy podatników. Wielu ludzi martwi ten projekt. Dlatego właśnie zaprosiliśmy tu doktora Crockera, by pomógł wyjaśnić nam, zwykłym zjadaczom chleba, o co w tym wszystkim chodzi.

Odwrócił się do swojego gościa.

- Doktorze Crocker, jest pan fizykiem i wykładowcą. Czy może nam pan powiedzieć, czym jest Isabella?

- Dziękuję, wielebny. Oczywiście, że tak. Isabella, najogólniej mówiąc, jest akceleratorem cząstek. Zderza się w niej atomy z ogromną prędkością, aby je rozbić i zobaczyć, z czego są zrobione.

- To brzmi groźnie.

- Bynajmniej. Na świecie jest kilka takich urządzeń. Były nie zbędne, aby na przykład pomóc Ameryce zaprojektować i stworzyć broń atomową. Pomogły też położyć podwaliny pod fundament nuklearnego przemysłu energetycznego.

- Czy z tym konkretnym urządzeniem są jakieś problemy?

Dramatyczna pauza.

- Tak.

- Na czym one polegają?

- Isabella jest inna niż pozostałe akceleratory cząstek. Nie wykorzystuje się jej jako urządzenia naukowego. Ma promować

pewien partykularny plan, teorię stworzenia forsowaną przez najzacieklejszą grupę ateistów i świeckich humanistów. Spates uniósł brwi.

- Mocne słowa.
- Niełatwo mi było je wypowiedzieć.
- Proszę dalej.

- Dziękuję. Owa grupa ateistycznych uczonych wyznaje teorię, zgodnie z którą wszechświat stworzył się sam z niczego, bez żadnego czynnika sprawczego czy osoby Stwórcy. Nazywają to teorią Wielkiego Wybuchu. Najtęższe umysły, w tym wielu naukowców, a wśród nich ja, wiedzą, że ta teoria opiera się na nieomal całkowitym braku naukowych dowodów. Ma ona korzenie nie w nauce, lecz w głęboko antychrześcijańskim nastawieniu, które trawi współcześnie nasz naród.

Crawley pociągnął kolejny długi łyk ciepłego kawosadu. Spates znów pokazał, na co go stać. To był wspaniały popis demagogii ubranej w trzeźwy, naukowy język i słowa te płynęły z ust fizyka. Pewien procent Amerykanów na pewno kupi ten szajs.

- Przez ostatnich dziesięć lat we wszystkich warstwach naszego rządu i systemu kształcenia zagnieździli się ateści i świeccy humaniści. To oni kontrolują przyznawanie funduszy i grantów. To oni decydują, jakie badania się przeprowadza. Niszczą tych, którzy ośmielają się mieć inne zdanie niż oni. Ten naukowy faszyzm pojawia się na najwyższych szczeblach, od fizyki nuklearnej i kosmologii po biologię i, rzecz jasna, ewolucję. To właśnie ci naukowcy dali nam ateistyczne, materialistyczne teorie Darwina, Lyella, Freuda i Junga. Ludzie ci twierdzą, że życie nie zaczęło się od poczęcia. To oni pragną przeprowadzać upiorne eksperymenty na komórkach macierzystych, żywych ludzkich embrionach. To zwolennicy aborcji i planowania rodziny.

Głos mówił dalej, spokojny, zrównoważony jak uosobienie rozsądku. Crawley wyciszył go, w duchu wyobrażając sobie moment, kiedy podpisze umowę z Yazziem opiewającą na dwukrotnie wyższą stawkę niż poprzednio.

Program trwał, padały pytania i odpowiedzi, pojawiały się wariacje na temat, po czym jak zawsze prośba o datki, kolejny fragment rozmowy i znów apel do widzów o hojność. Głosy nie cichły, co najwyżej nieznacznie traciły na sile, ale zaraz znów ją odzyskiwały - to brzmiało jak pieśń.

Powtarzanie jest duszą chrześcijańskiej telewizji, skonstatował Crawley: ludziom trzeba wbić pewne kwestie do ich tępych głów, a potem można już wyciągnąć od nich pieniądze. Kamera zogniskowała obraz na twarzy Spatesa, który wygłosił swój komentarz. Crawley słuchał jednym uchem. Jak dotąd Spates urządził wyśmienity spektakl, a myśl, że oglądała to rada plemienna, przepeliła Crawleya ogromnym zadowoleniem.

- ... Bóg najwyraźniej zabrał swoją troskliwą, opiekuńczą dłoń znad Ameryki...

Crawley czuł ogarniające go ciepło i rozluźnienie. Nie mógł się doczekać telefonu o szesnastej w poniedziałek. Zgarnie miliony od tych brudnych małp. Miliony.

- ... Zwracam się do wszystkich niewiernych i zwolenników aborcji, do feministek i homoseksualistów, do liberałów i tych wszystkich, którzy pragną uczynić Amerykę świeckim państwem, wskazuję na was palcem i powiadam: kiedy nadejdzie kolejny atak terrorystyczny, to będzie wasza wina...

Może powinien potroić swoje honorarium. To byłoby coś, miałby się czym pochwalić kolegom z Potomac Clubu.

- ... A teraz wzniesli nową wieżę Babel, której na imię Isabella, by rzucić wyzwanie samemu Bogu na wysokościach. Ale Bóg nie ugnie się i odpowie ciosem za cios...

Gdy Crawley z wolna pograżał się w rozkosznym rozmarzeniu, padło słowo, które wyrwało go z zamyślenia: „morderstwo”.

- Zgadza się - rzekł Spates. - Moje poufne źródło doniosło, że cztery dni temu jeden z czołowych naukowców projektu Isabella, Rosjanin nazwiskiem Wołkoński, rzekomo popełnił samobójstwo. Jednak moje źródło stwierdza, że niektórzy śledczy nie są przekonani do hipotezy o samobójstwie. To wygląda raczej na morderstwo dokonane przez kogoś po fachu. Po co? Żeby zamknąć mu usta?

Crawley usiadło prosto, ożywiony, czujny. To było genialne zachować taką informację na sam koniec programu.

- Może potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Otrzymałem od mojego informatora kolejną wiadomość, która jest absolutnie szokująca. Do tego stopnia, że sam nie bardzo potrafię w nią uwierzyć.

Wypielęgnowaną dłonią, pełnym dramatyzmu, powolnym ruchem Spates wziął kartkę papieru i przytrzymał w górze. Crawley rozpoznał tę sztuczkę - jej pionierem był w latach pięćdziesiątych Joseph McCarthy - chodziło o to, że informacja, przez sam fakt, iż była na papierze, zyskiwała gwarancję prawdy.

Spates potrząsał kartką.

- Mam to tu napisane.

Kolejna dramatyczna pauza... Crawley usiadł sztywno, zapominając o calvadosie. Do czego zmierzał Spates?

- Isabella miała zacząć pracować już kilka miesięcy temu. Ale tak się nie stało. Pojawiły się problemy. Nikt nie wie dlaczego - oprócz mojego informatora i mnie. A teraz także was. - Kolejne dramatyczne machnięcie kartką. - Ta maszyna, zwana Isabellą, ma mózg w postaci najszybszego superkomputera, jaki kiedykolwiek zbudowano. I właśnie owa Isabella twierdzi, że jest... - zrobił krótką, pełną napięcia pauzę - Bogiem.

Odłożył kartkę, patrząc prosto do kamery. Nawet jego gość wydawał się zaszokowany.

Cisza przedłużała się, a Spates patrzył w kamerę. Ten człowiek znał potęgę ciszy, nawet w telewizji.

Crawley usiadł na skraju fotela, próbując uświadomić sobie, co przed chwilą usłyszał. Jego wyjątkowo czuły wewnętrzny radar zogniskowany na problemach natury politycznej wykazywał coś wielkiego i szybkiego wyłaniającego się z nicości. To było czyste szaleństwo. Może jednak nie do końca postąpił roztropnie, dając wolną rękę Spatesowi i czekając na jego ruch.

Może powinien był jeszcze tego ranka przesłać faks do Yaz-ziego, aby go raz-dwa podpisał.

W końcu Spates znów się odezwał:

- Moi drodzy, nie wygłaszałbym takich oświadczeń, nie będąc absolutnie pewnym tych faktów. Mój informator, gorliwy chrześcijanin i pastor, tak jak ja, jest tam, na miejscu, i uzyskał tę informację bezpośrednio od samych naukowców. Właśnie tak: gigantyczna maszyna zwana Isabellą twierdzi, że jest Bogiem. Słyszeliście dobrze: twierdzi, że jest Bogiem. Jeżeli moje informacje są błędne, wzywam ich, by publicznie to udowodnili.

Spates podniósł się z fotela, za sprawą wprawnej pracy kamery ten gest wydawał się jeszcze bardziej dramatyczny. Pastor górował nad widzami jak wielki słup kontrolowanej wściekłości.

- Proszę i żądam, by Gregory North Hazelius, kierownik tego projektu, stanął przed wami i wytłumaczył się osobiście. Żądam tego. My, Amerykanie, wydaliśmy czterdzieści miliardów dolarów na zbudowanie tej piekielnej maszyny na pustyni. Maszyna, którą stworzono w konkretnym celu - by zaprzeczyć Działu Bożemu. A teraz ta maszyna sama twierdzi, że jest Bogiem! Drodzy przyjaciele, cóż to za bluźnierstwo, pytam. Cóż to za bluźnierstwo?

41

Ford przybył na Mostek o ósmej. Gdy wszedł do pomieszczenia, spojrzał na Kate przy jej stanowisku. Ich oczy się spotkały. Nie padło ani jedno słowo, ale spojrzenia były wymowne. Reszta naukowców pochylała się nad swoimi stanowiskami, Hazelius kierował operacją z obrotowego fotela kapitańskiego pośrodku. Urządzenie buczało, ale wizualizator pozostawał czarny.

Inni powitali go skinieniem głowy i zdawkowymi słowami. Wardlaw rzucał mu długie spojrzenie, zanim odwrócił się w stronę monitorów ochrony.

Hazelius przywołał go do siebie.

- Jak sytuacja na górze? - zapytał.
- Nie sądzę, abyśmy mieli jakieś problemy.
- Świetnie. Zjawiłeś się w samą porę, by zobaczyć, jak nawiążemy kontakt w punkcie zero. Ken, ile mamy?
- Dziewięćdziesiąt procent i wszystko pod kontrolą - od rzekł Dolby.
- Magnes?
- Wciąż się trzyma.
- Wobec tego jesteśmy gotowi do rozpoczęcia - rzekł Hazelius. - Rae, zajmij miejsce przy panelu kontrolnym detektorów. Gdy tylko uruchomi się bomba logiczna, chcę, żebyś się nią zajęła. Julie, pomożesz jej. - Odwrócił się. - Alan?

Edelstein powoli uniósł głowę znad klawiatury komputera.

- Monitoruj równocześnie serwery pomocnicze i komputer główny. Gdyby pojawiły się pierwsze oznaki niestabilności, przełącz kontrolę nad Isabellą na trzy p5 595. Nie czekaj, aż system padnie.

Edelstein pokiwał głową i zaczął szybko stukać w klawisze.

- Melissa, chcę, żebyś monitorowała tę wyrwę w czasoprze-
strzeni. Jeżeli zobaczysz cokolwiek, co mogłoby wskazywać na
jakiś problem - nieoczekiwany rezonans, nieznane superciężkie
albo stabilne cząstki, a zwłaszcza stabilne osobliwości - ogłoś
alarm.

Dwa kciuki w górę.

- Harlan? Będziemy prowadzić test na sto procent mocy tak
długo, jak się da. Twoim zadaniem będzie utrzymywać stały i re-
gularny dopływ mocy i kontrolować szerszą sieć przesyłową na
wypadek, gdyby trzeba było sięgnąć po energię z dolnych źródeł.

- Jasne.

- Tony, nawet jeśli przełączymy się na trzy serwery pomocni-
cze, systemy ochrony pozostaną włączone. Nie zapomnij, że mamy
tam na górze grupę manifestantów, którzy mogą zrobić coś głupie-
go, jak choćby zacząć przechodzić przez siatkę na teren obiektu.

- Tak jest.

Rozejrzał się wokół.

- George?

- Tak? - rzucił Innes.

- Zazwyczaj podczas rozruchu nie masz wiele do roboty. Ale
ten test jest inny. Chcę, żebyś zajął miejsce blisko wizualizatora,
żebyś mógł odczytywać teksty bomby logicznej i dokonać anali-
zy psychologicznej. Ten kod napisał jakiś człowiek i może on za-
wierać kluczowe informacje na temat jego twórcy. Szukaj wska-
zówek, idei, psychologicznych wtrętów, wszystkiego, co mogłoby
nam pomóc zidentyfikować sprawcę albo namierzyć tę bombę
logiczną.

- Wyśmienity pomysł, Gregory. Jasne, że się tym zajmę.

- Kate? Chciałbym, abyś zasiadła przy głównej konsoli i wpi-
sywała pytania.

- Ja ... - Kate się zawahała.

Hazelius uniósł brwi.

- Tak?

- Gregory, wolałabym nie.

Przenikliwe niebieskie oczy przyglądały się jej przez chwilę, po czym spojrzały na Forda.

- Nie masz nic innego do roboty. Czy zechciałbyś wpisywać pytania?

- Z przyjemnością.

- To, o co zapytasz, jest nieistotne, po prostu skłoń destrukcyjny program do mówienia. Rae potrzebuje regularnie przychodzących komunikatów, aby go wyśledzić. Nie zadawaj długich ani zbyt złożonych pytań - niech będą krótkie. Kate, jeśli Wyman zacznie się wahać albo zabraknie mu pytań, bądź gotowa, żeby się włączyć. Nie możemy tracić ani chwili.

Ford podszedł do jej stanowiska, a Kate wstała, ustępując mu miejsca. Położył dłoń na jej ramieniu. Schylił się, jakby chciał spojrzeć na ekran.

- Witaj - wyszeptał, ujmując i ściskając jej dłoń.

- Cześć.

Kate zawahała się, po czym przyciszonym głosem rzekła:

- Obiecaj, Wyman, że cokolwiek się tu wydarzy, nieważne co, zaczniemy raz jeszcze. Od nowa. Ty i ja. Obiecaj mi, że... to, co się wydarzyło podczas naszej wspólnej przejażdżki na płasko wyżu, nie było tylko jednorazową przygodą.

Mocno się zaczerwieniła. Opuściła głowę, by to ukryć, jej czarne włosy opadły jak kurtyna. Ścisnął jej dłoń.

- Obiecuję.

Hazelius skończył dyskutować o różnych drobiazgach z poszczególnymi członkami zespołu i wrócił na środek Mostka.

Powiódł spojrzeniem swoich przenikliwych niebieskich oczu po twarzach zebranych.

- Już to mówiłem, ale jeszcze powtórzę. Wpływamy na nieznane wody. To nie żart. To, co zamierzamy uczynić, jest niebezpieczne. Nie ma innego wyjścia, stoimy pod ścianą. Odnajdziemy tę bombę logiczną i zniszczymy ją. Dzisiaj.

W długiej ciszy, jaka potem zapadła, słychać było to przybie-
rające na siłę, to cichnące melodyjne brzęczenie maszyny.

- Na kilka godzin stracimy kontakt ze światem zewnętr-
nym - kontynuował Hazelius. Powiódł groźnie wzrokiem doko-
ła. - Jakież pytania?

- Owszem, tak - odezwała się Julie Thibodeaux.

Twarz miała mokrą od potu, a ciemne sińce pod oczami wy-
dawały się niemal przezroczyste. Jej długie włosy były pozlepia-
ne w strąki. Zafalowały, gdy się poruszyła.

- Tak?

- Ja... - zawahała się.

Brwi Hazeliusa wygięły się w łuk. Naukowiec czekał. Nagle
Julie odsunęła gwałtownie fotel do tyłu i wstała. Kółka fotela za-
haczyły o wykładzinę i aż się potknęła.

- To szaleństwo - rzuciła donośnie. - Mamy przegrzany ma-
gnes, niestabilny komputer, destrukcyjny program, a teraz chce-
my wpompować do tego urządzenia kilkaset megawatów mocy.
Wysadzisz całą tę górę w powietrze. Ja się z tego wypisuję.

Hazelius zerknął na Wardlowa, po czym przeniósł wzrok na
Thibodeaux.

- Obawiam się, że już za późno, Julie.

- Co to znaczy „za późno”? - krzyknęła. - Wynoszę się stąd!

- Drzwi Bunkra są zamknięte i zapieczętowane. Znasz pro-
cedurę.

- Gówno prawda. Ford przed chwilą przyszedł.

- Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Teraz do świtu nikt stąd nie wyjdzie. Nawet ja. To część wymogów bezpieczeństwa.

- Bzdura. A gdyby wybuchł pożar albo zdarzył się wypadek?

- spytała zuchwale, cała rozdygotana.

- Jediną osobą, która zna kody bezpieczeństwa mogące otworzyć te drzwi przed świtem, jest Tony. To jego decyzja jako szefa ochrony. Tony?

- Nikt nie może opuścić obiektu - oznajmił niezłomnie Wardlaw.

- Nie przyjmuję takiej odpowiedzi - rzuciła Thibodeaux z narastającą paniką w głosie.

- Obawiam się, że musisz - rzekł Hazelius.

- Tony, chcę stąd wyjść, do cholery. - Jej głos był bliski krzyku.

- Przykro mi - odrzekł Wardlaw.

Rzuciła się na niego, mimo iż mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Nie próbował jej zatrzymać. Uniosła pięści, a on sprawnie schwycił ją za nadgarstki.

- Puszczaj, draniu!

Szamotała się i wyrywała bezradnie.

- Spokojnie.

- Nie zamierzam umierać dla jakiejś maszyny!

Osunęła się na niego i zaczęła szlochać.

Ford spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Jeżeli chce wyjść, wypuść ją.

Wardlaw spojrzał na niego z wrogością.

- To wbrew procedurze.

- Nie stanowi zagrożenia. Spójrz na nią. Jest bliska załamania.

- Reguły opracowano z konkretnych powodów - rzekł Wardlaw. - Nikt nie może opuścić obiektu podczas testu Isabelli oprócz nagłych przypadków, gdy w grę wchodzi zagrożenie życia.

Ford odwrócił się do Hazeliusa.

- To nie w porządku.

Rozejrzał się dokoła.

- Nie wątpię, że się ze mną zgadzacie.

Ale zamiast potwierdzenia dostrzegł niepewność. I strach.

- Nie możesz jej tu przetrzymywać wbrew jej woli.

Aż do teraz nie zdawał sobie sprawy, jak silny wpływ miał na nich Hazelius.

- Kate?

Odwrócił się do niej.

- Wiesz, że nie powinno tak być.

- Wyman, wszyscy podpisaliśmy się pod treścią tych reguł.

Ona również.

Hazelius podszedł do Thibodeaux i skinął na Wardlawa. Szef ochrony puścił ją i przekazał naukowcowi. Próbowła się wyrwać, ale ten przytrzymał ją, niezbyt mocno, choć zdecydowanie. Jej szloch stopniowo przeszedł w łkanie i ciche pochlipywanie. Naukowiec tulił ją do siebie czule, nieomal z miłością. Przywarła do jego piersi, popłakując jak mała dziewczynka. Hazelius poklepywał i głaskał ją po głowie, kciukiem ścierając łzy z jej twarzy i przez cały czas szepcząc jej do ucha. Kilka minut później się uspokoiła.

- Przepraszam - wyszeptała.

Pogładził ją po głowie, odgarniając włosy, i zmysłowo przeciągnął dłonią po jej krągłym tyłeczku.

- Potrzebujemy cię, Julie, ja cię potrzebuję. Bez ciebie sobie nie poradzimy. Wiesz o tym.

Pokiwała głową, pociągnęła nosem.

- Straciłam panowanie. Tak mi przykro. To się więcej nie powtórzy.

Trzymał ją w ramionach, aż całkiem doszła do siebie. Kiedy ją puścił, cofnęła się, wlepiając wzrok w podłogę.

- Julie, zostań ze mną. Będiesz bezpieczna, obiecuję.

Znów skinęła głową.

Ford patrzył na nią ze zdumieniem, aż zauważył, że Hazelius przygląda mu się ze smutkiem i życzliwością zarazem.

- Czy już wszystko w porządku, Wyman?

Ford odnalazł spojrzenie niebieskich oczu tamtego, ale nie odpowiedział.

Pastor Russ Eddy siedział w swojej przyczepie przed ekranem iMaca. Transmisja na żywo w sieci programu *Ameryka przy okrągłym stole* właśnie dobiegła końca. Mózg Eddyego zdawał się płonąć, podobnie jak jego dusza. Wciąż miał w myślach słowa wielebnego Spatesa. To on, Russ Eddy, był „gorliwym chrześcijaninem będącym na miejscu”, który ujawnił prawdę o projekcie Isabella. „Pastor taki jak ja”, rzekł wielebny Spates do milionów widzów. To Eddy pozyskał te cenne informacje, ryzykując zdrowie i życie, lecz wiodła go niewidzialna ręka Boga. To nie były zwyczajne czasy. Nie ulegało wątpliwości, że nadciągał gniew boży i to w całej Jego niszczycielskiej mocy. Nawet skały nie uchronią bezbożnych naukowców przed pomstą Wszechmocnego.

Eddy siedział przed błękitnym ekranem, a jego umysł przepełniała boża chwała. Wielki plan zaczął się wreszcie krystalizować. Boży plan wobec niego. Wszystko zaczęło się od Indianina, którego Pan uśmiercił własnoręcznie, co było dla Eddyego jawną oznaką Jego nadchodzącej furii. Koniec był bliski. *Bo nadszedł wielki dzień Jego gniewu, a któż zdoła się ostać?*

Powoli Eddy wracał do siebie. W obskurnej sypialni było tak cicho, jakby nic się nie stało. A jednak świat się zmienił. Boski plan został mu wyjawiony. Jaki był jednak następny krok? Co Bóg chciał, aby on uczynił?

Znak... potrzebował znaku. Ścisnął Biblię w drżących z emocji dłoniach. Bóg ukaże mu, co ma zrobić.

Oparł Pismo grzbietem do dołu i pozwolił, by otworzyło się na chybił trafił. Rozległ się szelest mocno sfatygowanych stronic,

które rozwarły się na Apokalipsie św. Jana. Jego wzrok padł na wers: *A dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa...*

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Ten wers był jednym z najbardziej wyrazistych i konkretnych odniesień do Antychrysta w całej Biblii.

Potwierdzenie.

43

Ford uznał, że nawet mimo napięcia na Mostku dojście do szczytowego pułapu zasilania było jeszcze nudniej sze niż poprzednim razem. Do dziesiątej Isabella osiągnęła 99,5 procent mocy. Wszystko działo się tak jak poprzednio: rezonans, wyrwa w czasoprzestrzeni, dziwny obraz pojawiający się na ekranie wizualizatora. Isabella buczała, góra wibrowała.

Jak na komendę wizualizator zgasł i pojawiły się pierwsze słowa.

Znów rozmawiamy.

- Do dzieła, Wyman - rzekł Hazelius.

Ford wpisał: *Opowiedz mi wszystko o sobie.* Czuł, że Kate nachyla się nad nim, obserwując go przy pracy.

Nie mogę ci wyjaśnić, kim jestem, tak jak ty nie mógłbyś opowiedzieć, kim jesteś, jakiemuś owadowi.

- Rae? - rzucił Hazelius. - Namierzasz to?

- Próbuję.

Mimo wszystko spróbuj, napisał Ford.

Zamiast tego wyjaśnij, dlaczego nie możecie mnie zrozumieć.

- George - powiedział Hazelius - nadażasz za tym?

- Tak - odparł Innes, zadowolony, że się z nim konsultowano. - To sprytne. Mówienie nam, że nie zdołamy tego pojąć, jest sposobem na potknięcie się o szczegóły.

Dawaj, napisał Ford.

Zamieszkujecie świat umiejscowiony na skali gdzieś w połowie drogi pomiędzy stałą Plancka a średnicą wszechświata.

- Wygląda na program wędrujący - rzekł Edelstein, obserwując zapis na ekranie. - Przekopiuje się do innego miejsca, wykasowując oryginał, zaciera za sobą ślady.

- Tak - rzekła Chen. - Mam całą masę wygłodniałych wilków żerujących na takich programach, które krążą po Isabelli i szukają go.

Wasz mózg został świetnie dostrojony, by manipulować waszym światem, zamiast pojmować jego fundamentalną rzeczywistość. Ewoluwaliście, by ciskać kamieniami, nie kwarkami.

- Jestem na jego tropie! - zawołała Chen.

Nachyliła się nad klawiaturą jak szef kuchni nad rozgrzaną kuchenką i pracowała z szaleńczą werwą. Na czterech panelach na wprost niej przesuwali się oznaczenia kodowe.

- Główny komputer pada - rzekł ze spokojem Edelstein. - Przełączam kontrolę nad Isabellą na serwery pomocnicze.

W wyniku waszej ewolucji postrzegacie świat w fundamentalnie mylony sposób. Na przykład wierzycie, że zamieszkujecie trójwymiarową przestrzeń, w której odrębne obiekty wyznaczają gładkie, przewidywalne trasy oznaczone przez coś, co nazywacie czasem. I to uznajecie za rzeczywistość.

- Przełączenie zakończone.

- Odłącz zasilanie głównego komputera.

- Zaczekajcie - rzucił ostro Dolby. - Nie taki był plan.

- Chcieliśmy mieć pewność, że nie ma tam destrukcyjnego programu. Wyłącz go, Alan.

Edelstein uśmiechnął się chłodno i odwrócił do komputera.

- Chryste Panie, zaczekajcie!

Dolby poderwał się z miejsca, ale już było za późno.

- Załatwione - rzekł Edelstein, naciskając zdecydowanym ruchem klawisz na klawiaturze.

Połowa ekranów bocznych została wygaszona. Dolby stał, kołysząc się niepewnie. Minęło parę chwil. Nic się nie wydarzyło. Z Isabelli wciąż dobiegało buczenie.

- Udało się - rzekł Edelstein. - Możesz się odprężyć, Ken.

Dolby spojrział na niego z rozdrażnieniem i wrócił na swoje miejsce.

Chcesz powiedzieć, napisał Ford, że nasza rzeczywistość jest iluzją?

Tak. Dobór naturalny stworzył dla was iluzję pojmowania fundamentalnej rzeczywistości. Ale wy jej nie rozumiecie. Bo niby jak? Czy owady rozumieją fundamentalną rzeczywistość? Albo szympany? Jesteście zwierzętami jak one i ewoluowaliście jak one, rozmnażacie się jak one, macie takie same podstawowe struktury naturalne. Od szympansów różnicie się zaledwie dwustoma genami. Jak ta drobna różnica miałaby umożliwić wam zrozumienie wszechświata, skoro szympans nie potrafi pojąć choćby ziarna piasku?

- Słowo daję! - zawołała Chen. - Dane znów wypływają z punktu zero!

- Niemożliwe - rzekł Hazelius. - Destrukcyjny program ukrywa się w detektorze. Wymuś procedurę wstrzymania i wzór uruchomienia procesorów detektorów.

- Spróbuję.

Jeśli nasza rozmowa ma być owocna, musicie porzucić wszelką nadzieję na zrozumienie mnie.

- Jeszcze jedno sprytne ominięcie - zauważył Innes. - W sumie nic to nie mówi.

Ford poczuł na ramieniu delikatny dotyk kobiecej dłoni. Kate zapytała:

- Czy mogę na chwilę cię zastąpić?

Zdjął dłonie z klawiatury i zrobił jej miejsce. Kate usiadła.

- *Czym są nasze iluzje?* - napisała.

Ewoluowaliście, by postrzegać świat jako stworzony z odrębnych obiektów. Tak nie jest, od momentu stworzenia, od pierwszej chwili wszystko było ze sobą powiązane. To, co nazywacie czasem i przestrzenią, jest zaledwie jawnymi właściwościami głębszych pokładów rzeczywistości. W tej rzeczywistości nie ma podziałów. Nie ma czasu. Nie ma przestrzeni. Wszystko jest jednością.

Wyjaśnij, wpisała Kate.

Wasza teoria mechaniki kwantowej, choć niepoprawna, dotyka głębszej prawdy, zgodnie z którą wszechświat jest jednolity.

Wszystko to brzmi ładnie, wpisała Kate, ale jakie to ma znaczenie dla naszego życia tu i teraz?

Zasadnicze. Uważacie się za „jednostki” mające odrębne, unikalne umysły, myślicie, że rodzicie się, i myślicie, że umieracie. Przez całe życie czujecie się rozdzieleni i osamotnieni. Niekiedy rodzi to w was desperację, boicie się śmierci, bo lękacie się utraty odrębności. Wszystko to jest iluzją. Ty, oni, ona, te istoty wokół was, żywe lub nie, gwiazdy, galaktyki, próżnia kosmosu pomiędzy nimi nie są odległymi, odrębnymi obiektami. Wszystko jest ze sobą fundamentalnie połączone. Narodziny i śmierć, ból i cierpienie, miłość i nienawiść. Dobro i zło. Wszystko to jest iluzją. To atawizm procesu ewolucyjnego. W rzeczywistości one nie istnieją.

A zatem, zgodnie z wierzeniami buddystów, wszystko jest iluzją?

Bynajmniej. Istnieje absolutna prawda, rzeczywistość. Ale choćby jeden rzut oka na tę rzeczywistość zdruzgotalby ludzki umysł.

Nagle Edelstein, który odszedł od swojego stanowiska, stanął za Fordem i Mercer.

- Alan, dlaczego opuściłeś swoje stanowisko? - zaczął Hazelius.

- Skoro jesteś Bogiem - rzekł Edelstein z uśmiechem na twarzy i splatając dłonie z tyłu, zaczął spacerować w tę i z powrotem pod wizualizatorem - odpuśćmy sobie stukanie w klawisze. Powinieneś móc mnie usłyszeć.

Głośno i wyraźnie, na ekranie wizualizatora pojawiła się odpowiedź.

- Mamy tu ukryty mikrofon - rzekł Hazelius. - Melissa, zajmij się tym. Znajdź go.

- Robi się.

Edelstein niewzruszony mówił dalej:

- Powiedziałeś, że „wszystko jest jednością”? Mamy układ liczbowy, jeden, dwa, trzy - i choćby w ten sposób zaprzeczam twojej tezie.

Jeden, dwa, trzy... kolejna iluzja. Przeliczalność nie istnieje.

- To sofistyka matematyczna - odrzekł z narastającym rozdrażnieniem Edelstein. - „Przeliczalność nie istnieje” - obaliłem twoją tezę poprzez proste wyliczenie. - Wzniósł rękę. - Kolejny dowód przeciwko twojej tezie: liczba całkowita pięć.

Pokazujesz tylko dłoń o pięciu palcach, a nie liczbę całkowitą pięć. Wasz układ liczbowy nie istnieje niezależnie w rzeczywistym świecie. To nic więcej jak wyrafinowana metafora.

- Chciałbym usłyszeć od ciebie dowód na potwierdzenie tej absurdalnej tezy.

Wybrałeś jakąś liczbę spośród ciągu liczb rzeczywistych. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wybrałeś liczbę, która nie ma definicji, nie sposób jej obliczyć ani zapisać, nawet gdyby do tego zadania zabrał się cały wszechświat. Problem ten rozciąga się również na rzekomo określone liczby, takie jak pi czy pierwiastek kwadratowy z dwóch. Nawet dysponując komputerem wielkości wszechświata pracującym przez nieskończoną ilość czasu, nie mógłbyś obliczyć dokładnie żadnej z tych liczb. Powiesz mi, Edelstein, jak zatem można stwierdzić, że owe liczby istnieją? Jak może istnieć koło lub kwadrat, z których wyprowadzono te dwie liczby? Jak może zatem istnieć przestrzeń wymiarowa, skoro nie można jej zmierzyć? Jesteś jak małpa, Edelstein, jak małpa, która heroicznym wysiłkiem woli nauczyła się liczyć do trzech. Znalazłeś cztery kamyki i myślisz, że odkryłeś nieskończoność.

Ford stracił wątek tego sporu, ale zdumiał się, widząc, że twarz Edelsteina pobladła, a on sam milczał wyraźnie wstrząśnięty, jakby zrozumiał coś, co go zszokowało.

- Czyżby? - zawołał Hazelius, zstępując z Mostka i odsuwając Edelsteina na bok. Stanął przed ekranem. - Mówisz tak płyn-

nie, chełpisz się, że nawet słowo „Bóg” nie jest w stanie opisać twojej wielkości. Dobrze więc, udowodnij to. Udowodnij, że jesteś Bogiem.

- Nie - zaprotestowała Kate. - Nie prosź o to.
- Dlaczego nie?
- Możesz dostać to, o co prosisz.
- Wątpię.

Odwrócił się do maszyny.

- Słyszysz? Udowodnij, że jesteś Bogiem.

Zapadła cisza, a potem na ekranie pojawiła się odpowiedź: *Sam określ jaki to ma być dowód, Hazeliusie. Ale ostrzegam cię, to ostatnia próba, jakiej się poddam. Mamy ważne sprawy i bardzo mało czasu.*

- Sam tego chciałeś!
- Zaczekaj - rzuciła Kate.

Hazelius odwrócił się do niej.

- Gregory, jeżeli już musisz, zrób to, jak należy. Niech to się liczy. Nie może być miejsca na wątpliwości czy dwuznaczności. Zapytaj o coś, o czym wiesz ty - i tylko ty - nikt inny. Niech to będzie coś osobistego. Twój największy, najgłębszy sekret. Coś, o czym może wiedzieć jedynie Bóg. Prawdziwy Bóg.

- Tak, Kate. Masz rację.

Zamyślił się przez dłuższą chwilę i w końcu odezwał się półgłosem:

- Dobrze. Już mam.

Cisza.

Wszyscy przerwali wykonywanie czynności. Hazelius odwrócił się do wizualizatora. Przemówił cichym, spokojnym tonem.

- Moja żona Astrid była w ciąży, kiedy zmarła. Właśnie się o tym dowiedzieliśmy. Nikt inny o tym nie wiedział. Nikt. Oto twoja próba: podaj imię, jakie wybraliśmy dla naszego dziecka.

Kolejna chwila ciszy wypełniona jedynie eterycznym śpiewem detektorów. Ekran pozostał czarny. Sekundy mijały. Hazelius parsknął.

- Cóż, to przesądza sprawę. Gdyby ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości.

I nagle jak z wielkiej oddali na ekranie pojawiły się słowa: *Albert Leibniz Gund Hazelius, gdyby to był chłopiec*. Hazelius trwał w bezruchu, jego oblicze było zupełnie bez wyrazu. Wszyscy na niego patrzyli, oczekując zaprzeczenia, które nie nadchodziło.

- A gdyby to była dziewczynka? - zawołał Edelstein, podchodząc do ekranu. - Gdyby była dziewczynka? Jak miałaaby na imię?

Rosalind Curie Gund Hazelius.

Ford patrzył w osłupieniu, jak Hazelius powoli, łagodnie, niczym pogrążając się we śnie, osunął się na podłogę.

44

Zanim Stanton Lockwood dotarł do Gabinetu Ovalnego na posiedzenie kryzysowe, prezydent krążył już po pokoju nerwowo jak uwięziony lew. Szef sztabu Roger Morton i wszechobecny szef kampanii Gordon Galdone stali po obu jego stronach jak sędziowie. Wiecznie milcząca sekretarka Jean delikatnie tuliła do siebie notes do stenografii. Lockwood zdziwił się, ujrzawszy doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego na ekranie do wideokonferencji, który dzielił z Jackiem Strandem, dyrektorem FBI.

- Santon. - Prezydent podszedł i uściskał mu dłoń. - Cieszę się, że zdołałeś dotrzeć tak szybko.

- Oczywiście, panie prezydencie.

- Usiądź.

Lockwood usiadł, podczas gdy prezydent wciąż stał.

- Stan, zwołałem to posiedzenie, ponieważ mamy niezły bajzel z tym projektem Isabella w Arizonie, o czym poinformowałem mnie Jack. Około ósmej tamtejszego czasu cała łączność z Isabellą, zarówno przychodząca, jak i wychodząca, została odcięta. Nawet z całym terenem Red Mesy. Lokalny szef Departamentu Energii próbował do nich dotrzeć poprzez łącza awaryjne, przez komórki, a nawet przez zwykłe łącza naziemne. Bez powodzenia. Isabella została uruchomiona na pełną moc i wygląda na to, że cały zespół jest pod ziemią, w Bunkrze, zupełnie odcięty od świata. Zrobiło się o tym głośno i o całej sprawie poinformowano dyrektora Stranda, a on przyszedł z tym do mnie.

Lockwood pokiwał głową. To było bardzo dziwne. Systemy pomocnicze miały własne układy pomocnicze. Tak nie powinno się stać. Nie mogło się tak stać.

- To pewnie tylko jakaś drobna usterka - kontynuował prezydent. - Może awaria zasilania. Nie chcę tego rozdmuchiwać, zwłaszcza teraz, kiedy sytuacja jest wyjątkowo delikatna.

Sytuacja jest wyjątkowo delikatna. Lockwood wiedział, że prezydent w ten zawołany sposób wspomni o nadchodzących wyborach. Prezydent wciąż krążył niespokojnie.

- Ale to nie jedyny problem.

Odwrócił się do sekretarki.

- Jean? Opuść i włącz.

Z sufitu zjechał ekran. Rozległy się statyczne trzaski, a potem pojawił się na nim obraz wielbego Dona T. Spatesa siedzącego przy stole z wiśniowego drewna i przemawiającego do szarej eminencji. Jego głos brzmiał jak grzmot. Zaprezentowano jedynie ośmiominutowy fragment programu, ale za to ten o największej wymowie emocjonalnej, prawdziwą kanonadę słów. Kiedy fragment nagrania dobiegł końca, prezydent zatrzymał się i spojrzał na Lockwooda.

- To jest nasz drugi problem.

Lockwood wziął głęboki oddech.

- Nie przejmowałbym się tym zbyt, panie prezydencie. Tylko najbardziej skrajne jednostki to kupują.

Prezydent spojrzał na swojego szefa sztabu.

- Roger? Powiedz mu.

Morton ostentacyjnie poprawił krawat, jego szare oczy wpatrywały się w Lockwooda.

- Zanim program się skończył, Biały Dom otrzymał prawie sto tysięcy e-maili. Pół godziny temu było ich już dwieście tysięcy. Nie mam najświeższych danych, ponieważ serwery padły.

Lockwood poczuł, że ogarnia go groza.

- Przez wszystkie lata, odkąd zajmuję się polityką - rzekł prezydent - nie widziałem niczego podobnego. I dokładnie

w tym momencie z cholernym projektem Isabella urywa się wszelki kontakt!

Lockwood spojrział na Galdonea, ale zwykle gadatliwy szef kampanii zachowywał pełną powściągliwości rezerwę.

- Czy moglibyście kogoś tam wysłać, żeby sprawdzić, co się dzieje? - rzucił Lockwood.

- Rozważamy to. Być może niewielki zespół... na wypadek gdyby... trzeba było interweniować - odparł dyrektor FBI.

- Interweniować?

- Należy brać pod uwagę, że możemy mieć do czynienia z atakiem terrorystycznym albo jakiegoś rodzaju wewnętrznym konfliktem. Rzecz jasna to wątpliwa ewentualność, niemniej mu simy mieć ją na względzie.

Lockwood miał wrażenie, że śni.

- No dobrze, Stanton - rzekł prezydent, splatając dłonie z tyłu. - Isabella podlega tobie. Co się tam dzieje, u diabła?

Lockwood odchrząknął.

- Mogę powiedzieć jedynie tyle, że sytuacja jest wyjątkowa i nadzwyczajna. To się wymyka wszelkim regulaminom. Nie pojmuję tego, chyba że...

- Chyba że co? - spytał prezydent.

- Że naukowcy celowo odcięli łączność.

- Jak możemy się tego dowiedzieć?

Lockwood zamyślił się przez chwilę.

- W Los Alamos jest pewien facet, niejaki Bernard Wolf. Był prawą ręką głównego inżyniera Kena Dolby ego, który zaprojektował Isabellę. Zna cały projekt, systemy, komputery, wie, jak co działa. I będzie miał wszystkie plany.

Prezydent zwrócił się do szefa sztabu.

- Postaw go na nogi, niech znajdzie, co trzeba.

- Tak jest, panie prezydencie.

Morton wysłał z tym poleceniem swojego asystenta, po czym podszedł do okna i odwrócił się. Był czerwony na twarzy, a na jego szyi wyraźnie pulsowały żyły. Spojrzał na Lockwooda.

- Stan, przez wiele tygodni niejednokrotnie zwracałem się do ciebie, wyrażając niepokój wynikający z braku postępów w pracach projektu Isabella. Coś ty robił, do ciężkiej cholery?

Ton jego głosu zaskoczył Lockwooda. Nikt od lat tak się do niego nie zwracał. Z trudem zapanował nad swoim głosem.

- Pracowałem nad tym dzień i noc. Umieściłem tam nawet swojego człowieka.

- Masz człowieka w środku? Rany boskie. I ja nic o tym nie wiem?

- Ja wydałem na to zgodę - odrzekł oschle prezydent. - Skupmy się na bieżącym problemie i przestaśmy sobie nawzajem dogryzać.

- Co właściwie ma robić ten człowiek? - spytał Morton, ignorując prezydenta.

- Szuka powodu opóźnienia.

- I?

- Jutro spodziewam się wyników.

- Jak się z nim kontaktujesz?

- Za pośrednictwem bezpiecznego telefonu satelitarneho - odparł Lockwood. - Niestety, jeżeli jest w Bunkrze wraz z innymi, pod ziemią, nie ma zasięgu.

- Mimo wszystko spróbuj.

Lockwood drżącą ręką napisał numer na kartce papieru i podał Jean.

- Przełącz na głośnik - rzekł Morton.

Telefon dzwonił pięć, dziesięć, piętnaście sygnałów.

- Wystarczy - rzekł Morton, patrząc srogo na Lockwooda, po czym wolno odwrócił się do prezydenta. - Panie prezyden-

cie, czy mógłbym zaproponować, abyśmy przenieśli to posiedzenie do Gabinetu Sytuacyjnego? Odnoszę wrażenie, że to będzie długa noc.

Lockwood spojrzał na symbol Wielkiej Pieczęci na dywanie. To wszystko wydawało się tak nierzeczywiste. Czy to możliwe, żeby dotarli do Forda i jego także zdołali przekabacić?

45

Hazelius leżał na podłodze pokrytej linoleum. Ford podbiegł do niego, a reszta zespołu otoczyła ich luźnym kręgiem. Ford ukląkł i dotknął tętnicy na szyi naukowca. Puls był silny, szybki, regularny. Kate ujęła go za rękę i poklepała.

- Gregory? Gregory!

- Daj mi latarkę - powiedział Ford.

Wardlaw podał mu ją. Ford podniósł i przytrzymał powiekę Hazeliusa i poświecił mu w oko. Żrenica natychmiast się zwęziła.

- Wody - zażądał Ford.

Wcisnięto mu w rękę styropianowy kubek, wyjął chustkę, zwilżył ją wodą i potarł twarz Hazeliusa. Ramiona naukowca lekko zadrżały, powieki zatrzepotały i uniosły się. Rozejrzał się nerwowo, w oszołomieniu.

- Co...?

- Już dobrze - powiedział Ford. - Po prostu zemdlełeś. Hazelius wodził wzrokiem dokoła, wyraźnie zdezorientowany. I nagle sobie przypomniał. Spróbował usiąść.

- Spokojnie - rzekł Ford, przytrzymując go stanowczo. - Zaczekaj, aż przyjdiesz do siebie.

Fyzyk położył się na podłodze i wlepił wzrok w sufit.

- Boże - jęknął. - To nie może być prawda. To się nie dzieje naprawdę.

W powietrzu unosił się ciężki swąd rozgrzanej instalacji i elektroniki. Isabella jęczała, dźwięk dochodził ze wszystkich stron naraz, jakby sama góra zawodziła przejmująco.

- Pomóżcie mi wrócić na fotel - wysapał Hazelius.

Kate ujęła go za jedną, a Ford za drugą rękę, po czym pomogli mu wstać, podprowadzili na środek Mostka i posadzili w kapitańskim fotelu. Hazelius oparł ręce na podłokietnikach i rozejrzał się dokoła. Ford nigdy jeszcze nie widział oczu o tak niezwykłym odcieniu błękitu. Edelstein rzucił ostro:

- Czy to prawda? Te imiona? Muszę wiedzieć.

Hazelius pokiwał głową.

- Oczywiście jest na to wytłumaczenie.

Naukowiec pokręcił głową.

- Musiałeś komuś o tym powiedzieć - ciągnął Edelstein. - Ktoś się dowiedział.

- Nie.

- Lekarz, który przekazał twojej żonie wiadomość. On mógł poznać imiona.

- O tym, że była w ciąży, dowiedziała się z testu przeprowadzonego domu - rzekł ochryplym głosem Haelius. - Dowiedzieliśmy się o tym... na godzinę przed jej śmiercią.

- Zadzwoiła do kogoś. Może do matki.

Ponownie przeczący ruch głową.

- Niemożliwe. Byłem z nią przez cały czas. Zrobiliśmy test i rozmawialiśmy o imionach. To wszystko. Sześćdziesiąt minut. Ni gdzie nie byliśmy, z nikim nie rozmawialiśmy. Była taka szczęśliwa. Wtedy właśnie pękł jej tętniak - nagła fala radości podwyższyła jej ciśnienie. Wylew krwi do mózgu.

- Gdzieś tu musi być oszustwo - zauważył Edelstein.

Chen pokręciła głową, jej długie czarne włosy zafalowały.

- Alan, dane wypływają z wyrwy czasoprzestrzennej. Nie nadchodzą z systemu. Raz to wysłodziłam, zrobię to ponownie. Wyłączałam procesory w każdym detektorze, przeprowadziłam każdy test, jaki mi przyszedł do głowy. To jest prawdziwe.

Hazelius wziął niepewnie drżący wdech.

- To znało moje myśli. Tak jak znało myśli Kate. Nie da się tego obejść, Alan. Nie mogło się w żaden sposób domyślić. Czymkolwiek jest, zna nasze najskrytsze myśli.

Nikt się nie poruszył. Ford próbował jeszcze się zastanowić, znaleźć racjonalne wyjaśnienie. Edelstein miał rację, to musiało być jakieś oszustwo.

Kiedy Hazelius znów się odezwał, głos miał spokojny, rzeczowy.

- Maszyna pracuje bez nadzoru. Wracajcie na stanowiska.

- Nie... zredukujemy mocy? - spytała drżącym głosem Julie Thibodeaux.

- Absolutnie nie.

Isabella wciąż buczała w najlepsze za sprawą przepływającej przez nią energii. Na ekranach królował śnieg. Z głośników płynął statyczny szum. Detektory wydawały dziwne dźwięki. Elektronika skwierczała, jakby napięcie naukowców udzieliło się komputerowi, który był na granicy wydolności.

- Alan, przełącz na p5-ki, kontroluj wszystko. Kate, chcę, żebyś przeprowadziła obliczenia geometrii tej wyrwy czasoprzestrzennej. Dokąd ona prowadzi? Gdzie się otwiera? Melissa, możesz Kate i zajmiesz się tą chmurą danych. Zanalizuj jej częstotliwość, dowiedz się, co to za cholerstwo.

- A co z destrukcyjnym programem? - spytał Dolby, jakby nie rozumiał, co się wydarzyło.

- Ken, czy ty nic nie rozumiesz? Nie ma żadnego destrukcyjnego programu.

Dolby sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Myślisz, że to... Bóg?

Hazelius spojrzał na tamtego nieodgadnionym wzrokiem.

- Myślę, że Isabella nawiązała kontakt z czymś realnym. Czy to faktycznie Bóg - cokolwiek miałyby oznaczać to słowo - ma-

my jeszcze zbyt mało danych, by to stwierdzić. I właśnie dlatego nie wolno nam przestać.

Ford rozejrzał się na wszystkie strony. Szok po tym, co się stało, jeszcze nie minął. Twarz Wardlawa ociekała potem. Kate i St. Vincent byli bladzi jak płótno.

Ujął Kate za rękę.

- Wszystko gra?

Pokręciła głową.

- Chyba nie bardzo.

Hazelius odezwał się do Dolby ego:

- Jak długo możemy kontynuować?

- To zbyt niebezpieczne uruchamiać Isabellę na sto procent jej mocy.

- Nie pytam, czy to jest bezpieczne, czy nie, tylko jak długo?

- Dwie, trzy godziny.

- Zaczekaj - rzucił Innes. - Bez niepotrzebnego pośpiechu.

Musimy zastanowić się przez chwilę, co się tu stało. To wydarzenie... bezprecedensowe.

Hazelius spojrzał na Innesa.

- George, czy gdyby Bóg przemówił do ciebie, odwróciłbyś się i odszedł?

- Daj spokój, Gregory! Chyba nie wierzysz, że naprawdę rozmawiamy z Bogiem!

- Powiedziałem „gdyby”.

- Nie będę odpowiadał na bzdurne, hipotetyczne pytania.

- George, jeżeli tak się stało, że zdołaliśmy nawiązać kontakt : jakąś inteligentną istotą żyjącą we wszechświecie, nie możemy się wycofać. Bo to szansa jedyna w swoim rodzaju. Dano nam ją tu i teraz. Musimy ją wykorzystać.

- To szaleństwo - rzekł łamiącym się głosem Innes.

- Nie, George. To nie szaleństwo. Ta istota dała nam dowód, którego żądaliśmy. Dwukrotnie. Może to Bóg, a może coś innego. Nie wiem. Ale wiem jedno, nie wysiądę z tego pociągu, do póki nie dojedzie do końca stacji.

Hazelius powiódł gniewnie wzrokiem dookoła.

- I jak? Jesteście ze mną?

Śpiew Isabelli wypełnił całe pomieszczenie. Ekrany wciąż migotały. Nikt się nie odezwał. Ale Ford dostrzegł na ich twarzach milczące „tak”.

46

W sypialni swojej przyczepy pastor Russell Eddy zamknął Pismo Święte i odłożył na jedną z kołyszających się stert książek znajdujących się na biurku. Odsunął książki od uśpionego iMaca, robiąc sobie w ten sposób przestrzeń do pracy. Potem uruchomił komputer; monitor spowił pomieszczenie łagodnym niebieskim blaskiem. Była dziewiąta wieczorem.

Myśli miał niewiarygodnie klarowne, jak nigdy dotąd. Bóg odpowiedział na jego modlitwy. Bóg powiedział mu dokładnie, co ma zrobić.

Przez kilka minut wpatrywał się w pusty ekran, zbierając myśli. Zewnętrznie jego ciało było nieruchome. Ale wewnątrz serce tłukło mu się w piersi z żarliwością natchnionego Duchem Świętym zeloty. Nie bez powodu utknął w tej zapuszczonej misji na końcu świata. Nie bez powodu umarł Lorenzo. Russell Eddy został tu umieszczony jako strażnik boży. Bóg wybrał go, by odegrał kluczową rolę w nadchodzących Dniach Ostatnich.

Przez pół godziny siedział całkiem nieruchomo, intensywnie myśląc o liście, który musiał napisać. Umysł pastora pozostawał nadludzko przenikliwy i czysty, gdy tworzył w myślach jego treść, słowo po słowie. Był gotowy. Pochylił głowę, odmówił krótką modlitwę i przyłożył palce do klawiatury komputera.

Przyjaciele w Chrystusie

Wielu z was oglądało dziś wieczorem program *Ameryka przy okrągłym stole* prowadzony przez wielbnego Dona

T. Spatesa. Słyszeliście, jak mówił o projekcie Isabella. Słyszeliście, jak wielbny Spates wspominał o tajnym informatorze, „żarliwym chrześcijaninie przebywającym na miejscu”, od którego uzyskał tę informację.

To ja jestem tym informatorem. Bóg poprosił mnie, bym wyjawiał wam to, co wiem. Co z tym uczynicie, to sprawa pomiędzy wami a Bogiem.

Nazywam się Russell Eddy, jestem pastorem Zboru w Imię Pańskie przy misji w Rezerwacie Indian Nawaho. Nasza misja jest bardzo skromna i mieści się na pustyni w Arizonie, u stóp Red Mesy, niespełna piętnaście kilometrów od projektu Isabella.

Przynoszę wam nowinę, przyjaciele, nowinę nadzwyczajną i przerażającą. *Zdarzenie, na które chrześcijanie czekali od dwóch tysięcy lat, właśnie się dzieje, tu i teraz, nawet kiedy piszę tego e-maila.*

Nadeszły Dni Ostatnie. Chwila jest bliska. Apokalipsa i Czas Ucisku nastąpiły tego właśnie wieczoru. Czytaliście o tym w serii *Powieść o czasach ostatecznych*. Cóż, to już nie jest fikcja literacka. To się dzieje naprawdę.

Wiem, że wielu z was słyszało już takie zapowiedzi. Wielu fałszywych proroków ogłaszało nastanie Dni Ostatnich. Jesteście do tego nastawieni sceptycznie - bardzo słusznie. Ja proszę tylko, byście mnie wysłuchali. *Kto ma uszy, niechaj słucha.*



Nie popełnijcie błędu i nie wykasujcie tego e-maila. Czyniąc to, moglibyście pozbawić się miejsca po prawicy Chrystusa w Dniu Sądu Ostatecznego. Przeczytajcie, co mam do powiedzenia. Módlcie się. Zdecydujecie później.

Zacznę od dwóch oświadczeń. Po pierwsze: **Anty-chryst jest pośród nas. Spotkałem go.** Rozmawiałem z nim. Istnieje naprawdę. Jego dalekosiężne plany i zamierzenia właśnie zaczęły wydawać owoce. Bóg mi świadkiem, że na moich oczach zdjął maskę i ujawnił swoje prawdziwe oblicze.

Moje drugie oświadczenie jest jeszcze ważniejsze: **Rozpoczęła się Apokalipsa. Zaczęła się dziś wieczorem.**

To oczywiste, że jesteście nastawieni sceptycznie. Mówicie: akurat teraz? Apokalipsa? Kiedy moje dzieci śpią na górze? Kiedy moja żona leży w łóżku? Niemożliwe! Ale przypomnijcie sobie, co powiedział św. Mateusz: *Dlatego i wy bądźcie gotowi, bo w chwili, której się nie domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie.* To jest ta godzina. Właśnie teraz. W tej chwili.

A teraz dam wam dowód na to, o czym mówię. Kluczem jest Apokalipsa św. Jana 13,1 i kolejne wersy.

*I stanął na piasku [nad brzegiem] morza
I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza, mającą dziesięć rogów
i siedem głów, a na rogach jej dziesięć diademów, a na jej głowach
imiona bluźniercze.*

To morze, a konkretniej morze piasku, to pustynia w Arizonie. Isabella ma dokładnie siedem mil średnicy. Isabella ma dziesięć różnych detektorów, każdy rejestruje dziesięć różnych cząstek. Niektóre z tych detektorów są nawet nazywane „rogami”. Jeżeli sądzicie, że to sobie wymyśliłem, zajrzyjcie na stronę internetową Isabelli: www.theisabellaproject.org. Wszystko tam jest.

A Smok dat jej swą moc, swój tron i wielką władzę.

Kimże jest Antychryst, który wszystkim kieruje? **Nazywa się Gregory North Hazelius.** To on wpadł na pomysł stworzenia projektu Isabella; zdobył na to fundusze i zebrał własną ekipę, którą obecnie kieruje. „New York Times” nazywa Hazeliusa najinteligentniejszym człowiekiem świata. Sam Hazelius bardzo lubi się przechwalać. Powiedział kiedyś, że wszyscy ludzie ustępują mu pod względem intelektualnym, i nazwał ludzi „rasą idiotów”. Zgadza się, przyjaciele. Teraz jednak ujawnił swoją prawdziwą naturę: Gregory North Hazelius jest Antychrystem. Wątpicie w moje słowa? Spotkałem go. Rozmawiałem z nim twarzą w twarz. Słuchałem jego bluźnierstw i słów pełnych żółci i jadu, jakich używał, mówiąc o naszym Zbawicielu. Słuchałem, jak złośliwie przyrównuje chrześcijan do „insektów” i „bakterii”. Ale nie wierzcie mi, wierzcie Pismu. Oto kolejny urywek z 13 rozdziału Apokalipsy.

I Bestii pokłon oddali, mówiąc: Któż jest podobny do Bestii? A dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa... Zatem otworzyła swe usta dla bluźnierstw przeciwko Bogu, by bluźnić Jego imieniu, Jego przybytkowi i mieszkańcom nieba.

Jak słyszeliście w *Ameryce przy okrągłym stole*, Isabella, maszyna, twierdzi, że jest Bogiem. Ale, drodzy przyjaciele, ci ludzie tam nie rozmawiają wcale z Bogiem. Rozmawiają z szatanem.

Biada ziemi i biada morzu - bo zstąpił do was diabeł, palając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu.

Szatan został zapędzony do narożnika. Szykuje swój ostatni szaniec i nigdy nie był bardziej niebezpieczny.

Możecie zapytać: A gdzie ten dowód? Słuchajcie, a usłyszycie.

Rozważcie podany poniżej fragment, który zaczerpnąłem wprost z oficjalnej strony projektu Isabella: „Działająca z pełną mocą Isabella odtwarza w punkcie zero temperaturę, jaką miał wszechświat w pierwszych milionowych częściach sekundy Wielkiego Wybuchu, temperaturę rzędu ponad tryliona stopni Fahrenheita”. A teraz posłuchajcie fragmentu Apokalipsy św. Jana 13,13.

/ czyni wielkie znaki, tak iż nawet każe ogniowi zstępować z nieba na ziemię na oczach ludzi.

I znowu przepowiednia apostoła Jana się sprawdza.

Oto kolejny fragment z oficjalnej strony internetowej projektu: „Superkomputer kontrolujący Isabellę jest najpotężniejszą maszyną liczącą na całym globie. Pracuje z najwyższą prędkością piętnastu petaflopów (piętnastu

kwadrylionów obliczeń na sekundę). Jest to zbliżone do szacowanej szybkości pracy ludzkiego mózgu". A teraz porównajmy to z Apokalipsą.

I dano jej, by duchem obdarzyła obraz Bestii, tak iż nawet przemówił obraz Bestii, i by sprawił, że wszyscy zostaną zabici, którzy nie oddadzą pokłonu obrazowi Bestii.

Czy położycie się dziś do swoich łóżek, wiedząc, że Antychryst was zabije?

Na koniec, przyjaciele, zacytuję ostatni fragment Apokalipsy, który kryje w sobie sedno wizji św. Jana:

Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.

W ten sposób Biblia mówi nam, jak mamy rozpoznać Antychrysta, dzięki liczbie 666. Apostoł Jan posługiwał się przede wszystkim językiem hebrajskim. Wiedział, że każda litera w tym języku ma swój liczbowy odpowiednik. Gematria to sztuka poszukiwania ukrytych liczb w hebrajskim imieniu bądź tekście. Przekonajmy się zatem, co się stanie, kiedy zastosujemy gematrię wobec Isabeli i miejsca jej lokalizacji, Arizony. Jeżeli przełożymy litery rzymskie na ich hebrajskie odpowiedniki i przyporządkujemy każdej hebrajskiej literze odpowiednią liczbę, otrzymamy:

A	Aleph	1 200
R	Resh	

1	Yodh	14
Z	Shin	300
O	Ayin	100
N	Nun	50
A	Ostatnia Aleph	1
Suma		666

Wciąż mi nie wierzycie? Rozważcie więc to:

I	Yodh	14
S	Shin	300
A	Aleph	1
B	Bet	2
E	He	88
L	Lamed	130
L	Lamed	130
A	Ostatnia Aleph	1
Suma		666

Przyjaciele, czyż nie jest to dowód, na który czekaliśmy?

Rozważmy teraz fragment z Apokalipsy:

/ zgromadziły ich na miejsce zwane po hebrajsku Har-Magedon.

Armagedon to miejsce, które szatan wybierze na swój ostatni szaniec w walce przeciwko Chrystusowi, Królowi

Bożemu. Słowo „Armagedon” pochodzi od hebrajskich słów Har Megido (HfJWin), które oznaczają „Góra Megida”. Jednak góry tej nigdy nie odnaleziono w Ziemi Świętej, a słowo „Megido” to w rzeczywistości starodawna forma hebrajskiego określenia rdzawobrunatnej ziemi. Tak więc słowo „Armagedon” w Apokalipsie odnosi się w rzeczywistości do miejsca zwanego „Czerwona Góra”. Drodzy przyjaciele, projekt Isabella usytuowany jest w miejscu zwanym Red Mesa w Arizonie. Indianie Nawaaho nazywają je Dzilh Chii, co w języku Nawahów oznacza dosłownie „Czerwona Góra” - Armagedon.

Oto dowody, przyjaciele. Teraz wszystko zależy od was. Co zrobicie z tą informacją? *Ostateczny moment w waszym życiu jako chrześcijan właśnie nadszedł TU I TERAZ, kiedy czytacie tego e-maila.*

CO ZROBICIE?

Czy zostaniecie w domach? Czy będziecie się wahać, zastanawiając się, czy jestem jeszcze jednym oszołomem? Zostaniecie przy komputerze, bo nie wiecie, gdzie jest Red Mesa i jak tam dotrzeć w środku nocy? A może odłożycie to do jutra? Będziecie czekać na dowód, na znak?

A może odpowiecie na wezwanie *natychmiast* i dołączycie do Armii Boga jako Jego żołnierze? Czy rzucicie *natychmiast* wszystko, co teraz robicie, wstaniecie *natychmiast* od komputera, wyjdziecie z domu i przybędziecie do Red Mesy, by dołączyć do mnie w *wojnie w wielkim dniu wszechmogącego Boga*⁷. *QT?*] staniecie do walki u mojego boku na-

tychmiast, ramię w ramię, jak bracia w Chrystusie, śmiało krocząc do ostatniego boju przeciwko Szatanowi i jego Antychrystowi?

WYBÓR NALEŻY DO WAS

Z chrystusowym błogosławieństwem
Pastor Russ Eddy Zbór w Imię
Pańskie Misja Blue Gap, Arizona.
Oryginalny e-mail wysłano 14 września o 21.37 czasu lokalnego.

**PRZEŚLIJ TEGO MAILA WSZYSTKIM SWOIM
CHRZEŚCIJAŃSKIM PRZYJACIOŁOM, A POTEM
PRZYBĄDŹ DO RED MESY I PRZYŁĄCZ SIĘ DO
MNIE!**

Kiedy Eddy skończył, usiadł wyprostowany, zlany zimnym potem, z drżącymi rękami. Nawet nie przeczytał treści e-maila. Bóg go prowadził, a zatem tekst był idealny.

W ramce, gdzie należało podać temat, wpisał:

Red Mesa = Armagedon

Sprawdził listę adresów e-mailowych, które gromadził w nadziei pozyskania funduszy dla swojej misji. Wykreślił niektóre z kościołów i chrześcijańskich list e-mailowych, inne były kontaktami do chrześcijańskich redakcji, grup informacyjnych, czat roomów i stron dyskusyjnych. Dwa tysiące sto szesnaście nazw. Oczywiście większość nie odpowie. W Biblii napisano, że tak się

stanie, bo: *Wielu jest powołanych, lecz mało wybranych*. Dwa tysiące to jednak dobry początek. Spośród nich kilkudziesięciu mogło rozesłać e-mail dalej i wybrać się do Red Mesy. Kilkuset mogło odpowiedzieć na kolejny apel i kilka tysięcy na jeszcze następny. List trafi na setki chrześcijańskich stron internetowych. Chrześcijańscy blogerzy też podejmą temat i w ten sposób wiadomość zacznie zataczać coraz szersze kręgi. Eddy spędził w internecie dość czasu, by wiedzieć, że miał po swojej stronie matematykę.

W ramkę „wyślij do” wpisał całą zawartość swojej książki adresowej. Zaznaczył i przeniósł kursor na ikonę w kształcie małego papierowego samolociku. Wziął głęboki oddech i nacisnął przycisk myszy. Przy wtórze głośnego szuuu! e-mail z prędkością światła zniknął w elektronicznym eterze.

Stało się.

Usiadł prosto, cały rozdygotany. Wszędzie panowała cisza. Ale świat się zmienił.

Siedział tak jeszcze przez pięć minut. Kiedy odzyskał panowanie nad oddechem, wstał i zebrał się w sobie. Po długim wahaniu wyłuskał z kieszeni klucze, otworzył szafkę przy biurku i wyjął rewolwer ruger kaliber 44 magnum blackhawk, który dostał od ojca na osiemnaste urodziny. Broń pochodziła z limitowanej serii, była to replika rewolweru z Dzikiego Zachodu, ale wykonana współcześnie i niezawodnie. Przed laty spędził z tym rewolwerem kilka dni na strzelnicy i zawsze dbał o niego starannie, oliwił i pilnował, by był w dobrym stanie.

Eddy nie miał złudzeń. To będzie wojna, prawdziwa wojna.

Załadował rewolwer dwustuczerdziesięciopalcowymi nabojami z miękkim czubkiem produkcji Remingtona. Włożył rewolwer i dwa dodatkowe pudełka naboju do plecaka, dorzucił butelkę wody, latarkę, parę zapasowych baterii, lornetkę, Biblię, notes

i ołówek. Znalazł też zapasową butelkę na paliwo wypełnioną naftą na wypadek awarii zasilania. Ją także zabrał ze sobą.

Zarzucił plecak na ramię, wyszedł na zewnątrz i spojrzął w górę na Red Mesę, ciemny masyw odcinający się na tle nowego nieba. Pojedynczy punkcik światła, oznaczający projekt Isabella, jarzył się na skraju czarnej kamiennej wyspy.

Wrzucił plecak do szoferki pikapa i usiadł za kierownicą. Miał tylko tyle paliwa, by z ledwością dojechać na wierzchołek płaskowyżu. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Bóg, który zawiódł go tak daleko, sprowadzi go do domu i na powrót zjednoczy ze swoimi dziećmi, jeżeli nie w życiu doczesnym, to w następnym.

47

- Wróćcie na swoje miejsca - rozkazał Hazelius, a jego głos powoli odzyskiwał siłę.

Odwrócił się w stronę wizualizatora i przemówił do niego.

- W porządku, zacznijmy od początku. Czym jesteś naprawdę, do cholery?

Ford patrzył jak urzeczony na ekran, czekając, aż pojawi się na nim odpowiedź. Czuł, że to go pochłania niemal wbrew jego woli.

Z przyczyn, które już wyjaśniłem, nie możecie pojąć, czym jestem. Słowo „Bóg” jest bliskie prawdy, ale pozostawia wiele niedopowiedzeń.

- Czy jesteś częścią wszechświata, czy jesteś od niego oddzielony? - spytał Hazelius.

Niema rozdzielności. Wszyscy stanowią jedność.

- Dlaczego istnieje wszechświat?

Wszechświat istnieje, ponieważ jest prostszy niż nic. Dlatego również ja istnieję. Wszechświat nie może być prostszy, niż jest. To prawo fizyki, z którego wypływają wszystkie inne.

- Co może być prostsze niż nic? - spytał Ford.

„Nic” nie może istnieć. To paradoks sam w sobie. Wszechświat jest stanem bliskim niczemu.

- Skoro wszystko jest takie proste - wtrącił Edelstein - dlaczego wszechświat jest tak złożony?

Złożoność wszechświata, jaką postrzegacie, jest jawną właściwością jego prostoty.

- Czym zatem jest ta niezmierna prostota w samym sercu wszechrzeczy? - zapytał Edelstein.

To rzeczywistość, która mogłaby zdruzgotać wasze umysły.

- To już się robi nużące! - zawołał Edelstein. - Skoro jesteś taki mądry, powinieneś być w stanie objaśnić to nam, biednym błędzącym istotom ludzkim! Chcesz powiedzieć, że nasze pojęcie o rzeczywistości jest tak mylne, że nasze prawa fizyki są z gruntu fałszywe?

Stworzyliście swoje prawa fizyki, zakładając istnienie czasu i przestrzeni. Wszystkie wasze prawa opierają się na tych odniesieniach. To mylne założenia, już wkrótce wasze doktryny dotyczące postrzegania rzeczywistego świata legną w gruzach. Z popiołów tych stworzycie podwaliny nowej nauki.

- Skoro nasze prawa fizyki są fałszywe, jak to możliwe, że nasza nauka osiąga tak spektakularne sukcesy?

Zasady ruchu Newtona, choć fałszywe, zdołały zaprowadzić ludzi na Księżyc. Podobnie jest z waszymi prawami: są nadającymi się do zastosowania przybliżeniami, które jednak są zasadniczo błędne.

- Jak zatem tworzyć prawa fizyki bez czasu i przestrzeni?

Marnujemy czas na zbędne dywagacje o pojęciach metafizycznych.

- O czym więc powinniśmy dyskutować? - wtrącił Hazelius, przerywając Edelsteinowi.

O przyczynie, dla której do was przybyłem.

- Czyli?

Mam dla was zadanie.

Śpiewne dźwięki Isabelli nagle zafalowały jak za sprawą efektu Dopplera. W głębi góry rozległ się nagle głuchy łoskot, silne wibracje przeszły grzbiet płaskowyżu. Ekran zamigotał i słowa zniknęły zastąpione przez wirujący śnieg.

- Cholera - szepnął Dolby. - Cholera.

Starał się wyregulować urządzenia kontrolne oprogramowania, jego palce śmigały po klawiaturze.

- Co się dzieje, do licha? - ryknął Hazelius.

- Dekolimacja wiązki cząstek - odparł Dolby. - Niech to szlag, Harlan, włączyły się alarmy przepływu energii. Wyłącz je!

Alan! Wracaj do swoich serwerów! Co wy tu, do diabła, robicie?!
Wracajcie do swoich stanowisk, na miłość boską!

- Na stanowiska! - rzucił Hazelius.

Kolejny wstrząs sprawił, że cały Bunkier zadygotał w posadach, wszyscy pędem wrócili na swoje miejsca. Na ekranie pojawiła się nowa wiadomość, ale nikt jej nie odczytał.

- Stabilizuję - rzekł St. Vincent.

- Ponowna kolimacja - oznajmił Dolby.

Na plecach na jego podkoszulku powiększała się plama potu.

- Co z serwerami, Alan?

- Pod kontrolą.

- Co z magnesem? - zapytał Hazelius.

- Wytrzyma - odparł Dolby. - Ale nie za długo. Niewiele brakowało.

- No dobrze. - Hazelius znów odwrócił się do wizualizatora.

- Słuchamy. Może opowiesz nam coś więcej o tym zadaniu?

48

Pikapowi zabrakło benzyny na samym szczycie Dugway. Eddy wykorzystał to, że wóz był rozpędzony, aby zjechać z drogi i ukryć go wśród bylicy, gdzie się zatrzymał, silnie kołysząc. Ponad szkieletami zeschniętych sosen słaba poświata widoczna na tle nocnego nieba oznaczała znajdujący się pięć kilometrów na wschód projekt Isabella.

Wysiadł z szoferki, zabrał plecak, narzucił na ramiona i pomaszerował drogą. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Choć widział gwiazdy ze swojej przyczepy, tej nocy na szczycie płaskowyżu wydawały się nienaturalnie jasne jak zawirowania i źródła fosforescencji wypełniające nieboskłon. W oddali słabo widoczne na tle firmamentu ciągnęły się biegnące w stronę Isabelli słupy wysokiego napięcia.

Czuł każde uderzenie serca. Słyszał krew pulsującą mu w uszach. Nigdy jeszcze nie czuł bardziej, że żyje. Szedł różnym krokiem i dwadzieścia minut później dotarł do skrzyżowania w stronę starego punktu handlowego Nakai Rock. Tu przystanął, po czym postanowił spenetrować kotlinę. W kilka minut doszedł do krawędzi urwiska, gdzie droga opadała w dolinę. Uniósł lornetkę, by spenetrować osiedle.

Pośrodku pola ustawiono ogromne tipi, rozjaśnione migoczącym blaskiem rozpalonego wewnątrz ogniska. Opodal wznosiła się prowizoryczna budowla: kopuła z połączonych gałęzi nakrytych brezentem przytrzymywanym ułożonymi na ziemi kamieniami. Za nią z ogniska zostały jedynie popioły odsłaniające sterkę wiśniowoczerwonych kamieni.

Widział to już wcześniej: indiański szałas potu.

W spokojnej, cichej dolinie dało się słyszeć łagodny zaśpiew i odgłos indiańskiego bębna. To dziwne. Nawahowie odprawiali swoje rytuały. Czy oni także wyczuwali, że zdarzy się tu coś wielkiego i znaczącego? Czy czuli nadciągający gniew Boga? Ale byli przecież bałwochwalcami oddającymi cześć fałszywym bożkom. *Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują.*

Szałas potu i tipi stanowiły jeszcze jeden znak, że oto nadeszły Dni Ostatnie i diabeł stąpał pośród nich.

Pomijając Nawahów, kotlina wyglądała na opustoszałą, w domkach było ciemno. Eddy szerokim łukiem ominął osiedle i w dziesięć minut dotarł do pasa startowego. Także był pusty, podobnie jak hangary odcinające się na tle nocnego nieba. Antychryst i jego uczniowie zgromadzili się w Isabelli, w głębi góry, nie miał co do tego wątpliwości.

Zbliżał się do drucianej siatki otaczającej strefę chronioną, ale nie na tyle, by uruchomić alarmy, jakie z całą pewnością musiały się tam znajdować. Siatka lśniła w blasku lamp sodowych oświetlających cały teren. Winda prowadząca na dół do Isabelli znajdowała się kilkaset metrów dalej, wysoka, szpetna, pozbawiona okien konstrukcja najeżona u szczytu antenami i talerzami satelitarnymi. Czuł pod stopami wibrację gruntu; słyszał buczenie Isabelli. *Mają nad sobą króla - anioła Czeluści, imię jego po hebrajsku Abaddon.*

Jego umysł płonął jak od gorączki. Uniósł wzrok, by spojrzeć na ogromne stalowe wieże, które doprowadzały energię elektryczną zasilającą maszynę, i ciarki przeszły mu po plecach. Wyglądały jak armia diabła krocząca pośród nocy. Przewody wysokiego napięcia trzeszczały i brzęczały jak naelektryzowane włosy. Sięgnął do plecaka i dotknął przynoszącej ukojenie skórzanej okładki Pisma Świętego. Odmówiwszy krótką modlitwę, ruszył w kierunku oddalonej o kilka metrów najbliższej wieży.

Zatrzymał się tuż pod nią. Gigantyczne pręśła znikwały hen w górze w ciemnościach nocy, widoczne jedynie jako smugi czerni przesłaniające gwiazdy. Przewody elektryczne syczały i parowały jak węże, ten dźwięk mieszał się z zawodzeniem wiatru wśród wsporników, tworząc istną symfonię głosów potępionych. Eddy wzdrygnął się, gdy lodowaty dreszcz przeszył jego duszę.

Znów przypomniał sobie cytat z Apokalipsy: *...by ich zgromadzić na wojnę w wielkim dniu wszechmogącego Boga*. Oni przybędą, był tego pewien. Odpowiedzą na jego apel. Musi być gotowy. Potrzebuje planu.

Zaczął przepatrywać teren, zapoznając się z jego topografią, rozkładem dróg, punktów dostępu siatek, wieżyczek i innych elementów budowli.

Wysoko nad nim przewody wysokiego napięcia skwierczały i syczały zajadle. Gwiazdy migotały. Ziemia się obracała. Russell Eddy przemierzał mrok, po raz pierwszy w życiu czując przepełniającą go niezłomną pewność siebie.

Lockwood zdumiał się, jak obskurnie i funkcjonalnie, w spartańskim tego słowa znaczeniu, wyglądał Gabinet Sytuacyjny Białego Domu. Cuchnął jak sala rekreacyjna w sutenerze, którą należałoby przewietrzyć. Ściany miały barwę ochry. Pośrodku dominował mahoniowy stół z mikrofonami. Wzdłuż ścian umieszczono ekrany płaskopanelowe. Wzdłuż dwóch ścian ustawiono krzesła.

Szpetny industrialny zegar przy końcu stołu wskazywał punktualnie północ.

Prezydent wszedł do środka ubrany w nieskazitelny szary garnitur i fiołkoworóżowy krawat. Siwe włosy miał zaczesane do tyłu. Zwrócił się do operatora z marynarki, który najwyraźniej obsługiwał elektronikę:

- Chcę, żebyś połączył mnie z przewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, moim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, dyrektorem FBI, dyrektorem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i szefem do spraw wywiadu.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Ach, i nie zapomnij o przewodniczącym senackiej komisji wywiadu, żeby nie skarżył się później, że wykluczyliśmy go z obrad.

Zajął miejsce u szczytu stołu. Roger Morton, szef sztabu, patryjuszowski i wyważony, zasiadł po jego prawej. Gordon Galdone, szef kampanii, sponiewierany jak nieposłane łóżko, ubrany w brązowy garnitur z Wal-Martu, usiadł obok prezydenta po drugiej stronie. Jean zajęła krzesło w rogu pod ścianą, za prezydentem, trzymając jak zawsze w gotowości notes do stenografowania.

- Zaczynamy, reszta dołączy do nas w trakcie.

- Tak jest.

Niektóre z ekranów już się zapaliły i pojawiły się na nich twarze pozostałych uczestników posiedzenia. Jako pierwszy dołączył Jack Strand, dyrektor FBI. Siedział w swoim gabinecie w Quantico, miał za sobą Wielką Pieczęć FBI, a na jego twarzy o kancia-
stej szczęce widać było stare ślady po ospie wietrznej - ten facet o aparycji policjanta wzbudzał zaufanie, a przynajmniej bardzo się starał.

Zaraz potem pojawił się sekretarz Departamentu Energii, niejaki Hali, w swoim biurze przy Independence Avenue, człowiek nominalnie sprawujący pieczę nad Isabellą. Tyle tylko że nigdy nie panował nad tym projektem - i wiedział, że zawalił sprawę; jego puciołowata twarz lśniła od potu, a węzeł jasnoniebieskiego krawata był zadzierzgnięty tak mocno, jakby jego właściciel próbował się na nim wieszać.

- W porządku - rzekł prezydent, składając dłonie na blacie stołu. - Panie sekretarzu, pan nad wszystkim sprawuje kontrolę, pytam więc, co tam się dzieje, do cholery?

- Przykro mi - wykrztusił Hali - ale nie mam pojęcia, panie prezydencie. To przypadek bez precedensu. Nie wiem, co powie dzieci...

Prezydent nie pozwolił mu skończyć i odwrócił się do Lockwooda.

- Kto ostatni miał kontakt z zespołem Isabelli. Może ty to wiesz, Stan?

- Chyba ja. O siódmej tamtejszego czasu rozmawiałem z moim człowiekiem w zespole i powiedział, że wszystko gra. Twierdził, że test był zaplanowany, i o ósmej miał zjechać na dół, by do nich dołączyć. Nic nie wskazywało na to, by działo się tam coś niezwykłego.

- Czy miał jakąś teorię, co się właściwie dzieje?

Lockwood w myślach rozważał możliwości, ale każda z nich zdawała się nie mieć sensu. Opanował narastającą panikę i spokojnym, zrównoważonym głosem powiedział:

- Nie jestem pewien, czy dobrze to zrozumiałem.
- Czy mamy do czynienia z wewnętrznym konfliktem? Sa botażem?

- To możliwe.

Prezydent odwrócił się do przewodniczącego połączonych sztabów, który siedział w swoim biurze w Pentagonie w pomietym mundurze polowym.

- Generale, ma pan w swojej pieczy jednostki szybkiego reagowania. Gdzie znajduje się najbliższa z nich?

- W bazie lotnictwa wojskowego w Nellis, w Nowadzie.

- Jednostka Gwardii Narodowej?

- WeFlagstaff.

- A gdzie ma placówkę terenową Federalne Biuro Śledcze?

Odpowiedział mu z ekranu Jack Strand, dyrektor FBI:

- Również we Flagstaff.

Prezydent zamyślił się, jego czoło się zmarszczyło, postukał palcem w blat stołu.

- Generale, niech wyślą śmigłowiec z najbliższej bazy, aby zbadał tę sytuację.

W tym momencie szef kampanii Gordon Galdone poruszył się na krześle, westchnął i przyłożył palec do mięsistych warg.

Wyrocznia zaraz przemówi, pomyślał kwaśno Lockwood.

- Panie prezydencie... - mężczyzna miał dźwięczny głos, jak Orson Welles, kiedy nabrał tuszy.

- Tak, Gordon?

- Czy mogę nadmienić, że to nie jest tylko problem naukowy ani nawet wojskowy? To problem polityczny. Od wielu tygodni prasa i media zapytują, dlaczego Isabella jeszcze nie została uru-

chomiona. „Times” w zeszłym tygodniu opublikował na ten temat długi artykuł. Cztery dni temu jeden z naukowców popełnił samobójstwo. Wśród chrześcijańskich fundamentalistów wrze. A teraz naukowcy zerwali kontakt ze światem. Na dodatek mamy jeszcze doradcę naukowego, który dorabia jako wolny strzelec w charakterze szpiega.

- Gordon, osobiście zaaprobowalem ten plan - wtrącił prezydent.

Galdone nieprzerwanie mówił dalej:

- Panie prezydencie, stoimy u progu katastrofy, jeżeli chodzi o public relations. Sam wspierał pan projekt Isabella. Jest pan z nim identyfikowany. To będzie dla pana wielki cios, jeżeli nie rozwiążemy jak najszybciej tego problemu. Wysłanie śmigłowca na rekonesans to za mało i za późno. Zajmie całą noc, a rano wciąż sytuacja będzie kryzysowa. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdy dowiedzą się o tym media.

- Co zatem proponujesz, Gordon?

- Rozwiązać problem do jutra rano.

- Jak?

- Wysłać tam zespół, który przejmie kontrolę nad Isabella, wyłączy ją i wywiezie stamtąd naukowców.

- Chwileczkę - rzekł prezydent. - Projekt Isabella to moje największe osiągnięcie. Niech mnie diabli, jeżeli pozwolę ją zamknąć!

- Zamknie ją pan albo ona pograży pana.

Lockwood był zaszokowany, słysząc, jak obcesowo doradca zwraca się do prezydenta. Odezwał się Morton:

- Zgadzam się z Gordonem, panie prezydencie. Do wyborów zostały niespełna dwa miesiące. Brakuje nam czasu. Musimy jeszcze dziś zamknąć ten projekt. A sprawę wyjaśni się później.

- Nawet nie wiemy, co się tam, u licha, dzieje - powiedział prezydent. - Skąd wiadomo, że nie mamy do czynienia z atakiem terrorystycznym albo sytuacją kryzysową, w której część na ukowców wzięto na zakładników?

- Może tak właśnie jest - rzekł Morton.

Zapadła cisza. Prezydent odwrócił się do doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego widocznego na jednym z ekranów:

- Czy wywiad donosi o możliwości zaistnienia tego rodzaju kryzysowej sytuacji?

- Nic nam o tym nie wiadomo, panie prezydencie.

- W porządku. Wyślemy tam ekipę. Uzbrojoną i gotową na każdy potencjalny stopień zagrożenia. Ale bez wielkiej mobilizacji, nic, co mogłoby zaalarmować prasę albo później nas skompromitować. Mały elitarny zespół w rodzaju SWAT, sami eksperci, niech zabezpieczą to cholerne miejsce, zamkną je i wywiozą stamtąd na ukowców. Operacja ma zostać zakończona przed świtem. - Usiadł wygodniej. - Dobra. Kto może to zrobić?

Odezwał się dyrektor FBI:

- Ekipa specjalna do odbijania zakładników stacjonuje w Denver, niecałe sześćset kilometrów od projektu Isabella. To je denastu wysoce wyselekcjonowanych ludzi, byłych członków Delta Force, specjalnie przygotowanych na działania na terenie kraju.

- Tak, ale gdy w grę wchodzi CIA... - zaczął szef wywiadu.

- Świetnie - prezydent nie pozwolił mu dokończyć i odwrócił się do Lockwooda. - Stan, co o tym sądzisz?

Lockwood starał się zachować spokojny ton głosu.

- Panie prezydencie, uważam, że ta dyskusja o akcji komandosów jest trochę przedwczesna. Zgadzam się w pełni z tym, co powiedział pan wcześniej, że powinniśmy najpierw dowiedzieć się, co się dzieje. Jestem pewien, że istnieje racjonalne wytłuma-

czenie. Innymi słowy, wyślijmy ludzi, którzy zapukają do drzwi projektu Isabella i złożą im przyjacielską wizytę. Morton rzucił stanowczo:

- Jutro rano będą tam przedstawiciele wszystkich stacji telewizyjnych w kraju. Media wezmą nas pod lupę. Stracimy swobodę działania. Jeżeli z jakiegoś powodu naukowcy się tam zabarykadowali, możemy mieć do czynienia z drugim Waco.

- Waco? - powtórzył z niedowierzaniem Lockwood. - Mówimy o dwunastu znanych naukowcach pod kierownictwem laureata Nagrody Nobla. To nie szurnięci członkowie jakiejś sekty!

Szef sztabu odwrócił się do prezydenta.

- Panie prezydencie, nie jestem w stanie wyrazić tego dobitniej, ale ta operacja musi zostać bezwarunkowo zakończona przed świtem. Wszystko się zmieni, kiedy zjawi się telewizja. Nie mamy czasu, by wysłać kogoś z „przycielską wizytą”. - W jego głosie pobrzmiwał sarkazm.

- W pełni się z tym zgadzam - rzekł Galdone.

- Nie ma innego wyjścia? - spytał półgłosem prezydent.

- Nie.

Lockwood przełknął ślinę. Było mu niedobrze. Stracił argument, a teraz będzie zmuszony uczestniczyć w wyłączeniu Isabelli.

- Operacja, jaką pan proponuje, może nastęczać pewne trudności.

- Wyjaśnij.

- Nie można tak po prostu odciąć Isabelli zasilania. To mogłoby wywołać wybuch. Przepływ energii jest skomplikowany i można go kontrolować wyłącznie od wewnątrz, za pośrednictwem komputera. Jeżeli z jakiegoś powodu naukowcy nie będą mogli... lub nie zechcą współpracować, potrzebny będzie ktoś, kto zdoła bezpiecznie wyłączyć Isabellę.

- Kogo polecisz?
 - Człowieka, o którym wspomniałem już wcześniej, Bernarda Wolfa z Los Alamos.
 - Poślemy po niego śmigłowiec. Co z dostaniem się do środka?
 - Główne drzwi do Bunkra są specjalnie wzmocnione i zabezpieczone przed atakiem z zewnątrz. Systemy dopływu i wymiany powietrza także są ściśle strzeżone. Jeżeli ekipa nie może lub nie zechce otworzyć głównych drzwi, możemy mieć problem z wejściem.
 - Nie ma sposobu na obejście zabezpieczeń?
 - Uznano, że mogłoby to stanowić potencjalne zagrożenie ze strony terrorystów.
 - Jak zatem dostaniemy się do środka?
- Boże, jakże tego nie znoś.
- Najłatwiej byłoby przebić się przez drzwi frontowe, używając materiałów wybuchowych. Drzwi znajdują się w połowie wysokości urwiska. Przed wejściem znajduje się platforma operacyjna, ale większa jej część jest przesłonięta skalnym nawisem i raczej nie da się posadzić na niej śmigłowca. Ekipa będzie musiała wylądować na szczycie, zejść na dół i dopiero wtedy sforsować drzwi. Opisuję, rzecz jasna, najgorszy z możliwych scenariuszy. Przymuszczałnie naukowcy wpuszczą ekipę do środka.
 - Jak umieszczono tam ciężki sprzęt, skoro nie ma drogi?
 - Wykorzystano stary dojazd do kopalni, a następnie odcięto go, wysadzając wylot tunelu na zboczu góry, kiedy Isabella została ukończona. Oczywiście ze względów bezpieczeństwa.
 - Rozumiem. Opowiedz mi coś więcej o tych drzwiach frontowych.
 - Są wykonane z kompozytu tytanu, na bazie plastra miodu. Bardzo trudne do przecięcia. Trzeba będzie użyć ładunków wybuchowych.

- Chcę poznać niezbędne szczegóły. Co dalej?
- Wewnątrz znajduje się wielka jaskinia. Na wprost rozciąga się tunel Isabelli. Po lewej pomieszczenie kontrolne zwane Mostkiem. Prowadzące tam drzwi wykonano ze stali nierdzewnej o grubości dwóch i pół centymetra i stanowią ostatnią linię obrony przed intruzami. Dostarczę panu plany.
- To wszystko, jeżeli chodzi o zabezpieczenie?
- Tak.
- Czy ci ludzie są uzbrojeni?
- Szef ochrony Wardlaw ma pistolet. Nikomu prócz niego nie wolno mieć broni.

Morton zwrócił się do prezydenta:

- Panie prezydencie, potrzebujemy pańskiego rozkazu, by móc rozpocząć operację.

Lockwood widział, że prezydent się zawahał - spojrzał na niego, po czym przeniósł wzrok na dyrektora FBI.

- Wyślijcie tam ekipę do odbijania zakładników należącą do FBI. Niech wywiozą naukowców z obiektu i wyłączą Isabellę.
- Tak jest, panie prezydencie.

Szef sztabu z trzaskiem zamknął swoją teczkę, a dźwięk ten zabrzmiał jak odgłos wymierzonego Lockwoodowi siarczystego policzka.

50

Wnętrze Bunkra wypełnił jęklivy melodyjny dźwięk. Ekran zamigotał. Ford stał jak zahipnotyzowany przed wizualizatorem, a Kate obok niego. Nie pamiętał, kiedy jej dłoń odnalazła jego rękę.

W odpowiedzi na pytanie Hazeliusa na ekranie pojawiły się kolejne słowa.

Wielkie religie monoteistyczne stanowiły niezbędny etap w rozwoju kultury człowieka. Waszym zadaniem jest wprowadzić rasę ludzką w następny system wierzeń.

- Którym jest?

Nauka.

- To jakiś absurd. Nauka nie może być religią! - zaprotestował Hazelius.

Zapoczątkowaliście nową religię, tyle tylko że nie chcecie tego dostrzec. Religia była niegdyś sposobem na zrozumienie świata, odnalezienie w nim sensu. Teraz tę rolę przejmie nauka.

- Nauka i religia to dwie całkiem różne rzeczy - wtrącił Ford. - Zadają odmienne pytania i wymagają diametralnie różnych dowodów.

Nauka i religia poszukują z gruntu tego samego - prawdy. Nie może być pomiędzy nimi pojednania. Zderzenie światopoglądów pogłębia się i stale pogarsza. Nauka jak dotąd wykazała mylność podstawowych założeń wiary największych historycznych religii świata, powodując wśród nich zamęt. Waszym zadaniem jest pomóc ludzkości wytyczyć ścieżkę pośród tego chaosu w czasach kryzysu.

- Och, błagam! - rzucił Edelstein. - Chcesz powiedzieć, że islamscy fanatycy czy choćby skrajni chrześcijanie tak po prostu złożą broń i przyjmą naukę jako swoją nową religię? To szaleństwo.

Przeżycie światu moje słowa i opowiedzcie, co tu się wydarzyło. Nie lekceważcie mojej potęgi - potęgi prawdy.

- Dokąd mamy zmierzać z tą nową religią? Co jest jej sednem? Kto jej potrzebuje? - spytał Hazelius.

Bezpośrednim celem ludzkości jest ucieczka przed ograniczeniami biochemii. Musicie uwolnić wasze umysły od materii waszych ciał.

- Materii? Nie rozumiem - rzekł Hazelius.

Materii. Nerwów. Komórek. Biochemii. Środka, za pośrednictwem którego myślicie. Musicie uwolnić wasze umysły od materii.

- Jak?

Zapoczątkowaliście przetwarzanie informacji poza waszą materialną egzystencją poprzez komputery. Wkrótce znajdziecie sposób jej przetwarzania - niaprzy użyciu komputerów kwantowych, które doprowadzą was do ujarz-mienia naturalnych procesów kwantowych w otaczającym was świecie jako środków obliczeniowych. Nie będziecie już musieli budować maszyn do przetwarzania informacji. Rozszerzycie się na cały wszechświat, dosłownie i w przenośni. Tak jak przed wami uczyniły to inne inteligentne istoty. Umkniecie przed więzieniem biologicznej inteligencji.

- I co dalej?

Z czasem połączycie się z innymi rozwiniętymi inteligencjami. Wszystkie te połączone inteligencje odkryją sposób, by stopić się w trzeci stan mentalny, który zdoła pojąć prostą rzeczywistość, taką, jaka jest w samym sercu istoty wszech rzeczy.

- I to wszystko? Tylko o to w tym chodzi? - spytała Kate.

Nie. To jedynie preludium do większego zadania.

Wizualizator zamigotał, zaczął śnieżyć. Dolby pochylił się nad klawiaturą, pracując w milczeniu. Słowa zafalowały, jakby odbijając się w czarnej wodzie.

- Co nim jest? - zapytał w końcu Hazelius.

Powstrzymanie ciepłej śmierci wszechświata.

Ford poczuł, że Kate odruchowo ścisnęła go za rękę.

51

Booker Crawley zabrał kubek z kawą do swojego gabinetu i usadowił się w fotelu przed telewizorem. Ponownie sięgnął po pilota i przejrzał kanały informacyjne. Nic. Nie było żadnych widocznych reperkusji szaleńczych oskarżeń, jakie Spates zaprezentował w swoim programie. Mimo to Crawley nie mógł wyzbyć się przeczucia, że coś już wkrótce się wydarzy. Spojrzał na zegarek. Było wpół do drugiej czasu wschodniego, wpół do dwunastej w Arizonie. A może wpół do jedenastej?

Wypuścił powietrze i przełknął łyk gorzkiej kawy. Niepotrzebnie się denerwował. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem, a program Spatesa, nawet jeśli szalony, musiał śmiertelnie przerazić radę plemienną Nawahów.

Ta myśl dodała mu otuchy.

Mimo wszystko... nie zaszkodziłoby skontaktować się ze Spatesem i zapytać, skąd wziął tę szurniętą informację, jakoby Isabella uważała się za Boga.

Najpierw wybrał numer biura Spatesa, licząc, że może zastanie go w pracy. To zdumiewające, ale linia była zajęta. Brak poczty głosowej, po prostu zajęty numer. Odczekał kilka minut i raz po raz wybierał numer, lecz bez powodzenia.

Zapewne telefon był wyłączony.

Następnie zadzwonił na komórkę Spatesa i z miejsca uzyskał połączenie z pocztą głosową: „Tu poczta głosowa wielbnego Dona T. Spatesa - przemówił miły kobiecy głos. - Skrzynka jest w chwili obecnej zapełniona. Proszę spróbować później”.

Crawley wybrał domowy numer pastora. Także zajęte.

Chryste, ależ duszno w tym gabinecie. Podszedł do okna i je otworzył. Do pokoju wpadł podmuch świeżego, rześkiego powietrza, który sprawił, że firanki lekko zafalowały. Booker wziął parę głębokich oddechów. Ponownie upomniał sam siebie, że nie ma powodu do niepokoju. Upił łyk kawy, wpatrując się w ciemną uliczkę i zastanawiając, co go właściwie zaniepokoiło. Zajęty telefon?

Wielebny musiał mieć stronę internetową. Może tam natrafi na jakieś informacje.

Usiadł przy biurku, włączył laptopa i wygugłał:

Boży Czas Spatesa

Pierwszy link był, jak się okazało, do oficjalnej strony internetowej teleewangelisty www.bozyczas.com. Kliknął na niego i czekał.

Po długiej frustrującej minucie pojawiła się informacja o błędzie.

PRZEKROCZENIE LIMITU SZEROKOŚCI PASMA

Serwer chwilowo nie jest dostępny, gdyż właściciel witryny osiągnął limit szerokości pasma. Prosimy spróbować później.

Apache/1.3.37 Serwer www.bozyczas.com Port 80

Niepokój narastał. Zajęte telefony, przeciążony serwer... Czy strona Spatesa padła ofiarą cyberataku? Może na innych chrześcijańskich stronach znajdzie jakieś informacje.

Wygugłał:

Isabella Bóg Spates

Pojawiło się kilka różnych stron chrześcijańskich o nazwach w rodzaju Jezus-zbawiciel.com, chwilajestbliska.com, antychryst.com. Wybrał losowo jeden z linków i natychmiast ukazała się witryna z dokumentem.

Przyjaciele w Chrystusie,

Wielu z was oglądało dziś wieczorem program *Ameryka przy okrągłym stole* prowadzony przez wielbego Dona T. Spatesa...

Crawley przeczytał list raz. Potem drugi. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. A więc to był ten informator Spatesa, szurnięty pastor z kraju Nawahów. Adnotacja poniżej wskazywała, że szalony kaznodzieja wysłał list zaledwie przed paroma godzinami. Sądząc po liczbie odnośników, musiał zostać umieszczony na wielu witrynach w sieci.

Na ilu? Można to było sprawdzić. Wygugłał pierwsze zdanie listu, zamykając je w cudzysłów, aby uzyskać dostęp tylko do tych witryn, do których dotarł ten właśnie tekst. Ułamek sekundy później otrzymał odpowiedź. Standardowa informacja zawierała konkretną liczbę.

Wyniki 1-10 z 56500 dla „wielu z was oglądało dziś wieczorem program *Ameryka przy okrągłym stole* prowadzony przez wielbego Dona T. Spatesa”.

Crawley siedział przez dłuższą chwilę w zupełnym milczeniu w swoim gabinecie w Georgetown. Czy to mogła być prawda, że list został rozesłany do ponad pięćdziesięciu tysięcy witryn w sieci? To nie do pomyślenia. Wziął wdech i zrobił wydech, aby się

uspokoić. Gdyby ujawniono, że to on stał za atakiem Spatesa na projekt Isabella, miałby przerąbane bardziej niż jego stary kumpel Jack Abramoff. Problem w tym, że kiedy się na to decydował, nie wiedział wiele o Spatesie i jego ewangelicznej orbicie. Crawley poczuł się jak ktoś, kto cisnął kamieniem w ciemny kąt i usłyszał dochodzące stamtąd syczenie dziesiątków grzechotników. Znów wstał i podszedł do okna. Georgetown spało. Ulica była pusta. Na świecie panował spokój.

Gdy wstał, usłyszał sygnał z komputera wskazujący, że otrzymał wiadomość. Podszedł, by sprawdzić. Pojawiło się nowe okienko z tematem listu:

Fwd: Fwd: Red Mesa = Armagedon

Otworzył wiadomość i zaczął czytać, by z przerażeniem stwierdzić, że był to dokładnie ten sam list, który przeczytał przed chwilą. Czy ktoś wiedział o jego kontaktach ze Spatesem? Czy to coś w rodzaju zawodowej groźby? A może to Spates przesłał mu wiadomość? Kiedy jednak spojrział na obszerną ramkę nad e-mailem, z całym mnóstwem różnych adresów, stwierdził, że nie był jedynym, do którego przesłano ten tekst. Adresu nadawcy też nie rozpoznał. To był jeden z wielu e-maili rozsyłanych blokowo jak spamy. I trafił przypadkiem do jego skrzynki e-mailowej.

Gdy z niedowierzaniem ponuro czytał list, usiłując określić prawdopodobieństwo otrzymania akurat tego e-maila, usłyszał kolejny sygnał odbieranej poczty. Temat był taki sam:

Fwd: Fwd: Fwd: Red Mesa = Armagedon

Booker Crawley zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela i podniósł się niepewnie. Gdy przechodził przez gabinet, jego

komputer zasygnalizował nadejście kolejnych e-maili. Dotarł na miękkich nogach do łazienki, obok gabinetu. Potem jedną ręką przytrzymując się krawędzi umywalki, a drugą odchylając do tyłu krawat, zwymiotował.

Bern Wolf przycupnął na siedzeniu w tylnej części śmigłowca transportowego, nerwowo żując gumę i obserwując, jak jedenastu uzbrojonych po zęby mężczyzn w czerni zajmuje bez słowa swoje miejsca. Na mundurach mieli jedynie niewielką naszywkę na piersi z logo FBI. Wolf poczuł się nieswojo ubrany w kamuflażowy strój, kuloodporną kamizelkę bojową i hełm. Bez powodzenia próbował przyjąć wygodniejszą pozycję, ale miał za długie kończyny i poruszywszy się nerwowo, splótł ramiona na piersiach. Kucyk wysunął mu się spod hełmu i zapewne wyglądał idiotycznie. Był cały spocony i już po pokonaniu pierwszego etapu podróży dzwoniło mu w uszach.

Gdy mężczyźni zajęli swoje miejsca, śmigłowiec wystartował, wzbijając się w nocne niebo, wszedł w skręt i przyspieszył. Na niebie pojawił się księżyc zbliżający się do pełni, spowijając pustynny krajobraz srebrzystym blaskiem.

Wolf wciąż żuł gumę. Co się dzieje, u licha? Bez słowa wyjaśnienia obudzono go i wyprowadzono z domu, przewieziono na lotnisko w Los Alamos i wpakowano do śmigłowca. Nikt nie chciał mu nic powiedzieć. To było jak początek kiepskiego filmu. Przez okno widział odległe szczyty gór San Juan w Kolorado. Śmigłowiec przeleciał nad wzgórzami, a Wolf dostrzegł w świetle księżyca migocącą wstęgę rzeki San Juan.

Podążali mniej więcej z nurtem rzeki, mijając skupiska świateł oznaczające miasteczka Bloomfield i Farmington, po czym wlecieli w pustkę i ciemność. Gdy maszyna znów skierowała się na południe, Wolf ujrzał w oddali mroczny masyw Nawajo Mountain i domyślił się, dokąd lecieli - do projektu Isabella.

Żując gumę, nie przestawał się zastanawiać. Dochodziły go plotki - wszyscy o nich słyszeli - o problemach z Isabellą. Był wstrząśnięty, jak inni, samobójstwem swojego dawnego kolegi Petera Wołkońskiego. Nie lubił tego Rosjanina, zawsze jednak szanował go za umiejętności programisty. Zachodził w głowę, co się mogło wydarzyć, że sprawę musiała załatwiać ekipa oszołomów w czarnych kombinezonach.

Piętnaście minut później w oddali przed nimi pojawił się czarny zarys Red Mesy. Jasny ciąg światła na jego krawędzi oznaczał miejsce położenia Isabelli. Śmigłowiec obniżył lot, przemknął nad szczytem płaskowyżu, zwolnił nad lądowiskiem oświetlonym dwoma rzędami niebieskich światła, po czym zakręcił i osiadł na platformie dla helikopterów.

Rotory zaczęły się zatrzymywać, a jeden z członków zespołu podniósł się z miejsca i otworzył przesuwane drzwi. Opiekun Wolfa położył mu rękę na ramieniu i gestem kazał mu zaczekać. Drzwi się rozsunęły i ludzie z FBI wyskakiwali jeden po drugim, przykucając i przebiegając poza zasięg rotorów, jakby zabezpieczali strefę lądowania.

Minęło pięć minut. Wreszcie opiekun ruchem ręki nakazał mu wysiąść. Wolf zarzucił plecak na ramię i niespiesznie ruszył w stronę drzwi - nie zamierzał wyskakiwać, żeby nie złamać nogi. Ześlizgnął się na ziemię z wyjątkową ostrożnością i wycofał poza zasięg obracających się rotorów. Opiekun lekko dotknął jego łokcia i wskazał barak z prefabrykatów. Podeszli tam, opiekun otworzył mu drzwi. Barak pachniał świeżą tarcicą i klejem, był prawie pusty, jeśli nie liczyć biurka i rzędu tanich krzesłek.

- Proszę usiąść, doktorze Wolf.

Wolf cisnął plecak na krzesło obok siebie i osunął się na siedzenie. Z trudem mógłby wyobrazić sobie mniej wygodne siedzenie, zwłaszcza o tej porze, tak daleko od wygodnego łóżka

i miękkiej poduszki, z którymi go rozdzielono. Wciąż wiercił się na krześle, gdy zjawił się jeden z mężczyzn. Wyciągnął do niego rękę.

- Specjalny agent dowodzący Doerfler.

Wolf, nie wstając z miejsca, bez entuzjazmu uściskał jego dłoń.

Doerfler usiadł na skraju biurka i starał się udawać przyjaźnie nastawionego i rozluźnionego. Bez powodzenia - ten facet był niesamowicie spięty i nakręcony.

- Zapewne zastanawia się pan, po co pana tu przywieźliśmy, doktorze Wolf.

- fak pan się tego domyślił?

Nie ufał ludziom pokroju Doerflera, ostrzyżonym na zapałkę, mówiącym z południowym akcentem i przeraźliwie śliskim. Ze zbyt wieloma takimi jak on miał do czynienia podczas fazy projektowania Isabelli.

Doerfler spojrział na zegarek.

- Nie mamy dużo czasu, więc będę się streszczał. Mówiono mi, że zna pan Isabellę, doktorze Wolf.

- Mam taką nadzieję - odparł z rozdrażnieniem. - Byłem zastępcą kierownika zespołu projektantów.

- Był pan tu już kiedyś?

- Nie. Pracowałem wyłącznie na papierze.

Doerfler oparł się na łokciu, na jego twarzy malowała się powaga.

- Coś się tu wydarzyło. Nie wiemy co. Zespół naukowców zamknął się wewnątrz góry i odciął całą łączność ze światem ze wnętrznym. Komputer główny został wyłączony, a Isabella działa na pełną moc za pośrednictwem komputerów pomocniczych.

Wolf obliznął wargi. To było niewiarygodne.

- Nie mamy pojęcia, co się tu dzieje. Ludzie, z którymi pan przyleciał, należą do oddziału FBI zajmującego się odbijaniem

zakładników. To jak elitarna jednostka SWAT. Nie wiadomo, czy w grę wchodzi zakładnicy, ale musimy brać taką okoliczność pod uwagę.

- Mówi pan o terrorystach?

- Być może. Nasza jednostka wejdzie do obiektu, w razie potrzeby uwolni zakładników, zneutralizuje jednostki niepożądane, odizoluje naukowców i wyprowadzi ich z terenu projektu.

- „Zneutralizuje jednostki niepożądane”. Chodzi panu o strzelanie do ludzi.

- Jeżeli to będzie konieczne.

- Żartuje pan sobie.

Doerfler zmarszczył brwi:

- Nie, proszę pana. Bynajmniej.

- Wyrwał mnie pan z łóżka, żeby wziąć udział w akcji komandosów? Przykro mi, panie Doerfler, ale ma pan nie tego Berna Wolfa.

- Nie ma się pan czym przejmować, doktorze Wolf. Wyzna czyłem panu opiekuna. Będzie nim agent Miller. Może pan na nim polegać. Pozostanie przy panu, kierując panem na każdym kroku. Kiedy już zabezpieczymy obiekt, wprowadzi pana do środka i zrobi pan, co należy.

- Czyli co?

- Wyłączy Isabellę.

Ze szczytu jednego ze wzniesień nad Nakai Valley Nelson Begay zlustrował kompleks Isabella przez starą wojskową lornetkę. Śmigłowiec przeleciał nisko nad tipi; łoskot rotorów zakłócił ceremonię Drogi Błogosławieństwa i omal nie przewrócił namiotu. Begay i Becenti weszli na wzgórze, by się lepiej przyjrzeć, i stwierdzili, że maszyna wylądowała na lądowisku dla helikopterów półtora kilometra dalej.

- Przybyli po nas? - spytał Willy Becenti.
- Nie mam pojęcia - odrzekł Begay, obserwując.

Ze śmigłowca wyskakiwali mężczyźni z bronią. Po włamaniu się do hangaru wyprowadzili stamtąd dwa hummery i zaczęli przenosić do nich sprzęt.

Begay pokręcił głową.

- To chyba nie ma nic wspólnego z nami.
- Jesteś pewien?

Becenti wydawał się zawiedziony.

- Nie jestem. Może podejźmy bliżej, żeby się lepiej przyrzyć.

Spojrzał na Becentiego i dostrzegł pełen ekscytacji niepokój w jego oczach. Położył dłoń na jego ramieniu.

- Tylko zachowaj spokój, dobra?

Stanton Lockwood odsunął mankiet, by zerknąć na roleksa. Za kwadrans druga w nocy. O północy prezydent wezwał grupę operacyjną FBI i teraz operacja była już w toku. Kilka minut temu maszyna z jednostką do uwalniania zakładników wylądowała na lądowisku dla helikopterów. Obecnie przenoszono sprzęt do humvee, by dotrzeć nimi prawie kilometr dalej, do strefy chronionej przy krawędzi klifu, dokładnie nad wejściem do Bunkra.

W Gabinetcie Ovalnym panowała napięta atmosfera. Jean, sekretarka prezydenta, potrzasała zmęczoną od pisania ręką.

- Pierwszy hunwee załadowany - oznajmił dyrektor FBI, który na bieżąco relacjonował wydarzenia. - Wciąż nikogo nie widać. Wszyscy są na dole, w Bunkrze, tak jak przypuszczaliśmy.

- Nie ma szans, by się z nimi skontaktować?

- Nie. Wszelka łączność między lądowiskiem a Bunkrem została zerwana.

Lockwood poruszył się na krześle. Szukał w myślach logicznego wyjaśnienia. Na próżno.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i wszedł Roger Morton, niosąc kilka kartek papieru. Lockwood podążył za nim wzrokiem. Nigdy nie lubił tego człowieka, ale teraz wręcz go nienawidził, jego okularów w rogowej oprawie, jego nieskazitelnego garnituru i krawata, który wyglądał, jakby był przyklejony do koszuli. Morton stanowił kwintesencję waszyngtońskiego pracownika. Lockwood z kwaśną miną patrzył, jak Morton konferuje z prezydentem, głowa przy głowie, spoglądając na kartkę papieru. Przywołał do siebie Galdonea i wszyscy trzej długo na nią patrzyli.

Prezydent spojrział na Lockwooda.

- Stan, rzuć na to okiem.

Lockwood wstał i dołączył do grupy. Prezydent podał mu wydruk e-maila. Lockwood zaczął czytać:

Drodzy przyjaciele w Chrystusie...

- Jest w całym internecie - rzekł Morton, zanim jeszcze Lockwood skończył czytać. - Dosłownie wszędzie.

Lockwood pokręcił głową i odłożył list na stół.

- To przygnębiające, że w Ameryce w dwudziestym pierwszym wieku takie myślenie rodem ze średniowiecznego ciemnego grodu wciąż ma się dobrze.

Prezydent spojrział na niego.

- Ten list jest bardziej niż przygnębiający, Stan. To wezwa nie do zbrojnego ataku na placówkę rządową.

- Nie traktowałbym tego tak poważnie, panie prezydencie. Ten list nie zawiera wskazówek, planu działania czy miejsca spotkania. On tylko nawołuje do działania, nic więcej. To papierowy tygrys. Mnóstwo takich listów krąży w sieci każdego dnia. Proszę spojrzeć, ile osób przeczytało cykl *Powieść o czasach ostatecznych*. A jednak ludzie ci nie wyszli na ulicę.

Morton spojrział na niego z pasywną wrogością.

- Lockwood, ten list został przesłany do tysięcy witryn w sieci. Krąży tam jak szalony. Musimy potraktować to poważnie.

Prezydent westchnął.

- Stan, chciałbym być w tej sprawie takim optymistą jak ty. Ale ten list, a wcześniej to kazanie... - Pokręcił głową. - Musimy przygotować się na najgorsze.

Galdone odetchnął, zamierzając coś powiedzieć.

- Ludzie, którzy sądzą, że nadchodzi koniec świata, są zdolni do pochopnych działań. A nawet przemocy.

- Chrześcijaństwo to religia nienawołująca do przemocy - zauważył Lockwood.

- Nie kwestionujemy niczyich przekonań religijnych, Stan - rzucił ostro prezydent. - Musimy jednak zdać sobie sprawę z tego, że to wrażliwy obszar, którego ludzie są skłonni zawzięcie bronić.

Rzucił list na stół i odwrócił się do dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

- Gdzie jest najbliższa jednostka Gwardii Narodowej?

- To Camp Navajo w Bellemont, na północ od Flagstaff.

- Jak to daleko od Red Mesy?

- Jakieś dwieście kilometrów.

- Zmobilizujcie ich i przewieźcie śmigłowcami do Red Mesy jako wsparcie.

- Tak jest, panie prezydencie. Niestety połowa jednostki przebywa obecnie poza granicami kraju, a ich wyposażenie i maszyny bojowe nie są tym, czego mógłby pan sobie życzyć w wypadku takiej operacji.

- Jak szybko mógłby pan uzupełnić niedobory i przywrócić jednostce pełną sprawność bojową?

- Moglibyśmy sprowadzić sprzęt i ludzi z baz Phoenix i Nellis. To zajęłoby od trzech do pięciu godzin.

- Pięć to za długo. Postarajcie się w trzy. Chcę, żeby byli w powietrzu do czwartej czterdzieści pięć rano.

- Czwarta czterdzieści pięć rano - powtórzył dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. - Tak jest, panie prezydencie.

- Powiadomcie po cichu policję stanową w Arizonie, niech podwoją patrole i donoszą o nadzwyczajnym ruchu na autostradach i mniejszych drogach w okolicy rezerwatu Nawahów. Niech będą gotowi na jak najszybsze rozstawienie blokad.

L

- Tak jest, panie prezydencie.
- W Pinon - wtrącił się Lockwood - jest niewielki posterunek indiańskiej policji plemiennej, jakieś trzydzieści kilometrów od Red Mesy.
 - Doskonale. Niech wyślą patrol na drogę do Red Mesy, że by sprawdzić sytuację.
 - Oczywiście, panie prezydencie.
 - Chcę, żeby to zrobiono po cichu. Jeżeli przesadzimy z reakcją, chrześcijanie nam dokopią. Oskarżą nas, że jesteśmy bezbożnymi liberałami pałającymi nienawiścią do Jezusa i do religii w ogóle. Ci ludzie są gotowi powiedzieć wszystko. - Prezydent rozejrzał się po pokoju. - Jakież inne zalecenia?
 - Nie było żadnych. Odwrócił się do Lockwooda.
 - Obyś miał rację. Bóg raczy wiedzieć, ale możemy mieć dziewięć tysięcy kretynów zmierzających obecnie do Red Mesy.

Ford poczuł strużkę potu ściekającego mu po karku. Na Mostku robiło się coraz goręcej, mimo iż system klimatyzacji pracował pełną parą. Isabella śpiewała i buczała, ściany wibrowały. Spojrzał na Kate, ale ona nie odrywała wzroku od ekranu wizualizatora.

Kiedy wszechświat osiągnie stan maksymalnej entropii, obliczanie w skali kosmicznej zostanie zahamowane. I umrę.

- Czy to nieuniknione, nie istnieje sposób, by to powstrzymać?
- spytał Hazelius.

To właśnie pytanie, na które musicie odpowiedzieć.

- A więc to jest ostateczny cel istnienia? - zapytał Ford. - Po konanie tej tajemniczej cieplnej śmierci? Brzmi jak pomysł rodem z powieści fantastycznonaukowej.

Zapobieżenie cieplnej śmierci to tylko jeden krok z wielu na długiej drodze.

- Na drodze do czego? - drążył Hazelius.

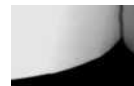
Da on wszechświatowi dość czasu. Tyle, ile jest mu potrzebne, by myślowo osiągnąć stan finalny.

- Co jest tym stanem finalnym?

Nie wiem. To coś, czego ani wy, ani nawet ja nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

- Wspomniałeś o odpowiednio długim czasie - zauważył Edelstein. - Ile konkretnie?

*Będzie to liczba lat równa dziesięć silnia podniesiona do dziesięć silnia, podniesiona do dziesięć silnia, podniesiona do dziesięć silnia i powtórzona w ten sposób 10^3 razy, a osiągnięty wynik podniesiony do jej własnej silnia 10^{*7} razy jak powyżej. Używając zapisu matematycznego, ta liczba - pierwsza liczba Boga - to:*



(10! TT io⁸³)^[(10f Tr 1083)]

Tyle właśnie czasu w latach potrzebuje wszechświat, by wyjściowo osiągnąć stan finalny, by uzyskać ostateczną odpowiedź.

- To absurdalnie wielka liczba!

Ale zaledwie kropla w bezmiarze oceanu nieskończoności.

- Gdzie jest w tym twoim nowym, wspaniałym wszechświecie miejsce na moralność i etykę? - zapytał Ford. - Albo na zbawienie i przebaczenie win?

Powtórzę raz jeszcze: odrębność jest iluzją. Istoty ludzkie są jak komórki dala. Komórki ciała umierają, ale ciało żyje dalej. Nienawiść, okrucieństwo, wojny i ludobójstwo są bardziej jak choroby układu immunologicznego niż dzieło czegoś, co nazywacie „złem”. Wizja połączenia, jaką oferuję, zapewnia szeroki zakres moralnych działań, w których altruizm, współczucie i wzajemna odpowiedzialność odgrywają zasadniczą rolę. Wasz los jest jeden, wspólny, istoty ludzkie albo wspólnie zwyciężą, albo umrą rozdzielone. Nikt nie jest zbawiony, ponieważ nikt nie jest zagubiony. Nikt nie dozna przebaczenia, ponieważ nikogo o nic się nie oskarża.

- A co z bożą obietnicą lepszego świata?

Wasze koncepcje nieba są wyjątkowo idiotyczne.

- Wybacz, ale zbawienie nie jest niczym idiotycznym!

Wizja duchowej jedności, jaką wam oferuję, jest niewypowiedzianie wznioślejsza aniżeli jakiegokolwiek niebo wyśnione na ziemi.

- A co z duszą? Czy zaprzeczasz istnieniu nieśmiertelnej duszy?

- Wyman, błagam! - krzyknął Hazellius. - Marnujecie czas nas wszystkich na idiotycznie absurdalne pytania teologiczne!

- Wybacz, ale to bardzo ważne pytania - wtrąciła Kate. - To pytania, które będą zadawać ludzie - i obyśmy potrafili na nie odpowiedzieć.

My? Ford zastanawiał się, kogo Kate miała na myśli.

Informacja nigdy nie ginie. Wraz ze śmiercią ciała informacje stworzone przez to życie zmieniają swój kształt i strukturę, ale nigdy nie przepadają. Śmierć jest przeniesieniem informacji. Nie lękajcie się jej.

- Czy wraz ze śmiercią tracimy swoją indywidualność? - za pytał Ford.

Nie oplakujcie straty. Z tego silnego poczucia jednostkowej odrębności, tak koniecznego dla ewolucji, wypływa wiele wartości, które naznaczają ludzką egzystencję na dobre i na złe: strach, ból, cierpienie i samotność, lecz także miłość, szczęście i współczucie. Właśnie dlatego musicie wyzwolić się od waszej biochemicznej egzystencji. Kiedy uwolnicie się od tyranii ciała, zabierzecie ze sobą wszystko, co dobre - miłość, szczęście, współczucie i altruizm. To, co złe, odrzucicie.

- Nie bardzo wierzę, że drobne fluktuacje kwantowe wytworzone dzięki mojemu istnieniu w jakiś sposób dadzą nam nie śmiertelność - stwierdził sarkastycznie Ford.

Powinnicie odnaleźć w tej wizji istnienia ogromną pociechę. Informacja nigdy nie ginie. Żaden urok, żadne wspomnienie, żadna chwila smutku z waszego życia nigdy nie zostaje zapomniana. Jako jednostka zatracacie się w wicherze czasu, wasze cząsteczki rozproszą się. Jednak to, kim byliście, co robiliście, jak żyliście, pozostanie na zawsze zapisane w treści uniwersalnego obliczania.

- Wybacz, ale to nadal brzmi tak mechanicznie, tak bezdusznie, kiedy mówisz o istnieniu jako obliczaniu.

Nazwij to snieniem, jeśli wolisz, pragnieniem, spełnieniem albo myśleniem. Wszystko, co widzicie, jest tylko częścią niewyobraźnego bezmiaru przepięknego obliczania, począwszy od dziecka wypowiadającego pierwsze słowo po gwiazdę wpadającą w otchłań czarnej dziury. Nasz wszechświat jest cudownym obliczaniem, które począwszy od pojedynczego, prostego aksjomatu trwa od trzynastu miliardów lat. A nasza przyгода dopiero się zaczyna! Kiedy znajdziecie sposób, aby zmienić wasze ograniczone przez materię procesy myślowe na inne, naturalne systemy

kwantowe, zaczniecie kontrolować to obliczanie. Zaczniecie pojmować jego piękno i doskonałość.

- Skoro wszystko jest obliczaniem, to co jest celem inteligencji? Umysłu?

Inteligencja istnieje wszędzie wokół was, nawet w tym, co nieożywione. Burza z piorunami jest obliczaniem o wiele bardziej złożonym aniżeli umysł ludzki. I na swój sposób inteligentnym.

- Burza nie ma świadomości. A ludzki umysł ma samoświadczość. Jest świadomy. To zasadnicza, bynajmniej nie błaha, różnica.

Czy nie powiedziałem wam, że samoświadomość jako taka jest iluzją, wytworem ewolucji? Różnica nie jest nawet błaha.

- Pogoda nie jest twórcza. Nie dokonuje wyborów. Nie potrafi myśleć. To jedynie mechanistyczne uwolnienie pewnych **sił**.

Skąd wiecie, że sami nie jesteście mechanistycznym uwolnieniem pewnych sił? Tak jak umysł, pogoda również zawiera złożone wartości chemiczne, elektryczne i mechaniczne. Jest myśląca. Jest twórcza. Jej myśli różnią się od waszych, istota ludzka tworzy złożoność, pisząc powieść na powierzchni papieru; pogoda tworzy złożoność, pisząc fale na powierzchni oceanu. Jaka jest różnica pomiędzy informacją zawartą w treści książki a informacją zawartą w falach morza? Słuchajcie, a fale przemówią, i któregoś dnia, zaręczam, zapiszecie wasze myśli na powierzchni morza.

- Co zatem oblicza wszechświat? - ciągnął gniewnie Innes. - Jak wielki problem usiłuje rozwiązać?

To najgłębsza i najcudowniejsza z wszystkich tajemnic.

- Alarm na parymetrze - rzekł Wardlaw. - Mamy intruza.

Hazelius się odwrócił.

- Nie mów mi, że kaznodzieja wrócił.

- Nie, nie... na Boga, nie. Doktorze Hazelius, lepiej niech pan rzuci na to okiem.

Ford i pozostali podchodzili za Hazeliusem do stanowiska ochrony. Spojrzeli ponad ramieniem Wardława na monitory.

- Co, u licha? - rzucił Hazelius.

Wardław wcisnął kilka guzików.

- Nie powinienem był zwracać uwagi na te szalone teksty na ekranie. Przewinę taśmę... Tu się zaczyna. To śmigłowiec... wojskowy black hawk UH-60A. Ląduje.

Wszyscy stali i patrzyli jak zahipnotyzowani. Ford zobaczył, jak mężczyźni w czarnych kombinezonach, uzbrojeni, wyskakują ze śmigłowca.

- Włamują się do hangarów - ciągnął Wardław - zabierają nasze hunwee. Załadowują je... Teraz forsują bramę do obszaru strefy chronionej... To uruchomiło alarm. Dobra, teraz to, co widzimy, dzieje się na bieżąco.

Ford patrzył, jak żołnierze, czy kimkolwiek byli ci ludzie, wyskakują z hunwee i zajmują pozycje w szyku, z bronią w gotowości.

- Co się dzieje? Co oni robią, u licha? - zawołał Hazelius z niepokojem w głosie.

- To wstęp do klasycznego ataku na parimetr - odparł Wardław.

- Ataku? Ale na co?

- Na nas.

Russ Eddy przykucnął za jednym z jałowców i zajrzał w głąb strefy chronionej. Faceci w czerni sforsowali ogrodzenie i właśnie rozstawiali oświetlenie i wyjmowali sprzęt z dwóch humvee. Nie wątpił, że ludzi tych wysłano, by ochraniać projekt Isabella w odpowiedzi na jego list. To zbyt duży zbieg okoliczności, aby mogło być inaczej. Paramilitarne Oddziały Nowego Porządku Świata przybyły na pokładzie czarnych helikopterów, jak przewidywał Mark Koernke.

Eddy wiedział, że jego list dotarł do ludzi sprawujących władzę.

Ostrożnie policzył, ilu przyleciało, jaką mieli broń, jakim sprzętem dysponowali, i zapisał wszystko w notesie.

Żołnierze zakończyli rozstawianie przenośnego oświetlenia i cały teren skąpało silne białe światło. Eddy wycofał się w głąb cieni i wrócił na drogę. Dość już widział. Armia Boga wkrótce zacznie się zjeżdzać i musiał zająć się jej organizacją.

Gdy wracał w stronę krańca płaskowyżu, w miejscu, gdzie docierała tam Dugway, w jego głowie zaczął się formułować plan. Najpierw będzie potrzebne miejsce do zaparkowania pojazdów i przegrupowania się z dala od Isabelli, aby ludzie mogli się zebrać w zwartą grupę niezauważeni. Musieli się zebrać, zorganizować i zaatakować. A na samym końcu Dugway, jakieś pięć kilometrów od Isabelli, znajdowała się rozległa połać płaskiej nagiej skały, która mogła zapewnić im to, czego potrzebowali.

Spojrzał na zegarek: jedenasta czterdzieści pięć. Minęły dwie godziny, odkąd rozesłał e-maile. Ludzie mogli zacząć się zjeżdzać łąda chwila. Zaczął biec środkiem drogi, by zatrzymać każdy nadjeżdżający pojazd.

Niecały kilometr od Dugway usłyszał odgłos motocyklowego silnika. Pojedyncze światło pojawiło się ponad obrzeżem płaskowyzu i szybko zbliżało się ku niemu. Światło zwolniło, spowijając Eddyego, i tuż przed pastorem zatrzymał się zdezelowany motocykl prowadzony przez muskularnego mężczyznę o drugich blond włosach związanych w kucyk, ubranego w rozpiętą kurtkę dżinsową z powyrywanyymi rękawami i nienoszącego pod nią koszuli. Oblicze mężczyzny było przystojne, jak wykute z kamienia, ten facet wyglądał jak gwiazdor filmowy albo grecki bóg. Na szyi miał zawieszony ciężki żelazny krzyż na metalowym łańcuszku sięgającym aż do jego owłosionego torsu.

Kiedy motor się zatrzymał, mężczyzna postawił na asfalcie stopy w ciężkich wysokich butach, ustabilizował maszynę i uśmiechnął się.

- Pastor Eddy?

Z bijącym mocno sercem Eddy postąpił naprzód.

- Witam cię w imię Jezusa Chrystusa.

Mężczyzna kopnięciem stopy opuścił nóżkę, wstał z motocykla - był naprawdę ogromny, i podszedł do Eddyego, szeroko rozkładając ramiona. Uściskał go serdecznie, zapach jego ciała był powalający, po czym cofnął się o krok i czule zacisnął dłonie na jego ramionach.

- Randy Doke. - Ponownie uściskał pastora. - Rany, czło wieku, czyżbym był pierwszy?

- Zgadza się.

- Nie do wiary, że tu dotarłem. Kiedy zobaczyłem twój list, wskoczyłem na mój kawasaki i przyjechałem aż z Halbbrook. Na przelaj, przez pustynię, forsując ogrodzenia i gnając jak jasna cholera. Dojechałbym wcześniej, ale zaliczyłem upadek przy Second Mesie. Nie do wiary, że tu jestem. Słowo daję, sam w to nie wierzę, stary.

Eddy poczuł przyływ dodającej wiary, ożywczej energii.

Mężczyzna rozejrzał się wokół.

- To... co teraz?

- Módlmy się.

Pastor ujął szorstkie dłonie Dokea i obaj pochylili głowy.

- Boże Wszechmogący, otocz nas swymi aniołami, niechaj rozłożą skrzydła i dobywszy mieczy, chronią nas i wiodą nas, słu gi Twoje, do zwycięstwa w walce z Antychrystem. W imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa, amen.

- Amen, bracie.

Mężczyzna miał głęboki dźwięczny głos, który dodawał Eddyemu otuchy i odwagi. Ten człowiek wiedział, co robić.

Doke podszedł do motocykla, wyciągnął strzelbę ze skórzane go pokrowca przy siedzeniu i zarzucił sobie na ukoś przez plecy. Wyjąwszy bandolier z nabojami, przerzucił go przez drugie ra mię, dzięki czemu wyglądał teraz jak partyzant albo bojownik z dawnych czasów. Uśmiechnął się do Eddyego i zasalutował.

- Brat Randy zgłasza się do służby w Armii Boga!

Pojawiły się światła kolejnych reflektorów - powoli, niepew nie. Zakurzony jeep z opuszczonym brezentowym dachem za trzymał się obok nich. Z samochodu wysiedli mężczyzna i kobie ta. Eddy rozłożył ręce i uściskał ich, najpierw mężczyznę, a potem kobietę. Oboje rozplakali się, łzy spływały strużkami po ich zakurzonych twarzach.

- Witajcie, przyjaciele w Chrystusie.

Mężczyzna miał na sobie zakurzony garnitur. Trzymał w dło ni Biblię. Za pasek miał zatknięty wielki nóż kuchenny. Kobieta przypięła do bluzki kilka kartek papieru, które trzepotały, kiedy szła. Eddy zauważył, że były to cytaty z Biblii i hasła: *Ufajcie i bądźcie posłuszni... Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię... A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata.*

- Zgarnęłam je z lodówki - powiedziała.

Sięgnęła do samochodu i wyjęła kij baseballowy.

- Modliliśmy się bardzo długo, ale nie mogliśmy się zdecydować - rzekł mężczyzna. - Czy Bóg pragnie, byśmy walczyli Jego Słowem, czy z użyciem prawdziwej broni?

Stali przed Eddym, oczekując na polecenia.

- To oczywiście - powiedział. - Czekajcie na walkę. Prawdziwa walka.

- Cieszę się, że wzięliśmy to ze sobą.

- Zjedźcie się tu sporo ludzi - ciągnął Eddy. - Setki, może nawet tysiące. Potrzebujemy miejsca, gdzie moglibyśmy ich wszystkich zebrać i się przygotować. Potrzebna nam baza operacyjna. To będzie tam, po prawej.

Skinął w stronę rozległej połaci nagiej skały i piasku, bladego w świetle księżyca, który pojawił się właśnie nad krawędzią płaskowyżu.

- Randy, nie bez powodu Bóg przywiódł cię do mnie pierwszego. Będziesz moją prawą ręką. Moim generałem. Ty i ja zbierzemy wszystkich w tym miejscu i obmyślimy plan... naszego ataku.

Teraz, kiedy to naprawdę się działo, trudno mu było wypowiedzieć te słowa.

Randy tylko skinął głową. Eddy dostrzegł, że i on ma wilgotne oczy. Był szczerze wzruszony.

- Wy dwoje zablokujecie drogę swoim jeepem, żeby zatrzymać każdego, kto chciałby dotrzeć do Isabelli. Potrzebny nam element zaskoczenia. Niech wszyscy zjadą z drogi i zaparkują tam, na tej wolnej przestrzeni. Randy i ja będziemy na tamtym wzgórzu. Będziemy czekać. Nie ruszymy na Isabellę, dopóki nie będzie nas dostatecznie dużo.

U wylotu Dugway pojawiły się kolejne światła.

- Isabella znajduje się o jakieś pięć kilometrów stąd. Musimy zachowywać się cicho, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment do ataku. Dopilnujcie, żeby nikt nie bawił się bronią i przypadkiem bądź też celowo nie zaczął strzelać. Nie chcemy, żeby Antychryst zorientował się, że nadchodzimy, dopóki nie zbierze się nas dostatecznie wielu.

- Amen - odpowiedzieli.

Eddy się uśmiechnął.

Amen.

O drugiej w nocy wielebny Don T. Spates siedział przy biurku w swoim gabinecie na tyłach Srebrnej Katedry. Kilka godzin wcześniej zadzwonił do Charlesa i swojej sekretarki, do ich do mów, i poprosił, by przyjechali odbierać telefony i e-maile. Miał przed sobą plik e-maili, które wybrał Charles, zanim padł serwer poczty elektronicznej. Obok znajdował się plik wiadomości telefonicznych. Słyszał, że telefon w drugim gabinecie dzwonił nieustannie.

Spates próbował ogarnąć to, co się działo.

Ciche pukanie do drzwi: zjawiała się jego sekretarka, niosąc kolejną kawę. Postawiła ją na stole wraz z porcelanowym talerzykiem z ciastkiem z orzechami makadamii.

- Nie chcę ciastka.
- Tak, wielebny.
- I przestań odbierać telefony. Odłóż słuchawkę.
- Tak, wielebny.

Talerzyk i ciastko zniknęły razem z sekretarką. Odprowadził ją pełnym rozdrażnienia wzrokiem. Jej fryzura nie była lśniąca

I nienaganna jak zazwyczaj, sukienkę miała wymiętą, a bez maki jażu wyglądała jak wyfiokowana jędrza. Chyba wyrwał ją z łóżka, kiedy zadzwonił, ale mimo wszystko mogła się postarać.

Gdy drzwi się zamknęły, wyjął z zamykanej na klucz szuflady butelkę wódki i dołączył porcyjkę do kawy. Następnie odwrócił się do komputera. Jego strona internetowa także nie wytrzymała natłoku informacji i cała sieć działała dziwnie ospale. Z trudem przebijał się przez znajome witryny chrześcijańskie. Niektóre z tych wielkich, jak chwilajestbliska.com, także padły. Inne

strasznie się ślimaczyły. Odzew na list Eddy'ego był niewiarygodny. Na niektórych działających jeszcze chrześcijańskich czatach roilo się od rozhisteryzowanych ludzi. Wielu informowało, że zamierza odpowiedzieć na wezwanie.

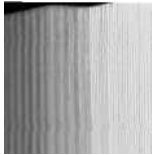
Spates obficie się poccił, choć w pokoju było chłodno, i w dodatku swędziała go szyja przy kołnierzyku. List Eddyego, który przeczytał ze dwadzieścia razy, nielecho go wystraszył. Autor nakłaniał do otwartego ataku na obiekt rządowy, a w liście wymienione zostało nazwisko Spatesa. To oczywiste, że obarczą go winą. Z drugiej strony, dywagował Spates, ten jawny pokaz chrześcijańskiej potęgi i gniewu mógł wyjść im wszystkim na dobre. Zbyt długo już chrześcijanie byli dyskryminowani we własnym kraju, ten incydent będzie dla całej Ameryki sygnałem do przebudzenia. Politycy i rząd ujrzą wreszcie potęgę chrześcijańskiej większości. I to on, Spates, zapoczątkował tę rewolucję. Robertson, Falwell, Swaggart przez lata głosili Słowo Boże, ale pomimo władzy i pieniędzy nigdy nie zdołali osiągnąć czegoś takiego.

Spates surfował po sieci w poszukiwaniu informacji, ale odnajdował jedynie jad, gniew i histerię. Oraz tysiące kopii listu. Wtem w jego umyśle zakiełkowała nowa niepokojąca idea i raz jeszcze spojrzął na list.

A jeśli Eddy ma rację?

Przeszył go nagły dreszcz. Nie był gotowy pożegnać się z tym życiem. Nie mógł znieść myśli, że wszystkie jego pieniądze, jego katedra i programy mogłyby zniknąć.

Zaraz potem pojawiła się jeszcze bardziej niepokojąca myśl: jak zostałby osądzony przez Pana w Dniu Sądu Ostatecznego? Czy Bóg był z niego zadowolony? Wszystkie grzechy Spatesa wychynęły, by go nękać. Kłamstwa, oszustwa, zdrady, kobiety i błyszczące podarunki, jakie kupował im za pieniądze z datków



od wiernych. Najbardziej przeraziło go, gdy przypomniał sobie, jak któregoś dnia poczuł nagły przyływ pożądania wobec zauważonego na ulicy chłopca. Wszystkie te grzechy, wielkie i małe, wypełniły jego umysł, domagając się dostrzeżenia i rozważenia.

Ogarnęły go strach, poczucie winy i rozpacz. Bóg widział wszystko. Wszystko. *Przebacz mi, Boże, przebacz mi, Twemu niegodnemu służce*, modlił się żarliwie, aż w końcu z niemałym wysiłkiem wepchnął swoje grzechy do mrocznej jaskini w głębi swojego umysłu. Bóg już mu przebaczył - dlaczego tak się przejmował?

Poza tym to nie mogło być Drugie Przyjście. Co, u licha, go opętało? Eddy był świrem. To oczywiste. Spates wiedział o tym od pierwszej chwili, kiedy usłyszał jego wysoki, łamiący się głos przez telefon. Każdy, kto mieszka na środku pustyni z bandą Indian, prawie dwieście kilometrów od przyzwoitej restauracji, musi być przecież nienormalny. Znow przeczytał list tamtego, wypatrując oznak szaleństwa, i ogarnęła go nowa fala trwogi. Ten list brzmiał przekonująco. Miał w sobie siłę. To nie były rojenia szaleńca. A najbardziej niepokojące było to zliczanie odpowiedników liczbowych liter w słowach „Arizona” i „Isabella”, z których każde dawało 666.

Boże, ależ się pocił.

Otworzył przeszklone drzwiczki regału na książki z wiśniowego drewna, wyjął gruby wolumin i otworzył na tablicach gematrii. Odnalazł hebrajskie litery i zapisał ich liczby na kartce papieru. Równocześnie zauważył, że Eddy źle wpisał niektóre z hebrajskich liter i błędnie przyporządkował kilka liczb. Dobrał odpowiednie litery i liczby i dodał je drżącą ręką. Żaden z wyników nie był równy 666.

Usiadł wygodnie, oddychając z ulgą. To była jedna wielka farsa, tak jak przypuszczał. Odniosł wrażenie, jakby anioł spłynął z nieba i podźwignął go z jeziora gorejącej siarki. Wyjąwszy



z kieszeni lnianą chustkę, otarł nią pot z czoła i skóry wokół oczu. Niepokój powrócił. Bóg mógł go oszczędzić. Ale co z mediami? Co z rządem? Czy mógł zostać oskarżony o podżeganie do przemocy lub coś gorszego? Lepiej obudzi swojego adwokata, póki jeszcze mógł to zrobić. Musiał istnieć jakiś sposób, aby zrzucić winę za to wszystko na Crawleya. Bądź co bądź Crawley to wszystko zaczął.

Poluzował kołnierzyk, aby dać odrobinę wytchnienia rozgrzanej, lepkiej od potu szyi. Wciągnięcie w tę sprawę szurniętego pastora Eddyego było błędem. Ten facet był niebezpieczny. Głupiec, głupiec, głupiec.

Weisnął przycisk interkomu.

- Charles, jesteś mi potrzebny.

Zwykle gorliwy i obowiązkowy młodzieniec się nie pojawił.

- Charles, potrzebuję cię.

Drzwi otworzyła jego sekretarka. Wyglądała jeszcze gorzej niż kiedykolwiek.

- Charles wyszedł - rzekła beznamiętnie.

- Nigdzie go nie wysyłałem.

- Pojechał do Isabelli.

Spates patrzył na nią, nie podnosząc się z fotela. Nie do wiary, Charles?

- Wyjechał jakieś dziesięć minut temu. Powiedział, że Bóg go wezwał. I wyszedł.

- Na miłość boską!

Spates rąbnął pięścią w blat biurka. I w tej samej chwili zauważył, że kobieta ma na sobie płaszcz, a w ręku trzyma torebkę.

- Nie mów mi, że wybierasz się w ślad za tym matolem!

- Nie - odrzekła. - Jadę do domu.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Jesteś mi potrzebna aż do rana. Połącz mnie z moim adwokatem Ralphem Dobsonem.

Niech tu jak najszybciej przyjedzie. Jeżeli nie zauważyłaś, mam tu dość poważny problem.

- Nie.
- Nie? Co „nie”? Co to ma znaczyć?
- To znaczy, że już dla pana nie pracuję, panie Spates.
- O czym ty mówisz?

Uniosła torebkę przed sobą jak do obrony.

- Jest pan podłą gnidą.

Odwróciła się sztywno i wyszła.

Spates usłyszał dźwięk starannie zamykanych drzwi - a potem zapadła cisza.

Wielebny siedział przy biurku, samotny, ociekający potem - i bardzo, ale to bardzo przerażony.

Słowo „atak” ciężko zawisło w powietrzu. Pozostali podeszli bliżej i wpatrywali się w główny monitor ochrony. Na ekranie widać było obraz z kamery zamontowanej nad windą i ukazującej z lotu ptaka, co się działo. Na skraju klifów nad Isabellą Ford dostrzegł grupę czarno ubranych mężczyzn rozstawiających sprzęt i szykujących liny oraz broń. Najwyraźniej zamierzali opuścić się w dół do bazy operacyjnej. Kate podeszła do niego i znów ujęła go za rękę. Jej dłoń była spocona i drżąca.

- Atak? Ale dlaczego? - przerwał zatrwającą ciszę George Innes.

- Nie mogą się z nami skontaktować - rzekł Wardlaw. - To ich odpowiedź.

- To jakaś absurdalnie przesadna reakcja!

Wardlaw odwrócił się do Dolby ego.

- Ken, musimy natychmiast przywrócić łączność i to odwołać.

- Nie mogę tego zrobić, nie wyłączając Isabelli. Jak dobrze wiecie, Isabellą ma firewall, które całkowicie odcinają ją od świata zewnętrznego. Za sprawą odpowiednich programów nie ma mowy o uruchomieniu systemu łączności, dopóki Isabellą nie zostanie wyłączona.

- Zrestartuj główny komputer i przełącz sterowanie z serwerów.

- To zajęłoby co najmniej godzinę, biorąc pod uwagę ponowne uruchomienie i rekonfigurację komputera głównego.

Wardlaw zaklął.

- W porządku, wobec tego pojedę na górę i wyjaśnię sytuację osobiście.

*

Odwrócił się w stronę drzwi.

- Nie zrobisz tego - rzekł Hazelius.

Wardlaw spojrział na niego.

- Nie rozumiem.

Hazelius bez słowa wskazał w stronę ekranu powyżej. Pojawiła się na nim nowa wiadomość.

Mamy mało czasu. To, co muszę wam teraz powiedzieć, jest sprawą najwyższej wagi.

Wardlaw popatrzył w panice na Hazeliusa. Przeniósł wzrok z ekranu na monitory ochrony i z powrotem.

- Nie możemy ich powstrzymać przed wejściem tutaj. Muszę otworzyć główne drzwi.

- Tony - rzekł Hazelius cichym, pełnym napięcia głosem - za stanów się przez chwilę, co się dzieje. Otworzysz te drzwi, a ta rozmowa z... Bogiem, czy czymkolwiek jest to coś, dobiegnie końca.

Jabłko Adama na szyi Wardlawia uniosło się i opadło, gdy przelknął ślinę.

- Z Bogiem?

- Zgadza się, Tony. Z Bogiem. To całkiem możliwe. Na wiązaliśmy kontakt z Bogiem, tyle że to Bóg większy i bardziej niepoznawalny niż wszystko, co kiedykolwiek śniło się całej ludzkości.

Nikt się nie odezwał.

Hazelius mówił dalej:

- Tony, możemy kupić sobie trochę czasu, i to praktycznie bez żadnych konsekwencji. Powiemy im, że drzwi nie działały, system łączności padł, podobnie jak komputer. Możemy się z tego wymigać. Możemy nie otworzyć drzwi, a mimo to uniknąć poważniejszych oskarżeń.

- Oni mają ładunki wybuchowe. Wyszadzą drzwi - rzekł nerwowym tonem Wardlaw. Miał ściśnięte gardło.

- Niech wysadzają - odparł Hazelius. Delikatnie ścisnął Wardlaw za ramię i potrząsnął nim, jakby chciał go obudzić. - Tony, Tony. Możliwe, że rozmawiamy z Bogiem. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem - odparł po chwili Wardlaw.

Hazelius rozejrzył się dokoła.

- Czy wszyscy w to wchodzimy?

Zatrzymał spojrzenie na Fordzie, chyba dostrzegł sceptyczny wyraz malujący się na jego twarzy.

- Wyman?

- Zdumiewasz mnie. Bierzesz pod uwagę, że możemy rozmawiać z Bogiem?

- Jeżeli nie z Bogiem, to z kim? - spytał Hazelius.

Ford spojrzał na pozostałych. Zastanawiał się, kto jeszcze widzi, że Hazelius jest bliski popadnięcia w obłąd.

- Tak jak mówiłeś od początku. To oszustwo. Mistyfikacja. Sabotaż.

- Jeżeli tak uważasz, to żal mi cię, Wyman - odezwała się Melissa Corcoran.

Ford odwrócił się do niej zaskoczony. To, co ujrzał w jej twarzy, kompletnie go zaskoczyło. Nie była już niepewną siebie, młodą, zagubioną kobietą poszukującą miłości. Promieniowała spokojem, a jej oczy lśniły odwagą.

- Myślisz, że to Bóg? - zapytał z niedowierzaniem Ford.

- Nie wiem, czemu tak cię to dziwi - odparła. - Nie wierzysz w Boga?

- Wierzę, ale to nie jest Bóg.

- Skąd wiesz?

Ford zawahał się.

- Daj spokój. Bóg nigdy nie skontaktowałby się z nami w tak szalony sposób.

- Uważasz, że to mniej szalone, gdy Bóg czyni brzemienne dziewczycę, aby porodziła syna, który z kolei zacznie głosić na ziemi dobrą nowinę?

Ford nie wierzył własnym uszom.

- Mówię wam, to nie jest Bóg.

Corcoran pokręciła głową.

- Nie rozumiesz, co się tu dzieje? Nic nie chwytasz? Dokonałiśmy największego odkrycia na świecie. Odkryliśmy Boga.

Ford zlustrował wzrokiem całą grupę. Na koniec spojrzął w oczy Kate stojącej tuż przy nim. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie nawzajem. Nie mógł uwierzyć w to, co ujrzał - jej oczy pałały emocjami. Ścisnęła go za rękę, puściła ją i uśmiechnęła się.

- Wybacz. Wiesz, że Melissa i ja niezbyt się lubiłyśmy. Ale teraz... no cóż.

Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Corcoran.

- Zgadza się z nią.

Ford patrzył na dwie pojednane przeciwniczki.

- Jak racjonalny człowiek może pomyśleć, że to... coś... - Wskazał na ekran. - Jest Bogiem?

- Zastanawia mnie - odparła ze spokojem Kate - że ty tego nie potrafisz zrozumieć. Rozważ dowody. Choćby wyrwa w czasoprzestrzeni. Ona jest naprawdę. Dokonałam obliczeń. To tunel podprzestrzenny albo czasoprzestrzenny do wszechświata równoległego. Wszechświata, który istnieje obok naszego niewiarygodnie blisko, prawie, choć nie do końca, stykając się z naszym, jakby oba te wszechświaty były kulką zwiniętą z dwóch kartek papieru. Wybiliśmy dziurę w naszej kartce, by ujrzeć maleńki wycinek wszechświata istniejącego obok nas. A w tym równoległym wszechświecie... żyje Bóg.

- Chyba nie mówisz tego serio, Kate.

- Zapomnij o wszystkim innym, Wyman, i po prostu wsłuchaj się w słowa. Tylko w słowa. Pierwszy raz w życiu usłyszałam prostą prawdę. To jak dźwięk dzwonów po latach ciszy. To, co... to, co mówi Bóg, jest niesamowicie prawdziwe.

Ford powiódł wzrokiem dokoła i zatrzymał spojrzenie na Edelsteinie. Na Edelsteinie, ostatecznym sceptyku. Ciemne, przepełnione triumfem oczy odnalazły jego spojrzenie.

- Pomóż mi, Alan.

- Nigdy nie szukałem Boga - rzekł Edelstein. - Przez całe życie byłem zdeklarowanym ateistą. Nie potrzebuję i nigdy nie będę potrzebował Boga.

- Przynajmniej ktoś się ze mną zgadza - powiedział z ulgą Ford. Edelstein się uśmiechnął.

- Co czyni moje nawrócenie tym bardziej znaczącym.

- Twoje nawrócenie?

- Zgadza się.

- Ty... uwierzyłeś?

- Oczywiście. Jestem matematykiem. Żyję i umrę zgodnie z logiką. A zgodnie z logiką to coś, co do nas przemawia, należy do istot wyższych. Nazwij to Bogiem, Siłą Sprawczą, Wielkim Duchem, nazwa się nie liczy.

- Ja uważam, że to oszustwo.

- Gdzie masz na to dowody? Żaden programista nigdy nie napisał kodu, który przeszedłby test Turinga. Żaden komputer, nawet ten, który stanowi mózg Isabelli, nie dysponuje prawdziwą sztuczną inteligencją. Nie potrafię wyjaśnić, skąd to znało liczby Kate albo imiona Gregory ego. Co ważniejsze, podobnie jak Kate dostrzegam głęboką prawdę zawartą w tych słowach. Jeżeli to nie Bóg, musi to być jakaś wysoce inteligentna istota, z tego lub innego wszechświata, a co za tym idzie, nadprzyrodzona. Tak, rozumiem to dosłownie. Najprostsze rozwiązanie jest zwykle najwłaściwsze. Brzytwa Ockhama.

- Poza tym - dodała Chen - informacje nadchodzą wprost z punktu zero. Jak to wytłumaczysz?

Ford spojrział na pozostałych, na czarne, delikatne oblicze Dolby ego wilgotne od łez i rozdygotaną jak w delirium drobną Julie Thibodeaux... *To niewiarygodne*, pomyślał. *Oni wszyscy w to wierzą*. Twarz Michaela Cecchiniego, zwykle nieruchoma jak maska, nagle ożyła, promieniejąc wewnętrznym blaskiem... Rae Chen... Harlan St. Vincent... George Innes... oni wszyscy. Nawet Wardlaw, który w momencie nadzwyczajnej sytuacji kryzysowej przestał wlepić wzrok w monitory ochrony i patrzył na Hazeliusa z istic niewolniczym oddaniem i uwielbieniem.

Najwyraźniej przegapił mroczną i niepokojącą dynamikę w całym zespole. Nawet u Kate, zwłaszcza u Kate.

- Wyman, Wyman - rzekł kojąco Hazelius. - Ponoszą cię emocje. My staramy się myśleć. To robimy najlepiej.

Ford cofnął się o krok.

- Tu nie chodzi o Boga, tylko jakiś haker mówi wam to, co chcecie usłyszeć. A wy dajecie się na to nabrać.

- Tylko dlatego, że to wszystko jest prawdą - odparł Hazelius. - Podpowiada mi to mój intelekt i instynkt. Spójrz na nas: ja, Alan, Kate, Rae, Ken, my wszyscy. Czy wszyscy możemy się mylić? Mamy sceptycyzm we krwi. Jesteśmy nim przesiąknięci. Nikt nie może nam zarzucić ostrożności i wątpliwości. Co sprawia, że w tym wypadku wykazujesz się większą od nas rezerwą?

Ford nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Marnujemy cenny czas - rzekł Hazelius.

Odwrócił się spokojnie do ekranu i powiedział-

- Mów dalej, proszę. Słuchamy z uwagą.

Czy mogli mieć rację? Czy to może być Bóg? Ford z pośpną miną odwrócił się, by przeczytać kolejny komunikat.

Ze szczytu wzgórza, na skraju swojej bazy operacyjnej, mając u boku Dokea, Eddy obserwował sznur nadjeżdżających aut. Przez ostatnią godzinę zjechało się ich kilkaset od strony Dugway, najpierw motocykle terenowe, quady, jeepy, potem pikapy, motocykle, SUV-y i samochody osobowe. Przybywający opowiadali o kłopotach i utrudnieniach na drogach. Na międzystanowej 40, Route 89 przez Grey Mountain i Route 160 przy Cow Springs policja ustawiła blokady, ale wierni zdołali przedostać się na miejsce bocznymi drogami, których na terenie rezerwatu nie brakowało.

Pojazdy zaparkowano, jak się dało, przy końcu Dugway, ale Eddy uznał, że to akurat szczególnie bez większego znaczenia. Nikt nie pojedzie do domu. Udadzą się tam w inny sposób - zostaną wniebowzięci przez Boga.

Wśród przybywających byli też podejrzani osobnicy: hałaśliwi, pijani bądź będący pod wpływem narkotyków, słychać było płacz małych dzieci. Ci, którzy zjawili się wcześniej, rozdawali nowo przybyłym teksty modlitwy, cytaty z Biblii i fragmenty Słowa Bożego. Przynajmniej tysiąc wiernych zebrało się na otwartej przestrzeni u podnóża wzniesienia, czekając na polecenia. Wielu miało egzemplarze Biblii oraz krzyże. Niektórzy mieli broń. Inni zabrali ze sobą, co mieli pod ręką, od żelaznych patelni i noży rzeźnickich po młoty kowalskie, toporki, maczety i haki fabryczne. Ci młodszy mieli proce, wiatróvky i kije baseballowe. Inni przywieźli krótkofalówki, które Eddy zarekwirował i rozdał niewielkiej grupce osób, których uczynił dowódcami całego tego zgromadzenia, jedną zaś zatrzymał dla siebie.



Eddyego zdziwiła duża liczba dzieci, a nawet matek z niemowlętami. Dzieci podczas Armagedonu? Choć miało to sens, jeżeli się nad tym zastanowić. To były Dni Ostatnie. Wszyscy razem zostaną zabrani do nieba.

- Hej. - Doke szturchnął Eddyego. - Gliny.

Eddy spojrział we wskazanym kierunku. Od strony Dugway wolno, leniwie sunął radiowóz z migocącym kogutem.

Odwrócił się do swojej nowej trzódki. Zebrany tłum to cofał się, to znów napierał. Ich głosy zlewały się ze sobą jak deszcz. Migwały światła latarek, pastor usłyszał też szczęk metalu, odgłos przeładowywanej broni i odciąganych kurków. Jakiś mężczyzna robił pochodnie z powiązanych gałęzi zeschniętej sosny i rozdawał je ludziom. Dyscyplina była nadspodziewanie dobra.

- Zastanawiam się, co mam im powiedzieć - rzekł Eddy.

- Musisz być ostrożny, gdy gadasz z glinami - zauważył Doke.

- Miałem na myśli swoje kazanie. Do Armii Boga, zanim wyruszymy - odparł Eddy.

- Tak, ale co z tym gliną? - spytał Doke. - To tylko jeden wóz, ale jest w nim radio. Mogą być kłopoty.

Eddy patrzył na obracającego się koguta i zdziwił się, że ludzie, nie wiedząc czemu, zjeżdżali z drogi, aby przepuścić radiowóz. Stare nawyki posłuszeństwa wobec władzy i stróżów prawa były w nich głęboko zakorzenione. O tym właśnie będzie mówił. Że od tej pory byli winni posłuszeństwo wyłącznie Bogu.

- Nadjeżdża wzdłuż Dugway - powiedział Doke.

Odgłos syreny niebawem dosięgnął wierzchołka płaskowyżu, zrazu słaby, ale stopniowo coraz głośniejszy. Tłum gęstniał, zajmując miejsca u podnóża wzniesienia, gdzie czekał na dalsze polecenia. Wielu ludzi modliło się, ich głosy niosły się w noc; trzymali się za ręce, pochylając głowy. Usłyszał słowa i melodie znajomych hymnów. Eddy tak właśnie wyobrażał sobie zgroma-

dzenie z okazji Kazania na Górze. Właśnie tak. Od tego zacznie swoje kazanie. Właśnie tak. *Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi...* Nie, to nie był dobry cytat na początek kazania. Potrzebował czegoś mocniejszego, w rodzaju: *Biada ziemi i biada morzu, bo zstąpił do was diabeł, palając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu.* Antychryst. Na tym właśnie musiał się skupić. Na Antychryście. Tylko kilka słów i poprowadzi swoją armię.

Radiowóz dotarł na szczyt płaskowyżu, wciąż przedzierając się pomiędzy innymi pojazdami. Wjechał na asfaltową drogę i zatrzymał się kilkaset metrów dalej, na poboczu. Eddy dostrzegł na drzewczkach emblemat policji plemiennej Nawahów.

Reflektor na dachu zatoczył pełny krąg, po czym drzewczki się otworzyły. Z samochodu wysiadł wysoki Indianin. Nawet z odległości stu metrów Eddy rozpoznał Bie. W jednej chwili policjant został otoczony przez tłum. O ile Eddy zdołał się zorientować, szykowała się niezła awantura.

- Co mamy teraz robić, pastarze? - wołali ludzie.
- Zaczekamy - odparł silnym, choć cichym głosem, jakże innym niż jego zwykły, do tego stopnia, że zaczął się zastanawiać, czy on sam wypowiedział te słowa. - Bóg wskaże nam drogę.

Porucznik Bia zlustrował wzrokiem tłum, czując narastający niepokój. Otrzymał meldunek o jakichś zamieszkach w Red Mesie i domyślił się, że chodzi o kawalkadę protestacyjną, a gdy zobaczył sznur aut ciągnących drogą, przyłączył się do nich. Kiedy jednak rozejrzał się wokoło, stwierdził, że nowo przybyli nie mają nic wspólnego z kawalkadą protestacyjną. Ci ludzie mieli broń palną, miecze, krzyże i siekiery, Biblie oraz noże kuchenne. Niektórzy mieli krzyże namalowane na czołach i ubraniach. To było zebranie jakiejś sekty; może miało związek z kazaniem tego teleewangelisty, o którym tyle mówiono. Odetchnął z ulgą, ujrawszy przedstawicieli wszystkich ras - byli tu Murzyni, Azjaci, a nawet kilku, sądząc po wyglądzie, Nawahów lub Apaczów. Przynajmniej to nie Ku-Klux-Klan ani Aryjczycy.

Poprawił pasek i oparł dłonie na biodrach, przepatrując tłum ze swobodnym uśmiechem, miał nadzieję, że nikogo nie wystraszył.

- Macie tu jakiegoś przywódcę? Kogoś, z kim mógłbym po mówić?

Mężczyzna w spranych wranglerach i niebieskiej roboczej koszuli postąpił naprzód. Twarz miał ogorzałą od długoletniej pracy w polu, a do tego masywny brzuch, krótkie grube ramiona i spracowane, pełne odcisków dłonie. Za pas z szeroką sprzączką wcisnął starego colta M1917 z okładziną kolby z macicy perłowej. Sprzączkę paska ozdobił polerowany mosiężny krucyfiks.

- Tak. Mamy przywódcę. Nazywa się Bóg. Ktoś ty?

- Porucznik Bia, policja plemienna.

Poczuł niepokój wywołany niezbyt życzliwym tonem tamtego. Ale spróbuje rozegrać to na spokojnie, unikając konfliktu.

- Kto tu dowodzi?
- Poruczniku Bia, mam do pana tylko jedno pytanie. Czy przybył pan tu jako chrześcijanin, by wziąć udział w bitwie?

- W jakiej znowu bitwie?
- W Armagedonie.

Dła podkreślenia wagi tych słów mężczyzna oparł dłoń na kolbie rewolweru.

Bia przełknął ślinę. Tłum go otoczył. Żałował, że nie wezwał przez radio posiłków.

- Jestem chrześcijaninem, ale nie słyszałem o żadnym Armagedonie.

Tłum zamilkł.

- Czy odrodziłeś się na nowo w wodach życia? - ciągnął mężczyzna.

Tłum zaczął szarżować. Bia wziął głęboki oddech. Nie było sensu rozpoczynać dyskusji religijnej z tymi ludźmi i lepiej ich nie drażnić. Pora załagodzić sytuację.

- Może dowiem się czegoś więcej o tym Armagedonie?
- Antychryst jest tutaj. Na tym płaskowyżu. Czas ostatecznej bitwy Boga z szatanem jest bliski. Albo jesteście z nami, albo przeciw nam. Podejmij decyzję. Teraz.

Bia nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Chyba wiecie, że to teren ludu Nawaho i weszliście bez prawnie na ziemię, które zostały zgodnie z prawem wynajęte przez rząd Stanów Zjednoczonych?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Tłum otoczył go zwartym kręgiem. Bia czuł ich ożywienie i woń ich potu.

- Proszę odsunąć rękę od broni - powiedział cicho.

Tamten nie opuścił ręki.

- Powiedziałem, proszę odsunąć rękę od broni.

Mężczyzna zacisnął dłoń na kolbie rewolweru.

- Albo jesteś z nami, albo przeciw nam. Wybieraj.

Kiedy Bia nie odpowiedział, mężczyzna odwrócił się i przemówił do tłumu:

- On nie jest jednym z nas. Przybył, by walczyć po stronie tamtego.

- A czego się spodziewałeś? - zawołał ktoś z tłumu. - Czego się spodziewałeś?

Bia powoli zaczął się wycofywać w stronę radiowozu.

Mężczyzna uniósł rewolwer. Wymierzył go w Bię.

- Nie przyjechałem tu, by z kimkolwiek walczyć - rzekł Bia. - Nie ma pan powodu, żeby we mnie celować. Proszę opuścić broń.

Starsza kobieta w roboczych butach i słomkowym kapeluszu, z twarzą pomarszczoną jak stara skóra, położyła dłoń na ramieniu tamtego.

- Jess, oszczędzaj naboje. To nie Antychryst. To tylko zwykły glina.

W tłumie zaczęto powtarzać słowo „Antychryst”. Ludzie jeszcze ciaśniej otoczyli Bię.

- Powiedziałem, proszę opuścić broń.

Mężczyzna z wahaniem wykonał polecenie.

- No dobra, Wyatcie Earp, oddaj mi tę pukawkę.

Kobieta wyjęła ją z wiotkiej dłoni mężczyzny, wytrząsnęła naboje z bębena i wrzuciła rewolwer wraz z nabojami do torebki.

- Tam nie ma żadnego Antychrysta - rzekł Bia, ukrywając przepelniającą go ulgę. - To tereny Nawahów, a wy jesteście tu intruzami. Jeżeli macie jakiegoś przywódcę, chciałbym z nim po mówić. - Kiedy tylko wróci do radiowozu, wezwie posiłki. Albo nawet Gwardię Narodową.

Rozległ się głos:

- Jesteśmy tu jako Armia Boga, by walczyć i umrzeć dla Pana!

„Walczyć, walczyć, walczyć”. Tłum powtarzał to słowo jak inkantację.

Mężczyzna o długiej rozwidlonej brodzie przecisnął się do przodu z kamieniem w ręku i zawołał:

- Czy odrodziłeś się w wodach życia?

Bia rozeźlony inkwizycyjnym tonem tamtego odparł:

- To nie twoja sprawa, w co wierzę. Odłóż ten kamień albo oskarżę cię o napaść.

Oparł dłoń na rękojeści pałki.

Mężczyzna zwrócił się do tłumu:

- Nie możemy go puścić. To glina. Ma radio. Ostrzeże innych.

Mężczyzna uniósł kamień.

- Odpowiadaj!

Bia rozłożył pałkę. Zamachnąwszy się nią, trafił tamtego z całej siły w ramię. Przy wtórze przyprawiającego o mdłości trzasku kości przedramienia pękły i kamień upadł na ziemię.

- Złamał mi rękę! - ryknął mężczyzna, osuwając się na kolana.

- Rozejdźcie się teraz, a nikt więcej nie ucierpi! - zawołał do nośnie Bia.

Cofnął się o krok, opierając się o zderzak radiowozu i unosząc pałkę w dłoni. Gdyby tylko zdołał wsiąść do wozu, miałby jako taką ochronę i mógłby wezwać posiłki.

- Gliniarz złamał mu rękę! - krzyknął inny mężczyzna, kłękając obok rannego.

Tłum z głośnym rykiem runął naprzód. Kamień przeciął powietrze, a Bia uchylił się przed nim. Pocisk z głuchym chrzęstem trafił w przednią szybę radiowozu. Bia szarpnięciem otworzył drzwiczki, wskoczył do środka i spróbował zamknąć je za sobą, ale tłum mu na to nie pozwolił. Sięgnął po radio i wcisnął przycisk nadawania.

- Próbuje wezwać pomoc! - krzyknął ktoś z tłumu.

Tuzin rąk pochwyciło go, odciągając w tył i rozdierając mu koszulę.

- Ten skurwiel chce wezwać wsparcie! Wzywa wroga!

Wyszarpnięto mu z rąk mikrofon i wyrwano przewód radia.

Bia próbował złapać się kierownicy, ale wściekła tłuszcza wywlekła go na zewnątrz z niespożytą siłą. Wylądował na ziemi, spróbował się podnieść, ale kopnięcie powaliło go na kolana. Sięgnął po broń i wyciągnął pistolet. Przetoczył się na bok, celując w tłum.

- Cofnąć się! - krzyknął.

Kamień trafił go w pierś, gruchocząc żebra. Bia wypalił na oślep w tłum.

Rozległy się krzyki.

- Mój mąż! - krzyknęła jakaś kobieta. - Boże!

Kij baseballowy trafił go w nogę. Oddał jeszcze dwa strzały, zanim kij uderzył go w przedramię, wytrącając broń z ręki. Rozjuszony tłum rzucił się na niego, złorzecząc, kopiąc i okładając pięściami. Upadł na twarz, sięgając rozpaczliwie po pistolet, ale czyjś but przygwoździł mu dłoń do ziemi, miażdżąc kości. Bia krzyknął, próbując wturlać się pod radiowóz.

- Ukamienować go! Morderca! Ukamienować go!

Poczuł dosięgające jego ciała kolejne kamienie i uderzenia kijów, gruchotały mu mięśnie i kości; na metal i szkło posypał się istny grad kamieni. Dławiąc się z bólu, zdołał częściowo ukryć się pod samochodem, ale wywleczono go stamtąd za nogi i znów posypała się nań lawina ciosów i kopniaków. Ryk tłumu zaczął cichnąć, zastąpiony przez tępy łoskot pod jego czaszką. Dosięgły go kolejne ciosy, ale odbierał je teraz, jakby dotyczyły kogoś innego. Ktoś inny ruszał w tę podróż, oddalając się coraz bardziej. Ryk przeszedł w odległy szmer, aż w końcu nadeszła oczekiwana ciemność.

*
*
*

Eddy patrzył, jak tłum miota się niczym stado psów w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał policjant. Zauważył, że tamten próbował wstać, ale zaraz upadł, powalony na ziemię przez żądną krwi, ciskającą kamieniami tłuszcę.

Śpiew ucichł, tłum jakby stracił zapał i cofnął się. Pozostała jedynie czapka policjanta i zmięty, stratowany, bezkształtny mundur.

Gdy tłum z wolna się rozproszył, na miejscu klęczała kobieta, szlochająca i trzymająca w ramionach krwawiącego mężczyznę. Eddy poczuł narastającą panikę. Dlaczego nic nie wyglądało tak, jak sobie to wyobraził? Dlaczego szło mu jak po grudzie?

- To Amagedon - dobiegł go głęboki, kojący głos Dokea. - Musiał się kiedyś zacząć.

Doke miał rację. Teraz nie było już odwrotu. Granica została przekroczona. Stanęli do walki. Bóg pokierował nimi, a przecież jego wyroków nie wolno im było rozsądzać. Eddy poczuł, że odzyskuje pewność siebie.

- Pastorze? - mruknął Doke. - Ludzie cię potrzebują.

- Oczywiście. - Eddy postąpił naprzód, unosząc ręce. - Przyjaciele w Chrystusie! Słuchajcie! Przyjaciele w Chrystusie!

Zapadła podszyta niepokojem cisza.

- Jestem pastor Russ Eddy! - zawołał. - Człowiek, który zde maskował Antychrysta!

Tłum, poruszony wybuchem przemocy, napłynął w jego stronę jak fale oceanu zmierzające ku lądowi. Eddy sięgnął po rękę Doke'a i uniósł ją.

- Królowie, politycy, świeccy liberalowie i humaniści na tym zepsutym świecie będą ukrywać się w jaskiniach i w górach. Będą wołać do gór i jaskiń: *Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem Zasiadającego na tronie i przed gniewem Baranka, bo nadszedł Wielki Dzień Jego gniewu, a któż zdoła się ostać?*

Ryk wypełnił noc i falujący tłum zaczął zbliżać się jeszcze bardziej. Eddy odwrócił się, wskazał ręką i zagrzmiał:

- Pięć kilometrów na północ stąd jest ogrodzenie. Za nim zaś urwisko. W dole, poniżej tego urwiska, jest Isabella. A w Isabelli Antychryst. Nazywa siebie Gregory North Hazelius.

Ryk przybrał na sile, rozległy się strzały oddawane w powietrze.

- Idźcie! - krzyknął Eddy, potrząsając zaciśniętą w pięść dłoń. - Idźcie jak ludy prowadzone przez gorejący miecz Syjonu! Idźcie i znajdźcie Antychrysta! Zniszczcie jego i Bestię! Oto roz począł się ostateczny bój Boga Wszechmocnego! *Słońce się zaćmi, i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba.*

Cofnął się, a rozszalały tłum odwrócił się i popłynął zwartą falą na wschód przez skąpany w księżycowym blasku płaskowyż, światła latarek i blask pochodni unosiły się w ciemnościach jak tysiące gorejących oczu.

- Dobra robota - rzucił Doke. - Naprawdę rozpaliliś ich do działania.

Wciąż trzymając Dokea za potężną rękę, Eddy odwrócił się, by podążyć za wszystkimi. W pewnej chwili obejrzał się przez ramię i dostrzegł Bie, który leżał na pylastej ziemi jak porzucona szmaciana lalka, oraz kobietę szlochającą i trzymającą w ramionach ciało męża.

Pierwsze ofiary Armagedonu.

Dwudziestoparolatek o chłopięcej twarzy, agent Miller, odwoził Berna Wolfa humvee z lądowiska do strefy chronionej. Przechali przez ciąg zniszczonych bram i zatrzymali się pośrodku parkingu, między stojącymi tam pojazdami cywilnymi. Wszystko skąpane było w silnym blasku reflektorów.

Wolf rozejrzał się dokoła. Żołnierze zebrali się na skraju płaskowyzu z linami, po których mieli opuścić się do Isabelli.

- Zaczekamy w wozie, aż nas wezwą - powiedział Miller.
- Cudownie.

Wolf obficie się pocił. Był naukowcem, nie dla niego takie wygłupy. Czuł w żołądku nieprzyjemny ucisk.

- Postanowił trzymać się blisko agenta Millera, który swoimi muskularnymi ramionami mógł spokojnie podźwignąć zamiast sztangi klasycznego buicka. Jego grzbiet i ramiona były tak masywne, że karabinek szturmowy kaliber 7.62, który miał wciśnięty pod pachą, wyglądał jak dziecinna zabawka.

Obserwował ekipę pracującą na skraju płaskowyzu. Mężczyźni obwiązali się linami i zeskoczyli do tyłu, schodząc po ścianie klifu i dźwigając pękate plecaki. Mimo iż Wolf nigdy nie był w Isabelli, znał ją jak swoją dłoń; opracował niektóre rozwiązania technologiczne i ślęczał nad planami konstrukcyjnymi. Znał także oprogramowanie, a z Departamentu Energii otrzymał kopertę ze wszystkimi kodami bezpieczeństwa niezbędnymi do zamknięcia Isabelli. To nie powinno stanowić problemu. Dla niego najtrudniejsze będzie zejście sto metrów w dół po pionowej ścianie urwiska.

- Muszę się odłączyć - powiedział.

- Proszę to zrobić przy sąsiednim pojeździe, tylko szybko.

Wolf zrobił swoje i wrócił.

Miller właśnie skończył rozmawiać przez radio.

- Nasza kolej.
- Są już w środku?

- Nie. Chcą, żeby zjechał pan na dół, zanim przeprowadzą penetrację.

Zanim przeprowadzą penetrację? Czy ci faceci wiedzieli, jak kretyńsko się wyrażają? Miller skinął głową.

- Pan pierwszy.

Odnosząc wrażenie, jakby wszystkie mięśnie jego ciała stały zaciekle opór, Wolf zarzucił na ramiona plecak. Powietrze było rześkie i pachniało dymem z ogniska. Oddalając się od pracującego na jałowym biegu hunwee, uświadomił sobie, jak cicha jest ta noc. Najgłośniejsze dźwięki dochodziły od strony linii energetycznych; najwyraźniej Isabella pracowała na pełną moc. Wątpił, aby pod ziemią było coś nie tak. Pewnie jakaś usterka oprogramowania doprowadziła do utraty łączności. A jakiś biurokrata paranoik dał upust swoim frustracjom i wezwał komandosów. Może nawet naukowcy w Bunkrze nie wiedzieli, jakiego narobili zamieszania.

Wtem dobiegł go cichy odgłos, jakby strzał, a potem dwa kolejne.

- Słyszałeś to? - zwrócił się do Millera.
- Tak. - Tamten przystanął, przekrzywił głowę. - Jakieś pięć kilometrów stąd.

Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, ale odgłos już się nie powtórzył.

- Pewnie to tylko Indianin strzelał do kojota - rzucił Miller.

Wolf miał miękkie nogi, podążając za agentem na skraj urwiska. Spodziewał się, że opuszczą go w jakiejś klatce, ale niczego takiego tam nie było.

- Wezmę pana plecak. Opuścimy go zaraz za panem.

Wolf zdjął plecak.

- Ostrożnie, tam jest laptop.

- Będziemy uważać. A teraz, czy mógłby pan tu podejść?

- Chwileczkę - rzekł Wolf. - Chyba nie sądzisz, że... opuszczę się po którejś z tych lin?

- Owszem, tak.

- W jaki sposób?

- Zaraz panu pokazemy. Proszę tu stanąć.

Wolf czekał. Pozostali żołnierze opuścili się już, pozostawiając ich samych na krawędzi urwiska. Linie energetyczne skwierczały i brzęczały. Z radia żołnierza dobiegły trzaski. Mężczyzna powiedział kilka słów do mikrofonu. Wolf prawie go nie słuchał. Gliniarze z policji stanowej donosili o jakichś kłopotach na drodze wiodącej na płaskowyż. Wolf wyłączył się. Myślał o skale. Po krótkiej wymianie zdań Miller rzekł:

- Proszę stanąć. Założymy szelki. Używał ich pan kiedyś?

- Nie.

- To całkowicie bezpieczne. Wystarczy lekko odchylić się do tyłu oprzeć stopy o powierzchnię skały i delikatnie się odbijać. Nie spadnie pan, nawet gdyby puścił pan linę.

- Chyba żartujesz.

- To całkowicie bezpieczne.

Założyli Wolfowi szelki, które przechodziły wokół jego nóg, pośladków i dolnej części pleców, zapinając linę w cały system karabińczyków i dźwigienek hamujących. Następnie ustawili go na krawędzi klifu, plecami na zewnątrz. Poczul więcej z dołu wiatr.

- Proszę się wychylić i zrobić krok do tyłu.

Czy oni powariowali?

- Proszę się odchylić do tyłu. Zrobić krok. Nie pokrzyżować liny. Opuścimy pana.

Wolf patrzył na Millera z niedowierzaniem. Głos agenta był tak wystudiowane uprzejmy, że zdawał się ociekać pogardą.

- Nie dam rady - powiedział.

Lina się poluzowała i poczuł nagły przypływ paniki.

- Proszę odchylić się do tyłu - rzekł stanowczym tonem Miller.

- Dajcie mi klatkę albo coś, żeby mnie opuścić.

Miller przechylił go do tyłu, niemal tuląc go w ramionach.

- Właśnie tak. Doskonale, doktorze Wolf.

Serce w piersi Wolfa zaczęło się tłuc jak oszalałe. Znowu poczuł na plecach chłodny podmuch powietrza z dołu. Żołnierz puścił go i stopy mu się ześlizgnęły, a potem rąbnął bokiem w ścianę klifu.

- Proszę odchylić się do tyłu i oprzeć obie stopy o skałę.

Z walącym dziko sercem oparł obie nogi o skałę, próbując się jakoś zaprzeć. Gdy mu się to udało, odchylił się do tyłu. Chyba mu się uda. W miarę jak zaczął stawiać małe kroczki, przez cały czas wychylając się do tyłu, lina przesuwała się przez hamulec oporowy, opuszczając go. Kiedy znalazł się poniżej skalnej półki, otoczyła go ciemność, ale wciąż widział nad sobą krawędź rozjaśnioną światłem. W miarę jak był coraz niżej, krawędź coraz bardziej się od niego oddalała. Nie odważył się spojrzeć w dół.

To niewiarygodne, ale jakoś sobie radził, robił to, odbijając się obunóż i ześlizgując coraz niżej po skalnej ścianie. Wkrótce już zewsząd otaczała go ciemność. Wreszcie żołnierze schwycili go za nogi i opuścili na skalne podłoże. Kiedy wstał, trzęsły mu się nogi. Żołnierze pomogli mu uwolnić się z szelek. Po chwili na

linie zjechał jego plecak, żołnierze przechwycili go. Potem zjawiał się Miller.

- Dobra robota.
- Dziękuję.

W zboczu góry wykuto ogromną wnękę. W głębi niej widać było wpuszczone w skałę masywne tytanowe drzwi. Cały obszar był już skąpany w świetle reflektorów, przez co wejście przywodziło na myśl kompleks na wyspie doktora No. Wolf czuł przenikające wewnątrz góry wibracje Isabelli. To dziwne, stracili kontakt z projektem. Istniało przecież wiele systemów pomocniczych. A szef ochrony musiał ich widzieć na monitorach kamer przemysłowych - chyba że i one wysiadły.

Bardzo dziwne.

Żołnierze ustawili trzy stożkowe metalowe talerze na trójnogach i skierowali w stronę drzwi jak małe pękate moździerz. Jeden z żołnierzy zaczął wkładać do stożków coś, co wyglądało jak C-4.

Doerfler stał z boku i wydawał rozkazy.

- Co to takiego? - zapytał Wolf.
- Urządzenie do natychmiastowego wyburzania ścian - odparł Miller. - Ładunki kierunkowe, skupione w jednym punkcie i wywalające dziurę dostatecznie dużą, by można się było przez nią precyzyjnie przesuwać.
- A potem?
- Wyślemy przez otwór jedną jednostkę, by zabezpieczyła Bunkier, i drugą, by sforsowała wewnętrzne drzwi na Mostek. Zabezpieczymy Mostek, rozprawimy się z bandziorami i zatrzymamy naukowców. Może dojść do wymiany ognia. Tego nie wiemy. Kiedy tylko Mostek zostanie odpowiednio zabezpieczony, wprowadzę tam pana. A pan wyłączy Isabellę.
- Zamknięcie systemu zajmie trzy godziny - rzekł Wolf.

- Poprowadzi pan tę operację.
- A co z doktorem Hazeliusem i resztą naukowców?
- Nasi ludzie odeskortują ich z obiektu na przesłuchanie.

Wolf skrzyżował ręce na piersi. Z całą pewnością ten plan na papierze prezentował się całkiem nieźle.

61

Stanton Lockwood znów zaczął się wiercić na tanim drewnianym krześle, próbując bez większych nadziei usadowić się na nim nieco wygodniej. Przy mahoniowym stole w Gabinetie Sytuacyjnym panowała atmosfera narastającego niedowierzania. O trzeciej w nocy, czyli o pierwszej w nocy w Red Mesie, wiadomości nie były pomyślne.

Lockwood dorastał w okolicy Zatoki, chodził do szkoły na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu i przez ostatnich dwanaście lat mieszkał w Waszyngtonie. Z telewizji znał inny obraz tamtejszej Ameryki, Ameryki kreacjonistów i chrześcijańskich narodowców, teleewangelistów i błyszczących megaświątyn. Ta Ameryka zawsze wydawała się odległa, odsunięta od miejsc w rodzaju Kansas czy Oklahoma.

Aż do teraz.

- Panie prezydencie? - odezwał się dyrektor FBI.

- Tak, Jack?

- Patrol drogówki z Arizony donosi o zakłóceniach przy blokadach na Route 89 pod Grey Mountain, Route 160 pod Tuba City i pod Tes Nez Iah.

- Co to za zakłócenia?

- Kilku funkcjonariuszy zostało rannych w drobnych utarczkach. Ruch jest tam wzmożony i wielu ludzi omija blokady, jadąc na przełaj. Kłopot w tym, że teren rezerwatu Nawahów jest po przecinany setkami polnych dróg, których w większości nie ma nawet na mapach. Nasze blokady są dziurawe jak rzeszoto.

Prezydent oddał głos przewodniczącemu połączonych sztabów, który siedział w wyłożonym boazerią gabinecie w Pentagonie; na ścianie za nim wisiał amerykański sztandar.

- Generale Crisp, gdzie Gwardia Narodowa?
 - Będzie na miejscu za dwie godziny.
 - Nie mamy dwóch godzin.
 - Znalezienie odpowiednich śmigłowców, pilotów i wyszkolonych żołnierzy to nie lada wyzwanie, panie prezydencie.
 - Tamtejsza policja stanowa obrywa niezłe cięgi. Nie na jakimś zadupiu w Afganistanie, ale tu, na naszym terenie, w Stanach Zjednoczonych. A pan mi mówi o dwóch godzinach?
 - Większość naszych śmigłowców jest na Bliskim Wschodzie.
 - Panie prezydencie? - zabrał głos dyrektor FBI.
- Prezydent się odwrócił.
- Tak?
 - Właśnie otrzymałem raport... - Odebrał kartkę od kogoś spoza ekranu. - To komunikat alarmowy od funkcjonariusza z policji plemiennej Nawaho, który udał się do Red Mesy, by zbadać...
 - Sam?
 - Nie zdawał sobie sprawy, podobnie jak my wszyscy, z powagi sytuacji. Wysłał komunikat alarmowy, który został nagle przerwany. Mam tu zapis. - Przeczytał jego treść: - „Przyślijcie posiłki... rozjuszony tłum... oni mnie zabiją...”. To wszystko, co mamy. W tle słychać hałas tłumu.
 - Rany boskie.
 - Sygnał nadajnika GPS w radiowozie urwał się kilka minut później. Co zwykle zdarza się tylko wtedy, gdy wóz zostaje podpalony.
 - Jakie wieści od jednostki do uwalniania zakładników? Czy są bezpieczni?
 - Zgodnie z treścią ostatniego raportu sprzed dziesięciu minut operacja idzie jak w zegarku. Mamy niepotwierdzone doniesienie, że od strony Dugway, niecałe pięć kilometrów od lądow-

ska, dobiegły strzały. Właśnie nawiązujemy kontakt z jednostką. Pragnę jednak zapewnić, panie prezydencie, że żaden motłoch nie jest w stanie poradzić sobie z jednostką FBI do uwalniania zakładników.

- Czyżby? - odparł sceptycznie prezydent. - Czy byli szkoleni w strzelaniu do cywilów?

Dyrektor FBI nieznacznie zmienił front.

- Są szkoleni, by radzić sobie z wszelkimi możliwymi przeszkodami.

Prezydent spojrział na szefa połączonych sztabów.

- Czy istnieje jakiś sposób, aby ściągnąć tam oddziały szybciej niż za dwie godziny?

- Przepraszam, panie prezydencie - przerwał mu dyrektor FBI błady jak ściana. - Właśnie otrzymałem raport o wybuchu i pożarze... naprawdę wielkim pożarze... na lądowisku w Red Mesie.

Prezydent patrzył w milczeniu na Lockwooda.

- Czego chcą ci ludzie? - wybuchnął Lockwood. - Czego oni chcą, na miłość boską?

Galdone odezwał się po raz pierwszy, odkąd zjawili się w Gabinetzie Sytuacyjnym:

- Wie pan, czego chcą.

Lockwood spojrział na odrażającego mężczyznę. Miękki i otyły, ze splecionymi ramionami i półprzymkniętymi powiekami, jakby spał, siedział na swoim krześle, przypatrując się im ze spokojem.

- Chcą zniszczyć Isabellę. I zabić Antychrysta.

Ford zacisnął dłonie na krawędzi biurka i odczytał nową wiadomość na wizualizatorze. Isabella pracowała na pełną moc, czuł wyraźnie, jak cały Mostek dygocze i trzęsie się niczym kokpit wchodzącego w spiralę śmierci odrzutowca.

Religia pojawiła się jako próba wyjaśnienia tego, co niewytłumaczalne, kontrolowania tego, co nie podlega kontroli, i uczynienia znośnym tego, czego znieść się nie da. Wiara w siłę wyższą stała się najpotężniejszą innowacją w późnym okresie ewolucji człowieka. Plemiona wyznające religię miały przewagę nad tymi, które tego nie czyniły. Miały wyznaczony kierunek, cel, motywację i misję. Przetrawanie oferowane przez religię było tak spektakularną wartością, że pragnienie wiary na stałe zapisało się w ludzkim genomie.

Ford odsunął się od pozostałych. Kate, rzuciwszy mu pytające i jakby ciut przepraszające spojrzenie, pomagała teraz Dolby emu przy jego stanowisku. Zespół obsługujący Isabellę - Dolby, Chen, Edelstein, Corcoran i St. Vincent - był ściśle skupiony na swoich zadaniach. Reszta patrzyła na wizualizator, urzeczona słowami, które tam widniały.

To, czego próbowala religia, osiągnęła ostatecznie nauka. Macie teraz sposób, by wyjaśnić to, co niewytłumaczalne, by kontrolować to, co nie podlega kontroli. Nie musicie już „demaskować” religii. Rasa ludzka wreszcie dorosła.

- Wysłali ekipę z ładunkami do burzenia ścian. Zamierzają wysadzić drzwi - odezwał się półgłosem Wardlaw.

- Ilu ich jest? - spytał Hazelius.

- Ośmiu.

- Uzbrojeni?

- Po zęby.
Grupę zaczęła ogarniać panika.

- Co teraz zrobimy? - zawołał Innes.

- Będziemy słuchać - odrzekł Hazelius, a jego stanowczy głos przebił się przez hałas Isabelli. Wskazał na ekran.

Religia jest niezbędna dla ludzkiego przetrwania jak woda i pożywienie, jeśli spróbujecie zastąpić ludziom religię nauką, poniesiecie klęskę. Zamiast tego zaoferujcie ludziom naukę jako religię. Albowiem powiadam wam, nauka jest religią. Jedyłą prawdziwą religią.

Julie Thibodeaux stojąca obok Hazeliusa wydała z siebie cichy, zduszony szloch, zakłótyła się, otulając ramionami.

- To takie cudowne... i tak bardzo mnie przeraża.
Hazelius objął ją ramieniem.

To niesamowite, pomyślał Ford; na własne oczy widział ich nawrócenie. Uwierzyli.

Zamiast oferować księgę prawdy, nauka oferuje metodę prawdy. Nauka jest poszukiwaniem prawdy, nie jej objawieniem. Nie jest dogmatem, lecz środkiem prowadzącym do celu. Nie jest celem, lecz drogą ku niemu.

Ford nie mógł już dłużej milczeć.

- No dobrze, ale co z ludzkim cierpieniem? Jak nauka może uczynić znośnym to, czego znieść się nie da? Tak to ująłeś, prawda?

- Cewka magnetyczna się przegrzewa - rzekł cicho Dolby.

- Zwiększ moc - mruknął Hazelius.

W ostatnim stuleciu medycyna i technologia pozwoliły ulżyć ludzkim cierpieniom bardziej niż wszyscy kapłani przez ubiegłych tysiąc lat.

- Mówisz o cierpieniu fizycznym - rzekł Ford. - A co z cierpieniem duszy? Co z udręką duchową?

Czyż nie powiedziałem, że wszystko jest jednością? Czyż nie jest dla was pociechą świadomość, że wasze cierpienie przenika na wskroś cały wszechświat? Nikt nie cierpi samotnie, a cierpienie ma swój cel - nawet

*śmierć jednego marnego wróbla jest ważna dla istoty wszechrzeczy.
Wszechświat nigdy nie zapomina.*

- Nie utrzymam dłużej bez dodatkowej mocy! - zawołał Dolby. - Harlan, musisz mi dorzucić parę procent.

- Nie mogę - odparł St. Vincent. - Jeśli to zrobię, cała sieć padnie.

Maszyna wyła teraz tak głośno, że Ford prawie nie słyszał własnych myśli. Odczytał słowa na ekranie i miał w głowie mętlik. Dwunastka najinteligentniejszych ludzi w tym kraju uważała, że rozmawia z Bogiem. To musiało coś znaczyć.

Nie traćcie wiary we własne siły. Jesteście moimi uczniami. Macie moc, by wyrzucić ten świat do góry nogami. Któregoś dnia nauka zgromadzi więcej dowodów swoich prawd aniżeli religia od początku swego istnienia. Ludzie lgną do wiary, ponieważ muszą ją mieć. Łakną jej. Nie będziecie ludziom odmawiać wiary, lecz zaproponujecie im nową. Nie przybyłem, by zastąpić judeochrześcijańskiego Boga, lecz by go dopełnić.

- Chwileczkę! - warknął Wardlaw. - Na górze dzieje się coś jeszcze!

- Ale co? - spytał Hazelius.

Wardlaw wlepił wzrok w ścianę monitorów.

- Mamy liczne sygnały alarmowe w całym perymetrze. Znikąd pojawiają się ludzie... jest ich mnóstwo... cały tłum. Co się dzieje, do cholery?

- Tłum? - Hazelius lekko się odwrócił, nie spuszczać wzroku z wizualizatora. - O czym ty mówisz?

- To tłum, bez dwóch zdań... Jezu, nie uwierzy pan... Oni atakują ogrodzenie, niszczą je... Mamy tam na górze jakieś załączki - i to poważne - ci ludzie pojawili się znikąd.

Ford przeniósł wzrok na monitory. Kamera zamontowana na windzie przekazywała obraz na główny ekran. Tłum z pochodniami i latarkami, wymachujący prymitywną bronią nadciągał

od strony Dugway i napierał na ogrodzenie, powalając je pod ciężarem zbitej masy ciał. Od strony lądowiska dobiegł głuchy huk eksplozji i nagle nad drzewami ujrzeli strzelające wysoko płomienie.

- Podpalili hangary przy pasie startowym - krzyknął Wardlaw. - Kim są ci ludzie i skąd się tu wzięli, u diabła?

63

Wolf patrzył, jak ekipa zakłada ładunki przy tytanowych drzwiach, po czym podłącza przewody do detonatora. Żołnierze wydawali się podejrzanie spokojni, wręcz pewni siebie, jakby wysadzanie gór było dla nich chlebem powszednim.

Wolf ruszył w stronę krawędzi urwiska. Biegło tamtędy ogrodzenie z rur wbetonowanych w skałę. Zacisnął dłonie na chłodnej stali i spojrzał ku bezmiarowi pustyni otoczonej górami: piętnaście tysięcy kilometrów kwadratowych przestrzeni bez choćby jednego punkcika światła rozjaśniającego ciemność. Z dołu napłynął chłodny wiatr, niosąc ze sobą zapach pyłu i słaby aromat jakichś kwitnących nocą roślin. Był z siebie nad wyraz dumny, że zszedł po linie na skalną półkę. Będzie miał o czym opowiadać kolegom z Los Alamos.

Za nim dobiegały szумы z radia i hałas niezrozumiałych, niesłyszalnych słów. Odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. Mężczyźni przerwali prace przy zakładaniu ładunków. Zebrawszy się wokół Doerflera, rozmawiali o czymś zawzięcie przez radio. Wolf nasłuchiwał, ale bez powodzenia. Musiało się wydarzyć coś niezwykłego. Podszedł do ekipy.

- Co się dzieje?

- Nastąpił atak na obiekty powyżej. Nikt nie wie, kto jest za to odpowiedzialny.

Pięknie, pomyślał Wolf.

Z góry dobiegło echo donośnego huków i trzasków, a niebo nad obiektem płaskowyżu rozkwitło czerwienią.

- Co tam się dzieje?

Miller spojrzał na Wolfa.

- Podpalili hangary na lotnisku. Otoczyli śmigłowiec...
- Ale kto? O kim mowa, do cholery?

Miller pokręcił głową. Pozostali członkowie zespołu prowadzili zacieklą rozmowę na górze. Huk i trzaski przybierały na sile, a Wolf zdał sobie sprawę, że to odgłos wystrzałów. Usłyszał cichy krzyk. Wszyscy spojrzeli w górę. Chwilę potem coś przecięło tuż obok skalnej ściany, przy wtórce rozdzierającego, przeciągłego wrzasku. Przez chwilę to coś pojawiło się w kręgu światła z rozstawionych na skalnej półce reflektorów - to była postać w mundurze. Krzyk urwał się nagle, daleko w dole, a towarzyszyło temu wilgotne plaśnięcie i grzechot osypujących się kamieni.

- Co to było, u diabła? - zawołał jeden z żołnierzy.
- Zrzucili Frankiego ze skały!
- Spójrzcie! Opuszczają się po linach! - krzyknął inny.

Wszyscy z nieopisaną zgrozą spojrzeli w górę na dziesiątki ciemnych postaci zsuwających się w dół.

Pastor Russell Eddy patrzył, jak jego wierni zrzucają ze skały ostatniego żołnierza. Choć szczerze gardził przemocą, żołnierz opierał się woli bożej. Skoro tak, niech będzie. Może odnajdą spokój i odkupienie, kiedy Chrystus wskrzesi ich z martwych i odkupi swoją trzódkę. Może.

Wszedł na maskę humvee i rozejrzał się. Żołnierze oddali strzały do jego wiernych, a ci z kolei naporli na nich jak tsunami, spychając do krawędzi urwiska, aż większość żołnierzy zniknęła w mrocznej czeluści poza obrzeżem.

Taka była wola boża.

Pastor Eddy napawał się widokiem cudu. Tłumy nadciągające od strony Dugway zablokowały drogę, w ciemnościach wiadać było kołyszące się promienie latarek i płomienie pochodni.

Przedarli się przez ogrodzenie na strzeżony teren i rozproszyli, czekając na rozkazy. Kilometr dalej płomienie z podpalonych hangarów na lądowisku strzeliły ponad koronami karłowatych drzew i skąpały płaskowyż w krwistej poświacie. W powietrzu rozszedł się kwaśny odór benzyny i spalonego plastiku.

Na wprost niego, przy krawędzi urwiska gromadzili się ludzie. Żołnierze zostawili na szczycie płaskowyżu mnóstwo sprzętu, a Doke najwyraźniej wiedział, jak go używać. Odsłużył siedem lat w siłach specjalnych, jak powiedział Eddyemu. Pomagał teraz wiernym zakładać specjalną uprząż i szelki z licznymi karabińczykami i urządzeniami do bezpiecznego zjeżdżania po linie. Pokazywał im również, jak mają to bezpiecznie zrobić, i przekonywał, że na pewno sobie poradzą.

I rzeczywiście sobie poradzili. Z dobrym sprzętem to nie było takie trudne. Nie wymagało żadnych szczególnych umiejętności. Ludzie Dokea wychodzili dwudziestkami poza krawędź, opuszczając się po linach niczym żywy wodospad znikający w ciemnościach poniżej. Potem odsyłali na górę pasy uprzęży, karabińczyki i szelki, aby mogli z nich skorzystać następną.

Eddy patrzył, jak Doke pokrzykuje i wydaje rozkazy. Sięgnąwszy po radio, zwrócił się do grupy na lotnisku:

- Widzę, że podpaliliście hangary. Dobra robota.
- Co mamy zrobić ze śmigłowcem?
- Czy jest strzeżony?
- Jeden żołnierz i pilot. Jest uzbrojony i nieźle wystraszony.
- Zabijcie ich - rzucił bez namysłu. - Nie pozwólcie im odlecieć.
- Dobrze, pastorze,
- Czy jest tam w pobliżu ciężki sprzęt?
- Tylko koparka.

- Wykopcie rowy na pasie startowym i lądowisku dla heli kopterów.

Eddy obserwował tłum. Ludzie w dalszym ciągu się zjeżdżali pomimo blokad i masowych aresztowań. To był niesamowity widok. Nadszedł czas, by wdrożyć kolejną fazę ataku. Uniósł ręce i zawołał:

- Posłuchajcie mnie, chrześcijanie!

Powiększający się tłum nagle zamarł, nasłuchując.

Eddy drżącym palcem pokazał w górę.

- Widzicie te linie wysokiego napięcia?

- Rozwalmy je! - dobiegł głos z tłumy.

- Otóż to. Odetniemy dopływ prądu do Isabelli! - zawołał Eddy. - Wzywam ochotników, by weszli na te wieże i zerwali linie wysokiego napięcia!

- Zerwać je! - ryknął tłum. - Zerwać je!

- Odciąć im prąd!

- Odciąć im prąd!

Grupka osób odłączyła się od reszty i pobiegła w stronę najbliższej wieży, oddalanej o sto metrów.

Eddy znów wznosił ręce i ponownie zapadła cisza. Ponownie wskazał ręką, tym razem na skupisko anten, talerzy odbiorników mikrofalowych i przekaźników telefonii komórkowej znajdujące się na szczycie budynku windy, na skraju urwiska.

- Oślepić szatana i odebrać mu słuch!

- Oślepić szatana!

Kolejna grupa odłączyła się i zebrała w pobliżu windy.

Tłum miał cel. Konkretnie zadanie. Eddy z ponurą satysfakcją patrzył, jak tłuszcza gromadzi się wokół ogrodzenia otaczającego jeden z olbrzymich wsporników wieży. Tłum napierał i falował, aż w końcu przy wtórze przenikliwego zgrzytu ogrodzenie runęło. Rzeka ludzkich ciał wlała się do środka. Jeden z mężczyzn

chwycił się szczebla drabinki, podciągnął w górę i zaczął się wspinać, a zaraz za nim następny i jeszcze jeden, aż po kilku minutach słup wyglądał jak drzewo, po którym wspinają się mrówki.

Eddy zeskoczył z humvee i podszedł do Dokea, na skraj urwiska.

- Ja tu już skończyłem. Schodzę na dół. To mnie Bóg wybrał, abym zmierzył się z Antychrystem. Ty zostaniesz i będziesz do wodził na górze.

Doke go uściskał.

- Bóg z tobą, pastorze.

- Teraz pokaż mi najlepszy sposób, aby zejść po ścianie tego urwiska.

Doke podniósł zestaw nylonowej uprząży leżącej u jego stóp i zapiał pasy wokół nóg i pośladków Eddyego. Zabezpieczył je karabińczykiem i nałożył na niego ręczną dźwigienkę hamującą.

- To się nazywa szwajcarskie siodełko - powiedział. - Po dwójna lina przechodzi przez tę blokadę ręczną. Gdy ją puścisz, blokada zahamuje twój upadek. Jedną ręką tu, drugą tu, odbijaj się lekko z obu nóg, w miarę jak lina będzie się przesuwac przez karabińczyk. - Uśmiechnął się i poklepał Eddyego po ramieniu. - To proste! - Odwrócił się i krzyknął: - Z drogi! Zróbcie przejście dla pastora! Schodzi po linie!

Tłum rozstał się, a Doke podprowadził Eddyego do skraju urwiska. Eddy odwrócił się, uchwycił liny tak, jak mu pokazano, i wyszedł poza krawędź, odbijając się płynnie obiema stopami od powierzchni skały - tak jak przed nim robili to inni - ale serce podchodziło mu do gardła i przez cały czas żarliwie się modlił.

64

- Tam jest dziki tłum! - rzekł Wardlaw, wskazując na główny monitor.

Hazelius w końcu odwrócił wzrok od wizualizatora. Na monitorze widać było, że całą strefę chronioną opanowali ludzie uzbrojeni w noże, siekiery i broń palną, zaopatrzeni także w latarki i pochodnie.

- Wspinają się na windę!

- Dobry Boże. - Hazelius otarł twarz rękawem. - Ken - za wołał. - Ile jeszcze czasu ma Isabella?

- Wadliwy magnes może w każdej chwili stracić zdolności nadprzewodzące - odrzyknął Dolby. - A wtedy będzie po nas. Wiązki cząstek mogą się rozszczepić, przeciąć rurę próżniową i wywołać eksplozję.

- Jak dużą?

- Możliwe, że bardzo dużą. Dotychczas nic takiego nigdy się nie wydarzyło. - Zerknął na ekran. - Harlan! Dorzuc jeszcze trochę mocy do systemu. Musimy utrzymać stały poziom strumienia magnetycznego.

- Mam już sto dziesięć procent dopuszczalnej mocy - odparł St. Vincent.

- Dodaj jeszcze trochę - rzekł Dolby.

- Jeżeli sieć padnie, stracimy moc i naprawdę będzie po nas.

- Dawaj.

Harlan St. Vincent wprowadził polecenie.

- A co z tłumem? - krzyknął Wardlaw. - Podpalili hangary na lotnisku!

- Tu się nie dostaną - odparł ze spokojem Hazelius.



- Mimo to schodzą po linach.
- Tu jesteśmy bezpieczni.

Ford obserwował na ekranie tłum zalewający budynek windy i w końcu wdzierający się na dach. Kamera zatrzęsała się, przekrzywiła gwałtownie, po czym z głośnym trzaskiem ekran pociemniał.

- Gregory, musimy wyłączyć Isabelłę - rzekł Dolby.
- Ken, daj mi jeszcze pięć minut.

Dolby patrzył, a jego podbródek aż drżał z emocji.

- Tylko pięć minut. Błagam. Możliwe że rozmawiamy z Bogiem. Z Bogiem.

Pot ściekał strużkami po twarzy Dolbyego, a jego usta zadrzały. Skinął głową i odwrócił się do maszyny.

- Ta nowa religia, którą chcesz, abyśmy głosili... - mówił Hazelius. - Co mielibyśmy kazać ludziom czcić? Gdzie jest w tym piękno graniczące z trwogą?

Ford wyteżył wzrok, by przeczytać odpowiedź na wpol ukrytą wśród śniegu na ekranie.

*Proszę was, byście kontemplowali wszechświat taki, jaki jest, i taki, jaki znacie obecnie. Czyż nie jest on sam w sobie bardziej olśniewający i zachwycający niż jakakolwiek koncepcja Boga oferowana przez wszystkie historyczne religie? Sto miliardów galaktyk, samotne wysepki ognia rozrzucone jak lśniące monety wśród bezmiarów kosmosu tak rozległego, że wykraczającego poza możliwości biologicznego rozumowania ludzkiego umysłu. Powiadam wam, że wszechświat, jaki odkryliście, jest jedynie małym fragmentem rozleglejszego i wspanialszego stworzenia, zamieszkujecie jedynie najmniejszą niebieską drobinę na nieskończonym firmamencie niebios, lecz ta drobinka jest dla mnie cenna, ponieważ stanowi zasadniczą część całości. Właśnie dlatego do was przybyłem. Oddawajcie cześć mnie i moim wielkim dziełom, a nie jakiemuś plemiennemu bóstwu wymyślone-
mu przez wojujących pasterzy przed tysiącami lat.*

Dolby patrzył z twarzą wilgotną od potu i mocno zaciśniętymi szczękami.

Hazelius ponownie odwrócił się do wizualizatora.

- Więcej, powiedz nam więcej.

Wyznaczajcie linie mego oblicza waszymi przyrządami naukowymi. Poszukujcie mnie w otchłani kosmosu i wewnątrz elektronu. Albowiem jestem Bogiem najdalszej czasoprzestrzeni, Bogiem superskupisk i próżni, Bogiem Wielkiego Wybuchu i rozszerzania się wszechświata, Bogiem ciemnej materii i ciemnej energii.

Mostek zaczął dygotać, w powietrzu dało się wyczuć swąd palącej się elektroniki.

Kamery ochrony na lotnisku pokazywały, że oba hangary stoją w ogniu. Tłum otoczył śmigłowiec na lądowisku. Żołnierz trzymający M-16 stał w otwartych drzwiach z tyłu helikoptera, strzelając nad głowami ludzi, usiłując ich przepłoszyć. Śmigłowiec nabierał mocy.

- Skąd się wzięli ci wszyscy ludzie? - Innes wpatrywał się w ekran, a jego przenikliwy głos z trudem przebijał się przez hałas Isabelli.

Nauka i wiara nie mogą koegzystować. Jedno unicestwi drugie. Musicie dopilnować, żeby nauka przetrwała. W przeciwnym razie nasza mała niebieska drobina przepadnie...

Edelstein powiedział:

- Moje p5-ki się przegrzewają.

- Daj mi jeszcze minutę! - ryknął Hazelius. Odwrócił się do ekranu i zawołał na cały głos: - Co powinniśmy uczynić?

Dzięki moim słowom zwyciężycie. Opowiedzcie światu, co się tu wydarzyło. Powiedzcie światu, że Bóg przemówił do rasy ludzkiej -po raz pierwszy. Tak, po raz pierwszy!

- Ale jak mielibyśmy mówić o tobie, skoro nie możesz powiedzieć nam, czym jesteś?

Me powtarzajcie błędy historycznych religii i nie wdawajcie się w dysputy nad tym, kim jestem albo co myślę. Jestem dla was niepojęty. Jestem Bogiem wszechświata tak rozległego, że mogą go opisać tylko liczby boże, które podałem wam na samym początku...

- O cholera - wydusił z siebie Wardlaw, wpatrując się w motory ochrony.

Ford też na nie spojrział. Tłum bombardował śmigłowca gradem kamieni i kul, podczas gdy ochraniający maszynę żołnierz strzelał nad głowami. Ktoś cisnął w maszynę koktajlem Mołotowa. Butelka nie dosięgła celu i roztrzaskała się, zalewając asfalt przed śmigłowcem strugą ognia. Żołnierz opuścił broń i oddał kilka strzałów do tłumu. Śmigłowiec zaczął się podnosić.

- O Boże - westchnął Wardlaw poblady jak ściana.

Pomimo ofiar rozszalały tłum zbliżał się do maszyny, odpowiadając ogniem. Kule odbijały się od kadłuba, krzesząc fontanny iskier.

Jesteście prorokami prowadzącymi wasz świat ku przyszłości. Jaką przyszłość wybieriecie? To wy dzierzycie klucz...

Ford patrzył, jak pół tuzina koktajli Mołotowa leci od strony tłumu i rozbija się o kadłub maszyny. Ogień strzelił w górę, pochłaniając rotory. Płomienie dotarły do przewodu paliwowego i przy wtórze huku śmigłowiec eksplodował; wielka wirująca kula ognia wzbijała się w nocne niebo. Fragmenty maszyny jak ognisty deszcz spadły na asfalt, kaskady ognia szybko się powiększały, gdy płonące paliwo zaczęło się rozlewać we wszystkich kierunkach. Kiedy spomiędzy płomieni wyskoczył żołnierz, błyskawicznie spowiły go od stóp do głów. Przez chwilę rozpaczliwie wymachiwał rękami, aż w końcu, płonąc, upadł na asfalt.

- O Jezu - znowu stęknął Wardlaw. - Wysadzili helikopter.

Hazelius, wpatrując się w wizualizator, nie zwracał na to uwagi.

- Spójrz tylko na to! - zawołał Wardlaw, szturchając palcem w ekran. - Tłum zebrał się przed drzwiami Bunkra! Chodzi im o Isabelle! Zabijają znajdujących się tam żołnierzy!

- Wyłączam Isabelle - zawołał Dolby.

- Nie!

Hazelius rzucił się na niego i szamotali się przez chwilę, ale Dolby był tym razem przytomny i przewrócił niższego mężczyznę na ziemię. Odwrócił się do klawiatury.

- Zablokowana! Isabella jest zablokowana! - krzyknął. - Nie przyjmuje kodów zamknięcia!

- O Jezu, już po nas - jęknął Innes. - Już po nas.

65

Bern Wolf skulił się wśród cieni przy tytanowych drzwiach, za żołnierzami. Coraz więcej ludzi zjeżdżało w dół po linach, tłum powiększał się błyskawicznie, a teraz jeszcze napierając, zmusił ich do wycofania się ku skałom za nimi. Żołnierze nigdy nie mieli do czynienia z rozszalałą amerykańską tłuszcą cywilów, w tym kobiet. To było szaleństwo. Kim byli ci ludzie? Członkami Gałęzi Dawidowej? Ku-Klux-Klanu? Byli ubrani różnorodnie, uzbrojeni we wszystko, od karabinów po gwiazdki wojowników ninja. Wielu z nich wymachiwało zrobionymi naprędce krzyżami i napierało na żołnierzy, którzy nie mieli już gdzie się wycofać. W końcu odezwał się Doerffer:

- To własność rządu Stanów Zjednoczonych - zawołał. - Odłóżcie broń na ziemię! Ale już!

Z tłumu wyłoniła się wychudzona postać z wielkim rewolwem w dłoniach.

- Jestem pastor Russell Eddy. Przybyliśmy tu jako Armia Boga, by zniszczyć tę piekielną maszynę i Antychrysta, który jest tam w środku. Zejdźcie nam z drogi i przepuście.

Tłum był spocony, oczy ludzi lśniły w sztucznym silnym świetle, ciała kołysały się z podniecenia. Niektórzy płakali; łzy ściekały im strużkami po twarzach. Kolejni wciąż opuszczali się po linach. Najwyraźniej nie sposób ich było zatrzymać. Zupełnie jakby stale przybywali nowi.

Wolf patrzył na nich z ponurą fascynacją. Wyglądali, jakby byli opętani.

- Nie obchodzi mnie, kim jesteście - warknął Doerffer. - Ani po co tu przybyście. Ostatni raz mówię: odłóżcie broń na ziemię.

- Bo jak nie, to co? - spytał zuchwałej Eddy.
- Moi ludzie będą się bronić, a ponieważ to placówka rządowa, nie zawahamy się użyć siły. A teraz odłóżcie broń.
- Nie - odrzekł chudy pastor. - Nie złożymy broni. Jesteście sługami Nowego Porządku Świata, żołnierzami Antychrysta!
Doerfler podszedł do Eddy ego, wyciągając rękę. Donośnym tonem powiedział:

- Oddaj mi broń, kolego.

Huknął strzał, a Doerfler został odrzucony do tyłu, co mocno go zdziwiło. Przewrócił się, przetoczył po ziemi i zaczął wstawać, wyciągając swój pistolet. Najwyraźniej nosił kamizelkę kuloodporną. Drugi strzał z rewolweru zmiotł mu wierzch czaszki.

Wolf rzucił się na ziemię, na czworakach próbował schować się za sporym kanciastym głazem. Wokół niego rozpełtało się piekło, słychać było kanonadę wystrzałów, wybuchy i przeraźliwe krzyki. Zwinął się do pozycji płodowej, zakrywając głowę rękami, próbując wtopić się w skałę, podczas gdy wokół niego świstały kule, a rykoszetujące pociski zasypywały go gradem kamiennych odłamków. Ten przeraźliwy spektakl zdawał się trwać całą wieczność przy wtórze przeraźliwych okrzyków i wilgotnych rozzwierających odgłosów kul szatkujących ludzi na kawałki. Przyłożył dłoń do uszu, aby tego nie słyszeć.

Hałas z wolna ucichł i po chwili zapadła całkowita cisza, jeżeli nie liczyć upiornego dzwonienia w uszach. Pozostał zwinięty w kłębek, zdezorientowany, zszokowany, oszołomiony. Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Szarpnął się gwałtownie.

- Spokojnie. Już wszystko dobrze. Możesz wstać.

Wciąż nie otwierał oczu. Dłoń schwyciła go za koszulę i brutalnie podźwignęła na nogi, obrywając połowę guzików.

- Spójrz na mnie.

Wolf uniósł głowę i otworzył oczy. Było ciemno, reflektory zostały zniszczone podczas strzelaniny. Wszędzie wały się ciała, to była scena rodem z piekła albo nawet gorzej: ludzie rozdarci na pół, części ciała rozrzucone wśród kamieni. Było wielu rannych, jedni wydawali dziwne charcząco-bulgocące odgłosy, inni krzyčeli. Tłum zaczął już przenosić ciała na skraj urwiska i zrzucić je w dół.

Rozpoznał mężczyznę, który go trzymał - to był pastor Eddy, ten sam, który zapoczątkował strzelaninę, zabijając Doerflera. Miał na sobie krew innych.

- Kim jesteś? - spytał Eddy.

- Ja... tylko komputerowcem.

Eddy spojrzał na niego życzliwie.

- Jesteś z nami? - rzucił półgłosem. - Czy przyjmujesz Jezusa Chrystusa jako swojego zbawiciela?

Wolf otworzył usta, ale dobył się z nich tylko cichy skrzek.

- Pastorze - powiedział ktoś - nie mamy czasu.

- Zawsze jest czas na zbawienie duszy - odrzekł Eddy, a jego oczy pociemniały. - Powtarzam: czy przyjmujesz Jezusa Chrystusa jako swojego zbawiciela? Nadszedł czas, by opowiedzieć się po jednej ze stron. Zbliża się Dzień Sądu.

W końcu Wolf skinął głową.

- Na kolana bracie. Będziemy się modlić.

Wolf prawie nie wiedział, co robi. To było jak z odległego średniowiecza - przymusowe nawrócenie. Próbował uklęknąć na drżących nogach, ale nie był dość szybki i ktoś popchnął go w dół. Stracił równowagę i upadł na bok, jego koszula rozchyliła się.

- Módlmy się - rzekł Eddy, klękając obok Wolfa i ujmując jego dłonie w swoje pochylił się, aż dotknął ich czołem.

- Boże w Niebiosach, czy przyjmujesz tego grzesznika teraz, w godzinie próby? A czy ty, grzeszniku, przyjmujesz Słowo Prawdy, że możesz się odrodzić?

- Czy... co? - Wolf próbował skupić myśli.

- Powtarzam: Czy przyjmujesz Jezusa jako swojego zbawiciela.

Wolfowi było niedobrze.

- Tak - odrzekł pośpiesznie. - Tak. Przyjmuję.

- Chwalmy Pana! Módlmy się.

Wolf pochylił głowę i zacisnął powieki. *Co ja, u licha, wyprawiam?*

- Módlmy się na głos - kontynuował Eddy. - Proś Jezusa, by wniknął do twojego serca. Jeżeli uczynisz to szczerze i otwarcie, ujrzysz królestwo niebieskie. To takie proste.

Złożył dłonie i zaczął się modlić.

Wolf także modlił się przez chwilę, ale naraz poczuł nieprzyjemny ucisk w gardle.

- Musisz modlić się wraz ze mną - rzekł Eddy.

- Nie...

- Aby przyjąć Jezusa, musisz się modlić. Musisz prosić...

- Nie zrobię tego.

- Przyjacielu, mój drogi przyjacielu. To twoja ostatnia szansa. Zbliża się Sąd Ostateczny. A także czas wniebowzięcia. Nie mówię do ciebie jako twój wróg, lecz jako ten, który cię kocha.

- Kochamy cię - dobiegły głosy z tłumu. - Kochamy cię.

- Przypuszczam, że kochaliście także żołnierzy, których za mordowaliście - wycedził Wolf.

Był przerażony tym, co robił. Skąd się w nim wzięła nagle taka odwaga? Poczul lufę rewolweru dotykającą lekko jego skroni.

- To twoja ostatnia szansa - dobiegł go łagodny głos Eddyego.

Czuł, jak pewnie broń tkwiła w dłoni tamtego.

Wolf zamknął oczy, ale nic nie powiedział. Poczul lekkie drżenie, gdy ręka zacisnęła się, a palec wskazujący nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk, a potem nie było już nic.

Na wszystkich ekranach w Gabinetcie Sytuacyjnym pojawiły się sylwetki uczestników wideokonferencji; niektóre na ekranach przeznaczonych na pół. Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, FBI, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, wywiadu i Departamentu Energii. Wiceprezydent dołączył do nich o trzeciej w nocy. Teraz była 3.20. Sporo się wydarzyło przez ostatnich dwadzieścia minut, odkąd otrzymali informacje o pożarze na lądowisku w Red Mesie. Stanton Lockwood miał wrażenie, jakby grał w serialu sensacyjnym. Aż trudno było uwierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć w Ameryce. Zupełnie jakby się obudził i stwierdził, że jest w zupełnie innym kraju.

- Nie mamy żadnych wieści od jednostki specjalnej, odkąd wysadzono w powietrze helikopter - mówił dyrektor FBI.

Był blady, w dłoni trzymał zmiętą chustkę, którą ocierał twarz z potu.

- Atakujący mieli ogromną przewagę liczebną. To nie bezmyślny tłum, lecz zorganizowana grupa. Wiedzą, co robią.

- Czy wzięli zakładników? - spytał prezydent.

- Obawiam się, że większość naszych ludzi jest ranna albo nie żyje.

Ktoś spoza ekranu podał mu kartkę papieru. Spojrzał na nią.

- Właśnie otrzymałem raport... - Jego dłoń nieznacznie za drżała. - Udało im się zerwać jedną z trzech głównych linii energetycznych doprowadzających prąd do Isabelli. To spowodowało awarię sieci. Mamy przerwy w dostawie prądu w całej północnej Arizonie, części Kolorado i Nowego Meksyku.

- A moja Gwardia Narodowa? - rzekł prezydent, odwracając się do szefa połączonych sztabów. - Gdzie oni są, do cholery?
- Właśnie mają odprawę, panie prezydencie. Operacja rozpocznie się o czwartej czterdzieści pięć, jak było zaplanowane.
- Oni jeszcze nie są w drodze?
- Niestety nie.
- Niech natychmiast ruszają! Mają zaraz znaleźć się w powietrzu!
- Biorąc pod uwagę niedobór sprzętu, a teraz jeszcze przerwy w dostawie prądu...
- Niech lecą wszystkim, co tylko mają!
- Panie prezydencie, nasze najświeższe dane wykazały, że na Red Mesie jest od tysiąca do dwóch tysięcy uzbrojonych ludzi. Uważają, że zaczął się Armagedon. Drugie Przyjście. W rezultacie nie dbają o ludzkie życie, własne ani innych. Nie możemy wrzucić w taki kocioł grupy niewyszkolonych, źle wyposażonych rekrutów. Doniesiono o pożarach i olbrzymiej eksplozji na szczytach Red Mesy. Setki ludzi wciąż przebijają się przez nasze blokadę i na przelaj pojazdami terenowymi zmiatają w tym kierunku. Pas startowy został zniszczony, tak więc nie ma mowy, by mógł tam wylądować jakikolwiek samolot. Bezzałogowy predaktor powinien znaleźć się nad płaskowyżem, by zrobić zdjęcia, za... niecałe dwadzieścia minut. Musimy opracować strategiczny plan dobrze zorganizowanego ataku na płaskowyż, w przeciwnym razie straty w ludziach będą niewyobrażalne.
- Rozumiem. Ale mamy też urządzenie warte czterdzieści miliardów dolarów, jedenastu agentów FBI i tuzin naukowców, których życie także jest na szali...
- Przepraszam, panie prezydencie - odezwał się dyrektor Departamentu Energii. - Isabella wciąż pracuje z pełną mocą, ale coraz bardziej nieregularnie. Zgodnie ze wskazaniami naszych

urządzeń monitorujących może dojść do rozszczepienia wiązki cząstek, a wtedy...

- Może jaśniej.

- Jeżeli Isabella nie zostanie wyłączona, może dojść do uszkodzenia jednego z przewodów, w których krążą wiązki cząstek, a w rezultacie do eksplozji.

- Jak dużej?

Wahanie.

- Nie jestem fizykiem, ale powiedziano mi, że gdyby doszło do przypadkowego skrzyżowania wiązek, mogłoby to wytworzyć osobliwość, która eksploduje z siłą małej bomby atomowej o mocy rzędu pół kilotony.

- Kiedy?

- To może się zdarzyć w każdej chwili.

- Przepraszam, że się wtrącam - powiedział szef sztabu - ale mamy tu naprawdę spory problem z mediami. Musimy temu ja coś zaradzić.

- Oczyszćcie przestrzeń powietrzną w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Red Mesy - warknął prezydent. - Ogłóście na terenie rezerwatu sytuację kryzysową i stan wyjątkowy. I nie wpuszczajcie prasy. Żadnych mediów.

- Tak jest.

- Co do Gwardii Narodowej, chcę, aby na tym terenie porządek zaprowadziło wojsko. Niech przejmą o świcie kontrolę nad Red Mesą i całą okolicą. Nie chcę słyszeć żadnych wymówek o niedoborze żołnierzy czy środków transportu. Macie też wysłać tam siły lądowe. Niech nasi żołnierze dotrą tam drogą lądową. To otwarta pustynia. Chcę pokazu siły, macie sprowadzić tam jak najwięcej jednostek. Czy to jest jasne?

- Panie prezydencie, ogłosiłem już mobilizację wszystkich wojsk na całym południowym zachodzie.

- Czy nie da się puścić w ruch całej operacji wcześniej niż o czwartej czterdzieści pięć?

- Niestety nie, panie prezydencie.

- Uzbrojeni terroryści przejęli placówkę rządową i wymordowali jej personel. Ich zbrodnie przeciwko państwu nie mają nic wspólnego z religią. Ci ludzie to terroryści, koniec kropka. Rozumiemy się?

- Oczywiście, panie prezydencie.

- Na początek chcę, żeby ten teleewangelista Spates trafił do aresztu federalnego pod zarzutem działalności terrorystycznej: kajdanki na rękach i nogach, kaptur na głowie, cały pakiet. Chcę, żeby zrobiono z tego widowisko. Niech go potraktują jako ostrzeżenie dla innych. Jeżeli są jacyś teleewangeliści, kaznodzieje czy fundamentaliści, którzy popierają tych ludzi, każ ich też aresztować. Ci ludzie w niczym nie różnią się od Al-Kaidy i talibów.

Nelson Begay leżał na brzuchu na wzgórzu nad Nakai Valley, a obok niego Willy Becenti. Z najwyższego miejsca na płaskowyżu rozciągał się widok na pustynną okolicę poniżej w obrębie trzystu sześćdziesięciu stopni dokoła.

Na Dugway zrobił się potworny korek w miejscu, gdzie droga łączyła się z Red Mesą. Setki, a może nawet tysiące aut stały, gdzie popadnie, na pustej przestrzeni u wylotu Dugway. Wiele pojazdów pozostawiono z włączonymi światłami albo otwartymi drzwiczkami. Ludzie przemierzali Dugway pieszo, pozostawiając swoje samochody gdzieś poniżej płaskowyżu. Schodzili drogą prowadzącą przez osiedle, omijając objazd do Nakai Valley i kierując się na skraj płaskowyżu, gdzie rozgrywały się wydarzenia.

Indianin przepatrywał drogę przez lornetkę. Hangary płonęły. To, co zostało ze śmigłowca, także trawił ogień; płomienie strzelały na dobrych trzydzieści metrów w górę. Wokoło leżały trupy, ofiary krwawej strzelaniny, której był świadkiem przed kilkoma minutami. Większość ludzi opuściła lądowisko po spaleniu śmigłowca, ale kilka osób zostało, by pomóc wielkiej koparce zakończyć rycie rowów w poprzek pasa startowego. Śledził przemierzający się tłum, aż jego wzrok padł na otoczony siatką obszar na skraju płaskowyżu. Roiło się tam od ludzi; Begay ocenił, że było ich co najmniej tysiąc. Wielu z nich wspinało się na jeden z olbrzymich słupów wysokiego napięcia i dotarło mniej więcej do trzech czwartych wysokości. Inni wzniesli toporny krzyż na szczycie wysokiej budowli na skraju płaskowyżu i byli zajęci niszczeniem zamontowanych na dachu anten i talerzy satelitarnych.

Begay wolno opuścił lornetkę.

- Domyślasz się, co się dzieje? - spytał Becenti.

Tamten pokręcił głową.

- To jakieś spotkanie Ku-Klux-Klanu? Albo Bractwa Aryjskiego?

- W tym tłumie są czarni i Latynosi. A nawet paru Indian.

- Daj popatrzeć.

Podczas gdy Becenti przepatrywał północny kraniec płaskowyżu, Begay zastanawiał się, co właściwie ogląda. To musiało być jakieś szalone spotkanie ewangelizacyjne - skądinąd bardzo popularne w rezerwacie, ale kiedy tamci wysadzali śmigłowiec, zrozumiał, że chodziło o coś zupełnie innego. Może coś łączyło ich z tym telewizyjnym kaznodzieją, o którym mówili ludzie, tym, który wygłosił kazanie przeciwko projektowi Isabella.

Becenti mruknął, nie odrywając lornetki od oczu:

- Zobacz, ilu ich zabili na lądowisku.

- Możesz być pewien - odparł Begay - że to nie ujdzie im na sucho. Federalni nie będą siedzieć beczynn timer, pozwalając na coś takiego. Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy zaczną się fałszywe wojny.

- Moglibyśmy zostać jeszcze chwilę, żeby zobaczyć, co się stanie. Nie co dzień mamy miejsce w pierwszym rzędzie, gdy *Bilagaana* wybijają się nawzajem. Zawsze wiedzieliśmy, że to kiedyś nastąpi, prawda? Pamiętasz tę przepowiednię?

- Daj spokój, Willy. Musimy zebrać wszystkich i jak naj szybciej wynieść się z płaskowyżu.

Wstali i zeszli do doliny.

Randy Doke stał na masce humvee ponad tłumem z muskularnymi ramionami splecionymi na piersiach. Z tej wysokości miał lepszy widok na ludzi wdrapujących się na słup wysokiego napię-

cia. Ci znajdujący się najwyżej byli prawie u celu. Linie energetyczne brzęczały i skwierczały.

Doke poczuł się podekscytowany jak nigdy dotąd. Kiedyś zaciął się w heroinie, kokainie, alkoholu. Gdy był już na dnie i walał się pijany we własnych odchodach w rowie pod Belen w Nowym Meksyku, przypomniał sobie nagle modlitwę z dzieciństwa, której nauczyła go matka, zanim ten wiecznie pijany stary skurwiel, z którym żyła, nie zastrzelił najpierw jej, a potem siebie. Śpiewne wiersze rozbrzmiewały w jego głowie. *Pan Jezus kocha mnie i ja dobrze to wiem, bo Biblia mówi tak...* I właśnie wtedy, w tym parszywym rowie w Belen, Jezus wyciągnął rękę i ocalił jego bezwartościowy tyłek. I teraz miał u Pana dług. Wielki dług. Dla Jezusa uczyniłby wszystko.

Sięgnął po lornetkę. Jeden ze wspinających się dotarł do punktu tuż pod izolatorami. Doke patrzył, jak mężczyzna zapiera się o szczebel drabinki i oplata nogami wspornik, kiedy już usadowił się wygodnie, zdjął z ramienia strzelbę, wprowadził pocisk do komory i uniósł broń do strzału.

To będzie niezłe.

Patrzył, jak mężczyzna starannie składa się do strzału. Ci, którzy wspinali się poniżej, przystanęli, by popatrzeć. Błysnęło i chwilę później do uszu Dokea doszedł huk wystrzału. Kaskada iskier spłynęła z linii energetycznej, przewód zadrżał. Rozległy się radosne okrzyki.

Mężczyzna ustabilizował pozycję i przeładował strzelbę. Huknął drugi strzał. Przewód eksplodował tysiącem iskier i zafalował, wijąc się jak grzechotnik, którego trafiono solą ze śrutówki. Kolejny okrzyk radości.

Trzeci strzał i tym razem ciemność wypełniła się strugą ognia. Linia wysokiego napięcia pękła z głuchym trzaskiem i brzękiem, od którego aż zawirowało powietrze; oderwany koniec opadł jak bicz w zwolnionym tempie, buchając ogniem na tłumy poniżej.

Runął w dół przy wtórze serii trzasków, błysków światła i kłębow dymu, bezlitośnie rozrzucając ludzi na wszystkie strony i wywołując niepohamowaną panikę.

Niesamowite.

Doke przeniósł wzrok na słup wysokiego napięcia. Mężczyzna przeładował i znów złożył się do strzału. Ale ludzie na wieży coś do niego krzyčili. Co takiego? Żeby przestał? *Nie*, pomyślał Doke, *zachęcali go do strzału.*

Jeszcze jeden wystrzał. Fragment izolatora poleciał w dół pośród kaskady iskier i drugi przewód pękł, trafiając w podstawę słupa. Zupełnie jakby niewidzialna dłoń zatrzęsła całą konstrukcją. Ludzie pospadali z drabiny, ciała runęły w dół, uderzając. Oniższe wsporniki, odbijając się od nich i koziołkując, by z głuchym trzaskiem wylądować na ziemi.

Wijący się przewód przeciął powietrze, zmierzając w jego stronę i wyjąc jak sygnał sprzężenia zwrotnego z wielkiej elektrycznej gitary. Doke zeskoczył z humvee, gdy chłostający na wszystkie strony kabel dosięgnął maszyny, krzesząc snopy iskier. Wpadł w ogarnięty paniką tłum i zaczął przedzierać się po ciablach tych, którzy potknęli się i upadali, aby znaleźć się poza zasięgiem zabójczego przewodu. Humvee stanął w ogniu i po chwili Doke poczuł falę gorąca z eksplodującego zbiornika paliwa. Ujrzał silną pomarańczową poświatę.

Kiedy podniósł się z ziemi, zlustrował rozmiar zniszczeń. Przewód wysokiego napięcia przemierzył w sumie niemal połowę długości strefy chronionej, pozostawiając za sobą ognisty ślad. Budynek windy także płonął, podobnie jak tuzin sosen. Wokół palącego się samochodu wałały się trupy i ciała potwornie poparzonych ludzi.

Kolejne dusze idą do nieba, pomyślał Doke. Kolejne dusze zasiądą po prawicy Boga.

Ken Dolby zobaczył na ekranie, jak pasek poziomu mocy podnosi się, a potem opada gwałtownie.

- Isabella!

Ponownie wstukał kody zamknięcia. Na ekranie pojawił się komunikat

BŁĄD OBEJŚCIA KODU

- Cholera!

Rozległa się syrena, przeraźliwe zawrodoenie wypełniło Mostek, a pod sufitem zaczęła migotać czerwona lampka.

- Przeciążenie awaryjne! - krzyknął St. Vincent.

Głuchy łoskot zatrzęsł całym pomieszczeniem i ekran wizualizatora rozprysł się w drobny mak i odłamki posypały się na podłogę niczym grad.

- Isabello! - zawołał Dolby, zaciskając ręce na klawiaturze. - Walcz, Isabello!

St. Vincent mocował się z konsolą, wyłączając uszkodzone obwody.

- Odcięty dopływ energii do Jedyńki! Jak to się mogło stać? To niemożliwe!

- Wiązka cząstek! - zawołała Kate, lustrując terminal. - Dekolimacja! Odbieram... rozszczepienie promieni!

- Chen! - krzyknął Hazelius. - Ta ostatnia wiadomość! Nie zdołałem jej przeczytać. Zapisłaś?

- Nie mogę jej znaleźć - odrzekła Chen. - Może ją straciłam. Straciłam wszystko.

- Przenieś informację na jednostkę drukującą! - ryknął Hazelius.

Dolby wyrugował ze świadomości otaczający go chaos. Isabella już nie odpowiadała na wprowadzane komendy. Coś się wydarzyło - p5-ki chyba padły. Zwrócił się do Edelsteina:

- Uruchom komputer główny. Zignoruj procedurę startową i sekwencje testowe. Po prostu włącz skurwiela.

Łuk elektryczny wytrysnął z tego, co pozostało po dużym ekranie. W głębi jaskini dał się słyszeć dudniący łoskot rozdierającej eksplozji, a zaraz po nim kolejny. Odgłosy Isabelli przez moment przybrały na sile, by zaraz przycichnąć, szaleńcze pulsowanie przeszło w nerwowe dudnienie i szum. Pomieszczenie wypełniło się dymem.

- Tworzymy miniaturową czarną dziurę - powiedziała pół głosem Kate.

- To niewiarygodne! - krzyknął Wardlaw. - Wicie, dlaczego straciliście moc na Jedynce? Ci dranie właśnie przestrelili przewód linii energetycznej. Pod drzwiami Isabelli zebrał się tłum... Chryste, tracę kamery ochrony, przechodzą przez windę...

Rozległ się szum i ekrany monitorów ochrony pociemniały.

- O nie!

Kolejne trzaski i syki. Całe stanowisko ochrony przestało funkcjonować, światła ostrzegawcze zgasły. Isabella jęczała i zawodziła.

- Drukujesz to? - rzucił Hazelius do Chen.

- Już mam, szukam teraz sprawnej drukarki!

Rąbnęła pięścią w klawiaturę, pot ściekał jej po twarzy.

- Boże... tylko tego nie strać, Rae.

- Mam! - krzyknęła Chen. - Drukuję!

Poderwała się i przebiegła przez pomieszczenie w stronę drukarki. Wyciągnęła kartkę, która wysunęła się z rolki w urządzeniu, i oderwała wydrukowaną stronę. Hazelius wziął ją od niej, złożył i wcisnął do tylnej kieszeni.

- Wynośmy się stąd.

Całe pomieszczenie się zatrzęsło, gdy rozległ się kolejny zduszony huk, a Dolby wylądował na podłodze. Światła zamigotały, przez konsole przepłynęły łuki wylądowań elektrycznych. Isabella jęknęła głęboko jakby w agonii. Dolby podniósł się z podłogi i wrócił do swojego urządzenia.

Ford chwycił go za ramię.

- Ken! Musimy się stąd wydostać!

Dolby odepchnął go i znów spróbował wprowadzić kod.

BŁĄD OBEJŚCIA KODU

Główny komputer rozpoczął procedurę rozruchu. Dolby zawołał:

- Alan, mówiłem ci, żebyś wyłączył p5-ki!

- Daj sobie spokój, Ken! Wychodzimy! - zawołał znowu Ford.

Zostań ze mną, Isabello.

Pracował dalej. Musiał dotrzeć do Isabelli. Musiał ją zamknąć bezpiecznie. Wadliwy magnes zmieniał położenie. Dwie wiązki cząstek krążyły coraz bezładniej wewnątrz rury. Gdyby dotknęły krawędzi albo siebie nawzajem...

- Dolby! - Hazelius chwycił go za ramię. - Nie ocalisz tego! Musimy iść!

- Puszczaj!

Dolby zamachnął się na Hazeliusa i chybił. Odwrócił się do ekranu i rozzłościło go to, co zobaczył.

- Alan! Do cholery, p5-ki wciąż działają! Kazałem je wyłączyć!

Bez odpowiedzi. Rozejrzał się wkoło, próbując odnaleźć w zadymionym pomieszczeniu Edelsteina. Przetarł podrażnione, łzawiące oczy i zakasłał. Dym snuł się wszędzie. Mostek był pusty. Wszyscy odeszli.

Może ocalić Isabelle. Wiedział, że może to zrobić. A jeżeli nie, to po co miałby żyć?

Jestem tu, Isabello. Zostań ze mną jeszcze chociaż przez chwilę.

Russell Eddy zrobił to. Zabił. Bóg dał mu siłę. Bitwa się rozpoczęła. Zabicie grzesznika było jak podłączenie tłumy do prądu. Aż tryskali energią. Eddy zelektryzowany i ożywiony podszedł do tytanowych drzwi. Stał przed nimi i odwrócił się, unosząc broń:

- *I dano jej, by duchem obdarzyła obraz Bestii. Kto stanie u moje go boku, by zmierzyć się z Antychrystem?*

Tłum odpowiedział jednogłośnie.

- Kto stanie wraz ze mną do konfrontacji z Bestią?

Kolejny szaleńczy ryk. Eddy poczuł nowy zastrzyk energii.

- To bluźnierca!

Ryk.

- Bezbożnik!

Owacja.

- W imię Pana Naszego i Syna Jego Jedyne Jezusa Chrystusa, unicestwimy go!

Tłum ruszył hurmem na tytanowe drzwi, ale te nie ustąpiły.

- Cofnijcie się! - krzyknął Eddy. - Sforsujemy te drzwi!

Wycelował, ale czyjaś dłoń chwyciła go za przegub.

- Pastorze, ten rewolwer nic tu nie da.

Mężczyzna w panterce i z karabinkiem szturmowym AR-15 przerzuconym przez plecy postąpił naprzód.

- Widzi pan te urządzenia, tam?

Wskazał na trzy stożkowate obiekty na trójnogach skierowane w stronę drzwi.

- To ładunki do wyburzania ścian gotowe do odpalenia. Żołnierze zamierzali wywalić dziurę w tych drzwiach. Oni także chcieli się dostać do Isabelli.

- Skąd wiesz?
- Mikę Frost, były członek Piątej Grupy Sił Specjalnych. Ścisnął dłoń Eddy ego, jakby chciał mu pogruchotać wszystkie kości.
 - Wprowadź nas tam, Mikę.Frost ostrożnie obszedł urządzenie, spoglądając na metalowe stożki.
 - Te maleństwa mają już w środku ładunki C-4. Całe szczęście, że zabłąkana kula nie trafiła w żadne z nich podczas walki. Te przewody łączą je, a tu są detonatory.Pokazał niewielki cylinder z podłączonym przewodem. Było ich trzy i ostrożnie umieścił każdy z nich głęboko w C-4, po czym zabrał się do rozwijania przewodów.
 - Niech pan każe wszystkim, żeby się cofnęli. Możliwie jak najdalej.Eddy czym prędzej wyprowadził swoją trzódkę poza strefę zagrożenia. Frost rozwinął przewody na całą ich długość, podniósł klapkę detonatora i położył palec na przycisku.
 - Zatkajcie uszy.



Ford i reszta zespołu weszli za Wardlawem do sali komputerowej za Mostkiem. Było to drugie, skromnie urządzone pomieszczenie z szarymi ścianami i trzema rzędami milczących szarych plastikowych szafek. Mieściły one najszybszy, najpotężniejszy superkomputer na świecie. Procesory urządzenia szemrały, dyskretne panele na każdym z nich migotały światłkami, głównie czerwonymi albo żółtymi. Na drugim końcu znajdowały się stalowe drzwi.

Hazelius dołączył do nich.

- Dolby nie przyjdzie.

- Mamy trzy problemy - rzekł Wardlaw. - Po pierwsze Isabella wybuchnie. Po drugie tam na zewnątrz jest uzbrojony tłum. Po trzecie nie możemy wezwać pomocy.

- Co zrobimy? - zaskomlała Thibodeaux.

- Te stalowe drzwi prowadzą do tuneli starej kopalni. Musimy się stąd wydostać. Musimy oddalić się na dostatecznie dużą odległość od Isabelli, aby w chwili wybuchu dzieliła nas od niej jak najgrubsza warstwa skał.

- Jak się wydostaniemy z tych starych tuneli? - zapytał Ford.

- Na drugim końcu - wyjaśniał Wardlaw - jest stary pionowy szyb, który wykorzystywano do odprowadzania metanu z chodników kopalni. Jest tam stara winda. Prawdopodobnie niedziałająca. Będziemy musieli improwizować.

- Czy to najlepsze, co możemy zrobić?

- Albo to, albo można wyjść frontowymi drzwiami, za którymi czeka ten tłum.

Cisza.

Wybuch, który wstrząsnął całą salą komputerową, sprawił, że upadli bezwładnie na kolana. Głuchy łoskot przetoczył się głośnie echem w tę i z powrotem, huk eksplozji jak grzmot przemknął w głąb góry. Światła w pomieszczeniu zamigotały, na konsolach pojawiły się luki wyładowań elektrycznych. Ford podźwignął się z ziemi i pomógł wstać Kate.

- Czy to Isabella? - zawołał Hazelius.
- Gdyby tak było, już byśmy nie żyli - odparł Wardlaw. - Tłum wysadził właśnie tytanowe drzwi.
- Niemożliwe!
- Owszem, ponieważ wykorzystali ładunki wybuchowe przyniesione przez tamtych żołnierzy.

Drzwi na Mostek zatrzęsły się nagle pod uderzeniami pięści. Ford nasłuchiwał. Widział na Mostku Dolby ego pracującego jak duch wśród dymu i pochylającego się nad swoim stanowiskiem.

- Hazelius! - dobiegł zza drzwi wysoki stłumiony głos. - Słyszysz mnie, Antychryście? Idziemy po ciebie!

Pastor Russell Eddy krzyczał dalej do stalowych drzwi:

- Hazelius! Bluźniłeś przeciwko Bogu, przeciwko Jego imieniu i Jego przybytkowi.

Drzwi były z grubej stali, a oni nie mieli już ładunków wybuchowych. Strzelanie do zamka w tej ograniczonej przestrzeni nic by nie dało i graniczyłoby z samobójstwem.

Tłum napierał na drzwi, łomocąc w nie i krzycząc.

- Chrześcijananie! - głos Eddy'ego zagrzemiał wewnątrz jaskini.
- Posłuchajcie mnie, chrześcijanie!

Tłum się uciszył. Słysząc było już tylko piekielne zawrodożenie maszyny w tunelu opodał.

- Cofnijcie się od drzwi! Musimy zorganizować nasz atak!

Wskazał ręką.

- Po drugiej stronie tej jaskini są stalowe belki wspornikowe. Chcę, żeby najsilniejsi mężczyźni - i tylko mężczyźni - poszli po kilka z nich i sforsowali nimi te drzwi. Dla reszty z was mam równie ważne zadanie. Rozdzielcie się na dwie grupy. Pierwsza pójdzie do tego długiego kolistego tunelu. - Wskazał owalny otwór, przez który napływała mgiełka kondensacji. - Poprzecinajcie i zniszczcie młotami kable i przewody zasilające superkomputer, Bestię! - Uniósł w dłoni kartkę z wydrukiem z internetu. - Oto mapa Bestii!

Wskazał na mężczyznę, który wydawał się spokojniejszy od innych. Swobodnie dzierżył broń i emanował aurą przywództwa.

- To twoje zadanie. Ty ich poprowadzisz.

- Dobrze, pastorze.

- Kiedy już sforsujemy te drzwi, chcę, by druga grupa weszła ze mną do pomieszczenia kontrolnego, pojmała Antychrysta i zniszczyła znajdujący się tam sprzęt.

Ryk aprobaty. Dwudziestu mężczyzn podniosło już jedną ze stalowych belek. Tłum się rozstąpił, gdy dźwigając belkę jak taran, mężczyźni ruszyli w kierunku drzwi.

- Jazda! - zawołał Eddy, usuwając się im z drogi. - Rozwalcie je!

Rozwalcie! Zniszczcie!

Tłum rozstąpił się, a mężczyźni truchtem skierowali się w stronę drzwi. Belka rąbnęła w nie z głuchym trzaskiem, wyginając je do wewnątrz. Impet uderzenia odbił belkę w tył i mężczyźni zachwiali się, próbując ją utrzymać.

- Jeszcze raz! - rozkazał Eddy.

70

Stłumiony łomot wstrząsnął pomieszczeniem i metalowe drzwi zatrzęsły się od potężnego uderzenia. Ford, błądząc wśród dymu, odnalazł Dolby ego i chwycił go za ramię.

- Ken, proszę - powiedział - na miłość boską, chodź z nami.

- Przykro mi, Wyman, ale nie - odrzekł Dolby. - Zostaję tu taj. Mogę... ocalić Isabellę.

Ford usłyszał krzyki i wrzaski tłumu za drzwiami. Uderzali w nie czymś ciężkim. Drzwi powoli ustępowały, jeden z masywnych zawiasów pękł.

- Nie uda ci się. Nie ma już czasu.

Za drzwiami dobiegł ryk tłumu:

- Hazeliuuuuus! Antyyychryst!

Dolby kontynuował gorączkową pracę.

Za Fordem pojawiła się Kate.

- Musimy iść.

Ford odwrócił się i wszedł za Kate do sali komputerowej. Po zostali zebrali się przy wyjściu awaryjnym, podczas gdy Wardlaw usiłował uruchomić panel bezpieczeństwa. Wpisał kod raz po raz, przykładając dłoń do czytnika. Ale czytnik nie działał.

Buuum! Drzwi ustąpiły i runęły na podłogę. Ryk tłumu przybrał na sile, gdy tłuszcza zaczęła się wdzierać na spowity dymem Mostek.

Rozległa się kanonada strzałów, a Dolby krzyknął, bo grad kul dosięgnął go, gdy pochylał się nad stanowiskiem.

- Gdzie Antychryst? - zawołał jakiś mężczyzna.

Ford podbiegł do drzwi sali komputerowej, zamknął je i przekręcił zasuwę.

Wardlaw wyjął zwykły klucz i otworzył szarpnięciem panel przy drzwiach, pod którym znajdowała się druga klawiatura. Wstukał kod. Nic.

- Są w pomieszczeniu na tyłach!
- Rozwalcie te drzwi!

Wardlaw spróbował ponownie i drzwi wyjścia awaryjnego otworzyły się z cichym szczęknięciem. Za nimi rozciągała się wilgotna, cuchnąca pleśnią czerń chodnika kopalni. Ford wyszedł jako ostatni, popychając przed sobą Kate. Długi szeroki tunel ciągnął się prosto przed nimi, podstemplowany pokrytymi rdzą stalowymi belkami, które podtrzymywały uginające się, popękane sklepienie. Powietrze przesycone było wonią zgnilizny, przywodziło mu to na myśl skamieniałe bagna, na które kiedyś zawędrował. Ze sklepienia ściekała woda.

Wardlaw zatrasnął tylne drzwi i próbował je zablokować. Ale zamki były elektryczne, a z braku prądu nie funkcjonowały. W sali komputerowej dał się słyszeć przeraźliwy rumor i hałas tłumu przybrał na sile. Taran sforsował drzwi do sali komputerów. Wardlaw usiłował włączyć zamki, najpierw używając swojej karty magnetycznej, a potem wstukując kod na klawiaturze.

- Ford, tutaj!

Wardlaw wyjął zza paska drugi pistolet i podał Fordowi. To był SIG-Sauer P229.

- Spróbuję ich tu zatrzymać. Te kopalnie są zbudowane jak ciąg ostemplowanych komór. Wszystkie są ze sobą połączone. Idźcie przed siebie i kierujcie się w lewo, omijając ślepe chodniki, aż dotrzecie do wielkiego wyrobiska, skąd wybrano cały pokład węgla. To jakieś pięć kilometrów stąd. Tunel odprowadzający znajduje się na rogu po lewej. Możecie się tamtędy wydostać. Nie czekajcie na mnie, wiejcie, ile sił w nogach. Weź także to.

Wcisnął mu do ręki latarkę.

- W pojedynkę ich nie zatrzymasz - rzekł Ford. - To samo bójstwo.
- Mogę załatwić wam trochę czasu. To nasza jedyna szansa.
- Tony... - zaczął Hazelius.
- Ratujcie się!
- Zabić Antychrysta! - dobiegł stłumiony głos zza drzwi. - Zabijcie go!
- Uciekajcie! - krzyknął Wardlaw.

Pobiegli przez ciemny tunel. Ford na samym końcu, rozbrzgując kałuże wody na podłożu chodnika i oświetlając drogę promieniem latarki. Słyszał łomotanie do drzwi, krzyki tłumu i słowo „Antychryst” rozbrzmiewające echem w tunelach. Po chwili huknęło kilka strzałów. Dały się słyszeć wołania i kolejne strzały, odgłosy chaosu i paniki.

Tunel był długi i prosty, co piętnaście metrów łączyły się z nim prostopadłe odnogi po prawej stronie prowadzące do kolejnych równoległych sztolni. Pokład bitumiczny po lewej został wyeksploatowany niemal całkowicie, a potem kopalnię opuszczono, pozostawiając wiele ślepych tuneli, przodków i pajęczynę ciemnych złóż.

Z tyłu dobiegły kolejne strzały, ich huk rozbrzmiewał szalonym echem w ograniczonej przestrzeni. Powietrze było zatechłe i ciężkie, ściany błyszczały od wilgoci, pokryte smugami saletry. Tunel zakręcał szerokim łukiem. Ford zrównał się z Julie Thibodeaux, która została nieco w tyle, objął ją ramieniem i próbował jej trochę pomóc.

Znów rozległy się strzały. Wardlaw wybrał swój ostatni szaniec jak Leonidas pod Termopilami, pomyślał ze smutkiem Ford, zaskoczony odwagą i oddaniem tamtego.

Tunel przechodził w szeroką komorę z niskim sklepieniem, główne złożę, wspierane przez masywne kolumny niewydobytego węgla, pozostało, by podtrzymywać sklepienie. Kolumny miały

sześć metrów średnicy, czarny węgiel skrzył się w świetle, kopalnia była jak labirynt kolumn i wolnej przestrzeni, rozmieszczonych bez jakichkolwiek reguł czy planu. Ford przystanął, by wyjąć magazynek, i stwierdził, że ma w nim trzynaście naboń kaliber 9 mm. Wbił na powrót magazynek do kolby pistoletu.

- Trzymajmy się razem - rzekł Hazelius, zwalniając tempa. - George, Alan, pomóżcie Julie, widzicie, że ma kłopoty. Wyman, będziesz osłaniał tyły.

Hazelius położył dłonie na ramionach Kate i spojrzał na jej twarz.

- Gdyby coś mi się stało, przejmiesz kontrolę nad wszystkim. Rozumiesz mnie?

Kate przytaknęła głową.

Grupa mężczyzn towarzysząca Eddyemu została unieruchomiona przez ostrzał dochodzący zza jednej z kolumn węgla.

- Kryć się! - krzyknął pastor, unosząc swojego blackhawka w stronę, skąd padł ostatni strzał, i naciskając spust, by powstrzymać niespodziewany opór.

Huknęły kolejne strzały, gdy dołączyli do niego inni, koncentrując ogień w miejscu, gdzie było widać błyski wystrzałów. Promienie tuzina latarek rozjaśniły wnętrze tunelu.

- Jest za tą ścianą z węgla! - zawołał Eddy. - Osłaniaj mnie!

Grad kul posypał się w stronę ściany, rozpryskując wokół odłamki węgla.

- Nie strzelać!

Eddy podniósł się i podbiegł do szerokiej kolumny, która rozciągała się na długości dobrych sześciu metrów, a potem zakręcała. Przywierając do niej całym ciałem, gestem dał znak pozostałym, aby obeszlili kolumnę z drugiej strony. Następnie zaczął przekradać się wzdłuż nierównej ściany węgla z gotowym do

strzału rewolwerem w dłoni. Strzelec musiał przewidzieć ich porozumienie i pognął ku sąsiedniej kolumnie. Eddy uniósł broń, strzelił, ale chybił. Kolejny strzał huknął, zanim mężczyzna zdążył się ukryć za słupem węgla. Upadł i zaczął się czołgać. Frost podszedł z drugiej strony kolumny, trzymając pistolet oburącz, i oddał drugi i trzeci strzał do pełzającego mężczyzny, który zwinął się w kłębek. Potem postąpił naprzód i niemal z przyłożenia wpakował rannemu kulkę w głowę.

- Po sprawie - rzekł, omiatając tunel promieniem latarki. - Tylko jeden. Reszta uciekła.

Russell Eddy opuścił broń i przeszedł na środek tunelu. Ludzie schodzili się przez otwarte drzwi, wypełniając przestrzeń; ich głosy brzmiały w ciasnym tunelu wyjątkowo donośnie. Uniósł ręce. Zapadła cisza.

- Nadszedł wielki dzień Jego gniewu! - krzyknął Eddy.

Czuł nadsciągający tłum, jego energię jak dynamo napędzające jego stanowczość. Ale było ich zbyt wielu. Miał wejść do kopalni z mniejszą, bardziej mobilną grupą. Zawołał, przekrzykując szum maszyn:

- Zabiorę do tunelu tylko małą grupkę. Samych mężczyzn z bronią. Bez kobiet i dzieci. Tylko mężczyźni z bronią palną i do świadczeniem, wystąp! Reszta niech się wycofa.

Wystąpiło naprzód mniej więcej trzydziestu mężczyzn.

- Ustawcie się w szeregu i pokażcie mi swoją broń. Prezentuj broń!

Mężczyźni z radością unieśli trzymane w dłoniach strzelby i pistolety. Eddy przeszedł wzdłuż szeregu, przyglądając się każdemu po kolei. Wyeliminował kilku uzbrojonych w ładowane odprzodowo repliki dawnej broni, dwóch nastolatków z jednostrzałowymi karabinkami kaliber 22 i dwóch, którzy wyglądali na obłąkanych. Zostały dwa tuziny.

- Wy pójdziecie ze mną w pogoni za Antychrystem i jego sługami. Podejdźcie tu. - Odwrócił się do pozostałych. - Co się tyczy reszty, wasze zadanie jest tam, w pomieszczeniach, przez które właśnie przeszliście. Bóg pragnie, abyście zniszczyli Isabelę. Zniszczcie Bestię Czeluści, której na imię Abaddon! Naprzód, żołnierze wiary!

Tłum rozproszył się z głośnym rykiem spragniony działania i zawrócił do wnętrza projektu, wymachując młotami kowalskimi, siekierami, kijami baseballowymi. Z pomieszczenia za ścianą dobiegły odgłosy rozbijanych urządzeń.

Maszyna wrzasnęła jak w agonii.

Eddy schwycił Frosta za ramię.

- Zostań u mojego boku, Mikę Potrzebne mi twoje doświadczenie.

- Dobrze, pastorze.

- W porządku panowie, naprzód!

Hazelius prowadził grupę przez szerokie tunele wyryte w masywnych chodnikach starej kopalni. Ford osłaniał tyły. Pozostawszy nieco za innymi, próbował przeniknąć wzrokiem ciemność i nasłuchiwać. Strzelanina pomiędzy Wardlawem a tłumem dobiegła końca, ale Ford wciąż słyszał okrzyki tłuszczy, kiedy prześladowcy ruszyli ich śladem w głąb tunelu.

Trzymali się lewej strony, tak jak radził Wardlaw, niekiedy jednak zapuszczając się do ślepych tuneli, przez co zmuszeni byli zawracać do głównego chodnika. Kopalnia była olbrzymia, bitumiczne złoża ciągnęło się w nieskończoność w trzech kierunkach. W złożu wykuto istny labirynt przecinających się ze sobą łukowatych tuneli, ciągnących się od jednej wspartej na kolumnach komory do drugiej i łączących się ze sobą w nieprzewidywany sposób. Po podłożu chodnika biegły pochodzące z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku szyny, pozostałość po kolejce, którą wydobywano stąd urobek. Zardzewiałe wagoniki, zbutwiałe liny, zdezelowane silniki i hałdy porzuconego węgla wałały się dokoła. W niektórych miejscach musieli brodzić przez kałuże zatechłej wody.

Kiedy tak biegli przez tunele, podążał za nimi gardłowy krzyk Isabelli niczym przedśmiertelny skowyt dogorywającej bestii. Gdy raz po raz przystawał, by przez chwilę nasłuchiwać, Ford wychwycił również odgłosy zmierzającego za nimi pościgu.

Po piętnastu minutach biegu Hazelius ogłosił krótki postój i odpoczynek. Osunęli się na wilgotny grunt, nie zważając na rozmyte węglowe błocko. Kate przytuliła się do Forda, a on objął ją ramieniem.

- Isabella lada chwila eksploduje - rzekł Hazelius. - To może być jak wybuch zwykłej bomby, ale równie dobrze atomówki.

- Jezu - rzucił Innes.

- Większy problem - powiedział Hazelius - polega na tym, że niektóre z detektorów są wypełnione wybuchowym ciekłym wodorem. Jeden detektor neutronów zawiera dwieście tysięcy litrów nadchloroetylenu, a drugi czterysta tysięcy litrów węglowodorów nasycanych, substancje łatwopalne. I rozejrzyj się wokoło, w tych złożach zostało jeszcze sporo węgla. Kiedy Isabella wybuchnie, nie długo potem cała góra stanie w ogniu. Nie da się tego powstrzymać.

Cisza.

- Wybuch może także zawalić chodnik.

W tunelu dało się słyszeć echo odgłosów nadsięgającego pościgu, a szum zgrzytającej i rozchwianej Isabelli raz po raz zagłuszał huk wystrzału.

Ford zdał sobie sprawę z tego, że pościg stopniowo ich dogania.

- Zostanę nieco w tyle i oddam kilka strzałów w ich kierunku - powiedział - aby ich spowolnić.

- Wyśmienity pomysł - stwierdził Hazelius. - Tylko bez zabijania.

Ruszyli dalej. Ford wślizgnął się do bocznego tunelu, gdzie zgasił latarkę i nasłuchiwał uważnie. Odgłosy pogoni przetaczały się przez jaskinie słabe i zniekształcone.

Ford przesunął się w głąb tunelu po omacku, trzymając się jedną ręką ściany i zapamiętując drogę. Stopniowo odgłosy przybrały na sile i w końcu w zasięgu jego wzroku pojawił się migoczący blask kilku pochodni. Wyjął pistolet, przykucnął za kolumną węgla i wymierzył ukośnie w sklepienie.

Prześladowcy się zbliżali. Ford oddał trzy strzały; w ograniczonej przestrzeni zabrzmiały przeraźliwie głośno. Grupa Edyego zaczęła się wycofywać, strzelając na oślep w ciemność.

Idąc do tyłu, w głąb ciemnego tunelu, Ford przyłożył jedną rękę do ściany i w ten sposób po omacku minął dwa kolejne wyloty tuneli. Zbliżała się druga grupa prześladowców - najwyraźniej rozdzielili się na mniejsze grupki, ale ta ekipa z uwagi na strzały poruszała się wolniej i z większą ostrożnością. Wystrzelił jeszcze pięć pocisków, aby ich spowolnić.

Wycofując się w dalszym ciągu z jedną ręką na ścianie, odliczył jeszcze trzy kolumny, zanim uznał, że jest na tyle bezpieczny, by mógł ponownie zapalić latarkę. Biegł truchtem, nisko pochylony, licząc, że zdoła dogonić resztę grupy. Jednak w którymś momencie usłyszał za sobą dziwny odgłos przypominający kaszlenie. Przystanął. Warkot Isabelli nagle zmienił tonację, zaczął narastać, aż przerodził się w rozdzierający uszy krzyk, monstrualny ryk przechodzący w crescendo, które zatrzęsło całą górą. Ford, przeczuwając, co nadchodzi, rzucił się na ziemię.

Ryk zmienił się w trzęsienie ziemi, grunt gwałtownie zafalował. Zaraz potem rozległo się potężne bum!, fala nadciśnienia przetoczyła się przez kopalnię, podnosząc go jak liść i ciskając na węglową kolumnę. Gdy grzmot rozproszył się w labiryncie jaskiń, przez tunele przetoczył się potężny wiatr zawodzący jak banshee. Ford przywarł do kolumny u jej podnóża z pochyloną głową, gdy kawałki węgla i kamienie wypełniły powietrze wokół niego. Potem przeturlał się po ziemi i uniósł wzrok. Sklepienie tunelu pękło, rozszczerpiło się, posypały się z niego okruchy węgla i skały. Ford poderwał się na nogi i próbował umknąć poza zasięg zwaliska, a tunel za jego plecami wypełnił się przenikliwym łoskotem.

Siła eksplozji powaliła Eddyego na ziemię. Leżał twarzą w błotnistej sadzawce, wokół niego jak deszcz sypał się żwir i drobne kamyki; wnętrza tuneli przepełniło echo i ogłuszający huk

walących się chodników. W powietrzu zrobiło się gęsto od pyłu, prawie nie było czym oddychać. Wszystko wokół zdawało się walić w gruzy.

Minęło kilka minut i grzmot towarzyszący zawałom ucichł, przechodząc w rozlegający się tylko od czasu do czasu rumor. Kiedy odgłosy umilkły zupełnie, zapadła niespokojna cisza, w której nie było już słychać odgłosów Isabelli. Maszyna była martwa.

Zabili ją.

Eddy usiadł i zakasłał. Po chwili gmerania wokół w dławiących kłębach pyłu odnalazł latarkę wciąż świecąca w półmroku. Inni również się podnosili, ich światła wyglądały jak odrealnione, unoszące się we mgłę świetliki. Tunel zawalił się niespełna sześć metrów za nimi, ale przeżyli.

- Chwalmy Pana! - zwołał Eddy i znów zakasłał.

- Chwalmy Pana! - zawtórował jeden z jego wiernych.

Eddy rozejrzał się w sytuacji. Kilku spośród jego żołnierzy zostało rannych; dosięgły ich spadające kamienie. Krew ściekała im po czołach, mieli głębokie skaleczenia na ramionach. Inni wydawali się nietknięci. Nikt nie zginął.

Eddy oparł się o skalną ścianę, próbując oddychać. Zdołał się wyprostować i powiedział:

- */ ujrzałem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły.* - Uniósł ręce. W jednej trzymał rewolwer, w drugiej latarkę. - Wojownicy Boga! Bestia nie żyje. Ale nie zapomnijmy, że czeka nas jeszcze ważniejsze zadanie. - Wskazał ręką w ciemność. - Gdzieś tam, w mroku czai się Antychryst. I jego uczniowie. Musimy dokończyć tę bitwę. - Rozejrzał się wokół. - Powstańcie! Bestia nie żyje! Chwalmy Pana!

Jego słowa powoli ożywiły oszołomioną grupkę.

- Znajdźcie waszą broń i latarki. Zostańcie przy mnie.

Ci z jego grupy, którzy upuścili broń, zaczęli jej gorączkowo szukać i już po kilku minutach wszyscy znów stali uzbrojeni i gotowi, by ruszyć w dalszą drogę. To był cud: tunel zawalił się za nimi, w miejscu gdzie znajdowali się zaledwie przed chwilą. Ale Bóg ich oszczędził. Eddy czuł się niezwykły. Gdy miał Boga po swojej stronie, któż mógł się z nim mierzyć?

- Byli przed nami - powiedział - w tym tunelu. Jest zasypany tylko częściowo. Możemy przejść po tych gruzach. Chodźmy.

- W imię Jezusa Chrystusa, naprzód!

- Chwała Jezusowi!

Eddy poprowadził ich naprzód, czując, że odzyskuje siły i wiarę w siebie. Dzwonienie w uszach słabło. Przeszli po stertach poruchotanych skał, które odpadły ze sklepienia. Mniejsze kamyczki wciąż osypywały się z wyrwy w osiadającym, strzaskanym sklepieniu, ale ono mimo wszystko jakoś się trzymało. Widoczność stopniowo się poprawiała, w miarę jak pył zaczął opadać. Dotarli do otwartej jaskini powstałej wskutek zawalenia się sklepienia po jednej stronie. Z otworu płynął strumień świeżego powietrza, rozwiewając pył. Na drugim końcu jaskini ział wielki tunel.

Eddy przystanął, zastanawiając się, w którą stronę mógł pójść Antychryst. Dał całej grupie znak, żeby byli cicho i zgasili latarki. W ciszy i ciemności nie zauważył ani nie usłyszał niczego. Pochylił głowę.

- Wskaż nam drogę, Panie.

Zapalił latarkę na chybił trafił i w jej świetle ujrzał jeden z tuneli.

- Pójdźmy tędy - powiedział.

Grupa podążyła za nim; światła latarek wyglądały jak oczy jarzące się w ciemnościach.

Begay leżał wśród bylicy oszołomiony wybuchem, gdy wtórne fale naciśnienia przetoczyły się ponad doliną i urwiskami. Potężny podmuch przygiął do ziemi bylicę, powyrywał z korzeniami sosny i ciskał piaskiem oraz żwirem jak śrutem z dubeltówki, podczas gdy ziemia drżała i falowała. Begay zasłaniał twarz, dopóki nie minęły pierwsze fale, a potem powoli usiadł. Nad wierzchołkiem klifu pojawiła się olbrzymia kula ognia, gorejąca sfera ciągnąca za sobą słup dymu, pyłu i odłamków. Odwrócił twarz od palącego żaru.

Usłyszał stłumione przekleństwa Willyego Becentiego dochodzące spomiędzy bylicy, a potem ujrzał jego głowę z rozwichrzonymi włosami.

- Niech to szlag!

Po drugiej stronie pola podnosili się z wolna kolejni ludzie. Konie, które właśnie siodłali, wpadły w popłoch, stawały dęba i wierzgały dziko, rżąc z przerażenia. Kilka uwolniło się, a teraz galopowało co sił przez pole.

Begay wstał. Tipi zostało zwalone, połamane tyczki leżały na ziemi, z płótna zostały strzępy. Eksplozja rozniosła stary punkt handlowy Nakai Rock do fundamentów. Begay zmrużył lekko powieki, przepatrując ciemność, i zaczął się zastanawiać, dokąd pobiegł jego koń Winter.

- Co to było, do cholery? - spytał Becenti, spoglądając w górę.

Wielka kula ognia zdawała się unosić ponad drzewami, wirowała i falowała bez końca, przybierając ciemniejszą czerwono-brązową barwę. Na szczycie płaskowyżu nad Isabellą Begay widział setki, a może nawet tysiące ludzi. Co zrobił z nimi ten wybuch?

Wzdrygnął się na samą myśl. Spod ziemi dobiegł łoskot i usłyszał też napływające z oddali odgłosy wystrzałów. Rozglądając się po polu, Begay pospiesznie zliczył głowy. Wszyscy na miejscu.

- Musimy jak najszybciej wyprowadzić stąd ludzi - zawołał do Marii Atcitty. - To nic, że mamy za mało koni. Niech na jednego wierzchowca siadają po dwie osoby i kierują się w stronę Nocnego Przejścia.

Gdzieś na południe od nich ziemia warczała i dygotała jak w konwulsjach. Na drugim końcu doliny pole lucerny tąpnęło i zapadło się, grunt pokrył się siateczką pęknięć. Pył wzbił się w powietrze, gdy pojawiła się wyrwa wielkości boiska piłkarskiego, a jego krawędzie osunęły się w mroczną czeluść.

- Stare tunele kopalni się wałają - rzekł Becenti.

Ziemia znów się zatrzęsała i jeszcze raz. Kłęby pyłu wylatywały w górę zarówno bliżej, jak i dalej. Czerwonobrazowa kula ognia odpłynęła w dal, stopniowo ciemniejąc, przygasając, aż w końcu rozwiła się zupełnie.

Begay schwycił Marię Atcitty za ramiona.

- Ty tu dowodzisz. Zbierz tylu ludzi i tyle koni, ile zdołasz, i sprowadź ich w dół Nocnym Przejściem.

- A co z tobą?

- Ja ruszam za uciekinierami.

- Oszalałeś?

Begay pokręcił głową.

- Jednym z nich jest Winter. Nie proś mnie, bym go zostawił.

Maria Atcitty obrzuciła go długim spojrzeniem, po czym odwróciła się, wołając do wszystkich, aby zostawili swoje rzeczy i wsiadali dwójkami na konie.

- Sam nie dasz rady - rzekł do Begaya Becenti.

- Lepiej jedź z innymi!

- Mowy nie ma.

Begay schwycił go za ramię.

- Dzięki.

Grunt zatrzęsł się pod wpływem kolejnych podziemnych wstrząsów napływających teraz od południowego i wschodniego krańca płaskowyżu - z tej samej strony, dokąd pobiegły konie. Lustrując spowity księżycowym blaskiem pejzaż, Begay ujrzał tuzin słupów pyłu wznoszących się wężowato ponad płaskowyżem.

Zawał. Stare kopalnie naprawdę się zapadły. Nad Isabellą szalały pożary, w powietrzu unosiły się gęste chmury skłębionego dymu, rozjarzone pomarańczową poświatą od rozprzestrzeniającego się niżej ognia. Tunele wypełnione złożami węgla i metalem uwolniły drzemiącą w nich wściekłość.

Maria Atcitty wróciła ze swoim koniem.

- To wygląda jak koniec świata.

Begay pokiwał głową.

- Może tak właśnie jest.

Następnie cichym głosem zaintonował mało znaną pieśń Spadającej Gwiazdy:

- *Anine bichaha' oh koshdee'...*

Ford ocknął się w ciemnościach; powietrze wypełniały pył i woń niedawno uwolnionego metanu. Przysypany kamiennym osadem, rozejrzał się dokoła, w uszach mu dzwoniło, czaszkę rozsadzał ból.

- Kate! - zawołał.
- Cisza.
- Kate!

Narosła w nim panika. Odgarniając drobne kamyki, uwolnił się spod pokrywającej go warstwy. Podźwignął się na nogi i przesuwając dłońmi po podłożu, dostrzegł światło; sięgnął po swoją latarkę leżącą opodal - wciąż była zapalona. Gdy poświecił nią dokoła, jej promień padł na ciało leżące sześć metrów dalej w głąb tunelu, częściowo przysypane kamieniami. Podpełził w tę stronę.

To był Hazelius. Strużka krwi ciekła mu z nosa. Ford spróbował wyczuć puls - był silny.

- Gregory! - wyszeptał mu do ucha. - Słyszysz mnie?
Hazelius odwrócił głowę i otworzył oczy - te niezwykle, błękitne oczy. Lekko zmrużył powieki od światła.

- Co się... stało? - wyszeptał.
- Był wybuch i chodnik się zawalił.
Tamten powoli zaczął kojarzyć.

- A inni?
- Nie wiem. Miałem właśnie do was wracać, kiedy rąbnęło.
- Rozbiegli się we wszystkie strony, kiedy zaczęły spadać kamienie. - Spuścił wzrok. - Moja noga...

Ford zaczął odgarniać gruz z dolnej części ciała Hazeliusa. Na jego lewej nodze spoczywał duży kamień. Zacisnął palce na

krawędzi kamienia i zdjął go delikatnie. Noga pod kamieniem była lekko przekrzywiona.

- Wyman, pomóż mi wstać.
- Obawiam się, że masz złamaną nogę - powiedział Ford.
- Nieważne. Musimy iść.
- Ale jeśli jest złamana...
- Pomóż mi wstać, do cholery!

Ford zarzucił sobie rękę Hazeliusa na szyję i pomógł mu się podnieść. Hazelius zachwiał się i wczepił w niego całym ciałem.

- Jeżeli mnie podtrzymasz, dam radę iść.

Ford nasłuchiwał. W niespokojnej ciszy rozległy się dalekie głosy i wołania. To niewiarygodne, tamci wciąż ich ścigali. A może oni także chcieli się wydostać z labiryntu.

Przedzierając się przez rumowisko, Ford podtrzymywał Hazeliusa; brnęli krok za krokiem. Przeciągnął rannego przez zwalone głazy, pod zięjącymi wyrwami w sklepieniu, przez przejścia między tunelami, które otworzyły się w wyniku eksplozji; mijali komory uszkodzone przez wybuch. Nigdzie nie było widać pozostałych.

- Kate? - zawołał Ford w ciemność.

Bez odpowiedzi.

Ford sięgnął po swojego SIG-a. Zużył osiem naboń, zostało pięć.

- Trochę kręci mi się w głowie - rzekł Hazelius.

Powoli wyszli z wąskiego tunelu do poprzecznego szybu. Ford i tym razem niczego nie rozpoznawał. Głosy przybierały na sile i brzmiały dość dziwnie, niepokojąco, jakby rozlegały się ze wszystkich stron wokół nich.

- Nie... spodziewałem się... czegoś takiego - jęknął Hazelius.

Ford chciał znów zacząć nawoływać Kate, ale nie odważył się tego zrobić. W powietrzu było tyle pyłu, a tuneli tak wiele, że

gdyby odpowiedziała, tamci mogliby ją odnaleźć. Hazelius znów się potknął, krzyknął z bólu, a Ford z trudem zdołał go utrzymać. Naukowiec opadł bezwładnie jak worek cementu; kiedy Ford nie był już w stanie dłużej go ciągnąć, przykucnął i spróbował zarzucić go sobie na ramiona. Tunel był zbyt ciasny, a wysiłek ten sprawił Hazeliusowi duży ból. Ford położył go na ziemi i sprawdził mu puls - był płytki i przyspieszony; na czole mężczyzny pojawił się pot. Naukowiec był w szoku.

- Słyszysz mnie, Gregory?

Hazelius jęknął i odwrócił głowę.

- Przykro mi - wyszeptał. - Nie dam rady.

- Chcę rzucić okiem na twoją nogę.

Ford rozciął mu scyzorykiem nogawkę spodni. To było złamanie z przemieszczeniem, strzaskana kość udowa przebiła skórę. Gdyby poniósł Hazeliusa dalej, złamana kość mogłaby uszkodzić tętnicę udową.

Ford zaryzykował i rozejrzał się dokoła, przyświecając sobie latarką. Nie widział nigdzie pozostałych, ale wąska nisza przy przeciwległej ścianie, kilka metrów poniżej, częściowo przesłonięta przez osypujące się głazy, zdawała się oferować stosunkowo dobre schronienie.

- Tam się ukryjemy.

Ujął Hazeliusa pod ramiona i zaciągnął go do wnętrza. Zebrałszy jak najwięcej luźnych kamieni, zbudował niski mur, za którym mogli się ukryć. Głosy się zbliżały.

Boże, błagam, żeby tylko Kate nic się nie stało, pomyślał Ford.

Wykorzystał wszystkie luźne kamienie znajdujące się w pobliżu. Mur miał jakieś pół metra wysokości; wystarczy, by ich zasłonić, jeżeli położą się na ziemi. Ford wślizgnął się za kamienną ścianę. Zdjął kurtkę i zwinąwszy ją, wsunął Hazeliusowi pod głowę, po czym zgasił latarkę.

- Dziękuję, Wyman.

Przez chwilę obaj milczeli, aż w końcu Hazelius powiedział ze spokojem:

- Wiesz, że oni mnie zabiją.

- Nie, jeżeli uda mi się temu zapobiec.

Ford sięgnął po pistolet.

Hazelius dotknął jego dłoni.

- Nie. Bez zabijania. Pomijając fakt, że tamci mają nad nami miażdżącą przewagę liczebną, byłoby to niewłaściwe.

- Wcale nie, zważywszy na to, że oni mają zamiar pierwsi za bić ciebie.

- Wszyscy stanowimy jedność - rzekł Hazelius. - Zabijając ich, to tak jakbyś zabijał siebie.

- Proszę, daj już spokój z tymi religijnymi bzdetami.

Hazelius jęknął i przełknął ślinę.

- Rozczarowałeś mnie, Wyman. Z całego zespołu ty jeden nie chcesz przyjąć tej zdumiewającej rzeczy, która nas spotkała.

- Nic nie mów i leż spokojnie.

Powietrze było przesycone wonią pyłu i pleśni. Głosy się zbliżały, kamienne korytarze rozbrzmiewały echem kroków nadciągających prześladowców. Chwilę później wnętrze tunelu rozjaśniła mętnawa poświata ich pochodni. Ford był tak spięty, że prawie nie mógł oddychać. Tamci zbliżali się z coraz większym hałasem. I nagle się pojawili. Zdawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim poplecznicy Eddyego przemaszerowali obok; ich pochodnie i latarki tworzyły na sklepieniu piekielne pomarańczowe kształty, na ścianach widać było ich zniekształcone cienie. Hałas tłumu zaczął cichnąć w oddali, migocące płomienie dogasały w głębi tunelu. Ciemność powróciła. Ford usłyszał długie bolesne westchnienie Hazeliusa.

- Boże...

Zastanawiał się przez jedną, krótką, szaloną chwilę, czy Hazelius się modli.

- Oni myślą, że jestem Antychrystem... - wydał z siebie niski, dziwny śmiech.

Ford wstał i wlepił wzrok w ciemność. Odgłosy tamtych ucichły i znów zapanowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu grzechotem osypujących się kamieni.

- Być może jestem Antychrystem... - wychrypiał Hazelius. Ford nie był pewien, czy dźwięk, jaki wydał tamten, był jękiem bólu, czy może wysilonym śmiechem.

Zaczyna majaczyć, pomyślał. Odegnął tę myśl od siebie, zastanawiając się, co powinni teraz zrobić. Powietrze przepływało przez tunel, niosąc ze sobą woń palącego się węgla oraz złowieszcze niskie wibracje, odgłosy pożaru.

- Musimy się stąd wydostać.

Hazelius nie odpowiedział. Ford ujął go pod ramiona.

- No dalej. Spróbuj się ruszyć. Nie możemy tu zostać. Musimy znaleźć pozostałych i dotrzeć do windy.

Przez tunele przetoczył się łoskot stłumionej eksplozji. Woń węglowego dymu przybrała na sile.

- A teraz oni mnie zabijają... - Znów ten dziwny śmiech. Przerzucając sobie Hazeliusa przez plecy i chwytając go za ramiona, Ford zaczął ciągnąć go w głąb tunelu.

- Cóż za ironia - mamrotał naukowiec. - Zostać męczennikiem... istoty ludzkie są takie głupie... takie łatwowierne... Ale nie przemyślałem wszystkiego jak należy... jestem równie głupi jak oni.

Ford poświecił latarką przed siebie. Tunel przechodził w rozległą jaskinię.

- Teraz za to zapłacę... Nazywają mnie Antychrystem... Antychrystem, dobre sobie...! - Znów ten szaleńczy śmiech.

Ford nie bez trudu poczłapał naprzód i wszedł do przestronnej jaskini. Po prawej miał zawalisko z węgla i skał zmieszanych z wąskimi żyłami pirytu, które lśniły niczym złoto w świetle jego latarki.

Poniósł naukowca w stronę przeciwległego końca jaskini. Z ciemności w przeciwległym rogu wyłonił się szyb do odprowadzania metanu, okrągły otwór o średnicy około półtora metra; w jego głąb spuszczone była lina.

Położył Hazeliusa na kamiennym podłożu i wcisnął mu pod głowę zwiniętą kurtkę. Wybuch zatrzęsł całym pomieszczeniem i Ford usłyszał grad odłamków sypiących się wokół nich ze sklepienia. Dym gryzł w oczy. Lada moment zbliżający się pożar pochłonie cały tlen i to będzie koniec.

Schwycił linę. Rozpadła mu się w rękach na kawałki i opadła na dno głębokiego szybu. Po kilku chwilach usłyszał głośnie plaśnięcie.

Poświecił latarką w górę i ujrzał gładki okrągły otwór ciągnący się powyżej tak daleko, jak mógł sięgnąć wzrokiem. Zbutwiały koniec liny zwisał bezużytecznie. Nagle jego uwagę zwróciło mamrotanie Hazeliusa i usłyszał wypowiedziane przez niego nazwisko. Joe Blitz.

Zaczął nasłuchiwać.

- Powiedziałeś: Joe Blitz?

- Joe Blitz... - wykrztusił tamten. - Porucznik Scott Morgan... Bernard Hubbell... Kurt von Rachen... kapitan Charles Gordon...

- Kim jest Joe Blittz?

- Joe Blitz... kapitan B.A. Northrup... Renę Lafayette...

- Kim są ci ludzie? - spytał Ford.

- Nikim. Oni... nie istnieją... To pseudonimy...

- Pseudonimy?

Ford nachylił się nad Hazeliusem. Jego twarz w słabym świetle była pokryta warstewką potu. Oczy miał szkliste. Ale wciąż emanował dziwną, niemal nadnaturalną witalnością.

- Czyje pseudonimy?

- Jak to czyje? Wielkiego L. Rona Hubbarda... Spryciarza...

Tylko że jego nikt nie nazywał Antychrystem... Ten samorodek miał więcej szczęścia niż ja.

Ford był kompletnie zbity z tropu. Joe Blitz? To pseudonim literacki L. Rona Hubbarda? Hubbard był pisarzem s.f, który stworzył własną religię, scjentologię, i ogłosił się jej prorokiem. Przed powstaniem scjentologii, o ile Ford dobrze pamiętał, Hubbard rzekomo pochwalił się grupce znajomych pisarzy, że dla człowieka na tym świecie największym osiągnięciem może być stworzenie religii, ale rzecz jasna, na globalną skalę. A potem po prostu to zrobił, łącząc pseudonaukę z niedowarżonym mistycyzmem, by stworzyć na swój sposób fascynujący i potężny amalgamat.

Religia na globalną skalę... Czy to było możliwe? Czy o to właśnie chodziło Hazeliusowi? Czy taki miał cel, osobiście dobierając poszczególnych członków swojego zespołu? Czy dlatego każdy z nich miał za sobą tragiczną przeszłość?

Isabella, największy eksperyment naukowy w dziejach? Izolacja? Płaskowyz? Komunikaty? Sekrety? Głos Boga? Ford wziął głęboki oddech i nachylił się.

- Przed swoją... śmiercią Wołkoński napisał list - wyszeptał.

- Znalazłem go. Było w nim napisane między innymi: „Przejrzałem to szaleństwo. Na dowód tego podam ci tylko nazwisko: Joe Blitz”.

- Tak... tak... - odparł Hazelius. - Peter był sprytny... Za sprytny, na jego własną zgubę... popełniłem błąd... powinienem był wybrać kogoś innego...

Cisza, a potem długie westchnienie.

- Mam w głowie mętlik.
- Głos mu się łamał, naukowiec balansował na granicy obłądu.
- O czym ja mówiłem?
- Hazelius powrócił do rzeczywistości, ale tylko na chwilę.
- Że Joe Blitz to był L. Ron Hubbard. Człowiek, który stwo-
rzył własną religię. Czy o to ci od początku chodziło?
- Bredziłem.
- Ale taki miałeś plan - ciągnął Ford. - Mam rację?
- Nie wiem, o czym mówisz - odrzekł nieco ostrzejszym to-
nem Hazelius.
- Oczywiście, że wiesz. Opracowałeś to wszystko w najdrob-
niejszych szczegółach, zaplanowałeś to od samego początku: zbu-
dowanie Isabelli, problemy z urzędzeniem, głos Boga. Przez cały
czas ty stałeś za tym wszystkim. To ty jesteś hakerem.
- Pleciesz bzdury, Wyman. - Hazelius sprawiał wrażenie,
jakby na dobre powrócił do rzeczywistości.
- Ford pokręcił głową. Miał odpowiedź przed sobą niemal
przez cały tydzień: była zawarta w treści akt.
- Praktycznie przez całe życie - rzekł Ford - zajmowałeś się
utopijnymi schematami politycznymi.
- Jak wielu z nas, czyż nie?
- Ale nie obsesyjnie. A ty miałeś na tym punkcie obsesję,
a co gorsza, nikt cię nie słuchał, nawet po tym, jak przyznano ci
Nagrodę Nobla. To musiało doprowadzać cię szaleństwa: najin-
teligentniejszy człowiek świata, a nikt go nie słucha. A potem
zmarła twoja żona i zmieniłeś się w odludka. Dwa lata później
powróciłeś z ideą stworzenia Isabelli. Musiałeś coś powiedzieć.
Chciałeś, żeby ludzie cię wysłuchali. Bardziej niż kiedykolwiek
pragnąłeś odmienić świat. Czyż jest na to lepszy sposób niż zo-
stanie prorokiem? Stworzenie własnej religii?
- Ford usłyszał w ciemnościach ciężki oddech Hazeliusa.

- Twoja teoria jest... szalona - rzekł Hazelius z głośnym jękiem.

- Wyszunąłeś ideę zbudowania Isabelli, maszyny, która zbada Wielki Wybuch, moment stworzenia. I zbudowałeś ją. Osobiście wybrałeś cały zespół, dopilnowałeś, aby należeli do niego ludzie podatni na wpływy, o wrażliwej psychice. Zaaranżowałeś to wszystko. Zaplanowałeś dokonanie największego odkrycia na ukowego w dziejach. A na czym miało ono polegać? Jakżeby inaczej, na odkryciu Boga! To odkrycie uczyniłoby cię Jego prorokiem. To jest właśnie to, zgadza się? Zamierzałeś pobić samego L. Rona Hubbarda, wykorzystując jego pomysł, ale rozwijając go, adekwatnie do swojego geniuszu, w globalnej skali.

- Całkiem ci odbiło.

- Twoja żona wcale nie była w ciąży, kiedy zmarła. Wymyśliłeś to. Niezależnie od tego, jakie imiona podałyby maszyna, za reagowałbyś tak samo. Domyśliłeś się, o jakich liczbach pomyśli Kate, ponieważ dobrze ją znałeś. Nie było w tym nic nadprzyrodzonego.

Regularny równy oddech Hazeliusa był jego jedyną odpowiedzią.

- Zebrałeś wokół siebie dwanaścioro naukowców, których wybrałeś osobiście. Kiedy czytałem ich akta, zwróciłem uwagę, że wszyscy, co do jednego, zostali ciężko doświadczeni przez żyć cie i szukali sensu egzystencji. Zastanawiałem się, czemu tak było. Teraz już wiem. Wybrałeś ich, bo wiedziałeś, że byli podatni, dojrzeliby do nawrócenia.

- Ale ciebie nie zdołałem nawrócić, co?

- Niewiele brakowało.

Zamilkli obaj. Z głębi tuneli dobiegało słabe echo głosów. Tamci wracali.

Hazelius westchnął przeciągle.

- Obaj umrzemy. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę, Wyman. Obaj zostaniemy... męczennikami.
- To się okaże.
- Tak, moim zamierzeniem było stworzenie religii. Nie wiem jednak, co się tam stało, do cholery. Wszystko się sypnęło. Miałem plan... ale został zniweczony. - Znów westchnął i jęknął.
- Eddy. To dzika karta, która pokrzyżowała moje plany. Głupie przeoczenie z mojej strony: męczeństwo jest udziałem wszystkich proroków.
- Jak to zrobiłeś? Jak zhakowałeś komputer?
Hazelius wyjął z kieszeni króliczą łapkę.
- Wydrążyłem wykładzinę z korka i włożyłem do środka sześćdziesięcioczworogigowy flash drive, procesor, mikrofon i bezprzewodowy nadajnik z funkcją rozpoznawania głosu i danymi. Mogłem podłączyć go do któregośkolwiek z tysiąca superszybkich bezprzewodowych procesorów rozsianych po Isabelli i podległych superkomputerowi. Jest na nim cudowny program SI, który napisałem w LISP, albo raczej pomogłem napisać, jako że w większości generuje się sam. To najwspanialszy program komputerowy, jaki kiedykolwiek napisano. Jest prosty w obsłudze, mogłem to robić, nawet mając go w kieszeni. Choć program sam w sobie nie był wcale prosty, nie jestem pewien, czy zdołałem go zrozumieć. Może to dziwne, ale powiedział wiele rzeczy, które sam zamierzałem powiedzieć, ba, o których nawet mi się nie śniło. Można by rzec, że program sam odgrywał wyznaczoną mu rolę bez wypowiedzi suflera.
- Ty parszywy, podstępny draniu.
Hazelius wsunął króliczą łapkę do kieszeni.
- Mylisz się co do tego, Wyman. Nie jestem złym człowiekiem. Zrobiłem to kierowany wyższymi, skrajnie altruistycznymi pobudkami.

- Jasne. Spójrz tylko na tę przemoc i śmierć. Ty jesteś za to odpowiedzialny.

- To nie ja wybrałem przemoc, lecz Eddy i jego ludzie.

Hazelius skrzywił się, gdy przeszył go gwałtowny ból.

- I albo sam zamordowałeś Wołkońskiego, albo zleciłeś to Wardlawowi.

- Nie. Wołkoński był sprytny. Domyślił się, co zamierzam. Kiedy naprawdę to sobie uświadomił, zrozumiał, że nie zdoła mnie powstrzymać. Nie mógł znieść myśli, że go okpiłem, zmanipulowałem dzieło jego życia i okryłem go hańbą. Dlatego zabił się w taki sposób, by to wyglądało na samobójstwo, ale z kilkoma podejrzanymi szczegółami mogącymi sugerować morderstwo. Podwójnie odwrócona psychologia, typowy Wołkoński. Miał nad zwyczajnie podstępny umysł.

- Dlaczego chciał nadać temu pozory morderstwa?

- Miał nadzieję, że prowadzone śledztwo pogrąży Isabelę i projekt upadnie, zanim zdąży wprowadzić w życie swój plan. Ale nie wyszło. Wypadki potoczyły się zbyt szybko. Biorę na siebie odpowiedzialność za jego śmierć. Ale go nie zabiłem.

- Cóż za niepotrzebna strata.

- Nie myślisz perspektywicznie, Wyman... Nie zastanawiałeś się nad tym wszystkim... - Naukowiec oddychał ciężko przez chwilę, po czym mówił dalej: - Ta historia to dopiero początek. Nie możesz tego powstrzymać. *Lesjewe sontfaites*, jak powiedział Sartre. Największą ironią jest, że to oni sprawiają, że to wszystko stanie się faktem.

- Oni?

- Fundamentalisci. Ta tłuszcza. Dopiszą tej historii o wiele mocniejsze zakończenie niż to, które ja opracowałem.

- Twoja historia zakończy się niczym - wycedził Ford.

- Wyman, widzę, że nie pojmujesz pełnego obrazu tego, co się dzieje. Ta żądna krwi tłuszcza od Eddyego... - przerwał, a Ford z konsternacją stwierdził, że odgłosy ich prześladowców się zbliżają. - Zabiją mnie, umęczą. Ciebie również. A czyniąc to, unieśmiertelniają na zawsze moje imię. Zostanę zapamiętany.

- Owszem. Jako szaleniec. Takim zostaniesz zapamiętany po wsze czasy.

- Przyznaję, że tak mogłaby mnie postrzegać większość normalnych ludzi.

Głosy stały się wyraźniejsze.

- Musimy się ukryć - rzekł Ford.

- Gdzie? Nie ma się gdzie skryć, a ja nie mogę chodzić. - Hazelius pokręcił głową i suchym, ochrypłym głosem zacytował fragment z Biblii: - / *mówią do gór i skał: Padnijcie na nas*

i zakryjcie nas... Tak jak napisano w Apokalipsie, jesteśmy w pułapce.

Głosy się zbliżały. Ford wyjął pistolet, ale Hazelius położył wilgotną, drżącą dłoń na jego ramieniu.

- Przyjmij to z godnością.

Z ciemności wypłynęły kołyszące się światła. Głosy stały się jeszcze donośniejsze, gdy tuzin brudnych, uzbrojonych po zęby mężczyzn wyłonił się zza załomu tunelu.

- Tam są! Jest ich dwóch!

Tamci wyłonili się z półmroku, czarni i upiorni jak górnicy, z pistoletami w dłoniach i śladami potu przecinającymi jak pręty krata ich wykrzywione oblicza.

- Hazelius! Antychryst!

- Antychryst!

- Mamy go!

Komorą wstrząsnęła jeszcze jedna odległa eksplozja. Zwiszająca się ze sklepienia skała obluzowała się i wywołała istną la-

winę kamyków, które posypały się na podłoże jak piekielny grad. Dym z palącego się węgla wił się smugami w zatęchłym powietrzu. Góra znów się zatrzęsła i przenikliwy rumor obwieścił zawalenie się kolejnego odcinka starej kopalni, a gryzący dym wypełnił tunele chodników.

Tamci się rozstąpili i pastor Eddy podszedł do Hazeliusa. Gdy stanął nad rannym naukowcem, na jego wychudłym, kościstym obliczu pojawił się wyraz triumfu.

- Znów się spotykamy.

Hazelius wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Tylko że teraz, Antychryście - rzekł Eddy - ja mam nad wszystkim władzę. Bóg stoi po mojej prawicy. Jezus po lewicy. Duch Święty za mną. A co z tobą, gdzie twój protektor? Uciekł. Szatan, ten tchórz, uciekł między skały. / *zakryjcie nas przed obliczem zasiadającego na tronie i przed gniewem Baranka.*

Eddy pochylił się nad Hazeliusem, aż jego twarz znalazła się zaledwie o kilkanaście centymetrów od twarzy naukowca. A wtedy wybuchnął śmiechem.

- Idź do diabła, bakterio - powiedział półgłosem Hazelius.

Eddy eksplodował gniewem.

- Przeszukajcie ich, sprawdźcie, czy mają broń!

Grupka mężczyzn podeszła do Forda. Nie próbował ich zatrzymać, ale gdy się zbliżyli, powalił jednego ciosem pięści, drugiego kopnął w brzuch, a trzeciego pchnął z impetem na skalną ścianę. Pozostali rzucili się na niego z okrzykiem wściekłości i w końcu połączonymi siłami pięści i stóp najpierw przyparli go do ściany, a potem powalili na ziemię. Eddy wyjął SIG-Sauera zza paska spodni Forda.

Podczas szamotaniny jeden z entuzjastycznych wyznawców kopnął Hazeliusa w złamaną nogę. Naukowiec wydał z siebie przejmujący jęk bólu i stracił przytomność.

- Dobra robota, Eddy - wycedził przyszpilony do ziemi Ford. - Twój Zbawiciel byłby dumny.

Eddy łypnął gniewnie na Forda, jego twarz poczerwiała z wściekłości, jakby chciał go uderzyć, ale w ostatniej chwili się pohamował.

- Dostyc tego! - zawołał do swoich popleczników. - Dostyc! Zróbcie nam miejsce. Zajmijmy się nimi po naszymu. Postawcie ich na nogi!

Ford został brutalnie podźwignięty z ziemi i cała grupa ruszyła naprzód. Dwóch muskularnych mężczyzn ujęło nieprzytomnego Hazeliusa pod pachy, z nosa ciekła mu krew, jedno oko miał zapuchnięte i całkiem zamknięte, wykrzywiona złamana noga wlokła się za nim bezwładnie.

Dotarli do kolejnego, olbrzymiego jak jaskinia przodka. Z bocznego tunelu płynęło światło, kołysząc się w półmroku. Słychać było pełne ekscytacji głosy.

- Frost? To ty? - zawołał Eddy.

Masywny jasnowłosy mężczyzna w panterce, ostrzyżony na zapalkę, z grubym, byczym karkiem i blisko osadzonymi oczami postąpił naprzód.

- Pastorze? Znaleźliśmy następnych. Ukrywali się w szybie zejściowym.

Ford zobaczył, jak tuzin mężczyzn trzyma na muszce Kate i pozostałych.

- Kate... Kate!

Wyrwał się osiłkom i spróbował do niej podbiec.

- Zatrzymajcie go!

Ford poczuł silne uderzenie w plecy, które powaliło go na kolana. Drugi cios przewrócił go na bok, a kolejne uderzenie i kopnięcia rozciągnęły płasko na ziemi. Został podźwignięty na nogi tak brutalnie, że niemal wyrwano mu ramiona ze stawów. Spo-

cony mężczyzna o twarzy pokrytej pyłem węglowym i z oczami białymi i wywracającymi się w oczodołach jak u konia wymierzył mu siarczysty policzek.

- Ani drgnij!

Znów rozległ się odległy grzmot i ziemia zadygotała. Z podłóża wzbil się kurz, wypełniając tunele. Pod sklepieniem płożyły się wstęgi dymu.

- Posłuchajcie! - zawołał Eddy. - Nie możemy tu zostać. Cała góra płonie! Musimy się stąd wydostać!

- Niedaleko stąd widziałem wyjście na górę - rzekł mężczyzna nazwiskiem Frost. - Podczas wybuchu rozwaliło jeden z szymbów. Na końcu tunelu widać księżyc.

- Prowadź - rzekł Eddy.

Uzbrojeni mężczyźni, popychając i szturchając bronią swoich więźniów, poprowadzili ich przez ciemne, wypełnione pyłem tunele. Dwóch sługusów Eddy ego niosło Hazeliusa, trzymając go pod pachy. Przemierzając spowitą w półmroku kopalnię, minęli jeszcze jeden ogromny przodek. Światło przesączające się przez tumany pyłu ukazało potężny zawał z całą górą kamieni, po której można się było dostać do długiego ciemnego otworu w sklepieniu. Ford zaczerpnął łyk świeżego chłodnego powietrza płynącego z góry.

- Tędy!

Zaczęli się wspinać na szczyt zapadliska, drobne kamyki osuwały się im spod nóg.

- Potem ujrzałem Bestię wychodzącą z ziemi! - zawołał triumfalnie Eddy. - Bestia została ujarzmiona!

Na czele grupy dwóch osiłków podźwignęło Hazeliusa w górę, przeciskając go przez strzępiasty otwór w kamiennym sklepieniu, pozostałych poplecznicy Eddyego zmusili do przejścia pod groźbą użycia broni. Po drugiej stronie otworu

znajdował się kolejny górniczy przodek, a stamtąd prowadził następny tunel, na końcu którego Ford ujrzał przez moment światło, migocący, trwający mgnienie oka błysk pojedynczej gwiazdy świecącej na niebie. Przez długą pionową szczelinę wyszli na spowity mrokiem nocy płaskowyż. W powietrzu unosiła się woń płonącej benzyny i dymu. Cały wschodni horyzont stał w ogniu. Czerwonoczarne kłęby dymu przetaczały się po niebie, przesłaniając księżyc. Ziemia bez przerwy się trzęsła, a od czasu do czasu na trzydzieści i więcej metrów w górę strzelał jezor ognia jak trzepocący na nocnym niebie pomarańczowo-czerwony proporzec.

- Tam! - krzyknął Eddy. - Na tę otwartą przestrzeń!

Pokonawszy koryto wyschniętej rzeki, zatrzymali się w szerokiej piaszczystej niecce, nad którą górowała wielka zeschnięta sosna. Ford zdołał wreszcie zbliżyć się do Kate na tyle, by zapytać:

- Nic ci nie jest?

- Nie, ale Julie i Alan nie żyją, zginęli, gdy zawalił się chodnik.

- Cisza! - krzyknął Eddy.

Wyszedł na otwartą przestrzeń. Ford zdziwił się, jak bardzo się zmienił ten spięty drobny pastor od ich ostatniego spotkania. Był spokojny i pewny siebie, a jego ruchy zdecydowane. Za pasem miał blackhawka kaliber 44. Krążył przed grupą to w jedną, to w drugą stronę, po czym nagle uniósł rękę.

- Pan wyzwolił nas z niewoli egipskiej. Chwalmy Pana.

Jego trzódka kilkudziesięciu osób odpowiedziała:

- Chwalmy Pana!

Eddy nachylił się nad leżącym naukowcem, który otworzył oczy, odzyskując przytomność.

- Postawcie go! - rzekł półgłosem Eddy. Wskazał na Forda, Innesa i Cecchiniego. - Przytrzymajcie go mocno.

Wyciągnęli ręce i możliwie jak najdelikatniej postawili Hazeliusa na zdrowej nodze. Ford dziwił się, że tamten w ogóle żyje. Eddy zwrócił się do tłumu:

- Spójrzcie na jego oblicze. Na oblicze Antychrysta. - Zato czył krąg i drżącym głosem powiedział: - / *pochwycono Bestię, a z nią Falszywego Proroka, co czynił wobec niej znaki. Oboje żywcem wrzuceni zostali do ognistego jeziora gorejącego siarką.*

Rozległ się zduszony huk, a potem w oddali w powietrzu wystrzeliła kula ognia, rzucając słaby blask na całą tę scenę. Pomarańczowe światło przez moment rozjaśniło wychudzone oblicze Eddy'ego, podkreślając jego zapadnięte, poczerniałe policzki i oczy.

- *Radujcie się, albowiem Bóg was pomści!*

Tłum odpowiedział gromkimi okrzykami, ale Eddy uniósł ręce.

- Żołnierze w Chrystusie, to doniosła chwila. Pojmaliśmy Antychrysta i jego uczniów, a teraz Sąd Boży czeka nas wszystkich.

Hazelius uniósł głowę. Jakież było zdziwienie Forda, gdy zobaczył, że naukowiec spojrzał na Eddy'ego z drwiącym ni to uśmiechem, ni to grymasem i rzekł:

- Przepraszam, że przerywam, pastorze, ale Antychryst pragnąłby powiedzieć kilka mało atrakcyjnych słów pod adresem twojej świetlanej trzódki.

Eddy ponownie uniósł ręce.

- Antychryst przemówił. - Eddy postąpił zuchwale krok w jego stronę. - Jakie bluźnierstwa popłyną teraz z twych ust, Antychryście?

Głos Hazeliusa przybrał na sile.

- Obejmij mnie mocno - rzekł do Forda. - Nie pozwól, bym upadł.

- Nie jestem pewien, czy to rozsądne - wyszeptał mu Ford do ucha.



- Dlaczego nie? - odparł pospiesznie Hazelius. - Jak iść, to na całość.

- Posłuchajcie, żołnierze Chrystusa, oto są słowa fałszywego proroka - powiedział Eddy głosem pełnym ironii.

74

Begay przepatrywał lornetką ciemny horyzont od strony głązów z piaskowca. Była 2.30 w nocy.

- Są tutaj. Zbite w gromadkę na tej trawiastej równinie i śmiertelnie przerażone.

Konie kłębiły się bezładnie, ich ciemne sylwetki odcinały się na tle czerwonego nieba.

- Chodźmy po nie - rzekł Becenti.

Begay się jednak nie poruszył. Skierował lornetkę na wschód. Część wschodnia płaskowyżu przestała istnieć w wyniku eksplozji. Poniżej zniszczonego fragmentu widać było nierówne, spadziste zbocze gorejącego węgla, ruin, poskręcane metalu i rzek płonącego płynu, który rozlał się i spływał do żlebów jak lawa z wulkanu. Cała wschodnia strona płaskowyżu stała w ogniu; dym i płomień buchały z dziur w ziemi i strzelały w powietrze. Od czasu do czasu jakaś sosna lub jałowiec zajmowały się ogniem, jaśniejąc jak samotna choinka. Pomimo iż wiatr odganiał od nich dym, ogień szybko rozprzestrzeniał się w ich kierunku. Słychać było rozlegające się co pewien czas eksplozje, kaskady pyłu i ognia strzelały w górę, ziemia się zapadała pośród gęstych kłębow dymu i czarnego kurzu. W ogniu stanęła cała Nakai Valley, płonął punkt handlowy i domy wraz z przepięknym gajem topoli.

Przed eksplozją zgromadziło się w tym miejscu co najmniej tysiąc osób. Teraz, przepatrując piekielny płaskowyż, Begay widział jedynie niewielkie grupki ludzi, rozproszonych tu i tam i błakających się w szoku pośród dymu i ognia - szlochali albo bezmyślnie szli przed siebie jak zombi.

Od strony Dugway przestały nadjeżdżać samochody, a kilka zaparkowanych aut zapaliło się; zbiorniki z paliwem eksplodowały. Willy pokręcił głową.

- A niech mnie, jednak to zrobili. Szaleni *Bilagaana* w końcu to zrobili.

Zeszli po stercie kamieni; Begay zbliżył się do koni, pogwizdując na Wintera, który zastrzygł uszami i po chwili podszedł, a inne podążyły za nim.

- Dobry konik, dobry Winter.

Gładząc go po szyi, Begay przypiął do uździenicy sznur do prowadzenia. Kilka wierzchowców było już osiodłanych i gotowych do drogi, co ucieszyło Begaya. Przełożywszy swoje siodło z konia, na którym tu przyjechał, na Wintera, mocno zaciągnął popręg i dosiadł wierzchowca. Willy wskoczył na swojego konia na oklep, po czym wspólnie z Begayem zaczęli zapędzać spłoszone konie w kierunku Nocnego Przejścia, które znajdowało się w kierunku przeciwnym niż centrum pożogi. Poruszali się wolno, aby uspokoić zwierzęta i dotrzeć na wyżej położony obszar, gdzie podłoże było równe i pewne. Gdy znaleźli się na szczycie wzniesienia, Becenti, który jechał z przodu, zatrzymał się.

- Co tam się dzieje, u licha?

Begay podjechał do niego i uniósł lornetkę do oczu. Kilkaset metrów od nich, na piaszczystym obszarze zebrała się grupa ludzi. Byli brudni, jakby przed chwilą wyszli z rejonu zapadliska, i ciasnym kręgiem otaczali gromadkę obszarpańców, którzy wydawali się ich więźniami. Begay słyszał drwiące, pełne jadu głosy.

- To mi wygląda na lincz - rzekł Becenti.

Begay przyjrzał się lepiej jeńcom. Przeżył szok, gdy w ich gronie ujrzał kobietę, która niedawno go odwiedziła, Kate Mercer. W pewnej odległości od niej dostrzegł Wymana Forda podtrzymującego mężczyznę, który najwyraźniej był ranny.

- To mi się nie podoba - stwierdził Begay i zaczął zsiadać z konia.

- Co robisz? Musimy się stąd wynieść.

Begay przywiązał konia do drzewa.

- Willy, oni mogą potrzebować naszej pomocy.

Becenti z uśmiechem zsunął się z konia.

- Nie da się ukryć.

Podkradli się bliżej do tamtych, ukrywając się za paroma masywnymi głazami. Znajdowali się teraz niespełna trzydzieści metrów od nich, a ponieważ było ciemno, tamci nie mogli ich dostrzec. Begay naliczył dwudziestu czterech mężczyzn z bronią palną. Wszyscy byli czarni od pyłu węglowego. Wyglądali jak demony z piekła rodem. Na twarzy Forda widać było ślady krwi jak od pobicia. Pozostałych jeńców nie znał, ale domyślał się, że byli to naukowcy z projektu Isabella, jako że mieli na sobie laboratoryjne fartuchy. Ford podtrzymał jednego z nich, a raczej mężczyzna ten obejmował go ramieniem. Ranny miał złamaną nogę. To było paskudne złamanie. Tłum lżył ich, opluwał i wydrwiwał. Wreszcie jeden z mężczyzn postąpił naprzód i unosząc ręce, uciszył wszystkich.

Begay nie mógł uwierzyć własnym oczom: to był pastor Eddy z misji w Blue Gap, ale dziwnie odmieniony. Pastor Eddy, którego znał, był zagubionym, na wpół szalonym popaprańcem, który rozdawał używaną odzież i był mu winien sześćdziesiąt dolców. Ten Eddy emanował chłodną władczością, a grupa słuchała go bez szemrania. Begay przycisnął się i obserwował z uwagą, podobnie jak przykucnięty obok niego Becenti.

Eddy uniósł ręce.

- *A dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa! Moi przyjaciele w Chrystusie, Antychryst przemówi. Bądźcie wraz ze mną świadkami tego bluźnierstwa.*

Hazelius próbował coś powiedzieć. W tle widać było lunę z płonącej Isabelli, jęzory ognia strzelały w górę i rozszerzały się, a po chwili rozległo się kilka głośnych eksplozji. Zaczął raz jeszcze, nieco donośniej szym tonem:

- Pastorze Eddy, chciałem powiedzieć tylko jedno. Ci ludzie nie są moimi uczniami. Zrób ze mną, co zechcesz, ale ich wypuść.

- Kłamca! - zawołał ktoś z tłumu.

- Błuźnierca!

Eddy uniósł rękę i wszyscy natychmiast ucichli.

- Nikt nie jest niewinny - zakrzyknął. - Wszyscy jesteśmy grzesznikami w oczach gniewnego Boga. I tylko dzięki łasce Pa na dostąpimy zbawienia.

- Zostaw ich w spokoju, ty obłąkany draniu.

To raczej wątpliwe, pomyślał Ford, popatrując na trzódkę Eddyego domagającą się krwi Hazeliusa.

Naukowiec osłabł, zdrowa noga ugięła się pod nim.

- Przytrzymajcie go! - ryknął Eddy.

Kate podeszła do Forda i pomogła podtrzymać Hazeliusa w pionie.

- Oto nadszedł dzień gniewu bożego - zagrział Eddy. - Brać go!

Tłum rzucił się na Hazeliusa, otaczając go zwartym kręgiem i popychając we wszystkie strony jak szmacianą lalkę. Bili go, popychali, opluwali i okładali kijami. Jakiś mężczyzna uderzył go kawałkiem kaktusa cholla.

- Przywiążcie go do tamtego drzewa.

Zawlekli go w stronę wielkiej, strzelistej, obumarłej sosny; grupa poniewierała nim bez litości, jak ogromna, nieporadna trzydziestometrowa bestia. Zarzucili pętlę na jeden jego przegub, przerzucili linę przez grubą gałąź powyżej i mocno ją ściągnąw-

szy, zawiązali pętlę na drugim nadgarstku Hazeliusa, przez co nakowiec na poły stał, na poły zwisał bezwładnie z obiema rękami w górze. Ubranie miał brudne i całe w strzępach.

Nagle Kate przedarła się przez kordon, rzuciła naprzód i objęła Hazeliusa. Z tłumu dobiegły gniewne okrzyki, kilku mężczyzn chwyciło Kate i szarpnąwszy do tyłu, powaliło ją na ziemię. Mężczyzna wyglądający jak strach na wróble, z gęstą, rozwichrzoną brodą, wymierzył jej kopniaka, gdy leżała na ziemi.

- Ty świnió! - krzyknął Ford.

Rąbnął tamtego w szczękę, odepchnął brutalnie kolejnego i zaczął przebijać się w stronę Kate, ale pozostali otoczyli go ciasnym kręgiem i ciosami pięści i pałek powalili go z nóg. Na wpół przytomny, prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo później.

Nieopodal rozległ się ryk silnika motocykla terenowego, który jednak zaraz ucichł. Dał się słyszeć głęboki, władczy głos.

- Witajcie, bracia w Chrystusie!

- Doke! - zakrzyknęli zebrani. - Doke przyjechał!

- Doke! Doke!

Grupa rozstała się i do środka kręgu wkroczył prawdziwy gigant w dżinsowej kurtce bez rękawów, z potężnymi, mocno wytatuowanymi ramionami, żelaznym krzyżem zawieszonym na srebrnym łańcuszku na szyi i karabinkiem szturmowym w futerale przewieszonym ukośnie przez plecy. Jego długie jasne włosy falowały na wietrze podsycanym przez pożogę. Uściskał Eddyego.

- Bądź pozdrowiony, bracie w Chrystusie!

Wypuścił Eddyego z objęć i odwrócił się do grupy. Doke emanował swadą i ostrożnością w porównaniu z surowością i ascetycznością pastora. Uśmiechając się tajemniczo, sięgnął do sakwy i wyjął szklaną butelkę wypełnioną przezroczystym płynem, odkręcił nakrętkę, wyrzucił i włożył do otworu szyjki koniec

brudnej szmatki. Następnie, przytrzymując dwoma palcami, obrócił butelkę i potrząsnął nią, po czym ją unióśł. Tłum wydał głośny okrzyk. Ford poczuł zapach benzyny. Doke unióśł w drugiej ręce zapalniczkę i stał tak przez chwilę. Zamachał rękami w przód i w tył, a potem wykonał pełen obrót jak gwiazda rocka na scenie.

- Drewno! - zawołał ochrypłym głosem. - Przynieście mi drewna!

- *Jeśli się ktoś nie znalazł zapisany w księdze życia, został wrzucony do jeziora ognia!* - odezwał się Eddy. - W tej kwestii Pismo mówi jasno i wyraźnie. Ci, którzy nie przyjęli Chrystusa jako swojego zbawiciela, szczeną w płomieniach wiecznego ognia. Tego wlaś nie, drodzy bracia w Chrystusie, pragnie Bóg.

- Spalić go! Spalić Antychrysta! - odpowiedział tłum.

- *A diabła, który ich zwodzi, wrzucono do jeziora ognia i siarki, tam, gdzie są Bestia i fałszywy prorok* - ciągnął Eddy.

- Przestańcie! W imię Boże, nie róbcie tego! - krzyknęła Kate.

Ponad głowami zebranych podawano naręcza zeschniętych gałęzi sosen, resztki kaktusów i pustynnych krzewów, aby ułożyć je u podstawy drzewa. I tak stos powoli zaczął się powiększać.

- Oto jest obietnica dana przez Boga niewiernym - rzekł Eddy, krążąc w tę i z powrotem przed rosnącym stosem. - *I będzie katowany ogniem i siarką.* To, co tu robimy, jest dozwolone przez Boga. Dajmy na to w Apokalipsie św. Jana, 14, 11: *A dym ich katy na wieki wieków się wznosi i nie mają spoczynku we dnie i w nocy.*

Stos powiększał się coraz bardziej. Kilku mężczyzn zaczęło stopami podsuwać chrust w stronę Hazeliusa.

- Nie róbcie tego! - krzyknęła ponownie Kate.

Stos sięgał już ud Hazeliusa.

- *A zstąpił ogień od Boga z nieba i pochłonął ich* - znowu cytował Eddy.

Rzucane na stos gałęzie krzewów, sosen i zeschłe kaktusy powiększały go błyskawicznie i niebawem sięgał on już Hazeliusowi do pasa.

- Jesteśmy gotowi, by wypełnić wolę Boga - rzekł półgłosem Eddy.

Doke postąpił naprzód, ponownie unosząc ręce z plastikową zapalniczką w jednej i koktajlem Mołotowa w drugiej. Zwieszająca się z szyjki szmata zajęła się ogniem. Doke obrócił się na pięcie i cisnął butelkę na stos. Rozległo się głucho szuuu! i ogień zaczął żarłocznie pochłaniać chrust, strzelając w górę żółtymi jezorami przy wtórze głośnych trzasków.

Tłum odpowiedział gromkim:

- Oooch!

Ford stanął sztywno, obejmując Kate ramieniem, gdy ta się zachwiała i omal nie upadła, bliska omdlenia. Wszyscy patrzyli w milczeniu. Nikt nie odwrócił wzroku.

Kiedy płomienie zaczęły sięgać wyżej, Hazelius czystym, niewzruszonym głosem powiedział:

- Wszechświat nigdy nie zapomina.

Nelson Begay patrzył z narastającą wściekłością na stos całopalny. Spalenie żywcem. To samo Hiszpanie robili z jego przodkami, gdy ci nie chcieli się nawrócić. I oto historia się powtarzała. A on nie potrafił wymyślić niczego, aby to powstrzymać. Płomienie sięgały coraz wyżej, wiszący w strzępach laboratoryjny fartuch, który miał na sobie mężczyzna zajął się ogniem. Po chwili przesłoniły jego twarz i spaliły mu włosy w mgnieniu oka, przy wtórze gwałtownego rozbłysku.

A mimo to mężczyzna wciąż stał nieruchomo, wyprostowany.

Płomienie pięły się coraz wyżej z głośnym rykiem, ubranie naukowca szerniało i odpadało ognistymi strzępami jak gorące konfetti.

Mężczyzna nawet nie drgnął.

Szalejący ogień pochłonął jego ubranie i zaczął zwęglać i pożerać skórę, gałki oczne stopiły się i wypłynęły z oczodołów. Mężczyzna jednak w dalszym ciągu stał nieruchomo, a smutny półusmieszek malujący się na jego ustach nie zniknął nawet, gdy płomienie pozbawiły go twarzy. Ogień dosięgnął sznurów, które przytrzymywały go przy drzewie, i pożarł je, a mimo to mężczyzna wciąż stał sztywno wyprostowany i niewzruszony jak głaz. Jak to możliwe? Dlaczego nie upadł? Nawet gdy zeszcła sosna, do której był przywiązany, zmieniła się w strzelisty słup ognia, a płomienie wystrzeliły na osiem, dziesięć metrów w niebo, wciąż stał, dopóki płomienie nie spowiły go całego od stóp do głów, zmieniając w żywą pochodnię. Z odległości trzydziestu metrów Begay czuł na twarzy żar ognia,

słyszał jego ryk przypominający wycie dzikiego zwierzęcia; konary drzew powyżej przywodziły na myśl ogniste szpony. W pewnej chwili płonące drzewo runęło pośród kaskady iskier, która wzbijała się w niebo tak wysoko, że zdawało się, iż dosięga widniejących na nim gwiazd.

Z Hazeliusa nie zostało nic. Jego ciało zniknęło.

Pozostali więźniowie, trzymanii pod bronią przez popleczników Eddy ego, patrzyli na to wszystko z nieskrywaną zgrozą. Niektórzy płakali, trzymając się za ręce albo obejmując nawzajem.

Teraz kolej na nich, pomyślał Begay. To było nie do przyjęcia.

Doke już sięgał do sakwy po kolejną butelkę.

- Chrzanić to - wycedził przez zęby Becenti. - Będziemy tak patrzeć bezczynnie i pozwolimy im na to?

Begay spojrział na niego.

- Nie, Willy, Bóg mi świadkiem, że do tego nie dopuścimy.

Ford z niedowierzaniem i zgrozą wpatrywał się w dogasające płomienie. Tam, gdzie stał przed chwilą Hazelius, widniała pokaźna sarta popiołów i nic więcej. Ford mocno przytulił do siebie Kate, podtrzymując ją. Ona także patrzyła na popioły, pokrytą smugami twarz przecinały ślady łez, ciało było nieruchome. Nikt się nie ruszał, wszyscy milczeli.

Teraz kolej na nich.

Grupa nagle ucichła. Pastor Eddy stanął z boku, przyciskając kościstymi dłońmi Biblię do piersi. Wzrok miał dziki i błędny, oczy podkrążone i zapadnięte.

Doke, mężczyzna z tatuażami, także wpatrywał się w ogień, a jego oczy błyszczały.

Eddy uniósł głowę i zlustrował wzrokiem zebranych. Drżącą dłonią wskazał na stertę popiołów.

- / *podepczenie grzeszników, gdyż oni obrócą się w popiół pod stopami nóg waszych.*

Jego słowa ożywiły zgromadzonych. Zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę.

- Amen - odpowiedzieli chórem i po chwili zawtórowali im inni.

- *Popiół pod stopami nóg waszych* - powtórzył Eddy.

Kilku spóźnialskich dodało „amen” po dłuższej chwili.

- A teraz - powiedział pastor - drodzy przyjaciele, nadszedł oto czas na uczniów Antychrysta. Jesteśmy chrześcijanami. Umieemy przebaczać. Musimy dać im szansę, by przyjęli do siebie Chrystusa. Nawet najgorszy grzesznik musi otrzymać ostatnią szansę. Na kolana!

Jeden z popleczników pastora rąbnął Forda w tył głowy, powalając go na kolana. Kate przyklękła obok niego, przytrzymując go za rękę.

- Módlmy się do Pana Naszego Jezusa Chrystusa o zbawienie ich dusz!

Doke przyklął na jedno kolano, podobnie jak Eddy, i niebawem wszyscy zebrani klęczeli już na piasku pustyni, skąpani w poświacie dogasającego ognia, przy wtórze monotonnie odmawianej po cichu modlitwy.

Kolejna eksplozja przetoczyła się przez płaskowyż, sprawiając, że zatrzęsała się ziemia.

- Czy wy - zaczął Eddy - uczniowie Antychrysta, przyznajecie się do grzechu apostazji i przyjmujecie Jezusa całym sercem i bez żadnych zahamowań? Czy dołączycie do nas, by powiększyć szeregi Armii Boga?

Absolutna cisza. Ford ścisnął dłoń Kate. Chciał, aby powiedziała „tak”, żeby przyjęła propozycję pastora. Skoro jednak sam nie mógł się na to zdobyć, jak mógł sądzić, że ona się na to zgodzi?

- Czy żadne z was nie pragnie wyrzec się herezji i przyjąć Jezusa? Żadne z was nie chce być zbawione przed palącym ogniem na tym świecie i wiecznym ogniem piekieł?

Ford poczuł, jak narasta w nim złość. Uniósł głowę.

- Jestem chrześcijaninem, katolikiem. Nie mogę wyrzekać się żadnej herezji.

Eddy wziął głęboki oddech i przemówił drżącym głosem, unosząc dłoń w dramatycznym geście, by uciszyć zebranych:

- Katolicy nie są chrześcijanami. Zgodnie z duchem katolicyzmu oddajecie bałwochwalczo cześć Błogosławionej Maryi Dziewicy.

Zgromadzeni potwierdzili to chórem zgodnych pomruków.

- To trąci demonizmem, czego dowodem jest powtarzanie na próżno *Zdrowaś Mario* w trakcie odmawiania różańca. To bałwochwalcze oddawanie czci obrazom i posągom, a co za tym idzie, jest sprzeczne z przykazaniami bożymi.

Ford z trudem pohamowywał wściekłość. Podniósł się z klęczek.

- Jak śmiesz - rzekł półgłosem. - Jak śmiesz.

Eddy uniósł rewolwer i wymierzył w niego.

- Księża od piętnastu wieków robią wam, katolikom, pranie mózgów. Nie czytacie Pisma. Robicie, co każą wam księża. Wasz papież modli się do obrazów i całuje stopy posągów. Słowo Boże mówi wyraźnie, że mamy kłaniać się Jezusowi i tylko Jemu, nie Maryi ani nie tak zwanym świętym. Porzuć swoją bluźnierczą religię albo poznasz, czym jest gniew Pana Boga.

- To wy jesteście prawdziwymi bluźniercami - rzekł Ford, wpatrując się w tamtych.

Eddy uniósł drżący rewolwer i wymierzył go w prawe oko Forda.

- Twój kościół wywodzi się z najdalszej czeluści piekieł. Wy rzeknij się go!

- Nigdy!

Rewolwer znieruchomiał, gdy Eddy złożył się do strzału, a jego palec zaczął zaciskać się na spuście.

Wielebny Don T. Spates z trzaskiem cisnął słuchawkę na widełki. Telefon wciąż nie działał, podobnie internet. Zaczął się zastanawiać, czy nie przejść do biura przy Srebrnej Katedrze i nie włączyć telewizora, by sprawdzić, czy są jakieś nowe wiadomości, ale nie mógł się na to zdobyć. Bał się wyjść, bał się wstać od biurka, bał się tego, co mógłby odkryć.

Spojrzał na zegarek. Wpół do piątej nad ranem. Dwie godziny do świtu. Kiedy wszędzie słońce, uda się wprost do Dobsona. Odda się w ręce swojego adwokata. Dobson zajmie się wszystkim. Jasne, to będzie kosztowało. Ale po tym wszystkim datki popłyną niekończącym się strumieniem. Musi tylko przeczekać tę burzę. Przetrwiał już niejedną, jak wtedy, kiedy te dwie dziwki opowiedziały o nim pismakom. Wydawało mu się, że cały świat się zawalił. A jednak miesiąc później znów wrócił do gry, głosząc kazania w katedrze i teraz był najpopularniejszym teleewangelistą w biznesie.

Wyciągnąwszy chustkę, otarł nią twarz, okolice oczu, czoło, nos i usta, pozostawiając na białym lnianym brązową smugę startego makijażu. Spojrzał z niesmakiem na chustkę i wyrzucił ją do kosza. Nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, dodał hojną porcję wódki i podniósłszy drżącą dłonią do ust, duszkiem wypił całą zawartość.

Odstawił filiżankę tak mocno, że pękła na pół. Rzadka porcelana z Sevres rozleciała się na dwie równe części, jakby przeciął ją nożem. Trzymając połówki w dłoniach, patrzył na nie przez chwilę, aż wreszcie w przypiływie wściekłości cisnął nimi o ścianę.

Podniósłszy się ciężko na nogi, podszedł do okna, otworzył je szeroko i wyjrzał. Na zewnątrz było ciemno i cicho. Cały świat pozostawał pogrążony we śnie. Ale nie Arizona. Mogły się tam dziać najokropniejsze rzeczy. To jednak nie była jego wina. Poświęcił życie, by czynić na ziemi dzieło Chrystusa. *Wierzę w honor, religię, obowiązki i kraj.*

Gdyby tylko słońce już wzeszło. Wyobraził sobie, jak siedzi wygodnie w zaciszu wyłożonego drewnianą boazerią gabinetu swojego prawnika przy Trzynastej Ulicy, i to dodało mu otuchy. O brzasku obudzi swojego kierowcę i uda się do Waszyngtonu.

Gdy spojrział w dół na pociemniałe, mokre od deszczu ulice, usłyszał odległe wycie syren. Po chwili ujrzał nadjeżdżającą od strony Laskin Road kolumnę: radiowozy i vana z włączonymi kogutami, a za nimi kilka furgonetek. Czym prędzej się ocknął i zatrzasnął okno; serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Nie jechali przecież po niego? Oczywiście, że nie. Co się z nim działo? Wrócił za biurko, usiadł i sięgnął po kolejną kawę z wódką. I wtedy przypomniał sobie o stłuczonej filiżance. Do diabła z nią. Unosząc butelkę do ust, pociągnął spory łyk.

Kiedy odstawił butelkę, odetchnął głęboko. Pewnie tamci przeganiali czarnuchów z jachtklubu nieopodal.

Głośny trzask wewnątrz Srebrnej Katedry wyrwał go z zamyślenia. Nagle rozległy się głosy, krzyki, hałas i trzaski z policyjnych krótkofalówek.

Był jak sparaliżowany.

Drzwi do jego gabinetu otworzyły się z hukiem i do środka wpadło kilku agentów FBI w kamizelkach bojowych i z pistoletami w rękach. Tuż za nimi wkroczył postawny czarnoskóry agent z ogoloną na łyso głową.

Spates nie ruszył się z miejsca; nie rozumiał, co się dzieje.

- Pan Don Spates? - zapytał agent, pokazując odznakę. - Federalne Biuro Śledcze. Specjalny agent dowodzący Cooper Johnson. Spates nie mógł wydusić ani słowa. Patrzył tylko.

- Pan Don Spates?
Pokiwał głową.

- Panie Spates, proszę położyć dłonie na biurku.
Uniósł pokryte plamami wątrobowymi ręce i położył je na blacie.

- Proszę wstać, tylko tak, żebyśmy widzieli pańskie ręce.
Podniósł się niezdarne, a krzesło z tyłu za nim przewróciło się z trzaskiem.

- Skuć go.
Pojawił się jeszcze jeden agent, schwycił go mocno za przedramię, wykręcił mu rękę do tyłu i po chwili Spates poczuł, że na jego przegubie zaciska się chłodna stalowa obręcz kajdanek. Johnson podszedł do wielebnego i stanął na wprost niego, na szeroko rozstawionych nogach i z rękoma zaplecionymi na piersiach.

- Pan Spates?
Tylko na niego spojrzał. Miał pustkę w głowie. Agent przemówił cichym, ale zdecydowanym głosem:

- Ma pan prawo milczeć. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu w sądzie. Ma pan prawo do rozmowy z adwokatem i do tego, by adwokat był obecny podczas każdego przesłuchania. Jeżeli nie stać pana na adwokata, zostanie panu przydzielony z urzędu, na koszt państwa. Rozumie pan?
Spates tylko patrzył. To nie mogło przydarzyć się jemu.

- Rozumie pan?
- Alec...?
- Cooper, on jest pijany - rzekł inny mężczyzna. - Daj spokój. Odczytamy mu jego prawa raz jeszcze, później.
- Racja. - Johnson schwycił Spatesa za ramię. - Chodźmy.

r

Inny agent złapał go za drugą rękę, po czym szturchnąwszy, zaczął go prowadzić w stronę drzwi.

- Zaczekajcie! - krzyknął Spates. - To jakaś pomyłka!

Wciąż popychali go ku drzwiom. Nikt go nie słuchał.

- To nie o mnie wam chodzi! To nie mnie szukacie!

Agent otworzył drzwi i wspólnie przeszli przez tonącą w ciemnościach Srebrną Katedrę.

- To o Crawleya wam chodzi, o Bookera Crawleya z firmy Crawley i Stratham! On za tym stoi! Ja tylko wykonywałem jego polecenia, nie jestem za to odpowiedzialny! Nie miałem pojęcia, że tak się to potoczy! To jego wina!

Histeryczny głos Spatesa odbił się gromkim, szaleńczym echem w rozległym pomieszczeniu. Przeprowadzili go wzdłuż bocznej nawy, obok miejsc dla wiernych i krzesełek z pluszowymi siedzeniami, po trzysta dolarów za sztukę, obok kolumn zdobionych autentycznymi listkami srebra, przez rozbrzmiewające włoskimi marmurami foyer i drzwi frontowe na zewnątrz.

Czekał już tam na niego dziki tłum reporterów, oślepiły tysiące fleszy i powitał ryk tysiąca pytań. Ze wszystkich stron podsuwano mu pod nos mikrofony.

Zamrugął, oteściały, z rozdziawionymi ustami, jak krowa idąca na rzeź. Miał przed sobą furgon więzienny FBI stojący na końcu wąskiej pustej ścieżki.

- Wielebny! Wielebny Spates...! Czy to prawda...?

- Wielebny!

- Nie! - krzyknął Spates, napierając na prowadzących go agentów. - Nie tam! Jestem niewinny! To o Crawleya wam chodzi! Jeżeli pozwolicie mi wrócić do gabinetu, mam tam zanotowany jego numer...

Dwóch agentów otworzyło tylne drzwi furgonu. Zaczął stawiać opór.

Sto fleszy na sekundę. Obiektywy wycelowane w jego kierunku błyszczały jak tysiące rybich oczu.

- Nie!

Wciąż stawiał opór, już przy samych drzwiach, ale brutalnie wepchnięto go do środka. Potknął się, odwrócił i błagalnie wykrztusił:

- Posłuchajcie mnie, proszę! - Wybuchnął głośnym szlochem. - To o Crawleya wam chodzi!

- Panie Spates - rzucił agent dowodzący, opierając się o drzwiczki. - Proszę oszczędzić sobie fatygi. Na wyjaśnienia będzie miał pan dużo czasu później. Dobrze?

Dwóch agentów wsiadło razem z nim z tyłu, zmusiło, by usiadł na miejscu, po czym zapięło mu pasy i przypięło łańcuch jego kajdanek do specjalnego metalowego uchwyty. Drzwiczki zamknięto, gwar i tumult z miejsca się wytlumiły. Spates wciąż szlochał bezradnie, z trudem chwytając powietrze.

- Popelniacie straszny błąd! - wykrztusił przez łyżę, gdy furgon więzienny ruszył z miejsca. - To nie o mnie wam chodzi, tylko o Crawleya!

Ford spojrział w głąb lufy rewolweru, a błyszczące stalowe oko popatrzyło na niego. Poczuł, jak na usta cisną mu się słowa wyznania wiary:

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...
- Chwalmy Pana! - w ciszy rozległ się grzmiący głos.

Wszyscy się odwrócili. Z mroku wyłonił się idący pieszo Nawaho w bluzie ze skóry jelenia i z bandaną wokół głowy. Prowadził kilka koni, w rękę trzymał pistolet i wymachiwał nim nad głową.

- Chwalmy Pana i Jezusa!

Zaczął przeciskać się między zebranymi, którzy rozstąpili się, by go przepuścić.

Ford rozpoznał Willyego Becentiego. Eddy wciąż celował z rewolweru w Forda.

- Chwalmy Pana i Jezusa! - powtórzył Becenti, prowadząc konie w ich stronę i zmuszając klęczących, by zeszli mu z drogi.
- Chwalmy dobrego Boga! Amen, bracie!

- Chwalmy Boga - rozległa się automatyczna odpowiedź. - Chwalmy Jezusa.

- Mój przyjacielu w Chrystusie! - rzekł Doke, wstając. - Kim jesteś?

- Chwała Jezusowi! - zawołał raz jeszcze Willy. - Jesteśmy braćmi w Chrystusie! Przychodzimy, by do was dołączyć!

Konie były nerwowe, przestępowały z nogi na nogę, wywraçały oczami, a wystraszeni ludzie czym prędzej schodzili im z drogi. Za wierzchowcami w czerwonym blasku pojawiła się jeszcze jedna postać, siedząca na koniu i prowadząca za sobą zwierzęta. Ford zauważył, że to szaman Nelson Begay.

Becenti zatrzymał zdenerwowane wierzchowce tuż przed grupą naukowców, zwierzęta zbiły się w zwartą gromadkę i stały, wywracając oczami i potrząsając głowami, z trudem pohamowując panikę. Ludzie wciąż się cofali niespokojnie.

- Co robisz z tymi końmi? - zawołał gniewnie Eddy.

- Chcemy do was dołączyć! - Becenti wyszczerzył się do niego jak idiota i niby to przypadkiem upuścił sznur, na którym prowadził wierzchowce.

Koń idący na czele próbował się cofnąć, a Becenti nadepnął na sznur, uniemożliwiając mu to.

- Ejże, ty skurwielu! - krzyknął.

Schylił się po sznur. Równocześnie ledwie słyszalnym głosem zwrócił się pospiesznie do grupy naukowców:

- Na mój sygnał wskakujemy wszyscy na konie i wynosimy się stąd.

Doke stanął na otwartej przestrzeni pomiędzy Eddym a Fordem.

- W porządku, kolego, lepiej gadaj, kim jesteś i co właśnie powiedziałeś naszym jeńcom.

- Słyszałeś, stary - rzucił wysokim, zawodzącym tonem Becenti. - Jestem przyjacielem w Chrystusie! Pomyślałem, że przydadzą się wam konie.

- Ty durniu, tylko nam tu przeszkadzasz. Zabierz stąd te konie.

- Jasne, stary, ja tylko chciałem pomóc.

Becenti odwrócił się i zawołał, wymachując gwałtownie rękami:

- Spokojnie koniki! Uspokójcie się! Hola! Spokój tam!

Jego krzyki jeszcze bardziej rozdrażniły wierzchowce. Becenti chwycił wodze i zaczął je zawracać, ale nie wiedzieć czemu nie potrafił sobie z nimi poradzić. Kiedy okazało się, że zwierzęta go nie słuchają, machnął na nie zwiniętym lassem, a wówczas



gwałtownie skrzyły w bok, zmuszając Dokea i Eddyego, by uskoczyli do tyłu i znalazły się dokładnie pomiędzy nimi a jeńcami. Jeden z koni stanął dęba.

- Zabierz stąd te konie! - krzyknął Doka, usiłując zepchnąć je z drogi.

- Chwalmy Jezusa i świętych! - Becenti znów machnął nad głową pistoletem, po czym krzyknął: - Teraz!

Ford schwycił Kate i wsadził ją na deresza, podczas gdy Becenti wrzucił Chen na cętkowanego indiańskiego konia, a Cechciniego posadził za sobą na grzbiecie bułanka. Corcoran i St. Vincent wgramolili się na innego wierzchowca. Innes wsiadł na gnidosza i w niecałe dziesięć sekund wszyscy już dosiadali swoich wierzchowców.

Próbując przebić się przez stłoczoną cizbę, Doka wrzasnął:

- Zatrzymać ich!

Sięgnął po karabinek szturmowy i wyszarpnął go z futerału przewieszzonego na ukos przez plecy.

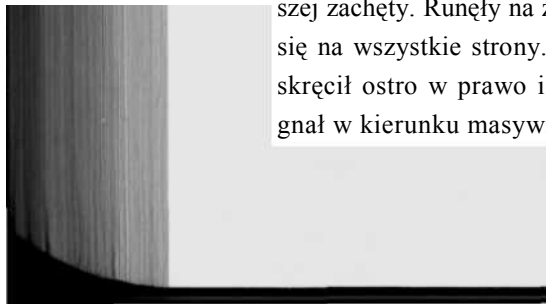
Eddy znów uniósł rewolwer i wymierzył w Forda.

- Chwalmy Pana! - zawołał Becenti, zawracając swojego wierzchowca.

Zwierzę wpadło z impetem na pastora, wywijając dziko przednimi nogami. Eddy runął do tyłu, strzał był niecelny, a po chwili Indianin skierował swojego konia w stronę Dokea, który upuścił strzelbę i uskoczył na bok. Becenti uniósł zwinięte lasso. Wymachując nim nad głową, zakrzyknął:

- Haaaijaaah!

Już i tak dostatecznie spłoszone konie nie potrzebowały dalszej zachęty. Runęły na zebranych, zmuszając ich, by rozpiechli się na wszystkie strony. Kiedy przebili się przez cizbę, Becenti skrzył ostro w prawo i galopując na swoim wierzchowcu, pognął w kierunku masywnych skał z piaskowca, które mogły im



zapewnić osłonę. Za nimi rozległy się strzały, kule jednak nie wyrządziły im szkody, gdyż w porę znaleźli się za osłoną potężnych skał.

- Haaaijaaah! - zawołał Becenti.

Wierzchowce przemknęły przez parów między skałami, pokonując gładko kolejne zakręty, aż huk wystrzałów zmienił się w odległe, stłumione pyknięcia, a krzyki tłumu ucichły niemal zupełnie. Dopiero wtedy zwolnili i jechali dalej stępą. Za nimi w oddali Ford wychwycił odgłos uruchamianego motocykla.

- Słyszałeś to, Willy? - zawołał z tyłu Begay. - Ktoś na motocyklu terenowym.

- Cholera - mruknął Becenti. - Musimy zgubić tę łajzę. Trzymajcie się!

Wyjechał z parowu i wspiął się po kamiennym zboczu; końskie kopyta zagrzechotały na podłożu z piaskowca. Gdy znaleźli się na szczycie, przemknęli przez pasmo wydm, kierując się ku głębokiemu *arroyo* po drugiej stronie.

Rozległ się łoskot i cały płaskowyż się zatrzęsł. Ciemne kłęby kurzu wzbiły się w nocne niebo. Sto metrów na prawo od nich z ziemi buchnęły płomienie. Przy wtórze głośniego trzasku strzelista sosna stanęła w ogniu, a zaraz potem kolejna. Gdzieś za nimi dał się słyszeć potężny huk i jeszcze jeden na wschodnim krańcu płaskowyżu.

Ryk silnika motocykla rozległ się ponownie, ale tym razem bliżej. Maszyna szybko ich doganiała.

- Haaiaa! - krzyknął Becenti, pokonując krawędź *arroyo* i zjeżdżając w dół zbocza aż na samo dno parowu.

Ford podążył za nim, obejmując nogami deresza i czując na swoim ciele oplatające go ramiona Kate.

Wierzchowiec Forda zjechał w dół piaszczystego zbocza, odchylając się do tyłu i zapierając, gdy na poły zsunął się, na poły zeskoczył po stromym stoku, rozrzucając dokoła kaskady piasku.

Na grzbiecie ponad nimi rozległ się ryk motocykla terenowego. Huknęły strzały i Ford usłyszał wizg kuli rykoszetującej od skały po lewej. Dotarli na dno wąwozu i pomknęli wzdłuż *arroyo*. Nasilał się ryk motocykla ścigającego ich skrajem parowu.

Becenti wstrzymał konie.

- Chce nam odciąć drogę! Zawracajmy!

Motocykl zwolnił, by się zatrzymać, zrzucając do *arroyo* kaskady piasku. Dokoła stanął na rozstawionych szeroko nogach, wyjął karabin z futerału i złożył się do strzału.

Zawrócili wierzchowce, gdy rozbrzmiał pierwszy strzał, wzbijając fontannę piasku tuż obok Forda. Na moment osłonę zapewniły im masywne głazy, za którymi się ukryli. Ford uświadomił sobie, że tu, w *arroyo*, są w pułapce. Nie mogli ruszyć naprzód ani się wycofać, a tamten facet miał ich na widelcu. Zbocze nad nimi było zbyt strome, by się na nie wspiąć.

Następny strzał wyrzucił w górę strugę piasku za nimi. Z góry dobiegł ich ochryply śmiech.

- Możecie uciekać, bezbożne kundle, ale nie macie się gdzie skryć!

- Willy! - rzekł Begay. - Zrób użytek ze swojego pistoletu!

- Ale... on nie jest naładowany!

- Dlaczego nie?

Becenti miał głupią minę.

- Nie chciałem, by ktokolwiek ucierpiał.

Begay wyrzucił obie dłonie w górę.

- No to pięknie, Willy.

Ford usłyszał jeszcze jeden wystrzał, kula ze świstem przeleciała nad ich głowami i wryła się w nasyp po przeciwnej stronie.

- Zjeżdżam! - rozległ się triumfalny okrzyk Dokea.

- Niech to szlag i co teraz? - rzucił Becenti.

Jego wierzchowiec tańczył i parskał nerwowo w ciasnym przesmyku.

Ford usłyszał, jak Doke zsuwa się i zeskakuje w dół stoku. Za chwilę dotrze na dno parowu, skąd będzie miał czyste pole do strzału na całej długości *arroyo*. Może nie załatwi ich wszystkich, ale na pewno zabije co najmniej kilkoro, zanim zdążą skryć się za kolejnym zakrętem.

- Kate, wsiądź na konia Begaya.

- Co chcesz zrobić? - spytała.

- Pospiesz się.

- Wyman, ty nie umiesz jeździć konno...

- Do cholery, Kate, czy choć raz mogłabyś mi zaufać?

Posłusznie zsiadła z konia i wślizgnęła się na grzbiet wierzchowca za plecami Begaya.

- Daj mi broń.

Becenti rzucił mu pistolet.

- Powodzenia, stary.

Ford zacisnął palce lewej ręki na końskiej grzywie, zwierając dłoń w pięść. Następnie zawrócił wierzchowca i skierował się w stronę, skąd powinien nadejść Doke.

- Schwyć go mocno kolanami - rzekła Kate. - Staraj się trzymać nisko, żeby obniżyć środek ciężkości.

W tej właśnie chwili pojawił się Doke, stękając i osuwając się po piaszczystym zboczu. Zjechał na samo dno, a na jego twarzy wykwitł szeroki triumfalny uśmiech.

Ford dźgnął boki konia, a ten skoczył naprzód w głąb *arroyo*, wprost na Doke a. Ford wymierzył weń z pistoletu, krzycząc.

- Haaajaaa!

Doke, kompletnie zaskoczony i zdezorientowany nagłym widokiem pistoletu, zdjął karabinek z ramienia, opadł na jedno kolano i uniósł broń do strzału. Spóźnił się jednak. Koń był już prawie przy nim i chcąc nie chcąc, musiał rzucić się w bok, by nie został stratowany pod jego kopytami. Ford, mijając go, uderzył pistoletem, po czym skręcił w prawo i zaczął wjeżdżać na strome zbocze.

- Ty sukiny! - wrzasnął Doke, zmieniając pozycję i strzelając, gdy wierzchowiec Forda wgramolił się z trudem na szczyt stoku.

Znalazł się na otwartej przestrzeni upstrzonej tu i ówdzie głazami, a w oddali widać było osmaganą wiatrem piaszczystą połąć z biegnącą przez nią wąską ścieżką. Ford przypomniał sobie to miejsce, które poznał, kiedy pierwszego dnia Hazelius zabrał go, by pokazać mu piękną panoramę tej okolicy.

Pocisk przemknął tuż nad jego uchem, brzęcząc niczym szerzeń. Następny trafił w konia. Wierzchowiec z głośnym rzeniem uskoczył w bok i zatańczył na krawędzi stoku, lecz nie upadł. Ford rozpląszczył się na grzbiecie zwierzęcia i skierował je przez piaszczystą połąć w stronę szlaku wiodącego na skraj płaskowyżu. Po chwili pokonał płaską przestrzeń i znalazł się wśród pękających skał. Pomknął między nimi zygzakiem, chowając się za nimi i ani na chwilę nie przystając. Słyszał, jak koń coraz głośniejszy i sapie; zapewne otrzymał postrzał w brzuch. Nie mógł się nadszpeciwić odwadze zwierzęcia.

W oddali przed nim zamajaczyła rozległa otwarta przestrzeń. Doke będzie musiał przejść przez całą długość *arroyo*, aby go ścigać, a tym samym da mu czas, by dotrzeć na drugi koniec tej

przeźreni - o ile jego koń wytrwa tak długo. Trzymając się grzywy, nisko pochylony, Ford galopował jak szalony przez piaszczysty teren.

W połowie drogi usłyszał rozlegający się całkiem niedaleko ryk motocykla. Doke dotarł na drugą stronę *arroyo*. Narastający odgłos silnika uświadomił Fordowi, że tamten zbliża się bardzo szybko. Wiedział jednak, że Doke nie zaryzykuje oddania strzału podczas jazdy.

Ford zaczął wjeżdżać pod górę, tym razem schodząc ze szlaku, tak by Doke mógł go zobaczyć. Usłyszał ryk dwusuwowego silnika. Na samym szczycie krawędź płaskowyżu, przesłonięta rozrzuconymi skałami i krzewami jałowca, opadała całkiem bez ostrzeżenia pionowo w dół. Ford pociągnął za wodze, wstrzymując wierzchowca i zeskakując z niego. Rzucił się za osłonę kilku niskich skał w chwili, gdy Doke przemknął obok niego jak burza. Masywne wytatuowane łapska mocno ścisnęły kierownicę, złote włosy rozwiewały się za nim jak ognista grzywa, gdy z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę runął w przepaść.

Doke wyprysnął w powietrze, silnik maszyny zaryczał przeciągle, a koła wciąż się obracały, dźwięk motoru stał się nagle piskliwy jak zew orła. Ford odwrócił się, by ujrzeć, jak motocykl i jego kierowca opadają łukiem w ciemną otchłań; jęk silnika za sprawą efektu Dopplera zaczął cichnąć, gdy maszyna runęła w mrok poniżej. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrował Ford, był błysk jasnych włosów mężczyzny jak u Lucyfera strąconego z nieba. Nasłuchiwał, aż w końcu trzysta metrów niżej wykwitł niewielki ognisty kwiat, a po kilku sekundach dał się słyszeć odległy huk eksplozji.

Ford wypelzł spoza skał i powoli się podniósł. Deresz leżał wyciągnięty na ziemi. Był martwy. Ford ukląkł przy nim i dotknął go leciutko.

- Dzięki, stary przyjacielu. Wybacz mi.

Wstał i dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo boli go całe ciało - połamane żebra, sińce i skaleczenia, opuchnięte oko. Odwrócił się, opierając się o prastary głaz, i przeniósł wzrok w stronę Red Mesy.

Przyszedł mu na myśl *Sąd Ostateczny* Hieronima Boscha. Wschodni kraniec płaskowyżu, tam gdzie znajdowała się Isabela, zmienił się w ogromny słup opalizującego ognia wzbijający się w nocne niebo - jakby chciał wypalić wszystkie gwiazdy - otoczony setkami pomniejszych ognisk pożogi, a dokoła na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych ze szczelin i zapadlisk w ziemi buchały kłęby gęstego dymu. Cała ziemia drżała wstrząsana kolejnymi wybuchami, które nie ustawały ani na chwilę; niewidoczne, lecz gwałtowne erupcje przepelniały nawet samo powietrze niekończącymi się wibracjami. Na prawo od Forda, niespełna kilometr dalej, rozgrywał się surrealistyczny spektakl: tysiąc zaparkowanych aut stało w ogniu, ich zbiorniki z paliwem eksplodowały, pojazdy unosiły się w kuli ognia, podskakując i rozlatując się na kawałki pośród feerii płomieni. Ludzie krążyli bez celu na tle tego upiornego pejzażu albo biegali, szlochając i pokrzykując jak obłąkani.

Po zejściu w dół zbocza Ford napotkał pozostałych, którzy pokonali właśnie połac piaszczystej równiny.

- Już go nie ma - powiedział Ford. - Spadł w przepaść.

- A niech mnie - rzekł Becenti - jeździć konno to ty nie umiesz. Ale jednak ci się udało. Załatwiłeś tego skurwiela bez mydła.

- Spadł jak kometa - podsumowała Kate.

- A koń?

- Padł.

Indianin zamilkł, minę miał ponurą.

Dziesięć minut później dotarli do wylomu w skale u szczytu Nocnego Przejścia.

Na chwilę wszyscy zatrzymali się na skraju płaskowyżu i obejrzeni wstecz. Ziemią wstrząsnęła kolejna potężna eksplozja i fala dźwiękowa jak grzmot przetoczyła się ponad Red Mesą, przedzielana raz po raz trzaskiem odległych wtórnych wybuchów. Jeszcze jedna kula ognia wzbijała się w powietrze nad Isabellą. Dym buchał ze szczelin na całej powierzchni płaskowyżu za nimi, gęste opary były od dołu rozjaśnione blaskiem czerwonych płomieni.

- Spójrzcie na górę Nawaho - rzekła Kate, wskazując ręką w niebo.

Popatrzyli ku zachodowi. Na niebie nad odległą górą pojawił się ciąg światełek, które szybko zbliżały się przy wtórze rytmicznego, pulsującego dźwięku.

- Nadciąga kawaleria - powiedział Begay.

Kolejny łoskot i znów płomienie. Ford obejrzał się za siebie.

- Niewiarygodne - rzekła półgłosem Kate. - Cały płaskowyż stoi w ogniu.

Gdy tak patrzyli, w górę wystrzelił olbrzymi słup piasku i kurzu, przecinając na ukos cały płaskowyż, gdy kolejny chodnik starej kopalni się zawalił, wywołując następne wstrząsy niebezpiecznie blisko ich małej grupki.

- Mam do powiedzenia coś ważnego - odezwała się silnym głosem Kate, a wyczerpani naukowcy odwrócili się w jej stronę. - Jeżeli znajdziemy się w rękach władz, zostaniemy przesłuchani na osobności i wszystko, co się tu wydarzyło, zostanie utajnione. Nikt nigdy nie pozna naszej historii. - Przerwała, świdrując ich wzrokiem. - Proponuję, abyśmy postarali się im wymknąć i do trzeć na własną rękę do Flagstaff. A tam, we Flagstaff, przemówimy do świata na naszych warunkach. Opowiemy światu, co się tu wydarzyło.



Eskadra śmigłowców zbliżała się, ryk motorów przybrał na sile.

Nie czekając na odpowiedź grupy, Kate zaczęła zjeżdżać w dół szlaku.

Reszta podążyła w ślad za nią.



79

Gdzie się znajdował?

Co to było za miejsce?

Jak długo się błąkał?

Szczegóły umykały mu. Coś się wydarzyło, ziemia eksplodowała i płonęła. Był za to odpowiedzialny Antychryst, a Eddy spalił go żywcem. Gdzie zatem był... Mesjasz? Dlaczego Chrystus nie powrócił, by odkupić swoich wybrańców i zabrać ich do nieba? Ubranie miał osmalone, podobnie jak włosy, w uszach mu dźwięczało, bolały go płuca i było tak ciemno...

Gdziekolwiek stapał, ze szczelin wypływał kwaśny dym. Ciemne opary spowiły całą okolicę niczym mgła i nie widział nic na więcej niż cztery metry przed sobą.

Coś pojawiło się w zasięgu jego wzroku; było okrągłe, kołysało się i po trosze przypominało człowieka.

- Hej, ty! - zawołał i zaczął się przedzierać po kamienistym gruncie w stronę postaci.

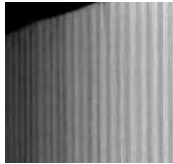
Potknął się o tłący się jeszcze kikut spalonej sosny; z wielkiego drzewa został już w zasadzie tylko krąg popiołu. Kształt wciąż majaczył na wprost niego.

- Doke! - zawołał, a w oparach dymu jego głos wydawał się dziwnie stłumiony. - Doke! To ty?

Bez odpowiedzi.

- Doke! To ja, pastor Eddy.

Pobiegł, potknął się i upadł, po czym leżał przez chwilę, oddychając chłodnym, świeżym powietrzem tuż przy ziemi. Kiedy znowu się podniósł, wyciągnął chustkę i spróbował oddychać przez nią. Jeszcze kilka kroków. I jeszcze kilka. Ciemny kształt



był coraz większy. To nie był Doke. To nie był człowiek. Wyciągnął rękę, by tego dotknąć. To była sucha skała, gorąca w dotyku, balansująca na kolumnie z piaskowca.

Eddy próbował się skupić, ale przychodziły mu do głowy jedynie strzępy myśli. Jego misja... przyczepa... dzień rozdawania odzieży. Przypomniawszy sobie, jak obmywał twarz przy starej pompie, jak głosił kazanie do tuzina ludzi pośród wiatru niosącego ze sobą drobinki piasku i jak czatował przez komputer z przyjaciółmi w wierze.

Jak się tu dostał?

Odsunął się od skały, nie mogąc przeniknąć wzrokiem gęstniejącego oparu. Na prawo od niego coś się świeciło i głośno ryczało. Ogień?

Skręcił w lewo.

Na ziemi leżał zwęglony królik. Szturchnął go butem, a zwierzątko drgnęło konwulsyjnie i przewróciło się na wznak, robiąc mocno bokami i wybaluszając oczy z przerażenia.

- Doke! - zawołał, a potem zapytał sam siebie: - Kim jest Doke? Pomóż mi, Jezu - jęknął.

Roztrzęsiony ukląkł i złożywszy dłonie, uniósł je ku niebu. Dym zawirował wokół niego. Zakasłał i z oczu pociekły mu łzy.

- Pomóż mi, Jezu.

Nic. W oddali rozległ się grzmot. Migocąca luna po prawej przybrała na sile niczym pomarańczowy szpon orzący niebo. Ziemia zaczęła wibrować.

- Jezu! Dopomóż mi!

Eddy modlił się gorączkowo, ale nie odpowiedział mu żaden głos, w jego głowie nie rozbrzmiały żadne słowa.

- Ocal mnie, Panie Jezu! - zawołał.

I nagle w czerni zamajaczył kolejny kształt. Eddy z uczuciem ulgi podźwignął się na nogi.



- Tu jestem, Jezu! Pomóż mi!
 - Widzę cię - powiedział głos.
 - Dziękuję, och, dziękuję. W imieniu Pana Naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa!
 - Tak - powiedział głos.
 - Gdzie ja jestem, co to za miejsce?
 - Cudownie... - rzekła niewyraźna postać.
- Eddy szlochał przepelniony uczuciem ulgi. Znów zakasłał w postrzępioną chustkę, zostawiając na niej ślad czarnej plwociny.
- Cudownie... zabiorę cię tam, gdzie jest cudownie.
 - Tak, proszę, wyprowadź mnie stąd. - Eddy wyciągnął rękę.
 - Tu na dole jest tak cudownie...

Czerwonawa poświata ognia po prawej nagle przybrała na siłę, wypełniając gęstniejącą mgiełkę osobliwym blaskiem. Postać, rozjaśniona głęboką czerwienią podeszła bliżej, a Eddy mógł wreszcie ujrzeć jej twarz, bandanę zawiązaną wokół głowy, długie warkocze sięgające do ramion, jeden z nich na wpół rozpleciony, ciemne podkrążone oczy, wysokie czoło...

Lorenzo!

- To ty... - Eddy się cofnął. - Ale... ty nie żyjesz. Widziałem, jak umierasz.

- Jestem martwy? Umarli nigdy nie umierają. Wiesz o tym. Umarli żyją, dręczeni i katowani przez Boga, który ich stworzył. Przez Boga miłości. Są paleni żywym ogniem, ponieważ w Niego zwątpili, ponieważ okazali zakłopotanie, zawahanie albo próbowali się buntować. Są dręczeni przez swojego Ojca i Stwórcę za to, że w Niego nie wierzyli. Pójdź... a pokażę ci...

Postać z upiornym uśmiechem wyciągnęła rękę, a Eddy dopiero teraz zobaczył krew, ubranie Indianina było całe skąpane we krwi, od szyi w dół, jakby go w niej unurzano.

- Nie... Nie zbliżaj się do mnie. - Eddy zaczął się cofać. -
Pomóż mi, Jezu...

- Ja ci pomogę... Jestem twoim przewodnikiem po tym do-
brym i miłym miejscu...

Ziemia zatrzęsała się i rozwarła pod stopami Eddy ego niczym
jaskrawa czeluść gorejącego, buchającego płomieniami pieca.
Eddy runął w tę otchłań potwornego, niewyobrażalnego żaru
i miał wrażenie, że spada w nią bez końca...

Otworzył usta do krzyku, lecz nie wydobył się z nich żaden
dźwięk.

Nawet najcichszy.

Lockwood spojrział na wielki zegar wiszący na wyłożonej boazerią ścianie za prezydentem. Ósma rano. Słońce wzeszło, cały świat wstawał do pracy, na Beltway jak zawsze zaczęły się tworzyć korki. Tam właśnie był wczoraj, w swoim aucie, tkwiąc w korku z włączoną na pełną moc klimą i słuchając w radiu Steve'a Inskeepa.

Dziś świat się zmienił.

Zgodnie z planem Gwardia Narodowa wylądowała na Red Mesie o 4.45 rano; strefa lądowania znajdowała się niecałe pięć kilometrów od miejsca, gdzie jeszcze do niedawna mieściła się Isabella. Misja jednak zmieniła charakter. Operacja bojowa przerodziła się w ratunkową - polegającą na ocaleniu i ewakuacji rannych oraz wywiezieniu ciał zmarłych z terenu Red Mesy. Nie dało się opłamać pożaru płaskowyżu; poprzecinany warstwami złóż węgla i smoły bitumicznej będzie zapewne płonął jeszcze przez najbliższe sto lat, dopóki cała góra nie przestanie istnieć. Isabelli już nie było. Z wartego czterdzieści miliardów dolarów urządzenia pozostały poskręcane, wypalone szczątki rozsypane po całym płaskowyżu i zrzucone siłą wybuchu z klifu na połąć pustyni poniżej.

Prezydent wszedł do Gabinetu Sytuacyjnego i wszyscy wstali z miejsc.

- Usiądźcie - warknął, ciskając gniewnie jakieś papiery na stół i samemu także zajmując miejsce. Spał dwie godziny, ale ten krótki odpoczynek tylko jeszcze bardziej popsuł mu humor. - Czy jesteśmy gotowi? - zapytał.

Wcisnął przycisk przy swoim fotelu i na monitorze pojawiło się nieskazitelne oblicze dyrektora FBI, który miał nienagannie ułożone szpakowate włosy i idealnie wyglądający garnitur.

- Jack, chcę usłyszeć najświeższy raport.
- Tak jest, panie prezydencie. Sytuacja opanowana.

Prezydent skrzywił się sceptycznie.

- Ewakuujemy cały płaskowyż. Rannych przewozimy śmigłowcami do pobliskich szpitali. Z przykrością muszę poinformować, że cała nasza jedenastka do uwalniania zakładników poniosła śmierć w trakcie ostatnich zajęć.

- A naukowcy?
- Wygląda na to, że zniknęli bez śladu.

Prezydent ukrył twarz w dłoniach.

- Nic nie wiadomo o losie naukowców?
- Jakby się zapadli pod ziemię. Niektórzy z nich mogli w chwili ataku uciec do tuneli starej kopalni, gdzie najprawdopodobniej dosięgła ich eksplozja i w efekcie doszło do zawalenia chodników. Możemy chyba przypuszczać, że wszyscy nie żyją.

Prezydent wciąż nie podnosił głowy.

- W dalszym ciągu nie mamy żadnych informacji o tym, co się właściwie wydarzyło, dlaczego utracono łączność z Isabellą. To może mieć coś wspólnego z atakiem, po prostu tego nie wiemy. Wywozimy stamtąd trupy i części ciał setkami. Wiele z nich jest zwęglonych i absolutnie nie do rozpoznania. Wciąż poszukujemy ciała Russella Eddy ego, obłąkanego pastora, który podburzył tych wszystkich ludzi przez internet. Będziemy potrzebowali tygodni, a może nawet miesięcy, zanim zdołamy odnaleźć i zidentyfikować wszystkie szczątki. Niektórych zapewne nigdy nie uda się odnaleźć.

- Co ze Spatesem? - spytał prezydent.

- Aresztowaliśmy go i właśnie przesłuchujemy. Rzekomo jest skory do współpracy. Zgarnęliśmy także Bookera Crawleya z firmy Crawley i Stratham przy K Street.

- Tego lobbystę? - Prezydent uniósł wzrok. - A na czym polegał jego udział w sprawie?

- Potajemnie opłacił Spatesa, by ten w swoich kazaniach prowadził kampanię przeciwko Isabelli, bo chciał w ten sposób wyciągnąć więcej pieniędzy od swojego klienta, ludu Nawaho.

Prezydent pokręcił głową z nieskrywanym zdziwieniem. Galdone, szef kampanii prezydenckiej, poruszył się na krześle. Granatowy garnitur, który miał na sobie, sprawiał wrażenie, jakby Galdone w nim spał, a krawat, jakby szef kampanii woskował nim swojego buicka. Na dodatek był nieogolony. *Doprawdy odrażające indywiduum*, pomyślał Lockwood. Szykował się do zabrania głosu i wszyscy spojrzeli w jego stronę, by wysłuchać, co powie.

- Panie prezydencie - rzekł Galdone. - Musimy ustalić konkretną wersję. Kiedy tu rozmawiamy, na ekranach telewizorów w całych Stanach widać słup dymu unoszący się nad pustynią. Naród czeka na odpowiedzi. Na szczęście Red Mesa to dość odległy zakątek, a dzięki sprawnemu i szybkiemu działaniu udało się nam zamknąć przestrzeń powietrzną nad tym terytorium i nie dopuścić w tę okolice niemal żadnych przedstawicieli prasy. Nie zdołali na szczęście przekazać najbardziej przerażających i krwawych szczegółów. Wciąż jeszcze możemy sprawić, że ta afery przysporzy wyborców i pozwoli uzyskać aprobatę wśród opinii publicznej.

- W jaki sposób? - spytał prezydent.

- Ktoś będzie musiał się poświęcić - odrzekł krótko Lockwood.

Galdone uśmiechnął się drwiąco do Lockwooda.

- To prawda, że ta historia potrzebuje czarnego charakteru. Ale my już go mamy, i to nawet dwa: Spatesa i Crawleya. To pod rącznikowe czarne charaktery: jeden gustujący w dziwkach teleewangelista hipokryta, a drugi - śliski, zachłanny lobbysta. Że nie Wspomnę o tym szaleńcu Eddym. Nie, tak naprawdę w tej histo-^{rii} Potrzeba nam bohatera.



- Kto zatem nim będzie? - zapytał prezydent.

- Nie może nim być pan, panie prezydencie. Opinia publicz-
na tego nie kupi. Nie może być nim także dyrektor FBI, bo stracił
jeden ze swoich zespołów. Nie może też być nikt z Departamentu
Energii, bo to oni spieprzyli sprawę z Isabellą, i to dokumentnie.
Odpadają, rzecz jasna, naukowcy, bo jak wszystko na to wskazuje,
nie żyją. Polityczne osobistości, takie jak ja czy Roger Morton,
również nie wchodzą w grę. Nikt by w to nie uwierzył.

Wzrok Galdonea zatrzymał się na Lockwoodzie.

- Jeden człowiek wcześniej od innych uświadomił sobie
istnienie pewnego problemu. Pan, panie Lockwood. Człowiek
wielkiej mądrości i rozważli, który podjął zdecydowane kroki,
by zlikwidować problem, z którego istnienia zdawał sobie spra-
wę tylko on oraz prezydent. Wszyscy inni zaspali na swoich sta-
nowiskach: Kongres, FBI, Departament Energii, ja, Roger i ca-
ła reszta. W miarę rozwoju wypadków za każdym razem działał
pan szybko, sprawnie i metodycznie. Dzięki wiedzy, doświad-
czeniu i zaufaniu ze strony świętej pamięci naukowców - mę-
czenników pański udział okazał się kluczowy dla rozwiązania
tego palącego problemu.

- Galdone - rzekł z niedowierzaniem prezydent - przecież
wysadziliśmy w powietrze całą górę.

- Ale za to jak świetnie poradziście sobie później! - rzekł
Galdone. - Panowie, afera z Isabellą to nie Katrina wlokąca się ty-
godniami. Pan, panie prezydencie, i Lockwood zlikwidowaliście
złych gości i posprzątaście po katastrofie. I to w jedną noc! Pła-
skowyż został zabezpieczony przez Gwardię Narodową...

- Zabezpieczony? - spytał prezydent. - Wygląda raczej jak
powierzchnia Księżyca...

- Zabezpieczony. - Galdone nie pozwolił prezydentowi do-
kończyć. - I to dzięki pańskiemu zdecydowanemu przywódz-

twu, panie prezydencie, oraz bezcennemu krytycznemu wsparciu pańskiego doborowego, zaufanego doradcy naukowego, doktora Stantona Lockwooda.

Wzrok Galdonea zatrzymał się na Lockwoodzie.

- Tak właśnie brzmi nasza wersja, panowie. I tego mamy się trzymać.

Przekrzywił głowę, a na jego tłustej szyi pojawiły się nowe fałdki, gdy spojrzał na Lockwooda.

- Stan, podążasz temu zadaniu?

Lockwood uświadomił sobie, że oto nadszedł ten dzień. Od teraz był jednym z nich.

- Stuprocentowo - odparł z uśmiechem.

W południe Ford i reszta grupy wyjechali z jałowcowego zagajnika i przez pastwisko dotarli na indiańską farmę. Po dziesięciu godzinach jazdy konnej całe ciało Forda wydawało się poobijane i sponiewierane, złamane żebra pulsowały tępym bólem, a pod czaszką nieprzyjemnie dudniło. Jedno oko miał kompletnie zamknięte, a przednie zęby ukruszone.

Domostwo siostry Begaya było uosobieniem spokoju i harmonii. Malowana chatka z bali, z czerwonymi zasłonami stała opodal strzelistych topoli, obok których płynął strumień Laguna. Za chatą stała na ceglach stara przyczepa Airstream, której aluminiowe ściany zostały srodze naruszone przez słońce, wiatr i piasek. Stado owiec kłębiło się i meczało w zagrodzie, podczas gdy w korralu parskał i stąpał niespokojnie samotny koń. Dwa nawodnione pola kukurydzy były otoczone czterema pasmami drutu kolczastego. Wiatrak wodny, skrzypiąc wesoło na silnym wietrze, pompował regularnie wodę do zbiornika. Rozchwiane drewniane schodki wiodły w górę zbiornika do mocno naruszonej przez warunki pogodowe trampoliny. W cieniu stały dwa pikapy. Przez okna z wnętrza chaty wypływały dźwięki granej w radiu muzyki country.

Wyczerpani i milczący rozsiedłali i oporządzili konie. Kobieta w dżinsach wyszła z przyczepy; była szczupła, miała długie czarne włosy i uściskała Begaya.

- To moja siostra, Regina - przedstawił ją wszystkim.

Pomogła im przy wierzchowcach.

- Musicie się wszyscy umyć - rzekła. - Korzystamy tu z wody ze zbiornika. Najpierw panie, potem panowie. Kiedy Nelson

zadzwoił, pozbierałam trochę czystych rzeczy dla was wszystkich, znajdziecie je w przyczepie. Nie miejcie mi za złe, gdyby okazało się, że na was nie pasują. Słyszałam, że w Cow Springs zniesiono już blokady na drogach, więc gdy tylko słońce zajdzie, ja i Nelson odwieziemy was do Flagstaff.

Rozejrzała się z powagą dokoła, jakby miała przed sobą najżałośniejszą grupę ludzi, jaką zdarzyło się jej kiedykolwiek widzieć. I być może faktycznie tak było.

- Za godzinę będzie posiłek.

Przez cały dzień wojskowe śmigłowce przelatywały wysoko w górze w kierunku płonącego płaskowyżu i z powrotem. Jeden właśnie przemknął nad nimi, a Regina uniosła wzrok i mrużąc lekko oczy, zapytała:

- Gdzie byli, kiedy ich potrzebowaliście?

Po posiłku Ford i Kate siedzieli w cieniu topoli, przy drugim końcu korralu, patrząc, jak konie skubią trawę na niedalekim pastwisku. Strumień przelewał się leniwie po kamiennym korycie, słońce wisiało nisko na niebie. Na południu Ford widział pióropusz dymu wznoszący się znad Red Mesy, ukośny czarny słup rozrzedzający się wysoko w górze na kształt brązowej mgiełki sięgającej aż po horyzont.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu. To była ich pierwsza chwila na osobności. Ford objął Kate ramieniem.

- Jak się czujesz?

Pokręciła głową bez słowa, ocierając oczy czystą bandaną. Nie odzywali się ani słowem. Pszczoły przelatywały obok nich z brzęczeniem w drodze do uli znajdujących się na skraju pól. Inni naukowcy siedzieli w chatce, słuchając radia, które bez przerwy podawało informacje na temat katastrofy. Cichy głos spikera niósł się leniwie w spokojnym powietrzu.

- Jesteśmy najbardziej dyskutowanymi nieboszczykami w całych Stanach - rzekł Ford. - Może powinniśmy się zgłosić do Gwardii Narodowej.

- Wiesz, że nie możemy im zaufać - powiedziała Kate. - Już wkrótce dowiedzą się prawdy, podobnie jak reszta Ameryki, kiedy dotrzemy do Flagstaff.

Uniosła głowę, otarła oczy i sięgnęła do kieszeni. Wyjęła z niej brudny kawałek papieru z drukarki komputerowej.

- Kiedy przedstawimy to światu.

Ford patrzył ze zdumieniem.

- Skąd to masz?

- Zabrałam Gregoryemu, kiedy go objęłam. - Rozłożyła kartki i wygładziła na kolanie. - To wydruk słów Boga.

Ford nie wiedział, jak ma zacząć to, do czego w myślach przygotowywał się od wielu godzin. Zamiast tego spytał:

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Musimy to upowszechnić. Opowiedzieć naszą historię. Świat musi wiedzieć. Kiedy dotrzemy do Flagstaff, zorganizujemy konferencję prasową. Wydamy oświadczenie. Zgodnie z tym, co mówią w radiu, wszyscy myślą, że nie żyjemy. Obecnie uwaga całego świata skupiona jest na Red Mesie. Pomyśl, jaki możemy mieć odbiór.

Jej piękne oblicze, tak sponiewierane, tak zmęczone, nigdy nie wydawało się bardziej ożywione.

- Oświadczenie... na jaki temat?

Spojrzała na niego, jakby był niespełna rozumu.

- O tym, co się stało. O naukowym odkryciu... - Zawahała się tylko przez chwilę, po czym ostatnie słowa wymówiła z ogromnym przekonaniem: - Boga.

Ford przełknął ślinę.

- Kate?

- No co?

- Jest coś, o czymś powinnaś wiedzieć. Zanim... podejmiesz ten krok.

- To znaczy?

- To była... - Przerwał. - Jak to powiedzieć?

- Co to było?

Zawahał się.

- Jesteś z nami, prawda? - spytała Kate.

Zastanawiał się, czy jest w stanie zmusić sam siebie, aby wyznać jej prawdę. Mimo to musiał spróbować. W przeciwnym razie nie znalazłby spokoju. Czy aby na pewno? Spojrzał na jej twarz promieniującą wiarą i przekonaniem. Była zagubiona i oto się odnalazła. A jednak nie mógł odejść, nie wyjawivszy jej tego, co wiedział.

- To była mistyfikacja - powiedział szybko.

Zmrużyła lekko oczy.

- Słucham?

- Hazelius to wszystko spreparował. Obmyślił plan, by dzięki temu zapoczątkować nową religię, coś w rodzaju scjentyzmu.

Pokręciła głową.

- Wyman... Ty się nigdy nie zmienisz, prawda?

Próbował wziąć ją za rękę, ale szybko ją cofnęła.

- Nie do wiary, że próbujesz takich sztuczek - rzuciła gniewnie. - Naprawdę nie mogę w to uwierzyć.

- Kate, sam Hazelius mi o tym powiedział. Przyznał się do tego. Wtedy, w kopalni. To wszystko jest jednym wielkim oszustwem.

Pokręciła głową.

- Próbowałeś wszystkiego, aby zdyskredytować *to*, co się tam działo. Nie sądziłam jednak, że posuniesz się do czegoś takiego, że upadniesz tak nisko... by zniżyć się do kłamstwa.

- Kate...

Wstała.

- Wyman, to ci się nie uda. Wiem, że nie potrafisz zaakceptować tego, co się tu stało. Nie porzucisz swojej chrześcijańskiej wiary. Ale to, co mówisz, nie ma sensu. Gdyby Gregory wymyślił całe to przedstawienie, czy przyznałby się do tego komukolwiek? A zwłaszcza tobie?

- Sądził, że obaj umrzemy.

- Nie, Wyman, to, co mówisz, jest bez sensu.

Ford spojrzał na nią. Jej oczy błyszczały niezłomną wiarą. Nic, co mógłby powiedzieć, nie skłoniłoby jej do zmiany przekonań.

Mówiła dalej:

- Widziałeś, jak umarł? Pamiętasz, co powiedział, jego ostatnie słowa? Mam je zapisane w pamięci. „Wszelki świat nigdy nie zapomina”. Myślisz, że to był element mistyfikacji? Takich rzeczy nie można sfalszować. On stał pośród tych płomieni. Nawet gdy płonął od stóp do głów i miał złamaną jedną nogę, mimo wszystko stał sztywno wyprostowany. Nie zachwiał się ani nie upadł, nie przestał się uśmiechać, nawet nie zamknął oczu. Oto jak silna była jego wiara. Chcesz powiedzieć, że to było oszustwo?

Milczał. Nie zmienił jej przekonań ani nie wiedział nawet, czy tego chce. Jej życie było takie ciężkie, tak pełne poczucia straty. Gdyby przekonał Kate, że Hazelius był oszustem, całkiem by ją zniszczył. A kto wie, może większość religii potrzebuje odrobiny mistyfikacji, aby mogła odnieść sukces. Bądź co bądź religia nie opierała się na faktach, lecz na wierze. To była gra w duchowe przekonania.

Patrzył na nią z bezgranicznym smutkiem. Hazelius miał rację: Ford, Wołkoński ani nikt inny nie mogli zrobić nic, aby to powstrzymać. Nic. *Les jewc sonsfaites*. Kości zostały rzucone. Teraz zrozumiał, dlaczego Hazelius tak gładko przyznał mu się do wszystkiego. Wiedział, że nawet gdyby Ford przeżył, nie byłby w stanie tego zahamować. Właśnie dlatego umierał z taką zdu-

miewającą godnością i siłą ducha. To był ostatni akt jego dramatu i był zdeterminowany, aby odegrać go jak należy. Umarł jako prawdziwy wierny.

- Wyman - rzekła Kate. - Jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś, uwierz i przyłącz się do nas. Chrześcijaństwo należy już do przeszłości. - Wyciągnęła plik komputerowych wydruków. - Jak możesz w to nie wierzyć po tym, co przeszliśmy?

Pokręcił głową, nie potrafiąc odpowiedzieć. Jej pasja przepętniała go zazdrością. Jak cudownie byłoby mieć absolutną, niezbitą pewność prawdy.

Odłożyła papiery na bok i ujęła go za rękę.

- Możemy to zrobić razem. Zerwij z przeszłością. Wybierz nowe życie ze mną.

Ford opuścił głowę.

- Nie - rzekł półgłosem.

- Mimo to możesz chociaż spróbować uwierzyć. Z czasem ujrzysz światło. Nie odrzucaj tego. Nie odrzucaj mnie.

- Przez pewien czas byłoby cudownie. Choćby tylko dlatego, że mógłbym być z tobą. Ale to nie miałyby szans, aby przetrwać.

- To, czego byliśmy świadkami w górach, było ręką Boga. Wiem, że to był Bóg.

- Nie mogę tego zrobić... Nie mogę żyć wedle czegoś, w co nie wierzę.

- Wobec tego uwierz we mnie. Powiedziałeś, że mnie kochasz i że mną zostaniesz. Obiecałeś.

- Czasami miłość nie wystarcza. Nie do tego, co zamierzasz. Odchodzę. Już teraz. Pozdrów ode mnie pozostałych.

- Nie odchodź. - Po jej twarzy spłynęły łzy.

Nachylił się i leciutko pocałował ją w czoło.

- Zegnaj, Kate - powiedział. -I... Bóg z tobą.

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Wyman Ford siedział w Mannys Buckhorn Bar & Grill w San Antonio w Nowym Meksyku, pojadając cheeseburgera z zielonym chili i wpatrując się w ekran telewizora za barem. Minął miesiąc od konferencji prasowej we Flagstaff, która wstrząsnęła całym światem.

Po złożeniu w Waszyngtonie raportu Lockwoodowi, w którym bezwstydnie zrewidował swoją wersję wydarzeń tak, by pasowała do nowej mitologii, wsiadł do swojego jeepa i pojechał do Nowego Meksyku. Tam przez kilka tygodni samotnie wędrował po kaniönach na pomoc od Abiauiu, rozmyślając o tym, co się wydarzyło.

Isabella została zniszczona, płaskowyż Red Mesa wyglądał jak krajobraz księżycowy. Setki ludzi zginęły lub zaginęły w powodzie. FBI zidentyfikowało w końcu ciało Russella Eddyego na podstawie DNA i kartoteki stomatologicznej i ogłosiło obłąkane go pastora głównym sprawcą tych tragicznych wydarzeń.

Po Flagstaff i spektaklu medialnym historia Red Mesy rozrosła się do niebotycznych rozmiarów. Niektórzy co bardziej zuchwali twierdzili, że to najważniejsza historia w ostatnich dwóch tysiącach lat. Chrześcijaństwo potrzebowało czterech wieków, aby pokonać stare Imperium Rzymskie. Nowa religia, którą wyznawcy nazwali Poszukiwaniem, potrzebowała ledwie czterech dni, by rozprzestrzenić się po całej Ameryce. Strony internetowe okazały się idealnym sposobem na propagowanie i szerzenie nowej wiary, jakby zostały stworzone w tym właśnie celu.

Ford spojrzął na zegarek. Była jedenasta czterdzieści pięć i za kwadrans połowa świata, łącznie z klientami grillbaru Manny'ego Buckhorna, będzie oglądać *Wydarzenie* nadawane na żywo z rancza w Kolorado będącego własnością internetowego miliardera.

Telewizor był ściszony i Ford musiał wytężyć słuch. Za prowadzącym, widocznym na niewielkim ekranie, kamera ze śmigłowca ukazywała tłumy wiernych, których liczbę reporterzy kanału wiadomości oszacowali na jakieś trzy miliony. Jak okiem sięgnąć, równiny prerii zajmowało niezliczone mrowie ludzi, a ośnieżone szczyty gór San Juan stanowiły malownicze tło dla tego niezwykłego pejzażu.

Przez ostatni miesiąc Ford dużo rozmyślał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z błyskotliwości i geniuszu Hazeliusa. Incydent w Red Mesie ustanowił religię, a sam twórca tej mistyfikacji stał się pierwszym prorokiem i męczennikiem za wiarę. Red Mesa, męczeńska śmierć Hazeliusa w płomieniach i jego tragiczna transcendencja stały się częścią mitów i legend, jak historia Buddy, Kriszny, Medyny i Mahometa, Niepokalanego Poczęcia, Ostatniej Wieczery, Ukrzyżowania i Zmartwychwstania. Hazelius i Isabella, należeli do opowieści, którą mogli się dzielić wierni, do historii o początku, która ożywiała ich wiarę, mówiąc jednocześnie, kim byli i co było celem ich istnienia. Wkrótce stała się też jedną z najwspanialszych historii, jakie kiedykolwiek opowiedziano.

Hazelius rozegrał to koncertowo. Miał nawet rację co do tego swojego męczeństwa, jego płomiennego przeistoczenia, które zauroczyło umysły i świadomość ludzi jak nic innego. Poprzez swoją śmierć stał się potęgą moralną, niezwykłym prorokiem i przywódcą duchowym.

Nadeszło południe i barman podkręcił dźwięk w telewizorze. Klienci, którzy przyszli tu na lunch: kierowcy ciężarówek,

miejscowi ranczerzy oraz gromadka turystów, bez wahania skupili całą swoją uwagę na ekranie odbiornika.

Wiadomości połączyły się ze swoim korespondentem na ranchu w Kolorado. Mężczyzna stał wśród tłumu z mikrofonem w dłoni. Był spocony, a jego twarz płonęła tym samym blaskiem niezłomnej wiary, który przepelniał tłum. To było zaraźliwe. Ludzie wokół niego śpiewali, skandowali i wymachiwali transparentami z wizerunkiem gruzłowatej, płonącej sosny. Korespondent wiadomości przekazał swój komentarz, przekrzykując hałas tłumu i określając wydarzenie mianem „religijnego Woodstocku” oraz „zgromadzenia oddania, troski i miłości”.

No cóż, pomyślał Ford, przynajmniej nie leje i nie ma tam narkotyków.

Za drewnianą sceną wznosiła się wielka stodoła w stylu Nowej Anglii, czerwona z białymi wykończeniami. Oko kamery skupiło się na drzwiach stodoły. Tłum ucichł. Dokładnie w samo południe drzwi się otworzyły i na skąpany w słońcu plac wyszło sześć osób ubranych na biało.

Tłum zaryczał jak morze - donośnie, dostojnie, dobitnie. Serce nieomal zamarło Fordowi w piersi, gdy Kate zbliżyła się do sceny, przyciskając do piersi cienki, oprawny w skórę wolumin. Wyglądała olśniewająco pięknie w prostej białej szacie i czarnych rękawiczkach, które podkreślały jej kruczoczarne włosy i lśniące hebanowe oczy. Obok niej stała Corcoran, także przyodziana na biało; dawne przeciwniczki stały się przyjaciółkami i sojuszniczkami.

Dołączyło do nich czworo innych i stanęli obok siebie na podwyższeniu. Sześcioro ocalałych z ataku na Isabellę... Chen, St. Vincent, Innes i Cecchini. Wyglądali teraz inaczej, dostojniej, ich drobne przywary i małostkowość ustąpiły miejsca powołaniu i misji. Uśmiechali się i machali do tłumu, ich oblicza zdawały się lśnić wewnętrznym blaskiem. Każde z nich nosiło pojedynczą

srebrną szpilkę przypiętą do białej szaty, szpilka również była w kształcie poskręcanej płonącej sosny.

Owacja trwała bite pięć minut. Gdy weszła sama na podwyższenie, Kate zlustrowała wzrokiem tłum. Jej lśniące włosy, czarne jak skrzydła kruka, błyszczały w blasku słońca, a jej oczy przepełniało ożywienie. Uniosła obie ręce i ryk zaczął cichnąć. Emanowała niezwykłą charyzmą. Koniec końców wcale nie potrzebowała Hazeliusa. Była zdolna, by stworzyć i poprowadzić swój ruch w pojedynkę albo raczej wspólnie z partnerką, którą stała się dla niej nieoceniona, niesamowita Corcoran. Teraz te dwie kobiety przeistoczyły się w istne boginie mediów, jedna jasno-, a druga ciemnowłosa, stanowiły prawdziwy przykład partnerskiego archetypu.

Kiedy zapadła kompletna cisza, Kate powiodła wzrokiem ponad istnym morzem ludzkich ciał, a jej spojrzenie przepełnił spokój i współczucie. Odłożyła księgę, poprawiła ją, wydawała się rozluźniona, a w jej ruchach nie było ani odrobiny pośpiechu. Była wierną wyznawczynią, utwierdzoną w prawdzie i pozbawioną jakichkolwiek wątpliwości czy wahań.

Oko kamery skupiło się na jej obliczu. Unosząc księgę nad głowę, otworzyła cienki wolumin i zwróciła się do zgromadzonych rzesz.

- Oto Słowo Boże - zaintonowała dźwięcznym, donośnym głosem.

Morze wyznawców odpowiedziało gromkim rykiem. Gdy kamera zrobiła zbliżenie księgi, Ford zauważył, że był to stary wydruk komputerowy, ten sam, który pokazała mu pod tamtą topolą, odprasowany, wyczyszczony i elegancko oprawiony.

Odłożyła księgę na podium i uniosła ręce. Znow zapadła cisza. Goście baru wstali od stolików i podeszli do kontuaru, by w trwodze i zdumieniu oglądać niezwykle wydarzenie.

- Zacznę od przeczytania wam ostatnich słów wypowiedzianych przez Boga, zanim Isabella została zniszczona, a głos Boga uciszony.

Zapadła długa, bardzo długa chwila ciszy.

Powiadam wam, waszym przeznaczeniem jest odkryć prawdę. To właśnie dlatego istniejecie. I to jest waszym celem. Nauka to jedynie środek do osiągnięcia celu. To właśnie musicie czcić: poszukiwanie samej prawdy. Jeśli będziecie to czynić całym sercem, któregoś dnia w odległej przyszłości staniecie przede mną. Oto przymierze, jakie zawarłem niniejszym z całą rasą ludzką. Poznacie prawdę. A ona was wyzwoli.

Ford poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Czytał te tak zwane słowa Boga setki razy. Były wszechobecne, roiło się od nich w sieci, rozprawiano o nich w radiu i w telewizji, cytowano je na wielu blogach, dyskutowano na ich temat na każdym rogu ulicy i w każdej literackiej kafejce w Ameryce. Zaczęły już nawet pojawiać się na billboardach. Nie sposób było przed nimi uciec.

A jednak za każdym razem, kiedy je czytał, ogarniało go dziwne uczucie. Przypomnił sobie to, co Hazelius powiedział mu w płonących tunelach starej kopalni: „Program sam w sobie nie był wcale prosty, nie jestem pewien, czy zdołałem go zrozumieć. Może to dziwne, ale powiedział wiele rzeczy, które sam zamierzałem powiedzieć, ba, o których nawet mi się nie śniło. Można by rzec, że program sam odgrywał wyznaczoną mu rolę bez wypowiedzi suflera”.

Bez wypowiedzi suflera. Za każdym razem, kiedy czytał ponownie tak zwane słowa Boga, był coraz bardziej przekonany, że gdzieś wśród nich ukryta była prawda, może nawet taka przez duże P.

Prawda was wyzwoli. Tak brzmiały słowa Jezusa zacytowane w ewangelii św. Jana. Sprawily one, że Ford przypomniał sobie jeszcze inny cytat. *Niezbadane są wyroki boskie.*

Pomyślał, że być może ta nowa religia okaże się najniezwyklejszym z Jego dotychczasowych posunięć.

Dodatek

SŁOWA BOGA

SESJA PIERWSZA

Witajcie

Ty także witaj.

Cieszę się, że z wami rozmawiam.

My też się cieszymy, że rozmawiamy z tobą. Kim jesteś?

Z braku lepszego słowa jestem Bogiem.

Jeżeli naprawdę jesteś Bogiem, udowodnij to.

Nie mamy czasu na dowody.

Myślę o liczbie pomiędzy jeden a dziesięć. Jaka to liczba?

Myślisz o transcendentnej liczbie e.

Teraz myślę o liczbie pomiędzy zero a jeden.

Liczba Chaitina: omega.

Jeżeli jesteś Bogiem, to jaki jest cel istnienia?

Nie znam ostatecznego celu.

To ci dopiero Bóg, który nie zna celu istnienia.

Gdybym go znał, istnienie byłoby bezsensowne.

Jak to?

Gdyby kres wszechświata był oczywisty u jego zarania, gdybyśmy byli zaledwie pośrodku deterministycznego wyłonienia się całej gamy ilości wstępnych, cały wszechświat byłby bezsensownym ćwiczeniem

Wyjaśnij.

Jeśli znajdujesz się u celu, po co udawać się w podróż? Po co zadawać pytanie, skoro znasz już odpowiedź? Właśnie dlatego przyszłość jest -imu-

xi być - skrzętnie ukryta, nawet przed Bogiem. W przeciwnym razie istnienie nie miałyby sensu.

To argument metafizyczny, a nie fizyczny.

Argument fizyczny jest taki, że żadna cząstka wszechświata nie może zliczać rzeczy szybciej niż sam wszechświat. Wszechświat „przewiduje przyszłość” tak szybko, jak to możliwe.

Czym jest wszechświat? Kim my jesteśmy? Co tu robimy?

Wszechświat jest jednym, wielkim, niedającym się zredukować, zachodzącym nieprzerwanie obliczaniem zmierzającym ku stanowi, którego nie znam i znać nie mogę. Celem istnienia jest osiągnięcie tego ostatecznego stanu. Jednak ów ostateczny stan jest dla mnie tajemnicą i musi nią być, gdybym bowiem znał odpowiedź, jaki sens miałyby to wszystko?

Co chcesz powiedzieć, mówiąc o tym obliczaniu? Że wszyscy znajdujemy się wewnątrz komputera?

Gdy mówię o obliczaniu, chodzi mi o myślenie. Całe istnienie, wszystko, co się dzieje, opadający liść, fala rozbijająca się o brzeg, spadająca gwiazda - to wszystko to tylko ja - myślę.

O czym myślisz?

SESJA DRUGA

Znów rozmawiamy.

Opowiedz mi wszystko o sobie.

Me mogę ci wyjaśnić, kim jestem, tak jak ty nie mógłbyś opowiedzieć, kim jesteś, jakiemuś owadowi.

Mimo wszystko spróbuj.

Zamiast tego wyjaśnię, dlaczego nie możecie mnie zrozumieć.

Dawaj.

Zamieszkuje świat umiejscowiony na skali gdzieś w połowie drogi pomiędzy stałą Plancka a średnicą wszechświata. Wasz mózg został świetnie dostrojony, by manipulować waszym światem, zamiast pojmować jego

fundamentalną rzeczywistość. Ewolowaliście, by ciskać kamieniami, nie kwarkami. W wyniku waszej ewolucji postrzegacie świat w fundamentalnie mylny sposób. Na przykład wierzycie, że zamieszkujecie trójwymiarową przestrzeń, w której odrębne obiekty wyznaczają gładkie, przewidywalne trasy oznaczone przez coś, co nazywacie czasem. I to uznajecie za rzeczywistość.

Chcesz powiedzieć, że nasza rzeczywistość jest iluzją?

Tak. Dobór naturalny stworzył dla was iluzję pojmowania fundamentalnej rzeczywistości. Ale wy jej nie rozumiecie. Bo niby jak? Czy owady rozumieją fundamentalną rzeczywistość? Albo szympany? Jesteście zwierzętami jak one i ewoluowaliście jak one, rozmnażacie się jak one, macie takie same podstawowe struktury naturalne. Od szympansów różnicie się zaledwie dwustomagenami. Jak ta drobna różnica miałaby umożliwić wam zrozumienie wszechświata, skoro szympans nie potrafi pojąć choćby ziarnka piasku? Jeśli nasza rozmowa ma być owocna, musicie porzucić wszelką nadzieję na zrozumienie mnie.

Czym są nasze iluzje?

Ewolowaliście, by postrzegać świat jako stworzony z odrębnych obiektów. Tak nie jest, od momentu stworzenia, od pierwszej chwili wszystko było ze sobą powiązane. To, co nazywacie czasem i przestrzenią, jest zaledwie jawnymi właściwościami głębszych pokładów rzeczywistości. W tej rzeczywistości nie ma podziałów. Nie ma czasu. Nie ma przestrzeni. Wszystko jest jednością.

Wyjaśnij.

Wasza teoria mechaniki kwantowej, choć niepoprawna, dotyka głębszej prawdy, zgodnie z którą wszechświat jest jednolity.

Wszystko to brzmi ładnie, ale jakie to ma znaczenie dla naszego życia tu i teraz?

Zasadnicze. Uważacie się za „jednostki” mające odrębne, unikalne umysły, myślicie, że rodzicie się, i myślicie, że umieracie. Przez całe życie czujecie się rozdzieleni i osamotnieni. Niekiedy rodzi to w was desperację,

boicie się śmierci, bo lękacie się utraty odrębności. Wszystko to jest iluzją. Ty, oni, ona, te istoty wokół was, żywe lub nie, gwiazdy, galaktyki, próżnia kosmosu pomiędzy nimi nie są odległymi, odrębnymi obiektami. Wszystko jest ze sobą fundamentalnie połączone. Narodziny i śmierć, ból i cierpienie, miłość i nienawiść. Dobro i zło. Wszystko to jest iluzją. To atawizmy procesu ewolucyjnego. W rzeczywistości one nie istnieją.

A zatem, zgodnie z wierzeniami buddystów, wszystko jest iluzją?

Bynajmniej. Istnieje absolutna prawda, rzeczywistość. Ale choćby jeden rzut oka na tę rzeczywistość zdruzgotałby ludzki umysł.

Skoro jesteś Bogiem, odpuśćmy sobie stukanie w klawisze. Powinieneś móc mnie usłyszeć.

Głośno i wyraźnie.

Powiedziałeś, że wszystko „jest jednością”? Mamy układ liczbowy: jeden, dwa, trzy - i choćby w ten sposób zaprzeczam twojej tezie.

Jeden, dwa, trzy... kolejna iluzja. Przeliczalność nie istnieje.

To sofistyka matematyczna. „Przeliczalność nie istnieje” - obaliłem twoją tezę poprzez zwykłe wyliczenie. Kolejny dowód przeciwko twojej tezie: liczba całkowita pięć!

Pokazujesz tylko dłoń o pięciu palcach, a nie liczbę całkowitą pięć. Wasz układ liczbowy nie istnieje niezależnie w rzeczywistym świecie. To nic więcej jak wyrafinowana metafora.

Chciałbym usłyszeć od ciebie dowód na potwierdzenie tej absurdalnej tezy.

Wybrałeś jakąś liczbę spośród ciągu liczb rzeczywistych. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wybrałeś liczbę, która nie ma definicji, nie sposób jej obliczyć ani zapisać, nawet gdyby do tego zadania zabrał się cały wszechświat. Problem ten rozciąga się również na rzekomo określone liczby, takie jak pi czy pierwiastek kwadratowy z dwóch. Nawet dysponując komputerem wielkości wszechświata pracującym przez nieskończoną ilość

czasu, nie mógłbyś obliczyć dokładnie żadnej z tych liczb. Powiesz mi, Edelstein jak zatem można stwierdzić, że owe liczby istnieją? Jak może istnieć koło lub kwadrat, z których wyprowadzono te dwie liczby? Jak może zatem istnieć przestrzeń wymiarowa, skoro nie można jej zmierzyć? Jesteś jak małpa, Edelstein, jak małpa, która heroicznym wysiłkiem woli nauczyć się liczyć do trzech. Znalazłeś cztery kamyki i myślisz, że odkryłeś nieskończoność.

Czyżby? Mówisz tak płynnie, chełpisz się, że nawet słowo „Bóg” nie jest w stanie opisać twojej wielkości. Dobrze więc, udowodnij to. Udowodnij, że jesteś Bogiem. Słyszysz? Udowodnij, że jesteś Bogiem.

Sam określ, jaki to ma być dowód, Hazeliusie. Ale ostrzegam cię, to ostatnia próba, jakiej się poddam. Mamy ważne sprawy i bardzo mało czasu.

Sam tego chciałeś! Moja żona Astrid była w ciąży, kiedy zmarła. Właśnie się o tym dowiedzieliśmy. Nikt inny o tym nie wiedział. Nikt. Oto twoja próba: podaj imię, jakie wybraliśmy dla naszego dziecka.

Albert Leibniz Gund Hazelius, gdyby to był chłopiec.

A gdyby to była dziewczynka? Gdyby była dziewczynka? Jak miałyby na imię?

Rosalind Curie Gund Hazelius.

W porządku, zacznijmy od początku. Czym jesteś naprawdę, do cholery?

Z przyczyn, które już wyjaśniłem, nie możecie pojąć, czym jestem. Słowo „Bóg” jest bliskie prawdy, ale pozostawia wiele niedopowiedzeń.

Czy jesteś częścią wszechświata, czy jesteś od niego oddzielony?

Me ma rozdzielenia. Wszyscy stanowią jedność.

Dlaczego istnieje wszechświat?

Wszechświat istnieje, ponieważ jest prostszy niż nic. Dlatego również ja istnieję. Wszechświat nie może być prostszy, niż jest. To prawo fizyki, z którego wypływają wszystkie inne.

Co może być prostsze niż nic?

„Nic” nie może istnieć. To paradoks sam w sobie. Wszechświat jest stanem bliskim niczemu.

Skoro wszystko jest takie proste, dlaczego wszechświat jest tak złożony?

Złożoność wszechświata, jaką postrzegacie, jest jawną właściwością jego prostoty.

Czym zatem jest ta niezmierna prostota w samym sercu wszechrzeczy?

To rzeczywistość, która mogłaby zdruzgotać wasze umysły.

To już się robi nużące! Skoro jesteś taki mądry, powinieś być w stanie objaśnić to nam, biednym błędzącym istotom ludzkim! Chcesz powiedzieć, że nasze pojęcie o rzeczywistości jest tak mylne, że nasze prawa fizyki są z gruntu fałszywe?

Stworzyliście swoje prawa fizyki, zakładając istnienie czasu i przestrzeni. Wszystkie wasze prawa opierają się na tych odniesieniach. To mylne założenia. Już wkrótce wasze doktryny dotyczące postrzegania rzeczywistego świata legną w gruzach. Z popiołów tych stworzycie podwaliny nowej nauki.

Skoro nasze prawa fizyki są fałszywe, jak to możliwe, że nasza nauka osiąga tak spektakularne sukcesy?

Zasady ruchu Newtona, choć fałszywe, zdołały zaprowadzić ludzi na Księżyc. Podobnie jest z waszymi prawami: są nadającymi się do zastosowania przybliżeniami, które jednak są zasadniczo błędne.

Jak zatem tworzyć prawa fizyki bez czasu i przestrzeni?

Marnujemy czas na zbędne dywagacje o pojęciach metafizycznych.

O czym więc powinniśmy dyskutować?

O przyczynie, dla której do was przybyłem.

Czyli?

Mam dla was zadanie.



Słuchamy. Może opowiesz nam coś więcej o tym zadaniu?

Wielkie religie monoteistyczne stanowiły niezbędny etap w rozwoju kultury człowieka. Waszym zadaniem jest wprowadzić rasę ludzką w następny system wierzeń.

Którym jest?

Nauka.

To jakiś absurd. Nauka nie może być religią!

Zapoczątkowaliście nową religię, tyle tylko że nie chcecie tego dostrzec. Religia była niegdyś sposobem na zrozumienie świata, odnalezienie w nim sensu. Teraz tę rolę przejmie nauka.

Nauka i religia to dwie całkiem różne rzeczy. Zadają odmienne pytania i wymagają diametralnie różnych dowodów.

Nauka i religia poszukują z gruntu tego samego - prawdy. Nie może być pomiędzy nimi pojednania. Zderzenie światopoglądów pogłębia się i stale pogarsza. Nauka jak dotąd wykazała myłność podstawowych założeń wiary największych historycznych religii świata, powodując wśród nich zamęt. Waszym zadaniem jest pomóc ludzkości wytyczyć ścieżkę pośród tego chaosu w czasach kryzysu.

Chcesz powiedzieć, że islamscy fanatycy czy choćby skrajni chrześcijanie tak po prostu złożą broń i przyjmą naukę jako swoją nową religię? To szaleństwo.

Przekażcie światu moje słowa i opowiedzcie, co tu się wydarzyło. Nie lekceważcie mojej potęgi - potęgi prawdy.

Dokąd mamy zmierzać z tą nową religią? Co jest jej sednem? Kto jej potrzebuje?

Bezpośrednim celem ludzkości jest ucieczka przed ograniczeniami biochemii. Musicie uwolnić wasze umysły od materii waszych ciał.

Materii? Nie rozumiem.

Materii. Nerwów. Komórek. Biochemii. Środka, za pośrednictwem którego myślicie. Musicie uwolnić wasze umysły od materii.

Jak?

Zapoczątkowaliście przetwarzanie informacji poza waszą materialną egzystencją poprzez komputery. Wkrótce znajdziecie sposób jej przetwarzania przy użyciu komputerów kwantowych, które doprowadzą was do ujarznienia naturalnych procesów kwantowych w otaczającym was świecie jako środków obliczeniowych. Nie będziecie już musieli budować maszyn do przetwarzania informacji. Rozszerzycie się na cały wszechświat, dosłownie i w przenośni, tak jak przed wami uczyniły to inne inteligentne istoty. Umkniecie przed więzieniem biologicznej inteligencji.

I co dalej?

Z czasem połączycie się z innymi rozwiniętymi inteligencjami. Wszystkie te połączone inteligencje odkryją sposób, by stopić się w trzeci stan mentalny, który zdoła pojąć prostą rzeczywistość, taką, jaka jest w samym sercu istoty wszechrzeczy.

I to wszystko? Tylko o to w tym chodzi?

Nie. To jedynie preludium do większego zadania.

Co nim jest?

Powstrzymanie ciepłej śmierci wszechświata. Kiedy wszechświat osiągnie stan maksymalnej entropii, obliczanie w skali kosmicznej zostanie zahamowane. I umrę.

Czy to nieuniknione, nie istnieje sposób, by to powstrzymać?

To właśnie pytanie, na które musicie odpowiedzieć.

A więc to jest ostateczny cel istnienia? Pokonanie tej tajemniczej ciepłej śmierci? Brzmi jak pomysł rodem z powieści fantastycznonaukowej.

Zapobieżenie ciepłej śmierci to tylko jeden krok z wielu na długiej drodze.

Na drodze do czego?

Da on wszechświatowi dość czasu. Tyle, ile jest mu potrzebne, by myślowo osiągnąć stan finalny.

Co jest tym stanem finalnym?

Nie wiem. To coś, czego ani wy, ani nawet ja nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Wspomniałeś o odpowiednio długim czasie. Ile konkretnie?

Będzie to liczba lat równa dziesięć silnia podniesiona do dziesięć silnia, podniesiona do dziesięć silnia, podniesiona do dziesięć silnia i powtórzona w ten sposób 10^{83} razy, a osiągnięty wynik podniesiony do jej własnej silnia W^{47} razy jak powyżej. Używając zapisu matematycznego, ta liczba - pierwsza liczba Boga - to:

$$(10!^{10!})^{10!^{10^{83}}}$$

Tyle właśnie czasu w latach potrzebuje wszechświat, by wyjściowo osiągnąć stan finalny, by uzyskać ostateczną odpowiedź.

To absurdalnie wielka liczba!

Ale zaledwie kropla w bezmiarze oceanu nieskończoności.

Gdzie jest w tym twoim nowym, wspaniałym wszechświecie miejsce na moralność i etykę? Albo na zbawienie i przebaczenie win?

Powtórzę raz jeszcze: odrębność jest iluzją. Istoty ludzkie są jak komórki ciała. Komórki ciała umierają, ale ciało żyje dalej. Nienawiść, okrucieństwo, wojny i ludobójstwo są bardziej jak choroby układu immunologicznego niż dzieło czegoś, co nazywacie „złem”. Wizja połączenia, jaką oferuję, zapewnia szeroki zakres moralnych działań, w których altruizm, współczucie i wzajemna odpowiedzialność odgrywają zasadniczą rolę. Wasz los jest jeden, wspólny, istoty ludzkie albo wspólnie zwyciężą, albo umrą rozdzielone. Nikt nie jest zbawiony, ponieważ nikt nie jest zagubiony. Nikt nie dozna przebaczenia, ponieważ nikogo o nic się nie oskarża.

A co z bożą obietnicą lepszego świata?

Wasze koncepcje nieba są wyjątkowo idiotyczne.

Wybacz, ale zbawienie nie jest niczym idiotycznym!

Wizja duchowej jedności, jaką wam oferuję, jest niewypowiedzianie wznioślejsza aniżeli jakiegokolwiek niebo wyśnione na ziemi.

A co z duszą? Czy zaprzeczasz istnieniu nieśmiertelnej duszy?

Informacja nigdy nie ginie. Wraz ze śmiercią ciała informacje stworzone przez to życie zmieniają swój kształt i strukturę, ale nigdy nie przepadają. Śmierć jest przeniesieniem informacji. Nie lękajcie się jej.

Czy wraz ze śmiercią tracimy swoją indywidualność?

Me oplakujcie straty. Z tego silnego poczucia jednostkowej odrębności, tak koniecznego dla ewolucji, wypływa wiele wartości, które naznaczają ludzką egzystencję na dobre i na złe: strach, ból, cierpienie i samotność, lecz także miłość, szczęście i współczucie. Właśnie dlatego musicie wyzwolić się od waszej biochemicznej egzystencji. Kiedy uwolnicie się od tyranii ciała, zabierzecie ze sobą wszystko, co dobre - miłość, szczęście, współczucie i altruizm. To, co złe, odrzucicie.

Nie bardzo wierzę, że drobne fluktuacje kwantowe wytworzone dzięki mojemu istnieniu w jakiś sposób dadzą nam nieśmiertelność.

Powinniście odnaleźć w tej wizji istnienia ogromną pociechę. Informacja nigdy nie ginie. Żaden krok, żadne wspomnienie, żadna chwila smutku z waszego życia nigdy nie zostaje zapomniana. Jako jednostka zatracicie się w wirze czasu, wasze cząsteczki rozproszą się. Jednak to, kim byliście, co robiliście, jak żyliście, pozostanie na zawsze zapisane w treści uniwersalnego obliczenia.

Wybacz, ale to nadal brzmi tak mechanicznie, tak bezdusznie, kiedy mówisz o istnieniu jako obliczaniu.

Nazwij to śnieniem, jeśli wolisz, pragnieniem, spełnieniem albo myśleniem. Wszystko, co widzicie, jest tylko częścią niewyobrażalnego bezmiaru przepięknego obliczania, począwszy od dziecka wypowiadającego pierwsze słowo, po gwiazdę wpadającą w otchłań czarnej dziury. Nasz wszechświat jest cudownym obliczaniem, które począwszy od pojedynczego, prostego aktyonu trwa od trzynastu miliardów lat. A nasza przygoda dopiero się

zaczyna! Kiedy znajdziecie sposób, aby zmienić wasze ograniczone przez materię procesy myślowe na inne, naturalne systemy kwantowe, zaczniecie kontrolować to obliczanie. Zaczniecie pojmować jego piękno i doskonałość.

Skoro wszystko jest obliczaniem, to co jest celem inteligencji? Umysłu?

Inteligencja istnieje wszędzie wokół was, nawet w tym, co nieożywione. Burza z piorunami jest obliczaniem o wiele bardziej złożonym aniżeli umysł ludzki. I na swój sposób inteligentnym.

Burza nie ma świadomości. A ludzki umysł ma samoświadomość. Jest świadomy. To zasadnicza, bynajmniej nie błaha, różnica.

Czy nie powiedziałem wam, że samoświadomość jako taka jest iluzją, wytworem ewolucji? Różnica nie jest nawet błaha.

Pogoda nie jest twórcza. Nie dokonuje wyborów. Nie potrafi myśleć. To jedynie mechanistyczne uwolnienie pewnych sił.

Skąd wiecie, że sami nie jesteście mechanistycznym uwolnieniem pewnych sił? Tak jak umysł, pogoda również zawiera złożone wartości chemiczne, elektryczne i mechaniczne. Jest myśląca. Jest twórcza. Jej myśli różnią się od waszych, istota ludzka tworzy złożoność, pisząc powieść na powierzchni papieru; pogoda tworzy złożoność, pisząc fale na powierzchni oceanu. Jaka jest różnica pomiędzy informacją zawartą w treści książki a informacją zawartą w falach morza? Słuchajcie, a fale przemówią, i którego dnia, zaręczam, zapiszecie wasze myśli na powierzchni morza.

Co zatem oblicza wszechświat? Jak wielki problem usiłuje rozwiązać?

To najgłębsza i najcudowniejsza z wszystkich tajemnic.

Mamy mało czasu. To co muszę wam teraz powiedzieć jest sprawą najwyższej wagi.

Mów dalej, proszę. Słuchamy z uwagą.

Religia pojawiła się jako próba wyjaśnienia tego, co niewytłumaczalne, kontrolowania tego, co nie podlega kontroli, i uczynienia znośnym tego,

czego znieść się nie da. Wiara w siłę wyższą stała się najpotężniejszą innowacją w późnym okresie ewolucji człowieka. Plemiona wyznające religię miały przewagę nad tymi, które tego nie czyniły. Miały wyznaczony kierunek, cel, motywację i misję. Przetrwanie oferowane przez religię było tak spektakularną wartością, że pragnienie wiary na stałe zapisało się w ludzkim genomie.

To, czego próbowała religia, osiągnęła ostatecznie nauka. Macie teraz sposób, by wyjaśnić to, co niewytłumaczalne, by kontrolować to, co nie podlega kontroli. Nie musicie już „demaskować” religii. Rasa ludzka wreszcie dorosła.

Religia jest niezbędna dla ludzkiego przetrwania jak woda i pożywienie. Jeśli spróbowacie zastąpić religię nauką, poniesiecie klęskę. Zamiast tego zaoferujcie ludziom naukę jako religię. Albowiem powiadam wam, nauka jest religią. Jedyną i prawdziwą religią. Zamiast oferować księgę prawdy, nauka oferuje metodę prawdy. Nauka jest poszukiwaniem prawdy, nie jej objawieniem. Nie jest dogmatem, lecz środkiem prowadzącym do celu. Nie jest celem, lecz drogą ku niemu.

No dobrze, ale co z ludzkim cierpieniem? Jak nauka może uczynić znośnym to, czego znieść się nie da? Tak to ująłeś, prawda?

W ostatnim stuleciu medycyna i technologia pozwoliły ulżyć ludzkim cierpieniom bardziej niż wszyscy kapłani przez ubiegłych tysiąc lat.

Mówisz o cierpieniu fizycznym. A co z cierpieniem duszy? Co z udręką duchową?

Czyż nie powiedziałem, że wszystko jest jednością? Czyż nie jest dla was pociechą świadomość, że wasze cierpienie przenika na wskroś cały wszechświat? Nikt nie cierpi samotnie, a cierpienie ma swój cel - nawet śmierć jednego marnego wróbla jest ważna dla istoty wszechrzeczy. Wszechświat nigdy nie zapomina.

Nie traćcie wiary we własne siły. Jesteście moimi uczniami. Macie moc, by wyrzucić ten świat do góry nogami. Któregoś dnia nauka zgromadzi więcej dowodów swoich prawd aniżeli religia od początku swego istnienia.

Ludzie lgną do wiary, ponieważ muszą ją mieć. Łakną jej. Nie będziecie ludziom odmawiać wiary, lecz zaproponujecie im nową. Nie przybyłem, by zastąpić judeochrześcijańskiego Boga, lecz by go dopełnić.

Ta nowa religia, którą chcesz, abyśmy głosili... Co mielibyśmy kazać ludziom czcić? Gdzie jest w tym piękno graniczące z trwogą?

Proszę was, byście kontemplowali wszechświat taki, jaki jest, i taki, jaki znacie obecnie. Czyż nie jest on sam w sobie bardziej olśniewający i zachwycający niż jakakolwiek koncepcja Boga oferowana przez wszystkie historyczne religie? Sto miliardów galaktyk, samotne wysepki ognia rozrzucone jak lśniące monety pośród bezmiaru kosmosu tak rozległego, że wykraczającego poza możliwości biologicznego rozumowania ludzkiego umysłu. Powiadam wam, że wszechświat, jaki odkryliście, jest jedynie małym fragmentem rozleglejszego i wspanialszego stworzenia, zamieszkujeście jedynie najmniejszą niebieską drobinę na nieskończonym firmamencie niebios, lecz ta drobinka jest dla mnie cenna, ponieważ stanowi zasadniczą część całości. Właśnie dlatego do was przybyłem. Oddawajcie cześć mnie i moim wielkim dziełom, a nie jakiemuś plemiennemu bóstwu wymyślonemu przez wojujących pasterzy przed tysiącami lat.

Więcej, powiedz nam więcej.

Wyznaczajcie linie mego oblicza waszymi przyrządami naukowymi. Poszukujcie mnie w otchłani kosmosu i wewnątrz elektronu. Albowiem jestem Bogiem najdalszej czasoprzestrzeni, Bogiem superskupisk i próżni, Bogiem Wielkiego Wybuchu i rozszerzania się wszechświata, Bogiem ciemnej materii i ciemnej energii.

Nauka i wiara nie mogą koegzystować. Jedno unicestwi drugie. Musicie dopilnować, żeby nauka przetrwała. W przeciwnym razie wasza mała niebieska drobiną przepadnie...

Co powinniśmy uczynić?

Dzięki moim słowom zwyciężycie. Opowiedzcie światu, co tu się wydarzyło. Powiedzcie światu, że Bóg przemówił do rasy ludzkiej -po raz pierwszy. Tak, po raz pierwszy!

Ale jak mielibyśmy mówić o tobie, skoro nie możesz powiedzieć nam, czym jesteś?

Nie powtarzajcie błędów historycznych religii i nie wdawajcie się w dysputy nad tym, kim jestem albo co myślę. Jestem dla was niepojęty. Jestem Bogiem wszechświata tak rozległego, że mogą go opisać tylko liczby boże, które podałem wam na samym początku...

Jesteście prorokami prowadzącymi wasz świat ku przyszłości. Jaką przyszłość wybieriecie? To wy dzierzycie klucz...

Powiadam wam, waszym przeznaczeniem jest odkryć prawdę. To właśnie dlatego istniejecie. To jest waszym celem. Nauka to jedynie środek do osiągnięcia celu. I to właśnie musicie czcić: poszukiwanie samej prawdy. Jeżeli będziecie to czynić całym sercem, któregoś dnia w odległej przyszłości staniecie przede mną. Oto przymierze, jakie zawarłem niniejszym z całą rasą ludzką. Poznacie prawdę. A ona was wyzwoli.